1945-1956

PRABUTY

POWIŚLE

HISTORIA POWOJENNA
MIASTA PRABUTY I REGIONU

Prabuty Powiśle

1945-1956

HISTORIA POWOJENNA MIASTA PRABUTY I REGIONU

SPIS TREŚCI

1. Wstęp 5
2. Historia do roku 1945 9
– CZASY PREHISTORYCZNE 9
– ŚREDNIOWIECZE 9
– ZAKON NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY DOMU NIEMIECKIEGO W JEROZOLIMIE (KRZYŻACY) 12
– REFORMACJA 18
– WIEK XVII I XVIII 19

3. Sytuacja „małej ojczyzny" w latach 1945-1956 31
– HISTORIA GMIN: KWIDZYN, GARDEJA, SADLINKI, RYJEWO 31

4. Dzieje miasta i regionu z perspektywy Zarządu Miejskiego w Prabutach 39
– SYTUACJA PO ZAJĘCIU MIASTA PRZEZ ARMIĘ RADZIECKĄ 39
– RELACJA Z PRAC ZARZĄDU MIEJSKIEGO, MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ (MRN) I JEJ PREZYDIUM ZA 1946 ROK 54
– ORGANIZACJA I PRZEBIEG REFERENDUM LUDOWEGO W PRABUTACH I POWIECIE KWIDZYŃSKIM 61
– OPIEKA ZARZĄDU MIEJSKIEGO NAD MIASTEM 66
– HISTORYCZNE KALENDARIUM WYBRANYCH SPRAW RANGI LOKALNEJ, PROWADZONYCH PRZEZ ZARZĄD MIEJSKI W 1946 ROKU 74
– WYBORY PARLAMENTARNE I PREZYDENCKIE W ROKU 1947 82
– MIEJSKA RADA NARODOWA W 1947 ROKU 85
– POCZYNANIA MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1948 ROKU 95
– HISTORYCZNE KALENDARIUM WYBRANYCH SPRAW RANGI LOKALNEJ W ROKU 1948 103
– DZIAŁANIA WŁADZ MIASTA W 1949 ROKU 107
– DZIEJE MIASTA POD RZĄDAMI MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1950 ROKU 121
– PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1951 ROKU 126
– DZIAŁANIA PO ROKU 1951 128

5. Aspekt kryminalny w powojennych Prabutach i okolicy . . . 131
6. Przesiedlenia ludności pochodzenia ukraińskiego, związane z akcją „Wisła” w regionie 145
7. Walka władz z organizacjami 151
8. Losy mieszkańców, które wpisały się w historię miasta i regionu (wspomnienia w kolejności przybycia na omawiane tereny) . . 161
– LOTHAR KOSSAK 163
– BRYGIDA HARDASIEWICZ 195
– IRMGARD BARBAREWICZ 207
– LEON ABRAMOWICZ 215
– ANTONI DĘBIŃSKI 237
– HENRYKA SIKORSKA 277
– ROMAN STĘPKA 287
– KRYSTYNA KACZOROWSKA 311
– FELIKS BOBOWSKI 321
– KRYSTYNA KUNCICKA 331
– MARIANNA ELSTERA JUREWICZ 341
– JADWIGA CYGANOWSKA 361
– MARIA DZIENISIEWICZ 379
– JADWIGA TOMASZEWSKA 385
– JANINA ZELMAŃSKA 389
– KRYSTYNA WRZOSEK 395
– MARIANNA ZDRZALIK 405
– HELENA PYKA 415
– ANTONINA JÓZEFOWICZ 425
– JADWIGA WOSZCZYŃSKA 433
– JADWIGA ŻELAZOWSKA 453
– HALINA STAWISZYŃSKA 465
– STANISŁAWA DOBRZAŃSKA 479
– MARIA PATYRA 485

9. Region i mieszkańcy w historycznym kadrze 491
10. Od autora 508
11. Bibliografia 510

Drodzy czytelnicy,

przekazujemy w Państwa ręce książkę, opisującą historię prabuckiej ziemi przez pryzmat życia jej mieszkańców. Historię stosunkowo nieodległą, nastrojem i faktografią zupełnie odmienną od naznaczonych bólem i tęsknotą „Wspomnień prabuckich Kresowian”, wydanych w 2015 roku. Jednakże obie te pozycje mają wspólne pierwiastki. Obie zawierają autentyczne wspomnienia i poza redakcyjnym wkładem pracy, ich autorami są nieliczni już uczestnicy opisywanych wydarzeń. Wydawca, zgodnie z naszymi intencjami starał się nie ingerować w treść wspomnień, zachowując możliwie najbardziej autentyczny styl wypowiedzi współautorów. Inną wspólną cechą obu publikacji jest sfinansowanie ich przygotowania i wydania. Powiślańska Lokalna Grupa Działania, pośrednicząca w przekazywaniu środków unijnych na lokalną aktywność publiczną w obu przypadkach pozytywnie oceniła nasze wnioski i w wyniku rozstrzygniętego konkursu otworzyła swój średnio zasobny portfel, dzięki czemu książka jest bezpłatna. Doceniamy i dziękujemy.

Słów kilka o inspiracji. Ćwierć wieku temu zaczęliśmy szerzej odsłaniać dzieje Prabut. Jedynym, dostępnym do tej pory źródłem wiedzy o historii prabuckiej ziemi była publikacja „Iława. Z dziejów miasta i powiatu” oparta na monografii autorstwa Louisa Schwalma, znajdująca się w nielicznych domach i zasobach bibliotecznych. Ciekawość redaktora i wydawcy „Gazety Prabuckiej” zaprowadziła mnie w 1993 roku do Willego Schmidtke, urodzonego w Riesenburgu, którego niezwykła historia życia ponownie przywiodła do Prabut wraz z imponującym zestawem fotografii i wspomnień. Łakomie rzuciłem się na tą historię z nadzieją, że będzie równie interesująca dla moich czytelników, jak i dla mnie. Nie pomyliłem się. Cykl artykułów pod tytułem „Dawnych Prabut czar”, odsłaniający poprzez unikalne fotografie i ustne relacje Willego codzienność i klimat Riesenburga lat 30-tych spowodował, że ówczesna „Gazeta Prabucka” sprzedawała się jak ciepłe bułeczki (choć przyznać jednocześnie wypada, że jej ówczesna cena nie była wygórowana).

W miarę upływu czasu, wraz z kolejnymi odsłonami zasobów Willego Schmidtke, zacząłem uświadamiać sobie paradoksalny fakt, że nasza wiedza na temat przedwojennej historii miasta i okolicy staje się niewspółmiernie większa, niż historiografia pierwszych lat powojennych, prawdziwie polskich, tworzona przez nowych mieszkańców, których powojenna zawierucha, ukształtowana jałtańskimi ustaleniami przywiodła na tą ziemię, na ogół wbrew własnej woli. Zacząłem na łamach gazety upominać się o powojenną historię Prabut, apelując do czytelników o dostarczanie materiałów. I co? Odzew prawie żaden. A przecież chciałoby się wiedzieć, kto na przykład zdecydował o przeniesieniu cokołu pomnika z dawnego placu Wrangla na skwer przy ul. Warszawskiej, by monument ku czci poległych żołnierzy w wojnie prusko-francuskiej, przy którym w latach 30-tych celebrowano większość niemieckich patriotycznych świąt, stał się podstawą pomnika ku czci Matki Boskiej. Chciałoby się zobaczyć fotografie obszaru starego miasta, spalonego przez „urbanistów" z Armii Czerwonej, gdy odradzało się życie w budynku WDT, a zrujnowane pierzeje stopniowo zapełniały zupełnie niezgodne z historyczną konsekwencją budynki w PRL-owskim stylu. W miejscu pięknej pierzei północnej stawała okresowo strzelnica, gdzie jeszcze w latach 80-tych ubiegłego wieku strzelałem do kwiatków dla mojej córki, a pierzeja zachodnia ograniczała się do sklepu GS, zwanego zresztą do dziś „siódemką". Pytania można by mnożyć...

Mamy zatem do czynienia z dwojaką aktywnością tropicieli śladów historii, a raczej z ich skutecznością. Z jednej strony dysponujemy sporą wiedzą, umocnioną artefaktami, dostarczonymi przez rdzennych mieszkańców Prabut, takich jak wspomniany Willy czy nieodżałowanej pamięci Werner Zebrowski, który przekazał nam bezcenną kolekcję fotografii i obrazów. Z drugiej zaś mamy mizerię śladów istnienia miasta i jego mieszkańców po 1945 r. i niemal bezskuteczne apele o ich udostępnianie. Wyjaśnienie tej rozbieżności wydaje się proste, tkwi przede wszystkim w sferze emocjonalnej. Wiodącym motywem chęci ocalenia i kultywowania

pamięci historycznej, dotyczącej naszej ziemi przez mieszkańców Riesenburga była i jest tęsknota. Zrozumiałem to, gdy opublikowałem pełen nostalgii wiersz Leona Abramowicza o Wołyniu. Umocniły mnie w tym przeświadczeniu wizyty w Jeddingen, miejscu corocznych spotkań byłych mieszkańców Prabut, gdzie przeglądałem pieczołowicie przechowywane ich albumy rodzinne. Jaki stosunek emocjonalny do przejętego skrawka tzw. „Ziem Odzyskanych" mieli pierwsi jego mieszkańcy, przybyli w większości z odległych Kresów? Dotarli do spalonego w maju 1945 roku miasta, gdzie trzeba było urządzać swoje życie od podstaw. Nie mając przy tym pewności, że tu zostaną, że kolejna wojenna zawierucha nie rzuci ich wraz z rodzinami na inny, obcy ląd. Pamiętam, że w nadwiślańskich Lipiankach, gdzie spędzałem ferie i wakacje, jeszcze w początku lat 60. ubiegłego wieku obawiano się, że Niemcy powrócą, że upomną się o swoje gospodarstwa. Trzeba było wielu lat, by powoli tworzyła się więź mieszkańców z nową ziemią, by zaczęli uważać ją za swoją Małą Ojczyznę, zaznaczoną grobami swoich bliskich.

Wydaje mi się, że jest jeszcze jeden powód braku wiedzy o powojennych latach Prabut, powód być może bardziej prozaiczny, przez to mniej ubrany w emocje. Dziś, uzbrojeni w smartfony z aparatami o rozdzielczości przewyższającej cyfrówki z początku XXI wieku, z trudem możemy sobie wyobrazić, że tuż po wojnie trudno było o aparat fotograficzny. Jeśli już rejestrowano wydarzenia, były to na ogół uroczystości rodzinne i święta państwowe. Nie każdy chciałby się chętnie podzielić zdjęciem z „ciocią Marysią" lub fotką z pierwszomajowego pochodu z białoczerwoną albo, nie daj Boże, czerwoną szturmówką pod transparentem wzywającym do budowy socjalizmu wspólnie z Krajem Rad. Oczywiście nie same zdjęcia tworzą historyczny przekaz. Ważniejsze są werbalne relacje i wspomnienia, z upływem czasu bardziej nieliczne, przez co bardziej cenne. Można powiedzieć, że zebrano te materiały ostatnim rzutem na taśmę.

Dziś nowe pokolenia prabucian, tu urodzone i wychowane, mają zupełnie inny stosunek do tego, co prabuckie, nasze, ulubione. Im właśnie dedykujemy tą publikację, by mogły wypełniać „czarne dziury" niewiedzy i niepamięci o miejscu, w którym przyszło im żyć, uczyć się i pracować. Przyjemnej lektury!

Marek Szulc

Historia do roku 1945

CZASY PREHISTORYCZNE

Początków osadnictwa należy upatrywać około 8000-1700 roku p.n.e. Świadczą o tym odkrycia z epoki kamiennej, tj. stanowiska w Gontach, Julianowie czy Stankowie. Umiarkowany klimat połączony z dostępem do licznych rzek, jezior i wielkiej puszczy spowodował nasilenie osadnicze w późniejszym okresie. Wiąże się to z obecnością śladów archeologicznych po licznych kulturach epoki żelaza, tj. pomorskiej i kurhanów zachodniobałtyjskich. Teren omawiany w niniejszej publikacji leżał na ich styku. O tym, jak gęsta była to sieć osadnicza, a tym samym liczba ludności ją zamieszkująca, mogą świadczyć liczne stanowiska archeologiczne rozsiane po całej okolicy. Najważniejszym z nich jest jednak kurhan w Szramowie. Poza nim zarejestrowano liczne pozostałości osadnicze w samych Prabutach i otaczających je miejscowościach. Co jednak interesujące, kolejny okres – wpływów rzymskich odnotowano jedynie w przypadku rozległej osady w okolicach wsi Pachutki.

ŚREDNIOWIECZE

Kolejny rozkwit osadnictwa datuje się dopiero na okres wczesnego średniowiecza – ma ono związek z napływem ludności pruskiej z terenów północnych oraz słowiańskiej z południowych. W nieuniknionym starciu tych ludów zwycięstwo odnieśli prusowie, zakładając na całym terytorium swoje „państwo"[1]. Ziemie pruskie dzieliły się na kilka plemion, które zajmowały znaczny obszar regionu, obejmując dalej na wschód obecne woj. Warmińsko-Mazurskie oraz tereny Obwodu Kaliningradzkiego

1 Należy tu zaznaczyć, iż nie było to państwo w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Chociaż lud ten posługiwał się wspólną mową oraz zwyczajami, posiadał organizację plemienną. Każde z owych plemion prowadziło osobną politykę, a ewentualne zjednoczenia się kilku z nich występowały w doraźnych i rzadkich wyjątkach.

(wraz z fragmentami dzisiejszej Litwy). Poniższa mapa obrazuje jedną z teorii podziału i zasięgu tego ludu[2]. Jak wspomniano, poszczególne plemiona żyły niejako w „oderwaniu" od sąsiadów. O ważnych decyzjach dotyczących spraw, najczęściej militarnych, decydowano więc w umocnionych grodach. Często owe grody budowano w pobliżu cieków wodnych lub jezior, na górze, przesmyku lub półwyspie. Tak naturalnie obronne miejsca dodatkowo jeszcze umacniano, a okoliczna ludność mogła się w nich chronić i z powodzeniem bronić przed najazdami sąsiadów. Jednym z takich miejsc był gród Rezija, na którym obecnie znajdują się Prabuty. W okolicy była jednak już dość rozbudowana sieć osadnicza – warto wspomnieć o dużym grodzisku (co interesujące, wpierw słowiańskim) w Kołodziejach czy pomniejszych osadach, np.: w okolicach Grażymowa, Antonina czy Jakubowa.

Podział plemienny Prus w XIII wieku wg H. Łowmiańskiego

autor: Telewizjamsi, **źródło:** https://pl.wikipedia.org/wiki/Prusowie#/media/File:Mapa_prus.svg [data dostępu – 18.12.2018 r.]

2 Z uwagi na skąpość, fragmentaryczność, niedokładność i stronniczość dostępnych źródeł, zasięg i podział jest tematem sporów.

Warto również dodać, iż na obszarze plemiennym – Pomezanii wyróżnić należy 10 pomniejszych jednostek terytorialnych, zwanych włościami, tj.: „Posluam, Alyem, Lyopiez, Lynguar, Komor, Pobuz, Geria, Rudencz, Prezla i ostatecznie Rezja"[3]. Ludność pruska zajmowała się głównie rolnictwem na polach wydzieranych z wypalanej puszczy, zbieractwem i myśliwstwem. Często wyprawiała się w celach grabieżczych na okoliczne ziemie. Najczęściej były to inne plemiona pruskie, jednakże po czasie wyprawy łupieżcze na teren państwa polskiego – Mazowsze i Ziemię Chełmińską (w kierunku południowym) czy na tereny lewego brzegu Wisły – pomorze gdańskie, przeobraziły się w pełnoprawną wojnę o ziemię. Ratunkiem wobec pruskiej przewagi były dwie opcje – przekonanie Prusów do chrześcijaństwa lub pomoc zewnętrznych sojuszników.

Pierwszego zadania podjął się św. Wojciech w roku 997, jednakże ta wyprawa zakończyła się jego śmiercią, prawdopodobnie w okolicach miejscowości Święty Gaj, położonej niedaleko Prabut (około 36 km). Trudno jednoznacznie orzec czym była ona spowodowana, choć istnieją przypuszczenia, iż podstawą był brak zrozumienia oraz upartość świętego, który otrzymawszy nakaz opuszczenia ziem pruskich dalej zajmował się ewangelizacją[4]. Kolejną misję zakończoną pewnymi sukcesami powzięli w XIII wieku cystersi z Łekna, zaś szczególne zasługi na tym polu odniósł niejaki Chrystian, opat tamtejszego zakonu. Jeśli nawet nie odwiedził samego grodu w obecnych Prabutach, to niewątpliwie przebywał w jego okolicy, skutecznie nawracając metodami pokojowymi okoliczną ludność. Jego zasługi zostały docenione w roku 1216, kiedy otrzymał biskupstwo Prus. Jego spory o władzę z Krzyżakami oraz przejściowe uwięzienie przez gorzej nastawione plemiona pruskie niestety zmarnowano.

3 S. Szczepański, „*Osadnictwo Pruskie w okolicy Prabut we wczesnym średniowieczu*", Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg, nr 1/2011.

4 W grę wchodzi również motyw zemsty – pruski kapłan, który zamordował Wojciecha, wcześniej stracił brata w walce z polakami, a święty przybywający z polskiego terytorium mógł być brany właśnie za naszego rodaka.

ZAKON NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY DOMU NIEMIECKIEGO W JEROZOLIMIE (KRZYŻACY)

Założony został na odbitej z rąk muzułmańskich Ziemii Świętej, początkowo jako zgromadzenie opiekujące się rannymi, chorymi chrześcijanami, głównie z krajów niemieckich. Z czasem przekształcił się w zakon rycerski, który uczestniczył zbrojnie w walkach regionalnych. Po utracie tamtejszych ziem, Wielki Mistrz Zakonu – Hermann von Salza – już uprzednio zdobywający nadania i przywileje w Europie, przeniósł Zakon na Węgry, gdzie teoretycznie miał pomagać w walce i chrystianizacji tamtejszych pogan – koczowniczych Kumanów.

Wizerunek Hermanna von Salzy

autor: K. Hartknoch, **źródło:** Alt- und Neues Preussen Oder Preussischer Historien..., Frankfurt-Lipsk-Królewiec, 1684 r. [w:] https://histmag.org/grafika/articles8/vonsalza/vonsalza2_min_280x465.jpg [data dostępu – 28.12.2018 r.]

Prawdziwym jednak celem Wielkiego Mistrza i pozostałych braci zakonnych było stworzenie własnego państwa. Próby te zakończyły się fiaskiem w roku 1255, kiedy to zostali wygnani z Węgier przez tamtejszego władcę – Andrzeja II, popartego w tej sprawie zaskakująco przez lokalny episkopat[5]. Fakt braku siedziby słynnego Zakonu postanowił wykorzystać Konrad Mazowiecki, który borykał się w bojach z Prusami. Zakon oczywiście przystał na tę propozycję i w 1228 r. pierwsi jego przedstawiciele przybyli na wydzierżawioną im Ziemię Chełmińską (oraz pomniejsze tereny) przy granicy z Prusami. Nieomal tradycyjnie Zakonnicy z werwą rzucili się głównie do walki z najazdami, a w mniejszym stopniu do chrystianizacji, która oczywiście odbywała się w zgoła inny sposób, niż u ww. Chrystiana. Sprawą przede wszystkim zaprzątającą głowy zakonników był fakt umocnienia swej własnej pozycji na otrzymanych terenach. Teoretycznie znajdowali się w sytuacji słabszych i zależnych od Konrada. Nauka wyniesiona z niepowodzenia na Węgrzech nie została jednak zapomniana i przy poparciu papieża oraz cesarza wyszli z niej zwycięsko, otrzymując ww. ziemie na własność; wchłonęli również niewielki zakon Rycerzy Dobrzyńskich. Po pozytywnym rozpatrzeniu tych spraw Zakon zwrócił się w stronę ziem, których nie trzeba było wyrywać w procesach – Prus. Pierwsza wyprawa dowodzona przez Mistrza Krajowego Zakonu – Hermanna von Balka (który do 1945 r. miał swój pomnik w Kwidzynie – patrz pocztówka strona 14) rozpoczęła się zimą 1233/1234 roku.[6] Rezultatem tej wyprawy (zapewne bardziej rozpoznawczej i z pewnością zbrojnej, a w najmniejszym stopniu chrystianizacyjnej) było założenie skromnego zameczku na wyspie pomiędzy Wisłą a Nogatem. Przeniesiony potem na stały ląd razem z patronką Zakonu dały początek swej niemieckiej nazwie Kwidzyna – Marienwerder (Wyspa Maryi).

5 Należy zaznaczyć, iż wszelakie spory z Zakonem były niezwykle ryzykowne, gdyż podlegali oni papieżowi.

6 B. Pawłowski, „*Lokacja Prabut – fakty i mity*" [w:] Zeszty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2001 r.

Pomnik Hermanna von Balka wraz z ujęciem wody, pocztówka sprzed 1945 r., Kwidzyn
autor: nieznany, **źródło:** http://www.marienburg.pl/files/balk_213.jpg
[data dostępu – 28.12.2018 r.]

Po dziś dzień, jak wiadomo droga z Kwidzyna do Prabut nie jest odległa, jednak dopiero w roku 1236 (jak podaje kronikarz Piotr z Dusburga) wyprawa dowodzona przez margrabiego Miśnieńskiego Henryka zawędrowała w okolice Prabut. Jest to pierwsza historyczna wzmianka o tym regionie:

„Petri de Dusburg, Ordinis Teutonici Sacerdotis, Chronicon Prussiae,: in quo Ordinis Teutonici origo, res ejusdem Ordinis Magistris ab An. [no] MCCXXVI. usque ad An. [no] MCCCXXVI, in Prussia gestae exponuntur, cum incerti Auctoris continuatione usque ad Annum MCCCCXXXV. Accesserunt his praeter notas Dusburgensem Privilegia quedam Prussis antiquitus concessa, item Dissertationes XIX. antiquitates prussicas complexa, / auctore et collectore Christophoro Hartknoch [...]”.

Tytuł kroniki z 1679 roku
autor: Piotr z Dusburga, **źródło:** zbiory Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej
http://pbc.gda.pl/dlibra/doccontent?id=7546Z [data dostępu – 28.12.2018 r.]

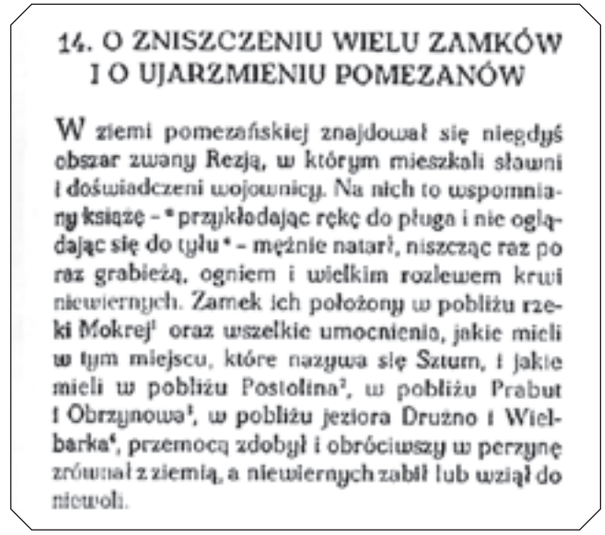

14. O ZNISZCZENIU WIELU ZAMKÓW I O UJARZMIENIU POMEZANÓW

W ziemi pomezańskiej znajdował się niegdyś obszar zwany Rezją, w którym mieszkali sławni i doświadczeni wojownicy. Na nich to wspomniany książę – * przykładając rękę do pługa i nie oglądając się do tyłu * – mężnie natarł, niszcząc raz po raz grabieżą, ogniem i wielkim rozlewem krwi niewiernych. Zamek ich położony w pobliżu rzeki Mokrej[1] oraz wszelkie umocnienia, jakie mieli w tym miejscu, które nazywa się Sztum, i jakie mieli w pobliżu Postolina[2], w pobliżu Prabut i Obrzynowa[3], w pobliżu jeziora Drużno i Wielbarka[4], przemocą zdobył i obróciwszy w perzynę zrównał z ziemią, a niewiernych zabił lub wziął do niewoli.

Fragment polskiego tłumaczenia J. Wenty i S. Wyszomirskiego
autor: Piotr z Dusburga, **źródło:** Kronika Ziemii Pruskiej, Toruń 2011 r.

Byłby jednak w błędzie ktoś, kto tą niewątpliwie zbrojną, a wręcz pacyfikacyjną wyprawę, która ma wszelakie podstawy by nazwać ją rejzą znaną z ksiąg Sienkiewicza, uznał za zakończenie walk i powstanie miasta. Chociaż osadnictwa na dużą skalę w owym czasie trudno było oczekiwać, jak podaje ta sama kronika, wielu przerażonych czy zastraszonych Prusów pod przymusem przyjęło w naszych okolicach chrześcijaństwo. Państwo zakonne podzielono w związku z tym na diecezje, gdzie władzę świecką sprawował biskup. Prabuty wraz z Kwidzynem i okolicami zostały włączone do diecezji pomezańskiej[7].

Nie była to jednak długotrwała konwersja, o czym może świadczyć fakt, iż w reakcji na poczynania Zakonu, wiosną 1242 r. wybuchło na podbitych przez nich terytoriach wielkie powstanie pruskie, które nieomal zakończyło się ich zwycięstwem. Zakon w krytycznym momencie dysponował jedynie najsilniejszymi

7 G. Nawrolska, *„Z dziejów prabuckiego zamku (cz.1)”* [w:] Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg, nr 1/2012 (2).

grodami; pozwoliły one jednak na przybycie posiłków i pokonanie Prusów oraz sprzymierzonego z nimi księcia Świętopełka (księcia pomorskiego) w bitwie pod Dzierzgoniem w 1248 r. Na mocy postanowień pokojowych Prusowie na zajętych przez Zakon terenach zobligowali się do przestrzegania chrześcijaństwa, pomocy zbrojnej lub migracji za rzekę Pasłękę. Ostateczny podbój, przerywany kolejnymi powstaniami, z których II ponownie postawiło Zakon na krawędzi, zakończył się w 1284 r. Walki te jednak toczyły się już z dala od Prabut, gdzie życie na tyle wróciło do normy, że jak podaje Piotr z Dusburga „W tym czasie (tj. 1276 r.) biskup pomezanii – Albert zbudował zamek i miasto Riesenburg”[8]. Oczywistym jest fakt, iż wybudowanie murowanego zamku z miastem otoczonym murem trwało znacznie dłużej. Co ważne jednak, sam zamek pomimo głównych walorów obronnych wybudowano jako rezydencję dla pomezańskich biskupów (kapituła miała swój w Kwidzynie), co odróżnia go na tle wielu innych krzyżackich konstrukcji.

Niestety oryginalny przywilej lokacyjny miasta zaginął, a najstarszy znany pochodzi z 1330 r.[9] Do czasów bitwy pod Grunwaldem miasto rozbudowywało się dzięki korzystnym dla nich prawom osadników, głównie z krajów niemieckich, a także z Czech i Polski. Na wojnę w 1410 r. biskup jako podwładny Wielkiego Mistrza wystawił swą własną chorągiew[10]. Służyli w niej również Prusowie, jako zobligowani do tego poddani. Flaga po klęsce grunwaldzkiej została zdobyta przez polskie rycerstwo. Warto zauważyć, iż herb z niej (orzeł św. Jana Ewangelisty) do dziś jest znakiem powiatu kwidzyńskiego.

8 B. Pawłowski, *„Lokacja Prabut – fakty i mity”* [w:] Zeszty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2001 r.

9 B. Reks, *„Akt nadania praw miejskich dla Prabut”* [w:] Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg nr 1/2011.

10 Dowodził nią niejaki Markward von Reszemburg. Wiadomo o nim tylko to, że nasuwają się niewątpliwe skojarzenia jego „nazwiska” do zniekształconej, niemieckiej nazwy Prabut, tj. Riesenburga.

Chorągiew biskupa pomezańskiego

autor: J. Długosz, S. Durink, **źródło:** Banderia Prutenorum, 1448 r.

[w:] https://sosreb.wordpress.com/2012/07/14/banderia-prutenorum/

[data dostępu – 29.12.2018 r.]

Po porażce Zakonu jego terytorium zaczęły zajmować wojska polsko-litewskie. Nie inaczej było w przypadku Prabut. Biskup jednak (który nie brał udziału w bitwie) rozsądnie zgodził się uznać zwierzchność Władysława Jagiełły i poddał mu zamek wraz

z miastem. Oszczędzono je w ten sposób od zniszczenia, a mieszkańców od śmierci i rabunku. O wiele mniej szczęścia przyniosła Prabutom wojna głodowa w 1414 r. Wtedy to po raz pierwszy w swej historii miasto i zamek zostały wpierw ograbione, a następnie spalone – co naturalne – przez wojska polskie. Na domiar złego, przez okolicę w latach 1416-17 przetoczyła się zaraza, zaś kolejna wojna z Polską w roku 1422 ponownie zrujnowała ten teren. Następną wojnę z Polską rozpoczęła działalność Zakonu, który próbując odbudować swą potęgę, wyzyskiwał niemiłosiernie swych poddanych, co zaowocowało powstaniem 14 marca 1440 r. w Kwidzynie – tzw. Związku Pruskiego. Jego członkowie poza aspektem ekonomiczym, wpatrzeni w kraje ościenne, żądali zwiększenia swych praw i przywilejów. Pragnący zachować jednak jak najwięcej władzy Zakon spowodował, iż członkowie Związku zwrócili się z pomocą do Króla Polskiego – Kazimierza IV Jagiellończyka, na co ten z ochotą przystał. Rozpętana wojna powodowała dość liczne zdrady i zmienne sojusze w samych Prusach. Biskup pomezański – Kaspar Linke – wpierw był nastawiony do działań Związku przyjaźnie, zaś po oficjalnym przystąpieniu do niego miasta 21 lutego 1454 r.[11] wypędził z niego radnych, którzy za nim głosowali. Po Polskiej porażce w bitwie pod Chojnicami (18.09.1454 r.) przeszedł na stronę Zakonu.

REFORMACJA

Po zawarciu pokoju Prabuty pozostały (wbrew oczekiwaniu członków Związku) na terenie Zakonu. Miasto jednak dzięki okresowi pokoju, a szczególnie rządom w 1501-21 biskupa Hioba von Dobenecka, przeżywało dotychczas swój najlepszy okres. Biskup bowiem brał czynny i owocny udział, zarówno w rozbudowie samego miasta, jak i jego potencjału rzemieślniczo-handlowego. Warto również zauważyć, iż za jego sprawą, jako człowieka o szerokich horyzontach myślowych, Prabuty stały się

11 B. Pawłowski, „*Lokacja Prabut – fakty i mity*" [w:] Zeszty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2001 r.

jednym z większych ośrodków kulturalnych w całym Państwie Zakonnym. Mądrość biskupa uwypukliła ostatnia już wojna Zakonu z Polską (1519-21 r.). Jako poddany zobligowany był walczyć z polskim najazdem, jednak rozsądnie (zarówno dla siebie, mieszkańców i miasta), gdy tylko polskie wojska zbliżały się pod mury – kapitulował. Należy zaznaczyć, iż właśnie na prabuckim zamku toczyła się część negocjacji pokojowych w tej wojnie. Wydarzenia przyćmiła nowa wiara, szerząca się od 1517 r. w Niemczech – Luteranizm. Przekonał się do niej zarówno kolejny pomezański biskup – Erhard von Queiss, jak i Wielki Mistrz – Albrecht von Hohenzolern, który w 1525 r. zrzucił habit i złożył hołd polskiemu królowi. Wydarzenia te likwidowały diecezję pomezańską, a na jej miejscu powstały trzy starostwa – w Kwidzynie, Prabutach i Przezmarku. Okres pokojowy w istnieniu miasta sprzyjał niewątpliwie jego rozwojowi, przerywany jednakże częstymi epidemiami (1564 i 1568 r.).

WIEK XVII I XVIII

Wiek XVII to bardzo trudny okres w dziejach miasta i jego okolicy. Był on spowodowany częstymi epidemiami (1601 r., 1602 r., 1657 r. i 1661 r.) oraz wojnami Rzeczpospolitej ze Szwecją, w których pruski władca lawirował sojuszami. Chociaż osiągnął niezależność, to cały kraj został mocno wyniszczony przemarszami wojsk i związanymi z tym faktem grabieżami, mordowaniem i gwałtami. Godny uwagi jest fakt stoczenia dość zapomnianej, a zdecydowanie zwycięskiej dla strony Polskiej bitwy z wojskami szwedzkimi pod nieodległą Trzcianą w 1621 r. W jej wyniku Szwedzi utracili niemalże całą swoją jazdę, a o mały włos do niewoli dostałby się ich król – słynny Gustaw Adolf. Drugim znaczącym wydarzeniem tej wojny w odniesieniu do miasta (poza nałożenim przez Szwedów kontrybucji w 1627 r.) był fakt, iż w prabuckim zamku odbyła się część polsko-szwedzkich negocjacji. Wedle jednej z teorii wydarzenie, w którym brał udział ówczesny biskub krakowski – Jakub Zadzik, zostało uwiecznione (dość fantazyjnie i okazale) w Kielcach, w Pałacu Biskupów Krakowskich.

Fragment stropu ramowego z przedstawieniem negocjacji polsko-szwedzkich, Pałac Biskupów Krakowskich w Kielcach, fot.: A. Kowalska

Na domiar złego, właśnie w XVII wieku, a konkretnie w 1688 r. miasto wraz z zamkiem i bezcennymi archiwami strawił pożar. W związku z zapotrzebowniem na kamień i cegły do odbudowy u pogorzelców, a także ogólny brak finansów – pozostałości zamku coraz bardziej podupadały. Budowla nie przetrwała próby czasu. W celu zaprezentowania jej wyglądu niezbędne jest odwołanie się do rycin, na których uwieczniono nieistniejącą już zabudowę.

Panorama Prabut od strony południowej z 1628 r.
Na pierwszym planie widoczna szubienica, po lewej zamek z gdaniskiem
ilustracja: A. Booth, **autor:** M. Haftka, **źródło:** Zamki krzyżackie w Polsce – szkice z dziejów [w:] http://www.zamki.pl/?idzamku=prabuty [data dostępu – 30.12.2018 r.]

Widok Prabut od strony północnej z 1684 roku[12]**.**
Z prawej strony widoczny zamek, pośrodku konkatedra, za nią cebulasta wieżyczka ratusza, a nieco dalej, na lewo – prawdopodobnie wieża kościółka polskiego z flagą
autor: K. Hartknoch, **źródło:** http://www.zamki.pl/?idzamku=prabuty [data dostępu – 29.12.2018 r.]

W kolejnym stuleciu również odnotowano liczne problemy. Wpierw pojawiła się dżuma zawleczona prawdopodobnie przez wojska rosyjskie, przy okazji rujnujące okolicę. Choroba zabiła blisko połowę mieszkańców miasta. W 1722 r. kolejny pożar obrócił niemal całe miasto i pozostałości zamku w gruzy i popiół. Jako iż sytuacja miasta od czasów średniowiecznych była właściwie tragiczna (jeżeli chodzi o sprawy zaopatrzenia w wodę, z powodu położenia na wzniesieniu), władzom miasta udało sie uzyskać fundusze na budowę sieci wodociągowej. Jej pozostałości (korytarze) można

12 Jakkolwiek ilustracja jest niezwykle cenna, jako jedna z dwóch ukazujących miasto, a w szczególności zamek, perspektywa każe wątpić w jej dokładność. Kaczki na stawie z pierwszego planu są bowiem wielkości koni w widocznym powozie zmierzającym do miasta. Warto również dodać, że jest to właściwie kopia najstarszego widoku miasta z 1595 r., autorstwa K. Hennenberga. Ciekawostkę stanowi fakt, iż w oryginale nie ma ani kaczek, ani powozu.

zwiedzać po dzień dzisiejszy. Tego samego roku Prabuty zostały włączone do nowoutworzonej Rejencji Kwidzyńskiej. Trudno orzec, czy nowa sieć wodociągowa zdołała ograniczyć skutki kolejnego, wielkiego pożaru z 1787 roku, kiedy to ostatecznie przestano odbudowywać zamkowe pozostałości, a jedynymi ich ocalałymi szczątkami były mocno już przebudowane domy mieszkalne i pomieszczenia gospodarcze[13]. Wiek XVIII rozpoczęły znów przemarsze wojskowe i związane z tym „tradycyjne" zniszczenia, grabieże i gwałty. Trzykrotnie przechodziła i kwaterowała w mieście i okolicy (m.in. Kamieniec) cesarska armia francuzka pod Napoleonem, wpierw w 1807 r. sunąca na bitwy z wojskami rosyjsko-pruskimi, a następnie podczas marszu Wielkiej Armii w 1812 r. na Moskwę i spod niej już rozbita. Dla miasta wiązało się to z licznymi niedogodnościami, z których największe stanowiły nakładane na ludność rekwizycje, kontrybucje czy ulokowanie lazaretu dla rannych i chorych w konkatedrze. Była to jednak na szczęście ostatnia wojna, która przez kolejne 133 lata nie nawiedzała już tej ziemii. Męscy jej mieszkańcy służyli jednak naturalnie w armii pruskiej, walcząc przeciw, z, oraz po raz kolejny przeciw Napoleonowi.

Panorama miasta od strony zachodniej z roku 1820. Duży, dwupiętrowy, biały budynek, nieco na lewo od murów, to ostatnie stojące pozostałości zamku[14]
autor: L. Schwalm, **źródło:** Geschichte der Stadt Riesenburg, Riesenburg 1896 r. (brak nr strony)

13 Zniszczone w 1945 r.

14 S. Kawska-Tatara, „*Panoramy i widoki miasta Prabuty*" [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2011 r.

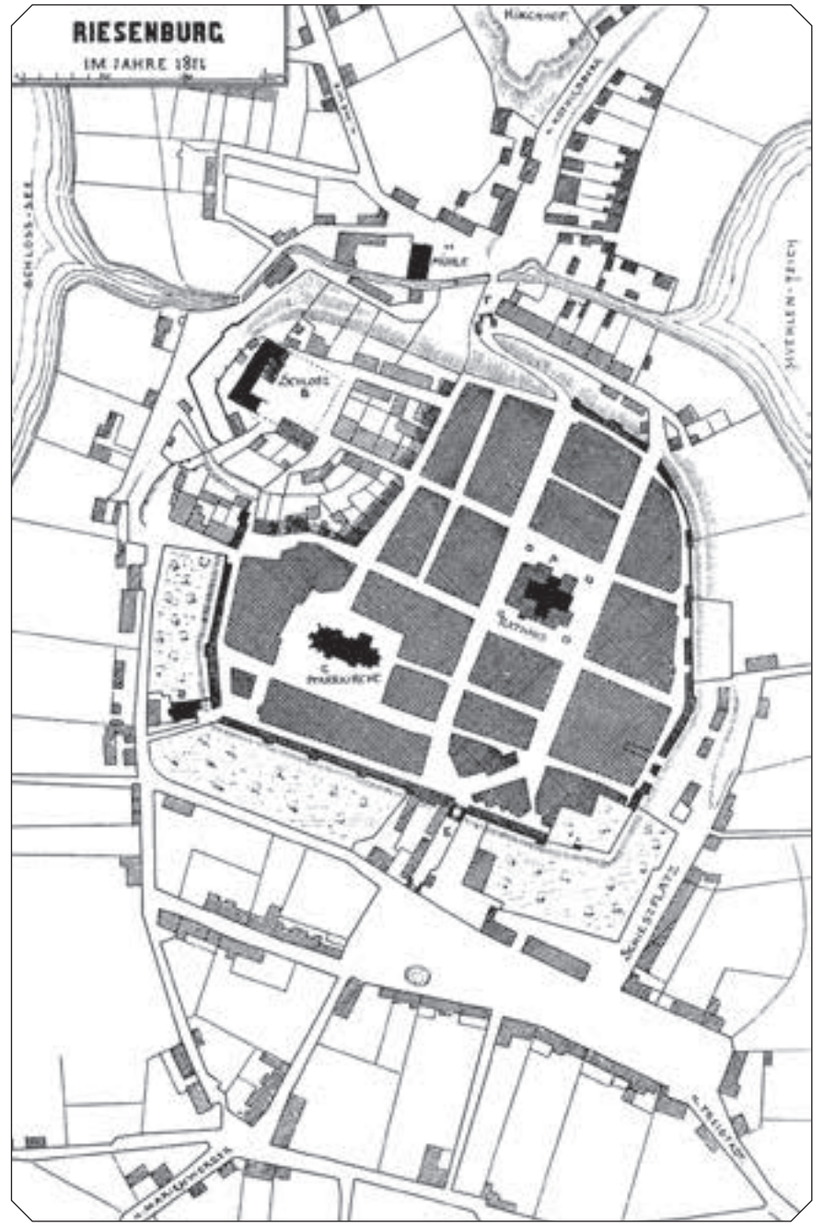

Plan Prabut z 1811 roku. Kolorem ciemniejszym zaznaczono od północy: młyn, pozostałości zamku, ratusz, konkatedrę i kościółek polski (poza murami miejskimi)
autor: nieznany, **źródło:** Die Bau- und Kunstdenkmäler des Kreises Riesenburg, 1906 r. [w:] http://www.zamki.pl/?idzamku=prabuty [data dostępu – 29.12.2018 r.]

Kolejne lata, pomimo wysiłków lokalnych władz, nie podnosiły prestiżu miasta i zamożności mieszkańców w sposób nagły. Polepszone drogi, uruchomienie połączeń kolejowych, budowa poczty czy też największego przedsiębiorstwa w mieście – cukrowni – w sposób niewielki przyspieszyły ten proces. Chociaż miasto należało do najbardziej uprzemysłowionych w powiecie suskim (włącznie z Iławą), nie stało się siedzibą wielkiego przemysłu, który przy swych licznych niedogodnościach stwarzał jednak szanse rozwoju dla miasta. Brak industrializacji starano się zastąpić rozwinięciem lokalnych przedsiębiorstw i inicjatyw. Czas temu sprzyjał, gdyż w tej części Prus panował pokój. Negatywnymi skutkami wojny (np. z Francją w 1870-71 r.) była śmierć poborowych z miasta. Uczczono ich pomnikiem na placyku (Wrangelplatz[15]), pomiędzy Bramą Kwidzyńską a Rynkiem.

Pomnik poległych w wojnie prusko-francuskiej. Miejsce licznych uroczystości patriotycznych. W tle konkatedra i nieistniejąca obecnie zabudowa mieszkalno-usługowa, fot.: arch. prywatne I. Barbarewicz

15 Nazwanym tak od niemieckiego feldmarszałka Friedricha Heinricha Ernsta Grafa von Wrangel, który przed awansem na najwyższe stanowisko wojskowe dowodził żołnierzami z prabuckiego garnizonu.

Jednak poza tym wydarzeniem (i okazjonalnymi, odległymi wojnami kolonialnymi) życie w mieście i dobrobyt jego mieszkańców (zasilony przez łupy wojenne) powiększał się. Kres tej idylli nastąpił w 1914 roku, kiedy to wielu prabucian ochoczo wstąpiło do armii, walczyć za „Boga, Cesarza i Ojczyznę". Samo zaś miasto ponownie wyróżniło się na kartach historii. Tutaj bowiem kwaterował przez pewien czas sztab niemieckiej armii gen. Paula von Hindemburga oraz gen. Ericha Ludendorffa, dowodzącymi wojskami walczącymi z Rosjanami w tzw. Bitwie pod Tannenbergiem, która zakończyła się wielkim, niemieckim zwycięstwem i zniweczyła zagrożenie dla całych Prus. Jednak dalszy niepomyślny przebieg działań wojennych coraz bardziej uderzał w cywilnych mieszkańców miasta. Większość przemysłu została przestawiona na tory wojenne. Poniesiona klęska w całej wojnie i obarczenia gospodarcze za nią Niemiec, spowodowały powszechny kryzys w całym państwie. Postanowienia Traktatu Wersalskiego nakładały również obowiązek zorganizowana plebiscytu między innymi na terenie Prus Wschodnich, mającego głosami mieszkańców zadecydować o przynależności tego terenu do Niemiec lub Polski. Zakończył się on polską klęską, pomimo wytężonej i odważnej pracy działaczy polonijnych – zarówno lokalnych, jak i krajowych czy wręcz światowych – chociażby Stefana Żeromskiego, który odwiedził również Prabuty: *„Zwiedziliśmy Prabuty i Susz, miasta zniemczone do gruntu, gdzie procent świadomych Polaków jest nieznaczny, aczkolwiek, jak gdzieindziej, na szyldach widnieją liczne polskie nazwiska. Parafia katolicka w Prabutach (Riesenburg) na kilka tysięcy ogółu wyznawców liczy mały stosunkowo odsetek Polaków, jednak nabożeństwo odprawia się po polsku w każdą drugą niedzielę. Świadczy to o zjawisku, które się już w Kwidzynie ujawniło na wiecu. Ludzie ubodzy, zahukani, podają się za Niemców z trwogi i konieczności życiowej, przyduszeni żelazną pięścią panów kraju, albo pracodawców, opartych o państwo. Lecz w głębi duszy, w rozmowie z Bogiem są jeszcze sobą, to znaczy Polakami. Gdyby kto w mieście Suszu poprzestał na obejrzeniu zewnętrznem rynku i ulic, byłby przekonany, że miasto jest czysto polskie, tyle w niem nazwisk*

polskich. Tymczasem jest ono, jeszcze bardziej niż Prabuty, podniemczone"[16]. Brak od wielu lat związków z Polską, zła jej ówczesna sytuacja (bolszewicy stali praktycznie u wrót Warszawy), presja społeczno-ekonomiczna, zastraszanie przez lokalne, nacjonalistyczne, niemieckie bojówki, czy o wiele większa sama propaganda – były jednymi z wielu czynników, które przesądziły o polskiej przegranej. Do Polski z całego obszaru plebiscytowego włączono jedynie niewielkie skrawki, położone w okolicy pobliskiego Janowa.

Wielki kryzys szczególnie mocno dotknął powojenne Niemcy i odcisnął swoje piętno również w opisywanym regionie. W przeciwieństwie do dużych ośrodków miejskich z wielkim przemysłem był jednak mocno ograniczony. Zdecydowana większość mieszkańców pracowała bowiem w rolnictwie lub niewielkich lokalnych firmach. Bezrobocie po plajcie tych ostatnich również występowało, czemu starały się zaradzić lokalne władze. W Prabutach przykładowo zarządzono projekt osuszania jeziora Gintowka (Gunthofka), znajdującego się za gospodarstwem p. Przechadzkich, po prawej stronie przy drodze w kierunku miejscowości Gonty/Sypanica, za wiaduktem kolejowym[17]. Innymi inwestycjami były budowy lub polepszenie stanu dróg oraz budowa kanalizacji[18].

Stopniowo kryzys przemijał i mieszkańcy mogli wreszcie odetchnąć. W ówczesnych Prabutach było wiele przybytków, w których można było miło spędzić czas. Przez pewien okres funkcjonowało 6 hoteli: Dworcowy – zlokalizowany w budynku stacji kolejowej, „Blaue Maus" (Niebieska/Pijana Mysz) – w miejscu dawnej restauracji „Jarzębina" przy ulicy Daszyńskiego, w obiekcie

16 S. Żeromski, *„Inter arma 1930"*, https://pl.wikisource.org/wiki/Inter_arma_(%C5%BBeromski) [data dostępu – 28.12.2018 r.].

17 P. Pilewski, *„Życie społeczno-kulturalne w dwudziestoleciu międzywojennym"* [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2011 r.

18 Tamże.

mieszczącym dawny sklep rybny na ul. Orzeszkowej, przy cmentarzu na ul. Daszyńskiego, „Deutsches Haus" (Dom niemiecki) – w nieistniejącym budynku pomiędzy pocztą a bankiem oraz „Drei Kronen" (Trzy korony) – przy rynku, budynek również nie istnieje. Do dyspozycji były też cukiernie, kino (obok hotelu „Deutsches Haus") oraz rozbudowany kompleks wypoczynkowo-rekreacyjny w nieodległym i dobrze skomunikowanym lesie kwidzyńskim – z pensjonatem, restauracją i torem wyścigów konnych – słynnymi na całe Prusy Wschodnie.

Przegrana wojna odcisnęła swoje złowrogie oblicze na mieszkańcach Niemiec. W całym kraju powstawały rozmaite organizacje militarystyczne lub całe ruchy polityczne, obiecujące świetlaną przyszłość i „rewanż za Wersal". Początkowo niewielka grupa spotykająca się w piwiarnii w Monachium wkrótce wyrosła na jedną z największych partii w całej Rebublice Weimarskiej – NSDAP. Swoich zwolenników znalazła również i w naszej okolicy. Najgorszym tego przykładem była (przeprowadzona już po objęciu przez nią władzy) tzw. Noc Kryształowa – pogrom i dewastacja mienia obywateli wyznania mojżeszowego w całych Niemczech. Wtedy to też miejscowe prabuckie bojówki tej partii spaliły synagogę, która znajdowała się w pobliżu skrzyżowania obecnych ulic: Kopernika i Miłej.

Wybuch wojny przepowiadały gromadzące się w okolicy miasta oddziały Wehrmachtu, które szykowały się do ataku na nieodległą granicę Polski. Poza tym faktem i tradycyjnym poborem mężczyzn, miasto jednak nie odczuło jej wybuchu. Niemieckie zwycięstwa skutkowały (poza śmiercią poborowych z okolicy) głównie napływem więźniów różnych narodowości. Pierwszymi byli przebywający w tymczasowym obozie jenieckim m.in. obrońcy Westerplatte z mjr Henrykiem Sucharskim na czele, których przetrzymywano na terenie koszar. Warto też wspomnieć o istnieniu w Prabutach, na terenie obecnego Sanatorium, obozu dla polskiej ludności cywilnej (upamiętnionym przez Stowarzyszenie „Prabuty – Riesenburg"

pomnikiem). Po jego likwidacji i wywiezieniu więźniów na terenie Sanatorium powstał lazaret dla rannych, niemieckich żołnierzy. Kolejne lata to znów zwycięskie dla Wehrmachtu kampanie. W mieście z łupów powiększał się dobrobyt. Na miejsce przybywało coraz więcej jeńców, których przydzielano do pracy w okolicznych przedsiębiorstwach (np. w cukrowni) i rolnictwie – wymienić tu można Francuzów i Anglików. Sytuacja i nastroje mieszkańców zaczęły się stopniowo pogarszać dopiero po klęskach Wehrmachtu. Samo miasto aż do 1945 r. omijały jakiekolwiek działania zbrojne[19].

13 stycznia 1945 r. do ofensywy na Prusy Wschodnie ruszyła Armia Czerwona. Front został błyskawicznie przełamany i czołgi runęły w stronę wybrzeża Bałtyku, starając się odcinać niemieckie jednostki. Chaos i szok spowodowany błyskawicznym pochodem Rosjan całkowicie zaskoczył lokalne władze, które nie wydawały albo wydawały spóźnione pozwolenia na ewakuację ludności cywilnej. Wkrótce większość mieszkańców (niekiedy razem z jeńcami) ruszyła w drogę pośród śnieżnej zawieruchy i ataków radzieckiego lotnictwa, ku portom nadbałtyckim. Warto rówież zaznaczyć, iż podczas tej operacji przez pewien czas w mieście po raz kolejny stacjonował sztab niemieckiej armii, tym razem 4. Armii gen. Friedricha Hoßbacha. Samo jednak miasto nie było bronione i 23 lub w nocy z 23 na 24 stycznia 1945 roku Prabuty zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Większe walki toczyły się w okolicy Kwidzyna (głównie ze względu na mosty przez Wisłę), jednak i on, niebroniony został zajęty w godzinach popołudniowych 29 stycznia.

19 Najbliższymi można określić potyczkę sił niemieckich z radzieckimi spadachroniażami w pobliżu Kamieńca w sierpniu 1944 r., zakończoną śmiercią Rosjan.

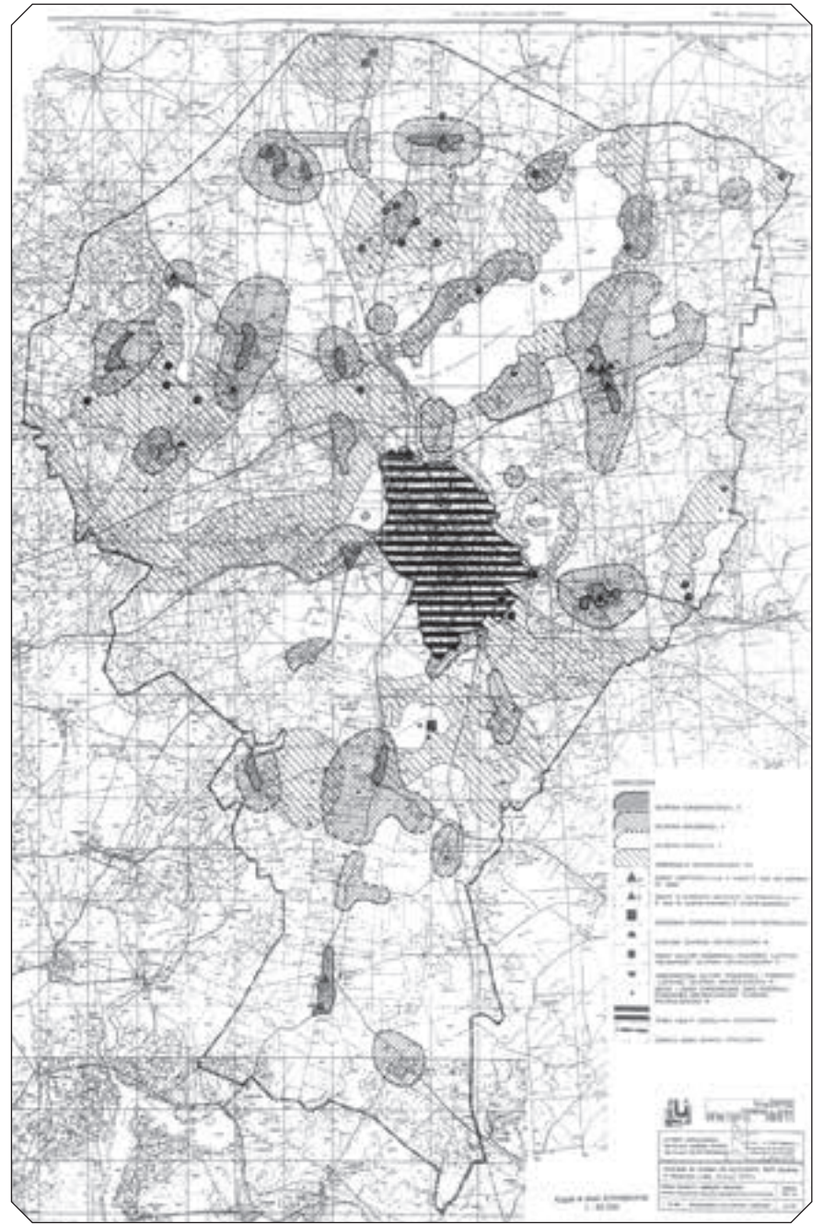

Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta i gminy Prabuty, czarnymi punktami oznaczono stanowiska archeologiczne

źródło: http://bip.prabuty.pl/art,450,studium-uwarunkowan-i-kierunkow-zagospodarowania-przestrzennego-miasta-i-gminy-prabuty [data dostępu – 28.12.2018 r.]

Sytuacja „małej ojczyzny” w latach 1945-1956

HISTORIA GMIN: KWIDZYN, GARDEJA, SADLINKI I RYJEWO

Radziecka ofensywa ze stycznia 1945 r. miała w ww. gminach interesujący i wzmożony przebieg. Wojska radzieckie, blokowane przez ogłoszony miastem – twierdzą Grudziądz i zaciekle broniony przez Niemców, zaatakowały od strony Prabut. Gdy atak ten nie powiódł się, postanowiono dokonać obejścia pozycji niemieckich od strony Sztumu, który zdobyto 25 stycznia. Sam Kwidzyn miał być chroniony ze względów prestiżowych oraz wojskowych – w jego pobliżu znajdowały się mosty przez Wisłę (kolejowy pod Grabówkiem, otworzony pod koniec 1944 r. oraz lodowy, który stanowił pośpieszne i doraźne rozwiązanie, wybudowany już w czasie walk).

Napierające od strony Sztumu wojska rosyjskie odcinały od Malborka również Kwidzyn i pozostałe, jeszcze zajęte przez Niemców miejscowości. Ofensywę mniejszymi siłami prowadzono również drogą Iława-Kisielice[20]-Jaromierz-Wandowo-Bądki, jednak jak wynika z relacji już powojennych świadków[21], działały na tej trasie oddziały niemieckie, opóźniające szybki postęp. Większe sukcesy osiągnięto wspomnianym atakiem od strony Sztumu. Obejście pozycji zakończyło się dotarciem żołnierzy radzieckich w okolice wsi Tychnowy[22]. Taki rozwój sytuacji w połączeniu z uchwyceniem przyczółka po drugiej stronie Wisły pod Gniewem, wywołały natychmiastowe

20 W pobliżu tej miejscowości oraz w okolicach Gardei po dziś dzień można zobaczyć relikty schronów bojowych, wybudowanych w lecie 1939 r. nad niemiecko-polską granicą. Zarówno w 1939 r. jak i w 1945 r. nie zostały one jednak wykorzystane bojowo [w:] http://www.fortyfikacje.net/pisz/fort/garde001.htm [data dostępu – 09.05.2019 r.].

21 http://www.zs.gardeja.ckj.edu.pl/wmgg/?p1=24&p2=43&p3=4&mg=1&m=p3 [data dostępu – 06.05.2019 r.].

22 H. Jarmułowicz [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 4, Kwdzyn 2001 r., s. 50.

Pocztówka przedstawiająca most na Wiśle, pomiędzy Grabówkiem a Opaleniem. Został on rozebrany w latach 1928-29, a jego fragmenty wykorzystano przy budowie mostu w Toruniu oraz Koninie. Widoczne obecnie filary są najprawdopodobniej reliktem obiektu metalowo-drewnianego z czasów II Wojny Światowej[23]

autor: nieznany, **źródło:** http://www.kwidzynopedia.pl/index.php?title=Poczt%C3%B3wki_powiatu_kwidzy%C5%84skiego# [data dostępu – 09.05.2019 r.]

kontrataki sił niemieckich, zarówno od strony Kwidzyna, Baldramu, Podzamcza i Malborka. Strona radziecka poniosła bardzo liczne straty, jednak utrzymała swoje pozycje. Należy dodać, iż okoliczne miejscowości zostały wówczas mocno zniszczone. Mocno ucierpiał wówczas m.in. kościół w Ryjewie. Ostatecznie, wyczerpane oddziały niemieckie wycofały się poza Wisłę, zaś sam Kwidzyn oraz pozostałe okoliczne miejscowości (Gardeja, Sadlinki i inne) zajęto

23 Wedle informacji zawartych na rzetelnej stronie – http://www.kaczorek.easyisp.pl/pisz/fort/opale001.htm, „wycofując się w 1945 r. (Niemcy) zniszczyli kompletnie bliski ukończenia most stalowy i częściowo most drewniany. Prowizorycznie naprawiła most drewniany Armia Czerwona. Funkcjonował on do zimy 1945 roku, kiedy runął pod naporem kry i wody. 1 maja 1946 r. rozpoczęto odbudowę mostu. Przebudowano dwa filary, wprowadzono 6 nowych, otwory przekryto belkami stalowymi. Na moście ułożono dylinę, co umożliwiało prowadzenie także ruchu kołowego. 22 lipca 1946 r. przez most przejechał pierwszy pociąg z Warszawy do Gdyni. Niestety połączenie nie służyło długo, jako że w marcu 1947 r. most rozebrano w obawie przed zniesieniem przez lody" [data dostępu – 09.05.2019 r.].

właściwie bez większych walk. Nie uchroniło ich to jednak przed poważnymi stratami, spowodowanymi działaniami czerwonoarmistów, radujących się ze zwycięstwa. Najbardziej ucierpiała, niemal doszczętnie zniszczona kwidzyńska starówka oraz Gardeja. Jej przypadek jest dość wyjątkowy – o ile swoje starówki straciły nieomal wszystkie miasta i miasteczka w Prusach Wschodnich, o tyle Gardeja ucierpiała tak mocno, iż zawieszono jej prawa miejskie (nadane w 1334 r.).

Podobnie jak w przypadku Prus Wschodnich, historia tych terenów rozpoczęła się od haniebnych praktyk – masowych rabunków i powszechnych gwałtów. Początkowo było to indywidualne, aczkolwiek powszechne zachowanie żołnierzy. Jednak wkrótce do demontowania wszystkiego, co uznawano za cenne, ruszyły specjalne oddziały Armii Czerwonej. Kwidzyn dodatkowo poniósł straty wskutek faktu, iż jako duża miejscowość zajęta bez walk, został przekształcony w miasto-szpital. Ranni, ale już chodzący żołnierze radzieccy, a także wszelkiego rodzaju męty, dezerterzy i maruderzy, szybko pojawili się w okolicach. Problem z tą całą zbieraniną osób miała jeszcze szczątkowa polska administracja[24], w kilka miesięcy po przejściu frontu, a nawet po zakończeniu wojny. Zdarzały się przypadki morderstw[25], a rabunki, nie tylko Niemców, były nieomal na porządku dziennym. Bardzo szybko unaocznił się dotkliwy rabunek zorganizowany. Szczególnie uciążliwe okazało się zdemontowanie i wywiezienie infrastruktury kolejowej na odcinku Kwidzyn-Grudziądz i Kwidzyn-Kisielice. Tam, gdzie tory i inne urządzenia oraz dworce nie zostały ukradzione, dokonano bezmyślnych zniszczeń. Analogicznie do okolic Prabut, wojska radzieckie zajmowały również liczne gospodarstwa i majątki. Z nich także wywożono produkty rolne, bydło i maszyny, pozosta-

24 Podstawową „walutą" we wszelkich transakcjach, szczególnie z Sowietami, okazał się bimber, którego oficjalna produkcja odbywała się za zgodą pełnomocnika rządu RP na Obwód Kwidzyn i w jego siedzibie. Produkcją zajmowali się funkcjonariusze MO. [w:] Archiwum Państwowe w Gdańsku (dalej AP Gdańsk), 2602/2, s. 297.

25 K. Mikulski, J. Liguz, „*Kwidzyn. Dzieje Miasta*", Kwidzyńskie Centrum Kultury, 2004 r., t. 2, s. 27.

wiając je w stanie daleko idącej dewastacji (duża ich część znajdowała się w okolicach Tychnowych, Marezy oraz Ryjewa). Pomimo stosownych umów z rządem polskim, Sowieci pozostawili sobie szereg gospodarstw rolnych oraz niekiedy bardzo dużych majątków[26] (200-790 ha, w sumie ponad 7000 ha, m.in. w okolicach Gardei, Górek i Rakowca). Ostatecznie majątki zdano dopiero na jesieni 1946 r[27]. Jeden z ostatnich oddziałów „zasłynął" (niejako na odchodnym) napadem na transport 20 litrów wódki, przewożonej do jednej z kwidzyńskich restauracji[28].

Tworzenie polskiej administracji rodziło się w dużych bólach. Początkowo zależała od „widzimisię" sowieckich komendantów miast. Cierpiała na brak odpowiedniego personelu oraz borykała się z mnogością różnorodnych problemów. Interesującą kwestię stanowiła przynależność administracyjna powiatu. Początkowo włączono go do Okręgu Mazurskiego (podobnie jak powiat suski), dopiero później został przyporządkowany do woj. gdańskiego[29]. Toczono ciekawy spór z sąsiednim powiatem sztumskim o przynależność gminy Ryjewo, którą „sztumiacy" chcieli włączyć do swojego powiatu (dokonało się to w roku 1956). Ważnym wydarzeniem okazało się uruchomienie połączenia kolejowego pomiędzy Marezą a Górczem, 28 sierpnia 1945 r. (pociąg jechał 45 minut)[30]. Z przygodami funkcjonowała również poczta – pierwszy przewóz przesyłek rowerem na trasie Kwidzyn-Grudziądz zakończył się kradzieżą tegoż środka transportu pod Gardeją, przez czerwonoarmistów[31]. W późniejszym czasie korzystano już z połączeń kolejowych oraz przez krótki czas z lotniska w Marezie.

26 Tamże, s. 22.

27 Tamże, s. 36.

28 Tamże, s. 38.

29 Tamże, s. 43.

30 Tamże, s. 51.

31 Tamże, s. 59.

Życie polityczne, początkowo dość zróżnicowane (ale i tak lewicowo-ludowe), zaczęło być dominowane przez rządową Polską Partię Robotniczą – poza Kwidzynem, najsilniejsze komórki powstały w Sadlinkach i Rakowcu[32]. W krótkim czasie, dzięki poparciu urzędów publicznych (w tym Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego) zdominowała ona politykę w powiecie. Funkcjonariusze PUBP zapisali swą niechlubną kartę, walcząc z organizacjami niepodległościowymi oraz prześladując ludność autochtoniczną[33], która wielokrotnie odznaczyła się pozytywnie w historii walki o polskość i jej prawa w okresie przed 1939 r. oraz w czasie wojny. Rozwój edukacji również był niezwykle ciężki. Najbardziej doskwierał brak wykształconego personelu – ofiar będących na celowniku obu okupantów. Dodatkowo problem stanowił brak odpowiednich obiektów – poniemieckie budynki szkolne zostały całkowicie zniszczone albo zdewastowane i wymagały szybkich remontów, na które równie często brakowało środków. Należy jednak przyznać, iż „pęd" do wiedzy i próby przezwyciężenia trudności były duże. Przykładowo, w zniszczonej Gardei szkołę podstawową otworzono już 4 września 1945 r[34].

Zdecydowana większość ludności zamieszkującej opisywany region trudniła się rolnictwem[35], tak samo jak ich przedwojenni odpowiednicy. Pomimo zniszczeń, praca nad rolnictwem i rozwijające się prywatne przedsiębiorstwa stopniowo przynosiły rezultaty. Ze względów polityczno-ideologicznych, indywidualna działalność została jednak zahamowana. W przypadku Kwidzyna widać wyraźnie, jakie skutki miała tzw. „bitwa o handel". Oficjalnymi powodami powszechnego zamykania prywatnych przedsię-

32 Tamże, s. 60.

33 Wedle stanu na 31 stycznia 1949 r. liczyła ona w powiecie 1743 osoby (na 33 993); Tamże, s. 99.

34 Publikacja zbiorowa, „*Kwidzyn. Z dziejów miasta i okolic*", Wydawnictwo Pojezierze, 1982 r., s. 233.

35 „Problem" zbyt rolniczego powiatu nadal był istotny w roku 1948 – wedle informacji o powiecie, zawartych w opracowaniu miejscowego PPR – APG, 2602/1, s. 76. Raport ten zawiera również dane, które warto przytoczyć: powierzchnia powiatu 57 000 ha (3400 ha gruntów ornych), liczba gmin – 2, gromad – 64, ludność – 32 000 (w tym sam Kwidzyn – 12 800).

biorstw, warsztatów, sklepów, itp. był np. „brak elementarnych umiejętności fachowych przez (je) prowadzących”[36] lub fakt, iż wedle władz, część sklepów prowadziły „osoby spekulacyjne”[37]. Należy zaznaczyć, że proponowane ceny stały się jedynymi opłacalnymi, a więc rynkowymi. Wymuszała je zdrowa, a nie planowa i odrealniona gospodarka państwowa. Walkę podjęto również wobec osób „na stanowiskach”, które zatrudniały służbę albo pomoc domową. Praktyki o rodowodzie „sanacyjnym”, naturalnie zwalczano za pomocą sił państwowych, a szczególnie przez członków i aktyw PPR[38]. Wskazać tu należy przykład zarządcy majątku w Górkach, który zatrudniał pomoc domową (gwoli ścisłości, wedle dokumentu, wynagrodzenie owej pani miało pochodzić z państwowych pieniędzy)[39]. W przypadku rolnictwa zmieniło się to po wprowadzeniu przymusowej kolektywizacji. Od początku ta forma pracy nie cieszyła się popularnością. Niewątpliwie duża część rolników pamiętała związane z nią doświadczenia, po zajęciu wschodnich terenów Polski przez ZSRR w 1939 r. Władze dążąc do realizacji poleceń z Moskwy, wszelakimi metodami starały się nakłonić rolników do przystąpienia do różnorakich spółdzielni. Zachętą stała się z pewnością obietnica zwiększonej mechanizacji członków tych zrzeszeń. Zajmowały się tym Państwowe Ośrodki Maszynowe.[40] Opornych karano wysokimi dostawami obowiązkowymi (nie zważając na fakt, iż podobne kontyngenty nakładali w czasie wojny Niemcy). Przymusowe transporty zwiększano z każdym nowym rokiem, nic więc dziwnego, że rolnicy wielokrotnie mieli problem z ich dostarczeniem. Przykładowo w 1950 r. wykonano 82% dostaw na zboże w powiecie kwidzyńskim[41]. Władze tłumaczyły to m.in.: działaniami złowrogich, imperialistycznych agentów, samolubnością tzw. „kułaków[42]” (w rzeczywistości byli to często najzdolniejsi rolnicy) czy słynnymi zrzutami stonki przez samoloty państw zachodnich. Pomimo oporu, większości udało się w końcu założyć kilka spółdzielni w: Nebrowie Małym, Marezie, Gurczu, Glinie, Dużej Pastwie, Jałowcu, Kaniczkach i Rozajnach. W sumie do 1956 r., kiedy na fali odwilży październikowej wstrzymano przymus, z 23 zorganizowanych spółdzielni w powiecie pozostała jedna (później dołączyła do niej jeszcze jedna). Obie działały do 1977 r.[43]. Należy zaznaczyć, że pomimo nie najlepszych wyników całego przedsięwzięcia oraz przymusu, praca w takich spółdzielniach często zapewniała zatrudnienie całym niewielkim miejscowościom (np. w Baldramie lub Brokowie, gdzie utworzono je w 1946 r.)[44]. Istotne stało się nastawienie PPR (a tym samym władz państwowych) do osób duchownych. W okresie początkowym, pomoc ze strony kościoła była mile widziana lub tolerowana z racji ważniejszych spraw zaprzątających głowy rządzących, jak np. walka z podziemiem niepodległościowym. Jednakże, kiedy sprawy zostały w jakimś stopniu opanowane, kolejnymi celami stali się duchowni i siostry zakonne. Powstał konflikt nie tylko światopoglądowy, lecz również przeistoczył się on w ewidentną walkę o wpływ na miejscowe społeczeństwo (które pokładało ufność w księżach). Zrodził się także spór ekonomiczny, w związku z zebraniem w publicznej zbiórce dla „Caritasu” w pięciu puszkach 35 000 zł, gdzie w tym czasie państwowa zbiórka „Na odbudowę Warszawy” w ośmiu puszkach uzyskała 12 500 zł. Wyniki doprowadziły do zakończenia publicznych zbiórek na cele „Caritasu”[45].

36 AP Gdańsk, 2602/1, s. 37.

37 Tamże.

38 Warto zaznaczyć, iż również w samym PPR przeprowadzono „czystkę” w szeregach. Przykładem może być wydalenie kilkunastu członków podczas posiedzeń egzekutywy Komitetu Powiatowego 14 października 1948 r. W większości wypadków powodem stała się „ideologiczna obcość klasowa lub werbalna”. Tam, gdzie zostało to podane, wykluczeni zostali prywatni przedsiębiorcy [w:] APG, 2602/2, s. 30.

39 Tamże, s. 48.

40 Jeden z pierwszych utworzono w Marezie, inny działał np. w Cyganach.

41 K. Mikulski, J. Liguz, „*Kwidzyn. Dzieje Miasta*”, Kwidzyńskie Centrum Kultury, 2004 r., t. 2, s. 276.

42 Określenie o negatywnym znaczeniu, stosowane w propagandzie bolszewickiej. Kreowało ono chłopów przeciwnych kolektywizacji wsi na wrogów władzy radzieckiej, dobrze sytuowanych „Panów”, nie chcących podzielić się z potrzebującymi.

43 K. Mikulski, J. Liguz, „*Kwidzyn. Dzieje Miasta*”, Kwidzyńskie Centrum Kultury, 2004 r., t. 2, s. 282-283.

44 Tamże, s. 237 i 240. Wówczas wieś ta nosiła nazwę Bedrony.

45 AP Gdańsk, 2602/2, s. 48.

Fragment mapy głównej powiatu Rosenberg, obejmującego m.in. Prabuty

autor: P. Baron, Liegnitz, **źródło:** AP Olsztyn, 1457/1139

Dzieje miasta i regionu z perspektywy Zarządu Miejskiego w Prabutach

SYTUACJA PO ZAJĘCIU MIASTA PRZEZ ARMIĘ RADZIECKĄ

Ogólny opis sytuacji w samym mieście, jak i jego okolicach od obecności jednostek Armii Radzieckiej oprę w zasadniczej mierze na dokumentach zgromadzonych w Archiwum Państwowym w Olsztynie. Dotyczą one działalności tytułowego Zarządu Miejskiego, który sprawował nadzór nad całością prac administracyjno-państwowych w mieście i okolicach. Pierwszym burmistrzem Prabut był Józef Lipski. Analogicznie, jak w innych prezentowanych archiwaliach, również mamy niezwykle interesującą sposobność zapoznania się z ówczesnymi problemami, a było ich wiele. Miasto zostało pozbawione zasilania, sprawnego systemu wodociągowego, a jego centrum i wiele innych budynków leżało w gruzach.

Nic dziwnego, że pierwszym[46] dokumentem jaki znalazł się w teczce „Spraw Ogólnych" za rok 1945 jest pismo wystosowane przez mieszkańca Prabut – kapitana Wincentego M., zatrudnionego w Wydziale Służby Wewnętrznej Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. W piśmie datowanym na 10 grudnia 1945 r. prosi on o przydział mebli poniemieckich do swojego mieszkania na ul. Południowej. Wylicza, że co prawda otrzymał dwa łóżka, szafę oraz kredens, lecz nie zaspokajają one potrzeb jego 6-osobowej rodziny, a fakt dużej zwłoki w załatwianiu wielokrotnych podań powoduje, iż „podrywa się jego autorytet i powagę samego magistratu"[47]. Należy również zaznaczyć, że mieszkał w Prabutach pięć miesięcy, zaś przed wojną zamieszkiwał miejscowość

46 Aczkolwiek niechronologicznie.

47 AP Olsztyn, 412/16, s. 2.

Horochów[48]. Łatwo zatem obliczyć datę przybycia pierwszych transportów „Wołyniaków" do Prabut – przypadającą w okolicach lipca 1945 r.

Pogrążony w bałaganie teren wymagał natychmiastowej interwencji ze strony nowo powstałych władz. Niezbędne okazały się liczne zarządzenia i działania mające na celu zażegnanie skutków działań wojennych z jednoczesnym dążeniem do powrotu czasów świetności miasta. 15 czerwca wypełniono formularz statystyczny (dane zamieszczone są szacunkowe):

* Procent zniszczenia miasta 40%;
* Ilość domów niezniszczonych 450;
* Przedwojenna ilość mieszkańców 18 000;
* Obecna ilość mieszkańców:
  – Warmiacy i Mazurzy 90;
  – napływowych rodzin 401 (1056 osób);
  – Niemców 520;

* Jaką ilość ludności napływowo-osiedleńczej można osiedlić w mieście 1500;
* Potrzebna ilość fachowców:
  – hydraulików 5;
  – elektromonterów 5;
  – cukierników 2;
  – murarzy 3;
  – zdunów 2;

* Przedsiębiorstwa komunalne i procent ich zniszczeń:
  – elektrownia 25%;
  – gazownia 30%;
  – rzeźnia 20%;

48 Miasto powiatowe w województwie wołyńskim.

* Zakłady handlowe i przemysłowe:

L.p.	Nazwa zakładu	Ilość wolnych	Ilość zajętych
1.	Hotel	1	1
2.	Restauracja	0	2
3.	Piekarnia	0	2
4.	Sklep rzeźniczy	0	1
5.	Sklep spożywczo-kolonialny	0	2

źródło: opracowanie własne

* Szkoły:
  – powszechna siedmioklasowa (czynna) 1;
  – nieczynna 1;

* Szpitale 2 (w remoncie).

Oszacowano zniszczenia gospodarstw w Prabutach oraz okolicznych miejscowościach wchodzących w skład gminy. Trudno orzec, dlaczego wyliczenia znajdują się w teczce ze sprawami z roku 1945, jako iż są odpowiedzią na pismo wysłane

Widok z wieży na zniszczone zabudowania w centrum miasta, rok 1945

fot.: arch. prywatne A. Ochała

do Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Suszu 18 lutego 1946 r. Warto też zwrócić uwagę na dwie odmienne wersje owego sprawozdania. Zapewne udokumentowano pismo maszynowe w odróżnieniu od pierwszej wersji, gdzie dane wpisane są odręcznie.

Wykaz nr 1 (odręczny)

L.p.	Nazwa	Pow. użytkowa w ha	Ilość gospodarstw we wsi	Gospodarstwa zniszczone całkowicie	Gospodarstwa zniszczone częściowo	Gospodarstwa całe	Zniszczenia wsi w %
1.	Rypińska	142	26	6	3	17	10
2.	Julianowo	189	11	1	3	7	25
3.	Waldkaten	139	10	1	2	7	20
4.	Görken-hößchen	80	7	-	7	-	20
5.	Miasto Prabuty	322	33	9	11	13	50
Suma		**2100**	**87**	**17**	**26**	**44**	

źródło: AP Olsztyn, 412/16, s. 4

Wykaz nr 2 (maszynowy)

L.p.	Nazwa	Pow. użytkowa w ha	Ilość gospodarstw we wsi	Gospodarstwa zniszczone całkowicie	Gospodarstwa zniszczone częściowo	Gospodarstwa całe	Zniszczenia wsi w %
1.	Kol. Rypińska	190	26	6	3	17	30
2.	Julianowo	423	14	2	4	8	25
3.	Waldkaten	219	11	2	2	7	25
4.	Romanowo	282	1	-	1	-	20
5.	Miasto Prabuty	986	43	9	21	13	50
Suma		**2100**	**95**	**19**	**31**	**45**	

źródło: AP Olsztyn, 412/16, s. 6

Finanse miasta na tym etapie stanowiły kluczowy wyznacznik jego rozwoju i powrotu do jako takiej normalności. Sporządzono wykaz rozchodowy Magistratu Miasta Prabuty za okres 15.05-18.07 z następującymi pozycjami:

L.p.	Powód wydatków	Ile (w zł)
1.	Awanse pracowników magistratu	6100
2.	Awanse robotników	7505
3.	Zasiłki dla rodzin rezerwistów wojskowych	4425
4.	Za przemiał żyta	82
5.	Na otwarcie kościoła	1062

źródło: opracowanie własne

Poza zaszeregowaniem płacowym wymieniono również pełnione funkcje. Istniały wówczas następujące referaty: Wojskowy, Mieszkaniowy, Przemysłowy, Meldunkowy, Osiedleńczy, Aprowizacji i Handlu oraz Stanu Cywilnego. Istotne w tym kontekście jest oskarżenie Bogusława M. (referent w wydziale mieszkaniowym) o nielegalną (co uprzednio mu zakomunikowano) sprzedaż 50 kg kleju stolarskiego i silnika. Wnioskujący prosił o pociągnięcie wzmiankowanego do odpowiedzialności lub „nawet”[49] usunięcia go z zajmowanego stanowiska, ponieważ „nie może być miejsca w biurze dla ludzi nieuczciwych i szabrowników[50].

W celu realnego zarządzania budżetem 2 lipca opracowano preliminarz budżetowy na miesiące sierpień i wrzesień. Przedstawiał się on w sposób następujący (w zł):

Przychód:

* za wydane przepustki 1000;
* za 2 karty przemiałowe 3000;
* za tymczasowe nakazy zajęcia mieszkania 2000;
* za tymczasowe nakazy zajęcia mebli 2000;
* z administracji jeziora 1000;
* z opłat targowych 500;
* z opłat za ubój 1000;
* za Szpital Miejski 2000;

49 AP Olsztyn, 412/21, s. 18.

50 Tamże.

Wydatki w sierpniu:

* Administracja (druki, maszyny do pisania, pensje, stołówka, utrzymanie 50 jeńców)	45 600;
* Elektrownia (remont i zakup części)	40 000;
* Gazownia i wodociągi (remont – w tym wieży ciśnień)	50 000;
* Szpital Miejski (administracja, pensje, lekarstwa, rozbudowa)	30 600;
* Rzeźnia Miejska (uruchomienie)	5000;
* Opieka społeczna	5000;
* Odbudowa i naprawa budynków miejskich	30 000.
SUMA:	206 200 zł

Wydatki w wrześniu:

* Administracja (druki, pensje, stołówka, oczyszczanie miasta)	32 600;
* Elektrownia (uruchomienie)	5000;
* Gazownia i wodociągi (uruchomienie)	10 000;
* Szkoła podstawowa 7-letnia (utrzymanie, pensje, obsługa)	10 000;
* Szpital Miejski (administracja, pensje)	5600;
* Rzeźnia (administracja)	1000;
* Opieka społeczna	5000;
* Naprawa bruków i ulic	10 000.
SUMA:	79 200 zł

W konsekwencji ponownego zasiedlenia miasta i okolic samoistnie wysunęły się na pierwszy plan różnego rodzaju problemy społeczne, które należało uregulować lub rozwiązać, aby nie stwarzały dodatkowych komplikacji w trudnym dla Prabut okresie. Zasadność niektórych pomysłów pozostaje do dyskusji. Przykładem takich regulacji jest zarządzenie z dnia 21 lipca

Pracownicy rzeźni miejskiej przy ul. Kwidzyńskiej, rok 1956
fot.: arch. prywatne K. Kaczorowskiej

o obowiązku noszenia przez „niemców”[51] odznaki w formie żółtego koła o średnicy 5 cm z wpisaną weń literą „N” koloru czerwonego. Natomiast 30 lipca poinformowano Starostwo Powiatowe w Suszu, iż wszyscy „niemcy zdolni do pracy znajdują się w rozporządzeniu Komendanta Wojennego miasta Prabuty”[52]. W późniejszym czasie zorganizowano na terenie miasta sierociniec dla dzieci niemieckich z kadrą polską. Wedle stanu na dzień 1 września liczba podopiecznych wyniosła 36. 28 września poproszono posterunek MO w Prabutach o znalezienie 2-óch niemek[53] do pracy dla Wojska Polskiego przy zakładaniu linii telefonicznych.

51 AP Olsztyn, 412/21, s. 3; pisownia oryginalna, wynikająca z pogardy po świeżo zakończonej wojnie.

52 Tak w oryginale, AP Olsztyn, 412/63, s. 121.

53 Tak w oryginale, AP Olsztyn, 412/68, s. 287.

Z dniem 7 sierpnia sporządzono zestawienie o zajętych lub wolnych sklepach, hotelach, itp.:

L.p.	Nazwa	Wolnych	Zajętych
1.	Piekarnia	0	3
2.	Cukiernia	0	1
3.	Restauracja i piwiarnia	2	3
4.	Herbaciarnia	0	0
5.	Sklep masarski	1	1
6.	Sklep spożywczy	3	4
7.	Sklepy różne	1	0
8.	Apteka	0	1
9.	Skład apteczny	0	0
10.	Warsztat krawiecki	0	4
11.	Warsztat szewski	0	2
12.	Warsztat stolarski	0	0
13.	Warsztat ślusarski	0	0
14.	Warsztat bednarski	0	0
15.	Warsztat kołodziejski	0	2
16.	Warsztat kowalski	1	2
17.	Warsztat tkacki	0	0

źródło: opracowanie własne

W celach dokumentacyjnych utworzono pismo wymieniające różnorodne zakłady istniejące w mieście i okolicach:

L.p.	Nazwa zakładu	Adres	Stan
1.	Cukrownia	ul. Kolejowa	Częściowo zniszczona przez działania wojenne, maszyny wywiezione przez Sowietów
2.	Gazownia miejska	ul. Kwidzyńska	Częściowo zniszczona przez działania wojenne
3.	Młyn	plac Wolności	Całkowicie spalony
4.	Mleczarnia	ul. Warszawska	Całkowicie zniszczona przez działania wojenne
5.	Tartaki (3)	ul. Warszawska, Altewalkmuhle, ul. Kostopolska	Maszyny wywiezione przez Sowietów

6.	Garbarnia	ul. Kraszewskiego	Maszyny wywiezione przez Sowietów
7.	Cementownia	ul. Kwidzyńska	Bez maszyn
8.	Rzeźnia	ul. Kwidzyńska	Czynna od 15.11.1945 r.
9.	Wodociąg	ul. Kwidzyńska	Zniszczony przez działania wojenne
10.	Elektrownia	Altewalkmuhle	Czynna
11.	Szpital Wojskowy	Osiedle Kuracyjne	Zajęty przez Sowietów
12.	Szpital Miejski	ul. Nadjeziorna	Czynny
13.	Koszary Wojskowe	ul. Wojska Polskiego	Częściowo spalone przez działania wojenne
14.	Jeziora		Pod zarządem Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Suszu
15.	Bank (Sparkasse)	ul. Kwidzyńska	Zajęty przez Urząd Miejski

źródło: opracowanie własne

Spraw o charaterze organizacyjnym i porządkowym przybywało z każdym dniem. 17 sierpnia zwrócono się do „Milicji Kolejowej w Prabutach" z prośbą o przeprowadzanie rewizji osób wyjeżdzających z Prabut i konfiskatę „zszabrowanych rzeczy i przekazanie ich Zarządowi Miejskiemu"[54]. Jako ciekawostkę należy przywołać zaświadczenie z tego samego dnia o prowadzeniu od 10 sierpnia przez Alfonsa Zwierzykowskiego oraz Józefa Biegajskiego „Wytwórni wód gazowych i lemoniad w Prabutach"[55]. Z dniem 19 sierpnia przeniesiono siedzibę Zarządu Miasta w Prabutach do gmachu „byłej kasy oszczędności"[56].

Burmistrzem od 23.08-10.11.1945 r. był Edward Lis, natomiast Józef Lipski pełnił obowiązki v-ce burmistrza od 15 maja. 24 sierpnia wystosowano pismo do sołtysa w „Gontnen"[57] o pomoc dla „Władz sowieckich"[58] w formie siły roboczej, która miała być

54 AP Olsztyn, 412/63, s. 78.

55 Tamże, s. 80.

56 Tamże, s. 144, Magistrat Prabut do dziś mieści się w tym budynku.

57 Gonty. Niemiecka nazwa, tj. Gunthen podobna jest do tego oryginalnego zapisu.

58 AP Olsztyn, 412/63, s. 38.

„możliwie jak największa w akcji żniwnej”[59]. Zezwolono także na wykopanie kartofli w gospodarstwach poniemieckich na rzecz sierocińca w Prabutach. Zwrócono się z prośbą o pomoc do władz cywilnych i wojskowych przy tej akcji.

W międzyczasie kwitła działalność sprawozdawcza i współpraca ze Starostwem Powiatowym w Suszu. Instytucja ta kierowała wiele zapytań o charakterze rozpoznawczym. Chociażby 28 sierpnia poinformowano o liczbie samochodów na terenie miasta. Poza dwoma w posiadaniu Zarządu Miejskiego, innych nie było. Zarząd odniósł się także do pisma w sprawie „szkód spowodowanych przez przemarsz Wojsk Armii Czerwonej”[60]. Owe szkody magistrat mógł wskazać, lecz bez potwierdzenia ich przez komendanta Wojennego Miasta, gdyż takowego już nie było. Zdumiewającym dowodem wsparcia ze strony Starostwa jest z pewnością przekazanie 3 września 1945 r. na rzecz Burmistrza w Prabutach 20 byłych jeńców do pracy. Pomoc zapewniono na dwa tygodnie. W tym czasie władze Prabut miały im we własnym zakresie zapewnić zaprowiantowanie. Po upływie terminu należało odesłać jeńców z powrotem do Starostwa w Suszu. 7 września Starostwo na tych samych warunkach, co poprzednio dostarczyło 19 byłych jeńców. Z dniem 4 listopada 1945 r. otrzymano odpowiedź skierowaną do Zarządu Miasta Prabuty, nadesłaną przez Starostwo Powiatowe w Suszu – Referat Kultury i Sztuki. W nim na podstawie zarządzenia Urzędu Pełnomocnika Rządu Rzeczpospolitej Polskiej na okręg Mazurski proszono o „jak najszybsze zebranie informacji o dworach, pałacach lub innych objektach[61] opuszczonych przez władze sowieckie. Jeśli pozostały tam choćby częściowo zniszczone meble, porcelana, dywany lub obrazy artystycznej wartości, proszę natychmiast zawiadomić w tem[62]

59 Tamże.

60 Tamże, s. 217.

61 Pisownia oryginalna.

62 J.w.

tutejszy Referat (…)”[63]. 15 listopada 1945 r. wysłano odpowiedź na to pismo z informacją, iż „na terenie miasta Prabuty”[64] żadnych takich obiektów nie ma. Było to zgodne z prawdą. Inną sprawę stanowiły natomiast zniszczone lub w najlepszym razie zdewastowane (a z pewnością rozszabrowane) dwory i pałace na terenie gminy.

Interesujące pismo stanowi upoważnienie datowane na 18 grudnia 1945 r., wydane przez burmistrza Lipskiego dla kierowniczki sierocińca w Prabutach – p. Marii Maciejewskiej, na odebranie dla tejże placówki „sumy pieniężnej”[65]. Nie określono niestety z jakiej instytucji można było pobrać pieniądze. Niedatowane niestety jest upoważnienie dla Feliksa Z. Dotyczy ono „obejrzenia, zmierzenia i spisania poniemieckich materiałów ciesielskich i stolarskich”. Miało dokonać się to nie tylko w firmach czy też zakładach, lecz również będących w posiadaniu osób prywatnych. Całości miały dopomóc „w razie potrzeby” siły „Bezpieczeństwa i Porządku”[66]. Faktem jest, iż zaświadczenie podpisał pełniący już wtedy obowiązki Burmistrza – Józef Lipski. 20 grudnia 1945 r. skierował on do Starostwa Powiatowego w Suszu (referat aprowizacji i handlu) prośbę o przydział ubrań z UNRRA[67] dla Woźnego Zarządu Miejskiego oraz dwóch pracowników elektrowni miejskiej.

63 AP Olsztyn, 412/16, s. 28.

64 AP Olsztyn, 412/16, s. 26.

65 AP Olsztyn, 412/16, s. 8.

66 AP Olsztyn, 412/16, s. 17.

67 **United Nations Relief and Rehabilitation Administration, UNRRA** (w tłum. z ang. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, często również Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja międzynarodowa utworzona w 1943 roku w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej. Inicjatorami jej powstania były Stany Zjednoczone (z których pochodziło prawie 70% świadczeń), Wielka Brytania, Związek Radziecki i Republika Chińska. Największymi odbiorcami były Chiny i Polska. W latach 1945-1947 dostarczono do Polski 2 mln ton różnych towarów, m.in.: ciągniki, maszyny budowlane i rolnicze, parowozy, wagony kolejowe, samochody ciężarowe, warsztaty naprawcze i montownie, a także odzież, tekstylia, sprzęt medyczny, leki, materiały płynne, zboże, zwierzęta, artykuły spożywcze i kilka milionów 5-kilogramowych paczek żywnościowych z zapasów wojskowych. Mimo niewątpliwych w tym czasie korzyści gospodarczych dla Polski, już w połowie 1946 r. nowe polskie władze partyjno-państwowe (komunistyczne), pod wpływem rządu ZSRR, zaczęły traktować tę organizację jako formę ingerencji Stanów Zjednoczonych w suwerenność Polski Ludowej i w pewnym momencie wycofały zgodę na jej działalność na obszarze kraju [w:] www.wikipedia.pl

Potrzeb socjalnych w tym okresie było wiele. 16 listopada[68] skierowano pismo do młyna w Szadowie[69]. Zarząd Miejski w Prabutach prosił w nim o przemiał 650 kg pszenicy do celów aprowizacyjnych, jak również o wydanie 63 kg pęczaku należnego z dostarczonego tamże 300 kg jęczmienia. Owa pszenica miała służyć również dla 5 krów i 4 koni[70], będących własnością Zarządu. W niedatowanym ogłoszeniu wystawionym przez Zarząd Miejski, Ref. Aprowizacji i Handlu zawiadomił, iż 16 listopada 1945 r. „wydaje się chleb na karty listopadowe dla wszystkich kategorii na kupon 1"[71]. Dnia następnego upływał w związku z tym termin pobierania prowiantu za październik. Interesujący jest fakt, iż żywność była kartkowana, a sformułowanie „prowiant należy **wykupić**"[72] sugeruje, że oprócz kartki należało jeszcze za chleb uiścić opłatę. Tego samego dnia nakazano wykopanie wszystkich ziemniaków, posadzonych przez „Armię Czerwoną lub też inne jednostki wojskowe"[73]. Pismo zwrotne z 20 listopada 1945 r. potwierdza wykopanie wszystkich kartofli[74]. Z datą 28 listopada 1945 r. ogłoszono, iż w dniu następnym będzie wydawana „mąka dla Rezerwistek i ich rodzin w magazynie Spółdzielni „Zgoda" w Prabutach."[75] 12 grudnia 1945 r. Zarząd Miejski wystosował pismo do młyna w Szadowie[76] o przemielenie żyta na potrzeby Szpitala Miejskiego i Prabuckiego Sierocińca. W tym okresie przekazano Powiatowemu Urzędowi Ziemskiemu w Suszu informacje o ilości zwierząt gospodarsko-hodowlanych na terenie miasta:

68 Bez daty rocznej, ale można założyć rok 1945.

69 Na terenie dawnego młyna obecnie ma swą siedzibę Uniwersytet Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

70 Transport konny był najpowszechniejszym dla Urzędu, por. dok. z 4 grudnia.

71 AP Olsztyn, 412/16, s. 24.

72 Podkreślenie autora.

73 AP Olsztyn, 412/16, s. 128.

74 Tak w oryginale – AP Olsztyn, 412/16, s. 123.

75 AP Olsztyn, 412/16, s. 135.

76 Pismo z 16.XI.

L.p.	Rodzaj zwierzęcia	Ilość
1.	Koń	59
2.	Źrebię	12
3.	Krowa	126
4.	Ciele	24
5.	Owca	30
6.	Koza	15
7.	Koźlę	3
8.	Świnia	22
9.	Prosię	12

źródło: opracowanie własne

Miasto prowadziło liczne statystyki ilościowe. Dokumenty tyczą się m.in. liczby osób[77] zamieszkujących miasto. Na dzień 29 listopada 1945 r. były to 184 osoby. Powstał także spis kościołów znajdujących się na terenie miasta. Wyróżniono dwa, zaś byłego, ewangelickiego wyznania uznano za zniszczony[78]. Do niego należało ok. 80 ha ziemi ornej i łąk oraz kościół – kaplica[79]. Niestety niedatowany jest „Spis Niemców, którzy opuścili teren miasta Prabuty". Zawiera podstawowe dane (imię, nazwisko, rok urodzenia), jak również wskazuje adresy zamieszkania przed wyjazdem. Większość zamieszkiwała ulice: Barczewskiego, Nadjeziorną i Krótką. Sam spis zawiera kilkadziesiąt nazwisk. W większości są to całe rodziny, z przewagą osób starszych, kobiet oraz dzieci.

Pod koniec roku, Zarząd Miejski przesłał na rzecz Starostwa Powiatowego w Suszu, a konkretnie jego Referatu Samorządowego Gmin, preliminarz budżetowy za miesiąc listopad. Warto zacytować jego treść (kwoty podane w zł):

77 Zapewne, gdyż w dokumencie tego nie określono – chodziło o osoby pochodzenia niemieckiego.

78 Tj. obecnie Konkatedra pw. św. Wojciecha.

79 Tj. obecny Kościół pw. św. Andrzeja. Terminem kaplica można określić również budynek stojący na cmentarzu przy ul. Malborskiej oraz tzw. Kaplicę Baptystów przy ul. Ogrodowej.

Wydatki:

1. Administracja:
   * Druki 3000;
   * Pensje pracowników fizycznych (zaliczki 40 zł dziennie dla 24 osób) 24 000;
   * Pensje personelu umysłowego (16 osób) 18 200;
   * Dodatek dla pracowników umysłowych (16 osób) 16 000;
   * Wydatki na stołówkę (10 zł dziennie dla 20 osób) 5 000;
2. Szpital Miejski:
   * Administracja 2000;
   * Utrzymanie lekarza miejskiego 2000;
3. Szkoła powszechna (utrzymanie woźnego) 1000;
4. Rzeźnia miejska – administracja 2000;
5. Elektrownia (koszt przeprowadzenia sieci oraz utrzymania pracowników, 6 osób – 40 zł dziennie) 6000;
6. Remont budynków Zarządu Miejskiego 10 200;
7. Reparacja chodników 3000;
8. Oczyszczanie miasta 5000;
9. Utrzymanie taboru i kucie koni 4000;

SUMA: 101 400 zł

Przychody:

* Wydawanie przepustek 100;
* Zaświadczenia przemiałowe 4000;
* Tymczasowe nakazy zajęcia mieszkań[80] 500;
* Ubój 2000;
* Przyłączenie światła[81] 1000;
* Karty rejestracyjne 1000;
* Widowiska 300;

SUMA: 8900 zł

DEFICYT: 92 500 zł

80 Najprawdopodobniej mowa tu o wystawianiu tego typu płatnych dokumentów.

81 Dowód na istnienie oświetlenia, a tym samym na funkcjonującą miejską sieć elektryczną.

W trosce o budżet, 4 grudnia 1945 r. Zarząd Miejski w Prabutach wystosował do swego odpowiednika w Nowym Mieście makabryczną prośbę o uregulowanie kosztów transportu w wysokości 1000 zł, poniesioną za przewiezienie samochodem zwłok tamtejszego mieszkańca z Prabut. Osoba (Feliks O.) została zamordowana. Wraz z nastaniem zimy, burmistrz J. Lipski skierował pismo do sołtysa kol. Rypińskiej, aby w ramach utrzymania normalnego ruchu kołowego na trasie Prabuty-Susz sypać w miejscach niebezpiecznych (zakręty, itp.) piasek na drogę. Jasno wynika z tego, iż wzorem przedwojennym, ta część obecnego miasta nie leżała wtedy w jego granicach.

Zarząd Miasta był często zaangażowany w różne konflikty i spory. W piśmie z dnia 11 grudnia 1945 r. proszono Komendanta MO w Prabutach o „przytrzymanie”[82] Konstantego Z., podejrzewanego o „wymontowanie i zabranie dynama i motoru z gazowni”[83]. Świadkiem był Józef M., dozorca rzeźni miejskiej[84]. Tego samego dnia z Tymczasowego Zarządu Państwowego[85] na Powiat Susz, inspektor tej instytucji domagał się zwrotu nieprawnie zabranych rzeczy, odebranych na polecenie Zarządu Miejskiego Krystynie D. Zarząd przypuszczając, iż pochodzą one z „szabru”, odebrał je. W takim wypadku jednak powinny trafić do TZP, co jednak nie nastąpiło i „gdzieś” po drodze zaginęły. Dotychczasowa właścicielka zgłosiła sprawę do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Suszu, przedstawiając dowód zakupu lub zeznanie osoby, od której owe rzeczy zakupiła. Wskutek interwencji tego urzędu w TZP Inspektor wystosował omawiane pismo. Przedmiotem sporu były: 2 łóżka z materacami, 1 fotel pleciony, 1 otomana w dobrym stanie, 1 leżanka, 1 serwis na 6 osób, 1 szafa do ubrań, 1 para pantofli

82 AP Olsztyn, 412/16, s. 171.

83 Tamże.

84 Od czasów przedwojennych oba budynki mieściły się obok siebie, obecnie na ul. Kwidzyńskiej.

85 Celem **Tymczasowego Zarządu Państwowego (TZP)** było sprawowanie opieki nad opuszczonym i porzuconym majątkiem ruchomym lub nieruchomym oraz postępowanie dotyczące przywrócenia posiadania majątku opuszczonego na wniosek jego byłego właściciela [w:] https://portal.ehri-project.eu/units/pl-003056-401 [data dostępu – 05.01.2019 r.].

damskich[86]. Dokument kończy, najciekawsze zdaniem autora, problemy i zadania, z którymi musiał mierzyć się ówczesny zarząd w 1945 r.

RELACJA Z PRAC ZARZĄDU MIEJSKIEGO, MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ (MRN) I JEJ PREZYDIUM ZA 1946 ROK

15 czerwca 1946 r. o godzinie 16:00 odbyło się 1. posiedzenie (konstytucyjne) MRN. Jak wynika z protokołu, brali w niej udział, oprócz pełnego składu Rady, również mieszkańcy miasta (co nie dziwi, biorąc pod uwagę jego historyczność, a pewnie i zwykłą ciekawość) oraz zaproszeni goście. W skład owej pierwszej Rady wchodzili[87]:

1. Józef Lipski – burmistrz;
2. Jerzy Gładczenko – PPS[88];
3. Wacław Mościcki – PPS;
4. Marian Zarembski – PPS;
5. Bronisław Czarnecki – PPR[89];
6. Feliks Żochowski – PPR;
7. Franciszek Pokojski – nauczycielstwo[90];
8. Michał Gruszka – ZZK[91];
9. Jan Litewka – Związek Kupców;
10. Maksymilian Ejankowski – Związek Rzemieślników;
11. Stefan Maj – Związek Młodzieży;
12. Antoni Szwangruber – repatrianci i zdemobilizowani;
13. Franciszek Mielewski – Mazurzy;
14. Jan Zdyb – rolnicy.

86 Na podstawie AP Olsztyn, 412/16, s. 178.

87 Należy dodać, iż poszczególni przedstawiciele ówcześnie nominowani zostali w głosowaniach wewnętrznych przez partie polityczne, różnorodne związki, organizacje społeczne lub grupy ludności (w grę wchodzili jedynie Mazurzy).

88 Polska Partia Socjalistyczna.

89 Polska Partia Robotnicza.

90 Tak w oryginale.

91 Związek Zawodowy Kolejarzy.

Po wstępnej kurtuazji burmistrz odczytał zebranym pismo Prezydium Powiatowej Rady Narodowej (PRN) w Suszu z 7 czerwca 1946 r., powołujące MRN w Prabutach, po czym na jego prośbę głos zajął przewodniczący tego Prezydium – Krajewski[92], który zaprzysiągł członków Rady Obywateli (wymienionych powyżej). Następnie przystąpiono do wyboru Przewodniczącego MRN. Komisja czuwająca nad wyborem składała się z: M. Gruszki, W. Mościckiego oraz J. Gładczenki). Z dwóch zgłoszonych kandydatów (Józef Lipski zgłosił Jerzego Gładczenko[93], zaś Feliks Żochowski – Franciszka Pokojskiego). Na 14 oddanych i ważnych głosów, 10 zdobył J. Gładczenko. Wiceprzewodniczącym został M. Gruszka (zgłoszony przez W. Mościckiego), wygrywając 10 do 3[94] ze zgłoszonym przez J. Gładczenkę – B. Czarneckim. Następnie wybrano trzech członków Prezydium Rady Narodowej – W. Mościckiego, J. Litewkę i B. Czarneckiego. Po tych wyborach miały miejsce przemówienia o charakterze ogólnym (przewodniczący MRN) oraz sprawozdawczym (burmistrz). Warto tu przytoczyć w pełnym brzmieniu[95] przemówienie burmistrza, charakteryzujące pierwszy rok (tj. 1945) funkcjonowania miasta:

„Obywatele,

na historycznym, pierwszym posiedzeniu od wielu wieków Miejskiej Rady Narodowej w miejscowości Prabuty, choć w skróceniu chcę przedłożyć sprawozdanie z działalności swej na polu administracyjnym. Jak wam już wiadomo, przybyłem na te tereny jako pionier, jeden z pierwszych (…), mi polecono stanowisko burmistrza. Ciężkie były początki, bo wszak wielu z was było i jest świadkami tej pracy. Godzin urzędowych nie przestrzegaliśmy,

92 W dokumencie brak jego imienia.

93 Fakt zasiadania w komisji liczącej głosy lub w innej, nie przeszkadzał w braniu czynnego udziału w samym procesie wyborczym, co w tym głosowaniu było dziwną normą.

94 Jeden głos był „pusty".

95 Poprawiając jedynie kwestie stylistyczne.

bo zamiast 8-miu przepisowych, pracowaliśmy po 12 i 14 godzin na dobę. Najcięższa praca była z aprowizacją, lecz walczyliśmy z trudnościami, częściowo pokonując je. Następnie ze zbiorami w ub. roku też mieliśmy poważne trudności, które również pokonaliśmy, bo jednak na terenie administrowanym przez nas nie zmarnowaliśmy prawie żadnego ziarna, które by pozostało (…). Przez wielki wysiłek – na zimę też posieliśmy około 20 ha, pomimo braku rąk roboczych do pracy i siły pociągowej, a w szczególności brak funduszów na ten cel; ludzie pracowali początkowo za ten chleb kartkowy i łyżkę strawy w postaci obiadu. Zorganizowaliśmy kuchnię dla robotników, gdzie w sezonie letnim, przy największym natężeniu pracy była naszą całą podporą, z której przeciętnie wydawało się 150 obiadów dziennie dla zatrudnionych u nas (…) prawie żadnego przydziału artykułów żywnościowych – własnym wysiłkiem musieliśmy zdobyć takowe. Zorganizowaliśmy prowizoryczny młyn, który obsługiwał prawie całe miasto w mąkę przez rok i w chleb. Pomimo wielkich trudności doprowadziliśmy miasto do możliwego stanu przez częściowe usunięcie gruzów, oczyszczenie jezdni i chodników, jak również doprowadziliśmy trawniki i kwietniki do możliwego stanu. Zbudowaliśmy prowizoryczną elektrownię, choć światło miało dużo sobie do życzenia, lecz według polskiego przysłowia „lepszy rydz, niż nic" tak dotrwaliśmy do czasu, kiedy już będziemy mieli prąd z elektrowni Elbląskiej. Również rozpoczęliśmy prace przy wodociągach, w niedługim czasie, bo mam nadzieję, że już w lipcu roku bieżącego otrzymamy wodę z wodociągu miejskiego.

Nie zapomnieliśmy o uczczeniu tak ważnej chwili dziejowej, jak wyzwolenie tych ziem z pod jarzma okupanta germańskiego[96], *jak również naszego miasta, a w dowód pamięci zbudowaliśmy przy wielkim poparciu części społeczeństwa skromny pomnik Matki Boskiej, który właśnie w historycznym dniu* **dzisiejszym**[97] *został*

96 Błędne stwierdzenie – Prabuty leżały w przedwojennych granicach Niemiec. Nie mogły być tym samym okupowane.

97 Podkreślenie autora.

Uroczyste odsłonięcie pomnika Matki Boskiej
fot.: arch. prywatne W. Gintowt

odsłonięty na wieczną pamiątkę. Tym wszystkim, którzy przyczynili się do budowy tego pomnika, czy to finansowo czy też pracą rąk swych, składam staropolskie „Bóg zapłać". Jak również składam serdeczne podziękowania moim najstarszym pracownikom na polu administracyjnym, w osobach ob. Żochowskiego Feliksa, Wiatrowa Władysława i Wiśniewskiej (…), którzy wspólnie przezwyciężali trudności – swą pracą dla dobra miasta. (…) również mgr Skowrońskiemu i dr Sygnarskiemu za organizację Szpitala Miejskiego. Na zakończenie wznoszę okrzyk na cześć

Wolna Niepodległa Polska niech żyje!".

Po lewej: Skwer przy ul. Warszawskiej, w tle widoczna wieża ciśnień.
fot.: arch. prywatne B. Hardasiewicz

Po tym przemówieniu przystąpiono do kolejnych wyborów, tym razem delegata MRN do PRN[98]. Chociaż w pierwszym głosowaniu na 13 głosów (1 nieważny), W. Mościcki otrzymał 5 głosów, to zarządzono drugą turę[99]. Z niej triumfalnie wyszedł J. Gładczenko, otrzymując 8 głosów. Następnie głos zajął ks. prefekt[100] Piechowiak[101] z zapytaniem, kto reprezentuje związki młodzieżowe. Chociaż jak wymieniono wcześniej, był nim S. Maj, to jego kandydatura została zakwestionowana „do czasu porozumienia się organizacji młodzieżowych"[102]. Na zakończenie, przewodniczący Prezydium PRN – Krajewski poinformował zgromadzonych, iż „dla dobra ogólnego i Państwa"[103] każdy obywatel powinien głosować[104] w memorandum[105] 30 czerwca 1946 r. Z kolei pierwsze posiedzenie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Prabutach wybrane w ww. wyborach miało miejsce 15 lipca 1946 r. o godzinie 9:00. Jej pierwszy historyczny skład był następujący:

* Jerzy Gładczenko – Przewodniczący;
* Michał Gruszka – Wiceprzewodniczący;
* Jan Litewka – Członek;
* Wacław Mościcki – Członek;
* Bronisław Czarnecki – Członek.

98 Powiatowa Rada Narodowa.

99 Być może kandydat musiał uzyskać więcej niż ½ wszystkich głosów. W dokumencie nie zostało to wyjaśnione.

100 Ksiądz katecheta, według https://sjp.pwn.pl/slowniki/prefekt.html [data dostępu – 07.01.2019 r.].

101 W dokumencie brak imienia.

102 Widocznie nie był reprezentantem wszystkich organizacji.

103 Tak w oryginale.

104 W domyśle 3xTAK.

105 Tak w oryginale, w rzeczywistości powinno być „referendum".

Na wstępie odbyło się ustalenie porządku obrad, a następnie głos zabrał przewodniczący, który w „gorących słowach”[106] przywitał pozostałych członków prezydium, a następnie odniósł się do historyczności całego wydarzenia. Kolejnym punktem było ustalenie porządku dziennego. Na pierwsze miejsce wysunięto termin zwołania plenarnego MRN. Wybrano dzień 20 czerwca 1946 r. Sekretarzem MRN mianowano[107] Feliksa Żochowskiego, „przy okazji” uchwalono mu premię w wysokości 4000 zł. Następnie rozpatrywano wolne wnioski i zapytania członków Prezydium. Wacław Mościcki zapytał w nich, co stało się ze „stacjami benzynowymi?”[108] Odpowiedziano mu, iż zgodnie z Zarządzeniem Urzędu Wojewódzkiego, wszystkie – tj. 10 zostały zdemontowane i zabezpieczone w magazynie Zarządu Miejskiego. Swój pomysł miał Bronisław Czarnecki, który zaproponował konfiskatę części od maszyn rolniczych, używanych m.in. w wózkach do wożenia wody[109]. Przewodniczący Prezydium wystąpił również z wnioskiem o przeprowadzenie wyborów burmistrza[110]. Ostatnim wnioskiem było położenie większego nacisku na „doprowadzenie miasta do czystości”. Miano dokonać tego wspólnie z funkcjonariuszami Milicji Obywatelskiej oraz systemem ewentualnej grzywny, nakładanej na administratorów[111] brudnych posesji. Tym pomysłem zakończono posiedzenie.

106 AP Olsztyn, 412/1 s. 1.

107 Dość interesujące jest, iż sama Miejska Rada Narodowa nie mogła wybrać sobie sekretarza.

108 Taki zapis w oryginale, najprawdopodobniej mowa jest o samych dystrybutorach, a nie kompleksach znanych obecnie.

109 Jest to wskazówka, iż w owym okresie w mieście nie było bieżących dostaw wody.

110 Chociaż od 1945 roku burmistrzem był Józef Lipski. Często jednak na „Ziemiach Odzyskanych” pierwsze władze wyłaniały się niejako samoistnie, bez wyborów. Kandydat musiał się wykazać rzutkością, „politycznym myśleniem” oraz – co było w cenie – wykształceniem. Cechy te spełniał widocznie Józef Lipski.

111 W oryginale „głównych lokatorów”.

ORGANIZACJA I PRZEBIEG REFERENDUM LUDOWEGO W PRABUTACH I POWIECIE KWIDZYŃSKIM

30 czerwca 1946 r. odbyło się słynne[112] referendum z nieco mniej znanymi pytaniami – były one następujące:

1. Czy jesteś za zniesieniem Senatu?
2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?
3. Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Władze (składające się w znacznej mierze z PPR i pomniejszych partii satelickich, aczkolwiek podporządkowanych) namawiały prośbą i groźbą do głosowania 3xTAK, PSL jako nadal licząca się partia opozycyjna do głosowania na 1 pytanie – NIE, 2 pytanie – TAK, zaś podziemne ugrupowania – Wolność i Niezawisłość namawiała do odpowiedzi na NIE w dwóch pierwszych pytaniach, natomiast Narodowe Siły Zbrojne – 3xNIE. Same pytania zostały bardzo zręcznie sformułowane.

Zagadnienie istnienia Senatu podnoszone jest niekiedy po dzień dzisiejszy. Reforma rolna również była pytaniem „na czasie”, z uwagi na dużą rolę wsi, zaś „pominięcie” wschodniej, zagrabionej granicy w pytaniu nr 3 także skłaniało do odpowiedzi na TAK. Sam rząd jako zdominowany przez komunistów starał się, co oczywiste, do otrzymania jak największego rezultatu 3xTAK. Jak będziemy mogli się przekonać, również Prabuty wpadły w wir przygotowań do referendum. Wypada zaznaczyć, pomimo chytrze sformułowanych pytań, nacisków

112 Słynny wątek 3xTAK/3xNIE pojawił się w filmie *„Sami swoi”* – cyt.: *„Ty się Pawlak szaleju najadłeś, za senatem jesteś i przeciwko demokracji?”* z roku 1967.

ze strony Rządu oraz Służb Bezpieczeństwa, procentowe wyniki przedstawiały się następująco:

	Wyniki oficjalne		Wyniki rzeczywiste	
	TAK	NIE	TAK	NIE
Pytanie 1	68	32	27	73
Pytanie 2	77,2	22,8	42	58
Pytanie 3	91,4	8,6	67	33

źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Referendum_w_Polsce_w_1946_roku

Słynny plakat z okresu referendum, porównujący NSZ do nazistów

autor: nieznany, **źródło:** https://pl.wikipedia.org/wiki/Referendum_w_Polsce_w_1946_roku [data dostępu – 15.01.2019 r.]

Pierwszym znaczącym dokumentem i ustaleniem dotyczącym głosowania 3xTAK w Prabutach było zarządzenie wojewody mazurskiego o zakazie sprzedaży napojów alkoholowych w dniach 29, 30 czerwca oraz 1 lipca, czyli dzień przed, w czasie i dzień po referendum. Kolejnym była informacja, iż osoby, które z powodów zdrowotnych nie mogą udać się do lokalu wyborczego, po wcześniejszym poinformowaniu o tym fakcie, będą mogły być do niego dostarczone. Motoryzacja była wtedy na poziomie zbliżonym do zerowego, transport zatem miał odbyć się konno. W skład[113] Komisji Wyborczej wchodziły w Prabutach następujące osoby:

* Lipski Józef – Przewodniczący;
* Czarnecki Bronisław – Zastępca przewodniczącego;
* Bodek Antoni;
* Gładczenko Jerzy;
* Gańczuk Włodzimierz;
* ks. Piechowiak Zdzisław;
* Kurkiewicz Stefan;
* Mysakowski Bolesław;
* dyr. Nissner Henryk;
* dr Sygnarski Władysław.

Jej członkowie na zebraniu w dn. 27 czerwca postanowili o dekoracji lokalu wyborczego (godło, flaga – od komendanta MO, wianki) oraz ustalili dyżury poszczególnych osób. Na wniosek dr Sygnarskiego postanowiono po mszy w dn. 29 czerwca zorganizować w siedzibie PPS wiec, na którym poinformuje się głosujących o formalno-technicznych jego zasadach (wypełnianie kart, itp.). Informacja z Prezydium PRN w Suszu precyzowała zaś miejsce lokalu wyborczego, w przypadku Prabut był to budynek Szkoły Powszechnej. Ponadto wszyscy uprawnieni do głosowania zostali wpisani na specjalne listy. Znajdowały się na nich podstawowe dane osobowe jak i miejsce na potwierdzenie

113 AP Olsztyn, 412/29, s. 59.

Po prawej: Mapa Powiatu Kwidzyńskiego z okresu referendum 3xTAK, 1946 r.
źródło: IPN, BU 00231/86, t.12

odnotowania wzięcia udziału w głosowaniu. Cała lista zawiera 13 080 osób. Ciekawostką może być w czasach obecnych pismo[114], które napłynęło od Związku Energetycznego. Przestrzegano w nim, iż nie gwarantuje on dostawy prądu i światła, w związku z czym poszczególne lokale wyborcze powinny być zaopatrzone w lampy naftowe jako zastępcze źródło światła.

Wybory w województwie Gdańskim (do którego należał Kwidzyn z okolicznymi gminami) przebiegały w sposób analogiczny. Dla przykładu[115] całego powiatu, członkami komisji na Kwidzyn zostali wybrani:

Nazwa i numer obwodu	Partia Polityczna			
	PPR	PPS	SL	Bezpartyjni
Miasto Kwidzyn 1	5	3	2	1
Kwidzyn 1	4	5	2	0
Kwidzyn 2	3	5	3	0
Kwidzyn 3	4	4	1	0

źródło: opracowanie własne

W doniesieniach agenturalnych za okres przedwyborczy (25 czerwca 1946 r.)[116], zwanych „poufnymi wiadomościami"[117], władze informowane były o tym, że część osiedleńców „zza Buga", pamiętając kołchozy, nie jest (patrząc na pkt. 2 głosowania) do tego pytania pozytywnie ustosunkowana. Tego samego dnia organy bezpieczeństwa (nie sprecyzowane w oryginale)[118] raportowały

114 AP Olsztyn, 412/29, s. 186.

115 W pozostałych 12 obwodach proporcje były podobne jak w samym Kwidzynie.

116 IPN, BU 00231/86, t.12, s. 169.

117 Tamże.

118 Tamże, s. 170.

o braku granatów. Trudno orzec, czy spodziewano się większych „utrudnień", czy też po prostu na wszelki wypadek „dmuchano na zimne". Podobnie jak w Prabutach, przeprowadzono wiece/spotkania z mieszkańcami. W przypadku prabuckim miał on charakter informacyjny, natomiast w powiecie kwidzyńskim (w samym mieście przeprowadzono około 8 spotkań), dodatkowo stosowano jeszcze „pogadanki w terenie" organizowane i realizowane przez Brygadę Agitacyjną Wojska Polskiego. Nastroje musiały być faktycznie dość skrajne, skoro 20 czerwca UB aresztowało dwóch mężczyzn za zrywanie plakatów wyborczych w Gminie Czarne. Kolejne osoby zatrzymano 22 czerwca za rozwieszanie plakatów dotyczących Senatu, a co ciekawe, zakwalifikowano to zdarzenie jako „wystąpienie antypaństwowe"[119]. Kolejne zrywanie plakatów, tym razem przez harcerzy, odnotowano zaś 27 czerwca.

Raport Komitetu Powiatowego PPR w Kwidzynie z 2 lipca 1946 r. zawiera szczegółowe[120] dane dotyczące wyników głosowania w całym powiecie z wyszczególnieniem konkretnego obwodu. Z 12 947 uprawnionych, frekwencja wyniosła 93,4%, zaś wyniki ogólne w procentach przedstawiały się następująco:

	TAK	NIE
Pytanie 1	89,2	10,8
Pytanie 2	96,5	3,5
Pytanie 3	97,2	2,8

źródło: IPN, BU 00231/86, t. 12, s. 173

OPIEKA ZARZĄDU MIEJSKIEGO NAD MIASTEM

W Prabutach tradycją zostało wcześniejsze zebranie prezydium, które proponowało często projekty przedstawiane później całej MRN.

119 Tamże, s. 172.

120 Biorąc pod uwagę ww. rzeczywiste wyniki krajowe, można założyć, iż były to już ustalenia po „odpowiednim retuszu".

Tak więc ustalenia powyższego zebrania prezydium omówione zostały na odbytym 20 sierpnia 1946 r. o 11:00, pierwszym[121] posiedzeniu MRN. Po ich zakończeniu odbyło się głosowanie nad dokoptowaniem do MRN dwóch radnych z puli czterech kandydatów:

* dr Władysław Sygnarski;
* dyr. Henryk Niessner;
* ks. Piechowiak[122];
* Jan Adamkiewicz.

W wyborach najwięcej głosów uzyskali (odpowiednio 14 i 13) dr Sygnarski oraz dyr. Niessner, którzy zostali nowymi radnymi MRN. Kolejnymi były wybory sekretarza – tu jednomyślnie głosowano za F. Żochowskim[123]. Postulowane zaś na poprzednim zebraniu wybory na burmistrza odwołano, pozostawiając na stanowisku dotychczasowego – Józefa Lipskiego. Po tych głosowaniach przystąpiono do omawiania składanych wniosków oraz zapytań, które zaczął nowo wybrany sekretarz, dopytując o odbudowę miasta i jego ogólne upiększanie. Lipski w odpowiedzi zaznaczył, iż sytuacja ta spowodowana jest przez brak funduszy i chętnych do tej pracy. Jako kolejny, głos zabrał W. Mościcki, który postulował, aby rolnicy, którzy wraz z inwentarzem oraz zbiorami opuścili zajęte domy w mieście, przenieśli się do gospodarstw rolnych poza jego obrzeżami. Opuszczone mieszkania należało przydzielić „ludziom pracy zarobkowej"[124]. Po tym wniosku sekretarz zaproponował utworzenie komisji sanitarnej oraz przeciwpożarowej. Ich powstanie miano jednak rozpatrzeć na kolejnym posiedzeniu MRN, z powodu nieobecności dwóch nowych radnych. W następnej kolejności omawiano sprawę związaną z osiedleniem

121 15 czerwca 1946 r. zebranie było konstytucyjne – można rzec organizacyjne.

122 Po raz kolejny nie podano jego imienia.

123 Dodatkowo przyznano mu premię w wysokości 4000 zł.

124 AP Olsztyn, 412/1, s. 17.

dwóch inwalidów wojennych przy braku dostępnych mieszkań oraz wniosek przedsiębiorstwa „Podstacja traktorów" o przejęcie zabudowań pozostałych po przedwojennej firmie maszyn rolniczych przy ul. Warszawskiej – „Bartels & Co", które były administrowane przez Zarząd Miejski. Rada wyraziła zgodę, jednakże w zamian za przejęcie obecnie zajmowanych przez ww. przedsiębiorstwo zabudowań na ul. Kwidzyńskiej oraz pokrycie przez nią kosztów przeprowadzki (transport maszyn, budowa parkanu, itp.). Na zakończenie F. Pokojski poruszył kwestię usunięcia wszelkich niemieckich napisów, pozostałych w mieście[125], a w szczególności demontażu tablicy ze spalonego gimnazjum na ul. Grunwaldzkiej, upamiętniającej pobyt w 1914 roku gen. Paula Hindenburga ze swym sztabem[126].

Druga sesja prezydium odbyła się 26 lipca 1946 r. o godzinie 10:00. Obecni byli na niej wszyscy jego członkowie, zaś najważniejszymi punktami było wcielenie dwóch nowych członków do MRN oraz wystąpienie z wnioskiem o pożyczkę w kwocie 5 000 000 i bezzwrotną pożyczkę w kwocie 100 000 zł na odbudowę miasta – obie te propozycje miano przedłożyć MRN do akceptacji. Zebranie MRN miało miejsce tego samego dnia, lecz o godzinę później. Głównym omawianym tematem była sprawa prabuckiego szpitala. Porównano jego sytuację do analogicznej placówki w Suszu, która otrzymała np. 30 kompletów łóżek szpitalnych z UNRR-y, podczas gdy prabucki obiekt, pomimo „wielkich"[127] braków, nie otrzymał żadnej pomocy i był traktowany „po macoszemu przez organa nadrzędne"[128]. Wspomniano również kwestie związane z wielkością szpitala w Suszu, gdzie planowano uruchomić oddział z 120 łóżkami, gdy zapotrzebowanie nie było nigdy większe niż 30. Wypowiedź w kwestii szpitalnej zakończono

125 Pozostałości napisu w tym języku są nadal widoczne na ścianie budynku przy ul. Legionów.

126 Z historycznego punktu widzenia wielka szkoda, iż tablica ta nie zachowała się.

127 AP Olsztyn, 412/1, s. 14.

128 Tamże.

informacją, że ze względu na brak środków finansowych istniała możliwość zamknięcia placówki szpitalnej w Prabutach. W tej sytuacji radni jednogłośnie postanowili wystosować wniosek do niestety bliżej niesprecyzowanych w dokumencie „czynników miarodajnych"[129] o przyznanie kredytów na jego potrzeby. Z uwagi na obecność nowych radnych podjęto kwestię związaną z powołaniem komisji sanitarnej i przeciwpożarowej, omawianą na poprzednim zebraniu MRN. Ich skład był następujący:

Komisja sanitarna		
L.p.	**Imię i nazwisko**	**Przez jaką instytucję skierowany**
1.	dr Władysław Sygnarski	MRN
2.	dyr. Henryk Niessner	MRN
3.	Bronisław Czarnecki	MRN
4.	Mysakowski	Zarząd Miasta
Komisja przeciwpożarowa		
1.	Marian Zarembski	MRN
2.	Glonek	Zarząd Miasta
3.	---	Posterunek MO w Prabutach

źródło: opracowanie własne

Po tych rozstrzygnięciach MRN zatwierdziła preliminarze budżetowe na 1.04-31.12.1946 r. Poszczególne pozycje przedstawiały się następująco:

* Administracyjny 3 940 363 zł;
* Wodociągów i kanalizacji 1 505 000 zł;
* Elektrowni Miejskiej 28 500 zł;
* Szpitala Miejskiego 1 496 350 zł;
* Ośrodka Zdrowia 402 000 zł.

Zatwierdzono również uprzednio omawianą pożyczkę w kwocie 5 000 000 zł na 3% oraz bezzwrotną na 100 000 zł. Finanse

129 Tamże.

miały służyć odbudowie miejskich przedsiębiorstw – gazowni, wodociągów, etc. oraz na remont uszkodzonych domów. Przyjęto również uprzednio zgłoszony projekt usunięcia rolników z miasta, którzy jednocześnie posiadali gospodarstwa rolne poza nim i mieli możliwość zamieszkania w nich. Ostatnie ustalenia dotyczyły szeroko rozumianej działalności kulturalnej i edukacyjnej. Skupiono się na przydziale mebli dla Internatu przy Gimnazjum Państwowym w Prabutach oraz pozyskaniu pianina, ew. fortepianu dla tamtejszego koła śpiewaczo-muzycznego. Ustalono również, iż należy utworzyć placówkę w rodzaju klubu/kasyna, w którym miała się rozwijać działalność kulturalno-oświatowa. Pierwszym krokiem do tego celu było znalezienie odpowiedniego lokalu, a drugim wyposażenie go w stosowne meble. Na tej inicjatywie zebranie zakończono.

Z obecnego punktu widzenia interesującą kwestię poruszył również na tym zebraniu radny M. Gruszka – warto ją wobec tego przytoczyć. Dotyczyła mianowicie wypadków otrzymania zaświadczenia przedślubnego dla osób chorych wenerycznie[130]. Doktor Sygnarski jako lekarz potwierdził, że takie przypadki miały miejsce. Wskazuje sytuację pacjenta, który u niego leczył się z takiej choroby, a u innego lekarza otrzymał zaświadczenie, potwierdzające jego dobry stan zdrowia.

Zebranie MRN, które odbyło się 24 sierpnia 1946 roku w godzinach 11:00-17:00 przyniosło kolejne nietuzinkowe z lokalnego i historycznego punktu widzenia ustalenia. Rada dyskutowała głównie nad budżetem, zaś ożywiony dyskurs wywołała kwestia niedofinasowania wydatków edukacyjnych. Aby zwiększyć przychody, a tym samym budżet na edukację, uchwalono szereg podatków i opłat – m.in.: od psów oraz zabaw, rozrywek i widowisk, z szeregiem bardziej przyziemnych,

130 Realia wojenne spowodowały epidemie tego typu chorób w całej Europie. W szczególności na terenach, na które wkroczyła Armia Czerwona.

jak podatek od nieruchomości/lokali[131] i gruntowy. Kontrowersje wywołały też za wysokie zdaniem niektórych radnych (m.in. Pokojski), kwoty przeznaczone na stołówkę pracowniczą Zarządu Miejskiego. Pomimo wyjaśnień (niestety nieuwzględnionych w dokumencie) burmistrza Lipskiego, kwestia ta pozostała nierozstrzygnięta. Powołano natomiast Komisję Kontroli Społecznej w składzie: Pokojski, Maj i Zarembski. Miała ona wyjaśnić niejasności powstałe m.in. w Komisji Mieszkaniowej. Przykładem w tym kontekście jest zaświadczenie, a konkretnie „Dowód rejestracyjny mieszkania”[132] nr 108, wystawiony[133] 6 sierpnia 1945 r. przez Przewodniczącego Tymczasowej Komisji Mieszkaniowej miasta Prabuty dla Zofii B. Mieszkanie, a właściwie „lokal w budynku poniemieckim”[134] znajdował się na ul. Południowej. Kwestia została rozwinięta na kolejnym posiedzeniu MRN 28 października 1946 r., a właściwie zdominowała całe zebranie, nie pozwalając omówić wszystkich zaplanowanych jego punktów. Okazało się m.in., że referent owej komisji sam decydował o przydziale mieszkań. Rada postanowiła wezwać na swoje posiedzenie pełny skład Komisji Mieszkaniowej w celu dalszych wyjaśnień. Ponadto w trybie natychmiastowym desygnowano radnych: Ejankowskiego i Szwangrubera do uporządkowania spraw zaległych tej komisji. Drugim, niezwykle ważnym poruszanym tematem było niedofinansowanie Ośrodka Zdrowia. Doktor Sygnarski, jako jego kierownik zreferował niedomagania w tej kwestii, a także „by na przy-

131 W tym celu podzielono miasto na 2 strefy: w pierwszej podatek wynosił 2 zł miesięcznie, zaś w drugiej 1 zł. Do strefy 1 zaliczono ulice: Ks. Barczewskiego, Długą, Grunwaldzką, W. Jagiełły, Jagotty, Kisielicką (do zrujnowanego ogrodu), Kolejową, plac Kościelny, Kościuszki, Kwidzyńską (do rzeźni miejskiej), Kraszewskiego, Kopernika, Krótką, Ogrodową, Mickiewicza, Parkową, B. Prusa, W. Pola, Reja, Rynek, W. Reymonta, Szkolną, Warszawską, plac Wolności, plac św. Wojciecha i Żeromskiego. Zaś do 2 strefy należały ulice: Akacjowa, Brzozowa, Bielnik, Czarneckiego, Chodkiewicza, Górna, Kasztanowa, Kisielicka (od zrujnowanego ogrodu), Kostopolska, Kwidzyńska (od rzeźni miejskiej), Krańcowa, Kuracyjna i osiedle, Łucka, Malborska, Mazurska, Nadjeziorna, Okrężna, Podgórna, Południowa, Pusta, Polna, kol. Rypińska, Rolnicza, Chopina, Szeroka, Wojska Polskiego, Wąska, Warmińska, Wołyńska, plac Zamkowy, Zielna i Środkowa.

132 AP Olsztyn, 412/16, s. 11.

133 Po raz kolejny niechronologicznie.

134 AP Olsztyn, 412/16, s. 11.

szłość nie zaistniało jakiekolwiek nieporozumienie”[135] zapowiedział, iż z dniem 1 listopada 1946 r. rezygnuje z jego kierowania i prosi o legalne przejęcie gmachu oraz znajdującego się w nim wyposażenia. Co zrozumiałe, wywołało to duże poruszenie wśród zebranych, którzy przytaczali liczne powody na konieczność dalszego funkcjonowania tej instytucji. Burmistrz Lipski zaoferował wsparcie „w granicach możliwości do 10 000 zł”[136] w stosunku miesięcznym. Ostatnim poruszonym tematem były problemy grzewcze Szkoły Powszechnej. Aby temu zaradzić, postanowiono tymczasowo zatrudnić nowego pracownika do rąbania i palenia drewna oraz zaoferowano pomoc przy przywiezieniu opału, póki nie zatrudniony zostanie nowy etatowy woźny, który miał wspomóc już przyjętą tam pracownicę.

Sprawę Komisji Mieszkaniowej kontynuowano na kolejnym posiedzeniu MRN, które odbyło się 25 listopada 1946 r. Przybycie byłego już jej przewodniczącego niewiele rozjaśniło. Kontynuowano również kwestię Ośrodka Zdrowia. Wystosowane pismo o pomoc w tej sprawie do PRN w Iławie nie przyniosło jednak oczekiwanych skutków – również ten urząd nie dysponował środkami finansowymi na polepszenie jego sytuacji. Radni zadecydowali wobec tego o „własnoręcznym” rozwiązaniu problemu. W tym celu postanowiono utworzyć orientacyjny budżet tej placówki. Mniej nurtujący, choć frapujący przypadek poruszył radny Pokojski. Zwrócił się z zapytaniem do referenta gospodarczego, który wówczas przedstawił sprawozdanie z działalności swego wydziału. Zapytał on: „Co się stało z krowami Zarządu Miejskiego?”[137] Okazało się, iż były one chore i stopniowo kierowane na aprowizację, tzn. ubijane i przeznaczone na dożywianie mieszkańców. Skutkowało to reakcją Radnych w postaci zlecenia Komisji Kontroli Społecznej, w celu sprawdzenia „pozostałych” po owych krowach

135 AP Olsztyn, 412/1, s. 29.

136 Tamże, s. 30.

137 AP Olsztyn, 412/1, s. 44.

pszenicy, koniczyny i skór. Uzgodniono również prowadzenie księgi inwentarzowej w podobnych przypadkach. Postanowiono także zmienić nazwę ulicy Dworcowej na Daszyńskiego – „zasłużonego działacza demokratycznego”[138] – jak argumentowano. Ustalono zmianę nazw ulic „bez specjalnego znaczenia”[139] – w tym celu miano powołać Komisję Kulturalno-Oświatową.

Skład MRN z dnia 3 grudnia 1946 r. zajął się ustaleniami związanymi z Dekretem z dnia 13 listopada 1946 r. o daninie narodowej na zagospodarowanie Ziem Odzyskanych[140]. Następnie wybrano 25 osób do Komitetu Daniny Narodowej. Ponadto ze względu na ciężką sytuację finansową miasta, zniszczenia wojenne oraz niezamożną ludność (około 70% stanowili repatrianci[141]), MRN upoważniła Zarząd Miasta do wystosowania pisma o zapomogę w kwocie 4 013 164 zł do Komitetu Komunalnego Funduszu Pożyczkowo-Zapomogowego w Warszawie, celem odbudowy. Kompletny brak funduszy dobrze obrazuje fakt przedstawiony na tym zebraniu – Zarząd Miejski nie miał pieniędzy na wykup węgla dla szkół, a na kursy wieczorowe nauczyciele przychodzili z własnymi żarówkami, aby oświetlić sale szkolne, na które też Zarządu Miejskiego nie było stać.

138 AP Olsztyn, 412/1, s. 45.

139 Tamże.

140 Celem przyspieszenia zagospodarowania „Ziem Odzyskanych” i ekonomicznego zjednoczenia ich z Macierzą wprowadza się daninę narodową, jako jednorazowe powszechne świadczenie majątkowe (…) Daninie narodowej podlegają: 1) podatnicy podatku gruntowego; 2) podatnicy podatku od nieruchomości; 3) podatnicy podatku obrotowego; 4) osoby pobierające wynagrodzenia za pracę; 5) wszystkie inne osoby fizyczne osiągające przychody ze źródeł wymienionych w art. 8 ust. (2) pkt 5), 6) i 7) dekretu z dnia 8 stycznia 1946 r. o podatku dochodowym (Dz.U. R.P. nr 2, poz. 14) (...)
[w:] https://www.prawo.pl/akty/dz-u-1946-61-341,16779237.html [data dostępu – 19.01.2019 r.].

141 AP Olsztyn, 412/1, s. 49.

HISTORYCZNE KALENDARIUM WYBRANYCH SPRAW RANGI LOKALNEJ, PROWADZONYCH PRZEZ ZARZĄD MIEJSKI W 1946 ROKU

* Zarząd Miejski uwikłał się w rozmaite spory względem własności okolicznych majątków i lasów. Przykładem może być Romanowo[142] (niem. Rahnenberg) o pow. 282 ha, którego ziemia częściowo była uprawiana przez władze radzieckie[143]. W piśmie z 28 czerwca 1946 r., skierowanym do Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Olsztynie, władze Prabut wnioskowały o przyznanie im prawa własności do tego majątku, powołując się na jego przedwojenną przynależność do miasta. Ustalono to za pomocą zeznań świadków – „tubylców"[144].

* 9 lipca – władze miejskie dowiedziały się o planach likwidacji ośrodka szkolnego Oświaty Rolniczej w Starym Kamieniu; aby nie zamykać tej placówki, zadeklarowały pomoc w postaci przydzielenia poszpitalnego bloku[145] na cele oświatowo-rolnicze oraz pomoc przy jego remoncie.

* 13 lipca – Powiatowy Zarząd Samopomocy Chłopskiej w Suszu przypomniał, że w Komisji rozdzielczej darów z UNRRA powinien być jej przedstawiciel.

* 19 i 20 lipca – zostało zarządzone przez dr Sygnarskiego (lekarza miejskiego i kierownika szpitala) szczepienie ochronne przeciwko durowi brzusznemu dla pracowników Zarządu Miejskiego oraz ich rodzin.

* 19 lipca – Jan Rogowski – Komisarz Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Suszu przybył do będącego pod nadzorem

142 Obecnie Raniewo.

143 Zapewne przez aprowizacyjną jednostkę wojskową.

144 AP Olsztyn, 412/17, s. 39.

145 ...być może w Sanatorium. Dokument nie precyzuje miejsca.

Zarządu Miejskiego w Prabutach majątku Stary Kamień[146], gdzie m.in. kupił od stacjonujących w os. Kuracyjnym żołnierzy radzieckich „cały wóz ciężarowy" różnych mebli. Jak wspomniano, były one pod pieczą Zarządu; wysłał pismo z tą treścią do Starostwa Powiatowego w Suszu z prośbą o interwencję.

* 18 lipca – starosta „suszański"[147] poinformował, iż 22 lipca, jako „dzień powstania suwerennej władzy Narodu Polskiego"[148] jest świętem narodowym wolnym od pracy. Polecił też, aby przeprowadzić tego dnia „przemówienia partii politycznych"[149].

* 23 lipca – powstało pismo do Nadleśnictwa Lasów Państwowych w Suszu z prośbą o uprzątnięcie posesji i naprawę parkanu, który zajmuje chodnik przy ul. Warszawskiej 9, będącej jego własnością.

* 1 sierpnia – skierowano prośbę o niezwłoczne usunięcie nasypu po kolejce wąskotorowej[150] na Placu Wolności w Prabutach.

* 1 sierpnia – poproszono o uregulowanie stosunku mieszkaniowego – zajęcia bez przydziału 2 pokojów na biuro przy ul. Nadjeziornej 6 przez Urząd Bezpieczeństwa w Prabutach oraz o uiszczenie podatku za czas dotychczasowego zajęcia w kwocie 120 zł.

146 Przejęty od władz radzieckich 28 maja 1946 r.

147 Tak w oryginale, AP Olsztyn, 412/17, s. 89. Odmiana ta pojawia się w licznych dokumentach.

148 Tamże. Była to data upamiętniająca ogłoszenie tego dnia w Lublinie Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN). W rzeczywistości został on podpisany i zatwierdzony przez J. Stalina 20 lipca w Moskwie. Nie był to więc ww. „dzień" ani władza nie była suwerenna. Trudno też mówić o „Narodzie Polskim", który w dużej mierze nadal był pod okupacją niemiecką, zaś część już „wyzwolona" była podporządkowana ZSRR.

149 Tamże.

150 Transportowała ona gruz ze zniszczonego centrum miasta, który wysypywano w okolicy ulicy Kwidzyńskiej i Zamkowej.

* 2 sierpnia – powstał kolejny wniosek do Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Olsztynie o przyznanie na własność majątków rolnych. Tym razem dotyczył on Szramowa, uprawianego przez Zarząd Majątków Państwowych oraz Orkusza, który ze spalonymi budynkami leżał odłogiem, posiadając jednocześnie jezioro o powierzchni 65 ha, administrowanych przez Wydział Rybacki Starostwa Powiatowego w Suszu. Całość kwestionowanych terenów wynosiła ok. 450 ha, zaś podstawą po raz kolejny były zeznania „autochtonicznej”[151] ludności oraz zapisy z poniemieckiej książki adresowej dla Folwarków rolnych w prowincji Prusy Wschodnie.

* 5 sierpnia – Zarząd Miejski wyznaczył karę grzywny w wysokości 1350 zł za rozplakatowanie bez uprzedniego pozwolenia ogłoszeń o „dancingu”.

* Niedatowana ankieta z Biura Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów o tytule „Działania wojenne oraz okupacja niemiecka”. W tym istotnym dokumencie za dzień **zdobycia**[152] Prabut określa się 24 stycznia 1945 r. Z kolei w punkcie „Skutki działań wojennych w odniesieniu do terenu” zawarty jest opis, iż podczas działań wojennych „uległo zniszczeniu **kilkanaście** domów mieszkalnych, wieża ciśnień[153], wieża kościoła katolickiego. Natomiast około 50% miasta (śródmieście) spłonęło w **dwa dni po**[154] zdobyciu”[155]. W punkcie „Skutki zarządzeń władz okupacyjnych (terror)” zanotowano:

151 AP Olsztyn, 412/17, s. 122.

152 Tak w oryginale, AP Olsztyn, 412/17, s. 147.

153 Niejako wyolbrzymiono ten fakt – wieża była jedynie uszkodzona pociskami i odłamkami, co potwierdzają inne dokumenty. Sam fakt strzelania do wszelakich wież był powszechną praktyką wojenną – często przeciwnik umieszczał w nich obserwatorów lub snajperów.

154 Podkreślenia autora.

155 Tamże. Już wówczas było jasnym i oczywistym, kto zniszczył miasto, skoro wojska niemieckie wycofały się z niego… dwa dni wcześniej.

„We wrześniu 1939 roku zarządzono aresztowanie Polaków, członków „Polskiego Towarzystwa”[156].

* 19 sierpnia – Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Suszu prosił o powołanie osób chcących uczestniczyć w kursie agitatorów. Kandydaci mieli charakteryzować się „zaopatrywaniem demokratycznym”[157].

* 22 sierpnia – w związku z „Tygodniem czystości” dr Sygnarski przypominał o szczegółowej lustracji toalet w gmachu Zarządu Miejskiego, które uprzednio znajdowały się w „fatalnym stanie higienicznym”[158].

* 31 sierpnia – mieszkańcy wystosowali petycję o przedłużenie trasy pociągu relacji Iława-Susz do Prabut. Jako jeden z kilku powodów, argumentowano dużą częścią mieszkańców miasta pracujących w Suszu i Iławie, która była również siedzibą powiatu. Pierwszy pociąg dzienny relacji Prabuty-Iława odjeżdżał o godzinie 10:00, zaś powracał o 18:00. Pociąg Susz-Iława odjeżdżał o 7:30, zaś powracał o 15:00.

* 4 września – Zarząd przesłał do Suskiego Starostwa Powiatowego wykaz dotyczący władz i ludności:

L.p.	Imię i nazwisko	Funkcja	Gromada	Pochodzenie
1.	Józef Lipski	burmistrz	m. Prabuty	osiedleniec
2.	Bronisław Czarnecki	sołtys	m. Prabuty	osiedleniec
3.	Roman …cielski	sołtys	Prabuty	repatriant
4.	Antoni Szwangruber	sołtys	Prabuty	repatriant

źródło: AP Olsztyn, 412/17, s. 218

156 Niezidentyfikowana organizacja.

157 AP Olsztyn, 412/17, s. 176.

158 AP Olsztyn, 412/17, s. 165.

oraz liczbowe podsumowanie pochodzenia ludności w gminie:

- ❖ Repatrianci 1432;
- ❖ Osiedleńcy 1008;
- ❖ Mazurzy i Warmiacy 203;
- ❖ Niemcy 13.

* 12 września – Zarząd Miejski dopytywał dyrekcję ZEOM[159] w Olsztynie o kwestię oświetlenia miasta. Zmienność umów (po części ustnych) z przedstawicielami tego przedsiębiorstwa spowodowała, że miasto „zmuszone będzie pozostawać nadal w ciemnościach"[160], pomimo wyremontowania i rozruchu elektrowni oraz przekazania różnych części do uruchomienia sieci na rzecz ww. instytucji. Już wcześniej – 16 listopada 1945 roku – Zarząd Miasta zwracał się do Starostwa Powiatowego w Suszu o pomoc przy rozwiązaniu jednej z najbardziej palących potrzeb miasta – braku prądu. Opisano w nim, iż w początkach istnienia elektrowni w mieście nie zwrócono uwagi na możliwość uruchomienia spalonego młyna „Hausmühle" na placu Wolności[161]. Zamiast tego prąd pozyskiwano z niezniszczonej elektrowni w „Alte Walkmühle"[162].

159 Zakład Energetyczny Okręgu Mazurskiego.

160 AP Olsztyn, 412/17, s. 212.

161 Umiejscowienie – patrz plan Prabut z 1811 r. na stronie 23.

162 Osada leśna w środkowej części gminy, na zachód od Prabut, położona na terenie bardzo urozmaiconym, nad rzeką Liwą, w Lesie Kwidzyńskim. Stary Młyn przyjął swoją nazwę od młyna na rzece Liwie. Osada należała do miejscowości Liszki (dawn. niem. Waldkathen). Dzięki rezerwom w jeziorze Dzierzgoń i jeziorze Liwieniec, młyny te miały pod dostatkiem wody, także latem. Zarówno stary jak i nowy młyn były foluszami fryderycjańskimi – manufakturami do spilśniania tkanin, pracującymi głównie dla potrzeb armii Fryderyka II Wielkiego. W roku 1905 osadę zamieszkiwało 9 osób. Znajdowała się tam również karczma. Stary Młyn (folusz) został z czasem przebudowany na tartak. Obok niego znajdowała się gospoda i gospodarstwo rolne. W 1927 roku zainstalowano w nim nowoczesną turbinę wodną, wytwarzającą prąd. Pierwotne zabudowania nowego młyna spłonęły. Jeden z jego właścicieli o nazwisku Prott, wzniósł gospodę, a teren przystosował do wypoczynku i rekreacji. Jakkolwiek głównym źródłem utrzymania było przetwórstwo i sprzedaż tarcicy drzewnej, w soboty i niedziele teren ten zamieniał się w miejsce zabaw i wypoczynku. Wszystkie młyny włączone były do wspólnego systemu energetycznego. W pobliżu Starego Młyna znajdowała się osada robotników leśnych (dawn. niem. Waldkathen) obecnie Liszki [w:] kwidzynopiedia.pl [data dostępu – 20.01.2019 r.].

Sama jednak elektrownia była w posiadaniu Lasów Państwowych, które wielokrotnie występowały o zwrot tego miejsca, w związku z czym Zarząd Miejski podjął próby przeniesienia produkcji prądu do młyna na pl. Wolności. Po oszacowaniu zniszczeń i wycenie odbudowy kwota ta wyniosła 1,5 mln zł. Zarówno miasto jak i „prywatna inicjatywa"[163] nie posiadały takiej ilości gotówki. Pomimo tego, do Zarządu Miejskiego dwukrotnie zgłosili się zdemobilizowani żołnierze Wojska Polskiego z pełnomocnictwem od Kierownika Powiatowego ds. aprowizacji o przejęcie młyna na pl. Wolności. Zarząd Miejski prosił więc o całkowite przejęcie działającej już elektrowni w „Alte Walkmühle" lub dofinansowanie odbudowy i uruchomienia „Hausmühle". Ewentualna odpowiedź wobec tego pisma nie została otrzymana.

* Odnotowano odpowiedź na pismo z 9 października, dotyczącą szkolnictwa na terenie miasta. Lista zawierała zarówno adresy placówek jak i personalia kadry:

  - ❖ Państwowe Gimnazjum Koedukacyjne – (5 nauczycieli), ulica Warszawska 2;
  - ❖ Publiczna Szkoła Powszechna – (7 nauczycieli), ulica Grunwaldzka 2;
  - ❖ Państwowe Przedszkole – (2 nauczycieli), ulica Krótka 1.

* 15 listopada – otrzymano prośbę z przedszkola o przydział 6 ton węgla, którym paliło się w 5 piecach; do przedszkola uczęszczało wówczas 70 dzieci.

* 19 listopada – nadeszła informacja z Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski" o przyjeździe do Prabut kina objazdowego w dn. 12 i 13 grudnia, wraz z prośbą o zapewnienie lokalu

163 AP Olsztyn, 412/16, s. 65.

na projekcje. Dzień sprawozdawczy ukazał jeszcze jedną ważną przesłankę. Nieco wcześniej w odpowiedzi na dokument z 8 listopada 1945 r. dowiadujemy się, iż na terenie miasta nie było zarówno kina jak i urządzeń kinematograficznych[164]. Pismem z 17 listopada 1945 r. zezwolono na przedstawienie teatralne, mające odbyć się dnia następnego w hotelu przy ul. Warszawskiej. Zalecenie zostało skierowane do posterunku Milicji Obywatelskiej w Prabutach i podpisane zarówno przez burmistrza jak i komendanta posterunku. Zaplanowano także zabawę taneczną. Pismo o zezwolenie na nią wystosował Komitet Odbudowy Kościoła, który podczas dancingu zamierzał zbierać datki na ten cel. Tego samego dnia Zarząd Miejski wyraził zgodę na wydarzenie, które miało odbyć się w sali „Czerwonego Krzyża"[165].

Pieczątka Parafii w Prabutach, przystawiona na pierwszym z ww. dokumentów

źródło: AP Olsztyn, 412/16, s. 142

164 Chociaż przed wojną kino istniało. Przedwojenny budynek znajdował się przy reliktach murów obronnych miasta, obok Bramy Kwidzyńskiej (obecnie chodnik i budynek banku).

165 W obu pismach nie podano jej adresu.

* 27 listopada – skierowano informację do sołtysów o mających odbyć się 9 grudnia „Rokach Starościckich"[166] w Biurach Zarządu Miejskiego. Podczas nich starosta, kierownicy Urzędu Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz Urzędu Skarbowego będą przyjmować prośby ludności i załatwiać bezpośrednio sprawy urzędowe.

* 9 grudnia – poinformowano Powiatowy Oddział Informacji i Propagandy w Suszu o ilości słupów reklamowych (3 – ul. Warszawska, Kwidzyńska i Jagiełły) oraz jednym punkcie „korpetarzowym"[167] na ul. Barczewskiego o nazwie „Grafika"; dostępnymi gazetami były: „Głos Pomorza" z Grudziądza oraz „Ilustrowany Kurier Polski" z Bydgoszczy.

* 14 grudnia – zraportowano dla Zarządu Miejskiego liczebność Koła PCK w Prabutach – 500 członków (prezes dr Sygnarski). Dane te zostały dodane do wykazu organizacji i związków działających na terenie gminy, a skierowanym do Suskiego Starostwa Powiatowego w Iławie. Poza Kołem PCK działały w niej:

L.p.	Nazwa organizacji/związku	Liczba członków
1.	Związek Ochotniczej Straży Pożarnej	20
2.	Związek Kupców	25
3.	Cech Rzemieślników	33
4.	Związek Harcerstwa Polskiego	170

źródło: AP Olsztyn, 412/17, s. 609

* 14 grudnia – Zarządców Rzeźni Miejskiej upomniano o uregulowanie rachunku za dzierżawę lodowni[168] przy pl. Kościuszki.

166 AP Olsztyn, 412/17, s. 583.

167 Tak w oryginale. Zapewne mowa o punkcie kolportażowym lub bardziej współcześnie – kiosku.

168 **Lodownia, lodnia** – pomieszczenie lub osobny budynek służący do przechowywania wyłącznie lodu lub śniegu. Lodownie były lokalizowane blisko chłodni, w których przechowywano produkty łatwo psujące się, bez udziału agregatów chłodniczych. W przypadku Prabut lód zbierano na okolicznych jeziorach oraz ówcześnie istniejącym Stawie Młyńskim (niem. Müchlen Teich). Obecnie jest to teren bagnisty, pomiędzy ulicą Malborską a linią kolejową [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 23.01.2019 r.].

* 17 grudnia – otrzymano odpowiedź na pismo z ambasady USA. W nim v-ce konsul dopytywał o stan fizyczny i prawny firmy „Bartels & Co", producenta maszyn rolniczych z siedzibą w przedwojennym Riesenburgu, a stanowiącej własność obywatela amerykańskiego – Johna Murraya Bartels'a. Zarząd Miejski odpowiedział, iż fabryka została jedynie nieznacznie uszkodzona, ale jest zdewastowana[169]; obecnie zaś jest własnością „Podstacji Traktorów w Prabutach". Dalszy kontakt w tej sprawie Urząd polecił prowadzić z Państwowym Urzędem Likwidacyjnym w Olsztynie.

* 31 grudnia – wpłynął wniosek do Urzędu Kontroli Skarbowej na zezwolenie (koncesję) sprzedaży „trunków alkoholowych"[170] podczas zabawy tanecznej, mającej odbyć się tegoż dnia w Sali PPS przy ul. Kisielickiej. Zysk przeznaczony miał być na Daninę Narodową[171]. Tego samego dnia dowódca jednostki WP w Prabutach pokwitował odbiór 2298 zł, zebranych przez mieszkańców Prabut i gminy Gdakowo na „gwiazdkę dla żołnierzy"[172].

WYBORY PARLAMENTARNE I PREZYDENCKIE W ROKU 1947

W wyborach wyciągnięto wnioski z sfałszowanego referendum 3xTAK, tym razem jednakże cały aparat państwowy (wliczając do tego rozbudowane „Siły Bezpieczeństwa") przeprowadził na masową skalę terror, wymierzony w jedyną i znaczącą partię opozycyjną – PSL. Najbardziej jaskrawym tego przykładem było aresztowanie (często pod błahym lub wręcz żadnym pretekstem) około 2 tysięcy działaczy i sympatyków PSL-u, dodatkowo mordując około 150. „Blok demokratyczny" – tak fałszywie określono

169 W domyśle rozszabrowana.

170 AP Olsztyn, 412/17, s. 486.

171 Patrz przypis nr 140.

172 AP Olsztyn, 412/17, s. 491.

grupę partii satelickich, zgromadzonych i zależnych oraz kontrolowanych przez PPR, uzupełniły dwie partie „niezależne", również podporządkowane PPR. Zastraszenie i masowa propaganda wymierzone w PSL nie przyniosły jednak korzystnego rezultatu dla rządzących w Polsce komunistów. Oficjalny wynik został oczywiście sfałszowany. Rzeczywisty trudno dziś ustalić, powszechne jest natomiast przekonanie wśród współczesnych historyków o zdobyciu większości głosów przez PSL[173]. Nic dziwnego, że również w Prabutach przystąpiono do zakrojonych na szeroką skalę przygotowań. Poza ustaleniami oczywistymi, jak dekoracje „wszystkich domów, gmachów państwowych oraz wystaw sklepowych"[174], zajęto się również sprawami, które mogą dziś mocno dziwić. Kilku mieszkańcom miasta zarekwirowano (czasowo naturalnie) rowery. Miały one być do dyspozycji Komendanta Milicji Obywatelskiej w Prabutach.

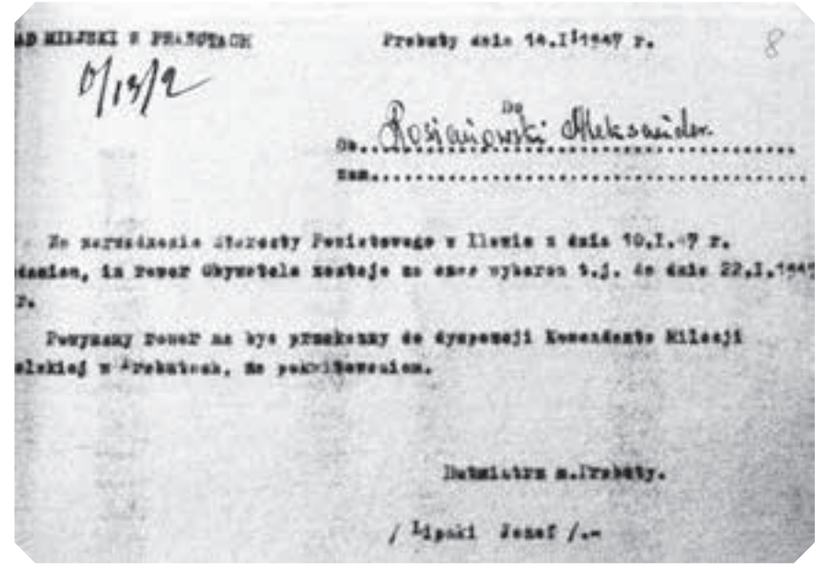
Prabuty dnia 14.I.1947 r.

8

01/19/2

Do

Pan Rosiejewski Aleksander

Nr.....

Z zarządzenia Burmistrza Powiatowego w Iławie z dnia 10.I.47 r. dzielen, iż rower Obywatela zostaje na czas wyborów t.j. do dnia 22.I.1947 r.

Powyższy rower ma być przekazany do dyspozycji Komendanta Milicji Obywatelskiej w Prabutach, na pokwitowaniem.

Burmistrz m.Prabuty.

/ Lipski Józef /.-

Zarządzenie burmistrza w sprawie konfiskaty rowerów

źródło: AP w Olsztynie, 412/30, s. 8

173 Na podstawie: http://wybory1947.pl/w47/sfalszowane-wybory/246,Sfalszowane-wybory-19-stycznia-1947-roku.html [data dostępu – 01.02.2019 r.].

174 AP Olsztyn, 412/30, s. 4.

Można się domyślać, iż z braku jakiegokolwiek źródła transportu miały służyć lepszej komunikacji w razie nieprzewidzianych wydarzeń. Warto przytoczyć również w całości dokument, opisujący teren obwodu nr 78, który obejmował obszar obecnej gminy Prabuty i bliższych okolic. Zawierał on spis miejscowości oraz godziny, w których można było oddać głos. Duża część z nich ma wyjątkowo interesujące nazwy.

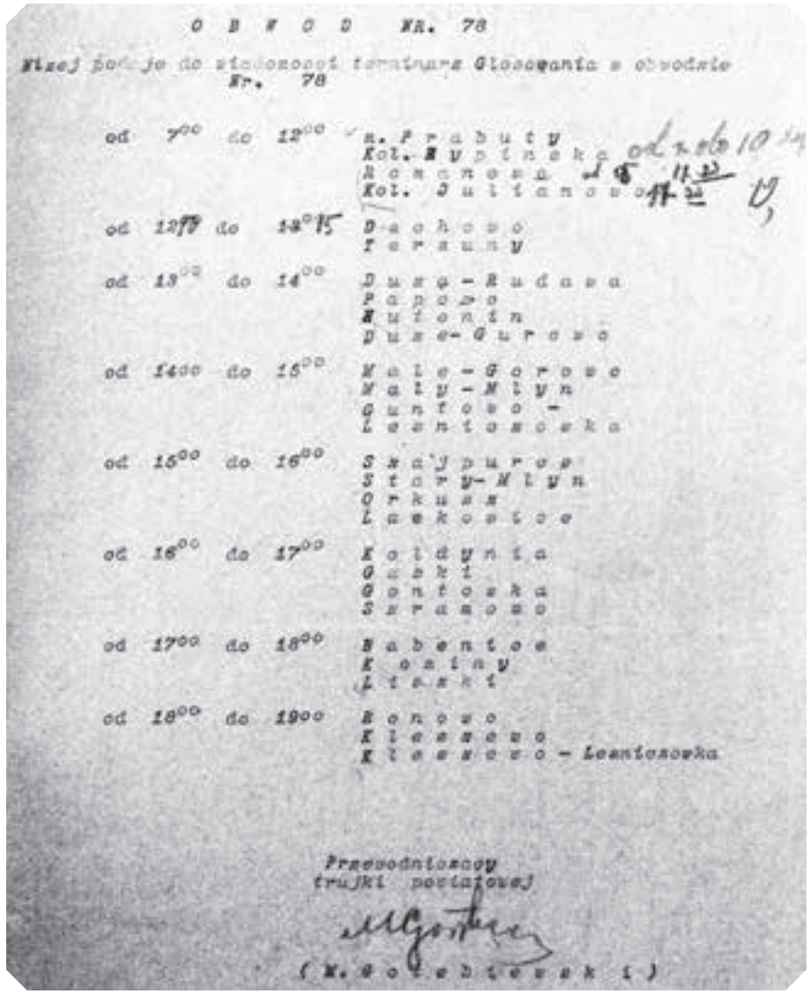

O B W O D NR. 78

Niżej podaje do wiadomości terminarz Głosowania w obwodzie Nr. 78

od 7⁰⁰ do 12⁰⁰ m. Prabuty
Kol. Wypinek
Romanowo
Kol. Julianowo

od 12⁴⁵ do 13⁰⁰ Dachowo
Terzuny

od 13⁰⁰ do 14⁰⁰ Duże-Rudowo
Papowo
Kufontin
Duże-Gurowo

od 14⁰⁰ do 15⁰⁰ Małe-Gorowo
Mały-Młyn
Gunfowo
Leontowówka

od 15⁰⁰ do 16⁰⁰ Szajpurowo
Stary-Młyn
Orkusz
Łaskowice

od 16⁰⁰ do 17⁰⁰ Kołdynia
Gąbki
Gontówka
Szramowo

od 17⁰⁰ do 18⁰⁰ Babentowo
Koziny
Łąski

od 18⁰⁰ do 19⁰⁰ Bonowo
Kleszczewo
Kleszczewo - Leontowówka

Przewodniczący
Gminnej Komisji Wyborczej
(M. Wołodkiewicz)

Terminarz głosowania w obwodzie Prabuty

źródło: AP Olsztyn, 412/30, s. 5

MIEJSKA RADA NARODOWA W 1947 ROKU

Pierwsze posiedzenie Miejskiej Rady Narodowej w Prabutach w roku 1947, w poprzednim składzie (tj. z 1946 roku) odbyło się 6 lutego. Było one wyjątkowo krótkie, ale zarazem „nadzwyczajne i uroczyste”[175]; związane z wyborami krajowymi, które przeprowadzono do sejmu oraz „przy okazji” wyborów prezydenckich przeprowadzonych 19 stycznia 1947 r. Na posiedzeniu przewodniczący Gładczenko podkreślił w przemówieniu znaczenie wyborów oraz związane z nimi „zdobycze demokracji”[176]. Po owym wystąpieniu zebrani uczcili tą historyczną chwilę przez trzykrotny okrzyk: „Niech żyje!”. Na tym nadzwyczajne zebranie zakończono. Tego samego dnia rozpoczęły się obrady „zwykłego” posiedzenia MRN. Najważniejszym ich punktem było uchwalenie budżetu administracyjnego na rok 1947. Poszczególne jego założenia przedstawiały się następująco (w zł):

Wydatki:

1.	Zarząd Ogólny	1 371 301;
2.	Majątek komunalny	183 853;
3.	Przedsiębiorstwa komunalne	152 878;
4.	Drogi i place publiczne	166 000;
5.	Oświata	373 371;
6.	Kultura i sztuka	70 000;
7.	Zdrowie publiczne	787 429;
8.	Opieka społeczna	89 000;
9.	Popieranie rolnictwa	20 000;
10.	Popieranie przemysłu i handlu	10 000;
11.	Bezpieczeństwo publiczne	78 000;
12.	Różne	45 007;
13.	Wydatki nadzwyczajne	946 792;
	SUMA:	4 293 631 zł

175 AP w Olsztynie, 412/2, s. 4.

176 Tamże.

Dochody:

1.	Majątek komunalny	312 149;
2.	Przedsiębiorstwa komunalne	12 000;
3.	Subwencje i dotacje	3 304 289;
4.	Zwroty	12 822;
5.	Opłaty administracyjne	87 500;
6.	Opłaty za korzystanie z urządzeń i zakładów	7 000;
7.	Udział w podatkach państwowych	10 000;
8.	Podatki inne	18 000;
9.	Podatki samoistne	529 000;
10.	Różne	501.

SUMA: 4 293 261 zł

W trakcie dyskusji nad powyższymi sumami wyłonił się szereg kwestii pobocznych. Przykładowo na wniosek radnego Neissnera, MRN poleciła Zarządowi Miejskiemu doprowadzić do estetycznego wyglądu ul. Warszawską oraz park miejski. Dodatkowo większość, bo 50 000 zł z wydatków na kulturę i sztukę planowano przeznaczyć na powołanie Miejskiej Biblioteki. Pozostałą kwotę z tej puli przewidziano na zakup rekwizytów dla „Teatru Ludowego”[177], oceniając obie inicjatywy jako „konieczność życiową”; zwrócono się także do Prezydium PRN o specjalne zachowanie wydatków przy akceptacji całego planu. Dalej rozpatrywano sprawę kadrową posterunku MO w Prabutach. Dotychczasowa ilość funkcjonariuszy (5-ciu wraz z komendantem) nie była w stanie dopilnować majątku publicznego „niszczonego przez miejscową ludność”[178], postanowiono zatem zwrócić się do (niestety) niesprecyzowanych „odnośnych władz”[179] o zwiększenie liczby funkcjonariuszy do 8-miu. Kwestią moralno-obyczajową był wniosek, który przedstawił radny Neissner – dyrektor Gimnazjum w Prabutach.

177 Tamże, s. 10.

178 Tamże.

179 Tamże.

Oznajmił on zebranym, iż przed „kilkoma dniami”[180] zgłosiło się do niego kilkoro uczniów mieszkających w Suszu. Wedle ich relacji, tamtejszy lekarz miejski (narodowości niemieckiej, co kilkukrotnie podkreślono w dokumencie) zarządził badanie wenerologiczne młodzieży. Radni mając na uwadze „krzywdę moralną” uczniów oraz „poderwanie autorytetu władz szkolnych”[181] wystosowali wniosek o „wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji” w stosunku do lekarza[182]. Sporo uwag natury medycznej MRN miała również wobec lekarza powiatowego. Postulowała o usunięcie go ze stanowiska. Kontynuując wątek „edukacyjny”, radny Neissner poinformował MRN o „katastrofalnym”[183] stanie dzieci. Z przebadanych 430, u 309 wykryto poważne wady zdrowotne lub podstawy do ich wytworzenia. Przyczynę (zapewne słusznie) upatrywano w niedostatku[184], w jakim dzieci żyły. W reakcji na te wiadomości jednogłośnie uchwalono zwrócenie się do „czynników” o pomoc w dożywianiu dzieci oraz zapewnieniu dla nich odpowiedniej odzieży i obuwia. Dłuższej dyskusji wymagał wniosek przekazania tzw. domu „Pod Jeleniem” na ul. Warszawskiej dla Związku Samopomocy Chłopskiej, PPR oraz Związkowi OSP w Prabutach. Jako najmniej zniszczona i reprezentacyjna, ul. Warszawska miała zostać również siedzibą „Domu Kultury”. Planowano urządzić go w domu PCK. Aby uzyskać środki pieniężne na ten cel, zarządzono „samoopodatkowanie się miejscowego społeczeństwa”[185]. Przy tej samej ulicy zakładano również przekazanie gmachu dla Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego w Prabutach,

180 Tamże.

181 Tamże, s. 10-11.

182 Z nieomal 100% pewnością można założyć, iż lekarzem tym był Hans Graf von Lehndorf, autor niezwykle interesujących pamiętników, opisujący swoje powojenne doświadczenia w Suszu – „*Ostpreussisches Tagebuch. Aufzeichnungen eines Arztes aus den Jahren 1945-1947*”. Monachium, 1961 r. – Pamiętnik wschodniopruski. Zapiski lekarza z lat 1945-1947.

183 AP w Olsztynie, 412/2, s. 11.

184 Aż do stopnia niedożywienia.

185 AP w Olsztynie, 412/2 s. 12. Podatkiem zostali objęci m.in. właściciele psów (100 zł rocznie), przedsiębiorstwa, zakłady przemysłowe oraz handlowe posiadające szyldy (wielkość uzależniona była od rozmiaru danego szyldu: do 1 m – 300 zł rocznie, powyżej 1 m – 500 zł rocznie).

który notabene był z nim połączony. Dotychczas mieszczącą się tam Kuchnię Ludową miano przenieść do Ośrodka Zdrowia (za zgodą jego kierownika, dr Sygnarskiego). Po omówieniu drobniejszych spraw, posiedzenie obfitujące w ważne postanowienia zamknięto.

7 stycznia odbyło się pierwsze zebranie „Komitetu Odbudowy Warszawy”[186], w składzie:

L.p.	Nazwisko i imię	Przez jaką organizację/ partię desygnowany	Zawód
1.	Lipski Józef	Zarząd Miejski	urzędnik, burmistrz
2.	Klimuszko Andrzej	Parafia rzym.-kat. Prabuty	ksiądz
3.	Gańczuk Włodzimierz	Związek Kupców w Prabutach	rzeźnik
4.	Żochowski Feliks	Samopomoc Chłopska	rolnik
5.	Cieślowa Józefa	-	urzędnik
6.	Jerzy Gładczenko	PPS	-
7.	Ejankowski Maks	Związek Kupców w Prabutach	-
8.	Lenartowicz Irena	-	-
9.	Mysakowski Bogdan	-	urzędnik
10.	Pokojski Franciszek	-	nauczyciel
11.	Kołodziejczak Ludwik	Cech rzemieślników	ślusarz

źródło: AP Olsztyn, 412/17, s. 8

Kolejne posiedzenie MRN w roku 1947 mało miejsce 22 marca. Najważniejszą sprawą było naniesienie poprawek na budżet roku 1947, wskazanych przez PRN w Iławie. Po „aktualizacjach” zmiany przedstawiały się następująco:

Wydatki			
L.p.	**Nazwa działu**	**Było**	**Jest**
1.	Zarząd ogólny	1 371 301	1 613 441
2.	Majątek komunalny	183 853	40 156
3.	Przedsiębiorstwa komunalne	152 878	152 878
4.	Drogi i place publiczne	166 000	166 000
5.	Oświata	373 371	373 871
6.	Kultura i sztuka	70 000	70 000
7.	Zdrowie publiczne	787 429	1 023 429
8.	Opieka społeczna	89 000	235 000
9.	Popieranie rolnictwa	20 000	20 000
10.	Popieranie przemysłu i handlu	10 000	10 000
11.	Bezpieczeństwo publiczne	78 000	140 000
12.	Różne	45 007	41 298
13.	Nadzwyczajne	946 792	963 717
SUMA		**4 293 631**	**4 849 790**

źródło: AP Olsztyn, 412/27, s. 27

Dochody			
L.p.	**Nazwa działu**	**Było**	**Jest**
1.	Majątek komunalny	312 149	152 720
2.	Przedsiębiorstwa komunalne	12 000	36 916
3.	Subwencje i dotacje	3 304 289	3 984 961
4.	Zwroty	12 822	27 822
5.	Opłaty administracyjne	87 500	82 500
6.	Opłaty za korzystanie z urządzeń i zakładów komunalnych	7000	7000
7.	Dopłaty	-	10 000
8.	Udział w podatkach państwowych	10 000	18 000
9.	Podatki inne (samoistne)	529 000	529 370
10.	Różne	501	501
SUMA		**4 293 261**	**4 849 790**

źródło: AP Olsztyn, 412/27, s. 27-28

Z poprawek tych jasno wynika, że zarówno wydatki, jak i dochody wzrosły. MRN upoważniła więc Zarząd Miejski, aby wystąpił z wnioskiem do Funduszu Pożyczkowo-Zapomogowego w Warszawie o dotację na niedobory budżetowe w kwocie 128 625,35 zł z 1946 r. i 3 205 531 zł na rok 1947. Poza sprawami budżetowymi podjęto inicjatywę utworzenia w Prabutach „Ambu-

186 AP Olsztyn, 412/27, s. 8.

latorium weterynaryjnego”[187], które miało służyć nie tylko samemu miastu, ale i okolicznym gminom, co pozwoliłoby m.in. na partycypowanie kosztów jego utrzymania. Tym samym powołano Miejską Komisję Sanitarną, w składzie:

* dr Sygnarski Władysław – przewodniczący;
* Krajewski Narcyz – zastępca przewodniczącego;
* Skowroński Stanisław;
* Ejankowski Maksymilian;
* Walentowicz Ignacy.

Skierowano pierwsze kroki w celu przydziału ogródków – uchwalono za nie opłatę[188] oraz powołano komisję, która miała je rozdzielać. Posiedzenie MRN z 26 kwietnia zdominowała kwestia powodzi[189] – na pomoc przekazano fundusze należne za diety radnych z tego dnia. Uchwalono utworzenie Komitetu Niesienia Pomocy Ofiarom Powodzi. W jego skład, poza burmistrzem Lipskim, mieli wejść przedstawiciele znaczących partii, organizacji społecznych, tj.: PPS, PPR, ZZK, Samopomocy Chłopskiej, Związku Kupców, Związku Rzemieślników, Straży Pożarnej, ZNP[190], Poczty, Ośrodka Zdrowia oraz Osadników Wojskowych. Każda miała wyłonić 2 członków ww. komitetu. Na jego rzecz MRN zwróciła się z prośbą do (tradycyjnie niesprecyzowanych) „odnośnych” władz o przekazanie 30 kilogramów smalcu. MRN zajęła się również sprawami lokalnymi – brakiem „od dłuższego czasu”[191] oświetlenia ulic miejskich oraz naprawie sieci wodociągowej,

187 AP Olsztyn, 412/12, s. 26.

188 Tamże, s. 29 – 30 gr za metr rocznie i 100 za działkę w ogóle.

189 Katastrofalne wydarzenie w marcu 1947 r. Bardzo ciężka i mroźna zima przełomu lat 1946/47 spowodowała duże nagromadzenie śniegu i lodu. Nagłe ocieplenie i dodatkowe opady deszczu spowodowały wielką powódź. Zniszczone zostały 2 z 3 mostów w Warszawie, świeżo odbudowany most w Tczewie; zalane zostały duże połacie ziemi na Mazowszu oraz przedmieścia Gdańska. Żywioł duże straty spowodował również po niemieckiej stronie Odry.

190 Związek Nauczycielstwa Polskiego.

191 AP Olsztyn, 412/12, s. 31.

uszkodzonej podczas zimy 1946/47 r. Polecono także skontrolować świeżo utworzoną „Komisję Przydziału Ogródków”, która miała działać niezgodnie z przepisami. Zebranie, które odbyło się 24 czerwca domykało kwestie budżetowe. Po naniesionych poprawkach, PRN w Iławie zaakceptował poniższe kwoty (w zł):

* Administracja 4 849 790;
* Wodociągi i kanalizacja 496 946;
* Miejski Ośrodek Zdrowia 800 429;
* Zakład Czyszczenia Miasta 164 932.

Złożono sprawozdanie z wyjazdu do Warszawy, gdzie zabiegano o dotacje. Pismo co prawda jeszcze nie dotarło, jednak wedle relacji, odpowiedni „czynnik” w Ministerstwie Administracji Publicznej przychylnie je rozpatrzy, gdy tylko oficjalnie dokument otrzyma. Nie była jednakże znana suma, na jaką dotacja zostanie przyznana. Na tymże posiedzeniu utworzono komisje mające mieć nadzór nad poszczególnymi sektorami działalności MRN. Były to:

* Komisja Oświatowa (Niessner i Pokojski);
* Komisja Rolna (Zdyb i Czarnecki);
* Komisja Budżetowo-gospodarcza (Maj, Ejankowski, Żochowski, Litewka).

W sposób interesujący MRN rozwiązała problem przekazania przez PUR[192] w Suszu domu w Prabutach przy ul. Grunwaldzkiej, dla Jana Ostrowskiego. W budynku tym bowiem mieściła się apteka „Pod Orłem”. Z tego powodu (po porozumieniu z żoną pana Ostrowskiego) wystąpiono do PUR w Suszu o cofnięcie pozwolenia na ten dom, aby przydzielić rzeczonemu inny o podobnych wymiarach. Sam budynek apteki MRN chciała upaństwowić lub w ostateczności przekazać pod władanie Zarządu Miejskiego. Na tym samym posiedzeniu otworzono kolejną, tym razem

192 Państwowy Urząd Repatriacyjny.

„chwilową", komisję ds. przejęcia majątku po likwidowanej Podstacji traktorów i związanego z tym przejęcia budynku i sprzętów pozostałych jeszcze po firmie przedwojennej – „Bartels & Co".

Zebranie z 10 lipca przynosi wielkie rewelacje. Jednym z nieobecnych, aczkolwiek usprawiedliwionych, był radny (lecz już nie burmistrz) Józef Lipski. W dalszej części dokumentu okazuje się, iż został on aresztowany, w związku z czym pozostał wakat na jego uprzednim stanowisku. MRN zwróciła się do „odpowiednich czynników" o „przyspieszenie wydania zarządzenia wyborów"[193], zaś na wniosek radnego Sygnarskiego, MRN zwróciła się do „czynników" o zwolnienie Lipskiego z tymczasowego aresztu, do czasu rozprawy i wyroku.

Inną sprawą bieżącą było uchwalenie przetargu na naprawę uszkodzonej w czasie działań wojennych (oraz w stopniu znaczniejszym po nich) wieży ciśnień. Zbliżająca się zima spowodowałaby bowiem dalsze jej niszczenie. Kontynuowano również sprawę oświetlenia miasta – w tym celu zwrócono się do ZEOM w Kwidzynie z pismem (kolejnym). Po raz wtóry poruszono sprawę komunikacji kolejowej miasta i zarządzono wysłanie pisma do władz kolejowych o przedłużenie pociągu relacji Olsztyn-Iława do stacji Prabuty. Najważniejszymi ustaleniami sesji z 24 lipca było wydzierżawienie obiektów potartacznych przy ul. Wojska Polskiego dla firmy „Zakłady Doświadczalne Fabrykacji Drzewa Egzotycznego". Umowa została zawarta na 3 lata. Drugim postanowieniem tego zebrania było przesłanie wniosku o przejęcie przez Zarząd Miasta praw własności majątku Romanowo (około 60 ha). Z ziemi tej, część – 10 ha przekazanoby dla internatu Gimnazjum Państwowego w Prabutach.

Z dniem 5 sierpnia powstała zaskakującą i przełomowa decyzja o usunięciu Jerzego Gładczenki z funkcji przewodniczącego i rad-

193 AP Olsztyn, 412/12, s. 51.

Odgrodzone centum miasta z zakazem wjazdu, fot.: arch. prywatne I. Barbarewicz

nego MRN. Decyzję uzasadniono tym, iż „został skompromitowany w związku z ewentualnymi nadużyciami popełnionymi przez burmistrza”[194]. Trudno orzec, jak można się „ewentualnie skompromitować”, jednakże rada potwierdziła tę decyzję. Poproszono PPS w Prabutach o skierowanie zastępstwa[195], zaś funkcję przewodniczącego MRN otrzymał, po głosowaniu, Henryk Niessner. Na zakończenie powołano jeszcze Miejski Komitet Opieki Społecznej w składzie:

* Pokojski Franciszek;
* ks. Piechowiak Zdzisław;
* Mysakowski Bolesław.

Cenne historycznie okazały się zeznania z dnia 20 sierpnia – doszło wtedy do spisania protokołu rozmowy, którą odbył Józef Szymański z Franciszkiem Milewskim. Pan Szymański powiedział, iż brał udział w zdejmowaniu dzwonów z wieży kościoła ewangelickiego (tj. spalonej konkatedry) i zawiesił je na wieży kościoła rzymskokatolickiego (kościół pw. św. Andrzeja). Posiedzenie MRN z 6 września rozstrzygnęło kwestię wakatu na stanowisku burmistrza, po aresztowanym Józefie Lipskim. W głosowaniu wyłoniono Feliksa Żochowskiego, zaś jego zastępcą w drugiej turze został Stefan Maj. Na tym posiedzenie zakończono. Poźniej – 15 listopada, MRN odpowiedziała do prezydium PRN w Iławie, w sprawie wyboru Stefana Maja na v-ce burmistrza. PRN miało zastrzeżenia, ponieważ Maj był przed wojną policjantem. 16 października zebranie MRN zajmowało się w głównej mierze budżetem. Wpierw zatwierdzono wersję za 1946 r., a następnie uchwalono przyszłoroczny, tj. na rok 1948. Ponadto w obawie przed niszczeniem drewnianych budynków gospodarczych nieobjętych opieką (znajdujących się np. przy zniszczonych domach) zatrudniono dwóch stróżów, którzy mieli nadzorować ich stan. Przemianowano również jedną z ulic – z Południowej na Sikorskiego. Dokonano tego na wniosek „Zarządu Powiatowego Stronnictwa Pracy”[196], zaś dom zajęty przez PPS przy ul. Kisielickiej postanowiono przemianować na „Dom Teatru Miejskiego”[197]. Ze spraw edukacyjnych przystąpiono natychmiast do remontu centralnego ogrzewania w Szkole Powszechnej, a ponadto wystąpiono o zwiększenie personelu nauczycielskiego o dwie osoby w tejże placówce. Pojawiło się też pismo związku Samopomocy Chłopskiej w Prabutach do MRN, z prośbą o utworzenie Gminnej Szkoły Przysposobienia Rolniczego we wsi Romanowo i pomoc w jej organizacji. Zebranie z 24 listopada 1947 r. zaowocowało utworzeniem „Obywatelskiego komitetu pomocy zimowej”[198]. Miał on pomagać najbardziej potrzebującym mieszkańcom miasta oraz zorganizować im „Gwiazdkę”. Postępowały również prace nad Miejską Biblioteką. Na ten cel otrzymano ze Zbiornicy książek przy Ministerstwie Oświaty[199] 100 książek.

194 AP Olsztyn, 412/12, s. 59.

195 Tamże, s. 64, wybrany został Stefan Kurkiewicz.

POCZYNANIA MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1948 ROKU

Pierwsze posiedzenie MRN odbyło się 31 stycznia. Poddano pod tajne głosowanie kwestię przynależności gmachu na ul. Warszawskiej, uprzednio zajmowanego przez PCK[200]. Wnioski o jego „przejęcie” złożyły następujące organizacje/związki i osoba prywatna:

* Związek Osadników Wojskowych;
* Gminny Komitet Przysposobienia Rolnictwa Wojskowego;
* Komitet Kolejowego PPS-u w Prabutach;
* Związek Inwalidów Wojennych;
* Feliks Bobowski;
* Związek Kupców i Rzemieślników.

196 AP Olsztyn, 412/12, s. 76.

197 Tamże, s. 80.

198 AP Olsztyn, 412/2, s. 94.

199 Tamże, s. 95.

200 Jak wspomniano w poprzednich rozważaniach, gmach ten był już przekazywany różnym instytucjom. Najwyraźniej poprzednie ustalenia nie obowiązywały.

Radni uznali, że poza Związkiem Kupców i Rzemieślników oraz Komitetem Kolejowym PPS-u, pozostałe organizacje mogą pomieścić się w innych lokalach, ewentualnie korzystać z Sali Miejskiej na ul. Kisielickiej[201]. W wyniku głosowania budynek otrzymała pierwsza z ww. organizacji. Miała utworzyć w nim „Dom Kultury, biura związku, ewentualnie Czytelnię Publiczną"[202]. Na zebraniu wezwano również mieszkańców do dobrowolnej i ochotniczej pomocy przy oczyszczaniu miasta i wywózce gruzów.

Bardzo często, by nie powiedzieć zawsze, osoby interesujące się lokalną historią odbudowy miasta, a szczególnie zaciekawione dokonaniem porównania przedwojennych, niemieckich pocztówek ze stanem obecnym, napotykają na informacje dotyczące transportów cegieł, które wywieziono na odbudowę Warszawy. Niecny proceder, nakazany przez władze centralne, uniemożliwiał lub znacząco utrudniał (wedle relacji) odbudowę starówek okolicznych miast: Prabut, Susza, Kwidzyna, etc., czy aż tak zniszczonych, że ten status utraciły – Gardeja. Z przeanalizowanych dokumentów wynika jednoznacznie, iż sprzedaż cegieł z rozbieranych budynków była jednym z najbardziej dochodowych źródeł w miejskich budżetach[203]. Znajdowało przy tym zatrudnienie również wielu mieszkańców – od osób, które budynki doszczętnie[204] rozbierały, przez „obstukiwaczy" cegieł z tynku, zaprawy i innych „brudów", dalej ładowaczy oraz na końcu woźniców, którzy transportowali surowiec na stacje kolejowe. W dokumentach pojawiają się często zapytania miast z Centralnej Polski (a więc stosunkowo mniej zniszczonych) o możliwość zakupu rozbiórkowych cegieł. Wysyłano je jednakże do wielu różnych

201 Prawdopodobnie mowa o budynku obecnego Prabuckiego Centrum Kultury i Sportu.

202 AP Olsztyn, 412/3, s. 8.

203 Jak wynika z wyjaśnień burmistrza Żochowskiego, złożonych 19 czerwca 1950 r. na posiedzeniu MRN, dochody uzyskiwane z tego tytułu wykorzystywane były do prac nad odgruzowywaniem miasta. Był to wobec tego „samonapędzający się" przemysł. AP Olsztyn, 779/84, brak numeru strony.

204 Często razem z piwnicami i fundamentami.

Odgruzowywanie miasta przez zatrudnionych mieszkańców, 1947-1948 r.
fot.: arch. prywatne J. Krzysiek

Tymczasowy tor do transportu gruzu, 1947-1948 r.
fot.: arch. prywatne J. Krzysiek

miejscowości, a zaledwie w jednym dokumencie jednoznacznie wymieniona jest Warszawa. Nie oznacza to naturalnie, że cegły wysłane do mniejszego miasta później do niej nie trafiły. Pozostaje to jedynie w sferze domysłów, choć prawdopodobnych. Poniższe tabelki przedstawiają liczby cegieł dostarczonych drogą kolejową do różnorodnych miejscowości w roku 1948 i 1949. Z powodu możliwego braku pełnej dokumentacji, poniższe szacunki są minimalnymi wartościami, ukazującymi dokąd i ile wysłano cegieł. „Biznes" ten miał miejsce również w latach późniejszych.

Zestawienie z roku 1948

L.p.	Miejscowość	Data wysyłki	Liczba cegieł
1.	Olsztyn	11 I, 11 II	8000
2.	Lublin	11 II	19 000
3.	Sokołów Podlaski	30 I-7 II, 13 III	48 000
4.	Radoszki	19, 22, 24 III; 26, 27, 28, 29 IV; 5, 7 V	77 000
5.	Wilkołaz	1 IV	10 000
6.	Legionowo	8, 11, 15, 22, 25 V	25 000
7.	Sadurki	30 XII	3550
		SUMA	**190 550**

źródło: opracowanie własne

Zestawienie z roku 1949

L.p.	Miejscowość	Data wysyłki	Liczba cegieł
1.	Konopki	?	4500
2.	Sadurki	6 I	5000
3.	Jaszczów	?	14 000
4.	Podniesno	3 I, 11 III	12 000
5.	Warszawa	VIII	76 000
6.	Olsztyn	?	300 000
		SUMA	**411 500**

źródło: opracowanie własne

Zebranie MRN 26 lutego przyniosło prace nad budżetem, uwzględniono poprawki naniesione przez PRN w Iławie oraz zobligowano Zarząd Miejski do wystąpienia o dotację w kwocie

4 226 932 zł „na pokrycie niedoboru budżetowego na 1948 rok"[205]. Postanowiono również „po dłuższej dyskusji"[206], wakatujący mandat po Józefie Lipskim przyznać dla PPR. Obrady te obfitowały w inne ciekawe ustalenia. Polecono m.in. Zarządowi Miejskiemu sporządzenie kosztorysu remontu obiektu na jednej z wysp Jeziora Dzierzgońskiego[207]. Budynek był stanicą żeglarską/schroniskiem młodzieżowym do roku 1945[208]. MRN zatwierdziła również umowę pomiędzy Zarządem Miejskim a Związkiem Kupców i Cechem Zbiorowego Rzemiosła, na wydzierżawienie budynku przy ul. Władysława Jagiełły. Zadecydowano o wyszukaniu introligatora do oprawienia otrzymanych w 1947 roku książek, na poczet Biblioteki Miejskiej. Uchwalono także rozpisanie konkursu na stanowisko bibliotekarza „na terenie miasta"[209].

Nieistniejące obecnie schronisko młodzieżowe na J. Dzierzgońskim (Sorgensee), widok na budynek zachowany jedynie w formie archiwalnej, pocztówka sprzed 1945 r.
autor: nieznany, **źródło:** http://www.marienburg.pl/files/prabuty_216.jpg
[data dostępu – 24.03.2019 r.]

205 Tamże, s. 31.

206 Tamże, s. 32.

207 W dokumencie nazywane jest ono nadal (3 lata po wojnie) Sorgen, od jego niemieckiej nazwy.

208 Obecnie zachowały się jedynie jego gruzy.

209 Tamże, s. 33.

Podjęto decyzję, aby nie obsadzać osadników w 3 budynkach majątku Ronowo, a obiekty te przeznaczyć na internat przy Gimnazjum Państwowym. Wystąpiono także z wnioskiem o „przejęcie" samego Ronowa i Kleczewa.

W związku z 30-tą rocznicą istnienia Armii Czerwonej, MRN powzięła decyzję o ekshumacji pochowanych żołnierzy sowieckich, aby złożyć ich na cmentarzu wojskowym przy ul. Górnej. W późniejszym czasie grobami miała opiekować się młodzież szkolna. Polecono Zarządowi Miejskiemu zabezpieczenie przed dalszym niszczeniem kościoła ewangelickiego przy ul. Górnej (tj. obecnie konkatedry), „ze względu na to, że kościół ten stanowi zabytek historyczny"[210]. Ustalono usunięcie z miasta wszelkich napisów niemieckich. 11 marca MRN na swym zebraniu zajęła się wyłącznie kwestią planu zagospodarowania przestrzennego, aby nieco uwspółcześnić jego temat. Plany były wyjątkowo ambitne i obejmowały takie obiekty, jak m.in.: dworzec autobusowy (ul. Kwidzyńska), rzeźnia (co ciekawe[211] ul. Kolejowa), przedszkole (ul. Brzozowa), gimnazjum (ul. Malborska), liceum[212] (ul. Kisielicka i Kuracyjna), kąpielisko (ul. Kwidzyńska), Dom Dziecka (ul. Podgórna), Dom Starców i kinoteatr (ul. Kwidzyńska), Dom Ludowy (ul. Mickiewicza), park (ul. Nadjeziorna), cmentarz (ul. Zielna, Kuracyjna i Jagiełły)[213], itd. Jak widać, lokalizacje wybrano w sposób (biorąc pod uwagę współczesność) intrygujący. Należy dodać, iż sporej części tych zamierzeń nie zrealizowano.

Ustalenia zebrania zarządu z 10 kwietnia kontynuują wątek ekshumacji poległych żołnierzy radzieckich. Jej termin wyznaczono na 17 kwietnia. Miejsce pochówku, czyli cmentarz wojskowy przy ul. Górnej, nie uległo zmianie. Poza tym na spotkaniu zadecydowano o remoncie przedszkola oraz pozwolono na wymontowanie z gruzów jednego dźwigara, potrzebnego do remontu budynku kolejowego. Rozpisano przetargi na remonty zabudowań mieszkalnych przy ul. Ogrodowej oraz sporządzenie kosztorysu utworzenia „targowicy miejskiej"[214]. Wystąpiono do Olsztyńskiego Urzędu Wojewódzkiego o pożyczkę w kwocie 2 000 000 zł, na odbudowę i uruchomienie miejskiej gazowni. Podobne plany (aczkolwiek już bez pożyczki) przedsięwzięto wobec remontu i uruchomienia chłodni miejskiej. Ciekawą sprawę stanowiła natomiast decyzja nakazująca „oglądaczowi mięsa"[215] osiedlenie się w mieście. W przeciwnym wypadku groziły mu konsekwencje, aż do zwolnienia włącznie. Nietypową decyzję przyniosło zebranie Zarządu miejskiego z dnia 10 lipca – w ramach nagrody i podziękowania za 3-dniową pracę 130-osobowej grupy z organizacji „Służba Polsce"[216], postanowiono urządzić jej tego dnia zabawę taneczną. Koszty wyliczono na 10 000 zł i pokryte miały być z kredytu na odgruzowanie miasta.

23 lipca posiedzenie MRN uchwaliło preliminarze budżetowe na szkolnictwo w roku 1949. Przedstawiały się one następująco:

L.p.	Przeznaczenie środków	Kwota (w zł)
1.	Szkoła Podstawowa	760 400
2.	Szkoła Zawodowa	219 000
3.	Przedszkole	308 900
4.	Na zwalczanie analfabetyzmu	36 000
	W SUMIE	**1 324 300**

źródło: opracowanie własne

210 Problem przywoływano na posiedzeniach MRN i Zarządu Miejskiego od roku 1945.

211 Jej przedwojenny budynek mieścił się przy ul. Kwidzyńskiej.

212 Dwa adresy wskazują na więcej niż jedną placówkę edukacyjną tego typu.

213 AP w Olsztynie, 412/6, s. 7 i 8.

214 Targ zajmujący się sprzedażą zwierząt i produktów pochodzenia zwierzęcego.

215 Mowa zapewne o formie weterynarii.

216 **Powszechna Organizacja „Służba Polsce" (SP)** – polska państwowa organizacja paramilitarna, utworzona 25 lutego 1948 r. i przeznaczona dla młodzieży w wieku 16-21 lat. Tworzyła ją ustawa z tego samego dnia [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 25.03.2019 r.].

Posiedzenie MRN z 10 sierpnia było krótkie i treściwe. Jedynym jego owocem była decyzja o utworzeniu Biblioteki Publicznej na ul. W. Jagiełły[217]. Nawiązanie do średniowiecznych praktyk przyniosło zebranie z 28 września, które ustaliło świadczenie drogowe w naturze na rok 1949, w wysokości 25% podatku gruntowego. Podział zaistniał na dniówki piesze i konne, z przeznaczeniem na remonty dróg, melioracje i szkolnictwo. Do akcji odgruzowywania miasta wezwano mieszkańców dobrowolnie (ochotniczo). 20 października Zarząd Miejski zajął się stworzeniem planów targowicy miejskiej. Odkryto, że nabyty, skórzany pas zakupiony do elektrowni miejskiej jest za szeroki. W związku z tym zdecydowano o jego sprzedaży. Uzyskane fundusze miały służyć pozyskaniu odpowiednich rozmiarów nowego pasa. Postanowiono wysłać delegację do Warszawy, w celu przyspieszenia decyzji o pożyczce na pokrycie niedoboru budżetowego na rok 1948. W podróż tą 21 października miał udać się burmistrz Żochowski.

Zebranie Zarządu Miejskiego z 7 listopada przesądziło o losie szopy na terenie prabuckich koszar. W porozumieniu z dowódcą jednostki wojskowej w Iławie (w którego jurysdykcji, jako obiekt wojskowy, była również szopa) postanowiono nie rozbierać jej, a zamiast tego przeznaczyć na targowicę miejską. Natomiast materiał na zabezpieczenie uszkodzonych budynków koszar zamierzano pozyskać z dwóch innych szop – przy ul. Górnej i Malborskiej. Dnia 11 grudnia wydano rozporządzenia głównie finansowe. Przydzielono ubogim uczniom jednorazowe stypendia. Decydowała o tym opinia rady pedagogicznej prabuckich szkół. Ogółem pomoc otrzymało 37 uczniów w szkole średniej ogólnokształcącej oraz 15 w szkole średniej zawodowej. Wahała się ona od 1000 do 1500 zł.

217 Nie podano niestety numeru budynku, co było częstą praktyką we wczesnej dokumentacji.

HISTORYCZNE KALENDARIUM WYBRANYCH SPRAW RANGI LOKALNEJ W ROKU 1948

* 21 stycznia – powstał wniosek o sprzedaż 30 m „budulca”[218] na terenie Nadleśnictwa Suskiego, w celu naprawy budynku Szkoły Zawodowej w Prabutach.

* 21 stycznia – skierowano wniosek do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olsztynie o zezwolenie na posiadane broni palnej przez stróżów nocnych, zatrudnionych w celu walki z szabrownictwem w Prabutach.

* 19 lutego – utworzono Statut Ośrodka Zdrowia w Prabutach: adres: Nadjeziorna 13; teren działalności: Miasto Prabuty i gminy wiejskie Gdakowo-Różany (około 10 tys. mieszkańców); personel: 2 lekarzy (w tym kierownik ośrodka), 3 pielęgniarki (w tym jedna starsza pielęgniarka); poradnie specjalistyczne: dla kobiet ciężarnych, dla niemowląt i dzieci, przeciwgruźlicza, przeciw weneryczna.

* 20 lutego – w gazecie „Życie Olsztyńskie” nr 59 ukazuję się artykuł o tytule „Kolejarze w Prabutach nie mogą założyć spółdzielni z braku lokalu”. Opisuje on sytuację kolejarzy[219], którzy planowali utworzyć w budynku sąsiadującym ze stacją kolejową „spółdzielnię, świetlicę związkową, hotel oraz czytelnię”[220]. Piękne plany pokrzyżowała jednak niecnie MRN, która budynek przekazała prywatnym kupcom.

* 13 marca – Prezydium MRN powołało[221] Zarząd Miejski w Prabutach. W celu jego prawidłowego funkcjonowania postanowiono wybrać wobec tego 3-ech ławników.

218 AP Olsztyn, 412/41, s. 5.

219 Wedle artykułu stanowili oni ¼ ludności miasta, co jest interesujące i nierealne.

220 AP Olsztyn, 412/68, dok. nienumerowany. Artykuł przepisany na maszynie.

221 Dokument wprowadza dość niezrozumiałe zamieszanie; jak ujęto wcześniej w niniejszej publikacji, instytucja o tej nazwie istniała już w mieście i to przed MRN.

* 19 marca – wnioskowano o wyłączenie dla „celów gospodarki samorządowej”[222] budynku przy ul. Warszawskiej (dawna siedziba Hitlerjugend) na przedszkole oraz domu na ul. W. Jagiełły[223] na Dom Kultury.

* 31 marca – zadecydowano o usunięciu z terenów kolejowych „dużej liczby napisów niemieckich”[224], które nadal się tam znajdowały, w terminie do 10 kwietnia.

* 9 kwietnia – Prabucka MRN skierowała odpowiedź do Biura Prezydium WRN w Olsztynie, w sprawie artykułu z dn. 20 lutego. Wyjaśnia w niej, iż opisywany budynek to kilkukrotnie wzmiankowana w niniejszej publikacji, była siedziba rozwiązanego pod koniec 1947 r. lokalnego oddziału PCK. Budynek przejął Związek Kupców i Rzemieślników w zamian za jego remont, założenie w środku „Ośrodka Kultury” i inne benefity wobec miasta. Związek Kolejarzy, który również faktycznie złożył wniosek o przejęcie tej nieruchomości, zobowiązań niejako „w gratisie” nie przedstawił. Dlatego też MRN przekazała budynek na rzecz Związku Kupców i Rzemieślników.

* 15 kwietnia – zgłoszono zapotrzebowanie na żarówki do oświetlenia miejskiego, gdyż poprzednie zostały zniszczone po awarii. W konsekwencji od roku 1947 nie było w mieście światła na ulicach.

* 4 maja – sporządzono sprawozdanie o stanie miasta (wedle danych na 1 maja): mieszkańców – 3 018, zakładów przemysłowych – 5 (4 prywatne), restauracje i bufety – 3 (prywatne), sklepy – 15 (13 prywatnych), apteka – 1 (prywatna), sklepy rzeźnicze – 3 (prywatne), sklepy z pieczywem – 4 (prywatne).

222 AP Olsztyn, 312/41, s. 93.

223 W obu przypadkach brak numeracji posesji.

224 Tamże, s. 79.

* 19 kwietnia – wpłynął wniosek dyrektora (dr med. J. Lewitt) Szpitala dla płucno-chorych, dotyczący remontu nawierzchni drogi na odcinku stary cmentarz (zniszczony, wyznania Baptystów, przy obecnym rondzie im. Władysława Andersa) – Sanatorium. Prośba była spowodowana planowanym wkrótce otwarciem szpitala i przewidywanym, zwiększonym natężeniem ruchu drogowego na tej trasie.

* 31 maja – powstała lista pracowników Zarządu Miejskiego. Obok zawodów typowych, jak sekretarz czy nieco już mniej aktualnych – maszynistka, znajdują się ciekawe stanowiska dozorców – parku miejskiego[225] i obiektów wojskowych. Pojawia się też, całkiem dziś obca, posada furmana.

* 5 lipca – zawnioskowano o dotację na kwotę 300 000 zł, skierowaną do Komisarza Rządowego dla spraw Organizacji Gospodarki Mięsnej w Olsztynie. Kwota ta miała posłużyć do organizacji ww. targowicy na ul. Malborskiej. 16 lipca otrzymano odpowiedź odmowną na dofinansowane targowicy. Powodem był obecny brak funduszy i zbyt późne, w związku z tym, złożenie wniosku (należało uczynić to „na wiosnę”)[226].

* 16 sierpnia – powstała informacja o rozbiórce i odgruzowywaniu miasta. Wedle niej, ulegały dekonstrukcji jedynie budynki nie nadające się do odbudowy, zaś sama akcja trwała od lipca 1947 r. Oczyszczanie miasta z gruzów musiało zostać wstrzymane ze względu na brak środków. Pomimo tego, całość prac (przynajmniej w centrum miasta) planowano zakończyć w roku 1949.

225 W ówczesnym czasie istniała tam rozbudowana (poniemiecka) infrastruktura, m.in.: z kortami tenisowymi. Fakt zatrudnienia ochrony wskazuje prawdopodobnie, iż nie została ona rozszabrowana i/lub zdewastowana.

226 AP Olsztyn, 412/34, s. 24.

* 29 listopada – odnotowano pismo proboszcza prabuckiej parafii, ks. Andrzeja Klimuszki, w którym prosi o zezwolenie na wyszukanie w gruzach pieca centralnego ogrzewania, który miał zastąpić takowy, zepsuty na plebanii.

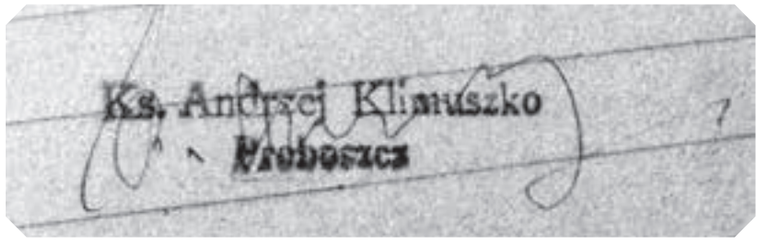

Podpis i pieczątka księdza A. Klimuszki
źródło: AP Olsztyn, 412/41, s. 470

* 3 grudnia – wysłano pismo do Ministerstwa Ziem Odzyskanych z wnioskiem o odbudowę trasy kolejowej Prabuty-Myślice-Elbląg[227]. Zarząd Miejski powoływał się na węzłowe, 5-kierunkowe połączenie kolejowe Prabut przed wojną (w kierunku Gdańska, Kwidzyna, Kisielic, Warszawy i właśnie Elbląga) oraz fakt, iż szyny kolejowe zostały „zdjęte podczas wojny"[228]. Podawano również przykład utrudnionego połączenia kolejowego Prabut z wojewódzkim Olsztynem przez Iławę[229].

* 31 grudnia – wystosowano informację do PRN w Iławie: w kościele ewangelickim[230] w Prabutach, obok napisów polskich (w alfabecie gotyckim) znajdują się również napisy niemieckie.

227 Jedna z linii kolejowych, funkcjonujących przed wojną. Obecnie nieistniejąca. Jej pozostałościami są chociażby prabuckie „Wały" – pozostałości nasypu kolejowego.

228 AP Olsztyn, 412/38, s. 2.; Nie jest to prawdą, gdyż tory zostały „zdjęte" już po wojnie, przez wojska radzieckie.

229 Kwestia tego połączenia jest aktualna do dziś.

230 Nie mowa tu jednak o konkatedrze, która była zniszczona, lecz o tzw. Kościółku Polskim (Izba Pamiątek). Przez krótki czas po zakończeniu działań wojennych odprawiano w nim msze dla pozostałych w mieście ewangelików. Katolickim kościołem była (i jest) świątynia pod wezwaniem św. Andrzeja. Sam tekst jest widoczny po dziś dzień i pochodzi z XVIII w., zaś napisy w języku polskim są jednymi z najstarszych zachowanych w okolicy.

* Sporządzono protokół przekazania dla Urzędu Pocztowo-telegraficznego terenu byłego kino-teatru oraz magazynów (obecnie nadal własność Poczty i częściowo teren Banku Spółdzielczego).

* Niedatowany[231] protokół zdawczo-odbiorczy, wykonany podczas przejęcia przez Gminną Spółdzielnię w Prabutach Klubu Rzemiosła przy ul. Kwidzyńskiej 11. Zawiera on szereg ruchomego wyposażenia budynku (półki, ławy, krzesła, itp.).

* Spisano kwestionariusz na rok 1948 przez zakłady wodociągowo-kanalizacyjne. Wskazano w nim ilość odnotowanych mieszkańców – 2 892 osoby i obszar miasta – 3 711 ha.

* Utworzony został regulamin targów. Dzieliły się one na dwa typy – zwykłe (w środy i soboty) oraz jarmarki (w co drugą środę), w godzinach 7-16. Na tych pierwszych można było sprzedawać niewielkie zwierzęta, zaś na jarmarcznych już wszystkie. Sama decyzja o organizacji targów zapadła na posiedzeniu MRN 8 maja.

* Zawnioskowano o wyłączenie budynku przy ul. Kisielickiej 2 z przeznaczeniem na Dom Teatru Miejskiego. W przyszłości (po remoncie piętra) również na bibliotekę i czytelnię.

DZIAŁANIA WŁADZ MIASTA Z 1949 ROKU

Posiedzenie Zarządu Miejskiego z 1 lutego przyniosło postanowienie w kwestii przemianowania ul. Ogrodowej na ul. 15 Grudnia. Miało odbyć się ono na najbliższym posiedzeniu MRN i związane było z połączeniem PPS i PPR w roku 1948 oraz utworzeniem przez ww. zjednoczenie – PZPR[232]. Dwa dni później uchwalono budżet

231 AP Olsztyn, 412/31, s. 34.

232 Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, rządząca w kraju do 1989 r.

dodatkowy na rok 1949. Na tym samym zebraniu przekazano mandat po dr Sygnarskim (który zrezygnował z tej funkcji) dla ZNP. Miejska Rada Narodowa 31 marca podjęła decyzję o wynajęciu 2 robotników do wydobywania i zabezpieczania pieców CO z nadal istniejących (nieomal 3 i pół roku po wojnie) gruzów. Tego samego dnia ze względów oszczędnościowych zwolniono gońca miejskiego. Decyzję budzącą wątpliwości podjęto na spotkaniu Zarządu 9 maja. Przyznano wtedy socjalną zapomogę Antoniemu P., który wedle owego dokumentu[233], powrócił z więzienia w związku z odbyciem kary za katastrofę kolejową. Ciekawość wzbudza fakt, iż osoba skazana za udział w tymże zdarzeniu otrzymała pomoc z publicznych środków. 11 lipca ukończono remont Sali Miejskiej na ul. Kisielickiej, wraz z planowanym zakupem do niej wyposażenia (krzeseł i ławek). Oficjalne otwarcie połączone z obchodami rocznicy uchwalenia manifestu PKWN-u[234] zaplanowano na 21 lipca. Dwudniowe uroczystości zawierały: pochody, zabawę ludową, ognisko „Służby Polski" w parku, mecze siatkarskie oraz piłki nożnej, koncert, kiermasze, a na zakończenie kolejna zabawa taneczna. Jednocześnie nastąpiło otwarcie radiowęzła i kiosku w Sanatorium, świetlicy Koła Kolejowego PZPR na ul. Warszawskiej oraz otwarcie boiska na ul. W. Jagiełły.

17 września powzięto decyzję o przeniesieniu biur Zarządu Miejskiego na ul. Warszawską, do gmachu zajmowanego przez posterunek MO. Ten z kolei miał zostać przeniesiony na tą samą ulicę, pod nr 2a. Dotychczasowi lokatorzy zgodzili się na opuszczenie tego lokalu pod warunkiem wyznaczenia im przez Zarząd nowego. 17 grudnia przydzielono natomiast dla 11 uczniów Szkoły Zawodowej zapomogi, w przedziale od 2000 do 2500 zł. Fundusz na ten cel zamierzano pozyskać z pozycji budżetowej o nazwie „Popieranie przemysłu i handlu"; podobnie przydzielono zapomogę dla 10 uczniów Liceum Ogólnokształcącego. 4 października przeznaczono

233 AP Olsztyn, 412/9, s. 36.

234 Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

na zakup podręczników zapomogi dla 5 uczniów ze Szkoły Ogólnokształcącej.

W odniesieniu do roku 1949, w historii administracyjnej, przez dłuższy czas trwały próby przyłączenia Miasta i Gminy Prabuty do powiatu kwidzyńskiego, jak również województwa gdańskiego. *„Po zamknięciu dyskusji, przewodniczący poddaje pod głosowanie sprawę wyrażenia opinii Miejskiej Rady Narodowej co do przyłączenia m. Prabut do powiatu kwidzyńskiego. Miejska Rada Narodowa, biorąc pod uwagę argumenty wypowiedziane przez poszczególnych radnych w czasie dyskusji, większością głosów wypowiada się za wyłączeniem m. Prabut z granic administracyjnych powiatu suskiego i przyłączeniem do powiatu kwidzyńskiego (...)"*[235]. Pismo z 3 kwietnia 1949 r.[236] zawiera odpowiedzi, dlaczego (przynajmniej oficjalnie) tak się nie stało. Zarząd Miejski wskazywał fakt powiązania miasta i gminy na polu społecznym, gospodarczym i administracyjnym z woj. olsztyńskim. Podano argument podobnych zniszczeń wojennych[237]. Powód „odległościowy", jako niewielki (do Kwidzyna i Gdańska; odpowiednio 20 km i ok. 90, kontra 33 km do Iławy i 102 km do Olsztyna), nie może być (w opinii Zarządu) brany pod uwagę. Liczono również na poprawę skomunikowania kolejowego z Olsztynem, względem Gdańska i fakt ten uznawano za przejściowy.

W tle roku 1949 toczyły się również inne wydarzenia o charakterze społecznym. Wśród najciekawszych należy wymienić:

* Nieomal przez cały rok toczył się spór pomiędzy MRN a Janem Dębkiem – właścicielem piekarni przy pl. Kościuszki. Władze postanowiły ją wyburzyć, natomiast Pan Dębek, ze zrozumiałych względów, starał się skutecznie odwieść je od tej decyzji.

235 AP Olsztyn, 412/4, s. 25. (fragment).

236 Należy zwrócić uwagę, iż głosowanie na nadzwyczajnym zebraniu MRN zakończyło się wynikiem: 8 głosów za, 5 przeciw, 1 wstrzymany (głosowało 14 członków MRN) na rzecz przyłączenia do powiatu kwidzyńskiego [w:] AP Olsztyn, 412/4, s. 25.

237 Niejako pomijano fakt, równie poważnych szkód na terenie województwa gdańskiego.

Oficjalnym powodem były względy sanitarne i estetyczne. Po jej likwidacji pozostały w mieście 3 piekarnie (w tym 2 prywatne).

* 11 stycznia – wydano opinię o funkcjonowaniu Ośrodka Zdrowia. W związku z cięciami budżetowymi zwolniono z niego lekarza oraz sekretarkę, ponadto jego kierownik i jedyny lekarz w ośrodku – dr Sygnarski – został również lekarzem powiatowym, co pociągało za sobą jego liczne wyjazdy. W tym czasie ludność miasta i gm. Prabuty, Gdakowa, Kisielic i Różnowa była bez opieki. Mając to na uwadze, Zarząd Miejski prosił o partycypowanie kosztów utrzymania ośrodka przez okoliczne gminy lub o zwiększenie jego budżetu i zatrudnienie jednego lekarza i jednej „siły kancelaryjnej”[238].

* 5 marca – miasto otrzymało pismo z Olsztyńskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej w sprawie dopilnowania, aby poniemiecki majątek ziemski, sprzedawany w kwocie 5% przedwojennej wartości trafił jedynie do przedstawicieli „prawdziwego świata pracy”, a w żadnym wypadku do „naszych wrogów klasowych”[239].

* 9 marca – sporządzono informację o lokalach zajętych przez poszczególne partie i organizacje w Prabutach: Związek Inwalidów Wojennych – ul. Rynek, PZPR i Związek Rzemieślników – ul. Warszawska, ZHP – ul. Mickiewicza. Ponadto świetlica dla Związku Młodzieży Polskiej miała powstać w budynku biblioteki przy ul. Szkolnej.

* 3 kwietnia – opublikowano dane o zaludnieniu miasta, które wynosiło 3141 osób.

* 21 kwietnia – wydano oficjalną[240] informację o przemianowaniu ul. Ogrodowej na 15 Grudnia i ul. Szerokiej na Armii Czerwonej.

238 AP Olsztyn, 42/49, s. brak.

239 Oba cytaty: AP Olsztyn, 412/69, s. brak.

240 „Do ogólnej wiadomości”, sama decyzja zapadła 23 lutego.

* 4 maja – odbył się jeden z punktów obchodów „Tygodnia Oświaty, Książki i Pracy” – nastąpił odczyt w sali gimnazjum oraz koncert muzyczny. 8 maja otwarto bibliotekę i tego samego dnia zorganizowano biegi[241] narodowe na boisku w Sanatorium. Zawodników wystawiły: 11-letnia Szkoła Państwowa, Szkoła Zawodowa, Kolejarski Klub Sportowy ZZK, Straż ogniowa oraz ORMO.

* 20 września – ogłoszono fakt przybycia 23 września do miasta wagonu z wystawą o tematyce przeciwgruźliczej i opieki nad dzieckiem. Składać się miała z filmów tamże wyświetlanych w godzinach 8-11.

* 21 września – do zarządców wpłynął wniosek Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” o umożliwienie przejęcia młyna, w ramach akcji ogólnopolskiej, a będącego w pieczy Zarządu Miejskiego.

* Październik[242] – informacja o zatrudnieniu ks. Zdzisława Piechowiaka jako nauczyciela religii w Publicznej Szkole Powszechnej, w czasie 1 września 1948 r. – 31 sierpnia 1949 r.

* Powstał niedatowany wykaz odzieży rozdzielonej na biedną ludność miasta Prabuty (30 osób) – 4 płaszcze, 5 koców, 20 koszul i 24 pończochy.

* Zastosowano sprostowanie do jednej z plansz na wystawie pt. „5 lat Polski Ludowej”. Pod trzecią fotografią na planszy „Sojusz polsko-radziecki” należało zmienić[243] słowo „otrzymaliśmy” na „otrzymamy”, zaś na końcu zdania po słowie „milionów” dopisać „dolarów”.

241 Dystans 3000 m dla „starszych”, 1000 m dla młodzieży męskiej oraz 500 m dla żeńskiej.

242 Data dzienna nieczytelna ze względu na stan dokumentu.

243 Nazwane nowomową, jako „poprawienie następujących braków”, AP Olsztyn, 412/69, s. brak. Pozostałe cytaty pochodzą również z tego dokumentu.

Niewątpliwie ważne wydarzenie rangi historycznej w dziejach miasta z roku 1949 stanowiła ekshumacja żołnierzy radzieckich na terenie Miasta i Gminy Prabuty. 22 lutego 1949 r. do Burmistrza Prabut nadeszło pismo ze Starostwa Powiatowego w Suszu. Zawiadamiało ono o konieczności ekshumacji żołnierzy radzieckich, pochowanych na terenie Sanatorium[244] oraz upamiętnienie ich w godny sposób. W całej akcji o pomoc zwrócono się do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR[245]), Związku Młodzieży Polskiej (ZMP[246]) oraz Służby Pracy. Datę wykonania i osobiste sprawozdanie burmistrza z tej akcji wyznaczono na 12 marca 1949 r. 22 marca Żochowski przesłał pismo z informacją, iż nakaz nie mógł zostać wykonany z powodu trudnych warunków pogodowych („zawieje śnieżne i zamarznięta ziemia"[247]), w związku z tym prosił o przełożenie wykonania do 1 kwietnia. Kolejnego dnia doprecyzowano, aby cała akcja miała mieć związek z formą uczczenia 30. rocznicy utworzenia Armii Czerwonej oraz obejmowała wszystkie groby na terenie miasta. Pochówków miano dokonać na „cmentarzu wojskowym" (wojennym) przy ul. Górnej[248]. 17 kwietnia Zarząd Miejski wystawił upoważnienie dla Stefana Maja (v-ce burmistrza) oraz Ignacego Walentowicza (z Referatu Aprowizacji) na omówienie z władzami sowieckimi/wojskowymi z Malborka spraw ekshumacji, której miano dokonać 17 kwietnia o godzinie 16:00.

244 Po zajęciu Prabut na terenie Sanatorium utworzono lazaret dla żołnierzy radzieckich.

245 **Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR)** – stowarzyszenie powstałe w 1944 r., które koncentrowało się na organizowaniu głównie imprez propagandowych, takich jak: obchody rocznic rewolucji październikowej, wycieczki do ZSRR, wymiana grup (tzw. „pociągi przyjaźni"), dni radzieckiej kultury, techniki, książki, filmu, a także Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze (dla amatorów). Pierwszym prezesem Zarządu Głównego TPPR był Józef Wasowski. Do lat 80. TPPR liczyło ok. 3 miliony członków, głównie poprzez masowe zapisywanie uczniów, pracowników przedsiębiorstw i instytucji państwowych. W 1991 TPPR zostało przekształcone w Stowarzyszenie Polska-Rosja [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 29.03.2019 r.].

246 **Związek Młodzieży Polskiej (ZMP)** – młodzieżowa organizacja ideowo-polityczna, działająca w Polsce w latach 1948-1957 i wzorowana na radzieckim Komsomole. Powołana została przez rządzących krajem komunistów do realizowania polityki ich partii wobec młodzieży, służyła indoktrynacji młodych, kształceniu nowych kadr dla władzy oraz pomocy w przebudowie społeczeństwa na modłę komunistyczną. Stanowiła jeden z symboli polskiego stalinizmu. [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 29.03.2019 r.].

247 AP Olsztyn, 412/49, s. brak.

248 Tamże, s. brak.

Dane dotyczące ekshumowanych żołnierzy z terenu miasta (17 kwietnia) oraz Sanatorium (4 kwietnia):

L.p.	Położenie grobu	Nazwisko i imię	Data urodzenia	Data śmierci	Stopień
1.	ul. Mazurska	Kryworukow Iwan Aleksiejewicz	1909 r.	1945 r.	szeregowy
2.	pl. Wolności	Sidenko Wasyl Gordiejewicz	1896 r.	5 III 1945 r.	szeregowy
3.	ul. Malborska	Szczelikow Anatolij Ignatierwicz	1920 r.	1945 r.	starszy sierżant
4.	ul. Polna	NN	?	?	?
5.	ul. Polna	NN	?	?	?
6.	ul. Kisielicka	NN	?	?	?
7.	ul. W. Jagiełły	Andrejew Anatolij Pawłowicz	1918 r.	7 IX 1945 r.	lejtenant (porucznik)
8.	Sanatorium	Kazakowcow A.W.	1904 r.	21 II 1945 r.	szeregowy
9.	Sanatorium	Zinin G.S. (kobieta)	?	17 II 1945 r.	starszy szeregowy
10.	Sanatorium	Iwanczenkow Mikolaj	?	18 II 1945 r.	?
11.	Sanatorium	Muchdziarow Roman	1921 r.	21 II 1945 r.	szeregowy
12.	Sanatorium	Balous Jozef Danilowicz	?	18 II 1945 r.	?
13.	Sanatorium	Bojko Wasyl Timofiejewicz	1923 r.	6 IX 1945 r.	starszy szeregowy
14.	Sanatorium	Kniaziew Michal Wasilewicz	1911 r.	5 III 1945 r.	?
15.	Sanatorium	Morozow A.D.	1920 r.	5 III 1945 r.	szeregowy
16.	Sanatorium	Pretiks P.J.	1926 r.	5 III 1945 r.	?
17.	Sanatorium	Tiulow L.S.	1914 r.	3 III 1945 r.	kapitan
18.	Sanatorium	Balan F.W.	1926 r.	26 II 1945 r.	szeregowy
19.	Sanatorium	Sliz M.D.	?	23 II	?
20.	Sanatorium	Bazarow L.K.	1895 r.	26 II 1945 r.	szeregowy
21.	Sanatorium	Puczek S.W.	1923 r.	26 II 1945 r.	szeregowy
22.	Sanatorium	Malikow W.A.	1903 r.	26 II 1945 r.	szeregowy

źródło: AP Olsztyn, 412/49 (brak nr strony)

Do ww. listy zalicza się dodatkowo 7 żołnierzy niezidentyfikowanych, pochowanych na terenie Sanatorium oraz jeden żołnierz z terenu gminy Gdakowo. W sumie na cmentarzu do dnia

17 kwietnia pochowano 30 żołnierzy (19 zidentyfikowanych), w tym jedną kobietę oraz dwóch oficerów. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami[249] uroczystość miała okazały charakter. W ponownym pogrzebie licznie (kilkaset osób) stawiła się ludność miasta i okolicy, z najważniejszymi przedstawicielami władz oraz partii i różnych organizacji. Stronę radziecką reprezentowali major Mikołaj Gusakow i kapitan Stefan Mendel z jednostki z Malborka. Żołnierzy ekshumowanych z terenu Sanatorium i Gdakowa pochowano 5 kwietnia, natomiast tych z miasta 17 kwietnia.

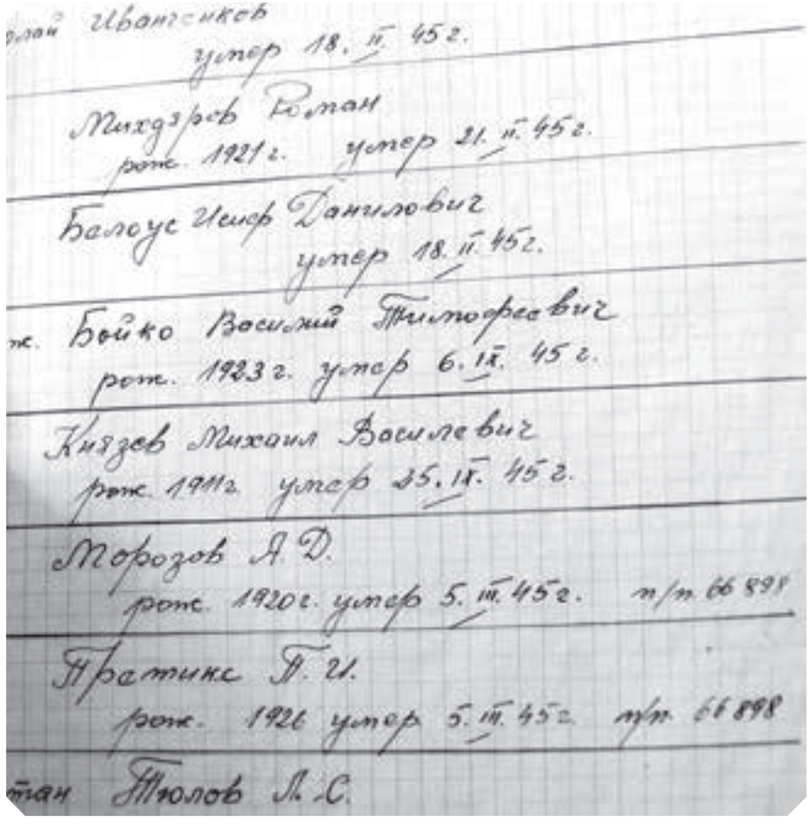
Иванченков
умер 18. II. 45 г.
Михдзров Роман
рож. 1921 г. умер 21. II. 45 г.
Белоус Игор Данилович
умер 18. II. 45 г.
Бойко Василий Тимофеевич
рож. 1923 г. умер 6. II. 45 г.
Князев Михаил Васильевич
рож. 1911 г. умер 25. II. 45 г.
Морозов А. Д.
рож. 1920 г. умер 5. III. 45 г. п/п 66 898
Братикс Д. И.
рож. 1926 умер 5. III. 45 г. п/п 66 898
Тюлов Л. С.

Oryginalny zapis danych żołnierzy w j. rosyjskim, ekshumowanych z terenu Sanatorium. Z prawej strony nr poczty polowej
źródło: AP Olsztyn, 412/9, część 1, s. brak

249 Zebranie obywatelskie z 31 marca.

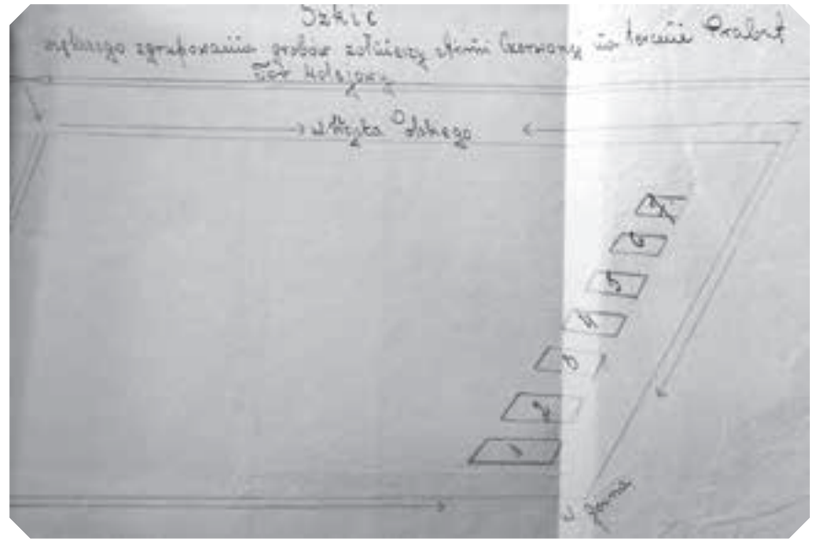

Plan cmentarza i grobów żołnierzy radzieckich na ul. Górnej w Prabutach. Strzałką w lewym górnym rogu oznaczono most nad torami kolejowymi
źródło: AP Olsztyn, 412/9, s. brak

Rok 1949 oficjalnie zamyka podsumowanie ówczesnej działalności z punktu widzenia władz miasta. Stanowi ono niejako kwintesencję dotychczasowych dokonań, omówionych w niniejszej publikacji. Utworzone na piątą rocznicę powołania PKWN przez burmistrza Żochowskiego (21 lipca 1949 r.) przemówienie brzmiało następująco:

„REFERAT[250]

wygłoszony na uroczystym posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w Prabutach w dniu 21 lipca 1949 roku w związku z obchodem 5. rocznicy P.K.W.N. przy burmistrza Feliksa Żochowskiego.

Zanim przystąpię do omówienia całokształtu dorobku miasta w okresie od dnia, kiedy władze Polskie objęły w swoje posiadanie

250 Pisownia oryginalna z uzupełnieniem znaków diakrytycznych, AP Olsztyn, 412/69, część 1, 2 i 3, s. brak.

m. Prabuty oraz zagadnień na przyszłość, w szczególności w okresie 6-letniego planu odbudowy, chcę w ramach jak najbardziej ogólnych zapoznać szanownych słuchaczy z historią miasta, z jego powstaniem, jego znaczeniem w średniowieczu i jaką rolę odegrało w ogólnym rozwoju życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego ziemi mazurskiej.

Osada Prabuty /nazwa późniejsza nadana przez niemców Riesenburg/ powstała w wieku XIII. Stara nazwa z roku 1454 brzmi „Prabuth". Wkrótce po zdobyciu tej ziemi przez krzyżaków biskup Kwidzyński Albert zbudował tu w 1276 roku zamek obronny, który nie raz bywał rezydencją biskupów. Powstała przy zamku osada została podniesiona w 1330 roku przez biskupa Rudolfa do rzędu miast. W wojnach 1410 i 1414 zamek i miasto zajmowali chwilowo polacy. Przed następną trzydziestoletnią wojną polaków i krzyżakami biskup Kasper Linke razem z innymi biskupami i posłami miast pruskich sprzysiężonych przeciwko krzyżakom wykonał przysięgę na wierność polskiemu królowi. Wkrótce jednak po otrzymaniu wiadomości o klęsce polaków pod Chojnicami w końcu 1454 roku na powrót razem z zamkiem poddali zakonowi, który odtąd utrzymywał tu silną załogę. W 1520 roku nadciągneli polacy, zajęli przedmieścia i zmusili biskupa do zawarcia pokoju. Po złożeniu hołdu królowi polskiemu przez Albrechta Prabuty weszły w skład księstwa pruskiego.

Na początku reformacji ostatni biskup kwidzyński Eberhard przeszedł na luteranizm i odtąd zaczęło się tępienie katolicyzmu. Obydwa kościoły /fara i bernardyński/ zamieniono na ewangelicki. W 1556 roku obradował w Prabutach na zamku synod protestancki z udziałem księcia pruskiego Albrechta i księcia maklenburskiego Jana Albrechta. W 1688 roku pożar zniszczył część miasta i zamku. W 1885 roku miasto liczyło 4.300 mieszkańców. W 1940 roku żyło tu 8.100 mieszkańców. W 1870 roku założono realne progimnazjum. Prócz tego były tu wyższy prywatny zakład dla dziewcząt i prywatna szkoła katolicka. Do końca XVIII wieku w miejscowym kościele ewangelickim odbywały się polskie nabożeństwa.

W dniu 3 lutego 1945 roku miasto Prabuty zostało zajęte przez Armię Czerwoną. Ludność niemiecka w przeważnej części opuściła miasto wraz z cofającą się armią niemiecką. Miasto wskutek działań wojennych znacznie ucierpiało, zniszczono bowiem i spalono około 60% budynków mieszkalnych, zaś zakłady przemysłowe zostały prawie zupełnie zniszczone. Przemysł w Prabutach przed wojną stał na wysokim poziomie, posiadał cukrownię, 5 tartaków, browar, młyn, cegielnię, fabrykę kafli. Po opuszczeniu Prabut przez niemców ludność miasta wynosiła zaledwie kilkaset osób miejscowej ludności polskiej i nielicznych niemców.

Po wypędzeniu niemców przez Armię Czerwoną natychmiast zaczęła napływać ludność z centralnej Polski oraz repatrianci z za Buga zajmując gospodarstwa rolne i mieszkania. Z dniem 1 maja 1945 roku został zorganizowany pierwszy polski Zarząd Miejski z komisarycznym burmistrzem na czele, który rozpoczął swoją pracę w bardzo ciężkich warunkach a który przyjął na siebie obowiązek zabezpieczenia mienia pozostałego po niemcach, zorganizowania życia społecznego na terenie miasta, oraz doprowadzenie do stanu używalności zakładów użyteczności publicznej. Już w roku szkolnym 1945/46 rozpoczęła się normalna nauka w szkole powszechnej a w końcu 1945 roku zostało zorganizowane na terenie miasta jedno z pierwszych na terenie okręgu mazurskiego państwowe gimnazjum koedukacyjne. W końcu 1945 roku zostało otwarte przedszkole i dom dziecka.

W końcu 1945 roku Zarząd Miejski uruchomił elektorwnię wykorzystując na to siłę wodną i urządzenia, pozostałe po dawnej elektrowni miejskiej. Elektrownia ta obsługiwała miasto do czasu zorganizowania Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Mazurskiego.

Mając na względzie zdrowie publiczne Zarząd Miejski w 1945 roku zorganizował szpital miejski, który był czynny do czasu zreorganizowania szpitalnictwa na terenie województwa Olsztyńskiego. Po zlikwidowaniu szpitala otwarty został miejski Ośrodek Zdrowia, całkowicie wyposażony i utrzymywany z funduszów miejskich do dnia

1 stycznia 1949 roku t.j. do chwili objęcia Ośrodka Zdrowia przez Wydział Powiatowy.

W 1946 roku Zarząd Miejski przystąpił do remontu sieci i urządzeń wodociągowych, które zostały zdewastowane w czasie działań wojennych i już w końcu 1946 roku miasto zostało zaopatrzone w wodę. Z urządzeń wodociągowych najbardziej została uszkodzona wieża ciśnień i zbiornik na wodę toteż przeprowadzono gruntowny remont wieży i zbiornika i zakończono prace w 1948 r. Koszt remontu wieży i zbiornika wynosi 400.000 zł.

W dniu 15 czerwca 1946 roku dokonane zostały wybory do Miejskiej Rady Narodowej i Prezydium. Do Rady Miejskiej weszli przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych istniejących na terenie miasta oraz przedstawiciele organizacji społecznych i Związków Zawodowych.

W latach 1947 i 1948 Zarząd Miejski całkowicie odremontował centralne ogrzewanie w gmachu szkoły powszechnej, oraz przeprowadził gruntowny remont gmachu szkolnego wewnątrz.
Koszt remontu szkoły wynosi 550.000 zł.

W 1947 roku wyremontowano całkowicie i oddano do użytku miejskiej biblioteki publicznej i czytelni budynek przy ul. Szkolnej. Budynek uległ zniszczeniu w czasie wojny w 60%. Remontu dokonano sposobem gospodarczym. Koszt remontu wynosi 300.000 zł.

W 1947 roku dokonano zabezpieczenia budynku przy ul. Kisielickiej. W 1948 roku przeprowadzony został remont wewnętrzny budynku na parterze. Koszt remontu /malowania/ wewnętrznego według kosztorysu wynosi 180.000 złotych. Inny remont jak naprawa drzwi, okien i.t.p. został wykonany sposobem gospodarczym.

W 1948 roku i częsciowo 1949 roku został całkowicie wyremontowany gmach Ośrodka Zdrowia. Wyremontowano dachy, centralne ogrzewanie i wykonano całkowity remont wewnętrzny. W 1948 roku wykonano nowej sieci wodociągowej do ulicy Górnej. Na remont sieci wodociągowej uzyskano pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, z której wydano w 1948 roku 147.000 zł. Pozostały kredyt zostanie użyty w roku bieżącym na remont zbiorników kanalizacyjnych.

W latach 1948 i 1949 dokonano częściowego odgruzowania miasta mianowicie przy Rynku, ul. Kraszewskiego odgruzowano koło 4.000 mtr. kw. powierzchni, wywieziono około 9.000 mtr. 3 gruzu, przy placu Kościuszki odgruzowano około 1.000 metr. 2 powierzchni około 3.000 mtr. 3, przy ul. Kwidzyńskiej wywieziono gruzu 1.500 mtr. 3. przy ul. Warszawskiej wywieziono gruzu 1.000 mtr. 3. Ogółem odgruzowano 6.750 mtr. 2 powierzchni, wywieziono gruzu 14.500 mtr. 3.

W okresie od 1947 roku do 1949 roku oczyszczono cegły rozbiórkowej 2.039.510 sztuk, odsprzedano 1.613.325 sztuk. Uzyskaną nadwyżkę ze sprzedaży cegły użyto na odgruzowanie miasta i remont budynków. W okresie 1948 roku Zarząd Miejski dokonał remontu konserwacyjnego i zabezpieczającego 3 budynków przy ul. 15 Grudnia oraz 12 budynków innych/znajdujących się pod zarządem Zarządu Miejskiego.

W roku 1945 natychmiast po ustanowieniu tymczasowych władz miejskich staraniem Zarządu Miejskiego i przy poparciu miejscowego społeczeństwa została zorganizowana Ochotnicza Straż Pożarna. W okresie swego istnienia Straż Ogniowa zaopatrzona została w niezbędne narzędzia ratownicze jak węże, beczki, pompy a ostatnio w 1949 roku w motopompę.
W okresie do 1949 roku Zarząd Miejski zorganizował i prowadzi następujące przedsiębiorstwa: Wodociągi 1 kanalizacje miejskie 2/ Zarząd Nieruchomości Miejskich 3/ Zakład Oczyszczania Miasta i 4/ Rzeźnia Miejska. Z zakładów Użyteczności Publicznych została otwarta biblioteka miejska, która obecnie posiada ponad 700 książek.

W roku 1948 został częściowo zabezpieczony gmach szkoły zawodowej. Zabezpieczenia dokonano sposobem gospodarczym.

W budżecie na rok 1949 przewidziane są kredyty na 1/ dalsze zabezpieczenie i częściową odbudowę gmachu szkoły zawodowej 2/ zabezpieczenie objektu gazowni miejskiej. Na powyższe prace przyznane zostały dotacje państwowe: na szkołę zawodową 936.000 zł. i na gazownię zł. 750.000. Realizacja tych prac napotyka na znaczne trudności, gdyż brak jest fachowców na sporządzenie planów i kosztorysów oraz na wykonanie robót. Mimo tych trudności Zarząd Miejski zrealizuje te prace do końca 1949 roku. Ponadto w roku bieżącym zostanie wykonany dalszy remont wewnętrzny przedszkola kosztem zł. 75.000 oraz drogi asfaltowej z Prabut do Państwowego Sanatorium /roboty zostały już rozpoczęte/. Koszt remontu drogi wynosi 116.000 złotych. Należy również nadmienić, że wszystkie wymienione prace zostały wykonane prawie wyłącznie własnymi funduszami. Jeżeli chodzi o kredyty państwowe w postaci dotacji Zarząd Miejski w okresie od 1945 roku do dnia dzisiejszego otrzymał:

a/ na remont wieży ciśnień zł. 27.000

b/ na odgruzowanie miasta zł. 200.000.

Większe kredyty Zarząd Miejski otrzymał z funduszu Pożyczkowo-Zapomogowego na pokrycie niedoboru budżetowego i tak w 1949 zł. 3.200.000 w roku 1948 zł. 2.500.000. Na rok 1949 przewidziana dotacja wynosi 2.500.000 zł. z przewidzianej kwoty Zarząd Miejski dotychczas nic nie otrzymał i sprawa ta obecnie rozpatrywana jest przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Dotacje państwowe na pokrycie niedoboru budżetowego w miarę usprawnienia aparatu podatkowego stale będą się zmniejszać i należy przypuszczać, że w niedalekiej przyszłości budżet miasta zostanie całkowicie zrównoważony i pokryty własnymi dochodami.

Jeżeli chodzi o prace wykonane na terenie miasta Prabut należy nadmienić zorganizowanie Państwowego Sanatorium dla płucno-

-chorych, jednego z największych w Polsce i uruchomienie Państwowej Roszarni Lnu.

W zakresie spółdzielczości została zorganizowana Spółdzielnia Samopomoc Chłopska obejmująca działy: handlowy, przemysłowy /piekarnia i masarnia/ i rzemieślniczy /zakłady ślusarskie i kowalskie/. Ponadto powstała przy miejscowym zakładzie „Kurs Szycia i Kroju" spółdzielnia krawiecka „Niespodzianka".

W perspektywie dalszego rozwoju miasta w szczególności w okresie 6-letniego planu Zarząd Miejski postawił sobie zadanie 1/ całkowitą odbudowę gmachu szkoły zawodowej 2/ zabezpieczenie i ewentualnie częściowe uruchomienie gazowni 3/ całkowite odgruzowanie miasta, 4/ przedłużenie sieci wodociągowej do dzielnicy robotniczej /obok Sanatorium/, zabezpieczenie i dokonanie remontu konserwacyjnego budynków miejskich i znajdujących się pod administracją Zarządu Miejskiego objektów 6/ urządzenie targowicy zwierzęcej 7/ budowa hali targowej 8/ częściowe przebrukowanie ulic miejskich i ułożenie zniszczonych chodników 9/ uporządkowanie kanalizacji miejskiej i uruchomienie pompowni.

Wszystkie te prace Zarząd Miejski zamierza wykonać częściowo z funduszów własnych, częściowo zaś z dotacji państwowych i pożyczek".

DZIEJE MIASTA POD RZĄDAMI MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1950 ROKU

Pierwsze posiedzenie MRN w roku 1950 przedsięwzięło postanowienie o realizacji zadań, które można określić mianem upiększania miasta na I kwartał owego roku. W planach było: oświetlenie ulic (11 punktów świetlnych[251]), naprawa parkanów – przy Szkole Podstawowej, boisku szkolnym na ul. Polnej

251 Zapewne mowa o latarniach.

i budynku należącym do Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie na ul. Warszawskiej, oczyszczenie chodników – ul. Kraszewskiego, utworzenie trawników – ul. Warszawska (obok gimnazjum) i ul. Barczewskiego (obok Zarządu Miejskiego). Na sam koniec postanowiono wyrównać teren (zasypać doły) przy ul. Malborskiej. Drugą ważną kwestią poruszoną na tym zebraniu była informacja o planowanym przeniesieniu dr Sygnarskiego na inne stanowisko pracy w Olsztynie. Mogło to spowodować pozostawienie miasta bez opieki lekarskiej. MRN postanowiła wobec tego zwrócić się o nadesłanie w zastępstwo innego lekarza. Odniesiono się także do faktu, iż część interesantów Biura Meldunkowego Urzędu Miejskiego była „niepiśmienna lub mało piśmienna”[252]. Uchwalono, ażeby w takich przypadkach urzędnicy pomagali petentom przez wypełnianie odpowiednich dokumentów. Postanowiono również wywiesić Skrzynkę Zażaleń MRN, do której zainteresowani mogli wrzucać trapiące ich bolączki związane z funkcjonowaniem miasta.

Zebranie (w Sali Miejskiej na ul. Kisielickiej) MRN dnia 24 stycznia zawierało nawiązania do „wyzwolenia” miasta przez Armię Czerwoną, pamięć poległych żołnierzy armii radzieckiej uczczono minutą ciszy. Następnie referat wygłosił Przewodniczący PRN, Pan Kołakowski. Dziękował on armii, która dokonała „wyzwolenia” pod „genialnym przywództwem wielkiego Stalina”[253] i nie tylko od „niewoli niemieckiej”[254], lecz również od „jarzma kapitalizmu, rodzimego faszyzmu i reakcji”[255]. Zamiast tego można było wprowadzić ustrój, gdzie nie będzie „wyzysku człowieka przez człowieka”[256], a dopomóc w tym miał „potężny sąsiad i przyjaciel – Związek Radziecki oraz państwa demokracji

252 AP Olsztyn, 779/84, s. brak.

253 Tamże.

254 Tamże.

255 Tamże.

256 Tamże.

ludowej”[257]. Przemówienie zakończyły „okrzyki na cześć Generalissimusa Stalina, Prezydenta Bieruta i Marszałka Polski – Rokosowskiego”[258]. Po tym „budującym” wstępie omówiono dokonania od sierpnia do grudnia 1949 r. – reorganizację Prezydium, MRN oraz Rady Miejskiej, remonty w 35 budynkach (zamieszkałych głównie przez „świat pracy”[259]), odgruzowanie części miasta (ok. 2500 m^2) i wykonanie budżetu na 1949 r. w ok. 95%). W dalszej części radny Goliński wystąpił z wnioskiem o udokumentowanie czynem ww. uroczystości. Burmistrz Żochowski wyjawił wówczas, iż wpłynął wniosek mieszkańców ul. Plac Zamkowy na przemianowanie jej na ul. Bohaterów Stalingradu. Wnioskiem tym miano zająć się jednak na innym posiedzeniu MRN. Na zakończenie odegrano hymn Polski, Radziecki oraz „Międzynarodówkę”.

Zgromadzenie MRN 2 lutego (w świetlicy Związku Zawodowego Kolejarzy – ul. Warszawska 17) ponownie było uroczyste – obchodzono bowiem rocznicę zakończenia bitwy pod Stalingradem[260]. Wydarzenie postanowiono uczcić przemianowując (jak sygnalizowano na poprzednio zwołanym zebraniu) plac Zamkowy na ul. Bohaterów Stalingradu, a na wniosek radnego F. Milewskiego zmieniono także nazwę ul. Kwidzyńskiej na ul. Generalissimusa Stalina. Stało się to „na wniosek mieszkańców”[261]. Zebranie po raz kolejny zakończyły „okrzyki”[262] na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, Związku Radzieckiego oraz Generalissimusa Stalina.

Posiedzenie MRN 9 lutego przyniosło zmianę radnych – w zamian za Mariana Czerwińskiego powołano przedstawicielkę „świata pracy” (z Roszarni Lnu) – Henrykę Warumzer, która złożyła

257 Tamże.

258 Tamże.

259 Tamże.

260 Tego dnia w 1943 r. poddała się ostatnia (północna) część kotła.

261 AP Olsztyn, 779/84, s. brak.

262 Tamże.

ślubowanie. Na tym spotkaniu również burmistrz (po raz kolejny) krótkim sprawozdaniem podsumował rok 1949. Oceniono pracę Spółdzielni i Ośrodka Maszynowego. Wynik był poprawny. Zadecydowano, aby wystąpić o przyznanie dotacji na niedobór budżetowy na 1950 r. w kwocie 3 100 000 zł. W „wolnych wnioskach" zauważono fakt nieprzepisowej liczby radnych – 17 zamiast 16. Wobec tego nakłoniono radnego Gruszkę (który pracując w Tczewie nie mógł często brać udziału w pracach MRN) do rezygnacji, na co ten przystał. Komendant MO obecny na posiedzeniu zauważył ponadto, jakoby na terenie miasta nadal istniały napisy niemieckie. Rada poleciła Zarządowi Miejskiemu je usunąć. Wspomniano o założeniach planu 6-letniego i związanym z nim przekazaniem władzy na rzecz Rad Terenowych. Uchwalono dodatkowy budżet administracyjny w kwocie 332 000 zł.

Dnia 4 kwietnia przeanalizowano dotychczasową realizację planu na 1 kwartał roku. Wynikające opóźnienia planowano dokończyć do 15 kwietnia. Po raz kolejny nastąpiła rotacja radnych – zrezygnował Edward Górny, a na jego miejsce polecono desygnować osobę z Ligi Kobiet. Uroczyście obchodzono Święto Pracy 1 Maja. Większość organizacji, partii politycznych (z PZPR na czele) oraz różnych związków wzięła udział w pochodzie ulicami miasta i w wiecu, który odbył się na Rynku. Po jego zakończeniu część uczestników dołączyła do parady ul. Warszawską oraz zaangażowała się w zawody sportowe i zabawę ludową.

Skład MRN uległ przemodelowaniu 19 czerwca. Rezygnację, zarówno z funkcji jak i mandatu, złożył jej przewodniczący – Walter Kotłowski. Poinformowano zgromadzonych o wejściu w życie przepisów dot. przekazania pełni władzy dla Prezydiów MRN[263].

263 Ustawą z 20 marca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej zlikwidowano urzędy prezydentów, burmistrzów miast i ich zarządy, całość władzy przekazując w ręce rad narodowych i ich prezydiów, które jednocześnie stały się organami, a właściwie transmiterami poleceń władz państwowych i partyjnych. Przewodniczący Prezydium MRN, który był wybierany na jej sesji, spośród członków MRN – formalnie przejął uprawnienia burmistrza miasta [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 01.04.2019 r.].

Jednocześnie zaakceptowano i oceniono jako „dostateczne"[264] sprawozdanie burmistrza Żochowskiego z dotychczasowej działalności Zarządu Miejskiego (za lata 1945-50). MRN dnia 11 lipca, oprócz powołania szeregu komisji (Finansowo-Budżetowej; Oświatowo-Kulturalnej; Zdrowia Pracy i Opieki Społecznej oraz Rolnej i Urządzeń Osiedli) przekazała na rzecz Sanatorium budynek poniemieckiej cieplarni, w zamian za dostawy wychodowanych tam sadzonek kwiatów, które posłużyć miały na obsadzenie miejskich kwietników i skwerów. Na wniosek Prezydium PRN w Iławie postanowiono przemianować ul. Nadjeziorną na ul. Juliana Marchlewskiego. Uroczystego odsłonięcia tablicy miano dokonać 22 lipca (rocznica manifestu PKWN). Przydzielono dla Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych byłą salę Związku Inwalidów na ul. Kraszewskiego. Wystąpiono do Prezydium PRN w Iławie o kredyty w wysokości 3 261 400 zł, 10 000 000 zł na remonty mieszkań oraz 3 000 000 zł kredytu inwestycyjnego na remont szkół. Poza kwestiami finansowymi zadecydowano upoważnić Prezydium MRN do skierowania wniosku o przyznanie stałego kina w mieście. Kolejne zmiany dotknęły składu MRN. Na miejsce F. Pokojskiego powołano P. Ciszewskiego z SD, zaś na miejsce Wojcieszczyka i Warumzer H. zwrócono się do Roszarni Lnu i Konopi w Prabutach, o wyznaczenie zastępców ze środowiska przodowników pracy. Zarządzono ponadto wystąpienie do Prezydium PRN w Iławie z podaniem o elektryfikację kolonii Julianowo.

24 listopada do składu MRN dołączył Szaniawski – Komendant posterunku MO. MRN na dzień 24 listopada 1950 r. reprezentowali radni:

* Adamkiewicz Jan;
* Cieleżewicz Kazimierz;
* Łoś Jan;

264 Tamże.

* Szwangruber Antoni;
* Milewski Franciszek;
* Wiśniorowska Mieczysława;
* Zdyb Jan;
* Goraj Marian;
* Czarnecki Bronisław;
* Goliński Zdzisław;
* Zaborny Zygmunt;
* Pokojski Franciszek;
* Wojcieszczyk Władysław;
* Warumzer Halina.

PREZYDIUM MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W 1951 ROKU

Pierwsze posiedzenie instytucji, jaką było Prezydium MRN w Prabutach, miało miejsce 25 stycznia 1951 r. Tego dnia postanowiono zreformować dotychczas istniejące referaty, z których utworzono następujące:

* Ogólno-Administracyjny;
* Wojskowo-Meldunkowy;
* Finansowy;
* Socjalno-Kulturalny;
* Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej;
* Urząd Stanu Cywilnego.

Z pośród istotnych decyzji należy wspomnieć o przekazaniu budynku na ul. Rynek na świetlicę dla pracowników Prabuckiej Roszarni. Uprzednio używany był jako „sala inwalidzka”[265]. Przekazano również dla Ludowego Zespołu Sportowego (na wieczystą dzierżawę) kort tenisowy, który znajdował się w miejskim parku. Trzy dni później swoje zebranie odbyła MRN. Kluczowym wydarzeniem było wówczas wystąpienie z szeregów rady czterech jej

265 AP Olsztyn, 779/36, s. 4.

członków – Pokojski F., Szaniawski, Wojcieszczyk W. oraz Warumzer H. W ich miejsce wybrano nowych działaczy (co już częściowo sygnalizowano w 1950 r.): Piotrowskiego Cz. (PZPR), Wasilewskiego M. (ZMP), Huzerskiego Cz. (komendanta MO) oraz Komara A. i Kurkiewicza J. z SP. Utworzono szereg komisji: Finansowo-Budżetową, Rolną, Zdrowia Pracy i Pomocy Społecznej, Oświaty i Kultury, Drogową, Urządzeń, Osiedli, Walki z Alkoholizmem oraz Kultury Fizycznej. Zebranie 5 lutego przywołało ponownie będącą nadal „w toku” sprawę piekarni Pana Dębka. Jasny stał się fakt, iż o zamiarze jej likwidacji nie stanowiły elementy „estetyczne” lub wcześniej poruszane kwestie sanitarne, lecz jedynie chęć zlikwidowania prywatnej konkurencji dla piekarni GS w Prabutach.

28 maja Feliks Żochowski złożył rezygnację, zarówno z funkcji przewodniczącego w Prezydium jak i MRN. W obu przypadkach zastąpił go Orchowski Czesław, później[266] natomiast w Prezydium – Szafrański Bazyli. Interesującą uchwałę (31/51) podjęto na zebraniu 1 marca, dotyczącą zwrócenia się do PPRN[267] w Iławie, aby ww. instytucja wystąpiła z wnioskiem do MON o przekazanie pustych budynków pokoszarowych na rzecz miasta z przeznaczeniem na cele mieszkaniowe. W samym mieście nie było już budynków z takimi możliwościami, względnie nie posiadano kredytów na remont lub budowanie nowych. Obrady zakończył wielokrotnie poruszany temat ustanowienia w Prabutach Przychodni Weterynaryjnej, z czym zwrócono się również do PPRN. Analogicznie 6 marca wystosowano uchwałę (33/51), w której Prezydium MRN ubiegało się w PPRN w Iławie o „skierowanie”[268] do miasta lekarza dentysty. Aktem (37/51) z 22 marca zaplanowano zatrudnienie pracownika „fizycznego do porządkowania grobów wojennych”[269].

266 8 lipca.

267 Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

268 AP Olsztyn, 779/36, s. 24.

269 Tamże, s. 29.

Można założyć, iż mowa tu o cmentarzu wojskowym żołnierzy radzieckich na ul. Górnej. Dzięki rozporządzeniu (46/51) z 19 kwietnia przystąpiono do budowy sieci kanalizacyjnej w roku 1952, obejmującej południowo-wschodnią część Prabut. Linia ta miała mierzyć 1,2 km, a ponadto zawierać ulicę o długości 600 m i chodniki na długości 1,2 km. Miejscowa ludność o charakterze „wybitnie robotniczym”[270] w tamtym okresie korzystała z 4 studni. W październiku, dnia 25 do grona radnych MRN dołączył Gołębiewski Czesław. Na zebraniu 18 grudnia skład poszerzył kpt. Kazimierz Kluk – przedstawiciel jednostki wojskowej w Prabutach. Rok zwieńcza uchwała (79/51) z 8 listopada z decyzją o przeniesieniu biblioteki do gmachu Prezydium MRN.

DZIAŁANIA PO ROKU 1951

Wśród znaczących wydarzeń dla historii miasta w tym okresie należy wymienić przede wszystkim nadal aktualną sprawę odgruzowania, którą planowano przeprowadzić w latach 1954-55 i przewidywano wywieźć 31 000 m³ gruzów, nadal zalegających po zniszczeniach powojennych. Oczyszczane obszary i inne zdatne do tego celu miejsca często wykorzystywano na zakładanie terenów zielonych – klombów i kwietników. W tym celu, w marcu 1952 r. przejęto działkę z ogrodem, która hodowała kwiaty i inne rośliny na cele miejskie. Poza kwestiami „upiększającymi miasto” warto odnotować połączenie placówek szkolnych z Prabut i Susza w jedną Zasadniczą Szkołę Metalową[271] z siedzibą w Prabutach. Uczniowie tej szkoły mieli swój internat w budynkach pokoszarowych. Istotne dla lokalnych fanów piłki nożnej było połączenie klubów sportowych „Unia” i „Start” w Kolejowy Klub Sportowy „Kolejarz”, który w 1957 r. zmieni nazwę na KKS „Pogoń”[272].

270 Tamże, s. 38.

271 Później przemianowano ją na Zasadniczą Szkołę Mechanizacji Rolnictwa [w:] *50 lat Zespołu Szkół w Prabutach,* s. 11.

272 P. Pilewski, W. Wiśniewski, M. Szulc, A. T. Klejnowski, *„W powojenny czas. Prabuty na zdjęciach z lat 1945-1989”,* Miasto i Gmina Prabuty, 2017, s. 9.

Po dziś dzień rozgrywa on swoje mecze na boisku przy ul. W. Jagiełły, wybudowanym na przełomie 1951/52 roku.

W tym czasie system ukazywał także swoje gorsze oblicze. Wystarczy przytoczyć kwestię ściągania podatku w naturze od okolicznych rolników w roku 1952. Zdominowane przez PZPR Prezydium, w osobie Przewodniczącego argumentowało: „skoro rolnicy wypili od początku roku (w województwie Olsztyńskim) wódki za 60 000 000 zł, to mają i fundusze na płacenie podatków”[273]. Zaproponowano również, aby na domach osób zalegających z płatnościami, członkowie ZMP wypisywali hasło „Wróg Polski Ludowej”[274]. Warto zatem pamiętać o mroczniejszej stronie tego czasu...

273 AP Olsztyn, 779/37, s. 90.

274 Tamże, s. 90-91.

Aspekt kryminalny w powojennych Prabutach i okolicy

Priorytetową sprawą w pierwszych latach po zajęciu Prabut było przeciwdziałanie kwestiom kryminalnym. Chaos spowodowany wojną, demoralizacja części ludności i żołnierzy stanowiły wielkie zagrożenie na terenie całej Europy. W Polsce problemy te były najbardziej widoczne na tzw. „Ziemiach Odzyskanych". Krótko po zajęciu tych terenów, pierwszymi dopuszczającymi się rozmaitych rabunków, gwałtów i morderstw byli żołnierze armii radzieckiej. Działając w odwecie i w ramach zasady „oko za oko, ząb za ząb", odpłacali miejscowej ludności i uciekinierom za to, co robiła armia niemiecka w ZSRR. Zwykli żołnierze i spora część kadry oficerskiej do końca nie wiedziała, że tereny te mają przypaść Polsce (lub niewiele ich to obchodziło), co tylko potęgowało okrucieństwa i szał zniszczenia, który rozpoczął się m.in. na terenach byłych Prus Wschodnich. Szczególnie dotkliwe (dla nowoprzybyłych przesiedleńców) było powszechne palenie miast – najczęściej rynków z najładniejszą i najbogatszą zabudową o dużej wartości historycznej. O ile jednak takie praktyki można np. w przypadku Malborka zrzucić na działania wojenne, to okoliczne miasta – Prabuty, Susz, Kwidzyn, Iława, Sztum, Zalewo, Ostróda i wiele innych straciły często więcej, niż połowę swojej zabytkowej zabudowy, już po ich zajęciu. Z jednej strony można to postępowanie motywować zemstą za takie same poczynania Wehrmachtu w ZSRR. Z drugiej jednak, jak można przypuszczać, była to chęć zatarcia śladów dokonywanych przestępstw.

Równocześnie z niszczeniem i spontaniczną kradzieżą zwykłych żołnierzy, na „plechach" jednostek frontowych teren zajmowały tzw. „trofiejne oddziały". Były to specjalnie utworzone jednostki, sformowane zanim Armia Czerwona przekroczyła gra-

nice przedwojennych Niemiec. W ich skład wchodzili pracownicy różnorodnych radzieckich instytucji czy specjaliści techniczni, ale również historycy sztuki, muzealnicy. Zadaniem tych oddziałów było odnajdywanie, a następnie zabezpieczanie i wysyłka do ZSRR wszelakich zabytków, nowoczesnych technologii, etc. Tym sposobem rosyjskie muzea wzbogaciły się niepomiernie o dzieła sztuki, będące uprzednio w muzeach i prywatnych kolekcjach na terenie III Rzeszy. Istotny jest fakt, iż część tych zdobyczy została wcześniej zagrabiona przez Niemców, m.in. na terenie Polski. Niezwykle żmudny i bardzo utrudniony proces ich zwrotu trwa do dziś. Z lokalnego punktu widzenia, większego wpływu na region nie wywołało wywożenie zbiorów muzealnych czy wyposażenia kościołów bądź pałaców, a rabunek przemysłu oraz infrastruktury. Do ZSRR nie transportowano bowiem wyłącznie eksponatów muzealnych czy planów nowoczesnej broni (np. rakiet V1 i V2), ale także całe zakłady przemysłowe, surowce, kable i właściwie wszystko to, co można było rozebrać, a stanowiło wartość.

Przykrym i mało znanym powszechnie przypadkiem stało się nagłe przybycie chętnych do przejęcia wszystkiego, co pozostawili lub przeoczyli Rosjanie. Znane są raporty władz polskich, narzekające na całe karawany mieszkańców Polski Centralnej, które przybywały na „Ziemie Odzyskane", praktykując tzw. „szaber". Postępowanie takie należało zrozumieć w przypadku osób, które przyjechały na te tereny z mizernym dobytkiem i chęcią osiedlenia. Potrzebowały one różnorodnych rzeczy i materiałów na rozpoczęcie „nowego życia". Natomiast wywożenie całych furmanek, czy w przypadku bardziej zorganizowanym – ciężarówek mebli, ubrań, naczyń i innego dobra w celach handlowych, budzi mieszane uczucia. Można naturalnie argumentować, że również ci, którzy szabrowali, cierpieli przez wojnę. Nie mniej jednak to, co wywieźli, potrzebne było na miejscu dla nowych osadników. Stosunek kształtujących się na tych terenach władz był ambiwalentny – z jednej strony szabrowali właściwie wszyscy, z drugiej zaś sami przedstawiciele władzy po przejściach wojennych byli

wyjątkowo skromnie wyposażeni. Niestety pierwsze oficjalne dane sporządzane przez posterunek MO w Prabutach oraz UB, datowane są na rok 1949. Jest to „Książka kontroli dochodzeń Posterunku MO w Prabutach za lata 1949-1950"[275]. Założona została 1 czerwca 1949 r. Przeglądając zawarte w niej zapisy, mamy niepowtarzalną okazję wniknąć w prabucki „półświatek". Wśród utrwalonych notatek pojawiają się dodatkowo historyczne (szerzej nieopisane) instytucje lub prywatne firmy, które nie dotrwały do dzisiejszych czasów.

Pierwszym zarejestrowanym przestępstwem w ww. księdze była próba zawyżenia cen przez jednego ze sprzedających w sklepie spożywczym 15 czerwca 1949 r. Kolejnym, już poważniejszym (aczkolwiek z niewykrytymi sprawcami), była grabież 2,7 tys. złotych z biura parafialnego w Prabutach. Kradzieże, okazjonalne zabójstwo i pojedyncze przypadki gwałtu są typowymi zarejestrowanymi uczynkami, obok przestępstw na tle gospodarczym. Sporo uwagi poświęcano właśnie ostatniej z kategorii. Samodzielna sprzedaż w sierpniu 1949 r. rozwodnionej śmietany na terenie Gdańska jest tego ciekawym przykładem. W tym samym miesiącu doszło do poważniejszego wykroczenia, którym było podanie się mieszkańca Prabut za funkcjonariusza UB w strażnicy PKP[276] numer 16 przy ulicy Malborskiej. W meldunku niestety nie jest podane, czego oczekiwał przestępca po wyjawieniu tych rewelacji. Wkrótce prabuckim milicjantom udało się udaremnić kradzież dwóch pieców kaflowych z „poniemieckiego gimnazjum"[277]. Miesiące letnie sprawiły duże ożywienie kryminalne, dokonano bowiem kradzieży ośmiu metrów lnu („jedna fura"[278]) z mieszczącej się w Prabutach

275 W zbiorach białostockiego oddziału IPN, sygn. IPN Bi 114/33.

276 Kontrolowali oni bezpieczeństwo poza stacjami PKP.

277 Brak jest informacji, czy mowa tu o istniejącym do dziś budynku Gimnazjum im. Marii Curie-Skłodowskiej, czy też obecnie nieistniejącym gmachu dawnego gimnazjum przy ul. Grunwaldzkiej/Polnej.

278 IPN, Bi 114/33, s. 12.

roszarni[279]. We wrześniu milicjanci wykryli nielegalną plantację tabaki (63 krzaki) przy ulicy Żeromskiego. Sprawę skierowano do Rejonowej Kontroli Akcyzowej w Suszu. W następnej kolejności wykryto nadużycie przez „niedbalstwo i brak dozoru nad powierzonym mieniem państwowym”[280] w prabuckim „Sanatorium Państwowym dla płucno-chorych”[281] na kwotę 107,671 zł. W październiku ujawniono przestępstwo datowane na 19 czerwca 1947 r., polegające na nielegalnej sprzedaży sprawnego motocykla oraz wraku (odpowiednio za 10 i 1,5 tys. zł) w Julianowie. Wedle meldunku oba pojazdy stanowiły własność Państwową. W listopadzie na karę 3 miesięcy aresztu i koszty sądowe w wysokości 300 zł skazana została mieszkanka Prabut, za „ubliżanie urzędnikowi państwowemu w czasie wykonywania czynności urzędowych”[282]. Milicja (z pomocą świadków) dokonała także odkrycia zniszczenia 15 kg słoniny „przez gryzonie”[283] przy ul. Parkowej. Straty z tego powodu poniósł Skarb Państwa. Wedle zapisu, słonina „leżała w chlewiku bez opieki”[284]. Wówczas istniały również problemy ze sprzedaży alkoholu, o czym może świadczyć sprawa skierowana przeciw właścicielowi sklepu kolonialno-spożywczego na ul. Kraszewskiego, który bez koncesji sprzedał 1/4 l wódki zaprawionej za 300 zł. W grudniu tego roku milicjanci wykryli przypadek jednego z najpopularniejszych przestępstw okresu powojennego – szabru. Na stacji kolejowej w Prabutach zatrzymano zapakowane już i gotowe do wywiezienia kafle (w liczbie 37), do tego po dwa narożniki i połówki oraz jeden dekiel. Zatrzymano mieszkańców wsi Białobłoty (gm. Świecie nad Osą) odpowiedzialnych za to przestępstwo. Same kafle pochodziły

279 Zakład produkujący włókna z roślin typu len, konopie. Używano ich na większą niż obecnie skalę przy produkcji odzieży, worków, itp.

280 IPN, Bi 114/33, s. 15.

281 Tamże.

282 Tamże, s. 18.

283 Tamże.

284 Tamże.

najprawdopodobniej z miejscowości Powale (gm. Nowy Dwór Gdański), gdyż to ich mieszkaniec został zatrzymany, jako trzeci, pod zarzutem ich wydania. Problem wywozu różnorodnych dóbr do Polski Centralnej był powszechniejszy, niż to wynika z zarejestrowanych danych. Często pochodziły one także z rozboju lub włamań. W roku 1949 większa część nadających się do zamieszkania zabudowań i lokali miała już swoich właścicieli. Dobitnym przykładem szabru z rabunkiem było wykrycie oraz zatrzymanie sprawców napadu na dom przy ul. Grunwaldzkiej. Skradziono wówczas, oprócz kilku sztuk odzieży, części od maszyn do szycia firmy „Singer”. Sprawców kradzieży milicjanci zatrzymali na dworcu w Prabutach. Zamierzali oni wywieźć owe dobra do Warszawy.

Rok 1950 rozpoczął się od jednego z najpoważniejszych przestępstw w księgach prabuckiej milicji – gwałtu. Jego ofiarą była 14-letnia mieszkanka Prabut. Sprawca dzięki jej zeznaniom został wykryty oraz aresztowany. Współmierna sytuacja miała miejsce przy ul. Daszyńskiego 4, w Kolejowej Centrali Telefonicznej. Strażnik kolejowy dokonał czynu zabronionego w trakcie pracy. Również w tym przypadku sprawca został ujęty. Pozostałe przestępstwa można zakwalifikować jako „sprawy mniejszej wagi”. W lutym zatrzymano gapowicza, który usiłował przejechać trasę relacji Słupsk-Prabuty w trzeciej klasie bez biletu. Suma oszacowanych strat poniesionych przez Skarb Państwa wynosiła 1,440 tys. zł. Interesujące z historycznego punktu widzenia wydarzenie miało miejsce w lutym 1950 r. Doszło wtedy do pierwszego odnotowanego w księdze wypadku drogowego – na ul. Kwidzyńskiej. Motocykl zderzył się z samochodem ciężarowym. Za sprawą zeznań świadków oraz po zasięgnięciu opinii biegłego, o spowodowanie wypadku oskarżono motocyklistę. W swym pojeździe posiadał niedziałające hamulce. Spośród wykroczeń niższej rangi odnotowano wytrucie drobiu, o które oskarżono 9-letniego mieszkańca Prabut. Przyznał się on do zarzucanego mu czynu, jednakże sprawa została umorzona. Zdarzenie z dnia 23 marca 1950 r. porusza bolesną tematykę. Jest ona okazjonalnie dyskutowana po dziś dzień.

Mieszkaniec Prabut został oskarżony o podpisanie w czasie II Wojny Światowej 3. Niemieckiej Grupy Narodowościowej. Problem wykracza poza łamy niniejszej publikacji, jednak należy wyróżnić kilka podstawowych kwestii:

L.p.	Nazwa grupy	Opis
1.	Volksdeutscher	Członkowie mniejszości niemieckiej, aktywnie działający w niemieckich organizacjach politycznych, społecznych, kościelnych, etc. Mogli być przyjmowani do NSDAP.
2.	Deutschstämmige	Jak powyżej, lecz nieaktywni w organizacjach. Przyjęcie do NSDAP po poleceniu.
3.	Eingedeutsche	Osoby o niemieckim pochodzeniu „powierzchownie spolonizowane". Często wpisywano na listę niemieckich małżonków polsko-niemieckich małżeństw lub członków różnych mniejszości społecznych bądź narodowych – Kaszubów, Warmiaków, etc.
4.	Rückgedeutsche	Osoby pochodzenia niemieckiego spolonizowane – członkowie polskich organizacji.

źródło: opracowanie własne

Przyjmowanie dobrowolne lub przymusowe powyższych list zależało od danej osoby. Członkowie przedwojennej niemieckiej mniejszości masowo składali podania o zapis do grupy 1. lub ostatecznie 2. Z różnych powodów część obywateli narodowości polskiej aplikowała do kolejnych, tj.: 3. i 4. Często nie decydowały poglądy, lecz presja społeczna, możliwość zachowania majątku lub obawa przed uwięzieniem (uzasadniona w licznych wypadkach). Poza decyzjami jednostkowymi, w przypadku np. Kraju Warty czy na terenach prowincji Gdańsk – Prusy Zachodnie, wpisanie na listę mogło odbyć się bez wiedzy, a tym bardziej zgody zainteresowanych. Oficjalne stanowisko polskich władz na Zachodzie (rządu i armii) również zalecało podpisywać listę w celu uniknięcia grożącego wysiedlenia, zsyłki do obozu koncentracyjnego lub śmierci w razie jej niepodpisania. Należy podkreślić, iż przyjęcie którejś kategorii powodowało jednocześnie obowiązek wojskowy – wcielenie do Wehrmachtu. O przestępstwo zapisane jako „odstępstwo od narodowości polskiej" został oskarżany mieszkaniec Prabut. Jako poszkodowanego wpisano nieco patetycznie „Naród Polski".

Mieszkaniec przyjął 3. grupę narodowościową, aczkolwiek jak zaznaczono, został do niej „wciągnięty pod przymusem, wbrew własnej woli".

Trzy dni później w kronice odnotowano wypadek kolejowy na stacji PKP w Prabutach. Z powodu źle przestawionej zwrotnicy wykoleiły się dwa wagony. 1 kwietnia 1950 r. sprawę przekazano do PUBP[285] w Iławie. 11 kwietnia sporządzono nietypową notatkę – w Sanatorium dla płucno-chorych w Prabutach, jeden z pacjentów popełnił samobójstwo. Trudno jednak ustalić, dlaczego tragiczne zdarzenie zakwalifikowano jako przestępstwo. Dzień później wskazano rażące naruszenie zasad BHP w piekarni przy ul. Stalina. Chleb, który został sprzedany mieszkańcowi Prabut zawierał „liść i inne brudy".

Analizując powyższe zdarzenia, uwypukla się zangażowanie władz milicji w pełne spektrum sytuacji niepożądanych w lokalnym środowisku – od istotnych i poważnych wykroczeń, po kuriozalnie błahe z dzisiejszego punktu widzenia. Dobitnym przykładem jest przestępstwo z dnia 18 kwietnia – jeden z pacjentów Sanatorium dla płucno-chorych w Prabutach zafałszował swoje prawo jazdy, podwyższając kategorię i zmieniając rok jego wydania. „Dokonał tego za pomocą gumki". W kolejnych dniach odnotowano m.in.: kradzież drewna z lasu, węgla z Sanatorium dla płucno-chorych w Prabutach oraz 25,2 tys. zł z PGR-u w Starym Kamieniu. 27 kwietnia ujęto wykroczenie „Sprzedaży materiałów tekstylnych dla prywatnych sklepikarzy z Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Prabutach przez powiadomienie telefoniczne po znajomości".

Ze względu na zwracającą uwagę pisownię oraz samo zjawisko, kolejne wykroczenia wymagają podglądu z oryginalnego wpisu. Z racji słabo rozwiniętej motoryzacji całego kraju, takie wydarzenia są dużą rzadkością w księdze.

285 Powiatowy Urząd ds. Bezpieczeństwa Publicznego.

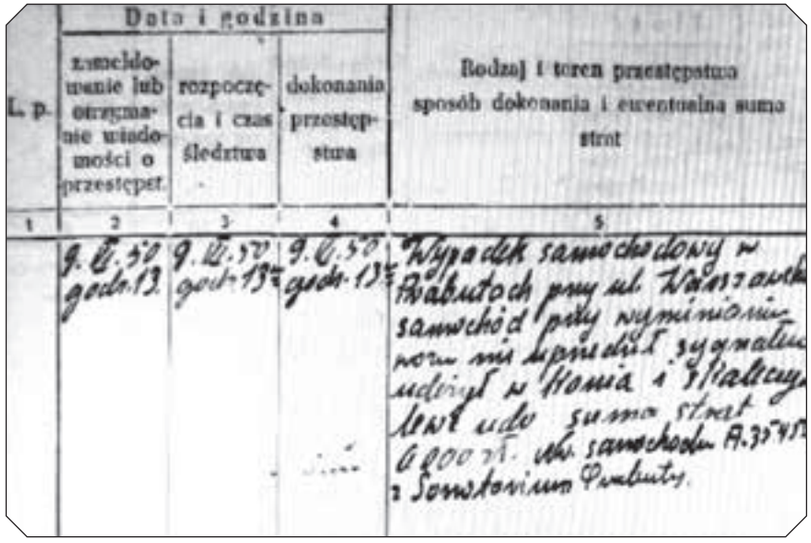

L. p.	Data i godzina: zameldowanie lub otrzymanie wiadomości o przestępst.	rozpoczęcia i czas śledztwa	dokonania przestępstwa	Rodzaj i teren przestępstwa sposób dokonania i ewentualna suma strat
1	2	3	4	5
	9.VI.50 godz. 13.	9.VI.50 godz. 13	9.VI.50 godz. 13	Wypadek samochodowy w Prabutach przy ul. Warszawskiej samochód przy wyminianiu wozu nie uprzedził sygnałem uderzył w konia i skaleczył lewe udo suma strat 6000 zł. Nr samochodu A.35.45 z Sanatorium Prabuty.

Skan meldunku z dnia 9 czerwca 1950 r.
źródło: IPN, Bi 114/33, s. brak

„Wypadek samochodowy w Prabutach przy ul. Warszawskiej, samochód przy wyminianiu wozu nie uprzedził sygnałem, udeżył w konia i skaleczył lewe udo suma strat 6000 zł. Nr samochodu A.35.45 z Sanatorium Prabuty”.

Dalsze adnotacje dokumentują najpowszechniejszy rodzaj zgłoszeń – drobne kradzieże – roweru, łódki oraz witek. 2 lipca wykryto fałszowanie cen w kiosku w Sanatorium. Przykładowo – butelkę wina sprzedawano po 490 zł, zamiast po 390 zł[286]. 31 lipca zarejestrowano włamanie do domu przy ul. Kostopolskiej. Złodziej wybił szybę i ukradł ze stołu ceratę, która była do niego przybita gwoździami. Straty oszacowano na 5,1 tys. zł, a sprawcy nie wykryto. Gdy nastał wrzesień, na jaw wyszły przestępstwa związane z punktami handlowymi – w sanatoryjnym kiosku odkryto „manko”, zaś w punkcie Gminnej Samopomocy Chłopskiej niedoważano artykuły. Kolejne przestępstwa były typowymi

286 Fakt sprzedaży alkoholu na terenie ośrodka zdrowia jest raczej nietypowy.

znakami ówczesnych czasów – nielegalne garbowanie skór oraz ubój tucznika. W pierwszym przypadku zanotowanym poszkodowanym był Skarb Państwa, zaś w drugim Centrala Mięsna.

16 października, jak możemy przypuszczać z prezentowanych poniżej wpisów, przeprowadzono kontrolę w punkcie Gminnej Samopomocy Chłopskiej, w której już wcześniej wykryto nieprawidłowości:

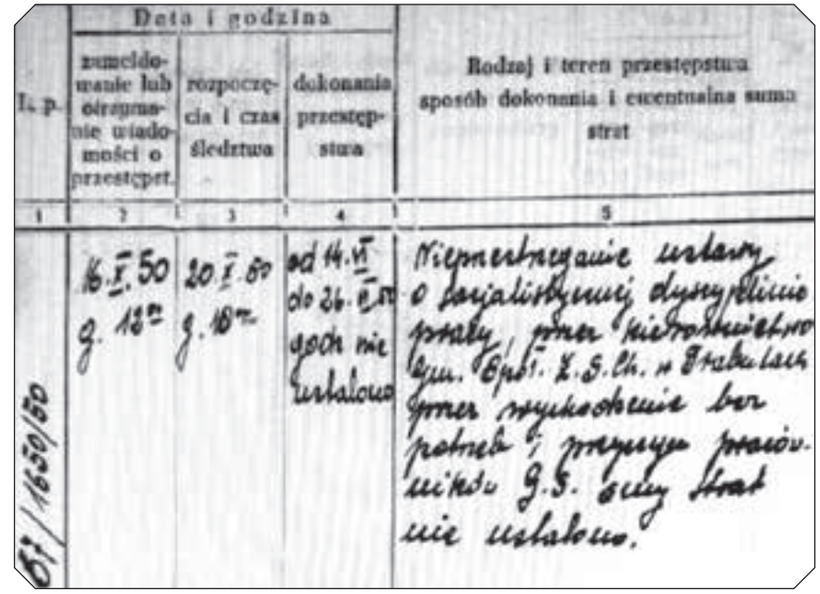

L. p.	Data i godzina: zameldowanie lub otrzymanie wiadomości o przestępst.	rozpoczęcia i czas śledztwa	dokonania przestępstwa	Rodzaj i teren przestępstwa sposób dokonania i ewentualna suma strat
1	2	3	4	5
61/1650/50	16.X.50 g. 12	20.X.50 g. 18	od 14.VI do 26.X.50 godz. nie ustalono	Nieprzestrzeganie ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy, przez kierownictwo Gm. Spół. Z.S.Ch. w Prabutach przez wychodzenie bez potrzeb i przyczyn pracowników G.S. (...) strat nie ustalono.

Skan meldunku z rozpoznania sprawy
źródło: IPN, Bi 114/33, s. brak

„Nieprzestrzeganie ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy, przez kierownictwo Gm. Spół. Z.S.Ch. w Prabutach przez wychodzenie bez potrzeb i przyczyn pracówników G.S. (...) strat nie ustalono”.

Sprawę przekazano do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Olsztynie, co sugeruje jej wysoki priorytet. Okres świąteczny sprzyjał urządzaniu różnych zabaw, gdzie nietrudno było o konflikty. Przykład stanowi zdarzenie z 26 grudnia:

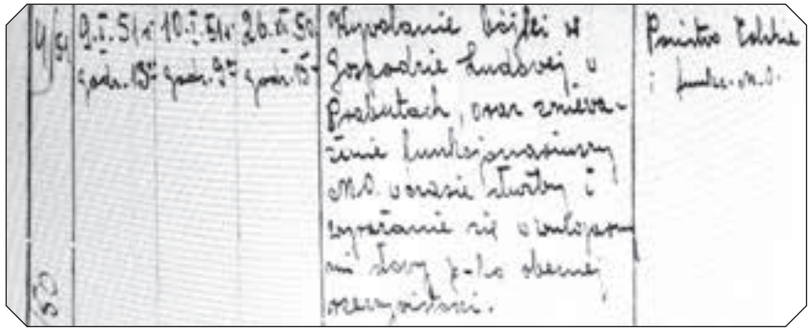

Skan meldunku utworzony 9 stycznia 1951 r.

źródło: IPN, Bi 114/33, s. brak

„Wywołanie bójki w Gospodzie Ludowej w Prabutach, oraz znieważenie funkcjonariuszy MO. w czasie służby i wyrażanie się w wulgarnymi słowy p-ko (przeciwko) obecnej rzeczywistości".

Wyżej przytaczane zdarzenia można motywować procesem powstawania lokalnego społeczeństwa, będącego miksem kultur, obyczajów i nabytych nawyków. Liczebność zdarzeń potęgowała z pewnością zła sytuacja ekonomiczna ludności lokalnej i napływowej. Mieszkańcy borykali się z niskim standardem życia i motywowani do jego podwyższenia, sięgali po metody nie zawsze akceptowane społecznie. W roku 1951 można zaobserwować wyraźny spadek w statystykach przestępstw. Na tle błahych przewinień wyróżniła się sytuacja z dnia 29 kwietnia. Trudno jednak orzec, czym była ona motywowana.

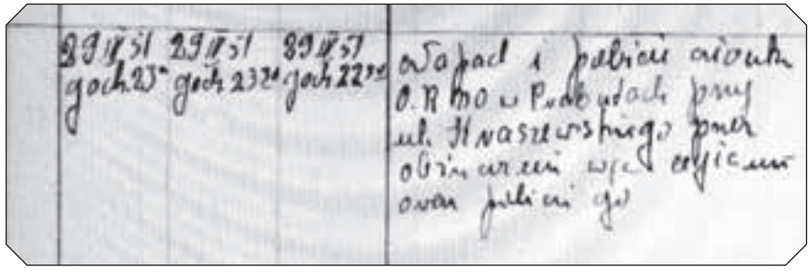

Skan meldunku z rozpoznania sprawy

źródło: IPN, Bi 114/33, s. brak

„Napad i pobicie członka O.R.M.O. w Prabutach przy ul. Kraszewskiego przez obżucenie w/w cegłami oraz pobicie go".

Przestępstwa popełniane w analizowanym regionie wspomniane są także w zbiorze dotyczącym działań wobec „Wolnej Niezawisłej Organizacji Wojskowej"[287]. 27 listopada 1950 r. Grupa Operacyjna, składająca się z funkcjonariuszy: Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej, miała za zadanie rozpracować i zlikwidować ww. organizacje. Przesłała sprawozdanie ze swoich działań i ustaleń do szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olsztynie. W nim zawarto ustalenia dotyczące przestępczej działalności kilku osób. Wedle doniesień informatorów o pseudonimach: „Telefon" i „Dąb" – dokonano napadu na mieszkańca Laskowic oraz kilkukrotnie okradano różne osoby w tunelu kolejowym w pobliżu Prabut[288]. W wyniku przeprowadzonego śledztwa zatrzymano byłego traktorzystę PGR Prabuty, a ówcześnie mieszkańca Ośna. Sprawę przekazano do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Iławie. Odnotowano więcej szczegółów dotyczących wydarzeń z tunelu. W oparciu o zeznania świadków ustalono, iż czteroosobowa, uzbrojona grupa zatrzymywała i rewidowała oraz groziła śmiercią kilku okolicznym mieszkańcom, w razie poinformowania służb o całym zdarzeniu. Niedoniesienie o takim spotkaniu było (w świetle ówczesnego prawa) przestępstwem. Grupa Operacyjna wykorzystała ten fakt, szantażując jednego ze świadków, który mieszkał najbliżej tunelu oraz zagadkowych „bunkrów", mających rzekomo znajdować się na tym terenie[289]. W domniemaniu miał on zająć się obserwacją okolicy. 14 grudnia 1950 r. dodano nowe informacje. W okresie

287 Szerzej o samej formacji w rozdziale „Walka władz z organizacjami".

288 Nie sprecyzowano, o którym tunelu konkretnie mowa; możliwe są dwie lokacje – tunel pod nasypem kolejowym na trasie Prabuty-Orkusz oraz leśny tunel na trasie tzw. Młynów-Gąski.

289 Być może mowa o pozostałości toru jeździeckiego w okolicach m. Gąski.

od 26 listopada do 5 grudnia 1950 r. uzbrojeni „osobnicy" pojawiali się trzykrotnie. Początkowo we dwóch, zaś za trzecim razem w trójkę. Powtórzono przesłuchania świadków i dwóch z nich zostało wykorzystanych operacyjnie. Grupa ustaliła, że wszystkie zatrzymania, których dokonywali agresorzy w tunelu, miały miejsce w dniu wypłaty z Roszarni Lnu i Konopi w Prabutach. Wobec tego faktu, Grupa zorganizowała zasadzki koło tunelu. Nie jest znany ich wynik ani przebieg, zaś relacja z poczynań urywa się w tym miejscu.

Przybliżona liczba przestępstw w kolejnych latach:

L.p.	Rok	Rodzaj przestępstwa/wykroczenia						Suma
		Kradzieże	Przestępstwa gospodarcze	Sfałszowanie podpisu	Jazda na „gapę"	Bójki i awantury	Inne	
1.	1949	17	6	3	2	7	2	37
2.	1950	49	39	1	1	1	29	120
3.	1951	15	38	-	-	-	12	65
4.	1952	27	35	-	-	5	9	76
5.	1953 -1954	46	27	-	-	8	10	91

źródło: opracowanie własne

Aspekt kryminalny nie ograniczał się wyłącznie do ludności cywilnej. Z dokumentów wyłaniają się także przykłady wykroczeń, których dopuściły się osoby zajmujące stanowiska/pozycje społeczne. Potwierdzeniem tej tezy jest sprawa[290] postępowania dyscyplinarnego, dotycząca komendanta[291] Powiatowego Milicji Obywatelskiej w Kwidzynie – porucznika Aleksandra W. Jak wynika z akt, 5 stycznia 1948 r. (około g. 18:00) komendant pod wpływem alkoholu spotkał w Kwidzynie przy ul. Braterstwa Narodów 7-letniego chłopca. Podejrzewając o włóczęgostwo, zatrzymał dziecko do kontroli. Młodociany rozpłakał się i próbował wyrwać milicjantowi. Powiadomiony (najpewniej przez przechodniów lub okolicznych mieszkańców – raport tego nie wyjaśnia) na miejsce zdarzenia przybył ojciec chłopca – Władysław F. Jak opisano, „arogancko i podniesionym głosem" zaczął burzliwą rozmowę z komendantem. Towarzyszący porucznikowi milicjant, a zarazem szofer – Klemens K., udał się z polecenia przełożonego do pobliskiej restauracji, skąd miał zadzwonić na posterunek MO, ażeby zabrano dziecko[292]. Podczas konwersacji z ojcem, chłopiec wyrwał się porucznikowi i wbiegł do okolicznego lokalu. Za nim udał się jego rodzic, zaś w ślad za nimi podążył Aleksander W.[293] Jak się okazało, był to sklep, którego właścicielem był Władysław F. Zamknął on drzwi przed komendantem, który w reakcji wybił szybę[294] kolbą pistoletu. Po kilku minutach otwarto drzwi, dzięki czemu porucznik wtargnął do środka. Wewnątrz znajdowało się kilka osób – rodzina F. Wedle raportu zaatakowały one komendanta ze wszystkich stron. W samoobronie milicjant uderzył zarówno ojca dziecka, który chwycił za żelazną sztabę (zamykającą drzwi wejściowe), jak i matkę, również uczestniczącą w ataku. Na cały ten tumult wkroczył dodatkowo, uprzednio odesłany do restauracji, milicjant – Klemens K. Broniąc siebie, jak i komendanta, uderzył właściciela sklepu. Ten uciekł do pokoju obok, sięgając po krzesło, którego planował użyć w dalszej części bójki. Został jednak obezwładniony. Po ustabilizowaniu sytuacji na miejsce przybyło kolejnych dwóch milicjantów z komendy MO w Kwidzynie. Zabrali oni małżeństwo F. w celu przesłuchania. Po 20 minutach oboje zostali zwolnieni.

W wyniku całego zajścia matka dziecka (małżonka Władysława F.) – Wiktoria F. odniosła obrażenia wargi i „ruchomość 3-ech zębów przednich górnej szczęki", a ponadto „bolesność dotykową policzka lewego" oraz „niemożebność całkowitą rozerwania jamy

290 Zawarta w aktach IPN, BU 707/299, t.2.

291 W momencie toczenia się dochodzenia (X-XI 1948 r.) był on szefem Wydziału Szkolenia Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku.

292 Należy domniemywać, iż stało się to przed przybyciem ojca.

293 Raport stwierdza, że nie wiedział wówczas kim był Władysław F. ogólnie oraz czy był ojcem 7-latka.

294 Trudno orzec w jakim celu, jak pokażą dalsze wypadki, samo zajście i wpływ alkoholu zapewne ograniczyły racjonalne działania milicjanta.

ustnej i szczęki”[295]. Sam komendant miał potłuczoną rękę i kolano oraz rozdarte spodnie. Raport zakańcza wniosek o ukaranie komendanta 10-dniowym[296] aresztem domowym. Nie była to jednak pierwsza kara dla komendanta, ponieważ wcześniej ukarany został naganą pisemną w związku z groźbami użytymi w prywatnych rozmowach z pracownikami Zakładów Energetycznych Okręgu Mazurskiego. Interesujące jest to, że wyrok w ww. sprawach oraz cała kariera porucznika Aleksandra W. zależała również, a być może głównie, od jego nastawienia ideologicznego – wskazuje na to fragment jego poniższej charakterystyki z 30 września 1948 r.

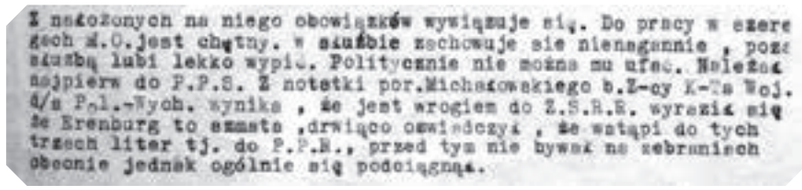
Z nałożonych na niego obowiązków wywiązuje się. Do pracy w szere
gach M.O. jest chętny. W służbie zachowuje się nienagannie , poza
służbą lubi lekko wypić. Politycznie nie można mu ufać. Należał
najpierw do P.P.S. Z notatki por.Michałowskiego b.Z-cy K-Ta Woj.
d/s P.i.-Wych. wynika , że jest wrogiem do Z.S.R.R. wyraził się
że Erenburg to szmata ,drwiąco oświadczył , że wstąpi do tych
trzech liter tj. do P.P.R., przed tym nie bywał na zebraniach
obecnie jednak ogólnie się podciągnął.

Skan opinii dotyczącej Aleksandra W.

źródło: IPN, BU 707/299, t.2, s. 31

295 Cytaty bezpośrednio z raportu.

296 Pierwotnie w raporcie sugerowano karę 21 dni, lecz została ona odręcznie zmniejszona.

Przesiedlenia ludności pochodzenia ukraińskiego, związane z akcją „Wisła” w regionie

Po dziś dzień trwają burzliwe spory na temat akcji „Wisła”. Kwestionuje się sam jej pomysł oraz przeprowadzenie. Podstawowym powodem było wysiedlenie ludności pochodzenia ukraińskiego, ale i mniejszości narodowych – Bojków[297], Dolinian[298] i Łemków[299], które stanowiły (albo mogły stanowić) bazę zaopatrzeniową i rekrutacyjną dla działalności UPA[300]. Często wysiedlani nie mieli nic wspólnego z tą zbrodniczą organizacją. Godne uwagi jest stwierdzenie, że była to akcja kooperacyjna – oprócz wojska i formacji bezpieczeństwa, ze strony polskiej brali w niej udział również Sowieci oraz Czechosłowacy. Działania te w latach 1947-50 objęły ok. 140 tys. osób. Deportowanych wysyłano na mało zaludnione i w dużej części zniszczone tzw. „Ziemie Odzyskane”, a konkretnie m.in. województwa Olsztyńskie i Gdańskie, będące

297 **Bojkowie** – grupa etniczna górali mieszanego pochodzenia: rusińskiego i wołoskiego, zamieszkująca Karpaty Wschodnie, od Wysokiego Działu w Bieszczadach na zachodzie, do doliny Łomnicy w Gorganach. Na zachodzie sąsiadowali z Łemkami, na wschodzie z Hucułami [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 07.04.2019 r.].

298 **Dolinianie** – niegóralska ludność pochodzenia polsko-ruskiego, zamieszkująca obszar wokół Sanoka, okolice Mrzygłodu oraz tereny na północ i wschód od Leska (wsch. Pogórze Bukowskie, połud. Pogórze Dynowskie), przede wszystkim Mrzygłód, Bukowsko, Sanok, Zagórz, Lesko, Nadolany, Wielopole. Na południu sąsiadowali z góralami ruskimi – Bojkami i Łemkami, na zachodzie – z Pogórzanami (Głuchoniemcami). Byli głównie rolnikami [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 07.04.2019 r.].

299 **Łemkowie, także: Rusini, Rusnacy, Rusnaki** – wschodniosłowiańska grupa etniczna stanowiąca integralną część narodu rusińskiego (karpatoruskiego), do okresu wysiedleń w latach 1945-1947 (wysiedlenia do ZSRR, akcja „Wisła”) zamieszkująca w zwartym kręgu obszar Beskidu Niskiego oraz zachodnich krańców Bieszczadów. Jedna z czterech uznanych prawnie mniejszości etnicznych w Polsce, chociaż tam gdzie również stanowią ludność rodzimą, tj.: na Słowacji, Węgrzech, w Chorwacji oraz Serbii – łącznie w 22 państwach świata, w tym w Czechach i Rosji – uznawani są za oddzielny naród [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 07.04.2019 r.].

300 Ukraińska Powstańcza Armia.

przedmiotem niniejszych rozważań w publikacji. Informacje zawarte w rozdziale pochodzą z akt „bezpieki", zgromadzonych w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Do pierwszych należą „Wykazy osób przesiedlonych w akcji «W» na teren powiatu Iława oraz wybór materiałów dotyczących rozpracowania środowiska ukraińskiego"[301].

We wstępie tego dokumentu wyjaśniano zasady dotyczące osiedlania ludności. Podstawą prawną był przygotowany przed całą akcją „Plan ewakuacyjny". Najważniejszymi punktami, zanotowanymi w jego treści, są następujące ograniczenia (zachowano oryginalną pisownię):

* Umieszczanie rodzin osadników z transportów o opinii ujemnej w ilości nie większej niż jedna rodzina z każdego transportu do tej gromady;
* Rodziny o opinii dodatniej mogły być osiedlane w ilości tylko kilku rodzin;
* Osadnicy z akcji „W" nie mogli być osiedlani w pasie nadgranicznym, lądowym 50-kilometrowym oraz morskim i miast wojewódzkich – 30;
* Nieprzekraczanie dla osadników z akcji „W" 10% stanu ludności danej grupy.

Znaczna część wytycznych z różnorodnych powodów była łamana. W związku z tym, Ministerstwo Ziem Odzyskanych postanowiło zmienić wyżej wymienione wytyczne na:

1. Osiedlanie osadników z akcji „W" w pasie nadgranicznym lądowym – 30 km i miast wojewódzkich – 20 km. Przyczym ograniczeniu dla lądowego i nadgranicznego pasa nie dotyczą pasa granicy z R.S.R.R[302], a obowiązują w tym wypadku ograniczenia ogólne.

301 IPN, Bi 087/191.

302 Najpewniej literówka, autor oryginalnego dokumentu miał prawdopodobnie na myśli ZSRR.

2. Dalsze dokonywania wewnętrznych przesunięć osadników z akcji „W" mogą być wykonywane w zakresie najkonieczniejszym, a w wypadkach szczególnie uzasadnionych, przy uwzględnieniu całokształtu niniejszych zasad.

3. Położyć szczególny nacisk na umożliwienie osadnikom z akcji „W" zdobycia pracy i w związku z tym właściwych warunków utrzymania.

4. Zasadniczym celem przesiedlenia osadników „W" jest ich asymilacja w nowym środowisku polskim; dołożyć należy wszelkich wysiłków, aby cel ten był osiągnięty. Nie używać w stosunku do tych osadników określenia „ukrainiec". W wypadku przedostania się z osadnikami na „Ziemie Odzyskanie" elementu inteligenckiego, należy taki bezwzględnie umieszczać osobno i z dala od gromad, gdzie zamieszkają osadnicy z akcji „W".

5. Swoboda ruchu osadników z akcji „W" zasadniczo ma być ograniczona. W szczególności nie dopuszczalnym jest opuszczanie „Ziem Odzyskanych" i powrót na dawne tereny. Dopilnowanie powyższego jednak należy pozostawić właściwym władzom bezpieczeństwa publicznego. Do nich też muszą być składane wszelkiego rodzaju podania o powyższych sprawach. Niepotrzebnym staje się pobieranie od Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego opinii do powyższego celu przez władze administracji ogólnej. Mają one przyjmować podania od osadników z akcji „W" wyłącznie w sprawach z zakresu zwykłego administer-ogólnego należącego do nich. Podania osadników akcji „W" dotyczące wszelkiego rodzaju spraw wynikających z specjalnych warunków, tj. akcji, w szczególności: sprawa przesiedlenia poza ramy powiatu, wyjazdów, itp. muszą być składane do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Ponadto Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego ma być informowany o każdej sprawie, w jakiej osiedleniec z akcji „W" zwraca się do władz administracji ogólnej. Kontakt z Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w sprawach osiedleńców z akcji „W" ma być stały i utrzymany możliwie osobiście.

6. Przy rozmieszczaniu osadników z akcji „W" dopuszczalnym jest ich osiedlanie w 60% faktycznie wypełnionej chłonności gromady i w 40% teoretycznej chłonności gromady. W tym ostatnim jednak wypadku należy dołożyć starań możliwie szybkiego dosiedlenia takiej gromady brakującym tam elementem polskim.

7. Nie tworzyć samodzielnych grup parcelacyjnych z osadników z akcji „W". Dopuszczalnym jest zachowanie dla nich w grupach parcelacyjnych procentów jak dla gromad.

8. Dla PNZ[303] obowiązuje to samo.

9. Przy potrzebie przesiedlenia osiedleńców z akcji „W" wybierać nowe miejsca osiedlania tam, gdzie w gromadzie osiedleńców z akcji „W" względnie jest ich ilość minimalna.

303 **Państwowe Nieruchomości Ziemskie** – polska instytucja państwowa, której zadaniem było zagospodarowanie i opieka nad nieruchomościami ziemskimi. W styczniu 1946 roku został powołany Zarząd Państwowych Nieruchomości Ziemskich, a w lutym 1946 roku – przedsiębiorstwo Polskie Nieruchomości Ziemskie. Przejęło ono wszystkie dotychczas nierozparcelowane obiekty rolne o powierzchni ponad 100 hektarów. Jego zadaniem była opieka nad przejętymi gospodarstwami oraz prowadzenie działalności rolniczej do czasu przekazania ziemi nowym użytkownikom. PNZ przejmowały, oprócz gruntów przeznaczonych do rozdzielenia, również grunty należące do wojska oraz różnych instytucji państwowych, a także grunty osób prywatnych, rezygnujących z przyznanej im ziemi. W 1947 roku PNZ zarządzały na terenie „Ziem Odzyskanych" 1 200 000 ha ziemi. Ponieważ na „Ziemiach Odzyskanych" nie było dużego zainteresowania ziemią ze strony rolników indywidualnych, przedsiębiorstwo zaczęło rozwijać działalność rolniczą. Do jego obszaru włączono część gospodarstw zasiedlonych przez niedostatecznie liczne grupy parcelacyjne. W celu komasacji gruntów przesiedlano również osadników z gospodarstw indywidualnych. 1 stycznia 1949 r. z zasobów Państwowych Nieruchomości Ziemskich utworzono Państwowe Gospodarstwa Rolne. Osoby z kierownictwa PNZ zostały aresztowane, sądzone w procesie pod zarzutami szpiegostwa i próby obalenia ustroju Polski Ludowej, skazane na kary pozbawienia wolności. [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 08.04.2019 r.].

W ramach opracowanego planu (…) należy dołożyć starań rozładowania osiedleńców z akcji „W" pozostałych obecnie dużych skupisk tego rodzaju osiedleńców.

W związku z powyższym zaleca się rozpracowanie z poszczególnymi Wojewódzkimi Urzędami Bezpieczeństwa Publicznego podanego zagadnienia i przedłożenia do Ministerstwa Ziem Odzyskanych ostatecznego projektu rozwiązania spraw nadmiernego lub niewłaściwego, dotychczasowego osiedlania osadników z akcji „W". Termin na wykonanie przedstawienia ostatecznego projektu upływa dnia 6 grudnia 1947 roku[304].

W dalszej części dokumentu podano dokładne dane osobowe jednego z transportów z akcji „Wisła", który rozlokowano w Prabutach – na ul. Jagotty i Krótkiej. Lista zawierała 13 osób. Przesiedleni pochodzili z miejscowości Ulucz[305]. W aktach zanotowano ponadto, iż 197 osób podejrzewano o przynależność do UPA. Sama liczba, pomimo obostrzeń, ulegała jednak dość dużym zmianom i o ile w grudniu 1947 r. w powiece suskim było 827 rodzin – 3326 mieszkańców[306], o tyle wedle informacji z 18 stycznia 1952 r. na terenie całego kraju zamieszkiwało wówczas 32 899 rodzin

304 Na podstawie IPN, Bi 187/191.

305 W 1945 r. Ulucz i sąsiednie wsie: Hroszówka, Jabłonica Ruska oraz Wola Wołodzka stanowiły bazę oddziału UPA, którym dowodził por. Michał Duda, ps. „Hromenko". Dlatego też wieś była szczególnie narażona na ataki sił polskich. 12 stycznia 1946 r. Ulucz został spacyfikowany przez 3000 żołnierzy WP z Birczy. Wojsko spaliło 2 domy, 2 młyny i aresztowało 40 mężczyzn. 21 marca 1946 r. oddział UPA U-4, pod dowództwem Burłaki, urządził we wsi zasadzkę na oddział WP z Tyrawy Solnej, który pacyfikował okoliczne wsie ukraińskie. Zginęło 14 żołnierzy WP, natomiast kilku rannych utonęło w Sanie. 29 maja 1946 r. Ulucz i Jabłonica Ruska zostały zaatakowane przez WP w odwecie za spalenie pobliskiej wsi Temeszów. W Uluczu spłonęło wówczas ok. 300 domów i zginęło 6 osób. Po tej akcji wywieziono z Ulucza na Ukrainę około 1000 osób. W nocy z 26 na 27 czerwca 1946 r. dwie sotnie UPA (U-2 i U-4) przeprowadziły akcję na komisję wyborczą, ochranianą przez 40 żołnierzy WP. Podczas akcji zginęło 4 polskich żołnierzy. Kolejnego dnia nastąpił atak odwetowy, podczas którego spalono 33 domy i zabito 6 mieszkańców. 10 września 1946 r. z Ulucza wyszedł atak oddziału UPA na Witryłów, Łodzinę i Hłomczę. Oprócz dorosłych napastników w akcji brali udział także bardzo młodzi chłopcy. 28 kwietnia 1947 r. pozostali mieszkańcy Ulucza (ok. 550 osób) zostali przesiedleni i rozproszeni w ramach akcji „Wisła". Ze starej wsi pozostał tylko jeden dom, cmentarz oraz Cerkiew Wniebowstąpienia Pańskiego w Uluczu – na górze Dębnik. Według danych z 2011 r. wieś liczy 101 mieszkańców [w:] www.wikipedia.pl [data dostępu – 08.04.2019 r.].

306 Na podstawie: „*Susz z dziejów miasta i okolic*", Olsztyn, 2006 r., s. 148.

– 131 915 osób. Z liczby tej w powiecie Iławskim, do którego ówcześnie należały Prabuty, zamieszkiwały 543 rodziny – 2047 osób, najwięcej zaś pochodziło z powiatu – Tomaszów Lubelski (132 rodziny – 521 osób) i Biała Podlaska (126 rodzin – 400 osób). W powiecie kwidzyńskim (leżącym ówcześnie na terenie województwa gdańskiego) rodzin było 115 – 760 osób, zaś najwięcej pochodziło z powiatu jarosławskiego (42 rodziny – 288 osób)[307].

Dokumenty obrazują także liczbę osiedlonych z podziałem na konkretne miejscowości i gminy analizowanego regionu:

1. Gmina Prabuty wraz z miastem

L.p.	Nazwa miejscowości	Liczba osiedlonych
1.	Gdakowo	35
2.	Antonin	27
3.	Szramowo	5
4.	Sypanica	44
5.	Laskowice	68
6.	Orkusz	28
7.	Klecewo	9
8.	Gontyn	2
	W sumie liczba minimalna	**218**

źródło: opracowanie własne

2. Inne okoliczne gminy

L.p.	Nazwa gminy	Liczba osiedlonych
1.	Gdakowo	421
2.	Piotrowo	507
3.	Jędrychowo	298
4.	Kisielice	296
5.	Różan	316
	W sumie (z zastrzeżeniem jak powyżej)	**1838**

źródło: opracowanie własne

307 Dane na podstawie IPN, BU 0296/27/2, *„Sprawozdanie z akcji «W»”*.

Walka władz z organizacjami

W materiałach zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej odnaleźć możemy wiele przykładów walki ówczesnych władz z różnorodnymi organizacjami niepodległościowymi. Nie zawsze same organizacje, jak i walka z nimi, miały charakter zbrojny. Różnice powodowane były nie tylko decyzjami „odgórnych czynników”, lecz też oceną zagrożenia danej organizacji dla władzy. Jednym z podstawowych kryteriów była ocena, czy konkretne zrzeszenie prowadziło walkę zbrojną. W celu zdyskredytowania takiej działalności w oczach opinii publicznej oraz do przekonania własnych żołnierzy czy funkcjonariuszy, o nierzadko okrutnym jej przeciwdziałaniu, oddziały te nazywano powszechnie „bandami”. Praktyka ta wywodzi się już z czasów okupacji, kiedy to władze III Rzeszy nieodmiennie nazywały tak wszelakie organizacje niepodległościowe. Jak wspomniano, z jednej strony miało to przekonać ludność cywilną i żołnierzy do celowości walki z nimi, zaś z drugiej (niemniej ważnej) określenie „bandy” czy też „bandyci”, stawiało ich członków w odpowiednio niższej pozycji, jeżeli chodzi o reperkusje prawne. Istotne są tu zapisy konwencji haskiej:

Rozdział I – Określenie wojującego
Artykuł 1

Ustawy, prawa i obowiązki wojenne stosuje się nie tylko do armii, lecz również do pospolitego ruszenia i oddziałów ochotniczych, o ile odpowiadają one warunkom następującym:

1. jeżeli mają na czele osobę odpowiedzialną za swych podwładnych;
2. noszą stałą i dającą się rozpoznać z daleka odznakę wyróżniającą;
3. jawnie noszą broń;
4. przestrzegają w swych działaniach praw i zwyczajów wojennych.

W tych krajach, gdzie pospolite ruszenie lub oddziały ochotnicze stanowią armię lub wchodzą w jej skład, nazwa armii rozciąga się na nie.

Artykuł 2

Ludność terytorium niezajętego, która przy zbliżeniu się nieprzyjaciela dobrowolnie chwyta za broń, aby walczyć z wkraczającymi wojskami i nie miała czasu zorganizować się zgodnie z art. 1, będzie uważana za stronę wojującą, jeżeli jawnie nosi broń i zachowuje prawa i zwyczaje wojenne.

Z natury wszelakie działania partyzanckie mogą w bardzo łatwy sposób przerodzić się w typową działalność bandycką, mającą jedynie szumną nazwę. Istnieją również przykłady, kiedy organizacje niepodległościowe dokonywały akcji o charakterze „lekko rzecz ujmując" moralnie wątpliwym, a właściwie nawet przestępczym. Część dowódców wprost je zlecała, część kilkukrotnie praktykowała (zmuszona okolicznościami). Jednak należy pamiętać, że znakomita większość potępiała je i znane są liczne przypadki (zarówno z lat 1939-45, jak i późniejszych), gdzie walka z bandytyzmem była dla oddziałów niepodległościowych porównywalnie priorytetowa, jak walka z okupantem.

Nie dziwi zatem nazwa teczki z materiałami zgromadzonymi w oddziale IPN w Białymstoku[308], w oryginale zatytułowana „Banda pod nazwą Wolna Niezależna Niezawisła Organizacja Wojskowa". Zawiera ona dokumenty z lat 1950-55, zaś wytworzyli ją pracownicy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Olsztynie. We wstępie możemy wyczytać, że dotyczą one walki z ww. organizacją, założoną przez Stanisława Rolkowskiego i działającą na terenie powiatów: Iława, Pasłęk oraz Morąg. Pierwszym dokumentem jest datowany na 15 maja 1950 roku

308 IPN, BI 087/80.

„Raport Specjalny" skierowany przez szefa Powiatowego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publiczego (PUBP) w Morągu do Naczelnika Wydziału III Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Olsztynie. Zawierał informację o zgłoszeniu się tego samego dnia na posterunek Milicji Obywatelskiej (MO) w Starym Dzierzgoniu mieszkanki z zawiadomieniem, iż w dn. 14 maja (w godzinach nocnych) przybyło do niej czterech uzbrojonych mężczyzn – z pistoletem maszynowym PPSz i RKM). Poprosili oni o mleko. Otrzymawszy je oraz zabrawszy część ze sobą, oddalili się w niezanym kierunku. Uprzednio wypytywali o ew. przynależność partyjną gospodarzy, informacje dotyczące Urzędu Gminy, drogi na Sztum i Susz, możliwości zaopatrzenia w miejscowym sklepie oraz czy bywali w okolicy, podobnie jak oni się zachowujący. Na koniec dokument precyzuje (trudno ocenić jak wiernie), że mieszkanka udzieliła im co prawda odpowiedzi, jednakże poinformowała mężczyzn o konieczności zameldowania w MO całego spotkania. Postawa ta miała spotkać się z groźbami z ich strony.

Można odnieść wrażenie, jakoby piszący raport dość powątpiewał w otwartość stanowiska mieszkanki o obowiązku poinformowania o całej sytuacji MO. 17 maja PUBP w Morągu wysłał kolejny meldunek sytuacyjny do szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (WUSW) w Olsztynie. Uzbrojeni mężczyźni ponownie pojawili się w Starym Dzierzgoniu, dzień po poprzedniej wizycie. Osoba, u której miała miejsce ta wizyta, poinformowała posterunek MO w tej miejscowości, dzień po zdarzeniu – w obawie przed konsekwencjami (groźbami), które ci mężczyźni jej przedstawili. W przeciwieństwie jednak do poprzedniego meldunku, tym razem siły bezpieczeństwa przedsięwzięły rozbudowane środki, mające na celu zneutralizowanie tego zagrożenia lub w najgorszym razie, ustalenie większej ilości szczegółów. Wzmocniono wówczas czterema funkcjonariuszami posterunek MO w Starym Dzierzgoniu. O sprawie poinformowano okoliczne powiaty – Pasłęk, Iławę oraz Sztum. Zaktywizowano na uzyskanie informacji, lokalnych i okolicznych donosicieli oraz siatki

wywiadowcze[309]. W przypadku ponownego ukazania sie podejrzanych, każdy powiat powinien był natychmiast powiadomić sąsiednie jednostki administracyjne oraz WUBP w Olsztynie. Powiaty miały zorganizować grupę operacyjną, zajmującą okoliczne miejscowości w celu odcięcia przemarszu grupy objętej obławą. Ponieważ ówczesne Prabuty wchodziły w skład powiatu iławskiego, zasadnym jest przytoczenie składu tej 50-osobowej (najliczniejszej swoją drogą) grupy operacyjnej:

* 8 funkcjonariuszy PUBP;
* 7 funkcjonariuszy KPMO;
* 35 osób z Centralnej Szkoły Straży Więziennej (CSSW) w Iławie.

Ze środków transportu przydzielono grupie po jednym samochodzie osobowym i ciężarowym oraz (wedle potrzeb) pojazdy z CSSW. Tego samego dnia pracownik PUBP w Suszu poinformował o spotakaniu, jakiego mieszkaniec Prabut – Alfons W., doświadczył wracając z pracy w PGR Bałoszyce do swej rodziny mieszkającej w m. Krzywiec. Miało to miejsce w lesie, 15 maja w godzinach nocnych. Tam zaskoczył go „osobnik" w ubraniu cywilnym, uzbrojony w niemiecki pistolet maszynowy MP-40, krzycząc: „Stój! Kto idzie?" oraz „Ręce do góry!". Alfons W. zastosował się do owych poleceń. Dołączyło do nich czterech towarzyszy, wyłaniając się z lasu. Wedle opisu, wszyscy byli dobrze uzbrojeni – oprócz MP40, posiadali radziecki pistolet maszynowy PPSz (popularnie zwany pepeszką) oraz dwa KBK (karabinki). Każdy miał dodatkowo po cztery granaty. Cała grupa wypytywała Alfonsa W. o drogę na Stary Dzierzgoń. Kiedy ten odrzekł, że jej nie zna, zaczęli opowiadać, że są „partyzantami" i „narobili porządku w powiecie Brodnica i Grudziądzu, bo niejeden samochód rozbili tym ubowcom i milicji

309 W samych Prabutach miano „nastawić" w ww. temacie informatorów o ps. „Lala", „Guzik" i „Stryj"; dwa kontakty poufne oraz osiem osób „zaufanych". Zadanie to zlecono pracownikom PUBP w Iławie, Komendy Powiatowej MO (KPMO) w Iławie oraz Komendantowi Posterunku MO w Prabutach. Całość miano zrealizować do 20 maja. Ponadto sprawa ta i „nastawienie" na nią członków, miało być tematem szkolenia Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO), zrealizowanym do 21 maja.

w dniach przed 1 Majem i 1 Maja, a teraz chcą zrobić porządek w MO w Susz, bo jak by nie oni, to dawno by ludzie jedli z jednego kotła, jak świnie"[310]. Po tych oświadczeniach puścili Alfonsa W. wolno, a sami pozostali w lesie. Co oczywiste, zeznanie to wywarło duże wrażenie na organach bezpieczeństwa, jednak w samym raporcie równie dużo uwagi zajmuje kwestia spóźnionego dwa dni zameldowania o całym wydarzeniu[311]. Zawarta jest w nim informacja o wojennej przeszłości Alfonsa W. Otóż był on partyzantem, ps. „Wilia" z organizacji „Młody Las", która działała na Pomorzu. Przyjął on 3. Niemiecką Grupę Narodowościową, przez co powołano go do Wehrmachtu i wysłano na front zachodni. Tam dostał się do niewoli, z której trafił do 4. Dywizji Piechoty PSZ. Po zakończeniu wojny wrócił do Polski i zamieszkał w Prabutach.

Twórca raportu postrzegał owe dwudniowe opóźnienie w zgłoszeniu spotkania Alfonsa W. z uzbrojoną grupą, jako motywowane ww. faktami – „Biorąc pod uwagę jego przeszłość, to jest podejrzenie, że on specjalnie nikomu nie zameldował o tych bandytach, dlatego ażeby bandyci zdążyli wycofać się z tego terenu sfobodnie"[312]. Podejrzany swoją zwłokę tłumaczył groźbami śmierci, jakie mu przedstawili owi „osobnicy" w razie poinformowania organów bezpieczeństwa. W dalszej części raportu zawarte są twierdzenia o podległości tej organizacji wobec AK oraz o związanej z tym „współpracy" z Niemcami (co jest szkalującym wymysłem). Dalsze wydarzenia następowały już lawinowo. 19 maja, jak wynika z meldunku przesłanego do WUBP w Olsztynie, o godz. 18:30 miał miejsce napad na spółdzielnię we wsi Gogowo[313], przeprowadzony przez około (nie ustalono dokładnej liczby) czterech „bandytów".

310 Pisownia oryginalna.

311 Notabene nie samemu Urzędowi, a Powiatowemu Sekretarzowi Związku Walki Zbrojnej, który poinformował UB.

312 Pisownia oryginalna.

313 Obecnie Gajdy w gminie Zalewo.

W pościgu i walce z nimi zginął funkcjonariusz MO z posterunku w Zalewie – Jan Chmielewski. Funkcjonariusz sporządzajacy meldunek przypuszczał, iż była to ta sama grupa, którą opisano powyżej. Akcja pościgowa wciąż trwała. 20 maja WUBP w Olsztynie przesłał dotychczas ustalone fakty do Wydziału I Departamentu III[314] Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie[315]. Do pomocy, WUBP w Olsztynie delegował do PUBP w Morągu swojego pracownika, który razem z jego kierownikiem, wspólnie z szefem PUBP w Iławie oraz w porozumieniu z PUBP w Sztumie[316], zadecydują o dalszych krokach w tej sprawie. Tego samego dnia WUBP przesłał do MBP w Warszawie informacje uzyskane z MUBP w Gdańsku.

Kolejne dokumenty przedstawiają dalszy, tragiczny bieg wydarzeń. Po śmierci J. Chmielewskiego w zasadzce i utracie broni (karabin rosyjski „Mosin"), pozostała część grupy pościgowej, w obawie przed liczebnością grupy uciekającej, nieznajomością terenu oraz zapadającym zmrokiem, utrzymywała pozycje przy drodze. Następnego dnia, tj. 20 maja sprowadzono posiłki (około 50 ludzi) oraz obstawiono okoliczne miejscowości i ważne punkty, przez które mogli spróbować przedostać się uciekający. UB trafnie obstawiło strategiczny most w Dobrzykach (obecnie gm. Zalewo). W starciu, które się tam wywiązało, rannych zostało dwóch członków ORMO, a z drugiej strony poległo również dwóch partyzantów

314 Departament III powstał na podstawie Rozkazu nr 22 Ministra Bezpieczeństwa Publicznego z dn. 25 marca 1946 r., zmieniającego nazwę dotychczas istniejącego Departamentu VII (sformułowanego na podstawie Rozkazu nr 6 Ministra Bezpieczeństwa Publicznego z dnia 15 stycznia 1946 r.). Podstawowymi zadaniami Departamentu III i jego organów terenowych była walka ze zorganizowaną działalnością podziemia niepodległościowego w kraju, walka z terrorem i politycznym bandytyzmem, organizacja pracy kontrwywiadowczej, ustalanie autorów i kolporterów wrogich ulotek i anonimów. Dla wykonywania zadań departament i jego organy terenowe organizowały sieć agenturalną i przeprowadzały inne przedsięwzięcia operacyjne (...). Wydział I („walka z bandytyzmem") [w:] https://inwentarz.ipn.gov.pl/archivalCollection?id_a=2019&id_pz=&id_s=20019&id_ps=20042 [data dostępu – 11.04.2019 r.].

315 Jako ciekawostkę można dodać, iż popełniono w nim szereg błędów ortograficznych oraz „przekręcono" nazwisko Alfonsa W.

316 UB przypuszczało, że wcześniej grupa ta „grasowała" na jego terenie, gdzie prowadzono przeciw niej „akcje" w kwietniu i na początku maja, a pod ich naciskiem podejrzani przenieśli się na teren województwa olsztyńskiego.

– Stanisław Rolkowski, ps. „Lis" oraz Franciszek Delikajtes, ps. „Wilkas". Przy zabitych znaleziono dwa karabiny, pistolet, dużą ilość amunicji, teczkę z dokumentami i inne rzeczy. W składzie zasadzki przy moście brało udział czterech funkcjonariuszy z PUBP w Morągu oraz trzech członków ORMO. W ślad za uciekającymi pozostałymi partyzantami, tego samego dnia wyruszyła grupa Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). Poza odnalezieniem worka z rzeczami zabranymi ze Spółdzielni w Gajdach, nie natrafili na ślad uciekających. Sytuacja zmieniła się 21 maja, kiedy mieszkaniec wsi Milewo[317] odnalazł porzucony karabin „Mosin" wraz z amunicją, należący do zabitego milicjanta Chmielewskiego. O swym odkryciu natychmiast poinformował, co zaowocowało przeczesaniem terenu przez żołnierzy KBW. W jego wyniku został aresztowany, ukrywający się w słomie Wiktoras Jantcauskas, ps. „Wróbel"[318]. Zeznał on o pozostaniu przy życiu (prócz niego) jeszcze Czesława Tobiasza[319]. Wskazał także dwa miejsca ukrycia broni i amunicji, którą UB odzyskało. Wytrwale

317 Wedle innych źródeł – Matyty.

318 Po zakończeniu II Wojny Światowej, jako obywatel litewski Wiktoras Jantcauskas miał zostać przesiedlony do Związku Radzieckiego, więc ukrywał się na terenie powiatu grudziądzkiego, gdzie wstąpił do organizacji i otrzymał pseudonim „Wróbel". 21.05.1950 r. zatrzymany w województwie olsztyńskim, 28.05.1950 r. przekazany do WUBP w Gdańsku. 31.08.1950 r. tymczasowo aresztowany. Objęty śledztwem prowadzonym od 31.08.1950 r. do 28.11.1950 r. Oskarżony aktem sporządzonym 28.11.1950 r. o: czynny udział w akcjach organizacji, zastraszanie członków PZPR, rozbrajanie funkcjonariuszy MO i UB, nielegalne posiadanie broni. Skazany wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku (Sr. 422/50) z 23.12.1950 r. na karę łączną 15 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 lat oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa. Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie (Sn.Odw.S,156/51) na wniosek skargi rewizyjnej, wniesionej przez Wojskową Prokuraturę Rejonową w Gdańsku 23.02.1951 r. uchylił wyrok WSR w Gdańsku z 23.12.1950 r. i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia w innym składzie sędziowskim. Skazany wyrokiem WSR w Gdańsku (Sr.121/51) z 26.04.1951 r. na łączną karę śmierci z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych (na zawsze) i przepadek mienia. Wyrok wykonano 28.07.1951 r. przez rozstrzelanie [w:] https://katalog.bip.ipn.gov.pl/informacje/161418 [data dostępu – 11.04.2019 r.].

319 **Czesław Tobiasz** – wspólnie ze swoimi kuzynami i ich ojcem (Józefem, Piotrem, Marianem, Stanisławem, Henrykiem oraz ojcem Walentym i szwagrem Franciszkiem Jaworem) brali udział w konspiracji już podczas trwania II wojny światowej. Cała rodzina mieszkała wówczas w woj. Rzeszowskim. W roku 1946 przeniosła się jednak na „Ziemie Odzyskane" w okolice Ryjewa. Może to tłumaczyć, dlaczego w jego okolicach ukrywał się Czesław Tobiasz. Tu po raz kolejny włączyli się w działalność organizacji niepodległościowych. Po ich rozbiciu otrzymali wysokie wyroki: Józef – 7 lat, Piotr – 8 lat, Marian – 13 lat, Stanisław – 7 lat, Henryk – 12 lat, Franciszek – 5 lat. Podczas śledztwa i przesłuchań byli nieludzko torturowani. Najdłużej żyjący Marian Tobiasz zmarł w 2010 r.
Na podstawie: A. Józefowicz-Chmielewski, „*Walczyli o to co najcenniejsze – Niezawisłość, Niepodległość, Wiarę i Ojczyznę*" [w:] kwartalnik „Wyklęci", nr 3, s. 22-124.

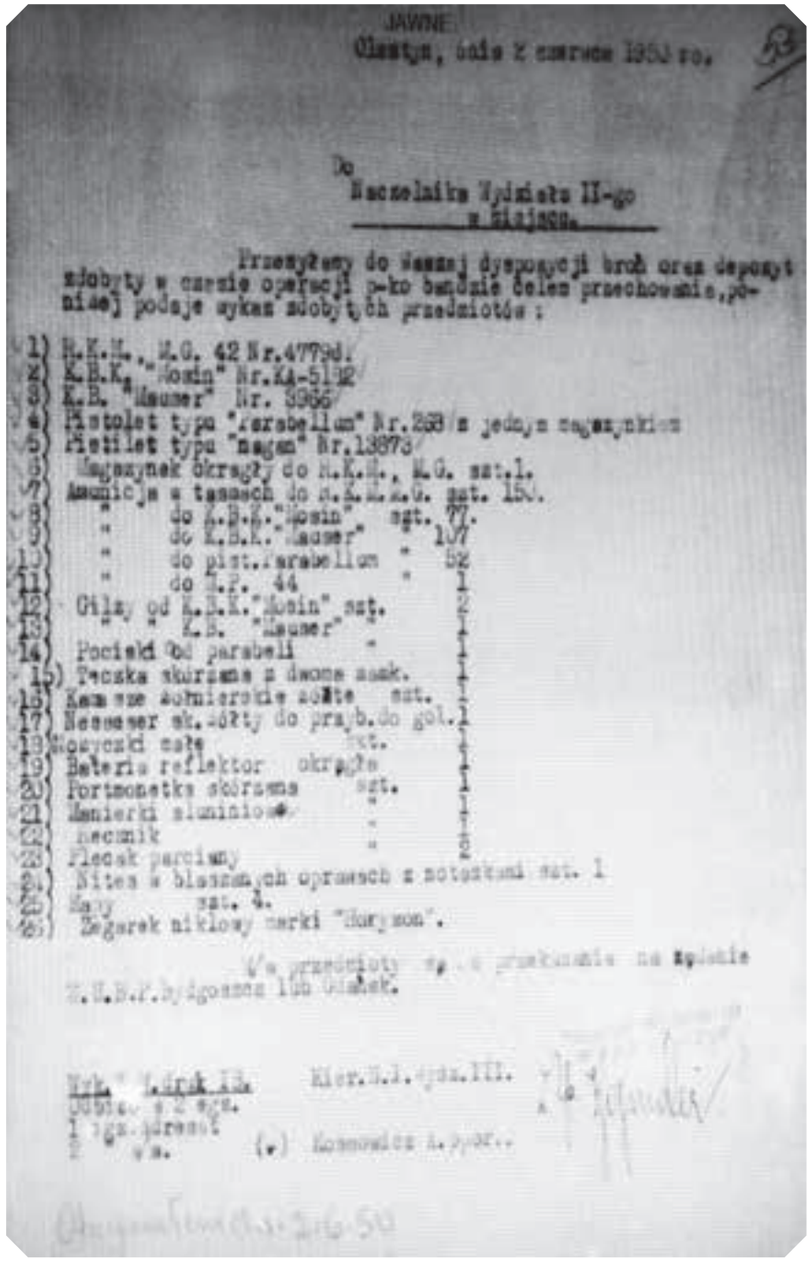

JAWNE

Olsztyn, dnia 2 czerwca 1953 r.

Do
Naczelnika Wydziału II-go
w Olsztynie.

Przesyłamy do Waszej dyspozycji broń oraz depozyt zdobyty w czasie operacji p-ko bandzie celem przechowania, poniżej podaje wykaz zdobytych przedmiotów :

1) R.K.M., M.G. 42 Nr.47798
2) K.B.K. "Mosin" Nr.KA-5192
3) K.B. "Mauser" Nr. 8966
4) Pistolet typu "Parabellum" Nr.288 z jednym magazynkiem
5) Pistolet typu "Nagan" Nr.13873
6) Magazynek okrągły do R.K.M., M.G. szt.1.
7) Amunicja w taśmach do R.K.M.M.G. szt. 150.
8) " do K.B.K."Mosin" szt. 77.
9) " do K.B.K."Mauser" " 107
10) " do pist."Parabellum " 52
11) " do N.P. 44 " 1
12) Gilzy od K.B.K."Mosin" szt. 2
13) " " K.B. "Mauser" " 1
14) Pociski od parabeli " 1
15) Teczka skórzana z dwoma zamk. 1
16) Kamasze żołnierskie zdjęte szt. 1
17) Nessesser sk.żółty do przyb.do gol. 1
18) Mosyczki zdjęte szt. 1
19) Baterie reflektor okrągłe 1
20) Portmonetka skórzana szt. 1
21) Manierki aluminiowe " 1
22) Necznik " 2
23) Flecsk parciany
24) Nites w blaszanych opraweach z notesikami szt. 1
25) Kany szt. 4.
26) Zegarek niklowy marki "Harymon".

W/w przedmioty wysłano przekazanie na wydziale W.U.B.P.Bydgoszcz lub Gdańsk.

Wyk. 1 druk 13a Kier.N.I.-gsz.III.
Odbito 2 egz.
1 egz.adresat
2 " a/a. (-) Komendant A.Pyor..

Wykaz zdobytych przez UB przedmiotów należących do grupy „Banda pod nazwą Wolna Niezależna Niezawisła Organizacja Wojskowa”

źródło: mikrofilm z zasobów Odziału IPN w Białymstoku, IPN, Bi 087/80

natomiast poszukiwano ostatniego zbiega – 22 maja doniesiono do Posterunku MO w Zalewie o mężczyźnie, który przebywał w stodole, a następnie „uciekł w żyto” w miejscowości Kamionka. Wysłana tam grupa poszukiwawcza nikogo jednak nie odnalazła. Natomiast 23 maja (w godzinach rannych) zastrzelono tam omyłkowo żołnierza KBW z Gdańska. W kolejnym meldunku z 27 maja PUBP w Morągu poinformował WUBP w Olsztynie o fakcie przypadkowego zranienia przez funkcjonariusza ORMO mieszkanki gospodarstwa w okolicach Dobrzyk. Sprawa odszkodowania za chirurgiczne usunięcie odłamka była „w toku”. Dalsze zeznania opisują walkę i powolne rozpracowywanie organizacji prowadzonej przez Czesława Tobiasza, który wymknął się UB pod Dobrzykami. Do organizacji wprowadzono dwóch informatorów. Grupa ta działała na terenie pow. Iława (m.in.: Biskupiec, Kisielice i Goryń), Kwidzyn oraz w m. Grudziądz. Nieznana jest sfera działalności tej grupy poza rekrutacją nowych członków, aczkolwiek UB przypuszczał, iż była ona autorem anonimów, które wpłynęły do MO i UB.

Znacznie więcej szczegółowych ustaleń zawiera artykuł Andrzeja Józefowicza-Chmielewskiego: „Walczyli o to, co najcenniejsze – Niezawisłość, Niepodległość, Wiarę i Ojczyznę”. Autor na podstawie innych dokumentów oraz rozmów ze świadkami i członkami rodzin „Wyklętych”, w sposób znaczący uzupełnia oraz wyjaśnia działalność organizacji, a także losy jej działaczy. Z pracy tej otrzymujemy, niepozbawiony białych plam, ale o wiele pełniejszy materiał, niż w przypadku samych akt „bezpieki”. Organizacja współdziałała z innymi podobnego typu w okolicy. Szczególnie z Organizacją Młodzieży Demokratyczno-Katolickiej. Trudno orzec natomiast, czy formacja Czesława Tobiasza była powiązana, czy też występowała pod inną nazwą – Wojskowa Narodowa Nacjonalistyczna Organizacja Wojskowa. Autor artykułu oraz piszący te słowa, skłaniają się do uznania ich za tę samą, lecz pod zmienioną nazwą. W każdym razie, jak wynika z pisma komendanta kwidzyńskiego PUBP z roku 1977, szacuje się, że organizacja przeprowadziła 11 akcji i dysponowała również dużym uzbrojeniem.

Kontakty z Organizacją Młodzieży Demokratyczno-Katolickiej spowodowały znaczący rozwój grupy. W jej szeregi wstąpił niestety również zdrajca. Fala aresztowań w kwietniu 1950 r. objęła dużą część obu organizacji, ale jej skutków uniknęli żołnierze przebywający w lesie. 16 kwietnia w Lisich Kątach (gm. Grudziądz) udało im się odnieść swój największy militarny sukces. Zaskoczeni przez duże siły wojska, Milicji Obywatelskiej oraz funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa wycofali się bez strat, zabijając 2, raniąc kolejnych 2 i biorąc do niewoli następnych 2 członków obławy. Dalszą zbrojną działalność opisano powyżej na podstawie akt UB. Ostatecznie Czesław Tobiasz, który dwukrotnie uciekał z aresztów UB, zdradzony przez gospodarza, u którego się ukrywał, zginął w okolicach Olszanicy (pow. Kwidzyn) 17 grudnia 1950 r.

Losy mieszkańców, które wpisały się w historię miasta i regionu

(wspomnienia w kolejności przybycia na omawiane tereny)

Lothar
Kossak

Moja historia rozpoczyna się w dniu 23 marca 1937 r. Tego dnia urodziłem się w zaciszu rodzinnego domu, przy ulicy Żeromskiego w Prabutach. Mój ojciec pochodził z Gdańska, a w przypadku mamy nie potrafię powiedzieć konkretnie. Wiem tylko, że dziadek wywodził się z Sypanicy i mieszkał na gospodarce, natomiast jego brat przebywał w Obrzynowie. Według opowiadania, mama ukończyła 6 klas i została sprotsmanką, ale nie wiem, czy zdobywała jakieś medale. Tato był fryzjerem, zaś dziadek podobno pracował w wodociągach, na przepompowni. Moja matka miała jeszcze siostrę, zamieszkałą przy obecnej ulicy Kraszewskiego, koło piekarni, na rogu. Na dole mieścił się zakład fryzjerski. Tam mój ojciec pracował ze swoim szwagrem, jednak czynsz lokalu okazał się za drogi, więc przenieśli się niedaleko prezydium (obecnego Urzędu Miasta) – tam na rogu znajdowało się wejście do zakładu fryzjerskiego. Rodzinny interes nie trwał zbyt długo, ponieważ zostali powołani do wojska. Nie mieli żadnego przeszkolenia. Wydarzyło się to chyba w 1939 roku. Byłem malutki, ale pamiętam, jak nieraz ojciec przyjeżdżał z wojska po cywilnemu i przywoził czekoladę, naprawdę dobrą. Mijały dwa dni i wracał dalej do wojskowej nauki. Sytuacja zmieniła się, gdy poszedł na wojnę.

Pamiętam tylko jedno przemówienie gospodarza w mieście. Na zbitej mównicy, stał wysoko koło pomnika i przemawiał, uderzając pięścią, aż dudniło. Wszyscy musieli być obowiązkowo na rynku. On szykował się już chyba na nadejście frontu. Mówił o ojczyźnie i walce do ostatniej kropli krwi. Pierwsza wzmianka na temat zagrożenia wojną przyszła już z wyprzedzeniem, bo mieszkańcy mieli radia. Matula z babką mówiły, że front stanął i ileś tam żołnierzy niemieckich i rosyjskich zamarzło. Później front zaczął się cofać. Wszędzie przy mostach i rzekach porobiono zapory – z normalnych okrąglaków, do tego belki ułożone w kwadracie, a środek wypełniony piachem. Stawiano je przeciw czołgom. Później słyszałem, że w Prabutach zaszła duża pomyłka, bo przewidywano, że wojska rosyjskie przyjdą od strony Susza.

PO PRAWEJ: ZDJĘCIE RODZINNE, ROK 1941 (arch. prywatne L. Kossaka)

Tak jednak się nie stało, gdyż przyszli od Kisielic. Działania wojenne miały ścisłe przełożenie na mój los. Ojciec przyjechał ranny z wojska krótko przed nadejściem Rosjan. Przyszedł w mundurze, z plecakiem i karabinem. Mówił, iż Rosjanie są niedaleko i będziemy musieli uciekać. Zapewnił, że po nas przyjedzie i wszystkich zabierze – nie doczekaliśmy tego... Dopiero wtedy zrozumiałem, że służył w niemieckiej armii. Wcześniej nie wiedziałem nawet gdzie, co i jak. Był to rok 1944. Pamiętam doskonale, jak nas wywozili z Prabut. Przyszli w nocy dwaj wojskowi i jeden cywil. Oznajmili, żeby o dwunastej w nocy przybyć na dworzec. Usłyszeliśmy, że w razie nie stawienia się, zostaniemy rozstrzelani. Na stację przybiegła koleżanka matki, przywitała się i oznajmiła po krótce, że musi jeszcze wrócić do domu, gdzieś na ulicę Żeromskiego. Uświadomiła nam, że w pośpiechu zostawiliśmy w domu pieska. Wzięła zatem klucz i otworzyła pupilowi drzwi. Pozostawiając otwarte mieszkanie, niezwłocznie powróciła na stację. Nastąpił czas odjazdu. Skład pociągu podstawiono już na bocznicy, prowadziły do niego drewniane schodki. Ludzi wepchnięto w towarowe wagony. Załadowano nas i pozamykano. Zabraliśmy ze sobą wózek dziecinny, walizki, a w nich ciuchy. Ponieważ chodziłem już do drugiej klasy, nosiłem plecak skórzany. Obrączki, łańcuszki, papiery – to wszystko skrywałem w tym tornistrze. Wywieziono nas aż do Pucka i tam mieliśmy wsiąść na statek z zmiarem wyruszenia do Niemiec. Siedziałem z siostrą, bratem i matką na skarpie, gdy zauważyliśmy na morzu słup dymu. Mama mówiła, że został storpedowany Gustaw[320], największy niemiecki okręt pasażerski. Został zaatakowany przez torpedy radzieckie. Później dowiedziałem się, że tam zginęło przeszło dziesięć tysięcy osób, zaś około tysiąca się uratowało. Zważywszy na okoliczności, matka powiedziała: „Jak mają nas tu ryby pożreć, to lepiej tak, jak wszystkich, niech robaki pożrą!" – wówczas poczułem, co to jest wojna.

320 MS Wilhelm Gustloff w oryginale.

Postanowiliśmy wrócić pieszo do Prabut. Podróż ta była okropna. Nie mieliśmy co jeść, przynosiłem nawet obierki, opłukane wcześniej gdzieś we wodzie. Najadałem się jako pierwszy, a resztę przynosiłem dla pozostałych, bo nigdy nie podróżowaliśmy sami. Gdzie tylko stanęliśmy po drodze, np. w jakimś domu, to moim obowiązkiem było szukanie czegoś do jedzenia. Gdy przemierzyliśmy wiele kilometrów, szukaliśmy pustego budynku, zawsze na uboczu, na wioskach – tam się zatrzymywaliśmy. Nanosiliśmy słomy i tak organizowało się prowizoryczne posłanie. Odpoczywaliśmy dzień, czasem dwa, a potem ruszaliśmy dalej. Przypominam sobie, jak szliśmy drogą asfaltową i mostem. Za nim ujżeliśmy pełno niemieckiego wojska, zabitego. Nagle nadjechały rosyjskie czołgi! Kto miał coś lekkiego, to szybko zszedł z drogi. Natomiast ten, kto ciągnął pakunki, wózek, bądź miał jakąś chorobę (panował wtedy tyfus), tego czołgi potrąciły bez zatrzymania. Pełno było zatem drewna, szmat i krwi. Niektórych dziadków, babcie czy chore dzieci wieziono na wózkach, czasem niesiono na plecach. Oni nie zdążyli zejść z tego asfaltu. Nikt nie stawał, tylko wszyscy szli dalej. Maszerowaliśmy tak liczną grupą, że nic nie widziałem dookoła, bo byłem małym bajtlem. Tam nie podążała jedna rodzina, tylko cztery, pięć lub nawet dziesiątki rodzin. Jak spojrzałem na szosę, to nie widziałem ani końca, ani początku. Z czasem ubywało nas, coraz mniej i coraz mniej... Targaliśmy ze sobą pakunki. Matka nosiła ciuchy na plecach, więc gdy postawiła je na drodze, miałem swój punkt obserwacyjny. Ujrzałem, jak paliła się prawie cała okoliczna wioska. Na tornister nie mogłem wejść, bo przechowywałem w nim pierścionki, koraliki, kieszonkowy zegarek ojca i matczyne rzeczy. Szliśmy dalej, w towarzystwie czołgów. Na chwilę zahaczyliśmy się u gospodarza, ojca dwóch córek. To byli Kaszubi, rozmawiali po niemiecku. Dostaliśmy u nich pokój. Dotarł do nas krzyk, że Rosjanie gwałcą i zabijają. Zatem matka poszła wieczorem do stodoły, deski oderwała i w nocy ukryła się w słomie. Zdziwiłem się, czemu mnie, najmłodszego poinformowała, a nie siostrę czy brata. Powiedziała: „Przyjdź tu, będę w tym miejscu. Nie pukaj trzy czy cztery razy, tylko zapukaj

dwa razy. Przerwij i jak się nie odezwę, to znowu puknij dwa razy. Jak będzie ktoś nadchodził, to zacznij bawić się w śniegu, odwróć uwagę". Po czasie zdawać się mogło, iż jedna z córek dopatrzyła się, że mej matki nie widać, a ja ciągle butelek szukam bez celu. Kombinowałem, zawsze miałem za pazuchą kawałek chleba i jakąś buteleczkę. Długo tam nie zostaliśmy. Przyszli Niemcy, dwóch lub trzech zostało na dworze, a dwóch weszło do mieszkania. Powiedzieli nam i temu gospodarzowi, żeby uciekać z wioski w pole, ale dlaczego, nie wytłumaczyli. Rano, jeszcze przed świtem, ubrani przez matkę ruszyliśmy w dalszą wędrówkę. Wzięliśmy wszystko na plecy oraz w ręce i wymsknęliśmy się z tego domu niespostrzeżenie. Matula, brat i siostra chorowali podczas podróży na tyfus. Borykali się z gorączką. Ja dzięki Bogu, jakoś nie zachorowałem. Chodziłem po domach, strychach, piwnicach i szukałem mąki, kartofli, mięsa, słoików. Podróż trwała około trzech miesięcy, cały czas pieszo. Tylko przez Wisłę przedostaliśmy się promem. Nie mieliśmy pieniędzy, więc mama zaoferowała wyszywany obrus. W Malborku stanęliśmy przy jednym z budynków. Słońce tak ładnie świeciło i leżało trochę śniegu. Matka powiedziała: „Odkopcie i zobaczcie, czy czasami nie ma tam rabarbaru". Faktycznie, znaleźliśmy rabarbar i trochę się nasyciliśmy. Później przyjęto nas dobrze w Mikołajkach, gdzie napotkaliśmy na rzeźnika. Zaprosił nas i dał nam jeść. Jak my się tam najedliśmy! Dopiero w lesie za Mikołajkami, odchodziliśmy na kierunek Prabuty. Wówczas spostrzegłem, jak mała gromadka ludzi pozostała z całej kolumny maszerujących, którzy wybrali inne kierunki.

Wreszcie dotarliśmy pod Prabuty, w okolice jeziora Dzierzgoń, na drodze skręcającej do Rodowa. Był to rok 1945, przy końcu lutego, na początku marca – tak mi się zdaje, choć pewne to nie jest. W tym miejscu spotkało nas dwóch „rosyjskich Mongołów". Zarządali od nas kosztowności. Matka miała pierścionek z czarnym oczkiem na ręku, którego nie mogła zdjąć. Jeden z nich jednak nalegał, chwycił ją za rękę i trzymając na asfalcie, wyjął bagnet z zamiarem odcięcia palca, aby wziąć błyskotkę. W tym momencie,

mając lat siedem, pierwszy raz wystąpiła u mnie nienawiść. Gdybym miał pistolet, karabin czy nóż, to zahamowałbym zapędy jednego i drugiego w obronie najbliższych. W ten czas matka powiedziała, że jeszcze przeszuka bagaż. Znalazła w nim mydło w buteleczce, mieliśmy także niesłodzoną kawę w dzbanku. Jeden z nich chciał ją wypić, ale mu nie smakowała, więc rzucił dzbankiem o ziemię. Mama wzięła stłuczone naczynie, polała palec resztkami napoju i mydłem w płynie namoczyła dłoń. Ze skórą ściągnęła ten pierścionek, który zabrali i poszli swoją drogą. Dotarliśmy do cmentarza na obecnej ulicy Malborskiej. Matka zatrzymała się, wraz z nią moje rodzeństwo – brat i siostra. Mnie i brata wysłała do naszego domu na ulicy Żeromskiego 22, żeby zajrzeć do pieca, który miał skrywać blaszany czajnik z kawą, przygotowany na nasz powrót. Na miejscu stał jednak tylko komin, w otoczeniu samych ruin. Nic nie ocalało. Dawniej mieliśmy wejście tak szerokie, że mogliśmy wjechać wozem. Dom pokrywał biały baranek. To był nowy budynek, bo dziadek go stawiał. Obok przebiegała brukowana droga. Duża kuchnia mieściła się dwa lub trzy schody wyżej. Do tego mieliśmy dwa pokoje i dwa lub trzy okna z widokiem na ulicę. Z boku tej kuchni stał mur oporowy i schody na ogród, a obok chlewek do drzewa. Ogrzewaliśmy brykietem i drzewem w piecach kaflowych. Nie pozostało z tego nic. Chwilę później dołączyła do nas matka, rozpłakała się. Wszyscy złapaliśmy się do kupy i płakaliśmy razem z nią. Długo to nie trwało, ponieważ jeździły wojskowe samochody rosyjskie i widocznie nas zauważono. Przyszło do nas dwóch Rosjan (po cywilu), wzięli nas na samochód i zawieźli do miasta. Wysadzono nas naprzeciwko katedry i wskazano miejsce osiedlenia. Mieszkaliśmy tam parę dni, może miesięcy.

W tym okresie zakończyła się wojna. Matka powiedziała, że Hitler zabił się – popełnił samobójstwo wraz ze swoją narzeczoną. W międzyczasie pojawił się aspekt wyjazdu do niemiec. Cztery razy takie fale się odbyły i to też był nakaz. Popakowaliśmy się i wyznaczonego dnia mieliśmy stawić się na ulicy Warszawskiej.

Tam stał długi, stary blok. Wiem, że dwa razy przychodziliśmy i dwa razy nas wycofano z powrotem. Dużo osób odsyłano z kwitkiem, ale z jakich przyczyn, tego nie potrafię powiedzieć.

W Prabutach nie było ludzi, żadnego Polaka, Ukraińca, ani z kresów – nikogo. Tylko Rosjanie urzędowali. Bardzo długo rosyjskie wojsko tu stacjonowało. Polaków traktowali jak psy: „Ot polszy sabaka, zastrelał jak sabaka" – przede wszystkim strzelali. Jeśli nawet człowiek oddalił się kawałek, to zaraz musiał unikać serii z pepeszki. Pewnego razu, Rosjanin strzelił pancerfaustem do człowieka w sklepie. Ten uciekał, z pociskiem w brzuchu. Zrobiliśmy sobie proce z opon samochodowych, aby bronić się przed Rosjanami. Szedłem na tory powybierać okrągłych kamieni, gdy już noc nastała. Miesiąc takiego ostrzału i już nie przychodzili, bo wiedzieli, że mogą oberwać kamieniem, nie wiadomo skąd. Tymczasem człowiek siedział w gruzach ucieszony. Bezpieczeństwo poprawiło się, gdy nadeszło Wojsko Polskie. Utworzyli patrole i próbowali chodzić po dwóch, ale musiało iść ich czterech lub pięciu. Obowiązkowo z bronią na piersi, bo jeszcze Rosjanie tu byli, choć już się wycofywali. W dzień panował względny spokój, ale już wieczorem żołnierze paradowali z karabinami na sznurkach i biało-czerwonymi opaskami. Miasto zaczęło się zaludniać, nie tylko dzięki transportom. Przeważnie osiedleńcy prowadzili po jednym koniu, mężczyźni ciągnęli wozy – dwóch lub trzech stało z przodu. Czasem zaprzęgano krowy, różnie to wyglądało. Gdzie zastali wolny pustostan, tam zajmowali. Okoliczne zabudowania wyglądały nieciekawie. Wszędzie leżało pełno gruzów, często nie mogliśmy przejść. Trzeba było po cichutku chodzić i uważać na każdy krok, żeby nie stanąć na jakąś cegłę, która zatrzeszczy. Rosjanie nie mieli w zwyczaju pytać „kto tam?", tylko od razu sięgali po broń. W mieście stał „Tygrys" – czołg. On z pozycji na ulicy Kisielickiej zestrzelił jedenaście rosyjskich jednostek. Drugi czołg wycofywał się dalej, tam gdzie znajduje się biblioteka przy ulicy Warszawskiej. Zniszczono tam trzy pojazdy rosyjskie, „Tygrys" chyba je zestrzelił. Kojarzę jeszcze jeden czołg,

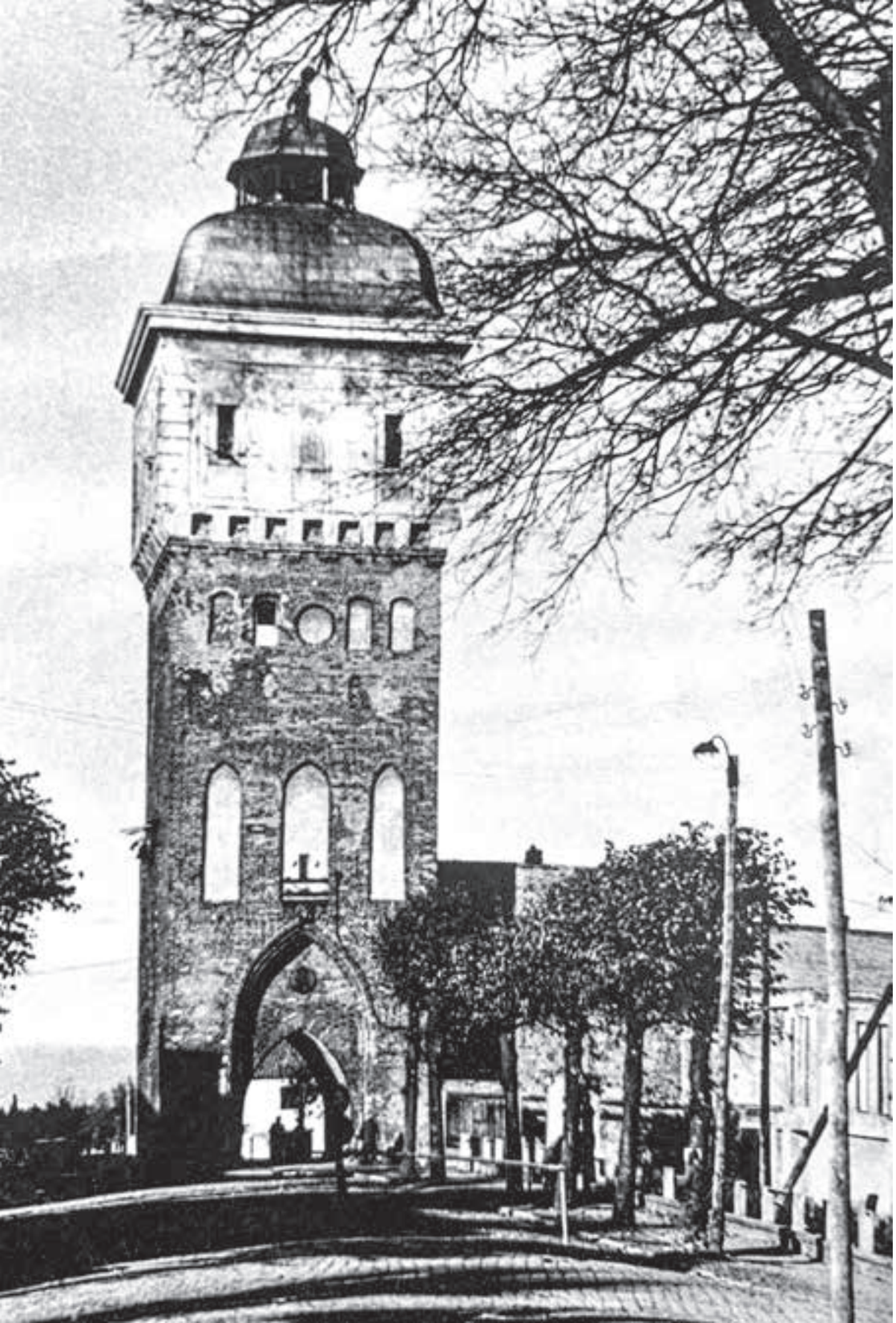

stojący na zjeździe do dawnej mleczarni. Po drugiej stronie mieścił się kowal, tylko trochę niżej. Czubek jego lufy widniał z daleka, zaś sam pojazd był schowany. Dostał pocisk pod lufę – prosto w wieżę, zostały tylko ślady jakiegoś pocisku palącego. Wewnątrz zginęli żołnierze, czołgiści. Pozostały tylko kości i hełmy. Próbowano go ściągnąć na doł, bo utrudniał ruch i każdy musiał wjeżdżać na chodnik, żeby omijać zawalidrogę. Potem zepchnięto go niżej, ale i tak długo tam stał. Nie wiem, kto zajął się tym potem, ale idąc do pracy zauważyłem, że jest ściągnięty kawałek z muru i rżnięty na kawałki. To pamiętam, jak dzisiaj. Wszędzie pozostały zapory, czasem leżały kości, mundur jakiś. Rynek został spalony, tylko niewielka część ocalała. Pocisk czołgu z ulicy Kisielickiej trafił w wieżę katedry, ta zaś była całkowicie spalona. Dwa razy wzniecono tam pożar. Ktoś chciał wieżę spalić, ale nieskutecznie. Na szczęście ludzie już tu przybyli i stłumili pierwsze płomienie.

Początki były ciężkie. Z powodu braku prądu korzystało się tylko z lamp naftowych. Zaraz po wojnie nigdzie nie docierała bieżąca woda. Jeździliśmy do pompy na ulicę Kwidzyńską. Zimą wodę taszczyliśmy na sankach, a w lato wózkami. Dopiero później, mój dziadek z kolegą, z racji pracy w wodociągach za niemieckich czasów, uruchomili pompownię. Wiedzieli, jakie są przyczyny braku ciśnienia, bo na wieży nie było żadnej wody, a w kranach leciało mało co. Ze dwadzieścia osób szło, aby odgruzowywać pewne miejsca i docierać do instalacji. Zamykali tam, gdzie woda była niepotrzebna i płynęła w gruzy. Dopiero wtedy pojawiło się ciśnienie i woda. Oświetlenie na całe miasto zapewniała jedna lampa na słupie, przy prezydium. Wspominam pobliski czerwony budynek, coś na kształt garażu z czerwonej cegły z grubymi drzwiami i okienkiem. Tam chodziłem codziennie, aby otrzymać gruby plasterek chleba (szeroki gdzieś na 10 centymetrów), przysługujący każdej rodzinie. Matki poszyły nam bluzy angielskie,

PO LEWEJ: WIEŻA CIŚNIEŃ PO ROKU 1945
(arch. prywatne L. Kossaka)

w których mogliśmy ukryć pożywienie. Niejednokrotnie, będąc w kolejce, jakaś kobieta czy dziadek, laską mnie zahaczał i wciągał z powrotem w kolejkę, mówiąc: „Schowaj ten chleb". Stanąłem ponownie, a kobiety (Rosjanki), które rozdawały chleb, stwierdziły, że już mnie widziały. Odparłem, że nie, że być może zdarzyło się to wczoraj. Sprytem zorganizowałem drugą kromkę, więc byłem szczęśliwy. Każdy wydawał mi się obcy. W tych kolejkach za chlebem, rozmowy odbywały się po cichu, na ucho, bo nie mogłem rozmawiać po niemiecku. Spotkało nas jedno szczęście, ponieważ mój dziadek tu mieszkał, gdy wróciliśmy z powrotem do Prabut. Brał ołówek, kartkę i rysował: „Tu była restauracja, tu musi znajdować się otwór od okna, tam dużo cegieł nie ma, to odwalisz..." – musiałem iść nocą, a weź tu wyślij dziecko o takiej porze. Mimo wszystko ryzykowałem i szukałem żywności, oświetlając sobie drogę świeczką, bo bateryjek nie było. Po gospodarzach zostały kopce z kartoflami, gdzie chodziłem podbierać ziemniaki. Strzegł ich wartownik. Kilka ziemniaków opłacałem strachem i strzałami z pepeszki za plecami.

Do zamieszkiwanego przez nas domu powróciła, wraz z dziećmi, właścicielka budynku – pani Kamińska. Powiedziała, że to jest jej własność. Porozumiała się z komendą, przyjechali i nas przenieśli na Plac Bohaterów Stalingradu[321] (tam, gdzie znajdowały się ruiny zamku). Przydzielono nam mieszkanie, które też było puste. Budynek nie został zniszczony. W kuchni leżało gumoleum na podłodze. Ubikację mieliśmy na korytarzu. Po drugiej stronie zamieszkał nasz dziadek, bo też się przeprowadził. Miał jeden widny pokój, a drugi był ciemny, bez okien. My również zajmowaliśmy dwa pokoje i kuchnię. W pobliżu przebiegała ulica Kopernika. Tą ulicą zawsze przechodziliśmy, wówczas nie istniało tam przedszkole. Plac ogrodzono ładnym żywopłotem, był też płot z siatki. Słyszało się pokątnie, że teren ten należał do Zakonu

321 Prawidłowa nazwa brzmi: Plac Obrońców Stalingradu, nazwa niemiecka – Schlossplatz, obecnie ulica Miła.

POMNIK NA PLACU OBROŃCÓW STALINGRADU
(arch. prywatne L. Kossaka)

Maltańskiego. Znajomy opowiadał mi, że podczas odgruzowywania zamku znalazł znaczek maltański. W taki oto sposób osiedliliśmy się w nowym miejscu, w jednym z dwóch dostępnych domów. W otoczeniu ulicy Kopernika, gdzie po schodach szło się do góry, wszystko zostało popalone, po jednej i drugiej stronie. Dopiero kawałek dalej stał mały pomnik. Tą okolicę zasiedlali wszyscy Niemcy, część z nich mieszkała wzdłuż jeziora. Rodzin autochtonów – rodaków tego terenu – było kilkadziesiąt, choć większość wyjechała. Jako rodowici mieszkańcy nie mieliśmy zgrzytów z przyjezdnymi z kresów czy Ukrainy, nie istniały między nami żadne spory. Problem powstał właściwie z rodowitymi „centralniakami" – ci nas najgorzej traktowali. Byliśmy dla nich „szkopami", „szwabami", „hitlerowcami". Jakie tylko

przezwiska przychodziły im do głowy, tak na nas wołano. Nieraz czterech, pięciu czy sześciu napadło na jednego! Mnie to zawsze zdradzało imię – LOTHAR – „a to nie tutejszy, a to nie polskie imię" – już wiedzieli, jak mnie zaszufladkować. Powiedziałem kiedyś: „Tam gdzie kołyska moja stała, tam ojczyzna moja jest!" – i ja tego nie zmienię. Byliśmy trochę odgrodzeni od reszty świata. Powstał jakby „obóz", choć bez ogrodzenia. Natomiast relacje sąsiedzkie wewnątrz układały się dobrze. Nie widziałem, żeby wówczas ktoś się kłócił. Nieopodal stał duży pomnik na Placu Obrońców Stalingradu – schody w koło, na wysokość szafki kuchennej, później sześciokątny lub pięciokątny mur, przechodzący całkowicie w czworokąt. Na tym zwężeniu porobiono siedzenia i na każdym rogu (nie wiem czy pięć, czy cztery, czy sześć) siedziała niewiasta. Jedna trzymała książkę, inna miała wagę, kolejna nosiła dziecko na ręku. Czubek szedł do góry, tak jak w Pomniku Waszyngtona i na końcu znajdował się daszek, taki czworokąt. Gdy już się ożeniłem, szkoła zawodowa rozbierała ten pomnik, kilka lat dobierali się do niego. Z tego placu widoczne są ruiny zamku.

Na co dzień doskwierał najbardziej brak jedzenia. Chodziliśmy po prośbach, z woreczekiem lub torbą. Normlanie pukaliśmy do drzwi, prosząc o kawałek chleba lub coś do zjedzenia. Pewnego razu, z powodu jedzenia musiałem schować się, gdy Rosjanie opuszczali Prabuty. Pewien żołnierz zaczął przychodzić do nas i przynosić mi jedzenie. Brał mnie na kolana, a matka musiała przygotować talerzyk. Spluwę kładł na stole – niechby ktoś z rodzeństwa lub mama chcieli wziąć coś ze stołu – zastrzeliłby. Dał mi się najeść i oznajmił, że jutro odjeżdżają i on przyjedzie po mnie rano samochodem. Matka na to: „Ty się gdzieś weź schowaj w gruzy!" – poszła w dzień i znalazła dla mnie miejsce. Pół piwnicy zawaliło się, a w drugiej pozostał róg, taki ciemny. Powiedziała, że mam się tam schować, a gdy Rosjanie pojadą, to wróci po mnie. Z piwnicy przeniosłem się na wieżę. Znalazłem belek obalony i za nim się skryłem. Był tam nawet luz i leżał koc – ktoś tam przede mną też się chował. Usnąłem na siedząco

i przespałem się na tej wieży. Gdy słońce wyszło, matka przyszła po mnie i powiedziała, że Rosjanie pojechali. Wtedy dopiero wróciłem do domu.

Powojenna odbudowa miasta przypomina mi o przykrej historii. Młody chłopak (14-sto, może 15-sto letni) wchodził na wieżę katedralną i rysował miasto. Ktoś dowiedział się o tym i doniósł, że chłopiec rysuje plany dla wojska. Złapali go i ściągnęli z wieży. UB zabrało chłopca do Susza, gdzie został pobity. Kazano matce odebrać syna, już bezpośrednio w kwidzyńskim szpitalu. Niestety nie dożył wizyty matki, zmarł – tak go tam skatowali. On chciał tylko narysować miasto po wojnie, jak wygląda. Co taki chłopak mógł wiedzieć o wojskowych mapach?! W późniejszym okresie rozpoczęło się odgruzowywanie miasta. Za każdą cegłę płacili grosza, ustawiano je w słupki po dwieście sztuk. Kobiety z Prabut musiały obowiązkowo chodzić i czyścić. Odbywało się to już za polskich rządów, gdy Rosjanie odeszli. Słyszałem, że to niby miało zostać przeznaczone na odbudowę Warszawy, ale podobno to biznesmeni zabierali i się budowali. Nieprzydatne gruzy były transportowane w okolicę skrzyżowania ulicy Zamkowej i Kwidzyńskiej.

Pewnego dnia, za jedzeniem poszedłem na ulicę Rypińską. Trafiłem na pana Mellera, gospodarza. Zapytał mnie, czy nie przyszedłbym jutro i został u niego – jeść dostanę. Po polsku jeszcze nie bardzo umiałem mówić. Na ile zrozumiałem, zgodziłem się potwierdzając, że przyjdę. Czekały na mnie obowiązki – drzewa przynieść, wody napompować i dostarczyć do domu. Matka gospodarza przędła wełnę i ja jej w tym pomagałem, kręcąc korbką. Ona była jakaś chorowita, pukała głową, jak tą wełnę rozciągała, więc nie raz musiałem ją przytrzymywać. Pokochali mnie bardzo. Byłem już dłuższy czas u gospodarza, nie wiem ile, ale trawa już urosła. Gospodarz miał chyba trzy krowy i jednego konia, trzy czy dwie owce i cielaka. Spuścił zwierzęta i musiałem pognać je na dół, aż do jeziora. Tam rybakówka stała trochę dalej, był dom i drewutnia. Krowy chodziły aż za Stankowem, więc spotykało się

nas tam potem więcej, przy wypasaniu krów. Od gospodarzy byli ci chłopcy, koledzy – wspólnie paśliśmy bydło. Przypominam sobie, jak na ulicy Rypińskiej, przy moście w kierunku Susza, z jednej i drugiej strony leżało pełno trupów, broni i amunicji. Strzelaliśmy z tego będąc dzieciakami, 7-8 letnimi. Układaliśmy ognisko, umieszczaliśmy pocisk artyleryjski na drewkach, podpalaliśmy i chodu (śmiech). Tam też leżał mundur oficera SS, kości w nim jeszcze były – to mi tak utknęło w głowie. Później pewien pan zepsuł nam całą robotę. Trąbił, ludzie wypuszczali krowy, które wiedziały jak iść wzdłuż asfaltu, a jego wyszkolony pies gnał je, zabierając chłopakom pracę. Pięć lat spędziłem u gospodarza Mellera. Potem jego żona urodziła syna Stasia. Bujałem go i nosiłem na rękach. Czasem padałem już z przemęczenia, bo pasłem krowy od rana do wieczora, a do tego przynosiłem drzewo i wodę. Później musiałem już ścielić pod krowy i świnie, gnój wyrzucać i sprzątać. W trakcie mojej pracy u gospodarza rozpoczęła się szkoła.

W tym miejscu chciałbym wspomnieć o przebiegu mojej edukacji. Szkołę podstawową rozpocząłem za niemieckich czasów. Chodziłem do pierwszej i drugiej klasy. Drugą zacząłem we wrześniu, a z początkiem stycznia nas wywieziono. Była to szkoła typowo niemiecka. Znajdowała się tam, gdzie jest dzisiaj byłe gimnazjum przy ulicy Grunwaldzkiej. Gdy czekaliśmy w klasie, na wejście nauczyciela trzeszczały ławki, ponieważ wszyscy wstawali. „Dzień dobry panie nauczycielu!" – „Siadać!" – raz i wszystko siedziało. Później wchodziły dwie osoby i dawały mleko, kakao – dostawaliśmy napój i bułkę. Jakiś czas to trwało, a później zostało przerwane. Dostawaliśmy picie i jedną tabletkę. Mówiono nam, że to zdrowe i trzeba zjeść – podobno to była jakaś potężna witamina. Niedługo potem usłyszeliśmy: „Od jutra, jak będę wchodził do klasy, to macie wszyscy wstać, rękę do góry i Heil Hitler!". Pierwszego dnia, jedni wołali tak odważnie, drudzy nieśmiało, ale później to już brzmiało ostro i bezlitośnie. Nauka rozpoczęła się od abecadła i liczenia. Później pisaliśmy już mama,

tata – tylko, że nauka stała się bardzo rygorystyczna. Gdy ktoś czegoś nie zrobił, musiał rękę kłaść przy końcu ławki i dostawał trzciną – nie tam, że linijką, tylko trzciną (jak palec). Nie jednemu ręka spuchła. Nie używaliśmy zeszytów, tylko tablic. Miałem tak zwany gryfel, pisałem i musiałem tablicę podnieść. Miałem gumkę na sznurku, przywiązaną do tej tablicy. Musiałem zetrzeć i od nowa. W klasie panował podział, tak mi się wydaje. W trzech rzędach siedzieliśmy. Pierwszy rząd od okna zajmowali najlepsi uczniowie, drugi – średnia grupa, a w trzecim – najsłabsi, przy drzwiach. Tak to zapamiętałem. Kurtki i czapki wieszaliśmy na korytarzu. Był numer i musiałem go zapamiętać. Jednego z nauczycieli spotkałem dużo później w Prabutach, za czasów pracy w PGR. Miałem około siedemnaście lat. Poszliśmy z kolegami do gospody na piwo. Siedliśmy do stołu, nie wiem ilu nas tam było. W pobliżu zajęła miejsce grupka trzech starszych osób. Wśród nich postać podobna do byłego nauczyciela. Wstałem i podszedłem do niego. Przeprosiłem i po niemiecku zapytałem, czy nie był nauczycielem w Prabutach. On zmierzył mnie z góry na dół i powiedział, że nie, ale odpowiedział po niemiecku. Wróciłem do swojego stołu, a ich trzech cały czas patrzyło w moją stronę.

Po powrocie z Pucka do Prabut, nastał czas szkoły polskiej. Po wojnie rzucili nas do trzeciej klasy oraz zaczęli dawać jeść. Piorunem wszyscy się dowiedzieli, więc i ja poszedłem, rezygnując z obowiązków u gospodarza. Oferowano jedzenie, a mnie reszta nie obchodziła. Do szkoły uczęszczałem w bluzie angielce. Miały różne kolory, jednolite – brązowa, siwa, albo czarna. Rajstop i spodni nie było dla małych. Nosiło się pasek, gumki, pończochy wciągane i krótkie spodenki. Zimą zakładano kamasze. Po wojnie chodziliśmy w szmatach, matka zawsze mówiła: „Ty się nie wstydź, jak ktoś ci powie, że masz łatę na spodniach. Powiedz, że są czyste!" – ona zawsze o to dbała. Z początku nie mogliśmy nawet kupić ubrań, nie były dostępne. Z czasem w szkole spotkałem się z agresją. Nie mogłem rozmawiać z kolegami po niemiecku. Przypadało przeważnie dwóch, trzech autochtonów w klasie,

a reszta to sami Polacy, więc nie miałem nic do gadania. Matka mogła prowadzić mnie za rękę – jak usłyszano, że odezwałem się w obcym języku – zostałem pobity przy matce, a jeszcze nieraz i ją samą kopnięto. Cegłami rzucano w naszym kierunku. Polacy z kolonii, w drodze do miasta zaczepiali, bili, tłukli kamieniami i kijami. Chodziłem trochę do szkoły, ale przez tą sytuację nie wytrzymywałem, omijając czasem całe tygodnie. Nauczyciele nie reagowali szczególnie – przyszli, rozegnali zbiorowisko i tyle. Wpadałem więc na dół do piwnicy szkolnej, zjadałem obiad i chodu. Podręczniki i książki dostaliśmy. Pierwszy raz do polskiej szkoły udaliśmy się z tymi niemieckimi tabliczkami. Miałem jeszcze swój tornister. Nauczyciele zakazali noszenia tabliczek, dostaliśmy w zamian zeszyty, ołówki, pióro do atramentu. W ławce znajdowały się dwa kałamarze, jak kropkę zrobiłem, to raban podnoszono zawsze. W rachunkach i w abecadle byliśmy biegli. Natomiast najgorsze trudności sprawiało „ż", te „u" z kreską, „n" z kreską. W tym „strzelaliśmy byki". Wiem, że wszystko nam dobrze szło, tylko gdy przyszedł czas pisania, to powstawał problem. U nas nie istniał w języku niemieckim dylemat: „rz" czy samo „ż", „u" otwarte czy „ó" zamknięte – to było najcięższe. Podobnie z literą „ł", człowiek zawsze inaczej to wymawiał. Polska nauczycielka bardzo dobrze nas traktowała. W zamian zawsze chodziliśmy do niej po lekcjach, pielić ogród lub wesprzeć przy innych pracach porządkowych. Była jednocześnie stanowcza. Nauczono nas, że trzeba stać, gdy podchodzi nauczyciel – nie mogliśmy odzwyczaić się od tego, taki nawyk już nam utkwił. Nie obawialiśmy się pedagogów i nauki, tylko rówieśników. Na przerwach w ogóle nie wychodziliśmy na dwór. Siedzieliśmy na korytarzu albo w klasie. Gdy rozpoczynała się przerwa międzylekcyjna, to z kolegą chowaliśmy się w róg, zastawiając ławkami, a dzieci rzucały w nas, czym kto mógł. Byliśmy odgrodzeni, można powiedzieć – jak więzniowie. Ten problem dotyczył nie tylko uczniów niemieckich. Niektórych zdradzał akcent – to najpierw krzyczeli „Ukraińcy" na tych Kresowiaków. Potem pojawiła się piosenka wśród dzieci, którą śpiewali do przyjezdnych kolegów, cyt.: „Ukraińcy, niedobrzy

ludzie, bo wyżerli nam psa w budzie. Jeszcze jednego nie pożarli, o drugiego mordę darli" – to jak dzisiaj pamiętam, zasłyszane na szkolnym korytarzu. Gdy już umiałem dobrze rozmawiać po polsku, byłem zadowolony. Rodzeństwo zazdrościło mi, bo już mogłem iść do miasta i nikt mnie nie zaczepiał. Jak do sklepu wszedłem, to mówiłem wyraźnie. Zaraz po wojnie każdy musiał mieć kołchoźnik w domu (taki głośnik). Podłączano go do słupa elektrycznego i do każdego mieszkania, obowiązkowo. Cały dzień głoszono o dobrobycie, o tym wszystkim – propaganda. Mało kiedy szłyszałem muzykę. Nie mogłem zrozumieć tego, dlaczego mówiono: „Litwo, ty moja ojczyzno" – taki wiersz. Zastanawiałem się, gdzie tu Warszawa, gdzie tu Kraków? To Litwa jest ojczyzną? Człowiek bał się spytać kogoś drugiego. Nawet w szkole, jak się poszło raz na miesiąc, to trzeba było stanąć i recytować inwokację. Cały wiersz należało powiedzieć, dopiero mogliśmy siadać i rozpoczynać lekcję. Warunki w polskiej szkole nie przypominały tej przedwojennej. Rozkradziono wyposażenie, wcześniej na stadionie stały drabinki, rurki do gimnastyki. Funkcjonowało boisko do tenisa, piłki ręcznej, dwóch ogni czy piłki nożnej. Po wojnie już nic nie zostało. Miałem trochę pomocy od pani Mellerowej, żony gospodarza. Ona uczyła mnie czytać i pisać. Miała zeszyt i w nim ćwiczyłem, z książki przepisywałem na kartkę. Dużo mnie nauczyła, była dla mnie jak matka. Ten czas najlepiej wspominam. Niestety nie czułem się bezpiecznie w szkole, zatem musiałem zrezygnować z darmowego posiłku i ostatecznie edukacji nie skończyłem. Zacząłem ją tylko dla tego jedzenia.

U gospodarzy czułem się, jak w rodzinie. Do stołu siadałem razem z nimi. Spałem najpierw z bratem Mellera. On starszy, więc czasem przychodził pijany. Kręcił się, kotłował – nie raz zepchnął mnie z łóżka. Później pan Meller zmajstrował mi własne łóżko z desek. Dostałem siennik ze słomy, pierzynę i poduszkę. Spałem jak w domu! Raz w miesiącu miałem wolne (w niedzielę). Już w sobotę odchodziłem zawsze z uszykowanym plecakiem. Dostałem kogucika lub kurkę, już zabitą i wyczyszczoną, czasem jeszcze

do tego mąki, ziemniaków. To wszystko niosłem do domu, dla rodziny. Pieniędzy nie zarabiałem. Zimą, jak zabili świniaka, to gospodarz potrafił wozem przyjechać i przywieść nam mięso do domu. Tak wyglądały pierwsze dwie zimy. Później już zimowałem na miejscu, bo stałem się taki więcej rozwinięty. Skończyłem 13 lat. Wśród rodzeństwa byłem najmłodszy – brat starszy ode mnie o cztery lata, a siostra o dwa. Miałem jeszcze jednego brata, najstarszego z nas wszystkich. Nie wiem, czy to prawda, ale podobno uczył się w szkole lotniczej. Gdy wracałem od gospodarza i przynosiłem wałówkę, mama witała mnie słowami: „Mój kochany synek wrócił!" – brat i siostra w koncie stawali, już byli źli, zazdrośni. Za jakieś pół godziny, matka mówiła, że mam iść do rodzeństwa – już miała mnie dosyć. Od młodych lat czułem się odpowiedzialny za rodzinę i musiałem wszystko robić: zimą iść do lasu, nazbierać szyszek lub odłamać jakiegoś konara na opał. Brat i siostra nie poszli. Pracowałem u gospodarza, a oni siedzieli w domu. Co jedli, tego nie wiem – może chodzili po prośbie. Ja nie zostałem zmuszony do pracy, poszedłem z własnej woli. Dzięki temu zawsze byłem najedzony i ubrany, bo jak coś się porwało, to buty i ubrania dostawałem. Nie mogę powiedzieć krzywego słowa. Mój gospodarz później wyprowadził się bezpośrednio do Prabut i dalej do Rypina. Pojechali z rodziną i całym dobytkiem. Wcześniej pomieszkiwali na ulicy Kopernika. Tam miał jeszcze konia, którego dostał z UNRR-y. Nawet kilka ciągników na wieś trafiło. Później „towarzysze" zabronili i z UNRR-y nie przychodziło już nic. Tą organizację nazywano tu „ciocia UNRRA". Koń posłużył do rozwożenia węgla dla mieszkańców. Niestety usłyszałem, że jestem za słaby i nie dam rady. Koń i wóz został sprzedany. Poszedłem pracować do PGR-u w Starym Kamieniu. Tam dużo chłopaków pracowało, również małolatów. Brat też tam został przyjęty, ten cztery lata starszy – zatem ja miałem trzynaście lat, a on siedemnaście w tym czasie. Gdy poszedłem po zaświadczenie, to nie chciano mi go wydać. Usłyszałem, że wystawiają od czternastego roku życia – brakowało mi miesięcy do tego wieku. Początkowo praca wyglądała tak: Idź tam, przynieś, zagrab. Później jeździłem już

CIĄGNIK Z PGR, OTRZYMANY Z UNRR-Y. ZDJĘCIE PRZY BYŁYM OŚRODKU ZDROWIA (arch. prywatne L. Kossaka)

do mleczarni. Rano musiałem przyjechać do zlewni w Prabutach. Przywoziłem mleko, które ludzie brali ode mnie – dla pracowników w Starym Kamieniu. Miałem miarkę, nabierałem i wlewałem, oni jednak narzekali: „A to nie pełna, nie taka!" – zawsze litr mi zabrakł, więc później zgłaszano skargi. Kiedyś pojechał ze mną kierownik na miejsce i stwierdził: „Ja ustanę z boku i nawet nie będę się przyznawał!". Zacząłem mierzyć mleko i nalewać. Najpierw to państwowe, a później z kany dla ludzi. Kierownik trafił na oszustkę i powiedział do niej: „To co, ten chłopak ma płacić za to mleko, bo pani dostała łyk mniej?" – i przestano oszukiwać. Jak przyjechałem z mleczarni, to musiałem kosić kosiarką, choć nie umiałem. Pewien facet kosił, a ja wozem podjeżdżałem, nakładałem zielonki i przywoziłem dla świniaków. Później zaczął się siew. Nawóz siali starsi mężczyźni, służyły do tego specjalne miski

na szyję. Czarne nawozy były w pyle. Musieliśmy siać razem z pozostałymi. Stańkowo, pola za Stańkowem – wszysto obrabiał Stary Kamień. Stróż przyjeżdżał koniem, taką bitką do Prabut, a my wtedy siadaliśmy i jechaliśmy do pracy. Tam dostawaliśmy śniadanie, obiad i kolację. Pracowało się przeważnie dla tego wyżywienia. Wypłata była raz w miesiącu i zarobione pieniądze oddawałem matce. Musieliśmy pracować równo ze wszystkimi: pielić na polu, sadzić buraki lub kartofle, pomagać przy żniwach. Tam nauczyłem się palić. Zawsze stwierdzano, że kto pali, ten ma przerwę, a kto nie, musi robić dalej. Chcieliśmy mieć przerwę. Zawsze grupka się zebrała, więc kupowaliśmy sobie papierosy – na trzy przerżnięte żyletką, wkładaliśmy w cygarniczkę i za kurka. Siadaliśmy na trawie i tak nauczono nas palić. Człowiek był zadowolony, że może odpocząć. Praca w PGR wiązała się także z wizytami na posterunku, po dwa, trzy razy w tygodniu. Chyba ze dwa lata tak chodziliśmy. Posterunek znajdował się na ulicy Warszawskiej. Zawsze nas tam wołano i przesłuchiwano. Funkcjonariusz siedział sobie na boku i coś notował. Zawsze pytali o jedno i to samo: „Jak tam w sąsiedztwie? Jak tam w pracy? Jak z kolegami? Jak tam to? Jak tam tamto…?" – nie raz przetrzymali przez noc i rano puścili prosto do roboty, bo do domu już się nie zdążyło. To była zasługa UB. Słuchało się też Radia Wolna Europa, ja również to czyniłem. Nie mogę określić, kiedy je nadawano. Jakoś na jesieni, nie mieliśmy kartofli w domu i musiałem iść do gospodarza na zbiory, żeby zrobić zapas na zimę. Brałem urlop z pracy i udawałem się do Sypanicy, Obrzynowa – gdzie wołali gospodarze, tam się jechało. Worek kartofli przysługiwał za dzień zbierania. Jak z siostrą poszliśmy, to zawsze dwa worki zarobiliśmy. Trzy, cztery dni zbierałem i już musiałem wracać do pracy. Właśnie u takiego gospodarza mieliśmy kontakt z tym radiem. On posiadał aparacik, skrzyneczkę taką na słuchawki. Spaliśmy na sianie, przyszedł właściciel i powiedział: „Masz, załóż sobie na uszy". Tam już miał ustawioną stację i usłyszałem „Wolną Europę". To był mój pierwszy kontakt z zakazaną audycją. Miło wspominam obowiązkowe święto pracy, za czasów mojego zatrudnienia w PGR.

„Jutro do pracy"– usłyszałem. Odrzekłem: „Toć święto!" – „To konie bierz, załóż do wozu, dzisiaj jeszcze weź lewarek, nasmaruj koła, osie" – naniosłem towotu i wio do miasta. Tam pełno ludzi spotkałem, brzóz ponatykano wszędzie. Już nie pamiętam, gdzie konie stawialiśmy, był jakiś plac odgruzowany, wóz parkowano przy wozie. Zawsze od rynku rozpoczynano przemarsz ze sztandarami. Obchód ruszył wokół stadionu i tam też się rozchodził.

Już od młodości szukaliśmy uciechy. Kukliński robił nam pistolety na kulki z drewna. Był drut, taki rowek i gumka – to się naciągało i przyciskało klamerką. Chodziliśmy do lasu i w dwóch grupach bawiliśmy się w wojnę. Człowiek nikogo nie skaleczył, bo naboje daleko nie leciały, może kilkanaście metrów. Jako trochę starsza młodzież, rozrywkę urządzaliśmy sobie w pustych domach, które stały. Wystarczył kij, trzy naciągnięte druty i dwie lub trzy puszki wsunięte na gwoździkach, aby zagrać: „Puh, pah, pah… Puh, pah, pah!" – przy tym skakaliśmy między sobą, ucząc się tańcować. Wieczorem, na dworze i w Sali Miejskiej odbywały się zabawy. Bywało wesoło – milicja miała roboty od cholery. Mając już ponad szesnaście lat i tak nie mogłem długo się bawić. Nadchodziła dziesiąta godzina i wyganiano nas z zabawy – takie były zasady. Choć nie mieliśmy za dużo czasu, przeważnie graliśmy w karty, w „Baśkę" lub „Tysiąca".

Mając szesnaście lat poszedłem na kolej, do Mikołajek. Tam pracowało nas przeszło sześćdziesiąt osób na torach. Wszystko robiliśmy ręcznie. Wysiadłem na dworcu i poszedłem do biura dowiedzieć się, czy jest możliwość zatrudnić się na kolei. Zapytano mnie, ile mam lat. Odpowiedziałem, że jeszcze szesnaście, bo tak rocznikowo przypadało. Wypisano mi kartkę i kazano iść torami. Na miejscu pracowała pierwsza brygada. Kartę należało dać torowemu. Spisali imię, nazwisko, datę urodzenia i już pracowałem tego samego dnia. Na kolei zarabialiśmy 820 zł. Panował przymus pracy. Nieraz, gdy poszedłem na piwo do gospody, mogłem zaobserwować podejrzanych, młodych lub starszych, zdolnych do pra-

PRACA PRZY TRAKCJI KOLEJOWEJ NA TRASIE PRABUTY-MALBORK
(arch. prywatne L. Kossaka)

cy mężczyzn. Jeśli dawali poznać, że są niepracujący, to zaraz podchodziła milicja i zabierała ich od stolika. Nie przystało żyć bez roboty, więc każdy musiał pracować.

Najbardziej ubolewam nad dewastacją parku. Przed wojną miejsce to było czymś pięknym. Obowiązywał płatny wstęp, należało zapłacić ileś tam marek. Porządku pilnował stróż. Nikt papierka by tam nie dostrzegł, tak dbano o czystość. Koszono trawę, a dla dzieci przygotowano piaskownice, huśtawki i rurki sportowe. Wytyczono kort tenisowy. Dalej znajdował się pomnik, do dzisiaj chyba tam stoi. Na nim jest napiane, że były gospodarz oddał ten teren na własność dla ludności miasta, na odpoczynek. Drugie, bardzo piękne miejsce stanowiła plaża nad jeziorem Dzierzgońskim, z pomostem i pobudowanymi kabinami do przebierania się

oraz ubikacjami. Przechodziło się przez tory, tak jak dzisiaj jedni skracają sobie drogę, lub dookoła. W niedzielę miasto pustoszało, tylko stróże chodzili po mieście i pilnowali. Psów nie można było nigdzie zabierać. Ktoś musiał zostać z nim w domu, zamknąć go lub uwiązać. Kolejne miejsce, które podobało mi się szczególnie, znajdowało się za jeziorem Liwieniec. Tam pobudowano tor wyścigowy dla koni i tor przeszkód, zaraz z brzegu. Urządzono go naturalne, nie przewidziano schodów, tylko kołki powbijano, żeby ziemia się nie obsuwała. Jeszcze po wojnie chodziłem i oglądałem to miejsce. Kawałek dalej był większy las i zaraz za nim stał rząd sosen. Dalej znajdował się młyn. Tam mieścił się duży dom (pałac). Funkcjonowała restauracja, gdzie serwowano obiady. Na miejscu urzędowali gospodarze z końmi – coś pięknego. Z Miłosnej przywozili je na ten tor przeszkód. Istniał jeszcze młyn i tartak. Z brzegu stały domki – gdzie teraz jest pierwsza prądnica. Leśni robotnicy je zamieszkiwali, z pięć lub sześć domków wówczas stało. Był jeszcze grobowiec, w tym największym młynie. Ktoś zrobił dziurę i wyjął szkielet, w rogu postawił go z kijem w garści. Nawet nie wiedziałem, zobaczyłem tylko dziurę, zaświeciłem lampką, a tam mogiła.

Żal mi także rynku z lwami. Przed wojną jeszcze rosły drzewa, pięknie w koło obsadzone, nie duże, ale ładnie okołkowane. Poprowadzono chodniki i kładziono bruk, choć nie wszedzie jeszcze było utwardzone. W pamięci utkwiła mi również karuzela, duża i mała oraz huśtawki, też różnych rozmiarów... ale gdzie to było? W miejscu byłego kortu tenisowy na ulicy Daszyńskiego, po przeciwnej stronie cmentarza stał pałac. Zabudowania należały do właściciela tej fabryki, cukrowni. Tam znajdowały się baseny. Za parkiem płynęła woda, koło mleczarni powstało jezioro. Rzeczka podążała od parku do młyna – dwanaście walców w nim pracowało. Mąkę mielono i końmi wożono na dworzec w workach. Młyn powstał przy placu Wolności, zastąpiąny później tartakiem, u kresu ulicy Kraszewskiego. Pamiętam całkiem dobrze figurę na placu, przy obecnym magistracie. Stał tam żołnierz pruski

FONTANNA ROLANDA
(arch. prywatne L. Kossaka)

KĄPIEL NAD JEZIOREM LIWIENIEC, FOTOGRAFIA POWOJENNA
(arch. prywatne L. Kossaka)

z karabinem i plecakiem. Hełm miał z czubkiem, twarz skierowaną w kierunku Kwidzyna. Pod spodem widniała tablica z królem pruskim. W nocy figura zginęła, ale nie wiem, co się z nią stało. Cokół został zabrany i podtrzymuje monument z Matką Boską.

Warto wspomnieć o zabudowie na jeziorze Liwieniec. Można tam „chodzić po wodzie". W pewnym miejscu jej poziom nie sięgał nawet do kolan. Są tam schody na dół. Dachówki i cegły można wymacać i wyciągnąć. Gdy nie raz pływało się łódką, to często stukała i ukazywał się grunt pod taflą wody. Fragmenty tej zabudowy ciągną się przez całe jezioro w kierunku rzeki, ale nie całkiem do ujścia, tylko tak około pięćdziesiąt metrów. Ciekawe stało się dla mnie również odkrycie skrzyni ze skarbami. Miało to miejsce

tam, gdzie mieszkaliśmy – na Placu Obrońców Stalingradu. Od podwórza znajdowały się drzwi, mała przybudówka, a w niej schody na dół do piwnicy. Był tam zegar od wody. Idąc głębiej trafiało się na dojście do zamku. Pomieszczenie położone półtora metra niżej nie zostało niczym wyłożone, pod stopami tylko piasek. Tam odnaleźliśmy zamkniętą na kłódkę skrzynię w ziemi, wielkości stołu. Odkopaliśmy ją. W środku znajdowały się same księgi, biblie i grube tomy – niektóre w drewnianych, a inne w skórzanych okładkach. Niewiedzieć czemu, UB szybko dowiedziało się o naszym odkryciu, więc daliśmy spokój tej skrzyni. Niektórzy koledzy wzięli kilka ksiąg. Pewnego wieczoru przyjechało UB, przyszli do mieszkania. Po kilku dniach dowiedziałem się od innych chłopaków, że u nich też zawitali. Byli uzbrojeni, pozamykali nas

w domach i nie mogliśmy wyjść. Patrzę, wynoszą te grube księgi! Później w tym miejscu odkryli jeszcze drugą skrzynię. Ją także wyciągnęli, wybrali z niej wszystko i połamali resztę w drobny mak. Przyszedł jeden czy dwóch ubeków i powiedzieli, że możemy już chodzić na dwór, gdzie chcemy. Dopiero za kilka dni koledzy zebrali się, bo baliśmy się po tym wszystkim. Zeszliśmy do tych piwnic i zobaczyliśmy, że skrzynie zostały połamane na kawałeczki. Pozbierałem te resztki do spalenia, a o księgach słuch zaginął.

Czas powojenny nasuwa mi na myśl także pierwsze sklepy. Na zakręcie ulicy Kraszewskiego, w miejscu obecnej kwiaciarni był nasz ulubiony sklep. Jako niemieckojęzyczni mieszkańcy Prabut, na miasto nie mieliśmy prawa iść, bo unikaliśmy agresji. Zatem w tym sklepie kupowaliśmy wszystko. Zawsze właściciel lub właścicielka dała miętowego lub innego cukierka w papierku. Chodziliśmy tam z miłą chęcią. Kupowaliśmy na kreskę. Pierwsza masarnia funkcjonowała w miejscu, gdzie sprzedawał pan Czajkowski. Przy ulicy Rynek znajdowały się ogrody. Chodziłem za młodu na targ organizowany przy fontannie Rolanda. Nie było tam asfaltu, tylko bruk. Konie stawały zawsze w rządku. Wszystko mogłem dostać na miejscu – zegarek, jedzenie, artykuły rolnicze, sery i twarogi, jajka w koszu czy we wiadrze. Na początku obowiązywał handel wymienny. Nie posiadaliśmy żadnych pieniędzy, jak dobrze kojarzę. Pamiętam natomiast „inwentaryzację", prowadzoną przez Rosjan. Wszędzie zadawali pytania. Dostawało się niby taką książeczkę, chodzili po domach i spisywali w języku rosyjskim. Tylko nazwiska i imiona pisano po polsku.

Nieco zmieniło się także otoczenie przyrodnicze. Kiedyś koszono rokrocznie trzciny i ładna, zielona rosła. Kaczki, łabędzie, gęsi, kurki wodne – ptactwa było tyle, że nie mogłem dostrzec tafli wody. Wyschła rzeka, która pod młynem płynęła.

PO LEWEJ: POWOJENNA PANORAMA MIASTA,
WIDOK Z JEZIORA LIWIENIEC (arch. prywatne L. Kossaka)

W mieście dotkniętym działaniami wojennymi, istotnym priorytetem stało się wznowienie działalności kościoła. Matka opowiadała, że jeszcze za czasów niemieckich, gdy szliśmy na mszę, to nas nazywano zawsze Polakami. Później, jak już Polacy przyszli, to nas od Niemców wyzywali (śmiech). Pierwszym księdzem był Klimuszko, on nam nawet udzielił Pierwszej Komunii. Gdzieś około dwudziestu chłopaczków stanęło do tego sakramentu. Drugi ksiądz pewnie nie zainteresowałby się. On natomiast jakoś tak potajemnie wszystko zorganizował. Uczył nas pacierza po polsku i musiał powtarzać go kilka razy, bo nikt z nas nie potrafił wtedy czytać i pisać w tym języku. Zawsze wołał nas na plebanię do nauki modlitw „Ojcze nasz", „Zdrowaś Mario" – i to wszystko po cichutku. Był takim księdzem, jak ojciec dla dziecka. Chciał, żeby to wszystko grało i pasowało. Drugi by powiedział, że nie wolno. Nawet rodzicie nic nie wiedzieli. Kiedyś kazał, żebyśmy rano wstali i przyjęli Pierwszą Komunię. Poszliśmy do kościoła, stanęliśmy w rzędzie i jeden drugiego trzymał za ramię, tak jakby do bierzmowania. Nie mieliśmy ojca, matki, ani chrzestnych – nikogo. Tylko on komunię dawał, tradycyjnie z uklęknięciem. Człowiek się przeżegnał, modły odprawił i po sprawie. Byłem zadowolony, że przyjąłem komunię. Po wszystkim ostrzegł nas, żebyśmy gromadą nie wychodzili z kościoła, tylko tak rozproszeni. Rozeszliśmy się różnymi bokami. Ksiądz Klimuszko był stanowczy, ale rozmawiał tak, jak ze swoim dzieckiem. Słyszałem, że przewidywał, iż przyjdą po niego. Lubił czekać ze wszystkim do końca. Do Susza i Iławy zabierali go kilka razy. Nie wiem, czy na jakieś przesłuchania, czy jak – ale zawsze wracał. Za niedługo dochodziły słuchy, że Klimuszkę ścigają.

Katolicki kościół uchronił się przed działaniami wojennymi, tylko jego obecny płot wówczas nie istniał. Plebania także ocalała. Mównica, z której zawsze głoszono kazanie, wędrowała po kościele – raz stawiano ją po lewej stronie przy słupie, później przeniesiono na drugą stronę. Ostatecznie zginęła, podobnie jak obrazy drogi krzyżowej (dwanaście), które też zostały zabrane po wojnie. Utrudniano dostęp do kościoła. Nieraz szło się ulicą, a tam stała już

milicja albo ormowcy z opaskami. Wtedy człowiek wiedział, że wezmą go na przesłuchanie, na posterunek. Każdy więc zaraz skręcił gdzieś koło magazynów, aby ich ominąć i z drugiej strony dotrzeć do kościoła. Jak się nie dało, to człowiek wracał i ostatecznie nie szedł do kościoła. My poruszaliśmy się zawsze grupką lub dwoma, trzema mniejszymi. Nagle wychodzą i już wołają na posterunek: „Jak się podoba? Jak się żyje?" – takie pytania zadawali, przetrzymywali i powtarzali stale to samo – co my robimy, jak z pracy wrócimy? Robili ciągle wywiady, nawet trzy razy w tygodniu. Zdarzyło się, że kościół zamknęli, a księży wygnali do plebani – wówczas milicja stała przy drzwiach. Robili to z wyprzedzeniem. Taka sytuacja nie występowała często i nie trwało zbyt długo. Jednak na różne sposoby dawano odczuć, że jest się gorszym przez to, że chodzimy do kościoła.

Początkowo cmentarz przy ulicy Malborskiej był ewangelicki i mieścił pełno grobów. Później ludność napływowa zrobiła tam rozgardiasz, ponieważ zaczęto otwierać grobowce. Spoczywała tam pewna dziewczyna, która wyszła za mąż i najwidoczniej zmarła przy weselu, lub krótko po nim. Pochowana została w welonie, miała złoty łańcuszek i dwa czy trzy pierścionki na ręce, tak ładnie złożone. Znajdowała się tam pewnego rodzaju klapa i można było wejść do środka. Po jakimś czasie została wyjęta z grobu – wówczas dużo grobowców zostało zdewastowanych. Sam w jednym z nich znalazłem nawet niemieckie umundurowanie, ale zlękłem się jako dziecko i uciekłem. Z kolei cmentarz katolicki znajdował się na ulicy Daszyńskiego, za gospodą. Został potem powiększony o miejsce pochówku dla dzieci. Tam właśnie spoczywa moje pozostałe rodzeństwo. Dzieci były małe, a tu panował dyfteryt[322]. Codziennie lekarz chodził i pędzlował nam gardła – miał taką szczotkę, maczał ją w specyfiku i pchał nam do gardła, żeby wyczyścić. Człowiek dusił się od tego zabiegu. Zawsze rano nie jedliśmy nic, tylko czekaliśmy, aż lekarz przyjedzie. Dużo ludzi

322 Inaczej błonica – choroba zakaźna.

chorowało na ten dyfteryt. Niestety część rodzeństwa nie wyleczyła się i zmarła. Wcześniej dla dzieci nie stawiano pomników lub tablic. Umieszczano tylko malutki krzyż metalowy i numer. Przed wojną wszystko było zadbane, a gdy wróciliśmy, krzyże zostały powyrywane z miejsca pochówku. Dokonano takiej dewastacji, że nie zdołaliśmy już odnaleźć miejsca, w którym spoczywali. Jeszcze istniał cmentarz żydowski przy ulicy W. Jagiełły, niedaleko torów kolejowych. Posiadał ogrodzenie dookoła. Pomniki stały jeden przy drugim, krzyży natomiast nie było. Widziałem napisy, choć nie po niemiecku – nie wiem, w jakim języku je napisano. Kojarzę także cmentarz przy drodze na Kisielice, tam również grzebano zmarłych. Niestety woda zalewała grobowce i zaprzestano tam pochówku.

W pamięci pozostało mi pierwsze Boże Narodzenie. To było tak, że tu ormowców z karabinami chodziło od pioruna. Zatem w ciemną noc, przeszedłem przez jezioro (po lodzie), na skróty do lasu. Miałem ze sobą naostrzoną siekierkę. Za dnia wybrałem choinkę, zaś nocą trafiła do domu. Przystroiliśmy ją świeczkami, kilkoma bombkami i to wszystko. Chleb drożdżowy został upieczony i tak wyglądały święta. Pod choinką było pusto. Wtedy siedzieliśmy przy lampie naftowej i śpiewaliśmy kolędy po niemiecku. U nas opłatka nie znaliśmy, tradycję tą wprowadziliśmy dopiero, jak nastała Polska.

Brygida Hardasiewicz

Urodziłam się w Prabutach, dnia 15 kwietnia 1939 roku. Moja mama pochodzi z Malborka, a tata z Pułkowic (okolice Sztumu). Ojciec prowadził restaurację, w lokalu na rogu budynku przy skrzyżowaniu ulic Parkowej i Kraszewskiego. Mama nie pracowała. Zawsze mówiła, że Prabuty to było piękne miasteczko. Pamiętała każdy sklep. Miejscowość ładna, spokojna i bardzo czysta – tak nam zawsze opowiadała i wspominała.

Gdy nastała wojna, musieliśmy wyjechać. Uciekaliśmy do Gdańska. Utkwiło mi w pamięci, iż miałam chore ucho. Tak się trafiło szczęśliwie, że w przedziale pociągu, którym jechaliśmy był lekarz. Zamieszkaliśmy w piwnicy, w takim schronie. Odkryliśmy tam zakopane pełno żywności – ucieszyliśmy się. Czasem wychodziliśmy popatrzeć, pobyć na świeżym powietrzu, a podczas nalotów uciekaliśmy do środka. Tyle zapisało się w pamięci ówczesnego dziecka. Dużo osób z naszej rodziny poginęło. Ojca zabito w czasie wojny, mamy brat – wujek z Malborka – też zginął. Gdy już mogliśmy wracać, rozpoczęliśmy pieszą wędrówkę do rodzinnego miasta. Szło z nami kilka osób, w tym małe dzieci. Pamiętam chłopca, który jechał w drewnianym wózku – był chory umysłowo. Jakaś rodzina nam towarzyszyła, nie szliśmy sami. Po drodze napotykaliśmy ludzi, nie zawsze przyjaznych. Jeden z nich, dla przykładu, podeptał cukierki, które moja babcia miała przy sobie. Płakałam razem z nią. Gdy z daleka nasza grupka zobaczyła wieżę, rozpłakaliśmy się wszyscy. Na miejscu same ruiny... i płacz mamy. Z opowiadań mamy wynika, że wszystko było spalone. Katedra była zniszczona, choć na wieżę dało się wejść. Wokół niej było pełno grobów. Po wojnie umierano na tyfus i stąd tyle pochówków. Jako dzieci grałyśmy tam w piłkę – przed katedrą.

Nastał nowy rozdział naszego życia. Wcześniej mieszkaliśmy pod Sanatorium, ale po wojnie osiedlili się tam przyjezdni i nie mogliśmy już wrócić. Zamieszkaliśmy na ulicy Barczewskiego, w budynku na piętrze. Ulica brukowana, chodnik miała tylko z jednej strony. Sam budynek był brzydki, szary z uszkodzoną

konstrukcją. Z tyłu znajdował się magiel, wszystko poniszczone. Nie mieliśmy bieżącej wody. Z początku chodziło się do pompy na ulicy 15 Grudnia, u pana Drapajły. Był natomiast prąd – radyjko „Rubin" nam grało i z niego czerpaliśmy radość. Na naszej ulicy mieszkał pop, a na ul. Ogrodowej odprawiał msze. Dzieci dokuczały mu strasznie. Był też bardzo prześladowany – wyśmiewano go. Relacje sąsiedzkie utrzymywaliśmy dobre. W sąsiedztwie mieszkała fajna rodzina z Ukrainy. Nie kłóciliśmy się, panowała zgoda.

Po powrocie nie było nam ciężko. Dziadek – krawiec – niski wzrostem, w czarnym stroju, zawsze chodził w kapeluszu. Pamiętam, że płaszczyk miał na ręku przełożony i laskę. Szył dla rosyjskich żołnierzy, więc na jedzenie wystarczało, choć to niebezpieczny interes – dziadka chcieli nam z maszyną wziąć do Rosji. Widzieli dzieci, więc go zostawili. Był taki komendant, że uhh! Zdarzyło się, że miał nawet zamiar zastrzelić dziadka za brak punktualności. Dziadek szył nawet sutanny Ojcu Klimuszce, zawsze mile o nim mówił. Mama pomagała mu, choć bywał też czas, że pracowała w polu. Zawsze chciałam z dziadkiem siedzieć i szyć. On nas wychował i wyżywił. Piekarz przynosił nam chleb, nie chodziliśmy z pustym brzuchem. Dorastałam z siostrą. Pamiętam, jak dużo lalek miałyśmy. Z całej ulicy Barczewskiego dzieci przychodziły się do nas bawić. Było tak dzięki pomocy rodziny ojca z Ameryki. Planowali nawet zabrać mnie do siebie, ale mama się nie zgodziła. Z kolei młodszą siostrę – Hanię – Rosjanin chciał wziąć. Siostra ojca (ciocia) – zakonnica – też pragnęła pomóc, zabierając mnie do zakonu, ale i tym razem mama powiedziała nie. Ułatwieniem dla mieszkańców miasta stały się sklepy i lokalni usługodawcy. Piekarnia powstała naprzeciwko szkoły, drogeria na ulicy Kraszewskiego. Istniały też masarnie: pana Mejki oraz pana Gańczuka. Funkcjonowała mleczarnia, roszarnia, a nawet fryzjer – pan Langowski. Był szewc – pan Brzozowski, na ulicy Malborskiej

PO LEWEJ: ZDJĘCIE RODZINNE Z DZIADKAMI PRZY ZAKRYSTII OBECNEJ KONKATEDRY ŚW. WOJCIECHA (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

WIZERUNEK MIEJSCOWEGO FOTOGRAFA, PANA MARCINIAKA, AUTORA WIELU ZDJĘĆ Z OKRESU POWOJENNEGO. FOTOGRAFIA Z ROKU 1956 (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

znajdował się kowal. Był też pan Badziński – stolarz, który na ulicy Kraszewskiego miał dom, a z tyłu warsztat. Fotografem został pan Marciniak.

Trafiłam do przedszkola. Mama lub dziadek mnie odprowadzali. Było ciężko, bo nie umiałam mówić po polsku. Miałam problemy, przezywano mnie „szwabka". Urodziłam się w Prabutach przed wojną, ale wychowałam się w Polsce i czuję się Polką. Dziadek chodził z laską i gonił natarczywych rówieśników. On znał polski język, bo pochodził z Brodnicy. Nie miałam lekko, ale nauczyłam się języka w przedszkolu. Znajdowało się ono tam, gdzie jest Dom Nauczyciela, na ulicy Warszawskiej. Z tego przedszkola powędrowałam do szkoły podstawowej, budynek przetrwał do dziś. Mama moja nie chciała się uczyć języka polskiego w ogóle. Była autochtonką i wychowała się w niemieckim języku. Wyemigrować

DZIECI Z PAŃSTWOWEGO PRZEDSZKOLA W PRABUTACH, ROK 1946
(arch. prywatne B. Hardasiewicz)

MŁODE POKOLENIE MIESZKAŃCÓW PRABUT
(arch. prywatne B. Hardasiewicz)

też nie chciała. Nastał taki czas, że wszyscy nasi znajomi wyjechali, a mama nie. W końcu musiała iść na kurs języka. W 1946 r. trafiłam do pierwszej klasy. Skromnie było – to pamiętam – ławki, duża tablica, Pan Kucharski kijem wymachiwał. Pani Drzymała uczyła matematyki (i chyba śpiewu). Pan Neumann był wychowawcą. Przypominam sobie też Panie: Stawiszyńską, Rodziewicz, Agacińską. Ta ostatnia, choć bardzo surowa, nie pamiętam już czego uczyła. Na katechizm chodziło się na plebanię, do salki katechetycznej. Wiem, że jako dzieci autochtonów, byłyśmy jednymi z pierwszych, które poszły do polskiej szkoły. Z tego też powstały problemy. Otoczenie podejrzewało, że wrócą tu Niemcy, więc mieli do nas wrogie nastawienie. Dziadek kilka razy chodził do szkoły – ciągle byłam „krzyżakiem" albo „szwabem". Pamiętam, że wracając ze szkoły, za dzwony chwytaliśmy na wieży, ciągne-

WIDOK NA ULICĘ WARSZAWSKĄ, W TLE WIDOCZNA WIEŻA CIŚNIEŃ – BRAMA KWIDZYŃSKA (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

KARMIENIE ŁABĘDZI NAD JEZIOREM DZIERZGOŃSKIM
(arch. prywatne B. Hardasiewicz)

liśmy i uciekaliśmy. Na wieżę kościoła się chadzało, na samą górę – ciekawość nas motywowała. Po szkole do tunelu/schronu podziemnego zaglądaliśmy, było tam pełno nietoperzy. W lato chętnie bywaliśmy nad jeziorem, obecnym Dzierzgońskim. Nazywaliśmy je „jeziorem zmartwień", bo rokrocznie ktoś się tam topił. Nawet z naszej ulicy, utonął Fryc. Ja też prawie utopiłam się na dzikiej plaży… Różne pomysły przychodziły nam (dzieciom) do głowy. Graliśmy w dwa ognie. Byłam zawsze w bramce. Bawiliśmy się w „strzałki" – takie podchody w parku. Nawet w noża graliśmy[323].

Dalej było już Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli w Prabutach, na ulicy Warszawskiej. Koleżanki poszły, to ja też. Szkołą kierowała Pani Dyrektor o drobnej posturze, surowa, ale bardzo

323 Tzw. gra w pikuty – akrobatyczne wbijanie noża w podłoże.

dobra. Na zakończenie miałam lepszy stopień z języka rosyjskiego niż z polskiego. Wtedy to braliśmy udział w odbudowie miasta z Panią Drzymałową – osobiście podawałam cegły. Była to tak zwana „lekcja odbudowy Prabut" – ciężka, ale pomagałyśmy. Powoli miasto się odbudowywało, zarządzał nim pan Lipski. Został burmistrzem, ale to stanowisko dawniej inaczej określano. Był to bardzo porządny człowiek, miły, uczynny taki. Dobrze o nim wszyscy mówili. Mając 19 lat wyjechałam na Śląsk.

UCZENNICE LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI, ROK 1955 (I MAJ) (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

Irmgard Barbarewicz

Urodziłam się w dniu 26 lipca 1941 roku w Prabutach. Matka moja przyszła na świat w Królewcu (w dowodzie cały czas miała wpisane ZSRR). Później przeprowadziła się do Elbląga i tam do frontu mieszkała. Zapoznała sobie męża z Mikołajek Pomorskich. Jej życiowy partner, a mój ojciec, dostał pracę w mleczarni – dużym zakładzie przy obecnej ulicy Malborskiej. Mama nigdzie nie pracowała. Było nas dwoje dzieci – ja i młodszy brat, rocznik 43. Ojciec dużo zarabiał, chyba jako kierownik i to wystarczało. Później poszedł na front, więc matka zaczęła pracować na poczcie w Prabutach. Dodatkowo sprzątała jeszcze spółdzielnie. Działały sklepy GS-owskie i należało o nie dbać.

Po wojnie, w Prabutach wszystko było spalone, tylko gruzy i tyle. Wokół fontanny budynki zostały rozwalone. Za dawnych czasów odbywał się tu rynek z końmi na środku. Rolnicy przywozili ziemniaki, zboże, a ludzie handlowali na chodniku. Można było kupić jabłka, produkty od gospodarzy, ciuchów natomiast nie. Jeszcze pewien rzemieślnik usługi oferował – miał takie koło od roweru i ostrzył nożyczki oraz noże. Ulice brukowano kostką, kamieniami, a dopiero później wylano asfalt. Ulica Grunwaldzka też miała takie kamienie. Budynki ulicy Warszawskiej zachowały się do dzisiaj. Stała plebania i z czasem zaczęto ogradzać jej teren. Kościół natomiast nie był ogrodzony. Katedra wówczas nie miała dachu, bo się spalił. Tam w środku cały czas Rosjanie mieli konie, które później zabrali z powrotem do swojego kraju. Rosyjskie wojsko, odchodząc podpaliło w nocy ów budynek. Gdy uciekali, a przy tym jeszcze kogoś zastrzelili, to później nasza matka i ci wszyscy ludzie, którzy tu zostali, musieli wykopać doły i pogrzebać zabitych – koło katedry. Powstało tam siedem grobów.

Po wojnie ciężko było o materiały budowlane, dlatego wywożono cegłę z Prabut na Warszawę. Wszystko rozbierano, więc chłopi przyjeżdżali do pracy. Cegły czyścili, układali w kostki (sztable) i wtedy wozili je samochodem na dworzec, do wagonów

UL. BARCZEWSKIEGO, W TLE WIDOCZNE RUINY KATEDRY
(arch. prywatne I. Barbarewicz)

i wszystko jechało na stolicę. Gdzie dachy się kruszyły, tam zaraz zaczynano rozbiórkę – była to okazja, by znowu wywieźć cegły.

Podstawówkę zaczęłam w Prabutach. Znajdowała się w budynku przy ulicy Grunwaldzkiej. Ukończyłam 7 klas. W czasach szkoły podstawowej, mieszkałam już obok katedry, bo po wojnie nas tu wszystkich ściągnęli. Powstała instytucja na kształt urzędu, ale inaczej się nazywała. Zdecydowano, żeby wszyscy mieszkali w grupie: na ul. Krótkiej, ul. Kopernika, a my trafiliśmy na ul. Barczewskiego. Była to spokojna okolica, nic się nie działo. W domu wszystko zachowało się do dnia dzisiejszego. Wchodziło się do kuchni, na korytarz, potem do jednego i drugiego pokoju. Ubikacja znajdowała się na korytarzu, wspólna z sąsiadami. Wokół mieszkały rodziny: Tatarów, Nowaków i pani Rosowa. Sąsiedzi byli przyjaźni

– kiedyś nie było telewizorów, więc wszyscy sąsiedzi schodzili się i rozpoczynała się „gawędka". Pani Tatarowa umiała najlepiej śpiewać, a pan Sołtyski przychodził grać trochę na akordeonie. I tak to w niedzielę po południu: „Try, ty, ty... i grała muzyka do tańca!".

W szkole należało się uczyć. Było przyzwoicie, książki musieliśmy sobie kupić, do polskiego, matematyki – do każdego przedmiotu po jednej. Zadawano prace domowe, choć nie tak dużo. Uczyliśmy się wierszy, czytanek. Pani Czaplińska prowadziła lekcje języka polskiego, ale nie wiem jak miała na imię. Pan Kucharski uczył historii. Pani Stawiszyńska też uczyła, ale nie pamiętam już czego. Nauka była ważna, choć prymusów nie poznałam. Wśród rówieśników w klasie nie występowały inne narodowości – tylko Polacy i „Mazurzy". Religii uczono w szkole, prowadził ją katecheta.

ZDJĘCIE KLASOWE Z WIZYTY WŚRÓD RUIN, ROK 1956
(arch. prywatne I. Barbarewicz)

Wszyscy chodzili na religię, każdy wyczekiwał opowieści. Na lekcjach WF-u dziewczyny grały w siatkówkę, a chłopaki w piłkę nożną przed szkołą. Sali gimnastycznej nie było, więc zimową porą ćwiczenia odbywały się na korytarzu.

W ramach rozrywki chodziło się na plażę, nad jeziorem Sowica. Bywaliśmy też nad rzeką, przy drodze w kierunku Obrzynowa. Sala Miejska organizowała zabawy (w miejscu obecnego Prabuckiego Centrum Kultury i Sportu). Wcześniej potańcówki odbywały się w urzędzie, na dole, tam gdzie teraz jest sala konferencyjna. Drzwi znajdowały się zaraz od strony ulicy i tam grajek grał. Trochę młodzieży przyszło, potańczyli i już – do 23:00 i koniec – nie było, że do rana. Mogłam iść do restauracji „Jarzębina", blisko starego cmentarza. Pamiętam też kawiarnię „Pod Jeleniem", na ulicy Warszawskiej (na wysokości szkoły podstawowej). Byłam tam kiedyś, wnętrze wyglądało ładnie. W środku bufet, stoliki i orkiestra grała. Potem organizowano nawet zabawy GS-owskie. Gdy ogłaszano potańcówkę, to pisano ile kosztuje wstęp, a jak nadchodził np. 1 Maja – to szykowała się darmowa rozrywka. Było wtedy dużo ludzi, okazja z kimś zatańczyć, kogoś poderwać... Działało również kino przy skrzyżowaniu ulic: Warszawskiej i Kwidzyńskiej. Poranki organizowano dla dzieci. Filmy z tych aparatów wyświetlano różne: romantyczne, historyczne, itd.

Prabuty dobrze skomunikowały się z okolicą. Do Kwidzyna jeździło się pociągiem – motorówką. „Szły" połączenia na Jabłonowo, Kisielice. Pamiętam, że na dole ulicy Kraszewskiego, w budynku naprzeciw schodów, znajdował się najpierw sklep z obuwiem. Sprzedawano także marynarki, garnitury i skafandry – pan Lech prowadził ten punkt. Później, chyba po jego śmierci, była drogeria pana Skowrońskiego, a następnie sklep spożywczy. Nosiło się sukienki w kwiatki, w kratkę. Kto siał len i go potem oddał, ten dostał odpowiednie talony i mógł kupić sobie materiał. Mieliśmy krawczkę, panią Pilarską, na dworcu. Na dole sprzedawano bilety, a u góry znajdowały się mieszkania i tam się chodziło.

SKLEP MASARNICZY PRZY UL. KRASZEWSKIEGO
(arch. prywatne I. Barbarewicz)

Tą tylko pamiętam, mama ją poznała, więc ona nam szyła. Dużo ciuchów nie miałam – trzeba było szanować i skarpety cerować, a nie tak, jak teraz... Na ulicy Orzeszkowej prowadzono sklep rybny, za pomnikiem Matki Boskiej. Tam najtańsze były śledzie! Masarnię miał pan Mejka (na ulicy Kraszewskiego). Przypominam sobie pana Kołodziejczaka – ojca pani Cyganowskiej – miał warsztat i naprawiał rowery, motory. Chodziłam do szewca, pana Drózda, który reperował i robił mi obuwie. Wszystkie buty wykonywano skórzane. Jak gdzieś się przedarły, to on łatkę robił, zeszył ją ręcznie, wsadził pod zelówkę, zakleił i tyle. Byli jeszcze fryzjerzy: Landowski i Graff. Piekarnia znajdowała się na początku ulicy Kraszewskiego, od strony placu Kościuszki. Gdy byłam dzieckiem, musieliśmy z bratem wozić wodę z tej piekarni, w kanach na sankach.

Panował przymus pracy. Szukano i pytano ludzi – „A z czego Ty się utrzymujesz? Do roboty!”. Do PGR-u było zapotrzebowanie. Nie pamiętam, kto sprawdzał ludzi, być może ktoś z urzędu. Interesowali się, z czego się utrzymywano. Funkcjonowały w tym czasie działki. Każdy miał dla siebie trochę kapusty, marchwi, cebuli i tyle. To były poniemieckie działki. Na jednej z nich, u pani Szymańskiej, znajdowały się dwa groby. Każdy mógł sobie później wybrać działkę dla siebie – my też mieliśmy swoją. Pola obsiewano zbożem: pszenicą, jęczmieniem, żytem. Ludzie sadzili dużo ziemniaków.

Po wojnie kontynuowaliśmy tradycje świąteczne. Na Boże Narodzenie z tektury wycinało się samemu gwiazdki, serduszka. Przez igłę nawlekło się nitkę i wieszało cukierki, jabłka – bo bombek nie było. Tak wyglądała nasza pierwsza choinka. Prezentów nie pamiętam. Dostawałam cukierki i tyle, może jakąś czekoladę i do widzenia. Opłatka nie było dłuższy czas, dopiero później się pojawił – ale nie zaraz po wojnie. Robiło się śledzie jakieś, jajka. Nikt nigdy nie robił 12 potraw. Kolędowało się i śpiewało. Stół się przystrajało, jedno nakrycie dla przybysza zostawało puste i tak wyglądała wigilia. Z opowieści wspominam „chrzty po kryjomu”, dla tych, co należeli do UB, milicjantów albo tych partyjnych – im nie pozwalano chrzcić, więć robili to po kryjomu. Nie widziałam osobiście, ale wiem, że wchodzono wieczorem przez zakrystię i tam udzielano sakramentu potajemnie. Generalnie nie stwarzano problemu z dostępem do kościoła. Chyba, że ktoś był partyjnym albo milicjantem – wówczas nie chodził, bo sam wiedział, że mu nie wolno.

Leon Abramowicz

Dnia 18 sierpnia 1936 r. przyszedłem na świat jako syn Piotra i Marii, urodzony w Ubereżu, gmina Niemowicze, powiat Sarny, województwo wołyńskie (obecnie Ukraina). Rodzice pochodzili z rodziny rolniczej, bo tam na Ugłach zostali urodzeni. Mama mojej mamy, czyli babcia, pochodziła z Mazowsza. Województwo wołyńskie zasiedlało wtedy 2 085 600 mieszkańców z: Polski, Ukrainy, Rosji, Białorusi, Niemiec oraz Żydzi i inni. Ten naród był pomieszany.

Przeżyłem jedną okupację sowiecką, potem niemiecką i ponownie sowiecką. Najpierw wkroczyli Rosjanie. 17 września 1939 roku zajęli tereny polskie – Wołyń. Niemcy przyszli z kolei w 1942 roku i zaczęła się okupacja niemiecka. Rosjanie ustępując im miejsca, zabierali w ucieczce wszystko, co tylko było przydatne. Stacjonujący wówczas Niemcy przyjeżdżali na naszą wieś i ciągle penetrowali. W naszej okolicy zaczęło brakować jedzenia. Ze starszym bratem chodziłem po prośbie – prosiliśmy o chleb, ziemniaki, kto co miał. Mieliśmy ziemię, ale nie byliśmy w stanie jej obrobić, brakowało rąk do pracy. Jakoś nie odczuwało się działań wojennych na małej wsi, bo lasy otaczały nas dookoła, a od Sarn dzieliło nas 20 kilometrów. Niemniej jednak wszystko nam odbierano, nie zostawało dla nas nic. Czynili tak zarówno Rosjanie, jak i Niemcy. Ci drudzy dozbroili Ukraińców, bo obiecali im, że Ukraina będzie tylko dla nich. W 1942 roku dochodziły wiadomości, że napadano na Polaków, na polskie wsie, mordowano i ja byłem tego świadkiem. Między 12 a 13 maja 1943 r. sterroryzowano naszą wieś. Ugły były wybitnie polskie – mieszkali tam sami Polacy (z czasem dokwaterowano rodziny z Białorusi). W Ubereżu przebywali natomiast Ukraińcy, Polacy, jedna rodzina Litwinów i może jedna niemiecka – tyle, co pamiętam. Gdy zaczęli palić i dokonywac zbrodni, to było tak widno, jak w dzień, nad ranem. Ja wszystko widziałem, mając prawie 7 lat – utkwiło mi to w pamięci, do dzisiaj mam przed oczami takie sceny, ale o tym nie bardzo chcę wspominać... Wieś liczyła 320 osób i w tym dniu, nad ranem zamordowano 108 osób, w tym dzieci żywcem rzucane do ognia. Spalono

nasze zabudowania. Zaczęła się ucieczka. Mama zdążyła zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i krowę. Uratowaliśmy się dzięki Turowiczowi, który obsługiwał ciężki karabin maszynowy w ramach samoobrony. Niestety został zabity. Dopóki jednak żył, nie pozwolił aby agresorzy okrążyli teren, więc ludzie mieli szansę na ucieczkę. Niektórych do dzisiaj nie odnaleziono... Ci, którzy uciekali drogą na Ubereż, tak jak my uczyniliśmy, to ocaleli wszyscy. Później chowaliśmy się w lesie, gdzie wystawiano warty. Nawet starszy brat zabłądził i szukano go. Umieszczano czujki na drzewach, powstały szałasy i w takich warunkach parę dni nocowaliśmy w tym lesie. Później starsi udali się na zwiad do Sarn, gdzie zabito żydów. Najpierw zorganizowano getto, następnie wyprowadzono z niego 2500 ludności żydowskiej, którą ostatecznie zabito, pozostawiając wolne mieszkania. Wszyscy udali się do Sarn, opuszczając dotychczasową kryjówkę. Zamieszkaliśmy na ulicy Dworcowej, blisko dworca. Pamiętam, jak chodziliśmy na peron, gdzie niemieckie transporty wyruszały. Wesoło śpiewali idąc na front, a po powrocie rannych następowała cisza. To już były takie peryferie z ogrodami, tam krowę trzymaliśmy. Niemcy mieli swój posterunek. Spośród nich, jeden starszy przychodził do mamy i żądał: „Speck!"(słonina) – chciał też mleka i jajek. Trząsł się z obawy i mówił: „Hitler kaput, Hitler kaput!" – Niemcy już wiedzieli, że zbliża się front. My natomiast beztrosko biegaliśmy na peron, wołając: „Bon, Bon! Bon, Bon!" – rzucano nam cukierki, gdy żołnierze jechali na front. Mieli ze sobą torebki foliowe, a w nich takie białe słodycze, okrągłe i opakowane. W 1944 roku, w styczniu Sarny zostały zdobyte przez Rosjan. Zakwaterowali nam „sąsiadów", bo zajmowaliśmy budynek piętrowy – u góry dziadkowie mieszkali, a my na dole z mamą. Dokoptowali nam drużynę tych „Kacapów" – jakieś to takie skośnookie, w waciakach, karabiny mieli na sznurkach i buty z ceraty. Pili i strzelali – jak się upili, zaczęli oddawać strzały do góry i dziadkowi stopę przestrzelili.

W tym samym roku ojciec został wcielony do wojska. Zabrano go do Armii Berlinga – 1 Armii Wojska Polskiego.

Z mamą przyjechaliśmy do Prabut w połowie maja 1945 roku. Generalnie ludzi wtedy nie było na miejscu, około 250 osób wówczas tu rezydowało. Przybyliśmy transportem kolejowym, od strony Iławy. Moja matka miała wtedy wypadek, ponieważ zarwała się prowizoryczna konstrukcja w niekrytym wagonie, którym jechaliśmy. Doszło do złamania biodra – jeszcze gdzieś po drodze, w Toruniu lekarze zajęli się urazem, zreperowali go, ale już później mama nogę miała trochę krótszą. Wtedy była jeszcze młoda, w wieku 30-tu kilku lat. Podróżowaliśmy z rodzeństwem: starszy o 4 lata, przyrodni brat (syn panieński) – Walenty; siostra Henryka – urodziła się w 1943 roku i ojciec zdążył jeszcze zobaczyć ją i taką malutką pozostawił; miałem jeszcze brata, młodszego o 2 lata – on tam został i tam jest pochowany.

Kiedy nasz pociąg wtoczył się na stację, rozsunięto drzwi wagonów i zaczęliśmy nieśmiało wychodzić na peron. Po wyjściu rozglądaliśmy się z zaciekawieniem. Po chwili zebraliśmy się w jedną, dużą gromadę. Udaliśmy się powoli w kierunku stojących na peronie: oficera rosyjskiego i cywila, którym był – jak się później dowiedziałem – pan Stanisław Skowroński, witający nas bardzo serdecznie w języku polskim. Po przemowach i powitaniach część ludzi skierowano do miasta, celem zajmowania mieszkań. Rodziny chcące osiąść na gospodarstwach rolnych udały się na okoliczne wsie, jeszcze w tym czasie licznie opuszczone i nie zasiedlone. Mama, wraz z kilkoma innymi rodzinami, została skierowana do wsi Gdakowo (wówczas Dakowo), bo też chciała posiadać ziemię, w zamian za tą, która została na Ubereżu. Przyjechaliśmy tu między innymi dlatego, że tam mieliśmy duży majątek rolny – 6 hektarów. Matka otrzymała nawet dokument potwierdzający ten fakt. Myślała, że znajdzie gospodarstwo, bo chciała być dalej na roli, licząc na to, że ojciec lada dzień wróci z wojny i będziemy sobie gospodarzyć. Po zatrzymaniu kilku wagonów i wyładowaniu nas, zostaliśmy ulokowani w jakiejś dużej stodole. Część ludzi z naszego transportu wylądowała w Gdakowie, kolejnych porozsyłano do Kwidzyna, a część pozostała w Prabutach. Inne rodzi-

ny, w których byli dorośli mężczyźni, pierwsze poszukały sobie wolnych domów. My niestety byliśmy bez ojca, więc mama, sama z małymi dziećmi, nie mogła sobie poradzić. W oddali bała się zamieszkać, nawet jeśli gdzieś daleko było dla nas miejsce. Jeszcze w 1948 roku na wioskach stały wolne gospodarstwa. Obrzynowo nazywało się Wiśniewo, Sypanica – Szajpnica. Po kilku dniach, ze względu na to, że nie odnaleźliśmy odpowiedniego dla nas miejsca, wróciliśmy spowrotem do Prabut. Sytuacja stała się bardzo ciężka. Doskwierała nam bieda okresu powojennego. Każdy naturalnie cieszył się z zakończenia wojny. My się nie cieszyliśmy, bo ojciec nie wracał – czekaliśmy na jego powrót. Mama myślała, że zjawi się niebawem. Wszyscy już powracali, znajomi, a jego jeszcze nie było...

Zakwaterowano nas tymczasowo w budynku na ulicy Rolnicznej, razem z rodziną autochtonów niemieckich – Runau. Tak zaczął się nowy etap mojego życia w Prabutach, poniemieckim Riesenburgu. Tam po dziś dzień stoi dom, w którym wtedy zamieszkaliśmy, tylko sąsiadów nie ma, już nie żyją. Ulica Rolnicza – typowo piaskowa – mieszkaliśmy na niej w 1945 i 1946 roku, w czasie zimy. Dzisiaj jest położony asfalt, wtedy jednak było jak na wsi. Niemcy dbali o ten teren, gdzie nie dokonano zniszczeń, tam panował porządek – nawet drewka przygotowano na zimę. Na ulicy stał tylko jeden niezamieszkały budynek i ogólnie okolica nie ucierpiała – nie została zbombardowana. Mieliśmy swoją połowę, wchodziło się od podwórka. Po schodkach mieściła się kuchnia z cementową podłogą oraz pokój. Te dwa pomieszczenia zajmowaliśmy. Został też wyodrębniony pokoik, z podłogą z desek. Znajdował się u góry, chyba z przeznaczeniem dla służby – być może jakiś służący tam mieszkał. Było tam jedno okno i piecyk kaflowy. Wszystko zastaliśmy w dobrym stanie, choć nie nowe. Wyposażenie mieliśmy poniemieckie – pamiętam stół, jakiś kredens drewniany, w pokoju szafa, dwa łóżka, dwie mniejsze szafki i lustro. Meble były ciemnego koloru. Ponieważ mój ojciec nie wracał z wojny, mama zaczęła poszukiwania przez Polski

Czerwony Krzyż. Miesiące upływały, a ojciec nie wracał. Pamiętam, że raz poszliśmy na plebanię do proboszcza, którym został wówczas znany jasnowidz, Ojciec Andrzej Klimuszko. Zobaczył fotografię ojca i powiedział, że ten zginął na froncie. Ksiądz był bardzo w porządku. Taki szczegół, ciekawostka na jego temat mi utkwiła – posiadał owieczkę z czerwoną wstążeczką. Ona chodziła z nim, jak piesek. Słowa księdza okazały się prorocze, gdyż otrzymaliśmy świadectwo śmierci ojca, wydane przez Ministerstwo Obrony Narodowej, szefostwo duszpasterstwa z Warszawy, z dnia 6 grudnia 1946 roku. Ojciec zginął w dniu 9 lutego 1945 roku na wale pomorskim, w miejscowości Golce, koło Wałcza. Szukałem go parę lat. Poszedłem do ZBoWiD-u (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację). Nie wiedzieli gdzie, ale wskazali na Mirosławiec, może gdzieś koło Wałcza lub za nim. Już jako dorosły człowiek wyruszyłem z rodziną zweryfikować otrzymane wskazówki. Dotarliśmy do izby pamięci, ale tam też nie uzyskałem odpowiedzi. Pojechaliśmy na duży cmentarz wojenny do Wałcza, bo tam Rosjanie leżą, prawie 2 tysiące żołnierzy sowieckich i blisko 4 tysiące Polaków – rozpoczęliśmy mozolne poszukiwania. Jest! – Piotr Abramowicz, 1905 rok.

Po fakcie, gdy okazało się, że ojciec nie żyje, po drugiej stronie naszej ulicy zamieszkał pan Adamczewski, który przyjechał do Prabut z Polski Centralnej, razem z Szymańskim i Marcinkowskimi. Matka w międzyczasie dostała przydział na nowe mieszkanie i budynki gospodarcze przy ulicy Rolniczej oraz ziemię – sześć hektarów na kolonii Gąski, oddalonej około dwa kilometry od Prabut. Budynek zajmowaliśmy wspólnie z Domaszewiczem Antonim. Dostaliśmy też konia i krowę z UNRR-y. Mama zeszła się z Adamczewskim i po drugiej stronie stworzyli wspólne gospodarstwo. Razem zaczęli pracować na roli. Adamczewski dokupił jeszcze pięć hektarów ziemi i drugiego konia. W sumie posiadali już ponad jedenaście hektarów i było co robić w polu. Większość prac polowych należało wykonywać samemu, ręcznie. Wtedy jeszcze nie funkcjonowało tyle maszyn rolniczych.

Panowała prawdziwa solidarność sąsiedzka. Gdy nastał okres żniw lub wykopków, ludzie pomagali sobie. Jeden drugiemu pożyczał konia – pracowano u danego gospodarza, a potem rewanżowano się w odrobku u kolejnego. „Pożyczało się" mięso z zabitego świniaka, a nie sprzedawało. Panowała zasada: „Jak zabiję swojego, to później oddam". Te relacje były bardzo dobre. Wśród sąsiadów z okolicy pamiętam rodziny: Żarczyńskich, Marcinkowskich, Szymańskich, Piszczków, Lechów, Skurzyńskich i Karpowiczów. Otrzymywaliśmy pomoc z zewnątrz. Rodzina z Kanady, od strony ojca, przysyłała nam paczki i dolary – do 1948 roku, bo później już zakazano. Nawet w szkole nie mogłem mówić, że coś dostajemy. W Australii też się ktoś znalazł i do nas pisał – jakaś rodzina mamy, dla mnie wujek. Odbieraliśmy w przesyłkach penicylinę, a to w latach 1945-47 był pożądany lek! Mama sprzedawała dolary, aby nas utrzymać. Gdy przyjechaliśmy do Prabut, pamiętam, że robiła z papieru torebki, porzeczki czerwone zbierała, na stację nosiła i sprzedawała. Ruch wówczas już panował spory, bo linia kolejowa została uruchomiona. Przyjechaliśmy z Iławy, ale z czasem do Malborka też powstało połączenie. Przeważnie transporty wojskowe tędy przemieszczały się, ponieważ Rosjanie w Prabutach stacjonowali długo.

Należy wspomnieć, że Prabuty w 1945 roku zostały straszliwie zniszczone, w około 65 procentach. Nie było prądu, zdemolowano infrastrukturę. Nie działało oświetlenie gazowe, ponieważ Niemcy korzystali z gazowni na ulicy Kwidzyńskiej, którą unieruchomiono. Nawet na naszej ulicy, na wejściu do gospodarstwa mieliśmy gazową lampę. Z wodą też powstał problem, a także brakowało żywności. Panowały choroby zakaźne – tyfus i żółtaczka. Władzę w mieście sprawowała wojenna komendantura sowiecka. Jej dowódcą był pułkownik. Powoli życie w mieście zaczynało się normować. Równolegle z komendanturą radziecką powstały polskie władze administracyjne. Funkcjonował magistrat z Józefem Lipskim, pierwszym burmistrzem. Siedziba władz znajdowała się w magistracie, tam gdzie obecnie. Sowieci sprawowali natomiast

władzę przy „Jarzębinie", w starym, poniemieckim budynku. Został on później rozebrany i pobudowano w jego miejscu blok. Pamiętam taki epizod, jak z mamą chodziliśmy na teren dawnej cukrowni, w której znajdowało się dużo melasy. Stosowaliśmy ją do chleba i wypieków. Przyjmowano tam buraki, które transportowano do Malborka, do tamtejszej cukrowni. U nas bardzo dużo tych buraków składowano, całe pryzmy. W tym miejscu, w czasach późniejszych powstała roszarnia lnu, a obecnie funkcjonuje Zakład Urządzeń Okrętowych. Do miasta napływało coraz więcej osadników z Polski Centralnej. Grasowały też bandy szabrowników – przeważnie w okolicznych wsiach. Pod koniec maja 1945 roku, przybył do Prabut drugi transport repatriantów z Wołynia.

Przyjechała wówczas pierwsza nauczycielka szkoły podstawowej, Pani Olga Świrydenko. W następnym transporcie przybyły dwie kolejne – Pani Józefa Kuriańska, która z racji wieku i stażu została pierwszym kierownikiem szkoły podstawowej oraz Pani Bronisława Osmólska. Mówiono wówczas: „To zza Buga, jesteście zza Buga" – jak ktoś nie znał historii, to nie wiedział, że tam była Polska! Mnie nazywano „Zabugowcem", ale jaki ze mnie „Zabugowiec", jak normalnie czułem się Polakiem. Po przybyciu nauczycielek w drugiej połowie czerwca 1945 r. ruszyło nauczanie w szkole przy ulicy Grunwaldzkiej. Budynek był w opłakanym stanie, część dachu została zniszczona. Brakowało szyb, wody, światła, a ogrzewanie centralne nie działało. Na placu szkolnym wokół budynku zastaliśmy okopy – pozostałość po wojsku niemieckim, które w szkole stacjonowało. Wspólnymi siłami przybyłej ludności doprowadzono do stanu używalności trzy pomieszczenia na parterze. Ogłoszono zapisy na zajęcia. Trafiłem do pierwszej klasy, moją wychowawczynią została Pani Świrydenko. Naukę zakończyliśmy w połowie lipca 1945 r. To był skrócony rok szkolny – od czerwca do lipca – 4 tygodnie. Wakacje także mieliśmy zarwane. W szkole nie posiadaliśmy podręczników, zeszytów i innych przyborów szkolnych. Pisaliśmy na niemieckich drukach i makulaturze. Oficer z komendantury radzieckiej dostar-

czył nam zeszyty, ołówki, stalówki oraz czerwony atrament. Wtedy sprawdzianów nie przeprowadzano. Na lekcje matematyki musieliśmy nastrugać patyczków, żeby ułatwić sobie liczenie. Jeżeli chodzi o przedmioty nauczania, to uczęszczaliśmy na język polski i matematykę. Więcej zajęć nie prowadzono, bo brakowało kadry. Wśród rówieśników byli autochtoni, na przykład Neumann. Mieszkał na ulicy 15 Grudnia, teraz to jest ulica Ogrodowa. Myśleliśmy zawsze, że jest Niemcem, przez wzgląd na samo nazwisko. Po polsku mówił jednak dobrze. Ile wszystkich autochtonów przebywało, trudno mi powiedzieć – może setka osób. Trzymali się razem, ale oddzielnie od reszty miasta, tak jakby z boku. Każdy mówił, że to Niemcy, a oni stanowili grupę rodowitych mieszkańców tej ziemi. Niektórzy nawet się tu porodzili.

Prabuty otrząsały się z powojennych zniszczeń. Z każdym dniem przybywało coraz więcej mieszkańców, powstawały nowe sklepy, zakłady pracy. Zaczął się czas odbudowy i odgruzowywania miasta, a trzeba było wywieźć dziesiątki ton gruzu. Dobrą cegłę z rozbiórki spalonych budynków transportowano wagonami na odbudowę Warszawy. Wyznaczano szarwarki (roboty pańszczyźniane) na odgruzowywanie. Pan Adamczewski miał parę koni, więc musiał także w nich uczestniczyć. Urząd wyznaczał dni i należało stawić się z koniem do wywózki. Gdy odbudowywano miasto, słabo było z materiałami. Później powstała fabryka prefabrykatów i sytuacja już się polepszyła. Tam powstawały różne słupy i inne rzeczy.

15 czerwca 1945 roku przybył do Prabut doktor Władysław Sygnarski. To on organizował służbę zdrowia – przede wszystkim Miejski Ośrodek Zdrowia i Szpital Miejski, który istniał do 31 grudnia 1946 roku. Mieścił się w budynku przy obecnej ulicy Zamkowej, wówczas Nadjeziornej. W późniejszym czasie, w tym budynku, na dole powstał ośrodek zdrowia, a na piętrze izba porodowa. Drugim zaangażowanym w medycynę był pan Krajewski, felczer, „chirurg polowy". On też ludzi leczył, mimo niższych

kwalifikacji. Porodówka powstała też w koszarach, tam urodził się Waldek – mój syn. Funkcjonowało także przedszkole, gdy wojsko opuściło koszary i cywilami je zasiedlono. Dlatego tak do dzisiaj nazywamy ten rejon Koszarami. Pan Skowroński zorganizował aptekę „Pod Białym Orłem", przy obecnej ulicy Grunwaldzkiej, pod numerem 7. W późniejszym czasie prowadził w Prabutach drogerię. Władze administracyjne Prabut, na czele z burmistrzem kontynuowały swoją pracę. Władze powiatu urzędowały w Suszu, wówczas w województwie olsztyńskim. Burmistrzowie zmieniali się, bo obowiązywała kadencyjność, po panu Lipskim, wybrano pana Żochowskiego.

W mieście było bezpiecznie tyle, o ile – dopóki mieszkaniec Obrzynowa (lub z Jakubowa) nie zastrzelił komendanta tutejszego posterunku. To był rok, jakoś tak zaraz po wojnie, tylko nie wiem, który dokładnie. On do miasta wpadł, bo działał w podziemiu, jako żołnierz wyklęty. Zastrzelił komendanta i zaczął uciekać konno, rozpoczęto pościg. Dogoniono go przed Obrzynowem. Został zastrzelony i pochowany na cmentarzu przy ulicy Malborskiej, bo na użytkowanym ówcześnie (na ulicy Daszyńskiego) nie chciano go przyjąć. Każdy bał się o siebie i bliskich, ponieważ plotkowano, że tu jeszcze Niemcy skrywają się gdzieś tam w podziemiach. Starsi chłopacy nam tak mówili, między innymi mój brat przyrodni. Oni trzymali się w takiej paczce. Jeśli szli do miasta, to też razem. Wtedy wszędzie takie grupy się tworzyły.

Wojska radzieckie opuściły Prabuty jesienią, 1945 roku i tak się narodziła tutaj Polska. Przybywało piekarni i piekarzy, takich jak: Lenkiewicz, Dębek, Matysek, Gruźlewski, Neumann. Powstawały sklepy i przybywało rzemieślników, takich jak: Antoni Stępień, Ludwik Kołodziejczak, pan Badziński, który miał stolarnię, pan Budzyński – sklep żelazny, pan Garstka – tartak, pan Gładczenko – restauracja, pan Mejka – sklep masarniczy, pan Jędrzejczak, Gańczuk, Sosnowski, Kopowski, Glaza, elektrycy i wielu innych ludzi, dzięki którym w domach zabłysły żarówki, a z kranów

popłynęła woda. Do tego funkcjonowała rozlewnia lemoniady, otwarto zakłady szewskie, później odzieżowe – spółdzielnia odzieżowa na ulicy W. Jagiełły. Tam pracowały same młode kobiety. Sklepy były bardzo przydatne – na kartki i na tak zwany zeszyt mogliśmy kupować towary. Gdy pan Mejka prowadził zakład na ulicy Kraszewskiego, my non stop braliśmy od niego wyroby. Na dole ulicy Kraszewskiego pan Gruźlewski miał piekarnię, pieczywo dawał na zeszyt – ułatwienie dla nas na początku. Później Witold Marciniak otworzył zakład fotograficzny, jedyny w Prabutach. Znajdował się w okolicy dawnego zakładu z bąbkami. W późniejszym czasie uruchomiona została gazownia przy ulicy Kwidzyńskiej i wodociągi. Przywrócono także ruch kolejowy pociągów na trasie Kisielice-Prabuty-Kwidzyn. Założono Państwowe Sanatorium Przeciwgruźlicze. Działał komisariat milicji obywatelskiej, wspomagany przez ORMO, w budynku przy ulicy Warszawskiej. Powstały zakłady fryzjerskie pana Landowskiego i Graua, wspomniana wcześniej wytwórnia prefabrykatów budowlanych na ulicy Wojska Polskiego, roszarnia lnu po byłej cukrowni, spółdzielnie – Gminna Samopomoc Chłopska „Świt", Spółdzielnia Odzieżowa Imieniem Pierwszego Maja, zakłady szewskie, a na ulicy Parkowej został uruchomiony młyn.

Rozpoczęło się też życie kulturalne. Zaczął rozwijać się ruch sportowy. Przybywało coraz więcej ludzi i powoli znikały kolejne gruzy z ulic miasta. Przywrócono w miarę normalne życie, jak na owe ciężkie czasy powojenne. Przy fontannie z lwami było targowisko. Końmi przyjeżdżano dwa razy w tygodniu. Oferowano zakup koni, świń, drobiu. Handlowano czym się dało, produktami rolnymi, takimi jak mleko, śmietana, jajka. Okoliczne pola zostały obsiane. Sadzono ziemniaki, len w dużych ilościach i buraki cukrowe. Utworzyły się kółka roliczne i PGR-y. Nawet, jak pan Adamczewski do Obrzynowa jeździł po zboże, to jeszcze niektóre gospodarstwa stały niezasiedlone. Niemcy uciekając wszystko po sobie zostawili, np. zboże składowane gdzieś na strychach. W okolicy zachowały się powojenne pozostałości. Park wyglądał pięknie.

W nim zachował się kort ceglasty i obok drewniana szatnia. Między drzewami wytyczono czyściutkie alejki, ławeczki też były. Odbywały się tam zabawy z bufetem. Na cmentarzu przy ulicy Malborskiej swoje miejsce miała cała kwatera żołnierzy niemieckich. W rogu, u góry nasypu widniały jednakowe groby niemieckie, które później rozebrano, zostały rozkradzione. Był też cmentarz żydowski z macewami. Dzisiaj są tam garaże. Istniał też inny, po drodze do Sanatorium, baptyści go użytkowali. Swoją świątynię mieli na ulicy 15 Grudnia. Na Placu Kościuszki stał żołnierz z karabinem, niemiecki. Postument został przeniesiony w 1946 roku, posąg Matki Boskiej na nim zamocowano. Nie pamiętam, czy uczestniczyłem w tym wydarzeniu, ale wiem, że został przeniesiony niedaleko budynku poczty. Gdy już chodziłem do szkoły, to pomnik widziałem. Teraz też go mijam w codziennym życiu.

We wrześniu zainaugurowano nowy rok szkolny (1945-1946) – dla mnie już w drugiej klasie. Rozpoczęła się też nauka religii i przygotowywanie do Pierwszej Komunii Świętej. Naukę prowadził ksiądz prefekt Zdzisław Piechowiak. Był bardzo srogi i trzymał rygor. Ojciec Andrzej Klimuszko sprawował funkcję proboszcza w latach 1945 – do końca grudnia 1948. Niestety musiał opuścić Prabuty w obawie przed aresztowaniem przez służby UB. Wyjechał z miasta w tajemnicy, razem z księdzem Piechowiakiem. Młodzież szkolna w 1945 roku bardzo różniła się wiekowo. Byliśmy prawie wszyscy opóźnieni w nauce, w konsekwencji działań wojennych. Sam miałem dwuletnie zaległości, inni nawet po trzy. W późniejszym czasie nastąpiła selekcja uczniów. Starsze, opóźnione roczniki zostały przeniesione na system nauczania wieczorowego, tak zwane ciągi. Pierwsza zima w szkole była bardzo ciężka, klasy ogrzewano za pomocą żelaznych piecyków – palono w tak zwanych kozach. Trudno nam się uczyło. Dalej nie mieliśmy jeszcze odpowiednich podręczników, ani programów nauczania. Dzieci często chorowały, ale zapał, chęć do nauki i pracy, pomoc rodziców oraz życzliwy stosunek władz pozwoliły na przezwyciężenie tych wszystkich trudności. Tak powoli minęła zima i zbliżał się koniec

ZDJĘCIE PAMIĄTKOWE Z I KOMUNII ŚWIĘTEJ CHŁOPCÓW, KSIĄDZ KLIMUSZKO WŚRÓD DZIECI (arch. prywatne L. Abramowicza)

roku szkolnego. Nastąpiła też zmiana na stanowisku dyrektora szkoły. Pani Kuriańska odeszła na zasłużoną emeryturę. Nowym dyrektorem został Pan Franciszek Pokojski. Przybył też woźny szkoły – pan Fedoruk, który zamieszkał w wyremontowanej suterenie. Tam później mieściła się łaźnia, pralnia, kuchnia i stołówka. Jak wspomniałem, ksiądz Piechowiak prowadził nasze przygotowania do Komunii, które dobiegały już końca. Powstały dwie grupy – chłopcy i dziewczęta oddzielnie. Przy końcu roku szkolnego, w dniu 19 czerwca przystąpiliśmy do sakramentu w kościele parafialnym. W grupie znalazło się 38 chłopców. Ministrantem był pan Neumann. Ile było dziewcząt, tego nie pamiętam za bardzo, ale też około 40. Przy końcu czerwca zakończyła się nauka w klasie drugiej i otrzymałem promocję do kolejnej. Po wakacjach w miesiącu wrześniu 1946 roku rozpoczęła się nauka w klasie

PAMIĄTKA I KOMUNII ŚWIĘTEJ (arch. prywatne L. Abramowicza)

trzeciej. W tym czasie przybywało do Prabut coraz więcej ludzi, a w związku z tym pojawiały się nowe roczniki dzieci w wieku szkolnym. Znacznie powiększyła się także kadra nauczycielska. Wiosną 1947 roku ze świadectwem zgonu mego ojca i w towarzystwie pana Stefana Łosia, pojechałem do Warszawy, gdzie otrzymałem jakiś zasiłek pieniężny, wypłacany półsierotom, których ojcowie zginęli na froncie. Otrzymałem również paczkę z odzieżą – spodnie, kurtkę angielkę, czapkę i kamasze wojskowe. Pamiętam, że wysiadaliśmy na dworcu kolejowym Warszawa Główna. Wtedy otoczenie dworca, jak i budynki leżały w gruzach. Nie wszędzie zdołano jeszcze posprzątać i odbudować zniszczone, spalone budynki z czasów wojny, ale część z nich ocalała i była w dość dobrym stanie. Tak w skrócie odbyła się moja pierwsza podróż do Warszawy, stolicy Polski.

Starszy brat przyrodni uzupełniał swoją naukę w szkole wieczorowej. Ukończył siedem klas. Pracował również z panem Szymańskim przy odbudowie wieży dzwonnicy kościoła, która została zniszczona w czasie działań wojennych przez wojsko sowieckie. Moje dzieciństwo upływało na gospodarstwie rolnym, gdzie pracy nigdy nie brakowało, szczególnie w porze letniej i w czasie wakacji. Początkowo pasłem krowy, ale później, jak już byłem starszy i większy, to pomagałem w pracach polowych: żniwa, wykopki, pracowałem też końmi, bronowałem, orałem i wykonywałem inne prace. Pod koniec lat 40-tych powstało liceum przedszkolanek, gdzie uczyły się same dziewczęta. Szkoła mieściła się przy ulicy Warszawskiej. Rok po roku zaliczałem następne klasy szkoły podstawowej, która wówczas była szkołą siedmioklasową. Ukończyłem ją w roku 1951. Na miejscu dyrektora zasiadał wtedy Pan Henryk Sopoćko. Przy ulicy Szkolnej został wzniesiony budynek jednopiętrowy, w którym utworzono dwuklasową szkołę metalową o specjalności „ślusarz maszyn rolniczych". Pierwszym dyrektorem został pan Franciszek Pokojski. Uczyli się tam sami chłopcy. Szkoła powstała w roku 1949. Na parterze mieściły się cztery klasy, a na piętrze wydzielono internat. Jego kierownikiem stał się Pan Rodziewicz, a woźnym szkoły pan Szymański. Po ukończeniu szkoły podstawowej zacząłem tam naukę. Edukację kontynuowałem na miejscu w Prabutach, gdyż na dojazdy lub pobyt w internacie z innej miejscowości nie było stać mojej mamy. W szkole metalowej działało koło Związku Młodzieży Polskiej. Zostałem jego członkiem. Nauka wcale nie należała do łatwych i lekkich. Przez dwa dni w tygodniu mieliśmy zajęcia w warsztatach szkolnych, które mieściły się przy ulicy Kwidzyńskiej. Okazały się ciężką harówką dla tak młodych chłopców, jakimi byliśmy. Nauki zawodu ślusarza uczył wówczas Pan Gałczyński. Polegała ona na ręcznej obróbce różnych przedmiotów metalowych w imadle, przy użyciu pilników. Uczyliśmy się też podstawowych prac w kuźni oraz obróbki metalowych detali, na tokarce, strugarce i frezarce. Były to maszyny poniemieckie i trochę przestarzałe, także trudno się na nich pracowało, ale takie

panowały czasy. Poznawaliśmy metody spawania, ponieważ została wydzielona spawalnia i takim sposobem, wszystkiego po trochu mogliśmy się nauczyć. Ukończyłem zawodową szkołę metalową w roku 1953. Nauka trwała dwa lata. Otrzymałem świadectwo szkolne już jako ślusarz maszyn rolniczych, z czwartą kategorią zaszeregowania osobistego. Za czasów tej nauki załapałem się na wakacje do Mrągowa. Ten wyjazd organizowano właśnie z mojej szkoły metalowej. Czerpałem wielką radość z pierwszych wakacji, ponieważ nie musiałem pracować w polu. Z resztą, to były moje pierwsze i jedyne wakacje, gdyż później już takowych nie uświadczyłem.

Od 1947 roku został zarejestrowany pierwszy „Ludowy Klub Sportowy Pług" – klub piłki nożnej. Powstał z inicjatywy takich działaczy, jak: Stefan Goraj, Piotr Kowalski, Stefan Gintowt i innych. Pierwsze mecze piłki nożnej rozgrywano na boisku w Sanatorium. W sezonie 1949-1950 „Pług" przeszedł do federacji związków LZS – Ludowe Związki Sportowe. Zarejestrował się jako klub „Unia" w klasie A. W tym samym czasie, w Prabutach powstały następujące kluby piłkarskie: „Unia" (prezes Pawłowski), „Start" (prezes Jakubowski), „LZS" (prezes Chrobot) i w jednostce wojskowej klub „CWKS". W roku 1952 klub „Unia" i „Start" złączyły się i powstał „Kolejowy Klub Sportowy Kolejarz", z prezesem Janem Czarneckim i działaczem, lekarzem Władysławem Sygnarskim. Gracze rywalizowali o skrzynkę lemoniady – takie nagrody przysługiwały kiedyś piłkarzom (śmiech). W tym czasie rozpoczęto budowę stadionu przy ulicy W. Jagiełły, z 400-metrową bieżnią. Obiekt ten funkcjonuje do dzisiaj. Duży wkład i zaangażowanie przy budowie stadionu wnieśli: Marian Goraj, Piotr Kowalski oraz Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej – Stefan Goraj, a także major Adam Markiewicz z jednostki wojskowej. W ramach aktywności fizycznej odbywały się też biegi, w miejscu gdzie przebiega nieczynny tor do Susza i jest tam wiadukt – spod niego biegło się aż do samych Prabut, tak przebiegała trasa na tym dystansie. Meta znajdowała się na ulicy W. Jagiełły.

Z czasem otrzymałem pracę w cukrowni. To nie była stricte cukrowania, tylko przedsiębiorstwo podlegające pod Malbork. Buraki w Prabutach się przyjmowało i wysłodki tu przychodziły. Biuro mieściło się na ulicy Daszyńskiego. Zostałem zatrudniony na kontraktacji buraków cukrowych. Obsługiwałem powiat Morąg, ale tylko jeden sezon. W głównej mierze zajmowałem się pomiarem areałów, na których ludzie siali buraki. Dostałem „koziołek" do mierzenia i nim dokonywałem obliczeń. On miał rozpiętość chyba dwóch metrów, więc łatwiej mogłem policzyć. Później poszedłem do pracy w roszarni. Byłem wagowym na punkcie skupu. Przeszkolono nas na obsługę wagi i rozesłano na punkty skupu, które zostały zlokalizowane w Pasłęku, Młynarach, Myślicach i Babiętach – to wszystko podlegało Prabutom. Pracy na miejscu zapewniano dużo w owym czasie – istniała roszarnia, część ludzi zatrudniała cukrownia, prefabrykaty i w Sanatorium też wiele osób pracowało. Myślę, że można było mieć własną firmę, bo działały przecież prywatne piekarnie, zakłady szewskie i sklepy masarnicze. Sądzę jednak, że otwarciu własnego biznesu sprzyjały wówczas jedynie pierwsze lata po wojnie, natomiast później swobodę przykróciła już władza. Pieniądze na ten czas krążyły polskie, tylko że mieliśmy ich bardzo dużo. Jak nastąpiła denominacja w 1950 roku, to zmieniano ich wartość, bo posługiwaliśmy się milionami. Gdy zacząłem pracować w 1955 roku, wówczas pensja wynosiła chyba 700 zł, zaś najniższa – 380 zł. Takie to zarabialiśmy pieniądze. Dużo ich było, ale nic nie warte – nie miały siły nabywczej. Wypłata nie wystarczała nawet na podstawowe artykuły żywnościowe, dlatego brało się na zeszyt. Ludzie nie ubierali się kolorowo. Wyglądało to trochę tak, jak na zdjęciach – mizernie, szaroburo. Takie czasy panowały i dodatkowo nie mieliśmy dostępu do towarów z zagranicy. Wzornictwo też stosowano inne.

Nastał czas obchodów uroczystości państwowych i innych świąt, na przykład na okoliczność 22 lipca. Wtedy w listopadzie tego święta nikt nie kultywował, tylko obowiązywał 22 lipiec.

To było święto najważniejsze. W czasie szkoły obowiązkowo przygotowywaliśmy się już wcześniej. Zbieraliśmy się na małym placu przy ulicy Polnej. Stamtąd maszerowało się na ulicę W. Jagiełły i rozwiązanie pochodu następowało na stadionie, przy tej samej ulicy. Jakaś trasa została wyznaczona i nią podążaliśmy. Będąc zatrudnionym też musiałem uczestniczyć, bo w przeciwnym wypadku na przykład potrącano z premii. Jak to w PRL-u! Była zbiórka i razem maszerowaliśmy, niosąc rożne transparenty. Rolnicy jechali nawet na konnych powozach, przystrojonych jak na dożynki. Tak przez pierwsze lata, bo później już inaczej.

Boże Ciało tak się odbywało, że stawiano ołtarze podobnie, jak i dzisiaj. Te cztery stacje zawsze musiały być. I tak, przy kinie jedna, później rzemieślnicy robili kolejną na ulicy Grunwaldzkiej, itd. Uroczystość przebiegała analogicznie do obecnej. Boże Narodzenie obchodziliśmy skromnie, bardzo skromnie. Wtedy każdy jechał do lasu, wyciął i wycinał po cichu choinkę dla siebie. Z Frankiem Dąbrowskim zaprzęgliśmy kiedyś dwa koniki w sanie i udaliśmy się do lasu za jezioro. W nocy wycięliśmy sobie drzewka i ustroiliśmy je już w domu. Robiło się samemu łańcuszki z papieru, wieszało się cukierki kolorowe (takie długie), jabłuszka, orzechy. Bombek bardzo mało było wtedy. Świeczki zapalaliśmy małe, przypinało się je do gałązek. Ozdoby pamiętam, bo jeszcze sam kleiłem te łańcuszki – z mąki się tworzyło klej i łączyło ze sobą takie oczka kolorowe. Potrawy przygotowywano skromne. Należało dopilnować, żeby tych dań według tradycji znalazło się kilkanaście na stole. Tak jak dzisiaj każdy ma karpia, to tak nie było jeszcze, mimo że lokalni rybacy poławiali na jeziorze. Prawdę powiedziawszy, prezentów nie pamiętam, bo ich nie otrzymywaliśmy.

Władze nie utrudniały dostępu do kościoła cywilom, ale mundurowym już tak. Milicja nie mogła chodzić na przykład na mszę. Im nawet ślubów nie chciano udzielać, takie panowały czasy. W okolicy znajdowali się natomiast wyznawcy innych

religii. Kościółek na ulicy Zamkowej należał do ewangelików. Wiem, że tam odbywały się ich msze, chociaż wielu wyznawców nie było – ilościowo tak ze 30 osób. Może co niektórzy miejscowi Prabucianie do nich należeli, jednak większość się zjeżdżała. Porządku doglądała Milicja, a ormowcy służyli im do pomocy. Gdy słuchano Radia Wolnej Europy, to często podsłuchiwali. Ja sam również odbierałem tą audycję. Jak jeszcze chodziłem do szkoły podstawowej, to przyjechała rodzina Łukaszewskich. Stary dziadek był niewidomy i miał radio, małą „Teslę" – taki czeski odbiornik. On właśnie słuchał „Wolnej Europy" i Radia Londyn. Zatem chodziłem do niego na te audycje, jako mały chłopak. W ten sposób zaprzyjaźniłem się z nim. Mogliśmy sobie porozmawiać. Posiadał białą laseczkę i zawsze radio włączał możliwie po cichu, abyśmy tylko my słuchali. Inni też tak czynili w Prabutach. Ormowcy patrolowali swoje rewiry i nasłuchiwali. Następnie donosili precyzyjnie, gdzie ktoś korzysta z radia i słucha zakazanych audycji. W mojej rodzinie stało się tak, że ktoś musiał donieść, iż mama ma drugiego męża i prowadzi gospodarkę. Dopóki Adamczewski nie związał się z mamą, dostawaliśmy wcześniej wspomniane paczki z Kanady. Ojca siostry syn wyemigrował, tam miał sklep, samochody – przysyłał zdjęcia, dolary i penicylinę, a także paczki odzieżowe oraz słodycze. Niestety komuś to przeszkadzało i od razu wszystko się urwało – już przestały listy przychodzić, odpowiedzi nie otrzymaliśmy. Tak to się wszystko skończyło. Później w ogóle przyszły takie czasy, w 1948 roku, że nie wolno było się przyznawać oficjalnie, że ma się bliskich za granicą, zwłaszcza na zachodzie. Jeśli ktoś by oznajmił, że ma krewnych na wschodzie, u Rosjan, nie istniał problem, ale już z rodziną na zachodzie tak.

Aby urozmaicić życie codzienne, narastała chęć rozrywki. Na Placu Wolności, w budynku, gdzie aktualnie zamurowano wejście, powstała wówczas restauracja państwa Gładczenków. Później w mieście otwarto „Jarzębinę", był też „Pod Jeleniem" na ulicy Warszawskiej. Po wojnie zorganizowano tam najpierw klub kolejarza, ze stołem do bilarda w dużej sali. Graliśmy także w ping-ponga oraz szachy. Nawet zawody się odbywały. Później, gdy to miejsce przekształcono na kawiarnię, to zaczęto zapraszać na zabawy. Otwarto własny bufet. Potańcówki aranżowano również w budynku aktualnego Prabuckiego Centrum Kultury i Sportu. Wejście znajdowało się wówczas od ulicy.

Antoni
Dębiński

Pochodzę ze Lwowa. Urodziłem się 20 maja 1930 roku. Moja mama pochodziła z Józefowa, a tata z okolic Warszawy – Siekierki. On był hutnikiem szkła, a ona pilnowała dzieci. W Kostopolu znajdowała się huta, więc tam pobudował domek, jednorodzinny, parterowy. Ten interes prowadzili przeważnie Żydzi, bo zajmowali się przemysłem. Jeden z nich miał dwie huty. Każda musiała co pewien czas wygasić wannę, bo cegły szamotowe tego wymagały. Następował kapitalny remont wanny – pomieszczenia, gdzie topi się szkło. Żyd wygaszał hutę, pospolicie nazywało się to wygas. Musiał zmieniać cegły w dużych blokach, a w tym czasie produkowano szkło w drugiej hucie – i tak na zmianę. W ten sposób ojciec pracował raz tu, a raz tam. Żydzi to bogaci ludzie, ale też straszna bieda wśród nich istniała. Ci biedni chodzili brudni, w takich kitlach. Do szkoły też uczęszczały żydowskie dzieci – nie dużo, bo się trochę zniechęcały, gdy je zaczepialiśmy. Wówczas rodzice kierowali swoje pociechy raczej do żydowskich placówek. Szkołę podstawową rozpocząłem we Lwowie, dojeżdżałem tramwajem. Uczęszczałem do ładnej, dużej szkoły, większej niż te u nas w Prabutach. Znajdowała się przy ulicy Świętej Kingi i identyczną miała nazwę: Szkoła Świętej Kingi. Ogólnie warunki uczenia panowały doskonałe, nie można było narzekać. Mieliśmy książki. Pamiętam, że w pierwszej klasie bawiliśmy się plasteliną. Zadawano nam prace domowe i przeprowadzano klasówki, ale bez oceny na papierze – taki sprawdzian dla nauczyciela. Tak uczyłem się w pierwszej i drugiej klasie, bo w trzeciej wyjechaliśmy już do Kostopola, a tam były inne warunki. Chodziłem do szkoły bardzo chętnie. Pamiętam nazwisko jednego nauczyciela – Korzeniowski. Nie przypominam sobie natomiast jego imienia, ani czego uczył. Nieraz dostało się po łapach, jak również klęczało się w rogu na kolanach. Czasem i grochem posypano – taka kara za zachowanie. Dziewczęta tam nie klęczały (śmiech). W klasie uczyli się też bogaci Żydzi, Ukraińcy, a nawet Niemcy. Ukraińcy byli nielubiani, a Żydzi jeszcze gorzej. Panowała dosłowna niechęć do nich, która od dorosłych przenosiła się na nas. Przed wojną nauczano też religii, przychodził ksiądz. Z resztą, od pierwszej klasy powoli

przygotowywał nas do Pierwszej Komunii Świętej. Musieliśmy zdawać egzaminy, kolokwia – coś w tym sensie. Nie wszyscy lubiliśmy te zajęcia, bo księża też brali łapy i bili jak trza!

Początkowego zagrożenia wojną niewiele odczułem, bo mnie jeszcze wówczas mało to interesowało. Jeszcze byli dorośli od tego. Znajdowałem się tylko pod ich opieką i tyle, ale gdy rozpoczęła się wojna na dobre, to już odcierpiałem i przeżywałem to wszystko. W 1939 roku przebywałem na wakacjach u mego wujka, leśniczego. Wojna akurat rozpoczęła się 1 września tego roku, zatem dzieci nie poszły do szkoły. Mama w tym czasie została we Lwowie. Mieliśmy trzy razy okupację – pierwsza przez Rosję, druga niemiecka i trzecia znów rosyjska. W lutową noc przyjechali do nas saniami. Chcieli wujka wywieźć na Sybir, jako leśniczego. Wszystkich izolowano – kto miał siedem klas, to już był uczony, więc go zabierali. Bali się, że ludzie troszeńkę oświeceni mogą się zbuntować. Jego rodzina już wiedziała, że będą wysyłani, więc ubiory mieli przygotowane. Mi też ciocia uszyła specjalne ubranie. Nawet miałem płaszcz wojskowy, od kawalerzysty. Chłopak, którego wojna zastała w 1939 roku, przejeżdżał niedaleko na koniu. Wpadł do leśniczówki, żeby zdobyć cywilne ubranie, bo uciekał. Wujek dał mu swoje ciuchy, a w zamian otrzymał płaszcz kawaleryjski, króciutki – na mnie akurat pasował. Wszyscy ruszyliśmy transportem do Rymacz – taka wioska przygraniczna, zaraz za Bugiem. W sumie to było przed Bugiem, byliśmy za rzeką (mieliśmy trzy kilometry do Bugu). Na miejscu w ogóle nie schodziliśmy z sań. Przychodził enkawudzista, spisywał tylko i wszystkich wywozili dalej, bo tam czekały tory kolejowe do transportów. Tak się złożyło, iż podczas rejestracji sprawdzano, czy na saniach siedzą osoby o prawidłowych nazwiskach – mamy brat, a mój wujek, nazywał się Rupniewski, dzieci też Rupniewski... a ja Dębiński. „O! Wyliżaj!" – i kazali wysiąść. Wyrzucili mnie na drogę pośrodku wsi. Oni pojechali, ja zostałem – sam, jak boski palec. Tam mieszkało kilka polskich rodzin, może nawet kilkanaście. Zacząłem się ratować, chodząc po chłopach, żeby mnie przyjęli. Przede wszystkim kierowałem się

do bogatszych Polaków – nikt mnie nie przyjął. Udałem się więc do Ukraińców – też nikt nie pomógł. Na końcu wioski stała jakby chata, liśćmi ogacona. Tylko ona mi pozostała. Poszedłem więc do tych biednych chłopów i przyobiecywałem, kłamałem ile się dało, żeby ratować swoją skórę: „Przyjmijcie mnie, umiem ryby łapać!" – a w życiu nie łapałem ryby. Gdzieś ze dwa kilometry od tego miejsca jeziorko widziałem, więc zadeklarowałem: „Ja wam ryb nałapię. Umiem łowić ryby i krowy paść!" – w życiu tego nie robiłem, gdzie we Lwowie paść krowy?! (śmiech). Wreszcie się udało. W środku rodzina z siedmiorgiem dzieci. Dysponowali jedną izbą z kuchnią w kącie. Na podwyższeniu spali rodzice, a dzieci miały swoje materace w stodole – snopki ze słomy. Gdy szliśmy spać, trzeba było iść do stodoły, wziąć swój snopek, przynieść go i rozłożyć. Otrzymałem derki, z takich pasków materiałowych pozszywane. Wygladało to jak koc, tyko z kawałków. Jedna derka spoczywała na słomie, a drugą się przykrywałem. Rano musiałem wstać, materac wynieść do stodoły i znów wrócić. O jakimkolwiek obuwiu nie było nawet mowy. Oczekiwało się, aż śnieg stopnieje, żebyśmy mogli chodzić boso, bo inaczej nie wychodziliśmy na dwór, gdyż było zimno. Jedliśmy zacierki drewnianymi łyżkami, z dużej michy na środku stołu. Powstawały z mąki żytniej spod żarn, bardzo grubo mielonej, gotowanej na wodzie i tylko zabielonej mlekiem, bo mieli jedną krowę, a rodzina liczyła dziewięć osób i ja dziesiąty przyszedłem. Z tej miski wszyscy sięgaliśmy i się posilaliśmy. Oni przyjęli mnie serdecznie i traktowali jak swojego. Muszę tu nawiązać, że w takich wsiach, dookoła rozpościerały się obszerne łąki, gdzie gospodarze wypasali wspólnie bydło. Zbierało się kilkanaście gospodarstw, mieli czasem nawet kilkadziesiąt krów oraz pastucha, który wypędzał bydło, wypasał je i przyprowadzał z powrotem. Za to płacili mu pół metra pszenicy za sezon. Przyszło lato, więc chciałem obronić skórę. Przyobiecałem, że będę krowy pasł, to pszenica będzie dla nich, nie dla mnie. Z pół wsi zebrano tego bydła. Nabiegałem się, bo łąki dookoła zostały obsiane i te krowy do zbóż bardzo zmierzały. Musiałem je odpędzać. Najgorzej wspominam poranki. Mama we Lwowie,

trwa wojna, a ja nie mam żadnego kontaktu, poczty, nic. Nieopodal stał potężny dąb, bardzo gruby i wypalony. Tam można było schować się przed deszczem. W lipcu 1940 roku siedziałem skulony pod tym dębem i usłyszałem: „Antoś!" – Boże, no głos mamy – „Antoś!". Pomyślałem: „Boże kochany, to mama nie żyje, to jej duch..." Wyszedłem spod tego drzewa i wypatrywałem, czy na jakiejś gałęzi siedzi ten duch. Wreszcie podeszła bliżej, patrzę – mama idzie! Upadłem, zemdlałem... Zabrała mnie do Lwowa, gdzie byliśmy już razem do 1941 roku.

Straszne było pierwsze bombardowanie Lwowa przez Niemców, notabene później Rosjanie też zrzucali bomby na miasto. Cały czas żyliśmy pod strachem, że zostaniemy wywiezieni na Sybir. Niemcy przyszli 22 czerwca 1941 roku – takie daty się pamięta. We Lwowie nie dostarczyli aprowizacji[324]. Na prowincjach ludzie radzili sobie dobrze w gospodarstwach, ale my, mieszczuchy, nie mieliśmy nic. Było bardzo ciężko. Wydłużały się kolejki po chleb razowy – nazywaliśmy go koksem. Szło się z wieczora, żeby rano dostać taką bryłkę (około pół kilograma). Całe rodziny stawały, żeby przeżyć. Głód panował straszny, koty i psy – wszystko zostało zjedzone. Wujek pracował w monopolu, tam sobie wódki podszykował i od czasu do czasu popijał. Kiedyś zaprosił nas na królika – rarytas! Chleba nie mieliśmy, a on tu królika zaoferował. Ciocia podała go, więc złapałem za udko. Nie patrzyłem czy można, czy też nie, czy to jest kulturalnie – byłem poprostu głodny. Wujek wypił sobie i zaczął miałczeć. „Czego wujek miałczy?" – „Zaraz i ty zaczniesz!" – „Dlaczego ja zacznę?" – „Bo kota zjadłeś!" – „Wujek, co wujek mówi..." – wysłał córkę do komórki hutniczej, bo mieszkaliśmy na terenie huty. Przyniosła skórę i koci łeb. Ja nie tylko tego kota, ale i to, co dwa tygodnie wstecz zjadłem, chyba oddałem! (śmiech). Przez dziesięć lat, może niecałe, żadnego mięsa białego nie wziąłem do ust, żadnego! Kota widziałem w tym wszystkim. Oczywiście powstał problem, bo nie

324 Zaopatrywanie ludności w artykuły pierwszej potrzeby.

tknąłem żadnego dania mięsnego, nie tylko z królika czy zająca. Mama pomaleńku skłoniła mnie, żebym wrócił do spożywania. Jedząc wołowinę musiałem tam taaakie kości widzieć w garnku, żeby mieć pewność, że to jest wołowe, a nie z „królika" (śmiech). Dopiero wtedy zjadłem. W 1941 roku dostaliśmy się do Kostopola. Mieliśmy tam własne mieszkanie, domek. Przedtem zajmowali go lokatorzy, których mama po prostu wysiedliła. Dlaczego udaliśmy się do Kostopola? Warunki żywnościowe na prowincji bardziej nam sprzyjały, ponieważ w mieście było bardzo ciężko przeżyć, dlatego tam się przenieśliśmy. Ojciec mój zmarł, gdy miałem półtora roku, więc tylko z mamą, wdową tam zamieszkaliśmy.

Okupacja niemiecka, rosyjska – mieliśmy niezłe przeżycia. Kto chciał, ten nami popychał i szturał. Zostałem złapany w łapance, gdy wracaliśmy z kąpieliska. 16 maja 1943 rok – nie zapomnę tej daty. Całą bandą chłopców poszliśmy się kąpać nad rzekę, a że była zimna woda, to zaraz wracaliśmy do domu. W trakcie naszego powrotu Niemcy urządzili obławę. Okrążyli nas, a co najgorsze, wśród nich znajdował się Polak! Służył w policji dla Niemców. Oczywiście zostaliśmy schwytani. Jako najwyższy wzrostem chłopak wśród osaczonych (do dzisiaj jestem jak tyka), zostałem wybrany przez tego Polaka – pozostałych wypuścił. Dobry znajomy, znał się z moją mamą, ponieważ mieszkał po sąsiedzku, ale z karabinem chodził drań, w czapce z okutym daszkiem. Wyciągnął mnie „ten dobry znajomy" z grupy i kazał iść naprzód. Szedłem dopóki widziałem, że się dużo ludzi kręci, ale gdy skręciliśmy w tym Kostopolu na ulicę Kopernika, napotkaliśmy wejścia i bramy, więc zacząłem go prosić: „Niech mnie pan puści! Tu jest akurat brama, to nikt nie będzie widział!". On uderzył mnie karabinem po żebrach, wołając: „Na przód!" – rozryczałem się, z tej rozpaczy i ze strachu, po prostu. Zapędził mnie do Arbeitsamtu, bo oni łapanki robili po to, aby wysyłać ludzi do pracy w Niemczech. Pierwsze niebezpieczeństwo i strach poczułem właśnie w tej łapance. Niemcy różnie je organizowali. Czasem robili obławę dlatego, że gdzieś jakiegoś Niemca

zastrzelono. Za to łapano po dziesięciu, czy tam dwudziestu, w zamian za jednego Niemca. Chwytali i rozstrzeliwali. To był taki bardzo niebezpieczny moment w moim życiu. Jeszcze na tyle postępowali „lojalnie", iż od 14 roku życia dopiero wysyłali na roboty do Niemiec. W tym czasie moi koledzy z towarzystwa, z którymi wracałem znad rzeki, dali znać mojej mamie, że zostałem pojmany. Matka zdobyła się na pewien fortel. Pobiegła do księdza – Werbachowski się nazywał (on potem przyjechał razem z nami do Prabut i osiadł za Kwidzynem, po drodze do Grudziądza). Dał jej metrykę potwierdzającą, że jestem z 1930 roku, ale nie z maja, więc nie mam 14 lat, lecz jeszcze 13. Wzięła i zaniosła zaświadczenie do Arbeitsamtu. Zwolnili mnie, choć nie całkiem. Wprawdzie nie wywieziono mnie do Niemiec, natomiast przymusowo pracowałem na miejscu, w Kostopolu. Stał taki tartak, ale on nie tarł drewna, tylko tam robiło się skrzynki. Zbijaliśmy je i dalej wysyłane były niemieckim żołnierzom na front. Cały czas tak mówiliśmy: „O, żeby gdzieś w jakiejś skrzynce gwóźdź utknął Niemcowi!". Młodociani pracowali od szóstej rano, dwanaście godzin. Dawali nam za to zupę, zrobioną przeważnie z brukwi i kaszy. Była bardzo niesmaczna, ale jak człowiek głodny, to jadł. Na wejściu mieściła się portiernia i barierka, a na bramce stał Niemiec. Znajdowała się tam taka duża tablica i każdy miał swój numer. Zdejmowało się ten numerek i z nim szło się na obiad. Jeśli ktoś o szóstej się spóźnił, to już szafka została zamknięta na kłódkę i obiadu nie dostał. Mało tego, jak się spóźnił, to Niemiec z harapem[325] stał i bił nim po tyłku. Rozpędzaliśmy się, ci którzy się spóźnili, żeby jak najmniej odczuć, gdy on uderzał. To też było takie poniżające i zarazem niebezpieczne. Strasznie baliśmy się tego.

A tak poza nawiasem mówiąc, ten pan, który mnie złapał wtedy, to w Prabutach wylądował. Razem z Niemcami uciekł, jak i oni uciekali. Wiedział, że czekałby go lincz – tam ludzie by go ukamienowali. Po dwóch latach, jak mieszkaliśmy w Prabutach, przyjechała jego rodzina. Zrobiono listę, kto co wiedział na ich temat, itd. Przyszli do nas, żebym i ja ją podpisał. Mama jako bardzo wierząca, powiedziała: „Synu, tam już tyle tych podpisów jest, tyle się mu nazbierało, że ty tam wcale nie dołożysz! Zostaw, nie będziesz miał na sumieniu" – nie podpisałem się. Tym bardziej, że to był dobry znajomy mamy. Dostał cztery lata, dwa z nich odsiedział. Później ukończył jakiś kurs i został maszynistą. On o niebo ode mnie starszy, ale wiedział, co uczynił. Jak szedł, to z daleka mi „dzień dobry" mówił. Krępowałem się strasznie, bo to starszy człowiek w końcu, ale widziałem jego szczerą pokorę.

Jeszcze jeden taki epizod mi utkwił, którego nie zapomnę. Jak pracowałem w tej „Kistenfabriek" – fabryce skrzyń u Niemców, to oni tam mieli jeszcze konie – zaprzęgi konne. Wyjeżdżali nimi na wieś z odpowiednią obstawą i zabierali żywy inwentarz. Niemiec szedł, strzelał z pistoletu, a my wszyscy musieliśmy nosić zdobycze na wozy. Ja miałem o tyle szczęścia, że robiłem za furmana. Dali mi lejce, choć ja w życiu nie jeździłem końmi! Niestety musiałem prowadzić. Dużo słomy ładowaliśmy na te wozy (takie drabiniaki), aby te świnie, to wszystko nie uciekło przez szczeble i leżało na słomie. Działo się to we wsi Jankiewicze. Podczas załadunku, w pewnym momencie z cerkwi wysunął się cekaem. Ta wioska była długa – jak zaczęli „pruć", to po całej drodze. Ja się położyłem w tę słomę, a konie się zerwały, bo spłoszyła je strzelanina. Jak ruszyły, to ja z duszą na ramieniu dojechałem do Kostopola! Niemiec z tej fabryki, który stał przy moim wozie, podobno biegł za furmanką, ale jej nie dogonił, bo konie gnały szybko. Niemców było dwóch – jeden mały, Miller, a drugi Rafling się nazywał. Jak furmanka wjechała na teren tartaku, to ten Miller złapał mnie za kołnierz, pytając gdzie jest Rafling. Odpowiedziałem mu: „Nie wiem! Nie wiem, do mnie nie przyszedł". Okazało się, że miejscowi go dorwali. Gdy na drugi dzień przywieziono jego ciało, miał oberżnięte uszy, nos i wykute

325 Bicz z krótkim trzonkiem.

oczy. Makabrycznie został potraktowany. Na szczęście nikt nie powiedział, że gonił ten mój wóz i nie dogonił, bo tak to by mnie zastrzelili na miejscu. Niemcy w czasie okupacji strasznie postępowali. Na moich oczach w Kostopolu, jak szedł komisarz miasta, a ktoś mu się nie ukłonił, to zastrzelił. Szła staruszka, czy mu się nie ukłoniła lub czegoś nie zrobiła – wyjął pistolet i oddał celny strzał. Ona wpadła do rynsztoka, a on pistolet włożył do kabury i poszedł sobie, jakby kaczkę zastrzelił. Baliśmy się na każdym kroku.

Jak przyszli Sowieci, to też nas „wyzwolili". Kostopol zdobyli partyzanci – nie wojska liniowe, tylko partyzanci. Znów żyliśmy w strachu, bo to taka zbieranina, bandyci i inni. Baliśmy się, że nas tam powybijają. Oczekiwaliśmy kiedy przyjdzie armia i będą jakieś władze, które mogą nas ochronić. Trwaliśmy tak chyba ze trzy dni, w piwnicach i schronach. Gdzie tylko mogliśmy, chowaliśmy się przed tymi partyzantami. To nie były już bandy ukraińskie, a partyzantka z prawdziwego zdarzenia. Jeszcze w 1943 roku panował czas, kiedy Niemcy przyobiecali Ukrainę, ale słowa ostatecznie nie dotrzymali. Ukraińcy dostali broń do ręki, jako milicja. Chodzili z dużymi pałami w czarno-żółte pasy i bili, kogo napotkali. Przeważnie z lasów, z tych band werbowano. My też mocno się ich baliśmy. Był taki moment, że wystarczyło, aby Polak kilometr oddalił się od miasta i od razu został zabity. W mojej rodzinie, ojciec mego szwagra został zarąbany siekierą, a jego małżonka miała trzydzieści dziur w piersi po bagnecie. Ja też trafiłem w ręce bandyty, ale cudem ocalałem. Poszliśmy na jagody, a nie powinniśmy się zbytnio oddalać. Z Kostopola do Równego prowadziła trasa pod pociąg, kolej. Niemcy posiadali drezynę i nią patrolowali, bo naokoło wszędzie rosły lasy i grasowały bandy. Została wyposażona w kilka cekaemów. Byli bardzo mocno uzbrojeni i patrolowali tory, ponieważ bandyci potrafili je rozebrać, żeby pociąg się wykoleił. Poszliśmy na jagody, jak to młodzi i odważni – oddaliliśmy się trochę, bo owoców nam się zachciało. W międzyczasie bandyci na-

padli na tą drezynę. Gdy Niemcy otworzyli ogień z tych cekaemów, wpadliśmy natychmiast w jagodnik. Po drzewach leciały strzały – sto, może sto pięćdziesiąt metrów od nas. Trach! Kule zrywały korę. Moment jakiś to trwało, gdy leżeliśmy w tych krzakach, zanim nastała cisza. Ucichło – to znaczy, że ktoś się wycofał. My jednak leżeliśmy dalej z duszą na ramieniu. Nie było żartów, bo to najprawdziwsze kule! Wreszcie, po jakimś czasie, podnosząc się trochę zobaczyłem, że mój kuzyn zbiera jagody – nachyla się i rwie. Jak tylko się wyprostowałem, tak naraz wyrosło pięciu bandytów. Pomyślałem: „O Boże! To już koniec!". Jeden złapał mnie za kołnierz i spytał: „Polak czy Ukrainiec?". Odpowiedziałem tym bandytom, że jestem Ukraińcem, na co oni zażądali, abym się przeżegnał. Jak on mógł sprawdzić, czy ja jestem Polakiem, przecież mogłem rozmawiać dobrze po ukraińsku. „A przeżegnaj się!" – usłyszałem. Miałem szczęście od Boga, że często bywałem u wujka leśnika, a oni mieli służącą Ukrainkę. Widziałem, jak ona bez przerwy się modliła, bo taka była wierząca – należało trzymać trzy palce i żegnać się – u nas w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, a u nich odwrotnie. Mnie Pan Bóg chyba pomógł w tym, że palce złożyłem, trzy razy się przeżegnałem po prawosławnemu i puścili mnie. W ten sposób przeżyłem. Jak się okazało, podnosząc się, nie widziałem wcale swojego kuzyna zbierającego jagody. To była gruba sosna, a na niej krzak. Jak wiatr wiał, to ten krzak się ruszał, a że to daleko – no nic, tylko rwie jagody! Oni już dawno uciekli, od razu przy pierwszym ataku tych bandytów. A ja frajer, leżałem w tym jagodniku ze strachu! (śmiech). Przyszedłem na skraj lasu dróżką, a tam matka, siostra i dużo ludzi już wypatrywało. Mama opłakiwała, że nie wyszedłem za kuzynem z lasu. Strasznie ucieszyła się, że jednak przeżyłem.

Chciałem też opowiedzieć, jak dokonano masakry w Janowej Dolinie. To były przed wojną kamieniołomy, w których wydobywano granit. Pracowało tam około tysiąca Polaków, wraz z rodzinami – przeważnie górnicy ze Śląska, bo na kresach takowych

nie mieli. W 1943 roku, tuż przed Wielkanocą, rozdano ulotki w tej Janowej Dolinie, że pomalują Polakom jajka wielkanocne ich własną krwią. Ludzie temu nie dowierzali. Wreszcie napadnięto na nich w nocy, w Wielki Piątek, 1943 roku. Zabito prawie wszystkich, niewiele osób przeżyło. Niemcy mieli tam swój sztab, taki ogrodzony, ale bandyci wcale do nich nie poszli. Polaków zamordowali, Niemców nawet nie zaczepiając. Horyń – taka rzeka tam płynie, w niej masa trupów dryfowała z nurtem wody. Niemcy pojechali odbić resztę i przywieźć tych poranionych, trupy i tak dalej. To było dwadzieścia kilometrów od Kostopola. Na własne oczy widziałem, jak przyszedł transport, to nie przesadzę, jeśli powiem, że ścieżka krwi tych rannych od Janowej Doliny ciągnęła się aż do Kostopola. A ile osób po drodze nie przeżyło, bo się wykrwawiali. Ośmioletni chłopiec przyjechał stamtąd nawet do Prabut – Grocholski. Rękę odrąbał mu bandyta. Straszny to pogrom był w tej Janowej Dolinie.

Nie pamiętam dokładnie dnia wyjazdu z Kostopola. Jeszcze mówią, że nas wyrzucono stamtąd – nie wierzcie! Na stacji podstawiano dla nas transporty – wyjazd do Polski. Zapisaliśmy się na liście chętnych i chodziliśmy tak codziennie na dworzec, aby sprawdzać. Wreszcie przyszedł termin naszego wyjazdu i w wagonach towarowych wyruszyliśmy w nieznane. Mojej rodzinie przypadła lora – wagon kompletnie bez burt, taka platforma. Powiązaliśmy wszystko razem, te swoje rzeczy, jakie mieliśmy i w ten sposób przemieszczaliśmy się. 9 maja – koniec wojny, a my w trasie i nagle zapanowało zdziwienie. Byliśmy jeszcze przed Lublinem. Zobaczyliśmy, że strasznie zaczęły strzelać działa, wielki łoskot. Zaczęliśmy zastanawiać się, czy może jednak spowrotem wojna nastała. Okazało się, że na wiwat tak strzelano. Wojsko cieszyło się z zakończenia walki. W Lublinie przesadzili nas z szerokiego toru na wąski. Wówczas podstawiono dwa transporty – oczywiście towarowe. Niektórzy nawet w węglarce jechali. Namęczyliśmy się w tym naszym odkrytym wagonie, bo dwa tygodnie tak jechaliśmy ze Lwowa

do Lublina, więc gdy przypadł nam kryty – byliśmy w raju! Teraz mogliśmy jechać, gdzie tylko nas powiozą, wszystko jedno. No i tak wozili nas, tułaliśmy się po Polsce. Pamiętam, jak w naszym wagonie zapalił się hamulec, ale jakoś tam go uratowali, bo już chcieli nas odczepiać. Słyszeliśmy kolejarzy: „Wycofać go! Wycofać ten wagon!". Na szczęście ostygł i zostaliśmy w transporcie. Wreszcie przywieziono nas do Kwidzyna. Tak się stało, że na miejscu była krótka rampa wyładowcza, a nasz transport posiadał 54 wagony, więc nie mogli od razu nas rozładować, zatem rozdzielili skład na pół. Pierwszą połowę wstawili pod rampę, a drugą między perony, bo jeszcze pociągi nie kursowały. Czekając na naszą kolej, rozeszliśmy się z tego transportu na jakiś mały szaber – tam poniemieckie to wszystko stało, bo Niemcy po prostu uciekli. Ciarki nas przeszły: „Nie! My tu nie zostaniemy!" – baliśmy się, że jak Niemcy jednak wrócą, to nas wyduszą, bo przyszliśmy na ich miejsce. „Nie, my chcemy do Polski! Na polskie tereny, chociaż do Działdowa! Chociaż do Działdowa! To już jest Polska, a Kwidzyn to jest poniemiecki!". Tym bardziej nas zmotywowało to, że poszliśmy do miasta. Ja sam trafiłem akurat do domu na obecnej ulicy Chopina. 29 – nie zapomnę tego numeru. Był to pierwszy budynek, stojący po prawej stronie, jak się wychodzi z dworca. Jeszcze zanim wszedłem, popatrzyłem przez okno i pomyślałem, że może ktoś mieszka, ale nic to. Otworzyłem drzwi i akurat trafiłem na kuchnię. Na ścianie wisiał zegar – „Aaa, niech sobie wisi". Wszedłem dalej na górę i pchnąłem drzwi nogą. W tym momencie coś mnie cofnęło – odór – ujrzałem martwych na podłodze. Uciekając z pierwszego piętra na parter, nie wiem, czy stanąłem chociaż na trzech stopniach – tak się wystraszyłem! „Nie! Nie chcemy! Tym bardziej! Nie chcemy tu! My chcemy do Polski!" – no ale cóż zrobić? Choć w tym czasie nie mieliśmy normalniej gotówki, to działała zapłata w postaci bimbru. Nim się wszędzie płaciło, więc zrobiliśmy zbiórkę wśród tych, co byli przy peronie. Zafundowaliśmy go kolejarzom, żeby poszukali gdzieś parowozu, który by nas stąd wyciągnął. Udało się, znaleźli.

Uradowałem się: „Jest! Do Polski! Do Polski jedziemy!” – a ten drań przywiózł nas pod rampę na peron do Prabut, odczepił wagon i tak zostaliśmy.

20 maja 1945 roku, razem z rodziną (mama, siostra i ja) znaleźliśmy się w Prabutach. Nie chcieliśmy się rozładować przez tydzień. „Nie, nie i nie!”. Przygotowani byliśmy, bo wiadomości przychodziły, że bardzo długo się jedzie. Nasuszyliśmy sucharów na drogę, żeby było co ugryźć, coś zjeść. W końcu sucharów zabrakło, wyszły, a my staliśmy na tej rampie. „Nie ma mowy!”. Wreszcie spekulanci, ci szabrownicy, którzy wyciągali wszystko co jest przydatne i wywozili do Centralnej, przyszli do nas dowiedzieć się, czemu nie rozładowujemy bagaży. Teraz mówimy Centralna, przedtem określało się, że do Polski – już było wiadomo, iż chodzi o centralną. Rosjanie rozbierali cukrownię w Prabutach. Jak się idzie do dworca, to ściany jeszcze do dzisiaj mają taką inną cegłę, widać, że wyrwane. Oni wyciągali to czołgiem T-34 bez kopuły – jak ciągnikiem, tylko na gąsienicach. Grubymi linami rwali, burzyli ściany i wyciągali maszyny. My wiedzieliśmy po co, dla żartów, żeby było śmieszniej, stwierdzaliśmy: „Zabierają Rosjanie maszyny, oni mają tyle złota, to pozłocą i spowrotem nam je przyślą! Na pewno!” (śmiech). Przy dworcu znajdowała się taka mała rampa i oni tą całą cukrownię wywieźli z tego miejsca. Władowali na wagony i do „pozłacania” poszło, a my dalej staliśmy. Ponownie zjawili się szabrownicy. Tym razem Rosjan bimbrem przekupili. Gdy wyciągali maszyny przy pomocy niemieckich niewolników, to ci spekulanci Rosjanom wódkę postawili, a oni z kolei przysłali Niemców i nas wyrzucali. To najbardziej irytowało – 9 maja nastąpił koniec wojny, 20 maja przyjechaliśmy tutaj, tak krótko i nie dość, że Niemcy nas strasznie gnębili, to jeszcze nas Niemcy z wagonów wyrzucają! To było takie niesmaczne, czuliśmy niezadowolenie. Wyładowali nam nasze graty na rampę, wagony odjechały, a my zostaliśmy. Dalej siedzieliśmy na rampie: „Nie! My nie chcemy!”. W magazynach zbożowych – nie wiem dlaczego

– znajdowały się takie ogromne arkusze jak plandeki, coś w tym sensie, tylko że papierowe – taki impregnowany papier. Jak przyszedł deszcz, a na rampie wszyscy byliśmy, więc polecieliśmy tam nabrać tego papieru i przykryliśmy nim swoje tobołki. Mimo wszystko, dalej do miasta nie chcieliśmy iść, bo to niemieckie. Zastanawialiśmy się, czy to naprawdę jest koniec wojny. Niedowierzaliśmy, a wręcz trwaliśmy w przekonaniu, że Niemcy wrócą, znając ich poprzednią potęgę. Przyjdą i nas dopadną, bo im miejsce zajęliśmy. Osłoniliśmy nasze rzeczy, jednak jeść nam się już na tyle chciało, że nie mieliśmy zatem wyjścia. Lenkiewicz – piekarz – pierwszą piekarnię uruchomił na ulicy Szkolnej, taką maleńką. Tam ciastka się kupowało, itd. Jakie on ciasta piekł, a jaki chleb – to było coś! Za budynkiem, znajdującym się naprzeciwko dawnej restauracji „Jarzębina”, za czasów niemieckich mieściła się rozlewnia piwa, natomiast Rosjanie trzymali tam śrutownik – taki z lokomobilą – parową maszyną. Śrutowali sobie – czy do jedzenia czy nie, to nie wiem, ale można było zboża im przywieźć, to ześrutowali. Musieliśmy coś zjeść. Jako że Niemcy uciekli tak jak stali, to w gospodarstwach zostało zboże, więc przywoziło się je ze wsi rowerem. Tak naprawdę, to prowadziło się go, bo jak się jechało, to już roweru nie było – Rosjanin rekwirował na stałe. My jeździliśmy bez opon, na samych obręczach – hałasu robiliśmy, co niemiara. Lenkiewicz z tego przeciśniętego śrutu, choć nie takiego ostrego, zrobił nam pieczywo i przywiózł dosłownie na rampę. Tym nas przekonał, ponieważ poszliśmy za chlebem, a jak zaczęło mocniej padać, to nie było już absolutnie żadnego wyjścia.

Zeszliśmy z rampy i wnieśliśmy się do pierwszego napotkanego bloku. Nadal wszyscy trzymaliśmy się razem, bo panował strach. Tu bandy grasowały, więc pomaleńku, poszliśmy do miasta. Tam jeszcze wszędzie były bariery, ponieważ Rosjanie zarządzili niejako stan wojenny. Poszliśmy na ulicę Łucką, zajęliśmy pierwszy budynek – dwurodzinny, jednopiętrowy. Wprowadzi-

liśmy się w pięć rodzin. Dość długo tak mieszkaliśmy. Zastaliśmy tam poniemieckie centralne ogrzewanie, ale w związku z tym, że Niemcy uciekli w styczniu i woda została w rurach, to mróz porozsadzał wszystko i nie było jak się ogrzać. Postawiliśmy takie żelazne piecyki, kto gdzie znalazł. Komin jeden, a pomieszczeń posiadaliśmy cztery, więc wybijaliśmy w ścianach dziury i poprowadziliśmy rury z tych piecyków do komina. Tak przemęczyliśmy się przez pierwszą zimę, w pięć rodzin. Wtedy zima doskwierała bardziej, niż obecnie, choć niewiele w porównaniu do tych, panujących na Kresach. Tam dopiero były śniegi. Po zimie rodziny zaczęły rozchodzić się i szukać nowego lokum. Na frontowych drzwiach pisało się kredą „zajęte" i dom stawał się naszą własnością – tak zajmowano lokale. Później, gdy rozbudował się magistrat, utworzono odpowiednie działy i one przydzielały mieszkania w okolicy. Ta pierwsza ulica, na której zamieszkaliśmy, nosiła niemiecką nazwę Ringstrasse, a później nazwano ją Łucka. Jak ludzie się osiedlali, to sami sobie nazywali ulice. Łucka przetrwała do dzisiaj, a Kostopolską przemianowano bodajże na Legionów – nie pamiętam dokładnie. Wybraliśmy Łucką, ponieważ była najbliżej stacji. Na ulicy zastaliśmy piękny, gładziutki beton, który obecnie jest już poniszczony. Sam budynek wygląda tak, jak dzisiaj. Na dole mieściły się trzy pokoje i kuchnia, a na górze dwa pokoje i kuchnia. Drzwi wejściowe były oszklone. Relacje sąsiedzkie z tamtego czasu uważam za bardzo dobre. Szanowaliśmy się i wzajemnie ceniliśmy. Przyjechał z nami pan Kot, który był rolnikiem, a my przybyliśmy z Lwowa, dużego miasta. Tak się złożyło, że na końcu ulicy Łuckiej, jeden budynek zasiedlili przyjezdni z Kostopola, a następne dwa budynki po lewej stronie przejęli mieszkańcy z Równego. W okolicy panował spokój.

Początki były trudne. Jak przyjechaliśmy na miejsce, to nie mieliśmy w ogóle wody. Pompy stały, tylko nieczynne. Na ulicy Kwidzyńskiej do dzisiaj są wodociągi, a charakterystyczny jest fakt, że pompy napędzano silnikiem gazowym. Taki silnik jedno-

cylindrowy z dużym kołem zamachowym działał na gaz, dlatego, że po prawej stronie mieściła się gazownia miejska. Przekazywała ona gaz do miasta i na silniki, które napędzały pompy wodne, te z kolei tłoczyły wodę na wieżę ciśnień. Brama Kwidzyńska była tą wieżą, choć teraz już nie jest, bo spowrotem doprowadzono ją do stanu pierwotnego. Po wodę chodziliśmy na róg ulic Ogrodowej i Grunwaldzkiej. Tam od wewnątrz znajdowała się pompa. Stamtąd woziliśmy wodę we wózkach na ulicę Łucką. Pół Prabut z tej pompy korzystało, a jak się zepsuła, to mieliśmy straszny problem.

W chwili przyjazdu byłem nieletnim, a mimo to musiałem od razu pójść do pracy. Mama bardzo chorowała. Siostra, starsza ode mnie o 6 lat, też na zdrowiu podupadła, więc ja pracowałem. 15 grudnia 1945 roku poszedłem uczyć się do elektryków. Wówczas w Prabutach mieszkało dwóch takich starszych Niemców, którzy byli fachowcami. Pracowałem zatem z dwoma autochtonami i jestem im bardzo wdzięczny. Nie uchodzili za Niemców, którzy mogli nam zaszkodzić. Oni sami się bali, jak przyjechaliśmy. Jeden nazywał się Finkiel, a drugi nazywał się Beim. Ten Beim to był Niemiec, ale Finkiel fizjonomię miał żydowską, z takim dość mocno garbatym noskiem, a do tego mówił po rosyjsku. Raczej łatwo mi przyszło się porozumieć, bo ja język rosyjski miałem, gdy chodziłem do szkoły. Wyglądało to tak, że kontaktowałem się z nim, a on przekazywał z kolei temu drugiemu. Przyjemnie nam się pracowało, choć nie raz zdarzały się problemy, i to śmieszne. Języka niemieckiego nie znałem, tylko tyle, co na bieżąco usłyszałem. Do dzisiaj jak wspominam, to śmiać mi się chce z tych przejęzyczeń, czy niezrozumień. W każdym razie, przyjęli mnie do pracy w elektrowni miejskiej. Może byłem początkujący, ale angażowano mnie na dyżury, normalnie do wszystkiego, jak dorosłego. Zacząłem wykonywać fuchy. W mieście zostały porozrywane instalacje, więc pomaleńku nauczyłem się je naprawiać. Prabuty miały swoją elektrownię w lesie, na drugim młynie i stamtąd przesyłano prąd

do miasta. To była wówczas elektrownia z nowoczesną turbiną i to rzadką, bo pionową. Przeważnie montowano turbiny wiatrakowe, które napędzała woda, a tu mieli już nowoczesne. Od turbiny szła oś i duże, gdzieś na ponad metr koło zębate, drewniane zęby, kliny i stożkowe otwory. Niemcy wykonali je z jakiegoś drewna. Zastanawialiśmy się, czy to grab czy jakiś inny twardy materiał. Duży mechanizm talerzowy służył do napędzania turbiny. To tak cichutko pracowało, że słyszałem tylko takie: „kle, kle, kle, kle..." – jak drewniane zęby w tym kole talerzowym, przyjmowały ciężar na siebie, do generatora. Elektrownia znajdowała się w dole, po lewej stronie, a tam dalej był taki piękny teren, coś jakby miejsce wczasowe. Z tyłu stała muszla koncertowa, którą przeniesiono później do Sanatorium. W tym miejscu wczasowym mieścił się też taki nieduży budyneczek, chyba z osiem pokoi. Pięknie wystrojone – spaliśmy tam coraz to w innym pokoju. Był również młyn elektryczny, wyposażony w specjalny, szeroki, skórzany pas. Po lewej stronie jest jeszcze mur z czerwonej cegły, choć teraz już nisko i widać kółka do wiązania koni. Okoliczni chłopi, gdy przywozili zboże do przemiału, to tam je zostawiali. Sam młyn był nowoczesny, bo miał turbinę i generator elektryczny, więc własny prąd przesyłał do bloku. Pewnej nocy zabrakło w mieście zasiliania. Nie pamiętam, który z nas miał wtedy dyżur. Wówczas swoje biuro mieliśmy na ulicy Barczewskiego. Przyszli do nas Rosjanie, pytając: „Dlaczego prądu nie ma?" – „My też nie wiemy dlaczego". Rano pojechaliśmy, a tam biedak taki, Łotysz z pochodzenia, został pobity. Jego Niemcy wcześniej zniewolili, a po wkroczeniu rosyjskiej armii postanowił zostać. Bardzo był z niego poczciwy człowiek, jednak w latach późniejszych zginął pod kołami samochodu, obok „Jarzębiny". Rosjanie znowu dopytywali: „Dlaczego światła nie ma?" – „Nie ma, bo wasi zabrali pas i nie ma". Oni się tu wozili karetami, piękne konie mieli, wszystko poniemieckie, oszklone. Tak, jak to kiedyś jeździła arystokracja, wówczas jeździli sobie Rosjanie. W ciągu kilku godzin pas znalazł się i przywieźli nam go na drugi młyn.

Nałożyliśmy i wszystko znów działało. Po jakimś czasie, ponownie skradziono nam ten pas, ale tym razem już go nie odzyskaliśmy. W związku z tym, elektrownię przenieśliśmy do Prabut, na Plac Wolności. Tam turbina była dobra, a Liwa nie płynęła przez jezioro Dzierzgoń, tylko tu, koło parku. Stawidło znajdowało się przy drodze na cmentarz. Ja na nim pracowałem. Codziennie o godzinie pierwszej wyłączaliśmy prąd, bo musieliśmy nasmarować maszyny i sprawdzić pas. Godzinę czasu trwała przerwa w dostawie prądu. Tym stawidłem zamykaliśmy, bo tam jest tunel pod jezdnią, a dalej turbina, metalowa, staroświecka, już nie pionowa. Były dwie jasne fazy, a jedna ciemna, ale silniki elektryczne chodziły – trochę słabiej, ale pracowały. Mieliśmy silnik 80 KW i z niego zrobiliśmy generator, lecz trzeba jakoś było go wzbudzić. Czołg rosyjski (T-34) stał rozwalony w Stańkowie, więc z niego wyciągnęliśmy taką ogromną prądnicę i tym zasililiśmy generator. Utrzymywaliśmy to do lipca. Wtedy to, chyba około 20 dnia miesiąca, podłączono nas do sieci ogólnokrajowej. Wówczas dostawaliśmy prąd z Elbląga. Oczywiście, jak już dotarło do nas zasilanie, nawet nie wiem, gdzie się to wszystko potem podziało z naszej elektrowni.

Prabuty były bardzo zniszczone w tamtym okresie. Kwidzyn na pewno mniej. Miasto chyba zrujnowano w 75 procentach, i to nie w czasie wojny, a w maju 1945 roku. Ukraińcy przeważnie służyli Niemcom. Jak wracały ich transporty z Niemiec, a zatrzymywały się w Prabutach, to zaraz kilka domów się paliło, bo oni podpalali. Wychodzili z wagonów i robili swoje. Przeważnie w takim pustym domu, papiery, gazety – wszystko leżało rozwalone, ponieważ tu wszyscy szukali nie wiadomo czego. Wynosili je więc na klatki schodowe, podpalali i już wzniecał się pożar. Wówczas korytarze budowano drewniane, a i sama zabudowa była niska, piętrowa, czasem maksymalnie dwupiętrowa. W pierwszych dniach Prabuty zamknięto i wszędzie postawiono wojskowe szlabany. Po miesiącu czy półtora, zaczęto otwierać i wpuszczać cywilów. Rosjanie mieszkali tak, jak mó-

wiłem – na rogu ulicy W. Jagiełły, tu gdzie dawna „Jarzębina". Tam mieli piekarnię. Na dole, po prawej stronie stał wymurowany piec, gdzie piekli chleb. Blok ten należał do właściciela rozlewni. W głębi mieścił się magazyn butelek, które były zamykane. Braliśmy je, mamy gotowały kawę, a my nosiliśmy ją w nich do pociągu i sprzedawaliśmy. Nie pamiętam już, jakie grosze zarabialiśmy na tym. Ulica Rypińska nie została zniszczona. Na ulicy W. Jagiełły, w miejscu, gdzie w tej chwili market przylega do ulicy Westerplatte, znajdował się spalony szpital, a mały czerwony budyneczek pomiędzy blokami, służył za kostnicę tego szpitala. Na tym budynku do dzisiaj widnieje krzyż z cegieł. Pamiętam również spaloną Oberschule – szkołę wyższą. Teraz obok jest liceum, ale tu, gdzie jest boisko szkolne, kosz i plac do siatkówki, stał piękny budynek z czerwonej cegły, a na nim widniał napis Oberschule. Natomiast za siatkówką, w lewo, w stronę płotu, mieściła się piękna sala gimnastyczna, w pełni wyposażona. Jedynie pocisk trafił w dach i trochę dachówek poniszczył, bo front szedł od Kisielic do nas. Duży budynek, więc obierali go sobie na cel. Gmach urzędu od początku mieścił się w tym samym miejscu. Wcześniej działało tam niemieckie Kreissparkasse – to była taka kasa oszczędności, bank oszczędnościowy, czy coś w tym sensie. Tam jeszcze jest skarbiec w urzędzie. Jak się wejdzie na wprost, to w tej chwili jest chyba wydział, który zajmuje się ludnością. Po prawej przyjmują interesantów, a pomieszczenie, które jest salą miejską, wówczas działało jako sala operacyjna tego banku. Wisiały tam piękne żyrandole, które nawet później kompletowaliśmy. Idąc do Urzędu Stanu Cywilnego, po lewej stronie (chyba tam już zamurowano) wówczas znajdowało się wejście do podziemia, a dalej na prawo skarbiec. Drzwi z tego skarbca były długie i grube, jak ręka rosłego mężczyzny. W środku znajdowało się pełno szafeczek, skrytek na patenty i tym podobne. Gdy tam chodziliśmy, to baliśmy się, że jak ktoś przymknie drzwi, a zaskoczy automat, to z nami koniec – umrzemy z głodu i chłodu, bo nikt nie mógłby otworzyć tego mechanizmu.

„Lwy" jak stały, tak niezmiennie przetrwały do dziś. Gdy przyjechaliśmy, na postumencie fontanny nie widzieliśmy już żadnej figury. Dookoła wszystko zostało spalone. W gruzach na prawo, pan Neumann miał piekarnię. Odbudował tam sobie jakoś i uruchomił interes. Po prawej stronie, gdzie ulica Kraszewskiego łączy się z rynkiem, stał duży budynek ze spalonym tynkiem. Ta elewacja zmieszana był z miką – to są takie płatki błyszczące, ogniotrwałe, stosowano ją dawniej w żelazkach elektrycznych. Błyszczała się wówczas ta mika w tynku, przy nocy księżycowej – przepięknie świeciła. Ulica Kraszewskiego prowadzi w dół miasta. Na jej zakręcie stał czołg niemiecki, „Tygrys" – oczywiście wysadzony. Rosyjski T-34 był bardzo celny, więc trafił „Tygrysa" pociskiem, akurat pod lufę. Zbieg okoliczności spowodował, że uderzył tam, gdzie znajdowało się najmniej pancerza. Pocisk wpadł do środka i eksplodował. Cała załoga zginęła. Jak mówili, że pies człowieka nie zje, tak resztki zmarłej załogi zostały w środku i psy tam „urzędowały". Czołg stał tam długo i ciężko było przez niego przejeżdżać. Mieszkał wówczas taki pan Romanow – znane nazwisko. On sam ten czołg sprowadził w dół, na ulicę Malborską, gdzie kiedyś mieściła się mleczarnia. Zrobił to lewarkiem wagonowym, kręconym. Miał podkład kolejowy, stawiał ten lewarek i pomaleńku kręcił do kantu chodnika, aż pojazd się stoczył. Chwalili go za to, dużo pieniędzy otrzymał. Dla mieszkańców czołg stanowił wówczas straszną przeszkodę. Na placu koło Urzędu Miasta, stał pomnik Prusaka z brązu – to znaczy z blachy brązowej, bo to nie był cały masyw. Rosjanie wywieźli go tym czołgiem, którym rozbierali cukrownię. Zarzucili Prusakowi linę na głowę i ciągnęli przez całe Prabuty, aż do stacji. Hałas panował niesamowity! Pusty cokół spod figury wykorzystał Ojciec Klimuszko, przenosząc go i stawiając na nim Matkę Boską. Figura, razem z częściami i maszynami z cukrowni pojechała prosto do Rosji. Park wyglądał pięknie. W środku znajdowały się zabudowania, tablice, zdjęcia oraz jakaś rzeźba czy coś w tym sensie, postawiona na pamiątkę właścicieli, którzy podarowali

cały obszar na park. Rzeka koło parku nazywała się Młynówka. W tej chwili wody już prawie w niej nie ma. Chodziłem tam zielsko wyciągać, żeby miała lepszy nurt. Koło parku było też jeziorko z zasobem do młyna, ale teraz pozostało tylko bagno. Zapomniałem jak się ono nazywa. Mogę za to o tunelu coś opowiedzieć. Wszyscy mówią o nim, że to loch obronny, prowadzący do byłego zamku. Bzdura – to zwykła kanalizacja! Tam są dwa zbiorniki, do których spływały nieczystości. On miał połączenie do jeziora. Część z Zamku spływała natomiast do Młynówki.

Początkowo trudno było o dotarcie do innych miejscowości. Przeważnie ludzie chodzili pieszo, bo pociągi nie kursowały. Dopiero po jakimś czasie uruchomili kolej. To była węzłowa stacja. Pociągi odchodziły do Kwidzyna, Malborka, Iławy i Kisielic. Posiadała pięć torów.

Obecny duży cmentarz, wówczas był ewangelicki. Tam nie grzebano naszych. Niemcy na nim chowali wcześniej swoich zmarłych. Dopiero później, jak już na tym przy ulicy Daszyńskiego zrobiło się ciasno, zaczęto pochówki. Gdy przyjechaliśmy, to jeszcze stał jeden cmentarz – żydowski – nie zniszczony, ogrodzony dookoła grubym i czerwonym murem. Rozebrano go, ponieważ na zakręcie było dużo wypadków i w niego często uderzano. Mówi się, że na jego terenie są teraz garaże, a tak naprawdę to w ich miejscu znajdowała się działka uprawna, duża, może Żydzi tam coś hodowali. Natomiast sam cmentarz mieścił się tu, gdzie są drzewa. To był nieduży obiekt. Zawierał nagrobki z wyrytymi datami – pięć tysięcy z czymś, bo oni tam jeszcze od Mojżesza, czy od kogoś ten kalendarz żydowski mają. Nie widziałem tam krzyży, tylko słupki. Przeważnie betonowe, takie figurowe, zdobione kikutkiem sęka, a na nim listek, z betonu oczywiście. Tam mieścił się też taki budyneczek, ich kostnica. Bożnica stała natomiast na ulicy Kopernika. Zrobiona z czerwonej cegły, spalona. To musiało się stać jeszcze w czasie wojny. Ona

była cała zamurowana, więc tam nie chodziliśmy, ale to Niemcy ją spalili i chyba nie z powodu działań wojennych. Oni po prostu niszczyli żydowskie mienie i tępili żydowską wiarę. Pamiętam też pierwszy cmentarz żołnierzy rosyjskich. Znajdował się na trójkącie koło „Jarzębiny" – u zbiegu ulic Daszyńskiego i W. Jagiełły, W tym łączniku chowano Rosjan. Później zrobili pierwszą ekshumację – przenieśli ich z centrum miasta za koszary. Stamtąd znów ich ekshumowali do Iławy, dalej do Olsztyna, a potem to już nie wiem gdzie.

Kościół zorganizował ksiądz Klimuszko. Ja miałem troszeńkę w tym wkładu, bo figurkę świętego Antoniego znaleźliśmy z mamą na plebani – stała pusta, kościół nieczynny, a samą figurkę świętego wypatrzyliśmy gdzieś za chlewkiem. On miał odtrąconą główkę. Wzięliśmy go ze sobą i leżał u nas w domu. Nie chcieliśmy, żeby został w jakiś sposób sprofanowany. Dzwony, które są w kościele, pochodzą z katedry. Brałem w tym udział – w ich przenoszeniu. Byłem tylko tym, który pomagał. Nie organizowałem, ani nie odpowiadałem za tą akcję. Jak ktoś spojrzy na wieżę, to tam gdzieś na wysokości 10 metrów, może mniej, jest taka inna cegła i tam wykuliśmy otwór. Zegar z wieży kościelnej napędzały ciężarki, takie jak to nieraz w domu są w zegarach. Na grubych łańcuchach wisiały półtonowe obciążniki, betonowe słupy, a u góry znajdowały się windy na korbę z dużą przekładnią. Do nich był taki jakby napęd, którym naciągało się ten duży ciężar i zegar na tej zasadzie chodził, choć w tamtym momencie nie, bo nie miał kto go naciągnąć. Dzwony wisiały na wieży, ale służyły tylko do zegara. Zegar wybijał godziny i tak dalej. Wykuliśmy na dole otwór we wieży. Później, na ten łańcuch, co naciągało się zegar, przywiązano dzwon i dużą przekładnią opuściliśmy go na dół, a później wypchaliśmy przez otwór. Rok 1946 – o dźwigach nie było mowy, więc co mieliśmy zrobić? Odkopaliśmy trochę bruku, żeby nie spadł na twarde podłoże i rzuciliśmy go od tak. Tam znajdowały się dwa dzwony. Jeden do dzisiaj bije, a drugi pękł, podczas upuszczania. Trzasnął

po prostu. Ksiądz Klimuszko stwierdził: „Ja go sprzedam, nie bójcie się” – i gdzieś go upłynnił, a ten ocalały wciągnęliśmy tu na wieżę kościoła. Ona też została zestrzelona przez artylerię. Przeważnie takie punkty obserwacji zdobywający chce zniszczyć. Odbudowano ją i wciągnięto dzwon do góry. Pracował przy tym pewien fachowiec, stary majster, budowniczy. Nie pamiętam już jego nazwiska. On wieżę odbudował i krzyż postawił. Wszedł na jego ramiona, ręce rozchylił i powiedział: „Już robotę skończyłem!”.

Pamiętam pierwszą mszę, bo pomagałem przy budowie ołtarza. Wcześniej Rosjanie mieli w tym kościele kino. Aparatura przenośna stała na chórze. Ołtarza nie było w ogóle. My go odbudowaliśmy. Przynieśliśmy bale na plecach z tartaku przy ulicy Daszyńskiego. Całą instalację w kościele robiłem z kolegą, a zbliżało się Boże Ciało lub inne święto. Ksiądz Klimuszko przyszedł i powiedział: „Chłopaki, postarajcie się to zrobić dzisiaj, żeby jutro na tą uroczystość było czynne”. Koło godziny dwunastej zawitał do nas, a my wtedy się krzątaliśmy, żeby zdążyć. Najgorsze jest to, że tam gdzie prezbiterium i strop, nie mieliśmy jak postawić drabiny, przez co strasznie się męczyliśmy. Ksiądz zawołał: „Po kielichu wypijemy!”. Ołtarz to jeszcze prowizoryczny stał. Przyniósł nam taką symboliczną buteleczkę i „damskie obcasy”. My tak popatrzeliśmy po sobie, a on to zauważył. Już bimber piliśmy szklankami, a on przyniósł takie szklane kieliszeczki. „Co?! Myślicie, że to byle co? Chodźcie!” – nalał nam w te naparstki, dosłownie. Ksiądz zawsze zawracał się tak bezpośrednio: „Jak wypijecie to, a ruszycie się z tych schodków do ołtarza, to wam jeszcze przyniosę!”. Faktycznie, to jakieś opium było czy coś – wypiliśmy i odjechaliśmy od razu. Fakt, że taka kropelka, ale gdzieś kwadrans nas trzymała. On się śmiał do rozpuku! Ojciec Klimuszko miał szósty zmysł, tak to oceniliśmy. On odnajdywał ludzi – autentyczna prawda. Po wojnie, w roku 1945 i 1946 ludzie się szukali. Poginęli, rodziny się rozpadły, wszystko przez wojnę. Do niego ustawiały się

kolejki. Ileż z zagranicy on paczek dostawał! Jego chciano za to zamknąć. Urząd Bezpieczeństwa uważał, że on zdradza tajemnice i dlatego takie paczki dostaje, a go zwyczajnie nagradzano z wdzięczności. Klimuszko nic za pomoc nie chciał. Przychodzili do niego ze zdjęciem. Miał takie duże szkło powiększające. Czy to bajer, to trudno mi powiedzieć. Wskazywał, gdzie znajduje się poszukiwana osoba i czy żyje, czy też nie. Namacalny moment to historia Morkiewiczów – tacy staruszkowie. Oni na wojnie stracili córkę. Niemcy ją wywieźli i zaginęła. Pisali do Czerwonego Krzyża i do „półksiężyca”. Szukali tej córki na całym świecie. Zanieśli więc zdjęcie do niego, a on podał adres w Argentynie! Nawet miejscowość wskazał. Napisali i dostali odpowiedź, więc to jest namacalne. Ksiądz nic nie brał, pieniędzy żadnych. Jak chcieli płacić, to kazał iść i wrzucić do skarbonki świętego Antoniego. „Mnie nie interesuje ile wpłacisz!” – nigdy nie powiedział, żeby jakieś pieniądze mu zapłacić, dosłownie nic. Ta figurka była w ołtarzu. W Prabutach odbywały się nawet odpusty świętego Antoniego. Wielu ludzi odnajdywał, do tego stopnia, że jak ktoś przyszedł, wiedząc jednocześnie, że dana osoba już nie żyje, od progu usłyszał: „Proszę wyjść, bo wy doskonale wiecie, że ona/on nie żyje” – nie patrząc na nic. Oni tylko weszli, próg przestąpili, a on już wiedział. Miał ten zmysł w jakiś sposób rozwinięty. To, że odnajdywał jest faktem, ale UB go podejrzewało, więc zabierano go na przesłuchania. Twierdzili, że to jest zdrada, a ksiądz prawdopodobnie jest szpiegiem i dlatego dostaje takie datki. W dniu, kiedy mieli go aresztować, wziął walizeczkę niedużą, bo musiał mieć swój ornat. Spakował się, wsiadł do pociągu i gdzieś pojechał. Gdy o 23:00 okrążyli plebanię i szukali księdza, już go nie było. Widocznie to również przewidział. Kiedyś ujrzałem go na stacji, akurat pociągi nadjechały. Delikatnie pokazywał mi, żeby się nie odzywać, żeby go nie zdradzić po prostu. Ale za „świętego” to on nie uchodził i z ambony grzmiał. Nie było mocnych! W 1947 roku kobieta w spódniczce mini udała się na mszę, a on do niej z ambony: „Przychodzi do kościoła w takiej kusej

spódniczce, że w czasie podniesienia krępuje się uklęknąć, bo jej wszystko widać!". Ksiądz Klimuszko – ah, co to był za ksiądz! Władze nie utrudniały oficjalnie dostępu do kościoła. Odważniejsi partyjni chodzili bez niczego. Na pewno istniały sankcje w takim sensie, że jak gorliwie uczęszczał, to jakiejś funkcji nie dostał, pracę miał utrudnioną i tak dalej. To było w ten sposób prześladowane, ale oficjalnie bali się wystąpić – absolutnie. Wysoko partyjni swoje dzieci chrzcili w innych miastach, dosłownie, żeby nie zdradzić się tutaj. Skrycie słuchano także Radia Wolna Europa – wiadomości szczere i prawdziwe. Kto słuchał, ten był prześladowany. UB groziło więzieniem. Ja miałem poniemiecki odbiornik, który zdobyłem zaraz, jak tu przyjechaliśmy – piękne, duże radio marki Blaupunkt. Cudownie Wolną Europę odbierało i choć strasznie zagłuszano audycje, to ten odbiornik likwidował szmery. Na przełomie lat 1949 i 1950 powstała świeża jednostka wojskowa. Oficerowie byli mniej więcej w moim wieku, więc ze wszystkimi się znałem. Niektórzy nawet przychodzili do mnie po cichu, żeby posłuchać. Na domiar złego powiem, że dowódca pułku u mnie mieszkał. Telefon miałem, bo siłą rzeczy, jako elektryk pracujący wówczas dla koszar, musiałem mieć kontakt, tak zwany bezpieczeństwa. Dzwonili więc do mnie, czy jest dowódca pułku, a gdy odpowiadałem, że nie ma, to przez okno mi wchodzili, żeby posłuchać audycji – tacy byli wierni komuniści! O Wolnej Europie nie wolno było nawet wspomnieć. UB zaraz się zainteresowało i nawet jeden mężczyzna zaginął z tego powodu i do dzisiaj go nie ma.

Pierwszy sklep otworzył Szwed – tak się nazywał. Prowadził go przy ulicy Warszawskiej. Tam stał budynek, który sobie odremontował. Koło obecnego ronda na ulicy Malborskiej mieścił się sklep kolonialny – wszystko tam było. Dalej, patrząc po skosie, znajdowała się strzelnica sportowa. Jeszcze do dzisiaj jest tam kulochwyt. Chodziłem wówczas po ołów do wędki. W bliskiej okolicy tego samego skrzyżowania, działał potężny tartak z wysokim kominem. Rynek organizowano przy lwach. Dopiero

później przeniesiono go na ulicę Kwidzyńską. Handlowano tam wszystkim. Nie było kiosków, straganów, nic. Chłopi przywozili produkty na wozach i je sprzedawali, przeważnie sprawy żywnościowe. Płaciło się w złotówkach, choć wówczas miały całkiem inną wartość i nominał. Ruszyły usługi rzemieślnicze. Przede wszystkim pan Stępień, który prowadził warsztat przy ulicy Polnej (taki ogólno-mechaniczny), wszystko robił. W miejscu obecnych warsztatów szkolnych, swój warsztat miał pan Kołodziejczak. On i pan Stępień między innymi nam pomagali. Jeszcze był pan Kopowski – kołodziej. Mieliśmy dwóch kołodziejów, bo drugi pracował tu, gdzie jest budynek dawnej księgarni. Pana Kołodziejczaka później upaństwowili i właśnie warsztaty szkolne z tego zrobili. Jednym z szewców był pan Bobowski – na kolonii miał swój warsztat, a jego brat to nawet butami handlował. Pan Bobowski od małego chyba sprzedawał. On nic więcej innego nie robił, tylko zajmował się handlem – miał na to nawet przedwojenną licencję. W późniejszym czasie ktoś otworzył kawiarenkę, tam gdzie mieścił się posterunek na ulicy Grunwaldzkiej, w takich dwóch pokoikach. Choć była możliwość otwarcia własnego biznesu, to strasznie je prześladowano i tępiono podatkami. Właściciele z czasem sami się zrzekli, bo nie wytrzymywali takich obciążeń finansowych, tak mi się wydaje.

Jak przyjechaliśmy, to pamiętam, że na polach jeszcze rosła pszenica. Obsiane było oziminą, bo Niemcy uciekli w styczniu. Pszenica ozima, żyto. Ja sam rowerem młóciłem zboże. Rower do góry kołami odwracałem i w szprychy kłosy wtykałem. Jeden kręcił i ziarno wypadało. Czasem znalazło się zboże w jakiejś zabudowie. Nawet w Julianowie wybrałem się na taki szaber. Podszedłem, spojrzałem, a szczekał piesek – pomyślałem, że ktoś tam mieszka, więc podejdę i coś się dowiem. Ten pies cały czas szczekał i uciekał. Doszedłem do podwórza, patrzę, gołąbki latają. Zajrzałem jeszcze przez okno. Gospodarz miał inkubator do wylęgu ptactwa. Pomyślałem: „O mój Boże! Jakbym tak

gołąbka...! Może by mi sprzedał parkę?". Tu nic wówczas nie było. Kot miał wartość konia, a myszy dosłownie napadały na ludzi. W Obrzynowie szczury wypędziły gospodarza z pola. Gdy kosił, to tak dużo się ich zebrało, że musiał uciekać. Nikt wtedy nie wytruwał, a one lęgły się niesamowicie. Przez krótki okres pojawiło się szabrownictwo – 2 połowa 1945 roku i trochę w 1946. Plądrowano wsie i wywożono sprzęt rolniczy. Widziałem, jak ładowano na wagony wszelkiego rodzaju maszyny. Przyjeżdżali z Centralnej Polski szabrownicy i na zarobek brali je po prostu.

Zapewniono opiekę medyczną. Od roku 1945 ośrodek zdrowia mieścił się na ulicy Zamkowej. Z początkiem funkcję lekarza sprawował doktor Sygnarski. Wspaniały lekarz i wspaniała osobowość, wysoce inteligentny. Dostał, skąd to nie wiem, Forda i nim jeździł do chorych – półtoratonowym, ciężarowym samochodem, bo innego wówczas nie było. Z czasem pierwsze auto osobowe, jakie się pojawiło, należało także do doktora Sygnarskiego – DKW (dekawka) z silniczkiem dwusuwowym, dwucylindrowym. Do skrótu DKW ułożyliśmy rozwinięcie, a mianowicie: „Dykta, klej i woda!" – dlatego, że to było auto drewniane, obciągnięte dermą. Tak go sobie określiliśmy. Z resztą, w latach 60-tych to u nas jeździły drewniane Skody, okryte blachą. Ja nawet taką Skodą prowadziłem naukę jazdy. Drugi samochód miał dyrektor Sanatorium. To był Willys. Dyrektora woził szofer, który w czasie wojny służył w angielskim wojsku. Jeździł z nim po całej Polsce. Ciekawostką jest to, że nie potrafił czytać, więc w trasy zawsze kogoś zabierał i pytał dokąd jechać. Nigdy się nie przyznawał, mówiąc, że jest zajęty kierownicą. Ale mimo wszystko dobrze jeździł. W Sanatorium, w latach 1945 i 1946 mieścił się łabaj, czyli szpital dla wenerycznie chorych Rosjan. Nazywaliśmy ich „chałatniki", ponieważ chodzili w chałatach. Oj, co tu się wyprawiało... Później, w 1948 roku zaczęto adaptować szpital. Za czasów niemieckich funkcjonował jako ośrodek dla umysłowo chorych i był dla nich przystosowany.

W każdym bloku, na każdym piętrze mieściły się dwie separatki z okratowanymi oknami, dla bardziej niebezpiecznych pacjentów. Zaadaptowano go na sanatorium przeciwgruźlicze. Jak na tamte czasy, to zostało tak fantastycznie wyposażone, że nam się nie śniło. Między oddziałem II a III stała długa wiata i tam rozłożono polowe łóżka. Na nich leżały śpiwory z pięknej, australijskiej wełny – bielutka. Tam ci chorzy leżeli, przeważnie ubowcy. Stosowano takie metody leczenia gruźlicy, aby pacjenci przebywali na powietrzu, żeby ich napowietrzyć – w ten sposób leczono. Uruchomiono wszystkie sześć bloków. Tam była kuchnia, stołówka dla personelu, kino, teatr, pralnia, a nawet cukiernia, bo zawsze na drugie śniadanie chorzy otrzymywali jakieś ciastko własnej produkcji. Do tego jeszcze

PANORAMA JEZIORA SOWICA
(arch. prywatne A. Dębińskiego)

tę muszlę koncertową z lasu przenieśli, jak wcześniej mówiłem, dla tych gruźlików. Równolegle trwała odbudowa miasta. Przede wszystkim odgruzowywano je. Na rynku ocalał tylko dom towarowy, a tak, wszystko było dosłownie spalone. Od rynku, wzdłuż ulicy koło urzędu, przez Bolesława Prusa i wzdłuż ulicy Kwidzyńskiej, aż do skrzyżowania z drogą na Kwidzyn, położono tory wąskotorówki. Na końcu znajdował się ogromny dół. Sformowana została ekipa sześciu czy siedmiu dziarskich chłopów, którzy odgruzowywali i pchali ręcznie wózki z gruzem, aż do końca torów. W miejscu, gdzie jest „ławeczka miłości", na rogu ulicy Kwidzyńskiej, podróżni mogli skorzystać z wody, koniom dać się napić, bo kiedyś transport odbywał się przeważnie konno. W dół, zaraz za tym postumentem, nie można było zejść, tak teren przebiegał stromo i dość głęboko. Na dole znajdują się teraz budynki, to tak na równi z tymi zabudowaniami głęboko sięgał wspomniany rów. Tam właśnie cały gruz transportowano, a wszystkie cegły z rozbiórki oddzielano, czyszczono i wywożono na odbudowę Warszawy. Tam gdzieś Prabuty stoją dosłownie.

Byłem sportowcem motorowym i na motorze szalałem. Wspominam swój pierwszy motocykl. Wcześniej przede mną nie miał chyba nikt. Na samym początku składałem motocykle. Szukałem części i jednośladów. Pierwszy był Wanderer 125. Mój status urósł od razu, bo miałem motor, choć starego grata, z silnikiem od Sokoła. To mnie tak zaraziło, że później uprawiałem sport motorowy. Byłem mistrzem okręgu, czterokrotnie. Zdobyłem na zawodach motorowych 17 medali. Zaczęło się to w 1956 roku. Założyłem klub i siłą rzeczy zostałem prezesem. Braliśmy udział w zawodach ogólnopolskich, gdzie Gdańsk czy Olsztyn, nie raz od nas dostały w skórę! Jeździłem w motokrosach i rajdach, wykonywałem skoki przez przeszkody i jazdę terenową. Startowałem w Warszawie i Katowicach – po całej Polsce. Z początku jeździłem na WSK, później na WFM i na Junaku – to dopiero maszyna! Ten Junak był strasznie głośny, miał słaby tłumik, ale

skoro homologację przebył, to wyjęliśmy mu wszystko z tego tłumika. Prowadziłem kursy samochodowo-motocyklowe. Przez grzeczność pochwalę się, że wyszkoliłem ponad trzy tysiące kierowców. Prowadziłem wszelkiego rodzaju kursy w terenie, od Iławy aż do Morąga. LOK je organizował, powiadamiał i się jeździło. Tak zarabialiśmy na sprzęt w klubie, aż zajął się tym LOK wojewódzki (olsztyński), bo byliśmy bogaci, prowadząc kursy – to przecież były zyski. Naukę jazdy i wykłady – wszystko prowadziłem dla klubu, żebyśmy mogli kupić sprzęt. Wreszcie, gdy nabyliśmy Junaka, to zabrano nam resztę pieniędzy, no bo jak to – Olsztyn nie mógł Junaka sobie kupić, a Prabuty go miały?

NAUKA JAZDY, ZDARZENIE POZOROWANE – WYJAZD Z ROWU NA ULICY RYPIŃSKIEJ (arch. prywatne A. Dębińskiego)

INAUGURACJA KLUBU MOTOROWEGO W PRABUTACH
(arch. prywatne A. Dębińskiego)

WIZYTA GOŚCI Z PZ MOT OLSZTYN PODCZAS INAUGURACJI KLUBU MOTOROWEGO W PRABUTACH (arch. prywatne A. Dębińskiego)

PREZENTACJE UMIEJĘTNOŚCI NA STADIONIE PRZY UL. W. JAGIEŁŁY
(arch. prywatne A. Dębińskiego)

Zrobiono wspólne konto, przy wojewódzkim zarządzie. W ten sposób nas wykończyli, ponieważ to co zarobiliśmy my, oni oddawali tym, którzy nie zarobili nic.

Kub sportowy w Prabutach prowadził pan Gintowt. On był żołnierzem zdemobilizowanym. Pojechał do Warszawy i założył klub razem z Kowalskim, moim szwagrem. Pierwszy nazywał się „LKS Pług". Nie mieliśmy wtedy boiska w Prabutach, więc chodziło się do Sanatorium. Z początku wszystkie mecze tam się odbywały. Gintowt jeździł do Warszawy i przywoził dla drużyny wszystko – stroje, cały ubiór, piłki – on to wszystko załatwiał. Z czasem dyrektor Sanatorium – pan Frenkiel – zakazał rozgrywek. Leczono gruźlicę, a tu zbiegowisko na meczu. W sumie miał rację, bo ludzi dużo przychodziło, a teren został skażony chorymi. On chyba w porozumieniu z władzami udaremnił kolejne mecze. Na szczęście na ulicy W. Jagiełły znajdowało się wolne pole. Chojna był właścicielem, ale go nie uprawiał, więc wzięli je pod stadion. Natomiast płot – te wszystkie słupki żelazne, które są na boisku – ofiarował dowódca pułku, gdy jeszcze służyła artyleria. Jak idzie droga koszarowa stało ogrodzenie, płot z żelaznych słupów i on postąpił szarmancko, że tak się wyrażę i te słupy nam oddał. Nimi właśnie jest ogrodzony stadion.

Uczestniczyłem w różnych obchodach. 1 Maja świętowano hucznie. Były zawsze defilady, pochody. Od Urzędu – tam się formowało cały pochód i szliśmy na stadion. Na miejscu odbywały się prezentacje, przemowy, przywitania. 3 maja natomiast nie mogliśmy celebrować, ponieważ uważano je za święto kapitalistyczne – kapitalistyczna konstytucja, więc władza jej nie uznawała.

Pewnego razu zdarzyła się afera. Brał w niej udział mieszkaniec Obrzynowa. Milicjanci urzędowali wówczas naprzeciw głównego wejścia do kościoła. Ten budynek, to był posterunek. Obok kościoła, swoje usługi prowadził mechanik, taka złota

rączka – wszystko robił. Przyjezdny przyprowadził mu motocykl do naprawy. Mechanik jednak nie miał jakiejś części i nie wykonał naprawy na czas. Jakiś zatarg mieli, ale tylko taki, że ten zlecił naprawę, a tamten nie wykonywał na jego życzenie. Zdenerwowany klient wypił sobie i przyszedł kolejny raz w sprawie swojego motocykla. Mechanik go odprawił mówiąc, że nie zlikwidował jeszcze usterki. Mężczyzna z Obrzynowa udał się na posterunek. Komendant darzył go zaufaniem, więc pistolet trzymał na biurku. Meżczyzna powiedział, żeby ten wpłynął na mechanika, bo mu motoru nie naprawia. Milicjant zapytał, co on może mu kazać i z jakiej racji – na co ten złapał za pistolet i zastrzelił go przy biurku. Uciekł z bronią w ręku, a że miał konie, więc pijany wsiadł na wóz i je pognał batem. One zawsze same wracały na miejsce, więc powiozły go w stronę domu. Po drodze zaczął strzelać. Jedyne szczęście, że koni nie trafił, ale w końcu sam sobie strzelił w głowę. W kościele było przyjęte, że samobójców nie chowają na cmentarzu, ponieważ to miejsce poświęcone. Pogrzebano go więc po lewej stronie, jak się wchodzi na duży cmentarz. Tam jest jeszcze ta mogiła i tak to się skończyło. Należy nadmienić, iż porządku przede wszystkim pilnowała milicja. Pierwszy posterunek mieścił się przy ulicy Grunwaldzkiej, koło starej apteki. Z początku funkcję pełniło tylko dwóch milicjantów. Później został wzmocniony i przeniesiony na ulicę W. Jagiełły 1. Wreszcie, po czasie przeniesiono go ponownie, tym razem do budynku naprzeciw kościoła. Milicjanci za dużo nie mogli zdziałać, bo było ich kilku. W miejscowości panował jednak względny spokój, ponieważ nie przejawiał się jakiś trend do awantur publicznych. Raczej czuliśmy się bezpiecznie.

Miałem okazję być rzeczoznawcą od wypadków drogowych. Zdarzyła się taka sytuacja, że mężczyzna z Iławy kupił samochód i coś w nim wymagało naprawy. Oddał go więc do TOSu. Jak naprawiono auto, to podjechał z mechanikiem na wódkę, a że im było mało, więc postanowili przyjechać do Prabut.

OGLĘDZINY MIEJSCA WYPADKU PRZY JEZIORZE SOWICA
(arch. prywatne A. Dębińskiego)

Po drodze, na jednym z zakrętów przy jeziorze Sowica, ulegli wypadkowi. Ten, któremu naprawiano samochód, był fryzjerem. On kierował, a mechanik siedział z boku. Kierowca przeżył, ale pasażer zginął w kabinie. Do wypadku doszło w nocy, około godziny 23:00. Wezwano mnie do tego zdarzenia, z resztą często

w nocy wzywano, żeby opisać wypadki. Należało ocenić, czyja była wina i kto prowadził samochód, skoro nie żyje jedna osoba i do tego mechanik. Obejrzałem auto szczegółowo. Oceniłem, że prowadził fryzjer – ten właściciel, a mechanik siedział z boku. Rodzina kierowcy szybko zjawiła się na miejscu i ojciec zaczął szukać rzekomych świadków. Przekupili mieszkankę Prabut, z ulicy Rypińskiej. Ona miała zaćmę i nie zdawała sobie zbytnio sprawy. Zapłacili jej pieniądze, więc zeznała, iż ona akurat tamtędy szła i widziała, że prowadził ten, który nie żyje – mechanik. Obaliłem tą teorię w sądzie, gdzie występowałem jako biegły. Argument miałem nie do zbicia. Mężczyzna, który prowadził, miał na nogach modne mokasyny, bo kiedyś były takie dobre „dla kierowcy" – lekkie. Jak ten fryzjer uderzył, to wyleciał, bo w drzewo autem trafił czołowo, a mechanik siedział z boku i zginął. Kobietę postawiono jako świadka. Ja, przez przezorność, między pedałem gazu a maską, znalazłem dowód – zakleszczony mokasyn. Stwierdziłem, że winny był ten, który żyje – czyli fryzjer. Wreszcie poprosiłem sąd, aby spytał świadka, czy dobrze widzi. Ona miała białe oczy, ledwo co widziała. Jak z kataraktą mogła dojrzeć coś w nocy? Na rozprawę wziąłem ze sobą dowód. W sądzie powiedziałem, że mam but, który należał do prowadzącego. Jeszcze może bym nie wojował tak na jego skórę, gdyby on chociaż jakoś poczuł się do odpowiedzialności i chciał pomóc. Czworo dzieci zostawił ten mechanik. Podałem but jako dowód rzeczowy i w czasie rozprawy sędzia położył go na stole. Poprosił do siebie tego fryzjera i zapytał, czy to jego. Wyrok dostał dlatego, że but wskazał, kto prowadził wówczas samochód.

W moim przypadku nie odczułem problemu z zatrudnieniem. Jako elektryk zawsze miałem zajęcie. Oficjalnie bezrobocie w Prabutach nie panowało. Naciskano wówczas na młodzież. Utworzono SP – Służbę Polsce, taką organizację młodzieżową. Junakami nas nazywano. Chodziliśmy w mundurkach. Byłem przymusowo w brygadzie w 1948 roku. Wysłano mnie na Śląsk

do miejscowości Kamyce, pomiędzy Będzinem a Bytomiem. Tam w okolicy znajdowała się kopalnia „Andaluzja". Spędzono nas ponad tysiąc junaków, młodych ludzi, aby ukrócić zalewanie tej kopalni. To były takie trzymiesięczne turnusy. W 1948 roku pracowałem w SPB – Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym, jako elektryk. Ono przebudowywało Sanatorium. Nas elektryków spędzono do Brusin. Trwała akurat kolektywizacja i jedoczesne rozlokowywanie tych wszystkich ludzi z „Akcji W" – „Akcji Wisła". To byli Ukraińcy, którzy zostali wysiedleni. W Bieszczadach nie mogli sobie poradzić z bandami. Oni niby nazywali siebie partyzantami, ale to były zwykle ukraińskie bandy. Napadali na polskie wsie i tym podobne. Władza wzięła wzór z Rosji – tam postępowano tak, że jak nie mogli sobie poradzić, to urządzali na wsi obławy, jak to się działo w borach Wołyńskich. Nikt się tam z tych band nie zgłaszał do miasta, natomiast napadali na Rosjan i Niemców. Nie można było ich wykurzyć z tych kniei, z tej puszczy. Co zrobili obławę, to mężczyźni znikali – wszyscy uciekali do lasu. Tylko starcy, kobiety i dzieci pozostawały. Więc oni rodziny ładowali na wozy konne i wywozili na Sybir. Wszyscy ci bandyci musieli w końcu wyjść z lasu, bo nie miał kto ich karmić. Nasi więc to naśladowali, gdy u nas bandy grasowały w Bieszczadach. Okrążali wieś i dalej postępowali według wzorca. Tutaj musiano zaludnić okolicę, bo było pusto – „Ziemie Odzyskane". Jak Niemcy stąd odeszli, to wszystko zostało wyludnione. Polacy zdobyli się więc na tę „Akcję W". Ukrócili bandyctwo tam, a zasiedlili pobliskie tereny tu. Przesiedleni nie mogli oddalić się powyżej 30 kilometrów. Zatem zwołano nas, elektryków do Brusin, całkowicie pustej, niezasiedlonej – duża wieś za Suszem. Tam właśnie zasiedlili Ukraińcami, a że nie było prądu, więc zorganizowali fachowców, żeby miejscowość zelektryfikować migiem. Chciano wysiedleńców tam osadzić i trzymać pod kontrolą. Oczywiście, jak to zobaczyłem, zamarłem w jednej chwili. Byłem już w rękach bandytów i przeżyłem to bardzo na Kresach, więc jak podsłuchałem, a oni odważnie sobie po ukraińsku rozmawiali,

to ciarki mnie przechodziły. Natychmiast zrezygnowałem. Przyjechałem do Prabut i na prędce poszedłem do Sanatorium. Znajoma lekarka – Pani Bułakowa tam przyjmowała. Udałem się do niej, żeby mi napisała takie zaświadczenie, że jestem chory na płuca i nie mogę w terenie pracować. W ten sposób wyłgałem się z miejsca, przywołującego najgorsze wspomnienia.

Henryka
Sikorska

Urodziłam się 25 listopada 1928 r. w Szczepankach, powiat brodnicki. Ojciec nazywał się Michał Orłowski i pracował na kolei jako przetokowy. Matka Weronika, z domu Klein, pochodziła z okolic Jabłonowa (obecnie Jabłonowo Pomorskie) i prowadziła dom. Dorabiała pomagając w gospodarstwie domowym pobliskiej rodziny o nazwisku Szykorski, która była właścicielem sklepu obuwniczego w Jabłonowie Pomorskim. W 1934 r. urodził się mój pierwszy brat Bogdan i wtedy mój ojciec otrzymał służbowe mieszkanie w budynku przy ul. Szkolnej 7, tuż przy stacji kolejowej w Jabłonowie Pomorskim. Krótko przed wybuchem wojny urodził się mój drugi brat – Maksymilian. W pobliżu naszego mieszkania znajdował się kościół ewangelicki i polska szkoła, do której uczęszczałam do 1939 r. Był to dwupiętrowy budynek, wzniesiony z czerwonej cegły, który przetrwał, aż do dnia dzisiejszego. Kościół katolicki znajdował się na tzw. „Zamku", w odległości ok. 2 km od mojego miejsca zamieszkania. Był tam również żeński klasztor. Zakonnice zajmowały się utrzymaniem kościoła i znajdującego się tam również cmentarza.

Ostatnie dni przed wybuchem wojny były pełne nadziei. Słuchając u sąsiadów najświeższych wiadomości z radia, Polacy w audycji mówili, że „Nie damy ani guzika!". W piątek, 1 września 1939 r. moja matka z siostrą poszły do kościoła, ojciec do pracy, a ja z babcią zostałam w domu. Pierwsze strzały padły na kościół ewangelicki, a następnie zaczęło się bombardowanie dworca w Jabłonowie. Był to strategiczny punkt, gdyż niedaleko, bo w Iławie, zaczynała się granica Niemiec. W domu mieliśmy zawsze uszykowany koszyk z chlebem i wodą w razie nagłego niebezpieczeństwa. Słysząc głosy pocisków babcia stwierdziła, że czas się ubierać i udać do schronu. Schron był w dużym gospodarstwie, którego właścicielem był Niemiec. Schował nas do piwnicy, do której zabraliśmy ze sobą koszyk z chlebem i bielizną. Wkrótce dołączyli do nas mama z ciocią oraz tata. Gospodarz dał nam wóz drabiniasty i konie oraz przekonał nas, żebyśmy jechali dalej w głąb Polski. Razem z nami zabrało się jeszcze kilka osób. Dojechaliśmy do stacji

BOGDAN ORŁOWSKI, WERONIKA ORŁOWSKA, HENRYKA SIKORSKA, ROK 1939 (arch. prywatne H. Sikorskiej)

Książki, ale tam również zaczął się ostrzał i pojawiło się niemieckie wojsko. Uciekliśmy dalej. W dużym gospodarstwie dostaliśmy schronienie w stodole. Przenocowaliśmy i otrzymaliśmy informację, żeby ruszać dalej w drogę. Trafiliśmy do Wąbrzeźna, gdzie zatrzymało nas wojsko niemieckie. Jeden z żołnierzy, widząc na naszym wozie mężczyznę w mundurze kolejowym z czapką, na której był orzełek, energicznie podszedł do niego i ją strącił. Wojsko także nie pozwoliło nam dalej jechać i nakazało powrócić do swoich domostw. Wróciliśmy do Jabłonowa, gdzie polskich gospodarzy wysiedlono, a na ich miejscu pojawili się niemieccy. Pewnego dnia, zrywając gruszki na drzewie zauważyłam, jak żołnierze niemieccy na furgonetkach wywozili Polaków za miasto. Furgonetki wracały już puste.

W czasie okupacji niemieckiej uczęszczałam do szkoły w tym samym budynku, z tym, że szkoła nazywała się: achtstufige Oberschule – czyli szkoła ośmioklasowa. Bez względu na wiek, wszystkie dzieci były w jednej klasie i uczyły się tego samego po niemiecku. W szkole miałam dwie najlepsze koleżanki, były to siostry bliźniaczki – Halina i Marysia Ciułkowskie. Z czasów szkolnych najbardziej zapadło mi w pamięci, gdy niemiecki nauczyciel zadał nam zadanie, żeby pisać słowa po niemiecku i zabrał mój zeszyt do sprawdzenia. Stwierdził, że źle napisałam. Mówił: „Du hast falsch geschrieben!" – na co ja, przekonana o swojej racji, wykrzyczałam: „Nein! Ich habe es gut geschrieben!". Srogi nauczyciel wyciągnął trzcinę i uderzył mnie w dłoń. Po pewnym czasie przeczytał jeszcze raz mój zeszyt i stwierdził, że jednak dobrze napisałam. Wziął trzcinę, dał mi ją do ręki, po czym wyciągnął swoją rękę i kazał, żebym mu oddała, ale ja tego nie zrobiłam.

Na początku 1940 r. ojciec został wywieziony na roboty do Niemiec, do miejscowości Warnemünde, gdzie pracował jako kolejarz. Gdy mój najmłodszy brat miał dziewięć miesięcy, moją mamę Weronikę wywieźli do obozu koncentracyjnego Stutthof. Pod jej nieobecność zajmowałam się moimi braćmi wraz z babcią Katarzyną. Siostra ojca mieszkała w Berlinie i to dzięki jej staraniu mamę wypuścili z obozu. Po przejściach w Stutthofie mama żyła w ciągłym strachu i wciąż powtarzała: „Cii, Niemiec czuwa". Dnia 8 marca 1942 r. okupanci wywieźli mnie i sześć dziewcząt z Jabłonowa, m.in.: Halinę i Marysię Ciułkowskie oraz Jadwigę Klepa, a także trzy z Brodnicy oraz jedną z Nowego Miasta – Krystynę Mroczyńską, do miejscowości Landeshut (obecnie Kamienna Góra), na roboty do przędzalni. Na miejsce dojechałyśmy pociągiem. Przez całą drogę pilnował nas niemiecki żołnierz. Moja praca polegała na przędzeniu nici z lnu. Warunki były ciężkie, gdyż pracowałam przy krosnach, które chłodzone były zimną, bieżącą wodą. Chwila nieuwagi kończyła się wyrwaniem włosów lub innym okaleczeniem ciała, gdyż krosna nie miały osłon. Mieszkałyśmy z koleżankami w barakach. Gdy tylko którejś z nas przypadła służba w kuchni,

po kryjomu wykradałyśmy ugotowane ziemniaki i chowałyśmy je pod naszymi poduszkami. Pewnego dnia, w marcu 1945 r. z trzema koleżankami spakowałyśmy swoje rzeczy i zamiast udać się do fabryki, wsiadłyśmy do pociągu, który zbierał uciekinierów z Prus Wschodnich do Berlina. Rozdzieliłyśmy się i dwie dziewczyny pojechały do Berlina, a ja z Haliną Ciułkowką do Warnemünde, do mojego ojca. Udało nam się odnaleźć tatę i wspólnie wrócić do domu, do Jabłonowa.

W czerwcu 1945 r. razem z koleżanką Jadwigą Klepa udałam się w odwiedziny do jej rodziców, którzy osiedlili się w Słonecznie (niem. Sonnenberg, od ok. 1947 r. Górowychy). Tam poznałam swojego przyszłego męża – Tadeusza Sikorskiego. Państwo Klepa oraz mój mąż Tadeusz, wraz z bratem Idzim, mamą Stanisławą i dwiema siostrami: Walerią Czerwińską i Józefą Szydłowską, byli pierwszymi osiedleńcami wsi Słoneczno. Dnia 28 listopada 1945 roku wzięliśmy ślub w Jabłonowie, po czym wróciliśmy do Słoneczna, gdzie Tadeuszowi już wcześniej gmina, mająca siedzibę w Gdakowie, przyznała dom i trzy hektary ziemi. Z Prabut do wsi prowadziła asfaltowa droga obsadzona młody lipami, które nie rzucały jeszcze cienia. Przez samą wieś biegła droga wyłożona brukiem. W Słonecznie znajdowały się opuszczone przez Niemców budynki, całkowicie rozgrabione. Nie było też światła, tylko lampy naftowe, a wodę czerpaliśmy z jeziora. Poza ziemią Tadeusz dzierżawił, wspólnie ze swoim szwagrem Kazimierzem Czerwińskim, część jeziora Dzierzgoń, co było głównym źródłem utrzymania. Złowione ryby mąż ładował na wóz konny i objeżdżał okoliczne miejscowości, w celu wymiany towaru na niezbędne produkty.

Gmina ustalała dla gospodarstw podatek w formie przymusowych dostaw określonych produktów rolnych. Jeśli w gospodarstwie nie wytwarzano takich dóbr, to trzeba było je nabyć i zwrócić w odpowiedniej ilości gminie. Pierwsze żniwa były bardzo ciężkie, gdyż jęczmień zjadły myszy. Podatek był bardzo duży, także mąż z czasem zrezygnował z dzierżawy jeziora. W pierwszych latach

ŚLUB HENRYKI I TADEUSZA SIKORSKICH, 28 LISTOPADA 1945 R.
(arch. prywatne H. Sikorskiej)

po wojnie mieszkańcy powołali we wsi straż sąsiedzką. Każdej nocy ktoś inny patrolował obejścia wiejskie. Miało to za zadanie chronić nas przed niespodziewanym ogniem i grabieżą. Także w czasie żniw, mieszkańcy organizowali wzajemną pomoc. Zbierali się do pracy u jednego z gospodarzy i wykonywali zlecone roboty, zarabiając sobie tym tzw. „dniówki". Tak więc, gdy następny z gospodarzy miał jakieś roboty, zwoływał sąsiadów, u których wcześniej pracował, na odrobienie zapracowanych dniówek.

Główny handel odbywał się na targowisku w Prabutach, gdzie dokonywałam niezbędnych zakupów. W dni świąteczne zaprzęgaliśmy konie do bryczki i odświętnie ubrani jechaliśmy do naszego kościoła parafialnego w Prabutach. Z czasem, z inicjatywy

SPOTKANIE KOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH, NA ZDJĘCIU DRUGA OD PRAWEJ TO HENRYKA SIKORSKA (arch. prywatne H. Sikorskiej)

mieszkańców, we wsi wybudowano przydrożną kapliczkę. Powstało również koło gospodyń wiejskich, na którego spotkaniach organizowano kursy: szycia, gotowania, jazdy na motorze. We wsi utworzono szkołę podstawową. Wybudowano w czynie społecznym świetlicę wiejską, którą z czasem wykorzystano jako sale szkolne. Powstała ośmioklasowa szkoła podstawowa z klasami łączonymi. Religia odbywała się w moim domu przez 20 lat.

W Górowychach mieszkam od listopada 1945 roku. Urodziłam tutaj i wychowałam pięcioro dzieci: Henryka, Krystynę, Irenę, Czesława i Halinę. Wspólnie z mężem Tadeuszem przeżyliśmy tu 65 lat.

PO LEWEJ: POŚWIĘCENIE NOWO WYBUDOWANEJ KAPLICZKI W GÓROWYCHACH (arch. prywatne H. Sikorskiej)

Roman
Stępka

Przyszedłem na świat 15 lipca 1937 r. Miejsce urodzenia – Kuczbork – województwo warszawskie, powiat mławski (obecnie żuromiński). Mama nie pracowała i została w domu, a tato był z zawodu malarzem. Przed wojną uczył się w Warszawie, a później już pracował – ludzie zatrudniali go, żeby wymalował mieszkanie. Niemcy zabrali go do niewoli w 1940 roku i cały czas był w łagrach. Więzionych tam na roboty tylko wywozili i przywozili, siedzieli generalnie za drutami. Ojciec został wywieziony do Królewca – tak kiedyś nazywała się ta miejscowość. Teraz jest to Kaliningrad, tutaj zaraz nad morzem.

W pamięci utknęły mi pewne zdarzenia. Mieszkaliśmy podczas wojny na przeciwko posterunku policji niemieckiej. Dalej we wiosce była gmina, a także areszt, więc gdy jakiegoś Polaka prowadzili, to przechodzili koło naszego ogrodu. Jeden wredny Niemiec zawsze paradował ze swoim psem (takim wilczurem). Prowadził go i często do niego mówił: „Kss! Kss!" – wtenczas pies skakał na szczutą osobę. Wtedy dopiero go niby odciągał. Mieli też kucharza. On był taki fajny grubasek. Pamiętam, jak wychodziłem i on w fartuchu białym, na mostku się opierał, wołając: „Kleine, komm hier! Komm hier!". Uciekałem, bo się bałem, a on się śmiał. Następnym razem, jak mnie zobaczył, to znowu: „Kleine komm! Komm!" – Mały, chodź! W kieszeń rękę wsadził i wyciągnął cukierka: „Kleine komm, bitte!". Cukierek fajny, bo człowiek znał słodycze tylko z widzenia. Pomyślałem: „O jeny, cukierek!". Ale nie – cofnąłem się do płotu i stoję. „Komm! Komm!" – no to ja podchodziłem do drogi. Mówił chodź i proszę, więc dałem krok do przodu, a on się uśmiechał miło. Już podszedłem do mostka, ale jeszcze nie w pełni. Wyjął kolejnego cukierka i już razem dwa słodycze trzymał. „Komm, bitte!" – wyciągnął rękę, aż się nachylił, ale jednocześnie z miejsca się nie ruszył. Więc ja tylko trach, za cukierki i w nogi! Jak on się śmiał, tak chichotał, że aż brzucho mu chodziło! Potem to już tylko: „Komm hier! Bitte!" – to ja wtedy szedłem od razu. Pamiętam, jak już Niemcy uciekali w 1945 roku, to jeszcze się u nas odbywały

tzw. „podwody". Gospodarze użyczali konie, wóz i odwozili Niemców do Mławy. Kucharz już się pakował, prawie jako ostatni. W mundur niemiecki się ubrał. A ja stałem przy płocie i słuchałem: „Hitler schweine! Hitler kaput!". Kucharz przetarł oczy, wsiadł na wóz i pojechali… Potem Rosjanie byli z miesiąc czasu. Wiem, że do mamy przychodzili. Kiedyś worek mąki przynieśli, wiadro smalcu, żeby im bliny[326] zrobić. Mama nie wiedziała, co to jest. Pokazali jej, żeby tę mąkę rozrobić i takich placków narobić, w dużej misce. Piekła je ze dwie godziny. Najedli się, a mąka została. Kiedyś mama przenocowała też oficera rosyjskiego. Mocno spał, bo był zmordowany. Dwóch, czy trzech Rosjan do nas zawitało wieczorem. Już były drzwi zamknięte, a ci się dobijali: „Otwieraj! Otwieraj!". Mama odrzekła: „Nie, już ciemno, już dzieci śpią!" – „Otwieraj! Otwieraj, bo bede strelał!" – usłyszała. Przestraszyła się – „oficer śpi, co tu zrobić?". Otworzyła drzwi, gdzie on spał: „Proszę pana, proszę pana!" – podeszła do niego i gdy tylko go ruszyła, on już pistolet miał w ręku. Broń trzymał pod poduszką. Powiedziała, że do drzwi się dobijają. Tak jak spał w kalesonach, nawet spodni nie nałożył, tylko pistolet wziął w rękę i prowadzić kazał. Drzwi były zamknięte na skobel. „Otwieraj, bo bede strelał!". Oficer stanął przy drzwiach i powiedział mamie, żeby je otworzyła. Rosjanin otrzymał cios kolbą pistoletu, gdy tylko wszedł do środka. Od razu wypadł na zewnątrz i od tamtej pory mieliśmy spokój. Potem nie było problemu, gdyż wiedzieli, że śpi u nas oficer. Słyszeliśmy tylko: „Chaziajka! Można? Chaziajka! Można?". Przynosili składniki, żeby im zrobić coś do jedzenia. W tym był nasz interes, bo mieliśmy z tego posiłek.

Ojciec powrócił z niewoli 13 maja i przyszedł z Mławy pieszo. Z Królewca też wracał o własnych nogach, tylko ileś tam czasu to trwało. Królewiec miał być polskim miastem, nad samym morzem, nad Bałtykiem, jednak teraz Rosjanie w nim urzędują. Tato cały czas przebywał tam w obozie i pracował. Pod koniec wojny

326 Drożdżowe naleśniki, tradycyjne danie kuchni rosyjskiej.

Królewiec nalatywali Anglicy. Jak zaczęli zrzucać bomby, to tylko jeden huk panował. Ojciec wtedy na szpitalu, jako malarz, duży czerwony krzyż malował, żeby nie zbombardowali budynku. Oni przeważnie port atakowali, bo stanowił okazały obiekt wojenny – tam statków było co nie miara. Kiedyś jak naliczył, to nadleciało chyba ze trzydzieści tych samolotów. Takimi falami nadciągali – jedna zrzucała co swoje, odlatywała i następna pojawiała się po niej. Niemcy, którzy pilnowali – uciekli, a ojciec został sam: „A cóż ja tu będę siedział!" – tak sobie pomyślał. Na poboczach znalazł domek, niezniszczony, więc go sobie zajął. Nazbierał tam różnych rzeczy, jakieś ubrania w walizkach zakopał w ogrodzie, naczynia i inne sprzęty. Gdy wróci, to się odkopie i będzie – zaplanował. Niestety, Rosjanie weszli i zabrali całe miasto, bo było duże. Wobec tego, ojciec wziął rower, załadował dwie duże walizki i tak go prowadził. Nabrał tam dla nas ciuchów i różnych rzeczy. Mówię tak, jak opowiadał. Ujechał tak z 20 kilometrów, napotkał Rosjan, którzy zatrzymali go i zabrali walizki. Tylko tego roweru mu nie wzięli, więc jeszcze mógł jechać. Potem więcej Polaków się nazbierało, wracających do swoich rodzin i w ten czas znowuż Rosjanie zatrzymali grupkę wędrujących. Zabrali im resztę tego, co mieli i kazali iść. Kawałek dalej następni dokonali zatrzymania i tak jakby brali do niewoli. Jeszcze Polacy ubrania mieli z literką „P", ale to taka ciemnota była, że nie odczytała symboliki. Nazbierali ci Rosjanie ludzi w grupę i tak w stronę wschodu ich pędzili. Nadjechał rosyjski gazik, a w nim oficerowie. Jakoś się dogadali i pouczyli tych żołnierzy, każąc puścić zniewolonych: „To Polacy z niewoli wracają, a wy ich bierzecie". Zatem wszyscy się rozeszli i każdy pokierował się w swoją stronę.

Ojciec przybył do Kuczborka 13 maja, a 20 już z kolegami ruszył do Prabut. Pięciu ich przyjechało na te ziemie, żeby je zagospodarować, bo wtedy to były „Ziemie Odzyskane". Najpierw pojechali do Mikołajek Pomorskich. Tam prawie sami Niemcy żyli, więc nie mogli się dogadać. Mieli ich już dosyć. Akurat nadjechał

jakiś pociąg, więc wsiedli i do Prabut dojechali. Tu się rozeszli, każdy w swoją stronę. Jedni zawędrowali na Kolonię, nazwisko mieli Strzelec – trzej bracia. Razem poszli pod Sanatorium, a ojciec na ulicę Kwidzyńską, bo krowę mieliśmy, więc szukał takiego miejsca, jakie zostało na wsi. Niby ten dom duży, budynki gospodarcze obok – przetrwały tak, jak stoją obecnie. Jeszcze są mury i był strych duży na siano – bo jak krowa, to i siano. Tak więc mu się spodobało. Ojciec wszedł, zobaczył i zajął. Dopiero później gospodarowanie budynkami objął urząd. Ojciec nikogo nie pytał – była propaganda, żeby przyjeżdżać na „Ziemie Odzyskane" i brać. Nikt nikomu nie bronił zamieszkiwać, bo już Niemcy opuścili te tereny. Kto pierwszy, ten zajmował.

W Prabutach znalazłem się 12 lipca 1945 r. z całą rodziną. Jak przyjechaliśmy, to nas było pięcioro dzieci. Mama już wcześniej przybyła na miejsce. Została w mieszkaniu na ulicy Kwidzyńskiej, podczas gdy ojciec wyjechał po nas. W Mławie zamówił wagon kryty. Mieliśmy krowę i różne ptactwo. Jechaliśmy w pięcioro dzieci, ojciec i mamy siostra. Moja siostra – 1931 rocznik, brat – 1933 rocznik, kolejna siostra – 1935 rocznik, ja – 1937 rocznik oraz najmłodsza siostra – 1940 rocznik (w lutym się urodziła, a zaraz wiosną ojca zabrano). Po jednej stronie była przywiązana krowa, chyba jakieś kaczki w klatkach i kury. Po drugiej stronie mieliśmy rzeczy, pierzynki – tam siedzieliśmy. Jak ta jazda się odbywała, to już nie utkwiło mi w pamięci. Przyjechaliśmy koleją na bocznicę, gdzie kiedyś buraki składowano. Zajechaliśmy, odczepiono ileś tych wagonów, parowóz odstawiono na bocznicę, żeby się rozładować. Tato zorganizował od jednego pana konia i wóz. Załatwił z nim, że nasze drobne rzeczy na furmankę zapakuje i nam przewiezie. Szliśmy pieszo. Ojciec prowadził krowę, a ptactwo w skrzynkach było na wozie. Ciocia nas prowadziła, bo mama czekała już w domu. Pamiętam, jak wjechaliśmy do miasta, to tutaj tyle tych domów stało. Człowiek nigdzie wcześniej nie jeździł, tylko przebywał na wiosce, a tu takie domy duże. Na samej stacji były magazyny zbożowe i pierwszy raz takie widziałem. Tak, jak „Hydroster" jest

obecnie, wówczas mieściła się cukrowania. Polacy pilnowali, bo tam rozróba trwała. Rosjanie chcieli wszystko wywieźć – maszyny, a Polacy na to nie pozwalali. Prawie doszło do strzelaniny. Od dworca prowadził nas drewniany płot, aż do cmentarza. Tu, gdzie jest targowisko i kort, stały dwa domy, tylko że spalone. Jeden łady – willa, a drugi trochę inny. Przy skrzyżowaniu ulic W. Jagiełły i Kisielickiej znajdował się CPN. Drugi stał blisko dawnej księgarni. Szliśmy tak prosto na ulicę Kwidzyńską. Prabuty były prawie puste.

Jak weszliśmy do budynku, to ujrzeliśmy piękne wnętrze. W tym domu mieszkał malarz, taki artysta. Jego praca, jeszcze jedna jedyna, przetrwała do dziś. Wcześniej było ich dużo więcej. Jak przyszliśmy na miejsce, panował porządek, nic nie hodowano. Wszystkie ściany były obsadzone winogronem. Później to się poniszczyło, bo człowiek nie dbał – raz, że się nie znał i nie wiedział, co z tym robić, tyle tylko, że się owoce zrywało. Na środku podwórka był klomb z kwiatami. Rosły porzeczki czerwone, agrest, trzy drzewa owocowe. Myśleliśmy, że jesteśmy w niebie. Ulica była brukowana, a w mieście nie dostrzegłem polnych dróg. Jeżeli chodzi o budynek, to w nim nic nie robiliśmy. Jak przyjechaliśmy, to nawet było pomalowane. Układ pomieszczeń jest taki sam po dzień dzisiejszy, tylko przybudówka jest dostawiona. Razem są trzy pokoje, przechodnie z drzwi do drzwi. Z boku jest ubikacja. Przed przyjazdem mieszkaliśmy w domku, który rodzice wynajęli. Był malutki, tylko pokój i kuchnia, a nas tyle osób mieszkało razem. Przed naszym przybyciem ojciec naściągał mebli. Jakiś tam wózek miał i przywoził różne zdobycze, w większości poniemieckie. Do dziś zachował się na przykład stół i też jest jeszcze poniemiecki. Meble zabierało się z opuszczonych domów. Wszyscy to robili i nikt nikomu nie przeszkadzał. Z początku żyliśmy sami. Góry budynku niezamieszkiwano. Było tam pełno różnych książek niemieckich. Dopiero później zamieszkał Pan Sujak, warszawiak, jednak potem wyjechał. Żyliśmy tu dobrze, prawie jak rodzina. Wszyscy pomagali, jeden drugiemu. Także nam się bardzo podobało, naprawdę. Ponieważ krowę mieliśmy, to obornik się wy-

woziło i trochę poniszczyło się to wszystko. Już nie było tak pięknie, choć ogród uprawialiśmy cały czas. Porządek został jako taki. Zaczęło przybywać nam sąsiadów. Był taki prokurator lub sędzia, teraz już nie pamiętam. Mieszkał tu, a do Iławy dojeżdżał do sądu, gdzieś w latach 50. Gdy kończyłem szkołę podstawową, wówczas wyjechał z żoną do Iławy, dostał tam mieszkanie. Z nimi przebywali rodzice tej żony. To chyba była jakaś rodzina ukraińska. Ci dziadkowie, z początku mieszkali na Raniewie, tam mieli ziemię i ogród. Gdy wyjeżdżali, to je nam przekazali. Mieliśmy pastwisko przy samym Raniewie, po prawej stronie. Tam pędziliśmy krowy, i dalej szły, gdzie chciały. Potem gmina zabrała ten teren. W okolicy wszyscy mieli jakiś inwentarz. Nieraz w wakacje ze trzydziestu nas było, jak i tych krów, bo każdy szedł z jedną. Potem mieliśmy już dwie krowy. Jako młodszego, zawsze mnie wypychali do ich pilnowania, ale to była akurat zabawa. My nie nawracaliśmy bydła, miało swobodę. Szło pod las, potem pod Kleczewo i do Raniewa nad stawek. Tam krowy napoiliśmy i potem rozchodziły się. Zaraz po wojnie, ośrodek zdrowia też miał krowy – 5. Był Pan, który je pasł. Potem, jak już do szkoły szliśmy, to on opiekował się całym inwentarzem. Zawsze dostawał coś w ramach zapłaty. Jak przyjechałem, to bardzo mało zostało obsianych pól. Wszystko już pozbierano i nie było rolników, którzy by zasiali zboża. Dlatego wspomniane krowy łatwo było wypasać. Z czasem zaczęto gospodarzyć i siać: żyto, pszenicę, jęczmień, owies – co kto potrzebował.

Zaczęliśmy poznawać miasto – chodziliśmy po Prabutach. Nie było kiedyś ulicy Malborskiej, znajdowały się tam ogrody. W miejscu warsztatów szkolnych mieszkał pan Kołodziejczak, z jego synem się skumplowałem. On miał cały warsztat, bo był ślusarzem. Dalej znajdował się jeszcze jeden rzemieślnik i też miał syna – więc my tak w trójkę po okolicy chodziliśmy. Domy takie opuszczone, niezniszczone, jeszcze meble w nich stały. Na szafce leżała skrzynka – to było radio, a że człowiek z wioski, no to radia nie znaliśmy. Jeden z kolegów skrzynkę odsunął i spojrzał co tam

jest. Płytę wyrwał, a tam lampy, bo to było kiedyś wszystko lampowe. Chwycił za nią i wyciągnął, mówiąc: „A co to za butelka? Tu jakieś, takie pręty są... A czort wie, co to jest!”. Rzucił o ścianę, lampa strzeliła. „O, to fajne!”. Zaraz każdy chciał – wszystkie je pobiliśmy, bo człowiek nie wiedział co to jest. Czuliśmy się bezpiecznie. W mieście było raczej spokojnie. Czasem jeden z drugim się pobił, dał w nosa i cześć. Lataliśmy po całym mieście, również wieczorami. Na Raniewie większość Ukraińców mieszkała – byliśmy najlepszymi kolegami. Jeść nam dawali, jak szliśmy się kąpać. Nigdzie nie czułem się źle. Wiele razy biegaliśmy po zniszczonej szkole, czy po piwnicach, bawiąc się w chowanego.

Na swej drodze napotkaliśmy z czasem autochtonów niemieckich. Pamiętam rodziny: Rautenberg, Czarnecki, Kossak. Nazywaliśmy ich „Niemcy” albo „Mazurzy”. Pamiętam, jak ci rodzicie nie potrafili rozmawiać po polsku. Mieszkali głównie w pobliżu ruin zamku. Potem część wyjechała, jak na przykład rodzina Czarneckich. Tylko jeden członek z tej rodziny został, nie chciał wyjechać. Mówił, że tu się urodził i tu zostaje. Z początku, my jako dzieci, wojowaliśmy z tymi chłopakami, bo to Niemcy i koniec. Później to wszystko się unormowało – już byliśmy kolegami. Oni jeszcze zaciągali z niemieckiego, ale po polsku rozmawiali. Do szkoły zaczęli chodzić razem z nami. Wtedy zmieszało się wszystko. Później nastąpiło, tak zwane „łączenie rodzin”. Z początku wyjeżdżali – stał pociąg, wagony czekały przygotowane. Zabierali swój dobytek i ruszali do Niemiec. Byli, można by powiedzieć, stąd wysiedlani. Nie wiem, czy zostali do tego zmuszani, czy też sami dobrowolnie odchodzili z Prabut.

Za Niemca, gdzie jakieś zgrupowanie istniało, to od razu był i cmentarz. Po drodze na Kleczewo powstał jeden z nich. Na trzecim młynie, w lesie też dokonywano pochówków. W okolicy działek znajdował się grób, ale nie wiem, czy to Niemiec czy Rosjanin. Nawet na naszym podwórku, podczas robót ziemnych w późniejszych latach, wykopano dwie czaszki, ubrania, paski i kości. To byli dwaj

Niemcy, zakopani przy naszym domu. Główny cmentarz parafialny mieścił się przy ulicy Daszyńskiego, po drodze na dworzec. Tam chowano ludzi, więc dbano o niego. Pamiętam jeszcze bardzo oficjalny pogrzeb milicjanta, który został zastrzelony. Chyba był komendantem. Wtedy to nawet szkoły uczestniczyły w ceremonii. Natomiast cmentarz na ulicy Malborskiej nazywaliśmy niemieckim – stał nieużywany i niszczał. Tam ganialiśmy się za dzieciaka. Rozkradano tamtejsze pomniki. Chowano na nim takie osoby, których nie wolno było grzebać na cmentarzu przy ul. Daszyńskiego. Pamiętam historię jednego awanturnika, który dokonał zabójstwa i potem sam zginął podczas ucieczki – jego właśnie zakopano na tym cmentarzu dla niezasłużonych.

Parafią opiekował się Ojciec Klimuszko. Był bardzo dobrym człowiekiem. Ludzie chodzili do niego o pomoc, dzięki jego niewytłumaczalnym zdolnościom. Znam taki przypadek, że mężczyzna pojechał sprzedać świniaki. Pochodził gdzieś z Pólka, czy okolic. Konie powróciły z wozem, a jego już nie było. Gdzieś na niego napadnięto w lesie. Zwierzęta sprzedał, więc go zabili, pieniądze zabrali, a ciało wrzucili w leśne bagno. Rodzina ze zdjęciem poszukiwała pomocy u księdza. Wpatrywał się i powiedział, że ten człowiek nie żyje i jest gdzieś w pobliżu. Nakazał go szukać po drodze do domu. Chodzili po lesie i nie mogli znaleźć. Nagle ktoś zauważył ludzką rękę, wystraszył się i pobiegł do miejscowości, z której poszukiwany pochodził. „Oj, tam jakaś ręka wystaje z bagna!". Ludzie zaraz się zebrali, pobiegli i wyciągnęli denata. Trochę opłukali ciało i odkryli, że to zaginiony handlarz świń. Ojciec Klimuszko, tak jak niektórzy prowadzą pieska przy boku, tak on chodził z małą owcą – też jakby na smyczy, z doczepioną czerwoną kokardeczką. Widywano go w brązowym habicie. Owieczkę prowadzał jak udomowioną. Taka ładna była – to mi utkwiło w pamięci. Wszyscy go szanowali. Nikomu nie powiedział złego słowa. Może ci starsi co innego by powiedzieli, ale jak chodziło się do kościoła, to był naprawdę miły. Na ulicy, jak się go spotykało, to pogłaskał, porozmawiał. W tym okresie władze utrudniały dostęp do kościoła.

STACJA PROCESJI BOŻEGO CIAŁA, BĘDĄCA DZIEŁEM RZEMIEŚLNIKÓW, OKOŁO ROKU 1950 (arch. prywatne R. Stępki)

Straszono, że będą zwolnienia z pracy, z zajmowanych stanowisk. Prostych ludzi to nie dotyczyło, kościoły były pełne. Pamiętam, jak pan Kowalski (milicjant) przyjmował córkę do Pierwszej Komunii. Osobiście nie zawitał w kościele. Zaczepił go komendant: „Kowalski, córkę żeście do przyjęcia dali? Jak to? Do zwolnienia!" – „Panie komendancie, to jest dziecko! To żona się zajmuje domem, a ja pracą. Ja nie byłem. Czy widział mnie komendant, że ja tam byłem?" – „Nie! Ale pana żona była!" – „To ja mam żonie zabronić?" – i nic mu nie zrobili. Podobnie było z dyrektorem szkoły zawodowej. Co niedziela widziałem go w kościele i jakoś z pozycji dyrektora nie został zdjęty.

Katedra na ulicy Barczewskiego stała spalona, sama wieża pozostała. Do jej połowy prowadziły schody, a dalsze przejście już

nie istniało. Dzwonów też nie było. Za dzieciaka wchodziłem aż do samej góry, po belkach. Pewnego razu kolega też ze mną wszedł, wyszliśmy ponad dachówki. Stanąłem na belce poprzecznej. Trzymałem się ręką przy jednym z krzyży, obserwowałem Susz i jego zabudowania na horyzoncie. Na ulicy Grunwaldzkiej mieścił się budynek szkoły niemieckiej, tylko dach miał spalony. To była naprawdę piękna szkoła – okna drewniane, grzejniki, w piwnicach piec centralnego ogrzewania. Za szkołą stał osobny budynek – ubikacje z kompletnymi sedesami. Człowiek nie znał tego, bo chodził, jak to się mówi „za stodołę". Dalej moim oczom ukazała się niezniszczona sala gimnastyczna – też tam wchodziliśmy. Widzieliśmy różne kozły do ćwiczenia, skórą obite. Została ona obcięta, ktoś już ją wyszabrował. Wisiały liny do wciągania się, jak to w sali gimnastycznej. Rynek Rosjanie spalili cały. Gdy przyjechaliśmy, to już wszystko zostało strawione przez ogień. Ci, co tutaj mieszkali, mówili, że Rosjanie przywłaszczali sobie, co im się spodobało. Wokół były sklepy, towar w nich wartościowy. Szabrowali zatem, a następnie jeden szedł z kanistrem wypełnionym benzyną i chlustał, a drugi podpalał pochodnią.

Jak tylko Niemcy uciekli z tych terenów, to wojsko rosyjskie tu weszło, ale jako front, nie było tak groźne. W miejscu, gdzie jest teraz szpital, leczyli się Rosjanie, zarażeni chorobami wenerycznymi. Pamiętam, jak mama opowiadała, że gdy ojciec wyjechał po nas, ona wybrała się do swojej koleżanki – żony milicjanta. Wracając do domu, minęła na podwórku trzech Rosjan z jakimś workiem. Poszli ulicą w dół. Mama zastała bałagan, wybite okno. Jakąś poduszkę zabrali, ciuchy. Ojciec miał jeszcze woreczek z tytoniem wysokiej jakości, bo palił papierosy, a wtedy nie było do nich łatwego dostępu. Mama skojarzyła, jak Rosjanie wyszli z podwórka i już wiedziała, że to oni są sprawcami zaistniałej kradzieży. Szybko pobiegła na posterunek milicji przy ulicy Grunwaldzkiej, do budynku z dwoma balkonami na pierwszym piętrze, prawie naprzeciwko czerwonego ceglaka kościelnego. Spotkała akurat pana Przyborowskiego i powiedziała: „Słuchaj, jak szłam do domu,

to trzech Rosjan z workiem na plecach, wyszło z mojego podwórka i poszli w dół ulicą Kwidzyńską. Zastałam tylko wybite okno". Pan Przyborowski i jeszcze jeden milicjant, wskoczyli na rowery i pojechali w pogoń. Rosjanie udali się w kierunku rzeźni i przez tamtejsze łąki do Sanatorium. Milicjanci zawrócili szybko i pojechali na komendę rosyjską. Znajdowała się ona w domu z wieżyczką na ulicy W. Jagiełły, w okolicy obecnego ronda. Budynek potem rozebrano i teraz jest postawiony blok na tym miejscu. Zaraz komendant wysłał gazik i pojechali ulicą Kisielicką, napotykając akurat podejrzanych, którzy wyszli im naprzeciw. Zgarnęli ich i przywieźli na komendanturę. Z worka powyciągali „zdobycze", a mama miała rozpoznać, czy należą do niej. I tak: wyciągnął poduszkę – mama powiedziała, że to jej. Na końcu wyciągnął woreczek tytoniu. Tacy cwani byli „skubańce", że gdy mama powiedziała: „O! To jest woreczek mojego męża z tytoniem!" – to zaraz usłyszała: „Nie! To jest nasza machora[327]!". Otwarto ów woreczek, a tam rzeczywiście machora – swojego tytoniu nasypali na wierzch i zamaskowali zdobycz. Komendant rękę włożył do środka – tylko z wierzchu było posypane trochę, tej byle jakiej machory, a pod spodem piękny, żółty tytoń, ładnie pokrojony. Padło pytanie: „No i szto?" – „A to, to my wsypali naszą!" – „No to zabierajcie!" – odparł. Po wszystkim kazano się rozejść.

Sytuację ekonomiczną mieliśmy nieciekawą. Na początku bazowaliśmy na tym, co sobie przywieźliśmy. Ziemniaki były i mąka, chyba jakieś mięso. Dziadkowie mieli gospodarkę, więc gdy rodzice wyjeżdżali, to im też zasobów trochę przekazali. Nieraz jedliśmy tylko ziemniaki ugotowane, poszturane i mlekiem zalane – tak się jadło. Krowa była, więc i masło, mleko oraz sery mieliśmy. Chleb pochodził już od piekarza. Piekarnia mieściła się blisko Placu Kościuszki. Później, jak już ludzi więcej przybywało w Prabutach, ojciec zaczął pracować w swoim zawodzie. W rynku z początku stał dom towarowy, w nim jedno pomieszczenie (duża hala). Tam

327 Tytoń słabej jakości.

ulokowano magazyn drogeryjny – same farby, w większości suche oraz kreda w workach. To wszystko urząd oddał dla ojca. Pamiętam pierwszy sklep na ulicy Kwidzyńskiej, blisko Urzędu Miasta. Był prywatny, pan Niziałek go prowadził. To był sklep spożywczy. Pamiętam cukierki w kształcie ryby, które sprzedawał. Jak się miało jakieś pieniążki, to się biegło po słodycze. Zaraz obok, w tym samym budynku, pan Grau miał warsztat fryzjerski, a pan Dębek sprzedawał chleb – na placu Kościuszki miał piekarnię. Na początku ulicy Kraszewskiego, gdzie kończy się plac Kościuszki, była masarnia pana Gańczuka, a z tyłu rzeźnia. W jej miejscu powstał w latach późniejszych bar, który nosił miano „mordowni". Na ulicy Orzeszkowej kiedyś istniała księgarnia, a wcześniej sklep masarniczy. Kawałek dalej, na ulicy Szkolnej, znajdowała się kolejna piekarnia. Przy końcu ulicy Kraszewskiego i początku ulicy Żeromskiego, funkcjonował tak zwany żelazny sklep, był tam prawie od początku. Apteka mieściła sie w zabudowaniach, naprzeciwko czerwonego budynku, który na placu kościelnym stoi. Alternatywę dla zakupów stanowił rynek organizowany wokół fontanny. Stawiano wozy zaprzęgnięte w konie i sprzedawano: ziemniaki, owoce, małe prosiaczki, ciuchy. Przeważnie były to rolne rzeczy. Zakupy w sklepach odbywały się na zeszyt. Pisano nazwisko, co i ile jest kupowane. Taka „moda" panowała kiedyś w każdym sklepie.

15 lipca skończyłem 8 lat i od września poszedłem do szkoły, do podstawówki. Szkoła działała przy ulicy Grunwaldzkiej. W klasach były różne ławki, bo to jeszcze poniemieckie – jedne duże, inne mniejsze. Nauczyciele też byli różni, zlepek osób. Niektórzy może nawet specjalnego wykształcenia nie mieli. Pamiętam dwie nauczycielki, naprawdę młodziutkie. Pan Zakrzewski uczył historii. Książek było mało, więc się je szanowało – często poniszczone, zużyte, a jeszcze dalej się je przekazywało. Pamiętam, że sklejaliśmy je nawet na pracach ręcznych. Pracowaliśmy jak introligatornia.

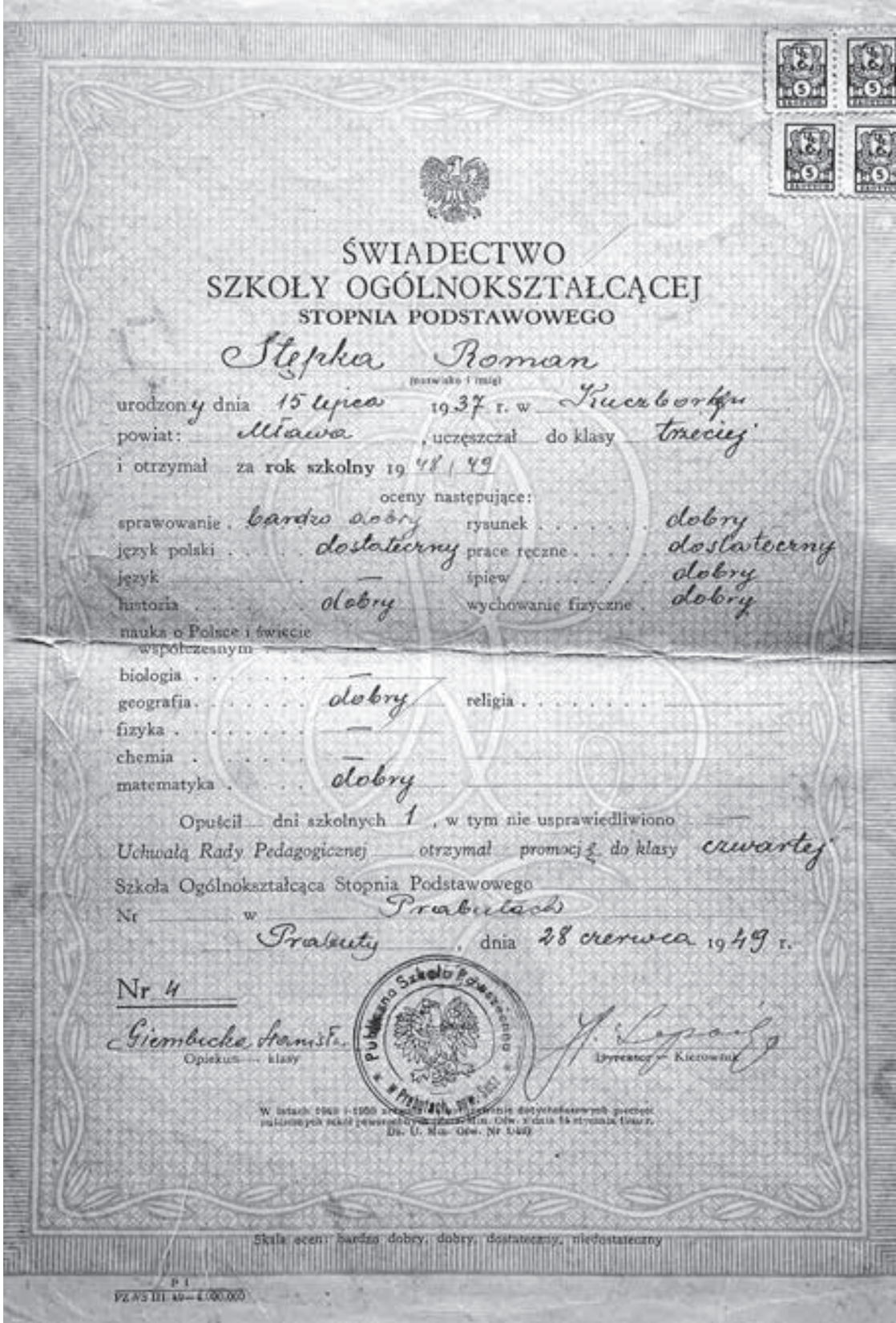

ŚWIADECTWO
SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ
STOPNIA PODSTAWOWEGO

Stępka Roman
(nazwisko i imię)

urodzony dnia 15 lipca 1937 r. w Kucborku
powiat: Mława, uczęszczał do klasy trzeciej
i otrzymał za rok szkolny 1948/49
oceny następujące:

sprawowanie: bardzo dobry
język polski: dostateczny
język: —
historia: dobry
nauka o Polsce i świecie współczesnym:
biologia:
geografia: dobry
fizyka: —
chemia:
matematyka: dobry
rysunek: dobry
prace ręczne: dostateczny
śpiew: dobry
wychowanie fizyczne: dobry
religia:

Opuścił dni szkolnych 1, w tym nie usprawiedliwiono —
Uchwałą Rady Pedagogicznej otrzymał promocję do klasy czwartej
Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego
Nr w Prabutach
Prabuty, dnia 28 czerwca 1949 r.

Nr 4

Giembicka Stanisł.
Opiekun klasy

Dyrektor – Kierownik

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny

PO PRAWEJ: ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY
(arch. prywatne R. Stępki)

ZDJĘCIE GRUPOWE UCZNIÓW Z NAUCZYCIELAMI (arch. prywatne R. Stępki)

Takie rozwalające się podręczniki zszywaliśmy, więc jak nowe wychodziły spod naszych rąk. Mieliśmy zajęcia praktyczne, stolarskie. W tej szkole normalnie były warsztaty, nawet remontowaliśmy krzesła. Pan Neumann uczył matematyki. Prowadził lekcje bardzo sumiennie, tłumaczył zadania i na tablicy rozpisywał. „No rozumiecie?" – „No nie bardzo…" – no to znowuż tłumaczył, ze trzy razy, jak trzeba było. Wreszcie jedna koleżanka zgłosiła się, że ona jeszcze wszystkiego nie rozumie. Dzwonek zadzwonił, a nauczyciel powiedział: „Chodź, będę Ci na przerwie tłumaczył". Nie było mowy, żeby reszty nauczyć się samemu w domu. Panowała za to dyscyplina. Już nie pamiętam, która to klasa, może trzecia – zajęcia z księdzem. Spóźniłem się 5 minut, a on był dosyć rygorystyczny. Zapukałem, poprosił, wszedłem. Rzekł do mnie: „Co, spóźniłem się?" – a ja nic… bałem się. „Czemu się spóźniłeś?"

ZDJĘCIE KLASOWE, PO LEWEJ JÓZEF NEUMANN (MATEMATYK), OBOK NIEGO KIEROWNIK SZKOŁY (arch. prywatne R. Stępki)

– dalej nic się nie odzywałem. „Aha…". Miał teczkę, wyjął „pydę" z rzemyczkami i tak powiedział do mnie: „Wypnij się!". Jeszcze spodnie należało naciągnąć. Kara nie była za mocna, ale – „Za to, że nie chcesz z księdzem rozmawiać! Raz! Drugi raz, za to, ześ się spóźnił! I trzeci raz, żebyś pamiętał!". Niektórzy nauczyciele też takie metody mieli. Później coś zbroiłem i nauczyciel, już nie pamiętam jego nazwiska, zabrał mnie do pokoju nauczycielskiego, teczkę otworzył i od nowa. Sieknął mnie parę razy, ale wówczas już tak dosyć, dosyć. Także szacunek musieliśmy mieć dla nauczyciela. Pierwszy kierował szkołą Pan Sopoćko – to nie był dyrektor, tylko kierownik. Mieszkał na ulicy Polnej. Potem był Pan Skibiński, gdy Pan Sopoćko poszedł na emeryturę. W podstawówce założyliśmy drużynę piłkarską. Wiadomo, że nie było piłek, zrobiliśmy zatem takie szmaciaki i nimi graliśmy. Potem zorganizowaliśmy loterię w szkole i sprzedawaliśmy losy. Kupiliśmy za nie podartą piłkę i daliśmy ją do szewca. Pozszywał ją, napompowaliśmy i gotowe. Pamiętam mecz w Sypanicy – już dobrze graliśmy – tak pod koniec podstawówki. Na bramce stałem, na boisku same dryblasy, a my z podstawówki między nimi ganialiśmy (śmiech). Wynikiem 5:0 chyba wygraliśmy.

Nadeszła zima, czas Bożego Narodzenia. Choinkę przynosiliśmy z lasu. Ojciec znał się z leśniczym, więc tylko udawało się do niego, napisał asygnatę, powiedział gdzie można iść i sobie wyciąć. Pamiętam, że poszliśmy do lasu, a tam leżała już gotowa choinka – ktoś ściął czub z dużego świerku. Wziąłem ją, postawiłem – no taka łanda była, równiutka, więc zabrałem. Sznurkiem obwiązałem, żeby łatwiej się niosło, i znalazła się w domu. Ustroiliśmy ją na miarę możliwości. Leśniczy przyszedł z żoną, byli zaproszeni w pierwszy dzień świąt. Jak tylko wszedł, spojrzał na choinkę i do żony: „Chodź, idziemy!". Żona na to: „A co się stało?" – „Idziemy! Zobacz Józef! Twój syn ściął ze świerka, przynajmniej, jak tak widzę... ten świerk mógł mieć z piętnaście lat". Ja odpowiedziałem: „Panie Gostomczyk! Mam tu świadków, z tymi asygnatami, co pan nam je dał, myśmy wtedy poszli do lasu, wybieraliśmy tam,

gdzie te świerki rosły i obok leżała owa choinka. Ja ją podniosłem, a że taka ładna, to wziąłem! Jak pan nie wierzy, niech pan idzie się spytać do Skoneckich – oni potwierdzą, czy ją ścinałem, czy to leżało już ścięte". Jeszcze żona jego się odezwała: „A Józef, daj spokój! Chłopak na pewno mówi prawdę!" – no i jakoś tak się udobruchał. Potem usiedli, pojedli, popili…

Gdy już skończyłem szkołę podstawową, złożyłem podanie do Technikum Budowy Okrętów i z ojcem pojechaliśmy do Gdańska na egzamin. Zdałem, ale niestety przyszła odpowiedź, że bardzo dużo było chętnych, więc wybrali sobie tych, co egzamin zdali ekstra. Mogłem iść do Zawodowej Szkoły Budowy Okrętów w Gdańsku – bez egzaminu, chociaż kiedyś do zawodowej szkoły też robiono egzaminy. Trochę głupio honorem się uniosłem: „To jak to? Ja do technikum zdałem, a pójdę do zawodówki?" – nie chciałem. W Prabutach poszedłem do szkoły zawodowej, ale też mi się nie podobało. Ojciec miał kolegę stolarza, Badziński się nazywał – dobry stolarz, u którego zacząłem się uczyć. Kiedyś nauka wyglądała tak, że przynajmniej rok czasu tylko się zamiatało. Była zima, bardzo ostra – to ja tak się napracowałem. Szef mieszkał na dole ulicy Kraszewskiego, w budynku naprzeciw schodów. Woda pozamarzała, więc na takich „nosiłkach" dwie kany po 20 litrów targałem, dla mojej szefowej. Tak wyglądała moja nauka – wody nanieść, przynieść węgla, ziemniaków. Warsztat był trochę zniszczony, dach się zarywał. Z izby rzemieślniczej przyjechali przedstawiciele i powiedzieli, żeby zamknąć. Dopóki szef nie zrobił dachu, nie wolno było uczniom tam przebywać. Jeden uczeń czekał już na egzamin. Majster zatrzymał go, do naprawy tego dachu, a mi powiedział, żebym na razie siedział w domu i czekał na powrót w lepsze warunki. Byłem szczęśliwy, że sobie odsapnę. Po naprawie dachu przysłano po mnie ucznia, tego co już czekał na egzamin. Rozpłakałem się, że nie pójdę, bo się wykończę, bo za słaby jestem – zostałem w domu. Ojciec na to odrzekł: „Jak tak, to będziesz ze mną robił!". Miał już papiery mistrzowskie i tak zostałem malarzem – przed wojskiem jako uczeń, a po wojsku

już pracowałem z ojcem. Zgłosił mnie na czeladnika. Gdy byłem na kursie czeladniczym, miesiąc przed egzaminem jeździliśmy do Iławy. Każdego szkolono w swoim fachu, tak jak mnie, jako malarza. Trzeba było być ekstra fachowcem. Poznawałem kolory farb, jak je zmieszać i jaki kolor z tego wyjdzie. Nawet chemicznych wzorów szkolili, jakie każda farba miała, chociaż na egzaminie o to nie pytali. Dopóki się nie ożeniłem, to ojciec nie płacił mi pensji, tylko jak potrzebowałem na jakąś zabawę, to mi dawał, ile uważał. Ojciec miał swoją własną firmę przez całe życie. Gdy zdałem egzamin na czeladnika, to mogłem założyć swoją, jednak nie wolno mi było mieć uczniów, tylko samemu prowadzić interes. Dopiero później, jak zdałem na mistrza, wtedy mogłem ich szkolić.

1 Maja był najważniejszym świętem. Wszystkie szkoły, urzędy zbierały się razem. Dołączała do nich orkiestra i wtedy rozpoczynał się przemarsz przez miasto. Różnie się to zaczynało. Od placu Kościuszki, potem obok urzędu, ulicą Warszawską w kierunku

POCHÓD PIERWSZEGO MAJA (arch. prywatne R. Stępki)

ulicy W. Jagiełły. Tam wznoszono trybunę i rozlegały się oklaski. Tłum przechodził za scenę i się rozwiązywał. Ten dzień był najbardziej spektakularny, bo to też święto wolne od pracy. Moją żonę zapoznałem na zabawie 1 Maja, w Sali Miejskiej. Pamiętam też zabawy w parku. Z początku były to majówki. Jeszcze za moich kawalerskich czasów tańczyliśmy tam, bo zrobiono podłogę à la parkiet. Później park ten zarósł. Nastały takie lata, że jak byliśmy na pochodzie 1 Maja, to po uroczystościach szliśmy kąpać się nad rzekę. Mijaliśmy majątek Raniewo i przez pola dochodziliśmy do rzeki. W majówkę się kąpaliśmy – tak ciepło wtedy było.

Przyszedł czas pierwszych wyborów. Wtedy to wszystkich rzemieślników z Prabut pozbierano i zamknięto. Ojca zabrano, pana Stępnia (ślusarza), pana Kołodziejczaka i kilku innych. Stało się

ZDJĘCIE PAMIĄTKOWE WSZYSTKICH RZEMIEŚLNIKÓW Z PRABUT, ROK 1953 (arch. prywatne R. Stępki)

to za czasów dwóch partii: PPR i PPS. Rzemieślnicy byli w PPS, a przeciwni temu PPR, więc z karabinami przyszli i zabrali ich na posterunek, do piwnicy. Mama szybko zareagowała i tam poszła: „Za co męża zabraliście?! Za to, że Niemcy go zabrali w niewolę, a ja sama byłam?! A teraz za to, że odbudowują te Prabuty?! Jak za godzinę nie wróci do domu, to ja biorę całą rodzinę i przychodzę tutaj! Zamykajcie wszystkich, możecie zastrzelić nas i koniec!” – mama taka była. Zwyzywała ich tam: „Idę! Za godzinę jestem z całą rodziną! Możecie strzelać, zabić nas za to, że Niemcy nas męczyli, a teraz wy nas męczycie!” – „Dobrze, niech pani będzie cicho, na pewno mąż zaraz przyjdzie” – odrzekł milicjant. Tak też się stało, ojciec wrócił do domu. Tak pierwsze wybory się odbyły. Tato otrzymał później medal za odbudowę, także był szanowanym człowiekiem.

ODZNACZENIE ORDEREM ODBUDOWY WARMII I MAZUR JÓZEFA STĘPKI (MALARZA) , OBOK PAN NOWICKI (ELEKTRYK) (arch. prywatne R. Stępki)

Krystyna
Kaczorowska

3 maja 1933 roku urodziłam się we wsi Woronie – ZSRR. Tam Polska była, tam moi dziadkowie zostali pomordowani. Mama wywodzi się ze wsi Werynia, koło Rzeszowa, gmina Kolbuszowa. Gdy była panną, to straszna bieda panowała w rodzinie. Mama opowiadała, jak zebrała kilka swoich koleżanek i pojechały na dwa miesiące do Niemiec, zarobić na obczyźnie. Wspominała tak: „Jak ja zobaczyłam tam jedzenie, masło – to jadłam je łyżkami!". W tym czasie babcia oddała rodzeństwo mamy na służbę. Nastąpił powrót do ojczyzny, do rodziny. Dworzanie z Polski objęli majątki za Bugiem. Była tam dobra ziemia, więc powyjeżdżali i pojawiła się praca. Znów te dziewczyny, mama i inne pojechały za Bug. Tam dostała zatrudnienie. Pracowała na majątku pewnej dziedziczki. Dobrze u niej miała – dziesięć krów doiła i mówiła, że biedy nie zaznała. Zapoznała mojego ojca i wyszła za mąż. Pochodził z miasta Sarny. Później ja się urodziłam. Ojciec stwierdził, że nie będziemy „klepać biedy" w Sarnach, gdy niedaleko Kostopol – miasto powiatowe. Miałam wtedy pół roku, gdy wyjechaliśmy. Rodzice wynajęli sobie pokój. Na miejscu koszary, kino – wszystko dostępne. Miasto pełne Żydów. Tato pracował za niską pensję – przynosił grosze do domu. Był trakowym przy maszynach w lokalnym tartaku. Z czasem wybudowano (pół kilometra od miasta) domki tartaczne, ładne, nowe. Ojciec dostał tam lokum. Po sąsiedzku mieszkały rodziny Słowińskich i Różyckich, które w latach późniejszych również przybyły do Prabut. Mieszkaliśmy w grupie, w domkach drewnianych – czworakach. Ukraińców także było pełno. W tartaku założono przedszkole. Pani Buraczyńska pracowała w kuchni. Powiedziała do mamy: „Turewiczowa, przyjdź do mnie do pracy, dzieci się najedzą i będziesz miała dobrze". Ojciec był temu przeciwny. Jako taki honorowy, chciał sam zarobić. Niestety miał niskie dochody i głodowaliśmy, więc mama po kryjomu poszła do tej pracy.

Z tego przedszkola wysyłali mnie na uzdrowisko, bo byłam anemiczna. Do Buska-Zdroju skierowano mnie z dwiema koleżankami. Stało się to przed 1939 rokiem – Polska nie wiedziała, że Niemcy

tak skrycie zaatakują. Zaczęła się wojna i zamknęli granice na Bugu. Co teraz zrobić, utknęłyśmy w Busku-Zdroju. Na zimę nocowałyśmy w szpitalu. Tam poprzywozili nam pełno rannych Niemców i razem z nimi mieszkałyśmy. Zaczęły się bombardowania. Pamiętam okoliczny lasek, do którego nas na rękach siostry ze szpitala wynosiły. Miałam wtedy pięć czy sześć lat. Niemcy rzucali dla dzieci zabawki – bombowe. „Nie ruszajcie tego, bo jak ruszysz, to po tobie!" – pamiętam to doskonale. Później Niemcy się wycofywali, więc matki zadecydowały, że przejdą przez granicę i odbiorą swoje dzieci. Moja też chciała się z nimi zabrać, ale coś ją tknęło i stwierdziła, że ją złapią na lodzie, gdy będzie przechodzić przez Bug. I tak było. Mama wycofała się, a dwie pozostałe na granicy spotkali Rosjanie, złapali i jedną na Sybir wywieźli, a drugą nie wiem gdzie. Później u Niemców mama dostała przepustkę, aby legalnie przekroczyć granicę i przyjechać po mnie. Wtedy już zapomniałam o rodzinie, bo miałam osiem lat i tylko sobie wróżyłyśmy z koleżankami, do kogo rodzice przyjadą jako pierwsi. Dwa lata tam czekałam. Nawet nas trochę uczyli, by wieku na naukę nie zaprzepaścić. Był 1941 rok – zima, taakie śniegi. Jak przyjechała po mnie mama, to jej nie poznałam. Siostra przyszła do mnie i powiedziała, że mam gościa. W fartuch ją ubrały, myślałam, że pani doktor idzie (śmiech). Rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Zima była okropna, zaspy takie wielkie, a ja taka mała. Szłyśmy, prawie do nocy, usłyszałyśmy dzwonki – ojciec zorganizował w tartaku sanie z końmi i przyjechał po nas, utulił mnie i kocami przykrył. Wtedy więcej chłopów jechało, bo grasowały bandy w lesie, a lasy straszne, rozległe były. Ukraińcy tam napadali, więc baliśmy się. Po powrocie mama wysłała mnie do szkoły ukraińskiej. Ja nie chciałam, cały czas płakałam.

Wśród koleżanek z uzdrowiska pamiętam taką Irkę. Rodziców, Niemców – Volksdeutschów[328] miała. Byli naszymi sąsiadami w tar-

328 Określenie osób pochodzenia niemieckiego, które zamieszkiwały tereny poza granicami Niemiec.

tacznej zabudowie. Oni później nas wydali. Mieliśmy być rozstrzelani – my i cała kolonia. Ojciec miał radia, a za Niemców nie wolno było ich posiadać. Jak wkroczyli, to ogłosili, żeby zdawać wszystkie odbiorniki, bo inaczej będzie kara śmierci. W domu mieliśmy dwa – jedno małe i jedno duże radio. Ojciec zdał to mniejsze, a większe schował, bo chciał wiedzieć co się dzieje w świecie. On nam mówił, że Niemcy przegrają. Słuchał wszystkich dzienników w nocy. W pokoju wyrżnął w podłodze dziurę i chował je na dzień. Na to stawiał chodnik i etażerkę z książkami. Doniesiono na nas. Niemcy zajechali na miejsce i całą kolonię obstawili. Do nas przyszli uzbrojeni, my w płacz. Stali nad nami z karabinami i nogami odsuwali chodniki. Ktoś tak im dokładnie podpowiedział. Ojciec tego dnia stwierdził, że nie będzie chował radia i nie włożył go do tej jamy. Nie mieliśmy kiedyś szafy, tylko były kufry. Tata był zdolny i porobił nam wszystkie meble, łóżka drewniane. Kufer stał wielki, w rogu piec kaflowy, obok było łóżko. Nad tym kufrem wisiał wieszak, gdzie wieszaliśmy garderobę. Tam postawił radio – za tym kufrem, pod odzieżą. Wieczorem chciał posłuchać i nie chował go pod chodnik. Bóg tak dał, że im oczy zaślepiło. Wszędzie szukali i nie znaleźli. Tłumacz stał i mówił, że powiedziano, iż tu jest radio. Ojciec pokazał dokumenty potwierdzające zdanie odbiornika, więc z jakiej racji miałby je mieć. To go uratowało. Wszyscy sąsiedzi drżeli: „Jak znajdą to radio, to nas wszystkich wystrzelają!". Tłumacz kazał, aby tata przyszedł do miasta na przesłuchanie. Mama pomyślała, że go tam pobiją i będzie musiał się przyznać. Uciekliśmy do sąsiadów i wyglądaliśmy przez okno. Gdy tylko Niemcy wyjechali, ojciec złapał za radio i schował w chlewiku. Matka widziała to przez okno. Sąsiadka płakała, że oni wrócą, znajdą te radio i nas wszystkich zabiją. Mama poszła zatem, wzięła drabinę i zrzuciła radio z góry – rozsypało się w drobiazgi. Ojciec powrócił i udał się od razu do chlewu, gdzie zobaczył zniszczony odbiornik. Myśleliśmy, że zwariował. Matko jedyna! Włosy rwał, krzyczał, po podwórku biegał. Nie chcieliśmy do domu wracać. Całe życie rodziców popsuło się po tym radiu. Już w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Pewnego razu widziałam, jak prowadzili Żydów na mord, bo tam nie było obozów koncentracyjnych. Mama mówiła, że nie mam chodzić do miasta, bo mnie Niemcy zgarną razem z Żydami. Na wzgórzu mieliśmy boisko, wykopali ogromne doły i tam ich prowadzili, całe rodziny. Jak oni płakali... Wszystkich wymordowano. Gdy ludzie poszli zobaczyć, to doły były tylko lekko przysypane i jeszcze ruszała się ziemia. Miasto opustoszało. Jak to zobaczyłam, uciekłam do domu z płaczem. Dostałam reprymendę: „Coś ty zrobiła! Przecież Niemcy mogli cię zabrać, razem z tymi Żydami!" – i takie to było życie... Mieszkaliśmy tam do końca wojny. Ojca zabrali na front i zostały same kobiety. Rosjanie weszli na te tereny i już transporty organizowali. My chyba drugim lub trzecim transportem wyjechaliśmy. Pociąg był towarowy, bez dachu. W Lublinie była przesiadka i zmienili nam wagony na kryte.

Był lipiec 1945 roku – lato, już zboże dojrzewało. Przywieźli nas do Kwidzyna. Tam staliśmy dwa tygodnie, bo nie chcieliśmy się ruszyć. „My chcemy do Polski, nie do Niemiec!". Nikt nie chciał wysiadać. Wśród nas same kobiety, mężów czy ojców nie było w tym transporcie. Długo czekaliśmy, a tam były przecież piękne domy w Kwidzynie. Pamiętam, jak pobiegliśmy zobaczyć budynki dwupiętrowe. W nich znalazłam laleczkę, którą sobie wzięłam. Potem przyjechaliśmy w jeszcze gorsze miejsce – do Prabut (śmiech). Wysiedliśmy i każda rodzina podążyła w swoją stronę, szukać schronienia. Po drodze, w okolicy ulicy W. Jagiełły, zastaliśmy dwa palące się budynki – takie ładne, piętrowe. Rosjanie je podpalili. Z mamą i bratem wylądowaliśmy na Kolonii, na ulicy Akacjowej. Każdy brał, co chciał. Później dopiero utworzył się urząd i trzeba było zapłacić za zajęty budynek. Mama mówiła, że 300 zł zapłaciła i to niby stało się jej własnością. Zajęliśmy jednorodzinny domek – dwa pokoiki maciupkie, u góry jeden pokój i kuchnia. Dom zadbany, z tyłu dobudowana była pralnia letnia oraz kuchnia. Mama piekła w niej chleb. Stał też chlew przybudowany, gdzie mama świnie hodowała, gdy nie miała pracy. Meble się ostały, choć jeszcze z innych pustych mieszkań przynosiliśmy sobie

wyposażenie. Tak się żyło. Wszystkie kobiety z transportu musiały być zaradne, żeby coś zdobyć. Niemcy myśleli, że wrócą – u nas w domu, mama wykopała w chlewiku po nich słoninę. Sądzili, że powrócą do swoich domów, że będzie inaczej.

Ojciec mój nie wracał. Nie doszedł do Berlina, tylko gdzieś koło Warszawy został ranny w nogę, uciekł z wojny i się ukrywał. Mama pisała do Czerwonego Krzyża, bo pan Różycki wrócił, Słowiński też, a nasz nie. Odpisali, że zaginął bez wieści, a on się zwyczajnie ukrywał. Po jakiś czasie ujawnił się, mieszkał koło Piły i szukał dawnych sąsiadów. Przybiegła do nas córka od Różyckich na ulicę Akacjową, informując, że Turowicz przyjechał i chce się z nami widzieć. Nie miał śmiałości przyjść do nas osobiście, bo się z mamą w niezgodzie rozstali. Trochę mieszkał niby u nas, ale nie miał pracy. Udał się za zarobkiem do Mrągowa, ale mama powiedziała, że nie pojedzie, bo tu ma mieszkanie i nie potrzebuje się włóczyć. Pojechał więc sam.

Czas spędzałam w domu, do miasta nie chodziłam wcale. Tylko na kolonii byłam, a tu piachu po kostki na każdej ulicy. Niemcy nie zdążyli skończyć budowy na tych polach naprzeciwko nas i zostały tylko mury nowe, bo ich wygnano z tego terenu. Borykaliśmy się z wodą. Pompy mieliśmy na ulicy Kasztanowej, a na ulicy Akacjowej ich nie było. Chodziliśmy więc przez ogrody i nosiliśmy ją w wiadrach – na naszym podwórku Niemcy nie zdążyli sobie zrobić ujęcia. Był także problem z ciuchami. Mama nie miała pieniędzy. Wyszukiwała w pustych domach poniemieckich, takie materace kolorowe – czerwone, niebieskie. Zbierała je, rozpruwała i szyła mi z nich sukienkę, taką lnianą. Przeważnie po ulicy biegaliśmy boso, a jak potrzebowałam iść do miasta, to dopiero dostałam sandałki. W Koszarach była pomoc z UNRR-y: żywność, amerykańskie paczki. Na kolonii szewc otworzył zakład, na ulicy Kasztanowej. Jako Ukrainiec, krzyż miał taki podwójny, ale nie pamiętam już, jak miał na nazwisko. Konkurencję zrobił mu pan Szwed.

Mama nie miała pracy, a musiała nas utrzymać. Na całej kolonii produkowano alkohol, więc tym się dorywczo zajęła. W okolicy kręcili się Rosjanie. Sanatorium było przecież przeznaczone dla tych, zarażonych chorobą weneryczną. Po Kolonii chodzili w białych kalesonach – nazywaliśmy ich „kalesoniki" (śmiech). To oni przeważnie odkupowali alkohol. Pamiętam, jak przyjechało bryczką do mamy dwóch oficerów. Nie chcieli zapłacić. Mama zaczęła na nich krzyczeć i obrzuciła ich piachem. Pogonili konia, zabrali alkohol i nie zapłacili. Innym razem napadli na nasz dom w nocy. Zaczęli walić w okna, dobrze, że szyb nie powybijali. Dużo Rosjan chodziło takich, co napadali. Mama weszła do góry po schodach i zaczęła wołać przez okno: „Milicja! Milicja! Ratunku!" – i oni uciekli. Później pojawił się etat w pralni szpitalnej, gdzie mama pracowała przez dziesięć lat.

W Prabutach przyjęli mnie na wieczorówkę, w szkole „jedynce". Kierownikiem został Pan Sopoćko. Skończyłam siedem klas. Uczyła nas Pani Rodziewicz i Pan Żelazowski. Pan Szymański był woźnym w szkole. Zeszyty mieliśmy poniemieckie. Gdzieś znalazłam taki, bo pieniędzy nie miałam. Na byle czym się pisało. Religia odbywała się w szkole. Prefekt był bardzo surowy, karcił uczniów. W tamtym czasie, dla dzieci anemicznych serwowano tran. Lubiłam i lubię go do tej pory. Dbali o nas, bo byliśmy powojennymi dziećmi. W klasie miałam rówieśników z Raniewa, chyba ukraińskich. Nie pamiętam, ile osób, ale tam mieszkali sami Ukraińcy.

W mieście panował spokój. Sala Miejska mi się przypomina. Nie było pieniędzy na bilet, to z drugiej strony, od ulicy, przez okno się wchodziło, bo przyjeżdżali z seansem. Kino przejazdem filmy wyświetlało, takie były czasy. Chodziłyśmy tam również na potańcówki. Z ukradka człowiek pobiegł z koleżankami. Muzykę puszczano z adaptera. Pamiętam te lwy, fontannę. Rosły poniemieckie róże, a naokoło odbywał się targ. Dookoła tylko gruzy. Mieliśmy komendantkę, panią Janinę. Była to społeczniczka, która zorganizowała młodzież i odgruzowywaliśmy Prabuty. Cegły wy-

ZDJĘCIE KLASOWE (ZAKOŃCZENIE ROKU), UL. GRUNWALDZKA
(arch. prywatne K. Kaczorowskiej)

wozili do Warszawy, bo tam jej brakowało. Komendantka inicjowała różne aktywności, np. uczyła nas tańczyć w budynku na ulicy Orzeszkowej. U góry była świetlica, teraz są tam mieszkania. Za czasów niemieckich działała tam restauracja i hotel. Kuncicki Franek ze Zbyszkiem Szczepańskim grali muzykę. Pani Janina namawiała nas na zajęcia i zawody sportowe. Na sanatoryjnym boisku zajęłam pierwsze miejsce w bieganiu. Długie nogi miałam.

Jakiś czas później wyczytałam w gazecie, że brak jest pielęgniarek. Poszłyśmy we trzy z koleżankami do Elbląga – Kuncicka, Zarzycka i ja. Tam się uczyłyśmy, a gdy zawód zdobyłyśmy, to nas na odrobienie stażu wysłano aż do Bartoszyc. Pracowałam w tamtejszym szpitalu i wyszłam za mąż. W 1956 roku urodziła mi się córka i powróciłam do Prabut, do swojego domu.

Feliks
Bobowski

Dnia 11 czerwca 1915 r. przypada data moich urodzin. Przyszedłem na świat na Wołyniu, w powiecie kostopolskim. Mój dziadek wywodził się z terenów nadmorskich – okolic Gdańska, natomiast ojciec (Rafał Bobowski) urodzony był już na Wołyniu – Antonówka Żydowska. Miasteczko było żydowskie, do Kostopola mieliśmy 8 kilometrów. Mamusia pochodziła z Karczemki. Ojciec całe życie pracował w lesie, a ona opiekowała się dziećmi. Ciężko było na początku, bo ojciec miał 6 dzieci do wykarmienia – 3 córki i 3 synów. Ze starszym bratem żyłem bardzo dobrze. On jako szewc uczył mnie swojego fachu. Chodziłem też z ojcem do lasu. W latach późniejszych siostry wyszły za mąż i poszły w świat. Jeden z synów, mój brat, wziął sobie kobietę, ożenił się i do niej poszedł. Ja uczyniłem tak samo – ożeniłem się i poszedłem do żony, bo miała gospodarkę. Ojciec mój nie gospodarzył, bo był pracownikiem leśnym. Raz było lepiej, raz gorzej... zdarzało się czasem, że nie było chleba, wtedy jeden drugiemu pożyczał kawałek.

Szkoła podstawowa wyglądała tak, że ojciec posyłał mnie za pastucha – pasłem krowy u wujka. Lekcje odrabiałem na pieńku. Do szkoły było 5 kilometrów. Tam 2 oddziały (klasy) lub 3 ukończyłem. Budynek szkoły mieścił się w takim sporym domu. W nim trzy klasy się znajdowały. Polacy, Niemcy i Ukraińcy do klasy uczęszczali, bo tam różni ludzie mieszkali. To nie byli obcokrajowcy, tylko normalnie Polacy – Ukrainiec był Polakiem i Niemiec też był Polakiem. Szkoła znajdowała się na Majdanie. Było tak słabo z edukacją, że nauczyciele nawet po domach chodzili i uczyli. Trzeba było się uczyć pisać, czytać. Szkoły nie mam dobrej, tyle aby się podpisać.

Gdy rosyjscy żołnierze zajęli tereny na Wołyniu, to mnie w nocy ściągnęli z łóżka i w kierunku Moskwy zawieźli wagonem do wojska. Koszary stały w lesie, w miejscowości Sumy – tam ćwiczyliśmy. Jedzenie było marne. Pamiętam zbiórkę w niedzielę, gdy przyjechał przedstawiciel z Ameryki i powiedział, że przywiozą

nam żywność z Pomorza i polskie mundury, bo my w rosyjskich kufajkach chodziliśmy. Tak też się stało. Po tygodniu polskie mundury dotarły, a posiłki stały się lepsze. Bałem się, czy wrócę czy nie, nie wiadomo było. Siedzieliśmy w okopach, a artyleria świstała nam nad głowami: „wrum! wrum!" – panował strach. Mieliśmy karabin maszynowy z takimi talerzami, dwóch nas go obsługiwało – jego zabili, a ja zostałem. Na wojnie trzeba walczyć. Zdażyło się tak, że nawet zostaliśmy okrążeni. To było za Bydgoszczą, takie miasteczko i las. Zostaliśmy osaczeni wśród drzew. Dowódca zaczął radzić, co mamy zrobić: „Już Polski nie ma, trzeba jakoś uciec za granicę, ale którędy?". Z czasem wydostaliśmy się z opresji i napotkaliśmy sprzymierzeńców. „Jadą! Nasze wojsko jedzie! Oficerzy na koniach, cały obóz jedzie!". Dołączyliśmy więc do nich i dalej służyłem na tej wojnie…

Nastał koniec konfliktu. Cieszyliśmy się, o Boże! Byłem w Katowicach w tym czasie. Wojna skończyła się, a mnie jeszcze trzymano, bo utworzono kompanię wartowniczą. Zostałem do jesieni, prawie do Bożego Narodzenia i tam zarobiłem pieniądze. Wożone były kartofle dla górników, a w nocy nam przynoszono worki. Więc my: „Dawaj, zrobimy pieniądze!" – z wojny przyjechałem z gotówką.

Rodzina mieszkała w Iłowie, gdy walczyłem na wojnie. 5 lat mnie nie było w domu. „Co tu robić w tym Iłowie?" Zaczęli poszukiwać – brat młodszy pojechał szukać osiedlenia. Znalazł rodzinę, przyjechał i mówi: „W Prabutach rodzina nasza jest! Jedziemy!". Przyjechali pociągiem w 1945 roku, zamieszkali na ulicy Kasztanowej. Dziadostwo ujrzałem straszne – ruiny, gruzy wszędzie. Parę mieszkań tylko się ostało. Chodziły kobiety z miotłami, trochę sprzątały, ale było byle jak – dużo bałaganu, jak to po wojnie, bieda, ciężkie życie i czasy niepewne. Kuzyn z ulicy Kasztanowej powiedział: „O! Bierz tutaj ten domek!". Gdy

PO LEWEJ: WIDOK NA WIEŻĘ CIŚNIEŃ ZIMOWĄ PORĄ
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

zajmowaliśmy mieszkanie, to nie posiadało okien i drzwi. Poszedłem aż pod Sanatorium, gdzie urzędowali Rosjanie. Okna wyciągnąłem, drzwi także. Posprzątaliśmy i się żyło na początek. Oświetlenia nie było, tylko świece, później lampy, aż pojawił się prąd. Wodę czerpaliśmy ze studni, za pomocą wiadra na łańcuchu i korby. To wszystko wkurzało, bo człowiek nie miał wygody. Sam budynek nie został zniszczony. Z czasu wojny przetrwały domy, część nawet nie była jeszcze wykończona. Mieliśmy kuchnię i dwa pokoje. Jedno pomieszczenie później dobudowałem. Stał chlewik, z którego zrobiło się łazienkę. Jeszcze na górze były dwa duże pokoje. To był pustostan, bez żadnych mebli. Należało wszystko uporządkować, pomalować. Pan Garczyński mieszkał po sąsiedzku, nawet miał konia. Jak coś musieliśmy przetransportować, to nim dowoził. Sąsiedzi pomagali, jeden drugiemu. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa, choć nie wolno było. Mało kto miał odbiornik. Jak już kupiłem radio, to wieczorem pełna chata ludzi przyszła go słuchać. Opowiadali co za granicą, co mówią przeciw komunie. Pod oknami chodzili komuniści i sprawdzali, czy słuchasz. Pustych mieszkań w tym okresie było dużo, zarówno w mieście, jak i na Kolonii. Mogłem sobie lepsze wybrać i mieć gospodarkę, tylko że rodzina się bała, bo tu bandyci grasowali. Na Wołyniu mordowali Polaków, więc jak już gdzieś blisko lasu można było zamieszkać, to za żadne skarby! Gdzie moja, za nic by nie poszła! „Bandyty! Bandyty!" – ja się nie bałem. Jeszcze mnie się obawiano, bo wróciłem z wojny – każdy myślał, że mam broń. Tym sposobem wzięliśmy tymczasowo mieszkanko na ulicy Kasztanowej. Mój ojciec powiadał: „Co ty będziesz szukać? Mamy te mieszkanko na razie, pojedziemy jeszcze na Wołyń!" – cały czas on na Wołyń jechał i wnet pojechał... na cmentarz, na Wołyń...

RODZINNA WIGILIA W 1953 ROKU
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

Po wojnie imałem się rozmaitych prac. Trochę na gospodarce, trochę handlowałem. Gdy w Prabutach funkcjonowała cukrownia koło stacji, to żem kupował buraki, melasę. Były one suszone, a nie wyciskane – wartownicy je sprzedawali. Płaszcz wojskowy spieniężyłem i zacząłem handlować burakami. Bimber się z nich goniło, bo to słodkie – robiło się wszystko, żeby przeżyć! Kiedyś można było produkować alkohol dla siebie, mogłem robić ile chciałem. Trochę wiozłem na Kwidzyn. Taki handel powstał i z tego zacząłem zarabiać. Sprzedawałem buty na rynku w Suszu. Można tam było kupić artykuły żywnościowe, ciuchy, skarpety, rajstopy i inne. Mam nawet gdzieś dokument – zezwolenie na handel. Przez pewien czas pieniądz stał się jakiś taki drogi. Za dwa złote mogłem kupić buty, to pamiętam. Otworzyłem też warsztat na ulicy Kasztanowej. Pięciu ludzi u mnie pracowało: kamasznik (cholewkarz), dwóch czeladników i dwaj uczniowie. Założyłem 70 uli z pszczołami. Zapadło mi w pamięci, jak zimą złodzieje poodkrywali pasieki i miód powybierali przed świętami. Poszedłem na posterunek i powiedziałem w czym rzecz, a komendant

PRACA W SZKLARNI NA ULICY KASZTANOWEJ
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

na to: „I co? Ule ostały się?" – „No zostały..." – „No to co?! Można rój złapać i wsadzić!" – tak mi powiedział, złap i wsadź nowe. Był taki pan Olszewski (bez ręki) – on miał sklep z alkoholem. Pamiętam Pana Brukało – to był stolarz – budy dla cyganów, wagony robił. Pojawiło się parę sklepów…

Później trochę się dorobiłem i postawiłem śrutownik. Jak pole miałem i trzeba było młócić, to z widłami biegli ze wszystkich stron sąsiedzi i pomagali. W zamian człowiek im śrutu zrobił. Dalej kupiłem motor spalinowy, maszynę do młócenia – poniemieckie takie. Maszynami to ja nawet handlowałem. Przyjeżdżali do mnie z Centrali, a ja jeździłem po wioskach i tam nabywałem sprzęt. Lubiłem przemieszczać się rowerem. Wszędzie po wsiach jeździłem za maszynami rolniczymi i je kupowałem. Pełno ich

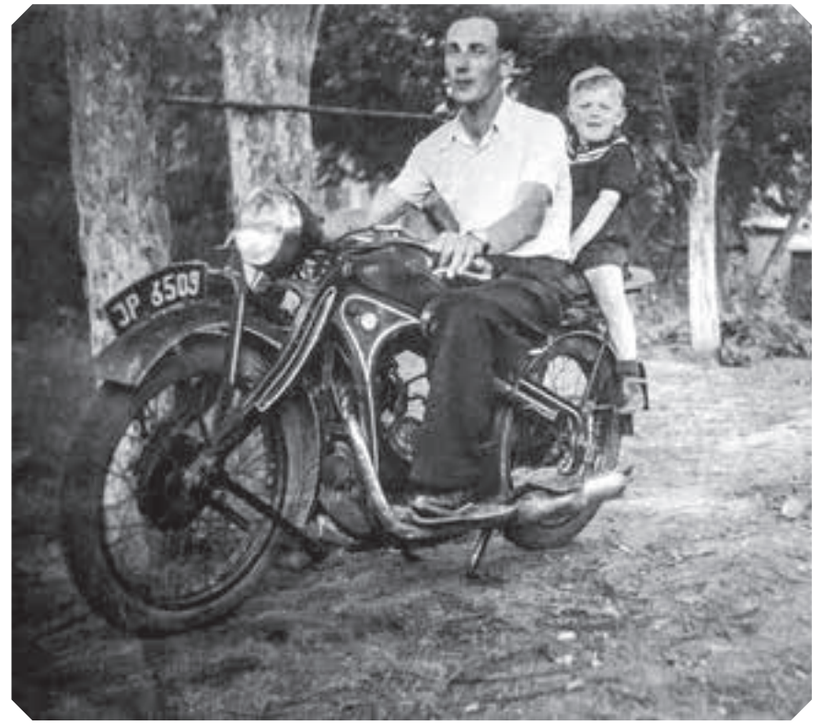

POCZĄTKI MOTORYZACJI W REGIONIE
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

było, bo prawie każdy Niemiec posiadał. I tak cały czas jakiś interes prowadziłem. Miałem też ziemię (truskawki sadziłem) i hektar sadu. Życie przestało być takie złe. Dawałem sobie radę i u nikogo nigdy już nie pracowałem, tylko w swoich biznesach. Zapracowałem na samochód. Pojechałem do Gdańska i kupiłem auto – Mercedesa, kabriolet – dach był odkrywany. Miałem też motocykl, najpierw taki mały, SHL. Później kupiłem dekawkę (DKW) z przyczepą. Gdy jedna nawalała, to jeździliśmy po drugą. Sąsiedzi nazywali nas „kułakami" – posądzali, że jesteśmy najbogatsi na całe Prabuty. Dużo ludzi zazdrościło. Jak samochód kupiłem, to zadowolony byłem, bo nikt nie miał.

Krystyna
Kuncicka

Przyszłam na świat w dniu 28 grudnia 1937 roku, w miejscowości Cieszewo, powiat Płock. Rodzice pochodzili z rodzin wiejskich, ale ojciec nigdy nie zajmował się rolnictwem, raczej handlem. Prowadził na wsi sklep, a w czasie nadejścia wojny (w 1939 roku) miał sklep w Warszawie. Mama natomiast zajmowała się domem.

Niedługo po wybuchu wojny przyszła informacja, że musimy wyjechać – taka decyzja władz. Wszyscy płakali, martwili się czemu muszą opuszczać domy. Ojciec bardzo nienawidził Niemców, mama tak tego nie okazywała, ale jako dziecko wiedziałam, że ci Niemcy nie są dobrzy, skoro moi rodzice mieli taki stosunek. Ja nie wiem, jak to było organizowane, jak ludzi przydzielano, ale naszą rodzinę wywieziono ze wsi na byłe tereny niemieckie koło Bartoszyc (niem. Bartenstein), do miejscowości Gallingen, teraz to są Galiny. Pamiętam olbrzymią salę, gdzie rodziny poustawiane były gromadkami. Bauer (rolnik) niemiecki z taką długą fają – nazywał się Schlimp – chodził i wybierał rodziny. Nasza mu się podobno spodobała, bo mało dzieci. Zawiózł nas wozem do tej miejscowości (Gallingen) i byliśmy tam do 1945 roku – rodzice, ja i starsza siostra Stefcia. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, to już mieszkała tam jedna rodzina polska z Żyrardowa. Potem tak się zaprzyjaźniliśmy z nimi, że stali się naszym wujostwem. Do tej pory mamy kontakt. Oni już nie żyją, ale ich córka Karina tak, i uważamy ją za kuzynkę. Pamiętam, jak pierwszy raz byliśmy w kinie. Wujek Marian zabrał mnie i Stefcię do Bartoszyc, bo nie mieliśmy daleko. Potem, gdy się spotykaliśmy, zawsze im wspominałam, że zabrał nas do kina. Tam nauczyłam się i mówiłam po niemiecku, bo Schlimp jak coś chciał (a ojciec był taki zły na Niemców, że udawał, że nie rozumie), to wołał: „Krysten, Krysten! Komm hier!" – żebym tłumaczyła. Mieszkała z nami także Niemka z córką Cyklindą, wspólnie się bawiłyśmy. To była moja koleżanka. U sąsiedniego gospodarza mieszkał jeszcze Francuz. Gdy się Karina urodziła, to jej chrzestnymi zostali moja mama i ten Francuz. Poza taką niechęcią i żalem do tych Niemców, to nie mogę powiedzieć,

że oni nam wyrządzali jakąś krzywdę. Nie, naprawdę nie. Schlimpowie wyjechali w 1945 roku, gdzieś tam dalej do Niemiec, a przyjechali Rosjanie. Gdy tylko weszli, zapytali kto tu mieszka. Głównie rozmawiali z wujkiem Marianem, który zapomniał powiedzieć, że wśród nas mieszka Niemka. Zaprowadzili go nad stawek i chcieli rozstrzelać, bo skłamał i ukrywał. Kobiety zaczęły jednak ich prosić (ciocia i mama), więc jakoś tak to się rozeszło – pamiętam doskonale. Ci Rosjanie dworek przeszukiwali. Jeden z nich patrzy, a tam były takie piękne kredensy tych Niemców i sztuczne jabłka. Ugryzł jedno, ale nie dało się. Mało tego, podchodzi do następnego, a tam gruszki, też sztuczne. Jeszcze raz spróbował, czy da się ugryźć. Wspominam jeszcze zabawki – miałam takiego konika – rozczulam się zawsze. W 1945 roku, przed wyjazdem pakowaliśmy się na wóz, a ja stałam obok, żeby tego konika wziąć ze sobą. Ponieważ ciocia Hela urodziła tam córkę i w wózeczku była wieziona Karinka, więc ten wóz już był cały załadowany. Mój ojciec by ustąpił, ale wujek Marian powiedział, że nie ma już więcej miejsca. Popłakiwałam, jednakże konik został. O nim zawsze opowiadam moim wnukom. W trakcie powrotu Rosjanie zatrzymywali nas i przeprowadzali rewizję. Ojciec, na zmianę z wujkiem Marianem, patrolowali na przedzie, czy można bezpiecznie jechać. Potrafili to jakoś tak zorganizować. Jednego razu, napotkany Rosjanin kazał oddać ojcu rower, choć sam jechał na własnym, podobno zepsutym. Okazało się, że spadł tylko łańcuch. Nałożył go więc i pojechał dalej na tym rowerze. Cały ten powrót był dla mnie straszny. Zatrzymaliśmy się w jakimś domu na noc. Chciałam do toalety, a że takowej nie było, to wyszłyśmy z mamą do ogrodu. Patrzymy, a tu Niemiec leży nieżywy. Nie wiem, który to był miesiąc, ale zdarzyło się to przed zakończeniem wojny, być może był to marzec. Gdy wróciliśmy na naszą wieś, to zatrzymaliśmy się u mojej babci i wujka (brata mamy). Jeszcze poszłam do Pierwszej Komunii przed wyjazdem do Prabut to pamiętam.

Na miejsce przyjechaliśmy wozami. Nie wiem teraz dokładnie, ile trwała podróż z tej Centrali. Może więcej jak tydzień. Chyba

nagłaśniano wtedy, że na tych terenach można się osiedlać. Tak ojciec mówił i mama: „Tu można się osiedlać, tu są puste domy i puste mieszkania" – dlatego przyjechaliśmy tutaj. Były wakacje. Zamieszkaliśmy na ulicy Rypińskiej i tam ojciec zajął gospodarstwo. Dom był biały, nie pamiętam, żeby wymagał jakiegoś większego remontu. Wchodziło się do przedpokoju, na prawo było wejście do dosyć dużego pomieszczenia, a na wprost do kuchni i dalej do drugiego pokoju. Poza tym był strych, dosyć duży. Toaleta oczywiście znajdowała się na dworze. Generalnie domek wyglądał ładnie. Wodę czerpaliśmy ze studni. Elektryczność była chyba od początku, nawet mieliśmy głośnik, kołchoźnik taki. Po sąsiedzku mieszkali Mellerowie, sympatyczni ludzie. Sporo naszych krewnych też tu przybyło, więc wspieraliśmy się rodzinnie. Byli Strzelczykowie, Brzezińscy, Chrobotowie, a to wszystko bliscy. Rodzice długo nie wytrzymali na tym gospodarstwie. Mama zachorowała na reumatyzm i przeprowadziliśmy się na ulicę Grunwaldzką, około 1950 roku. Także długo na ulicy Rypińskiej nie byliśmy.

Edukację zaczęłam w Prabutach, w Szkole Podstawowej nr 1. Chodziłam do niej pieszo. Przedmiotów w szkole uczono raczej podstawowych: polski, matematyka, przyroda, rysunek, śpiew – te na pewno pamiętam. Zadawano prace domowe oraz klasówki. Wydaje mi się, że z podręcznikami było kiepsko – pożyczało się i nie każdy miał komplet. Natomiast wspominam z sympatią kadrę nauczycieli. Pani Świrydenko uczyła polskiego, Pani Rodziewicz Jadwiga chyba ścisłych przedmiotów, fizyki lub chemii. Pani Siemaszkiewicz prowadziła zajęcia z rysunku. Potem wyjechała, a po powrocie do Prabut pracowała w bibliotece. Była też gimnastyka. Religia odbywała się w szkole, mnie uczył ksiądz Piechowiak. Do tego jeszcze Pani Krukowska, chyba siostra Pana Krukowskiego, który potem był we władzach szkoły. Ona na przerwach bawiła się z dziećmi. Naprawdę mile ich wspominam. Pierwszym dyrektorem został Pan Sopoćko. Jego żona była intendentką w przedszkolu. Dalej funkcję dyrektora pełnił Pan Pokojski.

Wspomnę szkolną anegdotę o mojej znajomości języka niemieckiego. Jeszcze na wsi chodziłam parę dni do szkoły. Rozmawiałam z dziewczynkami i powiedziałam coś po niemiecku. One pobiegły do nauczycielki: „Proszę Pani, proszę Pani! Ona mówi po niemiecku! Niech coś powie!" – tacy byli ciekawi tego języka. Nauczycielka poprosiła więc, żebym odpowiedziała po niemiecku w klasie. Uczyniłam to i usłyszałam: „No ładnie, dobrze, tylko wiesz, nie ma się co chwalić, że ty umiesz ten niemiecki, bo to język naszych wrogów" – tak to zapamiętałam.

Po skończeniu szkoły podstawowej poszłam do Liceum Ogólnokształcącego na ulicy Warszawskiej. Chyba tylko jeden rok tam byłam i je zlikwidowano. Funkcję dyrektora pełniła Pani Jarzębkowska. Później powstało na jego miejscu Liceum dla Wy-

HARCERZE W TOWARZYSTWIE DYREKTORKI LICEUM (P. KOWALEC)
(arch. prywatne K. Kuncickiej)

chowawczyń Przedszkoli, do którego chodziłam i ostatecznie ukończyłam. Następnie jeździłam do Olsztyna zaocznie, na studium nauczycielskie. Później powstały już wyższe studia zawodowe. Wtedy na egzaminy jeździło się do Elbląga i do Gdańska – je też zdałam.

Jeżeli chodzi o wygląd Prabut w tamtym okresie, to jakiś gruzowisk większych nie pamiętam. Na ulicy Rypińskiej były gruzy po domach, potem zrobiono ogrody. W mieście prowadzono rozbiórki – cegły czyszczono i wywożono do Warszawy na odbudowę. Ogólnie miasto wydawało się takie smutne, nie było na czym oka zawiesić. Przy Jarzębinie istniał skwer z grobami żołnierzy radzieckich (potem go zlikwidowano). Ulice wtedy też inaczej się nazywały. Kościół raczej nie ucierpiał podczas wojny. Chyba najbardziej odczuła ją katedra i mały kościółek, gdzie teraz jest muzeum. Główny cmentarz funkcjonował na ulicy Daszyńskiego, potem zaczęto chować na ulicy Kisielickiej, ale tam podtapiało groby. Zadecydowano o grzebaniu zmarłych na obecnym cmentarzu komunalnym. Było jeszcze żydowskie miejsce spoczynku na ulicy W. Jagiełły, jednak tam już nie użytkowano – stały pomniki, choć wszystkie zarośnięte. Nie wiem, na ile to prawda, ale tyle co słyszałam, nim Rosjanie weszli do Prabut, to wszystko było w porządku. To właśnie oni zniszczyli miasto.

Na początku do miasta jeździliśmy wozem z tej Rypińskiej. Ojciec miał koniki i nimi jechało się na zakupy, jak i do kościoła. Na ulicy Kraszewskiego, tak po lewej stronie, wtedy był rzeźnik, pan Mejka, niżej piekarnia Gruźlewskich. Kolejna znajdowała się na ulicy Szkolnej – prowadził ją pan Lenkiewicz. Pierwsze targowisko odbywało się tutaj, gdzie jest fontanna. Handlowano wszystkim, ze wsi przyjeżdżali wozami chłopi i ustawiali się naokoło tej fontanny. Kobiety siadały i sprzedawały: jajka, masło, warzywa, owoce. Później targ przeniesiono koło ulicy Kwidzyńskiej. Walutą był złoty. W tamtym okresie było dużo więcej krawców i szewców, niż teraz. Butami zajmował się pan Stasiak, na ulicy

Grunwaldzkiej. Do krawcowej bardzo dużo chodziłam, bo wtedy wszystko się szyło. Nie było gotowych ubrań w sklepach. Pani Kubichowa – krawcowa – świadczyła swoje usługi na ulicy W. Jagiełły. Miały one bardzo duże wzięcie. Krawcowie szyli również w „Niespodziance" – taki zakład krawiecki. Dziewczyny i kobiety ubierały się kolorowo. Powszechnym materiałem był wtedy kreton. Z niego powstawały sukienki w kwiaty. Na zabawy dziewczyny chodziły w taftowych kreacjach.

Proboszczem w kościele był ksiądz Klimuszko. Pamiętam, że wtedy dzieci było sporo i dopuszczano je prawie do prezbiterium, tak naokoło. Klimuszko zawsze celebrował msze z wielkim namaszczeniem, cały spocony, mokry taki. On był niezwykłym człowiekiem. Mówiło się, że potrafi przepowiadać. Raz była zabawa z harcerzami. Otrzymywaliśmy numery, jakieś zwyczaje były celebrowane. Pani Siemaszkiewicz dostała swój numerek i go schowała. W pewnym momencie, podszedł ksiądz Klimuszko i zapytał: „Azali mam przyjemność z numerkiem 6?" – pani Janka Siemaszkiewicz właśnie taki posiadała. Byłam przy tym i ta sytuacja utkwiła mi w pamięci. Potem pamiętam już tylko, jak uciekł. Msze świętą odprawiał i zorientował się, że po niego idą. Wysłał ministranta do księdza, żeby przyszedł i dokończył mszę, bo on musi uciekać. Klimuszko ubrał się, zniknął i już go nie było w Prabutach. Słyszałam, że ludzie chodzili do niego, gdy ktoś zaginął, ponieważ potrafił wskazać, gdzie należy szukać. Poza tym jeszcze leczył ziołami.

Ośrodek zdrowia zorganizowano na ulicy Zamkowej, z panem Kotowskim jako felczerem i doktorem Sygnarskim. Nie było wtedy rejestracji, tylko szło się bezpośrednio. Leki wydawano na receptę. Aptekę otwarto na ul. Grunwaldzkiej, Sendrowiczowie ją mieli. To co lekarz zapisał, można było w tej aptece dostać – polskie leki, tak jak pamiętam. Gdy przebywałam na wsi w powiecie płockim, tam dostęp do lekarza był ciężki. Wiem z opowieści mojej mamy, że ludzie umierali i nie wiedzieli na co, więc jak tutaj chodziliśmy na wizytę, to byliśmy zadowoleni, że lekarz przyjął i obejrzał.

Mój mąż Franciszek prowadził zespół muzyczny i zawsze grał na różnych zabawach, czy to w „Jarzębinie" czy w Sali Miejskiej. Przygrywał na wszystkich zabawach ludowych, jak np. 1 Maja albo 22 Lipca. Gdy się odbywały takie rozrywki, to zawsze była pełna sala. Ludzie bawili się do rana. Najczęściej, jak nic się nie działo, to ci starsi przychodzili do niego i pytali, czy jest wolny, po czym zapraszali go do domu. Tam opróżniali pokój, meble wynosili, ławki porozstawiali i dziewczyny przychodziły. Mąż siadał, na akordeonie grał i towarzystwo się bawiło. To były takie prywatki, wówczas bardzo popularne. Chodziło się też do kawiarni „Pod Jeleniem", na kawki oraz dancingi. Kiedyś jeszcze Szczepańscy mieli restauracyjkę, ale bardzo szybko ją zlikwidowali. Tutaj, jak jest ulica Orzeszkowej, na rogu było do niej wejście.

CZĘŚĆ KADRY WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI
I PRZYGRYWAJĄCY FRANCISZEK KUNCICKI (arch. prywatne K. Kuncickiej)

Zaraz po skończeniu liceum zostałam zatrudniona jako wychowawczyni przedszkola w Prabutach, w 1956 roku. To była moja pierwsza praca. Lubiłam dzieci, także to zajęcie dawało mi przyjemność. Pierwsze przedszkole znajdowało się w budyneczku, mniej więcej przy kościele. Pani Kolendo była jego kierowniczką. Sympatycznie zostałam tam przyjęta. Myślę, że teraz nauczycielki przedszkola mają trudniej, niż my miałyśmy. Wtedy dzieci, które przychodziły, jak ja zaczynałam pracować, były chłonne wszystkiego. One oczka otwierały jak filiżanki i słuchały, co mówiłyśmy. Nie miały telewizji, Internetu czy telefonów, w które się teraz młodzież ciągle patrzy. Były naprawdę cudowne do ogarnięcia, do przekazania im czegoś. Pamiętam, że o zatrudnienie w ogóle nie było ciężko. Jak skończyłam liceum, to od razu dostałam pracę. Akurat w tym zawodzie istniało duże zapotrzebowanie, chociaż wiem, że nie oferowano wielu miejsc pracy w tamtym czasie, jeżeli chodzi o jako taki rynek zatrudnienia. Zarabiałam 500 zł. Chyba niewiele można było za to kupić, ale oczekiwania też były mniejsze.

Za największą bolączkę tamtych czasów uważam brak wody na ulicy Rypińskiej. To pranie – widziałam, jak mama się z nim męczyła. Potem, gdy się przeprowadziliśmy i woda była w kranie, to nastało inne życie. Najmilej wspominam swój ślub i wesele w 1956 roku. Teraz mija nam już 63 lata. Ślubu udzielał wtedy ksiądz Matuszewski. Wesele odbyło się na ul. Grunwaldzkiej. Osób mogło być może ze dwadzieścia do trzydziestu. Było skromnie, na ile rodzice mogli pomóc, ale zawsze mile to wspominam.

Marianna Elstera Jurewicz

Z domu Ziółkowska, urodzona 13 grudnia 1927 roku w Łąkorzu. Ojciec mój – Leon Ziółkowski, mama – Marianna, z domu Szałkowska. Ona pochodziła z Łążyna, a on z Łąkorza, gdzie wspólnie prowadzili gospodarstwo rolne. Moja mama wyszła za mąż za wdowca, który miał siedmioro dzieci. Z tego drugiego małżeństwa urodziło się nas pięcioro: siostra Rozalia, potem my bliźniaczki – Marianna i Honorata, na koniec dwoje bliźniaków – Franciszek i Ignacy. Gdy miałam sześć lat w 1933 roku, ze względów rodzinnych musieliśmy z mamą wyprowadzić się z Łąkorza. Zamieszkaliśmy w Lubawie, na ul. Kopernika.

Do szkoły podstawowej chodziłam w Lubawie, była to polska szkoła siedmioklasowa, na ulicy Kupnera, przy kościele. Budynek z czerwonej cegły, piętrowy. Nauczycielka od matematyki nazywała się Ciarkowska, zaś polskiego uczył nas Pan Standara. W klasie miałam koleżankę Stasię, córkę szklarza. W klasie uczyli się sami Polacy. Relacje z sąsiadami mieliśmy dobre, mieszkało kilkanaście rodzin niemieckich, żydowskich, a reszta to Polacy. W mieście była bóżnica[329] i kilka sklepów żydowskich. Pamiętam też duży sklep wieloprzemysłowy pana Tyslera. Zakupy robiło się na zeszyt, każdy miał go w domu, a drugi znajdował się w sklepie. Po uregulowaniu rachunku dostawało się w prezencie jakiś drobiazg, np. mydełko. W szkole każda lekcja rozpoczynała się modlitwą, nie było lekcji religii. Naukę przed pierwszą komunią świętą prowadził ksiądz w kościele. W szkole należałam do harcerstwa. Uczyliśmy się piosenek harcerskich, wyjeżdżaliśmy do lasu na rożne imprezy. W Lubawie istniały trzy kościoły, a czwarty mieścił się niedaleko, w miejscowości Lipy.

Pierwszego września cała rodzina znajdowała się w Łążynie. Do wsi od strony Szczepankowa przyjechał rowerami patrol, składający się z dwóch żołnierzy niemieckich. Od nich dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Na kilka dni zamieszkaliśmy w sto-

329 Inaczej synagoga.

dole u sąsiadów Sokołowskich, z obawy przed zbombardowaniem domów. Było nas tam kilka rodzin. Mężczyźni na zmianę dyżurowali we wsi, doglądając gospodarstw przed szabrownikami i ogniem. Po tygodniu, jak minęły pierwsze emocje, wróciliśmy do Lubawy. Na początku do każdego domu dotarli urzędnicy z poleceniem, że następnego dnia każde dziecko w wieku szkolnym obowiązkowo ma stawić się w szkole. Nie zastaliśmy tam już naszych nauczycieli, od teraz uczyła nas Niemka. Była bardzo surowa, zwłaszcza rygorystycznie wpajała nam język niemiecki. Jak ktoś nie opanował języka, to biła nas linijką po rękach.

ARBEITSBUCH, 1942 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

W wieku 15 lat zostałam skierowana przez niemieckie Biuro Pracy do zatrudnienia, jako opiekunka do dzieci. Pracowałam w Lubawie, w rodzinie Pastora. Opiekowałam się ich dziećmi, na początku dwójką, potem urodził się im trzeci syn, którym też się zajmowałam. Pastor Georg Schmidt studiował w Gdańsku i został skierowany w pierwszych dniach wojny, wraz z rodziną, do pracy w Lubawie. Organistką była pani Emilia Serafin. Musiałam u nich zamieszkać, chociaż do domu miałam niedaleko. Pastor mieszkał w piętrowym domu na ulicy Kupnera 11. Żona pastora – Elizabeth – z zawodu była nauczycielką, ale nie uczyła w Lubawie. Chcieli dla mnie dobrze i traktowali jak członka rodziny. Pani Schmidt zabierała mnie czasami do kina. Zostałam też wysłana do wieczorowej szkoły handlowej w Lubawie. Pamiętam, jak 6 grudnia 1939 r. o godz. 10:00, na ulicy

Browarnej Niemcy rozstrzelali 10 osób – polskich inteligentów lubawskich i jednego księdza. Po tej egzekucji w domu pastora panowało przygnębienie i trzydniowy post. Mówił, że Bóg dał nam życie i on ma prawo je odebrać. W 1942 r. pastora zabrano do wojska. Kancelarię prowadziła jego żona. W kościele pod nieobecność pastora organizowano tzw. czytane nabożeństwo. Na chrzciny i pogrzeby dojeżdżał inny pastor.

W maju 1943 r. z panią Elizabeth i trójką dzieci pojechałam autobusem do Iławy, a stamtąd pociągiem do miejscowości Sparneck na Bawarii, gdzie mieszkała rodzina pastora. Byliśmy tam dwa miesiące, potem wróciliśmy do Lubawy. Gdy zbliżał się front wschodni do miasta, to żony mężów, którzy przebywali na froncie, dostały wiadomość o ewakuacji. Burmistrz Lubawy wraz z policją nawoływał wszystkich Niemców do wyjazdu na zachód. W Zajączkowie podstawiono pociąg, którym mieli wyjechać do Niemiec. Do Zajączkowa docierali konno i autobusami. Niemka Elizabeth przed wyjazdem do Niemiec prosiła w biurze pracy, żeby mnie nigdzie już nie wysyłano, bo miałam opiekować się ich domem. Po paru dniach dostałam jednak skierowanie do Bratuszewa za Nowym Miastem Lubawskim. Tam gotowaliśmy posiłki dla jeńców, którzy kopali okopy. Wsród nich znajdowało się dużo Polaków, Francuzów i Włochów. Jak zbliżał się front, chcieli zabrać nas do Niemiec. Na tydzień przed wyzwoleniem udało nam się uciec do Lubawy.

Do Prabut przyjechałam 18 października 1945 roku. Mój kuzyn – Stanisław Mejka, który po wojnie pozostał w Prabutach, był rzeźnikiem i prowadził swój sklep masarniczy. Poprosił mnie, żeby mu pomóc. Miałam wesprzeć go przez dwa miesiące. Zamieszkałam u niego i sprzedawałam w sklepie. Dotarłam do Prabut pociągiem, wraz z jego siostrą – Zosią Raczyńską. Miasto zostało strasznie zniszczone po przejściu frontu. Kuzyn miał rzeźnię i sklep masarniczy przy ul. Kraszewskiego. Niedaleko stał uszkodzony czołg. Ulice były nieprzejezdne, wszędzie leżały porozrzu-

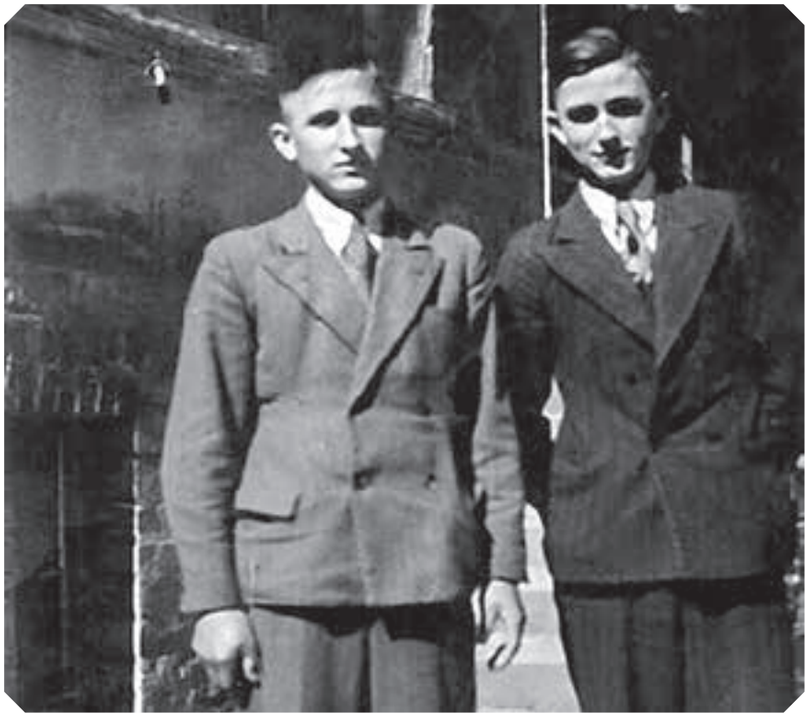

STANISŁAW I FELIKS MEJKA, 1945 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

cane cegły z wypalonych domów. Ich budynek ocalał, na parterze mieścił się sklep masarniczy, z tyłu rzeźnia, a ja mieszkałam na piętrze. Obok stała brama wjazdowa i do niej przylegał jeszcze jeden dom. Tam mieszkał krawiec, pan Gralewski. Na stacji kolejowej zatrzymywał się pociąg z transportem repatriantów i każdy na własną rękę szedł szukać mieszkań, domów lub gospodarstw. Na dworcu czekali już milicjanci, którzy udzielali im pierwszych informacji. Miejsce osiedlenia przyjeżdzający najczęściej wybierali sobie sami lub już dojeżdżali do sąsiadów i krewnych, którzy też się tu osiedlili i ich w jakiś sposób powiadomili. W wagonach przybywali całymi rodzinami, mieszkańcy, sąsiedzi z terenów przesiedlanych i tu w Prabutach też starali się tak zamieszkać, jeden blisko drugiego. W tym czasie zwiększała się liczba mieszkańców Prabut. Transporty napływały ze wschodu

oraz z innych rejonów Polski, z okolic Rypina i Sierpca. Nazwy ulic z niemieckich zostały też niejednokrotnie zmienione na swojskie, na przykład ulica Łucka, Raniewo czy ulica Rypińska. Domy, jeśli nie zostały okradzione przez szabrowników, to można je było zastać jeszcze umeblowane i wyposażone. Niemcy, którzy opuszczali te tereny w pośpiechu, nie mogli zabrać ze sobą wszystkiego. Prabuty tuż po wojnie stały się łakomym kąskiem dla różnego rodzaju handlarzy i szabrowników, łasych na majątek poniemiecki. Dworzec był czynny i przejezdny. W Prabutach nie działały wodociągi, wodę pobierano z pomp ulicznych. Pamiętam takie na początku ul. Ogrodowej, Polnej. W mieszkaniach mieliśmy lampy naftowe. Ludzie pomagali sobie nawzajem jak mogli. Niemcy mieszkający w Prabutach wyjechali przed nadchodzącym frontem, zostali ewakuowani do Niemiec. Mężczyźni w większości przebywali

ZDJĘCIE PAMIĄTKOWE PRZED ŚLUBEM, 19 CZERWCA 1946 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

jeszcze na froncie. W mieście pozostało trochę rodzin niemieckich – osoby w średnim i starszym wieku. Do Niemiec wyjechali bardziej zamożni mieszkańcy. Ci, co pozostali, w jakiś sposób musieli zżyć się z nową ludnością Prabut. Przychodzili chętnie do sklepu mięsnego u Mejki, bo mogli ze mną rozmawiać po niemiecku. Znałam ten język, ponieważ nauczyłam się go w szkole i mojej początkowej pracy u Pastora.

Pierwszym burmistrzem w Prabutach, jeżeli dobrze pamiętam, został pan Lipski, urzędował w magistracie. Po jakimś czasie odwołano go ze stanowiska. Do Prabut wydelegowano nowego burmistrza – pana Feliksa Żochowskiego, który służył w Warszawie, w Pułku Ułanów. Pierwszy posterunek milicji powstał na ulicy Grunwaldzkiej, potem został przeniesiony na ulicę W. Jagiełły, w domu

NA ZDJĘCIU FELIKS ŻOCHOWSKI (PO ŚRODKU) ORAZ ADAM JAKUBOWSKI (OBOK, PO PRAWEJ), 1952 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

pod kopułą. Następnie zmieniono jego lokalizację na ul. Warszawską. W jednym z pomieszczeń mieścił się tam też areszt. Pierwszym komendantem milicji był pan Bodek. Po pewnym czasie przeniesiono go do innej miejscowości i obowiązki komendanta pełnił pan Wacław Jurewicz. Na posterunku pracowali jeszcze w tym czasie: Tadeusz Jurewicz – brat Wacława, Stanisław Przyborowski i Piotr Dzienisiewicz.

ZDJĘCIE GRUPOWE MILICJANTÓW: KOMENDANT – PAN BODEK (PO ŚRODKU), WACŁAW JUREWICZ (PO LEWEJ), PIOTR DZIENISIEWICZ (PO PRAWEJ), TADEUSZ JUREWICZ (NA GÓRZE PO PRAWEJ), 1947 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

ROWEROWY PATROL MILICJI NA UL. POLNEJ, 1945 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

MILICJANCI NA POCHODZIE PIERWSZOMAJOWYM,
OD LEWEJ: M. MROTEK, P. DZIENISIEWICZ I PAN WILARY, 1947 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

PRABUCCY MILICJANCI, PO ŚRODKU TADEUSZ JUREWICZ
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

FUNKCJONARIUSZE MO: PIOTR DZIENISIEWICZ (PO LEWEJ), WACŁAW
JUREWICZ (PO PRAWEJ), PAN MROTEK (PO ŚRODKU), 1946 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

Pierwszym powojennym proboszczem w Prabutach został Ojciec Klimuszko. Przyjechał do Prabut z Warszawy, wraz z grupą repatriantów z Kresów Wschodnich, w dniu 1 lipca 1945 r. Zamieszkał na plebanii, stołował się zaś na posterunku milicji. Kościół św. Andrzeja był nieznacznie uszkodzony (wieża kościelna), zepsuto organy i zdewastowano część ławek. Ksiądz Klimuszko w czasie karnawału organizował dla młodzieży potańcówki przy patefonie na plebanii. Należeliśmy też do chóru, którego organistą został pan Czesław Zelmański. Do chóru wstąpiło nas młodych 15-20 osób, wtedy była to jedyna rozrywka. Szabrownicy ukradli z Prabut fisharmonię, ale milicjanci już na dworcu im ją odebrali i przywieźli do kościoła. Organy stały wtedy zepsute, więc pan Zelmański na tej fisharmonii grał w czasie nabożeństw. Jak kogoś zamykano za szaber albo inne przestępstwo, to lokowano go w areszcie. Mieszkała też kucharka, która im gotowała. Miała na imię Lucyna. W 1946 r. na skwerze przy ulicy Warszawskiej, na cokole z pomnika Webera została zamontowana figura Matki Boskiej Niepokalanej. W uroczystości odsłonięcia figury brało udział wielu mieszkańców Prabut.

ODSŁONIĘCIE FIGURY MATKI BOSKIEJ NIEPOKALANEJ PRZY UL. WARSZAWSKIEJ, 1946 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

Na miejscu zaprzyjaźniłam się z rodziną p. Krauze. Pan Franciszek Krauze pracował na kolei, w biurze. Przybył z Grudziądza, miał dwóch synów i córkę Zosię. Ona została moją przyjaciółką. Z kolei Franciszek Sawicki miał dwóch synów: Heńka i Jerzego. Zamieszkali na ulicy Ogrodowej 12, później urodziła się już w Prabutach Halinka. Franciszek miał też brata Heńka, który z ich mamą zamieszkał na ulicy Zamkowej. Heniek został mężem Zosi Krauze. Miałam także drugą przyjaciółkę – Zosię Szajerko (potem po mężu Ślizga). Ojciec Zosi – pan Jan Szajerko – pracował na nastawni kolejowej w Prabutach. Mieszkali w budynku dworca PKP.

Moja przygoda miłosna zdecydowała o dalszych kolejach losu. Mąż – Wacław Jurewicz – urodził się 9 października 1921 roku w okolicach Olecka, na Suwalszczyźnie. W 1945 roku wraz z przesuwającym się frontem wschodnim trafił do Kwidzyna. Tam, wraz z młodszym bratem Tadeuszem, po zameldowaniu się został skierowany przez Rosjan do jednostki milicji w Prabutach. W październiku mój kuzyn Mejka trafił do miejscowego aresztu za domniemaną kradzież krowy. Wraz z jego żoną poszłam na posterunek milicji zanieść mu jedzenie do celi. Służbę pełnił wtedy Wacław Jurewicz. Byłam ubrana w szary kostium, szal z lisa i chyba od razu wpadłam mu w oko. Po wyjaśnieniu kradzieży i zwolnieniu kuzyna, Wacław stał się częstym klientem sklepu masarniczego u Mejki. Przychodził też po służbie pod okno mojego pokoju i rzucał śnieżkami. Było ciemno, a ja zza firanki obserwowałam go i się śmiałam. Moje koleżanki (Zosia Krauze i Szajerko) namawiały mnie, żebym została w Prabutach i nie wracała do Lubawy. Niedługo po tym, do domu kuzyna zawitał Wacław ze swoim ojcem i flaszką bimbru, by mnie prosić o rękę. Oświadczyny zostały przyjęte. Miałam wtedy 19 lat. Zosia dowiedziała się, że w szpitalu przy ul. Zamkowej przyjmują do pracy. Tam się zatrudniłyśmy, ucząc się na pielęgniarki. Lekarzem i kierownikiem szpitala był Władysław Sygnarski. Na zamkowej funkcjonowały trzy oddziały – w piwnicy dla chorych na tyfus, na parterze oddział wewnętrzny i na piętrze

jedna sala położnicza. Doktor Sygnarski obsługiwał wszystkie oddziały, pracowały też cztery siostry, które opiekowały się chorymi. W jednym z transportów z Wołynia przybył felczer, pan Krajewski, który pomagał w domach ludziom chorym. Pierwszy samochód osobowy także należał do lekarza – Władysława Sygnarskiego.

27 lipca 1946 roku nastała piękna pogoda, prawdziwie lipcowa. Ślub cywilny w magistracie zaplanowany był na godzinę 11-tą. Udzielał go burmistrz, pan Feliks Żochowski. Ślub kościelny, który dał nam Ojciec Klimuszko o godz. 18-tej, na zawsze utkwił mi w pamięci. Proboszcz pojawił się też na moim weselu. Do księdza Klimuszki przyjeżdżało zaraz po wojnie dużo ludzi, szukając swoich najbliższych. Miał on dar jasnowidzenia – ze zdjęć starał

ZDJĘCIE GRUPOWE PO CEREMONII ŚLUBNEJ,
UL. ORZESZKOWA, 27 LIPCA 1946 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

się odpowiedzieć, co z daną osobą teraz się dzieje, czy żyje, czy zginęła w czasie wojny i gdzie jej szukać. Nie podobało się to nowej władzy. Dnia 7 grudnia 1948 r. na posterunek dotarło zawiadomienie o aresztowaniu Ojca Klimuszki. Mój mąż poprosił Stanisława Przyborowskiego, żeby ostrzegł Ojca Klimuszkę. Ze względu na to, że dworzec mógł być obserwowany, ksiądz pieszo dotarł do stacji Gonty, wyruszył do Kwidzyna, a następnie do Bydgoszczy. Po tej akcji mój mąż został przeniesiony karnie do pracy w Morągu. Miał postawiony zarzut, że nie dopilnował osobiście zatrzymania i odtransportowania Ojca Klimuszki. Ja w tym czasie byłam w ciąży i dalej pracowałam w sklepie. Mąż przyjeżdżał do Prabut w soboty po czystą bieliznę.

Nie było łatwo. Chociażby własny ślub mieliśmy w sobotę, a już w niedzielę rano męża zabrano na obławę. W każdą niedzielę obowiązywały ostre dyżury, bo napadano na posterunki, żeby zdobyć broń. Odnotowywano też częste włamania do sklepów spożywczych. Po kilku dniach męża wezwano do komendy powiatowej i musiał się tłumaczyć, dlaczego wziął ślub kościelny. Kiedyś, w trakcie dyżuru męża, przybiegły dwie osoby na posterunek, żeby milicjanci udali się do Sanatorium, bo tam Rosjanie znoszą do budynku (gdzie potem powstały biura) materace i je podpalają. Trzech milicjantów wyruszyło rowerami i udało się to jeszcze ugasić. Dobrze, że wrócili, bo różnie z tym bywało. Istniały przypadki rozbrojenia milicjantów przez Rosjan i wywiezienia ich na wschód.

01 sierpnia 1949 r. urodziła się córka Lilka, natomiast syn Mieczysław urodził się wcześniej – 15 czerwca 1947 roku. Dawniej porody odbywały się w domach. Akuszerką została pani Janina Pokojska, która pomagała przy narodzinach w mieście i okolicznych wioskach. Mieszkała na ulicy Polnej. Co roku przybywało coraz to więcej nowo narodzonych mieszkańców. Do porodu Lilki sąsiedzi zawołali panią Pokojską, która wcześniej zostawiła swoją torbę z narzędziami u innej rodzącej i musiała po nią iść.

CHRZEST CÓRKI LILKI, UL. ORZESZKOWA, 15 SIERPNIA 1949 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

Pani Krasuska (moja sąsiadka) poszła w tym czasie na posterunek milicji. Poprosiła, żeby zadzwonili po męża do Morąga. Ten przyjechał po porodzie z informacją, że mamy się przeprowadzić do Morąga. Ja nie chciałam przeprowadzać się z nowo narodzoną Lilką. Napisałam podanie żeby męża zwolniono z milicji. Los się do nas uśmiechnął, bo podporucznik, komendant „Powiatówki", który w tym czasie odchodził ze służby, zgodził się na moją prośbę i Wacław został zwolniony po pięciu latach pracy. Mąż znalazł nowe zatrudnienie i pozostaliśmy w Prabutach. W latach późniejszych urodziła się moja córka Barbara, dnia 25 marca 1955 r.

Jeszcze przed ślubem dostaliśmy przydział mieszkania w starej poniemieckiej kamienicy na ulicy Ogrodowej 10. Mieszkanie wymagało remontu. Tata koleżanki – pan Szajerko – pięknie go odno-

FOTOGRAFIA RODZINNA – NA ZDJĘCIU MARIANNA JUREWICZ, MĄŻ WACEK, SYN MIETEK I CÓRKA LILA, 1951 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

wił i na naszą uroczystość wszystko było gotowe. Tak to mieszkanie zostało „świadkiem" wesela, narodzin dzieci, ich dorastania, następnych uroczystości weselnych, zabaw wnuków i prawnuków. Mogę z pewnością powiedzieć, że ten dom jest swego rodzaju zerowym południkiem, który pomaga nam określić, gdzie jesteśmy.

SKLEP „WSPÓLNOTA" NA UL. KRASZEWSKIEGO, ZA LADĄ WACŁAW JUREWICZ I NATALIA JAKUBOWSKA, 1956 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

WIZYTA NA SKUPIE ZŁOMU, 1949 R.
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

Pamiętam obiekty handlowe w Prabutach. Pan Jan Wielgoszyński miał punkt spożywczy i wielobranżowy na ul. Kraszewskiego (obecnie kwiaciarnia). Stanisław Mejka prowadził rzeźnię i sklep masarniczy na ulicy Kraszewskiego (dom obecnie nie istnieje). Pan Gańczuk również prowadził sklep masarniczy na ul. Kraszewskiego (dom także nie istnieje), a pan Jędrzejczak na ul. Orzeszkowej. Pan Neumann miał piekarnię koło przychodni i sklep pod wieżą. Druga piekarnia, pana Gruźlewskiego znajdowała się na ul. Kraszewskiego. Aptekę założono na ul. Grunwaldzkiej, a targowisko organizowano na ulicy Kraszewskiego. Pamiętam niektóre ceny na produkty żywnościowe: Cukier (1 kg) kosztował 5,25 zł, bochenek chleba – 8 zł. Wszystkie towary sypkie znajdowały się w dużych workach i trzeba było rozważać je na szalkowej wadze z odważnikami. Poczta na ulicy Warszawskiej już funkcjonowała, jej naczelnikiem został pan Mościcki. W Prabutach swoje usługi oferował także fotograf – pan Witold Marciniak, który wykonywał prawie wszystkie fotografie w tym czasie. Swój zakład prowadził z matką. Kowalem był pan Brzozowski. Restauracja „Pod Jeleniem" mieściła się na ul. Warszawskiej, potem przejął ją Zarząd Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Jeszcze pamietam restaurację państwa Szczepańskich, na ul. Orzeszkowej.

W Boże Ciało tradycyjnie odbywały się procesje, najpierw wokół kościoła, a w następnych latach ulicami miasta. Od lat 60-tych, zawsze rano, wraz z zakonnicami, które mieszkały w domu parafialnym, robiłyśmy ołtarz obok figury Matki Boskiej przy ul. Warszawskiej. Przez kilkadziesiąt kolejnych lat tak czyniłyśmy. Pomagała mi rodzina i panie: Szczepańska Maria, Wyszyńska Janina.

Jadwiga
Cyganowska

Urodziłam się 5 sierpnia 1936 roku w Barcinie – powiat Szubin (obecnie powiat żniński). Moja mama pochodzi z miejscowości Orłowo koło Inowrocławia (Kujawy), a tata z Poznańskiego (obecnie województwo wielkopolskie), powiat Chodzież, miejscowość Nowy Dwór. Ojciec był ślusarzem. Jak się urodziłam, on w tym czasie zdawał na tytuł mistrza. Mama zajmowała się domem i dziećmi. Tata przed wojną prowadził nieduży zakład ślusarski i sklep. Gdy wybuchła wojna, musiał to wszystko opuścić.

Rozpoczęły się działania wojenne. Nie pamiętam taty, jak odchodził na wojnę. Długo go nie było i mama płakała. Gdy wrócił, wziął mnie na ręce, a ja tak się cieszyłam! – nie zapomnę tego. Wiem, że pojechał do babci, mundur wojskowy ufarbował, bo nie miał co założyć. W tym byle jakim, innym kolorze przyjechał. Jak brat się urodził, to miałam 3 lata i już dobrze rozmawiałam. Wiem, że poszłam do sąsiadki i powiedziałam: „E! Ja mam małego braciszka!". Przypominam sobie, jak przyszli nas wywłaszczać – mama chwyciła nakrycie z kanapy, wykładała z szafy ubrania i płakała. 10 minut dostaliśmy na wyprowadzkę. Brat miał wtedy miesiąc. Mieli nas gdzieś wywieźć. Mój ojciec dobrze mówił po niemiecku, bo pochodził z Poznańskiego i do szkoły niemieckiej uczęszczał, nie do polskiej. Tylko ksiądz uczył tam po polsku. W związku z tym poszedł do burmistrza i nie wiem jak zainterweniował, ale zatrzymali nas pod pretekstem przydatności fachowca dla Niemiec. Wracając, tata spotkał po drodze Niemca, też kolegę, który zapytał: „Ludwik, nie masz gdzie mieszać? Ja ci dam mieszkanie!". W nocy przeprowadziliśmy się do ofiarowanego lokum, które okazało się ładniejsze, niż nasze poprzednie. Całą wojnę tam spędziliśmy. Tata pracował trochę w kamieniołomach, gdzie wydobywano wapno. Pamiętam to tylko z opowieści, bo 3 lata wtedy miałam. W miejscowości odbywały się jakieś uroczystości, defilady na rynku. Podczas urodzin Hitlera, we wszystkich oknach widniały podobizny dyktatora i zapalone świeczki. Niemcy przerowadzali napady rabunkowe. Kiedyś w nocy, zaczęli walić w drzwi, dwóch ich przyszło. Weszli, z szafy pobrali co lepsze

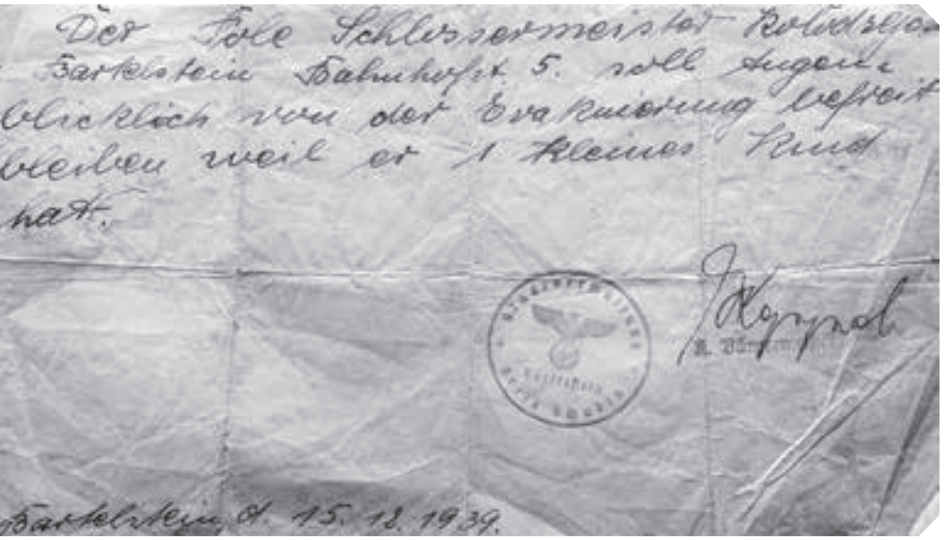
Der Pole Schlossermeister Kołodziejczak
Bartelstein Bahnhofst. 5. soll sofort
blicklich von der Evakuierung befreit
bleiben weil er 1 kleines Kind
hat.

Bartelstein, d. 15. 12. 1939.

TŁUMACZENIE: Polak, mistrz ślusarski Kołodziejczak, zamieszkały w Bartelstein, ul. Dworcowa 5, powinien natychmiast być zwolniony z ewakuacji, ponieważ ma jedno małe dziecko (arch. prywatne J. Cyganowskiej)

sukienki mamy i poszli. Czułam wtedy strach. Gdy tata pracował w Poznaniu u Cegielskiego, dano nam spokój. To była firma, która produkowała prawdopodobnie broń dla Niemców. Tata musiał tam pracować i do domu przyjeżdżał co pewien czas. Mama zawsze nam tłumaczyła, żebyśmy nie chodzili po ulicy, aby Niemcom nie narzucać się w oczy. Później musiała iść sezonowo do pracy, więc codziennie myliśmy w domu podłogi, byle tylko nie wałęsać się po mieście, a mieć zajęcie w domu.

Zbliżał się koniec wojny. Mieszkaliśmy na ulicy Kościelnej, dalej znajdował się zakręt, most i Noteć. Takie to miasteczko z trzema mostami zapamiętałam. Jeden z nich przejezdny, drugi dla pieszych i trzeci garbaty. Widziałam, jak Niemcy uciekali. Polscy parobkowie musieli ich wieść na wozach. Z dywanów i szmat porobili budy. Ewakuowali się chyba na Bydgoszcz, lub gdzieś w tamtym kierunku. Dzień wtedy był bardzo mroźny. Mama poubierała nas w skarpetki, płaszcze – co tylko mieliśmy. Siedzieliśmy w tym domu, tak naprzeciwko tego mostu. Nikt nie jechał, nastała cisza. Tu i ówdzie przeszedł jakiś żołnierz niemiecki. Zawitał do nas Niemiec, siadł i powiedział do mamy, żeby mu dała ciepłej kawy. Poczęstowała go, a on wziął mojego brata na kolana i zaczął tłumaczyć, że tu strzelają i że idą Niemcy i że już koniec i że on też ma dzieci i jest mu bardzo szkoda... Mama nie umiała i nie mogła się nauczyć po niemiecku, więc to my, jako dzieci rozmawialiśmy – najwięcej Maryla, starsza siostra. Powiedział nam, żebyśmy wyszli o pewnej godzinie z domu, bo będą wysadzać most, a nasz budynek stoi blisko i może się coś stać. Tak opowiadał, zabrał się i poszedł. Mama ubrała nas, na to wszystko założyła ojca płaszcz i wyszliśmy na podwórze. Księżyc świecił, a mróz był nieubłagany. Z drugiej strony naszego budynku Noteć wylała i w zimę powstał lód. Nagle zaczęto rzucać granatami o most. Próbowali go wysadzić, ale nie zdołali, ponieważ jakiś Polak pomyślał już wcześniej i wyciągnął baterie od ładunków. Później siedząc w domu, usłyszeliśmy jak ktoś krzyczy: „Polskie wojsko, polskie wojsko!". Nadjechały rosyjskie czołgi. Jeden z sąsiadów wyszedł i powiedział im, żeby nie jechali, bo tam jest podminowane. Ciekawe jest to, że gdy czołg zawracał, wjechał lufą do naszego korytarza, gdyż nie mógł się zmieścić – 5,5 metra miała ta ulica, więc wąziutka. Dla nas, dzieci, to było coś! Gdy kładliśmy się wszyscy spać, mama opowiadała nam, że bombardują Bydgoszcz. Błyskały na niebie światła, ale ja już usnęłam. Nad ranem na moście leżało trzech zabitych Niemców. Jeszcze tej nocy w kościele, który znajdował się przy ulicy bardzo blisko od nas, zapanowała wrzawa. Tam mieścił się magazyn. Sąsiedzi krzyczeli i zrobił się ruch na klatce schodowej. Wszyscy pobiegli do niego po żywność. Jeśli był w rodzinie mężczyzna, to poszedł i przywiózł prowiantu. Natomiast moja mama stwierdziła, że nie pójdziemy i nic nie będziemy brać. Maryla zaczęła płakać: „Nie mamy co jeść!". W tym Barcinie panowała bieda i głód. Jedno jajko na troje dzieci, a jeszcze zarobione przez mamę. Wzięła więc sanki, naszą trójkę ze sobą i poszliśmy do kościoła po żywność. My takie mało zaradne, bojące, wstydzące się, więc przywieźliśmy tylko

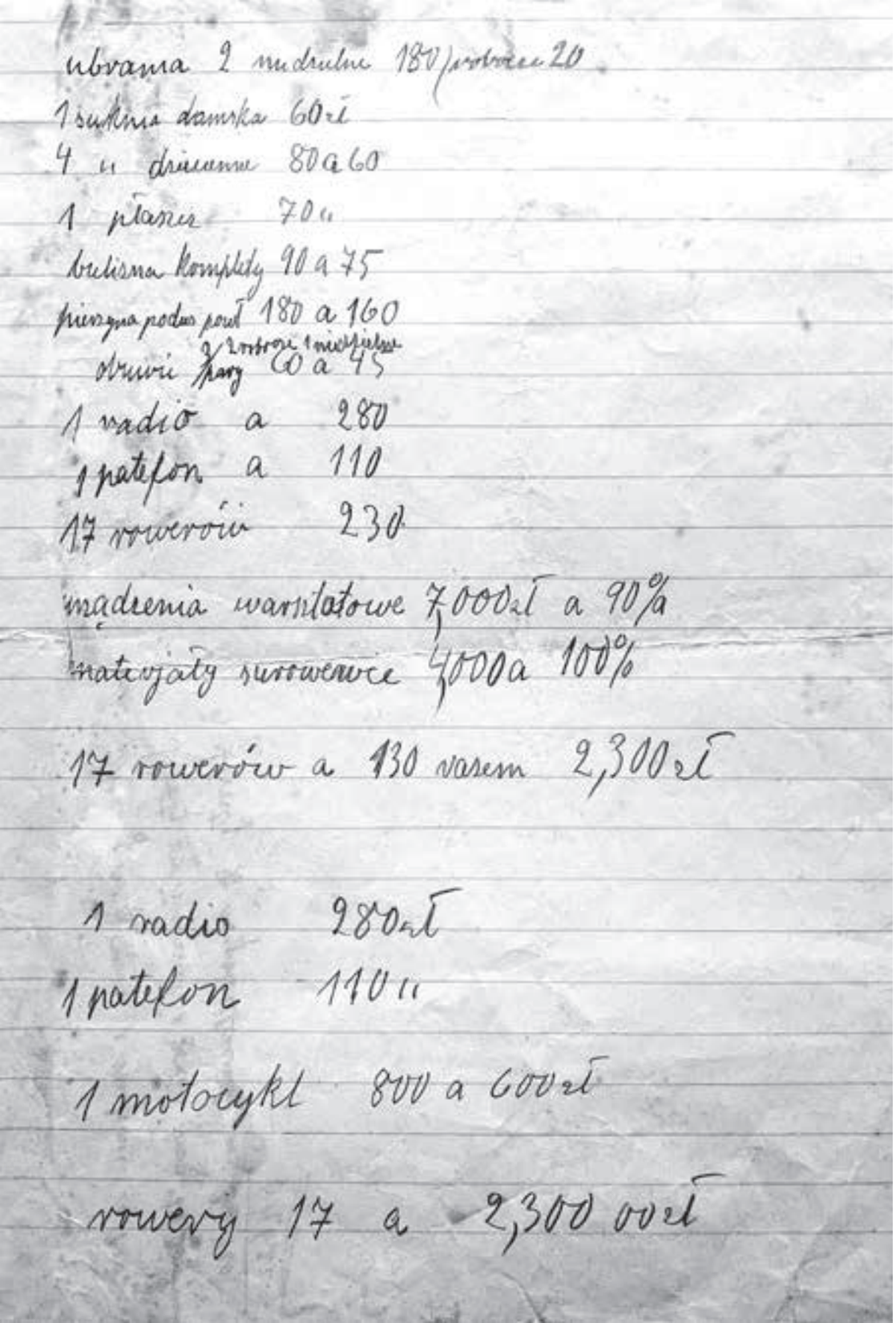

ubrania 2 mudrulne 180 / prostowce 20
1 suknia damska 60 zł
4 " dziecinne 80 a 60
1 płaszcz 70 "
bielizna komplety 90 a 75
pierzyna podwójna pow. 180 a 160
odzież męska 2 zestawy 1 niekompletny 60 a 45
1 radio a 280
1 patefon a 110
17 rowerów 230

mądzenia warsztatowe 7,000 zł a 90%
materjały surowcowe 4,000 a 100%

17 rowerów a 130 razem 2,300 zł

1 radio 280 zł
1 patefon 110 "

1 motocykl 800 a 600 zł

rowery 17 a 2,300 00 zł

worek sucharów, które ostatecznie w Prabutach zjadła krowa. Co nabrali sąsiedzi, to nabrali – puszek, czekolady – a my nic. Na dodatek siostra zgubiła but i z płaczem wracała do domu.

Później Rosjanie dali nam się poznać. To już na pewno był maj i zrobiło się ciepło. Do domu wrócił tata, pieszo przyszedł z Poznania. Ja chodziłam wówczas do szkoły. Rosjanie trochę narozrabiali w naszej miejscowości. Tam gdzie mieszkaliśmy, po drugiej stronie rezydowała stara Niemka, a gdy uciekła, oni zrobili sobie sztab. Przebywał w nim jakiś starszy mężczyzna w białym kożuchu i pilnował porządku. Jak sobie popili, to nawet w naszym mieszkaniu strzelił z broni w kuchni, bo gdzieś niby kurę zobaczył. Panował strach, taka panika, że mogą się źle zachowywać i nas skrzywdzić. Ja nie rozumiałam wtedy wielu rzeczy, bo to taki wiek. Zaczęto „reklamować Ziemie Odzyskane", a ponieważ z warsztatu taty wszystko zginęło i nic nie miał, postanowił wyjechać za nowym domem. Wyruszył w Zielone Świątki. Dużo mężczyzn z Barcina wtedy pojechało. Wiem, że odprowadzaliśmy go na pociąg. Wagon był odziany zielenią, wisiała flaga. Ojciec opowiadał, iż najpierw przyjechał do Prabut, ale pomyślał, żeby może gdzieś indziej jeszcze spróbować. Jednak nigdzie mu się nie podobało i zawrócił. Tata postanowił osiedlić się, choć miasto zastał spalone. Zorganizował sobie swój zakład, w miejscu, gdzie obecnie szkoła zawodowa ma warsztaty.

Do Prabut przybyłam w 1945 r., chyba w grudniu, a od stycznia zaczęłam chodzić do szkoły. Przyjechaliśmy pociągiem z mamą. Tata wynajął wagon, bo dostaliśmy od babci krowę. Kuzyn jechał razem z nią. W Barcinie dołączyliśmy do niego i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie mogę wytłumaczyć sobie, dlaczego mieliśmy przesiadkę w Smętowie. Nie było chyba przejezdnego mostu przez Wisłę, więc przyjechaliśmy z Kwidzyna, choć dokładnie nie pamiętam.

PO LEWEJ: FRAGMENT SPORZĄDZONEJ LISTY RZECZY SKRADZIONYCH Z RODZINNEGO DOMU I WARSZTATU (arch. prywatne J. Cyganowskiej)

W Smętowie siedzieliśmy długo w nocy i zrobiło się bardzo zimno, świecił księżyc. Gdy siedzieliśmy na ławce, przyszli rosyjscy żołnierze i jeden z nich zapytał mamy, czy może usiąść, a mnie weźmie na kolana, bo jest zmęczony. Mama się zgodziła. Zostało mi po nim tyle wesz, że matka nie mogła ich potem wytępić. W końcu dotarliśmy do Prabut, choć to nie była moja pierwsza wizyta w tym mieście. Jeszcze w czasie wakacji kuzyn chciał odwiedzić mojego tatę, więc przyjechałam z nim. Miałam około 8 lat. Szliśmy alejką i tak mi się podobały drzewa koło cmentarza – ładnie to wyglądało. Koło gospody znajdował się jakiś posterunek i flaga. Nie wiem, czy to Rosjanie tam urzędowali. Idąc przez miasto nie spotkaliśmy żywej duszy. Tata miał warsztat na ulicy Kwidzyńskiej. Naprawiał rowery, motory i inne. Bardzo lubił swoją pracę. Gdy zajął się obowiązkami, zobaczyłam sobie obejście tych warsztatów. Znajdował się tam bardzo ładny, zadbany ogród oraz altana. Zaraz przy warsztacie stał parterowy domek i w nim właśnie zamieszkaliśmy. Przed nami chyba musieli rezydować jacyś robotnicy, bo zastaliśmy nędzę. Z pewnością mieszkał tam ktoś niezbyt bogaty. Tata wyremontował dla nas cztery pokoje, przygotował i zorganizował wyposażenie. Wchodziło się z dworu.

Nasze początki w nowym miejscu były słabe, bywało ciężko. Bardzo dobrze, że tata miał warsztat – temu jedno zrobił, Rosjanom jeszcze coś innego. Głodna nie chodziłam, ale pamiętam jak dziś, gdy ojciec przywiózł worek kaszy jaglanej, którą jedliśmy rano i wieczorem. Gdzieś ją załatwił od Rosjan, bo w Szadowie stał młyn. Z cukrowni jeszcze „melas" wozili i też to do chleba używaliśmy. Oprócz warsztatu mieliśmy pola, bo tata stwierdził, że z czegoś trzeba żyć, więc musieliśmy zasadzić kartofle. Jakiś czas były ugory i bardzo dużo myszy. O Jezu! Jak się trafiła jakaś koleina, to mysz za myszą biegła, a szczury do tego. Posiadaliśmy konia i krowę. Paśliśmy je w Raniewie, nie w kierunku Kleczewa, tylko tak z boku, w stronę Sanatorium. Ojciec nie siał zbóż, tylko ziemniaki, buraki i inne warzywa. Moja starsza siostra urodziła się w roku 1935, ja w 1936, a brat w 1939. Do tego w 1947 roku urodziły

się bliźniaki – w sumie 7-osobowa rodzina. Mama chorowała na serce. Gdy pojawiło się najmłodsze rodzeństwo, miała w sobie takie poczucie, że powinna ugotować obiad, a jak my wracałyśmy ze szkoły, to musiała się położyć, żeby odpocząć. Leżała cztery, czasem pięć godzin, a ja wraz z siostrą wychowywałyśmy bliźniaki. Miałyśmy taką powinność. Dodatkowo, zawsze gościł u nas ktoś na obiad. Kiedyś do dzieci należały inne obowiązki – pomyć naczynia, zamieść podłogi i posprzątać. My, jako dwie dziewczynki, często kłóciłyśmy się o to, co która ma zrobić.

W mieście było dużo zniszczeń, rzędy zrujnowanych budynków. Tam, gdzie ojciec miał warsztat, wszędzie walał się gruz. Moje dzieciństwo to przede wszystkim okolice gimnazjum. Znajdowała się tam ładna sala gimnastyczna, tylko róg został uderzony. Ja nawet zachwycałam się tym co pozostało, bo tam napotkałam na przyrządy do ćwiczeń, których nigdy w życiu nie widziałam. W Barcinie chyba nigdy czegoś takiego nie mieliśmy, więc mi się to bardzo podobało. Niedaleko mieściły się ładne ubikacje, a po schodach mogłam wejść do góry – wiem, że wchodziliśmy po nich za dzieciaka. Dopiero później zaczęło się to walić. Cegłę zbierano i wywożono. Na ulicy Zamkowej stał tak wysoki budynek, że z okna widziałam, jak go rozbierają. Był to przykry widok, ale z drugiej strony znikały obecne wcześniej zniszczenia. Sama odbudowa przebiegała fatalnie i trwała długo.

Tata prowadził warsztat do 1950 roku. Znajdował się, że tak powiem, na minusie – jako prywatny przedsiębiorca ciągle komuś przeszkadzał. Najpierw chwalono go za zasługi dla Prabut, a później odwrotnie. Szkolił uczniów w warsztacie i podobno jeden z nich oskarżył ojca o posiadanie broni. Wcześniej tata nakrzyczał na niego, a ten zemścił się w odwecie. Podejrzewając ojca, przyszli i zrobili mu rewizję. W 1950 roku został zamknięty w więzieniu. Z resztą, tata słuchał też Wolnej Europy, lecz to drugorzędna sprawa. Mnie to nie interesowało, ale ojciec zamykał okiennice w pokoju i nastawiał radio, ono piszczało, a on nasłuchiwał. Nie

wiem, czy nasz odbiornik źle działał, czy zagłuszano fale, jednak trudno było zrozumieć, co tam mówią. W każdym razie na trzy miesiące osadzono go w Olsztynie. W końcu został uniewinniony, ponieważ zarzuty okazały się fałszywe. Mama jeździła wtedy z adwokatem. Zwolnili go z braku dowodów. Niestety zabrano i upaństwowiono jego warsztat, a rodzicom dali mieszkanie na ulicy Polnej. Tata został bez pracy. Zawsze uważał, że jako mistrz ślusarstwa sam zarobi i nie będzie nigdzie chodził jako zatrudniony. Zorganizował sobie pomieszczenie w okolicznych zabudowaniach centrum miasta, niedaleko fontanny z lwami. Po jednej stronie stały gruzy, cały rząd, a z boku mieścił się chlewik i w nim tata urządził sobie warsztat. Obok pracował pan Mejka (rzeźnik) i koło niego ojciec urzędował, jakoś nas utrzymując. Jeszcze gruz z piwnicy tam wywoziłam, bo nie miał kto.

Prabuty były większe niż Barcin, w którym mieszkaliśmy wcześniej. Tacie bardzo zależało, żeby dzieci zdobywały wiedzę. Sądził, że tu będą jakieś szkoły średnie. Rozpoczęłam naukę od trzeciej klasy. Moja sala znajdowała się nad kancelarią. Stanęłam przy drzwiach. Starsza siostra była odważniejsza, a ja zawsze za nią się chowałam. Ją wzięli do jednej klasy, mnie do innej. I tak czekałam przy tych drzwiach, nie wiedząc gdzie mam iść. Widziałam, że stały ławki i trochę dzieci już siedziało. Jeszcze zwykły piec wstawiono, bo centralne ogrzewanie wówczas nie działało. Podeszła do mnie rówieśniczka i powiedziała: „Chodź do mnie, bo ja sama siedzę!" – i tak zaczęła się szkoła. To była trzecia klasa od stycznia, bo pierwsze dwie ukończyłam w Barcinie. Mój rocznik tak się zakwalifikował, że skończyłam podstawówkę mając czternaście lat. Nie odczuwałam złych warunków, jedynie to, że ubikacja znajdowała się na dworze. Uczyłam się w dużych, ładnych salach, z długimi ławkami na czworo dzieci. Nauczyciele byli mili. Nadszedł czas sprawdzianów. Do dzisiaj nie mogę sobie podarować tego, co wydarzyło się na lekcji geografii lub historii, której uczył Pan Zambrowski. Dostaliśmy do wypełnienia kartki. Widniało na nich pytanie, czy Polska leży na południu czy na północy. Napisałam, że na południu i to było naturalnie źle! (śmiech). To mi utkwiło w pamięci. Odwiedził nas Gustaw Morcinek, który czytał swoją twórczość – „Łyska z pokładu Idy". Wysoki i szczupły autor spodobał mi się. Siedział przy katedrze, ja gdzieś z tyłu. Nie powiem dokładnie, do której chodziłam klasy, gdy on przyjechał. Czułam się trochę taką romantyczką – nie matematyczką, tylko polonistką – takie coś mnie ciekawiło. Mieliśmy z panem Gustawem jedno spotkanie w naszej sali. Puszczano nam też filmy, gdy przyjeżdżało kino. Pamiętam, że jeszcze pewna pani (nie przypomnę sobie, jak ona się nazywała) recytowała nam wiersz: „Kto nie wierzy – niech nie wierzy, Ale święty Jerzy, Najpierwszy z rycerzy, itd." – ten fragment utkwił mi w pamięci. Mieliśmy trochę urozmaicenia. W szkole pilnowano, żeby dzieci piły tran. Ja nie musiałam, bo zawsze dobrze wyglądałam, ale wiem, że to nie było miłe do połknięcia i śmierdziało. W 1946 roku poszliśmy ze szkoły po krzesła do Sanatorium. Każdy miał przynieść jedno. Wtedy zwiedziłam sobie szpital, bo stał otwarty, bezpański – mogliśmy chodzić po każdym oddziale. Napotkaliśmy białe parawany i łóżka w poprzek porozwalane. Podobno jeszcze muszlę koncertową przywieziono z młyna.

Gdy kończyłam szkołę, Pan Sopoćko sprawował funkcję kierownika. Uczył geografii i przyrody. Bardzo szybko wykładał – jeszcze jego niektóre nauki o rysiu i żbiku pamiętam, coś zostało mi w głowie. On zawsze puszczał nas pięć minut wcześniej, mówiąc: „Tylko proszę cicho zejść ze schodów!" – to była jego zasada. Matematyki uczyła Pani Drzymałowa. Zapamiętałam ją jako bardziej surową. Nie podeszła mi, bo ja nie matematyczka. Bardzo dobrze wspominam za to Panią Rozpopin, ona uczyła polskiego. W siódmej klasie edukowała nas i zadawała „Pana Tadeusza", musieliśmy daną księgę przeczytać. Oczywiście wiedziała, że nikt nie przeczytał, bo nie rozumiał, więc siadała i sama nam czytała. To mi się tak podobało, że do tej pory wspominam. Jak wtedy sama czytałam, to ni w ząb. Nauczycieli uważano za autorytet. Osobiście nie miałam nigdy pomysłu, żeby nie pójść do szkoły, tylko

na wagary. W mojej ławce wszyscy pochodzili zza Buga. Najlepsza koleżanka – Zuzia Zawilska – również stamtąd przyjechała. Mieszkała wcześniej koło Łucka. W 1945 roku te osoby inaczej się ubierały, niż my. Nosiły chustę na głowie i nawet dziewczynki do szkoły tak przychodziły. Mnie to dziwiło, ale nie traktowałam tych dzieci jako gorszych, broń Boże! Ich nie było stać, przyjechali z takiego środowiska, a my z innego. Ja jednak miałam sukienkę, buty, a oni trochę gorzej. Dopiero później różnice się wyrównały. Wiem, że jak przyjechaliśmy do Prabut, to zakładałyśmy z siostrą śliczne sukienki, bo przed wojną rodzicom dobrze się powodziło. Ja zawsze lubiłam delikatne kolory, ale nie miałam za dużo tych ciuchów. Mama ubierała nas w ładne czapeczki z angory, gdy szłyśmy do kościoła. Maczała je w mące ziemniaczanej, żeby były czyste. Zuzia nosiła jedną sukienkę i matka ciągle ją prała, bo po prostu nie miała więcej. Na nas mówili „Kajzacy" – to musiało potrwać, żeby się połączyć. Ja z Zuzią zżyłam się bardzo, chociaż jej mama też mówiła, że jesteśmy inni – Niemcy, nie Niemcy. Na szczęście to szybko się zatarło i dzieci w szkole różnice wyrównały. Pamiętam, że przywożono dary z UNRR-y. Pan Gintowt wtedy przychodził do nas. Kojarzę, jak w domu stały cukierki w kartonach.

Funkcję proboszcza w kościele pełnił Ojciec Klimuszko. Ja z nim styczności specjalnej nie miałam. Jak głosił kazanie, to nie bardzo rozumiałam. Nie mogłam, bo on zaciągał po litewsku, czy po jakiemuś. Gdy przyjechał po paru latach i wygłosił kazanie, to od razu go poznałam – on miał swój akcent, taki wileński. Natomiast mam bardzo dobre zdanie o księdzu Piechowiaku. On ośmielił mnie w kościele. Poszłyśmy z siostrą w pierwszą niedzielę na mszę i stanęłyśmy z tyłu, jak takie dwie sierotki, a z przodu stały inne dzieci. Przyszedł prefekt, wziął nas za ręce i zaprowadził na przód – to mi zaimponowało. To wydarzyło się w 1946 roku, w styczniu. Ksiądz Piechowiak był dla nas tak jakby tatą. Bardzo interesował się dziećmi. Mieszkał tam, gdzie znajduje się salka katechetyczna. Ja chodziłam tam, ponieważ zorganizował chór. Rożne spotkania odbywały się zawsze na dole. Założył też harcerstwo, więc oczywiście zostałam harcerką. On naprawdę oddawał się dzieciom. Pamiętam, jak zorganizował „szukanie wiosny". Zebrał dzieci i ruszyliśmy całą garstką w kierunku Kwidzyna, szukając kwiatków. Jaka to była radość! Zapamiętałam, że ktoś nareszcie się nami interesował, nawet w niedzielę. Powiem jeszcze, że nasze jezioro Dzierzgońskie właśnie z tym księdzem zwiedziliśmy. Zastała nas wtedy burza. Znajdował się tam taki barak, gdzie mogliśmy się przebrać, pokoików cały rząd. Pioruny waliły! On nas tam schronił i przeczekaliśmy najgorsze. Sama nad jezioro nigdy nie chodziłam, bo mama nie pozwoliła. Ksiądz organizował zajęcia dla dzieci, różne wyjazdy. Pojechaliśmy na zlot harcerski do Zambrowa. Byliśmy tam w kościele, jako harcerze w mundurach, a później spaliśmy na sianie. Organizował te wyjazdy, żeby dzieciom jakoś zrekompensować wojnę. W 1948 roku zainicjował wycieczkę do Krakowa.

POCZĘSTUNEK (KAKAO DO PICIA) PRZED PLEBANIĄ, PO KOMUNII ŚWIĘTEJ, 1946 R. (arch. prywatne J. Cyganowskiej)

ZDJĘCIE GRUPOWE Z I KOMUNII ŚWIĘTEJ CHŁOPCÓW, 1948 R.
(arch. prywatne J. Cyganowskiej)

Do Zakopanego dzieci też pojechały. Moja siostra tam była, ja niestety nie, ponieważ należało zostać i pilnować bliźniaków. Nawet Zuzia uczestniczyła w tej wycieczce, choć nie miała pieniędzy. Mama udała się do księdza i powiedziała, że Zuzia musi jechać, gdyż jej ojca zabili Ukraińcy – tym sposobem dołączyła do grupy zwiedzających. Ja z kolei pojechałam do Gdańska. Ta wycieczka do tej pory mi się podoba. Byłam chyba jedną z najstarszych. Najpierw jechaliśmy Żukiem/Nysą z Sanatorium do Sztumu, dalej prawdopodobnie pociągiem. Panowała taka ciasnota, że jeszcze trochę i bym wymiotowała. Bardzo niebezpiecznie to wyglądało, ale ksiądz się odważył i wszystko dobrze się zakończyło. Wysiedliśmy w Lisewie. Zorganizował dla nas dorożkę, żeby torby pozabierać i przepłynęliśmy przez Wisłę promem do Tczewa. Tam doszliśmy do dworca i czekaliśmy na pociąg, którym wyruszyliśmy do Gdańska.

PO LEWEJ: PAMIĄTKA Z I KOMUNII ŚWIĘTEJ (arch. prywatne J. Cyganowskiej)

Wysiedliśmy na dworcu głównym. Ksiądz gdzieś poszedł, a nam kazał siedzieć. W tym czasie wszystko obejrzałam. Poszliśmy do kościoła, pod którym znajdowała się piwnica. To były sale – ja je tak nazwałam piwnicą. Tam spaliśmy na siennikach, dwie noce na pewno, a czy trzy, to nie wiem. Wszędzie widzieliśmy pełno gruzowisk. Naprzeciwko dworca zaczęto budować hotel. Trafiliśmy też na jakiś statek. Ulicy Długiej nie zapamiętałam, widocznie tak bardzo została zniszczona. Ksiądz pokazywał nam kościół Mariacki – duży, bez dachu oraz okien. Gdzieś też stała szubienica, na której Niemców wieszano. Do Gdyni nie dotarliśmy, ale zwiedziliśmy molo w Sopocie. W okolicy hotelu zorganizowano wystawę – państwa miały swoje stoiska. Stali Niemcy i Rosjanie. Pamiętam takie ładne materiały, tak mi się to podobało. Jeszcze byliśmy w katedrze w Oliwie i tam jakieś szaty oglądaliśmy.

W Prabutach procesje Bożego Ciała stały się tradycją. Ojciec zawsze niósł sztandar rzemieślniczy. Jakiś czas ołtarz stawiano przy „ławce miłości", ale pierwszy znajdował się w wejściu, gdzie tata miał warsztaty. Wiem, że moja mama dawała chodniki do ozdoby. Dużo ludzi brało udział w procesji. Przemarsz szedł przez Prabuty, ulicą Grunwaldzką i koło kina.

We wspomnieniach utkwiła mi wizyta na cmentarzu. Do koleżanki przyjechał wujek. Ponieważ był taki ciekawski, wziął nas na cmentarz komunalny. Wówczas stały tam same grobowce, bardzo ładne i wysokie. W kaplicy zeszliśmy do piwnicy. Zastaliśmy dziurę w ścianie, gdzie leżała trumna. Sama widziałam spoczywającą w niej kobietę, w białej sukience. Gdyby ktoś ją dotknął, rozsypałaby się. Ogólnie na cmentarzu znajdowało się trochę grobów, z pewnością niemieckich – najwięcej chyba tam, jak się wchodzi na górkę, gdzie umieszczono pomnik Wołyniaków. Pamiętam dobrze park. Bardzo często chodziliśmy do niego z tatą. On po niemiecku umiał czytać, więc wszystko nam tłumaczył. To miejsce bardzo przypadło mi do gustu – ładne alejki, schody. W pewnym okresie nawet został uporządkowany i odbywały się

SPACER PO LODZIE NA JEZIORZE LIWIENIEC
(arch. prywatne J. Cyganowskiej)

w nim zabawy. Dużo także chodziło się lub jeździło na drugi i trzeci młyn – to była atrakcja. Pan Gapa, który mieszkał w Prabutach, miał żonę Niemkę. Pracował jako woźny w magistracie. Opowiadał, że na 1-go Maja tak ładnie Niemcy organizowali uroczystości – rozstawiali stoły, serwowali poczęstunek, piwo, jedzenie. Zapewniali też jakiś transport, którym zainteresowani mogli dostać się na takie wydarzenie na młynach.

Pierwszy sklep, jaki zachował się w mojej pamięci, to piekarnia na ulicy Szkolnej. Tam chodziłam po chleb i bywało, że na zeszyt go brałam. Właściciele przyjaźnili się z moimi rodzicami. W pobliżu znajdował się sklep spożywczy, później rybny. Jeszcze jeden sklepik stał obok byłego budynku sądu, taka przybudówka. Sam gmach został spalony i nie miał dachu, ale obok znajdowało się pomieszczenie, a w nim pan Koziński – mojej koleżanki rodzina,

prowadził interes. Kupowało się tam cukierki własnej produkcji. Nie wszyscy o nim wiedzą, ale istniał jeszcze sklep papierniczy naprzeciwko katedry, na ulicy Barczewskiego. Sprzedawano tam artykuły do szkoły, zeszyty, papier. Prowadził go pan Jankowski. Miał córkę w moim wieku – Brygidę. Pan Stępka był malarzem. Kolegowaliśmy się z nimi. Szewców też pracowało sporo. Jeden na ulicy Barczewskiego, robił mi buty do przyjęcia, takie ze szmaty, z jakiegoś brezentu. Zakład krawiecki funkcjonował na ulicy W. Jagiełły, szyto tam kufajki. Nazywał się „Niespodzianka" i zatrudniał dość dużo osób.

Po ukończeniu podstawówki chodziłam do szkoły krawieckiej, a następnie zostałam zatrudniona jako krawcowa. Zakład mieścił się przy placu Wolności, na rogu. Teraz mieszkają tam rodziny. Podjęłam zatrudnienie w 1952 roku i pracowałam z panią Dobrzańską. Była to praca usługowa, nie ciężka – osiem godzin, a załatwił mi ją tata.

Maria Dzienisiewicz

Przyszłam na świat 8 stycznia 1927 roku we wsi Iwiczno – powiat starogardzki. Moja rodzina pochodzi z Poznania. Tatuś miał duży ogród, a mamusia opiekowała się dziećmi i dodatkowo pomagała w ogrodzie. Tato umarł jak miałam roczek. Wtedy to mama musiała sprzedać majątek, bo nie było komu pracować, a dzieci ośmioro. Najstarszy brat wziął ojcostwo w swoje ręce. Poszliśmy na majątek w Tczewie, nazywał się Górki. Tam zamieszkaliśmy i tam dorastaliśmy – całe rodzeństwo, wszyscy w Tczewie mieszkali. Było 5 braci i 2 siostry, a ja trzecia, najmłodsza. Bardzo zgodnie żyliśmy.

W Tczewie miałam do szkoły 3 kilometry. Byłam bardzo mała i drobna. Jak mróz nastał duży, to mnie owijali, żebym nie zmarzła – zima taka, że ho, ho! Przez okno nic nie widziałam, tak wszystko zostało zamrożone. Raz tak przemarzłam, że musiałam rok przerwać w nauczaniu – 6 miesięcy chorowałam. Pani nauczycielka była bardzo, bardzo dobra. Nazywała się Cymańska. W klasie normalnie, tylko ławeczki stały uszkodzone. Książki stanowiły kłopot – niektóre dzieci miały, więc jedno drugiemu pożyczało. Podręczniki wydane w języku polskim. Uczyliśmy się śpiewać, czytać, były rachunki. Pani nauczycielka uczyła religii – jak wchodziła, to wszystkie dzieci wstawały, pochwaliły Pana Boga i zaczął się „Ojcze nasz". Tak rozpoczynała się lekcja. Nauczycieli bardzo dobrze wspominam, chciałabym jeszcze do nich na lekcje pochodzić.

Działania wojenne zastały nas w domu. Tyle samolotów nadleciało, na Gdańsk skierowane. Parę bomb zrzucono na nasz majątek, stodoła spaliła się całkiem. To była 5:00 rano. Ludzie we wsi byli różni, z Kongresówki przeważnie. Chłopi wozy uszykowali, wszystko się ładowało i wyjeżdżaliśmy, bo się baliśmy. Tczew należał więcej do Niemców. Gdy już później przyszli, to zawsze mówili: „Tczew ist buitenland (za granicą), Gdańsk – Vaterland (ojczyzna)". Bałam się bardzo, bo wiedziałam, że szkoły koniec, że trzeba będzie pracować. Później Niemcy zaczęli wywozić Polaków. Tych, którzy nie byli rodakami z Pomorza, to wszystkich wywozili. Krzyk, ryk i płacz... Mamusia trochę nas przygotowała, bo przeżyła już jedną wojnę. Uczyła nas, żeby te mniejsze dzieci chować w jak najgęstsze krzaki i nie pokazywać się. Za czasów niemieckich mama pracowała na majątku w Tczewie. Była tam ogromna dyscyplina, nawet głosu nie można było podnieść. Ówczesny majątek należał do Polaka, nazywał się Waligóra. Po nim przyszedł Niemiec – Rydger, ale po 3 czy 4 latach wzięto go do wojska i przyszedł pan Baumeier, trochę garbaty. Mamusia pochodziła z Poznania, tam do niemieckiej szkoły uczęszczała, więc umiała jeden język i drugi. Tak właściwie, to mnie za Niemca było dobrze, bo do kuchni mnie zabrała. Tam po niemiecku nauczyłam się mówić, gotować i gospodarzyć – przez całe 5 lat. Końcówka wojny była straszna, bo jak ci Rosjanie weszli na nasze tereny, to już lepiej nie pytać, to jest nie do opowiedzenia... Cały miesiąc siedziałam zamknięta w piwnicy, a już miałam 15 lat. Kiedyś w tych domach piwnica mieściła się w kuchni, było takie okienko. Mama położyła worki, żeby tego wejścia nie było widać. Rosjanie przychodzili i pytali: „Są harosze dziewczęta?" – i szukali nas. Tego się nie da opowiedzieć! To był jeden strach, bójka o życie.

Do Prabut przybyłam koleją. To było w 1945 roku. W Tczewie bilet wykupiłam i przyjechałam normalnym pociągiem. Ludzi na dworcu zastałam pełno, przeważnie Niemców, bo wyjeżdżali. Czysto nie było – wiele krów padniętych, zabitych koni, wozów uszkodzonych – to dopiero sprzątano. Miasto wyglądało jak jeden

gruz. Do Prabut przyjechałam już jako mężatka. Mąż pochodził z Suwałk, był na miejscu już 2-3 miesiące wcześniej, więc przeniosłam się do niego. Przybyłam z dzieckiem w wózku, bo już miałam syna. Popatrzałam – „Jezu! Tu mam mieszkać?! Niemożliwe!". Tczew przyrównać do Prabut – bałagan, smród. Długo nie wytrzymałam, chyba 2 tygodnie tylko byłam i mąż mnie z powrotem do Tczewa odesłał, bo bardzo zaczęłam chudnąć ze zmartwienia. Jak już zrobiło się czyściutko i usunęli trochę gruzu, to przyjechał i zabrał mnie ponownie. Bardzo ciężkie czasy to były. Mąż zarabiał jako milicjant. Pojawiło się już dziecko, jedno i drugie. Musiałam się nimi opiekować, z czasem podjęłam pracę w zakładzie krawieckim.

Przekrój mieszkańców był duży. Jedni ubierali się ładnie, a inni to łata na łacie, a w łacie jeszcze dziura. Ja lubiłam być ubrana kolorowo i elegancko. Ci zza Buga nie lubili się stroić. Oni tam więcej rosyjskich naleciałości nabrali – w tych kufajakach paradowali, a buty nosili ocieplane. Dużo repatriantów napłynęło na te tereny. Co kto złapał na początku, tam zamieszkiwał. Kto był szybszy, ten miał więcej, a kto leniwszy to miał mniej. Przyjechali z końmi, krówkami. Gospodarstwa pozajmowali i każdy sobie po swojemu rządził. My też po czasie z miasta poszliśmy na gospodarkę, bo mąż zwolnił się z milicji – to nie była posada dla niego. Pięć lat wytrzymał, ale zawsze marzył o gospodarce. Na ulicy Rypińskiej mieliśmy 25 hektarów. Byliśmy wtedy samowystarczalni. Miasto zostało dotknięte działaniami wojennymi. Katedra na ulicy Barczewskiego spłonęła – tam nie było co oglądać, brakowało dachu. W latach późniejszych pracowałam z mężem przy jej odbudowie. Dostał za to nawet nagrodę, bo mieliśmy konie na gospodarstwie i nimi pomagał, wożąc wodę, cegłę, cement. W koszarach pozostały powojenne relikty. Dzieci poszły się bawić i znalazły granat. Zaczęły dłubać i dwaj bracia odnieśli obrażenia.

Uruchomiono przychodnię na ulicy Zamkowej, było bardzo dużo pomieszczeń. Pracowali felczerzy. Pan Sygnarski został lekarzem,

nawet niezłym. Pan Krajewski był po wojnie najlepszy. On tak trochę z rosyjskiego zaciągał, ale został lekarzem idealnym – zjawiał się na zawołanie i dawał leki. Prawdopodobnie miał brata w Ameryce i on mu te leki przysyłał. Apteka znajdowała się przy ulicy Grunwaldzkiej, a w niej dużo poniemieckiego asortymentu.

Początkowo mieszkałam na ulicy W. Jagiełły – numer 1. Droga z kostki wyglądała w porządku, była zadbana. Obok niej pozostał chodnik pokaleczony od bomb, granatów. Budynek został uszkodzony i bałam się w nim mieszkać. Teraz już go niema. To był dom 4-piętrowy, nawet wchodziliśmy opalać się na dach. W środku została zrobiona kapliczka, ale nie pamiętam, czy z Matką Boską. Klatka schodowa powstała z drewna, z zewnątrz budynek miał siwy kolor. Mieszkałam w 3 pokojach, z kuchnią i łazienką. W tej ostatniej była wanna i piec. Mogłam napalić i mieć ciepłą wodę. Pewnego razu przyszedł nawet pan, który remontował Sanatorium i zapytał, czy nie oddam tego pieca, bo tam jest bardziej potrzebny. Zgodziłam się na to. Meble zbieraliśmy – gdzie coś się znalazło, a nam się przydało, to zabieraliśmy do domu. W tym budynku mieściła się milicja, gdzie mąż został zatrudniony. Takim sposobem dostałam to mieszkanie. Na dole urządzono posterunek, a u góry mieszkaliśmy my oraz pan Bodek po sąsiedzku – był komendantem. Z sąsiadami bardzo dobrze żyliśmy, na rynku też miało się dużo znajomych, jak chociażby pan Bobowski, co jabłkami handlował. Do dyspozycji stał ogród, sady na ulicy Obrońców Westerplatte. Mogłam sobie posiedzieć i pobawić się z dzieciakami. W stronę szkoły nie istniały obecne budynki jednorodzinne, tylko znajdowały się sady.

Z czasem zaczęto świętować. 22 Lipca był wielkim wydarzeniem – Prabuty ludźmi zasypane! Z ulicy W. Jagiełły szedł cały przemarsz, aż do rynku. Tam ustawiano trybunę, na której przemawiano. Przyjeżdżały samochody z cukierkami, bułkami dla dzieci. Orkiestra grała muzykę. To było wielkie święto, jak Gwiazdka albo Wielkanoc! Każdy ubrany elegancko, czyściutko, kapelusik miał na głowie. W takie dni ludzie umieli wesoło paradować!

Proboszcz Klimuszko odwiedzał mnie i nie raz gościł się w naszym domu. Mąż dowiedział się od przełożonych, że jakiś ksiądz ma przyjechać do Prabut. Miał akurat służbę i zbiegiem losu przywitał Ojca Klimuszkę na stacji. Przyszli do naszego domu i on powiedział do mnie: „Ty dzieciaku masz już dzieciaka?! Toć ty sama dziecko jesteś!" – byłam młodą mamą, miałam 17 lat, a chłopczyk mój już prawie roczek. Trochę mnie tam zbeształ: „To mama jest winna! Po co wydawała ciebie tak prędko za mąż?!". Małżonek odezwał się wtedy: „To ja jestem winny..." – i tak został u nas. Zrobiłam obiad, zjadł i mąż zaprowadził go na plebanię, do kościoła. Nie było tam ładnie, gdy ci Rosjanie poniszczyli wszystko. Jako człowiek był bardzo miły, trochę rudawy, trochę łysy. Mnie to nie bardzo przywitał (śmiech), ale mówił: „Chowaj synka, chowaj!". Później mąż chodził do niego, gdy ten coś potrzebował. Jak ksiądz już urzędował, to się starał przywracać obrzędy, tradycję opłatka, itd. Pamiętam, że musiał uciekać. Nie podobał się władzom, za dużo mówił, za dużo kompromitował. Klimuszko był bezpośredni – co miał na myśli, to sypał i już! Nie obchodziło go, czy tobie się podoba, czy nie. Mąż z Jurewiczem wyprowadził go z miasta, dalej wsiadł do pociągu i wyjechał. Władze utrudniały dostęp do wiary, zabraniali. W szkole mówili, żeby nie chodzić do kościoła, a jak się szło, to grupka już stała i się naśmiewała. Między innymi dlatego mąż odszedł z milicji. Przecież służbę miał dobrą i pieniążki, ale musiał zrezygnować.

Miałam styczność z autochtonami. Pani Jordanowa pomogła mi wychować dzieci. Mieszkała po sąsiedzku, była Niemką, ale przyzwyczaiłyśmy się jedna do drugiej, jak rodzina. Pamiętam też dwie panienki, Niemki – mieszkały na posterunku. Myślały stale, jak wydostać się z Prabut, zdobyć parę groszy na bilet i uciec. Udało się – w nocy powstawały do ucieczki. Musiały iść przez cmentarz, choć się bały, jak to dziewczyny. Mąż odprowadził je zatem do stacji i odjechały. Został za to ukarany, bo akurat miał służbę i je puścił. Powstało przez to trochę kłopotów. Poniekąd nie czułam się bezpiecznie. W Tczewie takich ludzi nie widziałam,

jacy tu przyjeżdżali. Zza Buga przybywali i nas nienawidzili. Mnie tym bardziej, bo gdy Niemkę spotkałam i odpowiadałam po niemiecku, to od razu sama Niemką byłam! Po rosyjsku też umiałam mówić – za młodu pracowałam z Niemcem w kuchni, a w polu z Rosjanami. Miałam chęć się uczyć, więc dodatkowe języki opanowałam. Mąż też umiał porozumieć się po niemiecku, bo 5 lat pracował w Niemczech. Dodatkowo w Prabutach stacjonowali Rosjanie. Niech ich cholera weźmie, to najgorszy naród na tym terenie! Było ich trochę w Sanatorium. Tam mieli swój szpital weneryczny – chodzili i szukali okazji do gwałtu. Władza nie miała nic do gadania, co chcieli to robili. Niczego dobrego nie można było się spodziewać. Dla przykładu, na stacji leżał Rosjanin, pijany jak bela. Chciał wejść do pociągu, a gdy ten ruszył, dostał się pod koła – była afera. Bardzo źle zapisali się w mojej pamięci. Za czasów niemieckich, cały szpital w Sanatorium był przepełniony wojskowymi Niemcami – ludźmi chorymi, postrzelonymi czy kalekimi. Jak Rosjanie przyszli, to czy był zdrów czy nie, wszystkich pozabijali. Niemcy prosili: „Nie ubijajcie nas! Nie ubijajcie nas! My żyjom jeszcze!" – a oni... wszystkich! Ile tych żołnierzy niemieckich było, tak krew toczyła się na samo podwórze bez wyjątku. Mąż mój płakał i się żalił: „A co ten żołnierz był winien...".

Milicja sprawowała porządek. Mąż trzy razy był wywieziony, bo sprzeciwiał się w pracy. Trzykrotnie „siedział" po trzy dni. Musiałam jeździć i go odwiedzać, albo ratować. Powiedziałam, że dzieci są chore, a ja sama nie dam rady. Donosy pojawiały się regularnie, dużo tego było. Kilka osób zęby potraciło. Byli ludzie i ludziska, tak jak są i teraz. Gdy milicjanci złapali, to już się nie wywinęło. Dlatego mąż ratował często z opresji. Jednego razu wyciągnął małżonka pewnej pani i jej syna z więzienia – bardzo pomagał. Jak go zwolnili z tej milicji, wówczas ludzie zeszli się do domu, by mu podziękować. Gdy umarł, nie było człowieka, żeby nie przyszedł na cmentarz! Niestety mąż za dużo mówił i za dużo ratował...

Jadwiga Tomaszewska

10 października 1928 roku przyszłam na świat we wsi Jasieniec – gmina Dąbrowica, powiat Sarny. Podobnie jak ja, rodzice pochodzą z Jasieńca. Byli gospodarzami, oboje pracowali na roli. Za Bugiem rozpoczęłam też szkołę w wieku 7 lat. Ukończyłam tylko 2 klasy. Potem nastało 7 lat wojny, więc ze szkoły nic nie miałam. Siostra, która 2 lata wcześniej rozpoczęła edukację, musiała chodzić do innej wioski, bo nie było jeszcze szkoły na miejscu. Ja natomiast miałam już blisko – w Jasieńcu. Panowały bardzo dobre warunki. Nauczał Pan Bernard Kieszkowski – był oficerem w wojsku, a wyznaczyli go na nauczyciela. Tak się starał, zorganizował przedszkole i zaopatrzenie. Dostawaliśmy różne paczki. Budynek szkoły był wynajęty, duży pokój, 2 rzędy ławek, tablica – jak w klasycznej szkole. Kupowało się podręczniki w języku polskim, zaopatrywał nas ten nauczyciel. Religia również była w języku ojczystym. Polskie dzieci i ukraińskie chodziły razem, wszystkie jednakowo. Zaczynaliśmy od pacierza. Nawet Ukraińcy doceniali działania Pana Kieszkowskiego, chcieli się przyłączać i nie jeden przechrzcił się na Polaka. Niestety, za mało czasu było dla tej Polski...

We wsi było więcej ukraińskich mieszkańców niż Polaków. Początkowo panowała zgoda przez te wszystkie lata. Później jednak, Niemcy namówili Ukraińców, żeby im pomagać. Tak się porobiło, takie niedobre czasy nastały, że nie wiadomo co – musieliśmy uciekać, chować się do lasu. Kiedyś nikt by nie pomyślał, że będzie

jakaś niezgoda. Ukraińcy, którzy tatę lubili, ostrzegali go: „Michał wyjeżdżaj! Uciekaj, bo napad taki w tamtych wioskach porobili na Polaków!”. Byli i tacy ludzie, co sprzyjali nam w ten smutny czas... Później była zmiana i wszystko zabrali Rosjanie. Wtedy jeszcze miesiąc czasu chodziłam do rosyjskiej szkoły. Pamiętam, jak literki przeinaczało się, z polskich na rosyjskie. Potem znowu nastały niemieckie czasy. Moment nadejścia frontu był okropny. Zaraz zaczęły spadać wszędzie bomby, mosty zrywano znienacka. Pamiętam, jak mama krzyczała, że jest wojna. Wyjechaliśmy do miasta, a tam Niemcy zabierali ludzi do swojego kraju.

Przybyłam na miejsce w ramach wywozu ludności do pracy, na ówczesne tereny niemieckie. Przewieziono nas pociągiem do Gniewu, z naszej rodzinnej miejscowości. Na miejscu czekał na nas Niemiec z furmanką – gospodarz, który całą rodzinę wziął do siebie na gospodarkę. To była miejscowość Sprauden – z niemieckiego, po polsku Szprudowo. Tam przez 22 miesiące pracowaliśmy w ramach tak zwanych robót przymusowych. Tatuś zakładał, że odczekamy rok po wojnie, aby móc odnaleźć całą rodzinę. Dopiero wtedy pojedziemy tam, gdzie będziemy chcieli. W tym okresie moja siostra została wywieziona daleko do Niemiec, do fabryki. Niestety tatusia rozstrzelali Niemcy w czasie frontu i zostaliśmy sami. Czekaliśmy rok czasu w Szprudowie i tam nas odnaleźli kuzyni – jak to po wojnie, jeden drugiego szukał. Udaliśmy się do Rodowa.

Wszystkim było ciężko. Posiadaliśmy jedynie krówkę, mama ją gdzieś skombinowała. Żyliśmy w czwórkę rodzeństwa: brat, 2 siostry oraz ja. Mieliśmy wtedy po 17, może 18 lat. Trzymaliśmy się razem, jak tylko mogliśmy. Cieszyłam się, iż przeżyłam taką biedę – jak za Bugiem były napady na Polaków, to człowiek doceniał, że ma spokój i swoje życie ocalił. Poczuliśmy się bezpiecznie. Nie mogło być nic gorszego od zdarzeń z Jasieńca – paraliżujący strach. Potem wszędzie czułam się jak teraz, bezpiecznie. Człowiek wyczekiwał tylko lepszego życia. Zakwaterowaliśmy się początkowo w niewielkim mieszkanku, aby mieć dach nad głową. Później mama postarała się o 8 hektarów ziemi. Jak chcieliśmy udać się do Prabut, to trzeba było iść na piechotę 12 kilometrów. Przychodziliśmy do kościółka, tego koło plebani, a czasem do Mikołajek, bo tam było troszkę bliżej. Młodzież wybierała się w grupie i tak szliśmy w czterech, sześciu. Mieliśmy mało ubrań, więc jeden drugiemu pożyczał, żeby ładnie ubrać się do miasta. Prabuty były dla mnie nieciekawe. Nic tam nie było, tylko kupa gruzów. Nieraz konie padały, gdy jeździliśmy pod górę na ulicy Kraszewskiego – tak było ślisko, nie tylko zimą. Przyjeżdzaliśmy wówczas na rynek zorganizowany dookoła lwów. Tam można było dostać, co kto tylko miał do sprzedania: kurę, kaczkę pod pachą i jaja.

Nastał czas, w którym przeniosłam się bezpośrednio do Prabut. Zamieszkałam na ulicy Warszawskiej, w części zbliżonej do ulicy Malborskiej. Stał tam taki budyneczek, bardziej roboczy. Zadbany, bo ogrodnik już tam mieszkał – pan Paradowski. W mieszkaniu, które dostałam, było przytulnie – dwa pokoje i trzeci taki mały. W kuchni znajdował się zlew i bieżąca woda. Łazienki nie mieliśmy, jedynie wychodek na dworze. W szklarni było już światło, centralne ogrzewanie. Brakowało umeblowania, tylko same ściany. Przywieźliśmy sobie szafę, ławę i stół. Dopiero wtedy człowiek po troszku się urządzał. Nie mieliśmy wielu sąsiadów, tylko ogrodnicy przychodzili do pracy. W tym miejscu znaleźliśmy się dzięki panu Szafrańskiemu – świetny człowiek! Był kiedyś zarządcą w mieście. Wskazał dla nas w ogrodnictwie to mieszkanie, bo było zapotrzebowanie na pracę. Mój mąż zyskał posadę dozorcy, a ja stałe zajęcie. Sprzedawałam rośliny, kwiaty, kapustę, buraczki. Pojawiły się też trudności, przypominam sobie donosy. Ludzi, którzy się tym zajmowali, nazywało się „cichaczami”. Podsłuchiwali pod oknami i pomawiali. Jednego razu byłam w pracy na dyżurze nocnym. Przyszła kontrol – milicja z takim „cichaczem”. Miałam wtedy służbowe radyjko i słuchałam zza granicy „Wolnej Europy”. Nie wolno było odbierać tej stacji, ale ja sobie włączałam. Cieszyłam się, że tam rozmawiali w polskiej sprawie

i nie partyjnym językiem. Każdy się bał, ale chciał słuchać i mieć jakieś informacje. Przesłuchano mnie: „A co pani słucha?! Zza granicy?!” – odpowiedziałam: „Muzyki słucham, bo jestem dziś sama!”. Za to, że słuchałam, sporządzono notatkę, iż spałam w pracy. Rano udałam się do dyrektora: „Proszę, mam świadków! Było 2 panów z Susza, do pieca centralnego zaglądali, a przyszła władza i na mnie nakłamali” – takie były czasy.

Miło wspominam Boże Narodzenie. Obchodziliśmy je po „zabugańsku” – sianko pod obrus i troszkę pod stół. Na wigilię starałam się, żeby jakaś pieczeń była. Pamiętam jeszcze za Bugiem, jak mama szykowała potrawy, tak tutaj człowiek też się starał odtworzyć. W latach późniejszych pojawiły się moje dzieci, piątka ich była. Nie miałam wtedy czasu dla siebie – jak trzeba było na tarze prać, to był sport prawdziwy! (śmiech).

Janina Zelmańska

Z domu Sadowska. Urodziłam się 19 czerwca 1919 roku, w Stanowiskach koło Włoszczowy. Ojciec nazywał się Edward, a matka Marianna Łaskawska (nazwisko rodowe). W domu rodzinnym mieszkałam do 16 roku życia, w Stanowiskach uczęszczałam do szkoły. W mojej rodzinie panowała bieda, dlatego zostałam zmuszona do podjęcia pracy. W wieku 16 lat wyjechałam do Warszawy w poszukiwaniu zatrudnienia. Trafiłam do rodziny żydowskiej, która traktowała mnie bardzo dobrze. Czułam się u nich jak w rodzinie. Z najstarszą z Żydówek polubiłam się i zżyłam do tego stopnia, że na łożu śmierci prosiła o moją obecność przy sobie. Do wybuchu wojny pracowałam w ich bardzo eleganckim sklepie z futrami, gdzie zajmowałam się drobnymi przeróbkami. Kiedy jednego z tych Żydów zamknięto na Pawiaku[330], to trzeba było zanosić mu paczki żywnościowe, jednak nikt z rodziny, ze strachu przed represjami lub aresztowaniem, nie odważył się podjąć tego zadania. Wysyłali więc mnie, młodziutką wówczas jeszcze kobietę. Ja przekazywałam mu te paczki.

Czas wojny spędziłam w Warszawie, jednak kiedy żydowska rodzina nie mogła dalej prowadzić sklepu, musiałam podjąć zatrudnienie w szpitalu, który został przejęty przez Niemców. Służyłam tam za tłumaczkę, mimo że sama niezbyt dobrze znałam

330 Nieistniejące już więzienie w Warszawie.

język niemiecki. Do tego szpitala trafiali chorzy i ranni różnych narodowości. Jako pracownica posiadałam przepustkę i mogłam się w miarę swobodnie poruszać po mieście. Dzięki niej uratowałam życie koleżance, kiedy podczas łapanki przeprowadziłam ją bezpiecznie przez plac, na którym gromadzono polską i żydowską ludność. Pamiętam Powstanie Warszawskie, ale słabo. Cały czas ukrywałam się w piwnicach z innymi ludźmi. Utkwiło mi w pamięci tylko jedno zdarzenie, kiedy ktoś poinformował o zdobyciu niemieckiego czołgu. Gdy wszyscy do niego podbiegli, okazało się, że był zaminowany i doszło do wybuchu. Wszystko rozleciało się w pył, a ja zostałam z niczym, tak jak stałam. W ostatnich miesiącach wojny, gdy Warszawa została już doszczętnie zniszczona, zaczęto masowe wywózki ludności. Dostałam się do jakiegoś transportu, zapakowano nas do wagonów i wieziono do obozu w Oświęcimiu. W okolicach Częstochowy transport został zatrzymany. Dzięki temu, mnie i jeszcze paru osobom udało się uciec. Ukryliśmy się w rosnących na pobliskim polu kartoflach. To zdarzenie nie tylko pozwoliło mi ocalić swoje życie, ale także mogłam pieszo dotrzeć do swojej rodzinnej miejscowości – Stanowisk, gdzie nadal mieszkała moja matka.

Panowała straszna bieda, potrzebna była jakakolwiek praca, aby móc jakoś przeżyć. Ktoś z sąsiadów zaproponował, abym spróbowała zapytać o pracę księdza mieszkającego w sąsiedniej wiosce. Był to Czesław Klimuszko, który uciekł z Warszawy po prześladowaniach i aresztowaniu jego zakonu. Ksiądz przygarnął mnie na plebanię, gdzie w zamian za utrzymanie prowadziłam gospodarstwo domowe. Z końcem wojny księdzu wyznaczono probostwo w Prabutach. Wróciłam zatem do Warszawy, gdzie miałam pracować jako kelnerka w kawiarni. Ksiądz Klimuszko napisał prośbę, żebym do niego przyjechała, ponieważ bał się o mnie i uważał, że w tej pracy nie będę dobrze traktowana przez mężczyzn, a jemu w Prabutach była potrzebna gosposia. Zgodziłam się przyjechać do Prabut. Znałam księdza i mu ufałam, a w Warszawie nic mnie nie trzymało. Wsiadłam w pociąg i tak dotarłam do swojego

nowego miejsca zamieszkania. Nawet nie przypuszczałam, że w tym mieście spędzę resztę swojego życia.

Gdy przyjechałam do miasta, to zastałam ruiny, było pełno gruzu. Z opowieści przedwojennych mieszkańców wynikało, że przed wojną i jeszcze długo w czasie jej trwania, miasto wyglądało bardzo pięknie. Zniszczeń dokonali Rosjanie, którzy jeszcze jakiś czas po wojnie stacjonowali w Prabutach. Jeden z nich dosyć często odwiedzał księdza na plebanii. Niemców mieszkało niewielu. Nie było wody, mieszkańcy samodzielnie kopali studnie i podłączali pompy. Brakowało też elektryczności, przyświecano sobie słabo oświetlającymi lampami – karbówkami. Wnętrze kościoła zostało bardzo zdewastowane, kielichy porozrzucane wśród ogromnej ilości śmieci. Katedra prawie w ogóle nie istniała. Miejscowi chętnie pomagali w porządkowaniu świątyni. Ksiądz własnymi siłami i przy pomocy wiernych odbudowywał kościół – obecnie pod wezwaniem św. Andrzeja. Po środki finansowe jeździł osobiście do Warszawy. Do dzisiaj pamiętam, jak musiałam wspinać się wysoko na drabinę przy odbudowie wieży kościelnej. Plebania znajdowała się w tym samym miejscu, co obecnie. Było bardzo biednie. Plebanię utrzymywano z bardzo skromnych datków wiernych, ale praktycznie nic nie można było kupić. Ludzie chętnie przynosili mleko, warzywa, umawiali się nawet między sobą, kto, kiedy i co przyniesie. Ksiądz Klimuszko odwiedzał parafian w ich domach. Chętnie go przyjmowano. Ludzie zwracali się do niego z prośbami o odnalezienie zaginionych w czasie wojny bliskich. Wiedzieli, że duchowny potrafi wskazać z dużym prawdopodobieństwem miejsce ich pobytu. W tym czasie nie mieliśmy praktycznie dostępu do lekarzy, dlatego mieszkańcy chętnie korzystali z zielarskich umiejętności księdza Klimuszki. W tym czasie miasto zaczęto zasiedlać Kresowianami. Krótko po wojnie posterunek milicji znajdował się koło kościoła. W mieście były też sklepy, odbywały się targi. Właścicielem sklepu wędliniarskiego był Mejka, sprzedawał bardzo dobre wyroby. Jego sklep mieścił się przy obecnej ulicy Kraszewskiego 7, w małym

domku, w którym mieszkał z rodziną i miał masarnię. Piekarnię mieli Gruźlewscy, także przy obecnej ulicy Kraszewskiego 26. Najbliższy sąd znajdował się w Iławie.

Za probostwa księdza Klimuszki uroczystości kościelne obchodzono bardzo uroczyście. Do mszy służyli już ministranci, szczególnie zapadły mi w pamięci procesje Bożego Ciała. Pogrzeby także były bardzo uroczyste. Zmarłych chowano na cmentarzu przy obecnej ulicy Daszyńskiego. Parafianie wszystkie sprawy i problemy omawiali bezpośrednio z księdzem. Wierni słuchali swojego proboszcza. Jak wyprawili zabawę w ostatki (od godziny 24 zaczynał się Wielki Post), to o północy ksiądz szedł z organistą na tę zabawę i wszystkich rozganiał do domów. Stał się wielkim autorytetem, ludzie go szanowali. Zabawy odbywały się wtedy w hotelu (obecnie budynek PCKiS oraz MGOPS). Jedyną instytucją kulturalną był z początku chór kościelny. Młodzi ludzie jeździli po sąsiednich parafiach z występami, organizowali sobie spotkania, kuligi, potańcówki. Z czasem w Prabutach zaczęto obchodzić także uroczystości państwowe. Mieszkańcy stroili miasto, przygotowywali flagi. Mimo zakazu, bardzo regularnie słuchano Radia Wolna Europa.

Organistą w parafii w Prabutach był pan Czesław Zelmański. Został założycielem chóru kościelnego, o którym już wspominałam. Mieszkał ze swoją siostrą, moją imienniczką (ur. w 1919 r.), panną. Pan Zelmański pochodził z Grabowa koło Lubawy. Wracając z niewoli, trafił do Prabut, gdzie okazało się, że ksiądz szukał organisty. Najął się więc, ponieważ potrafił grać na organach. Stale zachodził do mnie na plebanię, zawsze miał coś miłego do powiedzenia. Ksiądz Klimuszko pewnego dnia powiedział: „A ile ty tu jeszcze będziesz zaglądał, żeń się z nią i koniec!" – „A jak ja mam się żenić, jeśli nawet garnituru nie mam?" – zapytał organista. „To ja ci dam swój" – ksiądz zawsze znalazł wyjście z każdej sytuacji. Ubrał go zatem i tak wzięliśmy ślub w 1948 roku. Naprzeciw kościoła – obecnie mieści się tam kwiaciarnia – była organistówka, w której

mąż mieszkał ze swoja siostrą. Po ślubie wprowadziłam się do niego, a jego siostra przeniosła się na plebanię i zaczęła prowadzić gospodarstwo domowe księdza. W 1949 roku urodził nam się syn Zdzisław, w 1953 r. – córka Elżbieta, a w 1957 r. – Łucja.

Uważam, że w tym czasie było dosyć bezpiecznie w Prabutach, choć raczej zwracano uwagę na to, z kim i o czym się rozmawia. UB bardzo często niepokoiło księdza Klimuszkę. Mojego męża coraz to wzywano do parku i wypytywano o działalność księdza, o czym mówił w kazaniach. Nakłaniano go do współpracy. Za każdym razem prosił księdza o ostrożność i zwracanie uwagi na to, co mówi. Zawsze najpierw uprzedził księdza, uzgodnił wersję, a dopiero wtedy szedł na spotkanie z UB.

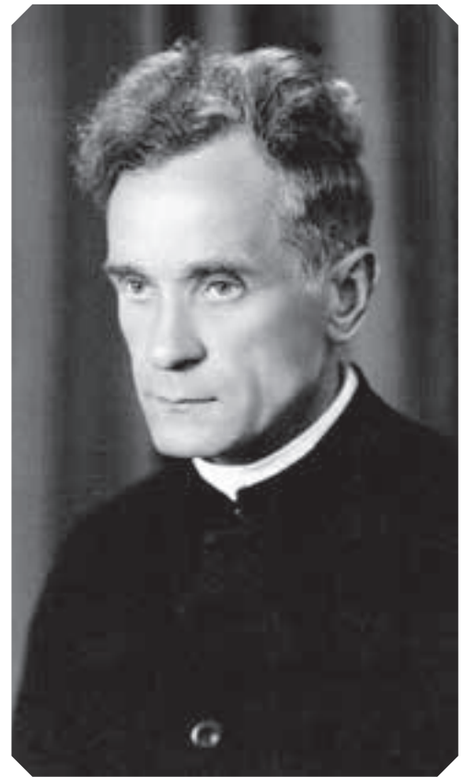

WIZERUNEK KSIĘDZA CZESŁAWA KLIMUSZKI, FOTOGRAFIA Z DEDYKACJĄ: „Janinie Zelmańskiej na pamiątkę wielu przeżytych koszmarnych i dobrych wspólnie lat, na stare lata dobrze jest przypomnieć o tym, co bezpowrotnie minęło, aby się przygotować tym lepiej do tego, co ma nastąpić w zamglonej przyszłości. (arch. prywatne J. Zelmańskiej)

Krystyna
Wrzosek

Urodziłam się 10 kwietnia 1933 roku na Wołyniu, w miejscowości Huta-Perejma. Rodzice również pochodzą z tej wsi i tam też mieszkali. Ojciec był zawodowym żołnierzem. Mama zajmowała się domem, nie pracowała – kiedyś to nie było modne.

Pamiętam 1939 rok. Mieszkaliśmy wówczas dwa kilometry od stacji. Znajdowało się tam Wojsko Polskie. Nadleciały samoloty, były tak bardzo nisko. Wyszłam pomachać, jak to dziecko. Przeleciały nad nami i zaatakowały tamto wojsko – wszystkich wytłukli. A ja tak machałam, bo myślałam, że to Polacy... Tak się u mnie zaczęła ta wojna. Gdy nastały bombardowania, zaczęliśmy uciekać na noc do lasu. Ojciec znalazł taką wysepkę, trzeba było dopłynąć i tam nocowaliśmy. Tato na plecach płynął i nas transportował. Podobo Niemcy obiecali Ukraińcom własną Ukrainę i dlatego zaczęli nas mordować. Na miejscu pozostało stare małżeństwo ukraińskie, które nie chciało uciekać. Zostali więc zamordowani, przyszli ich „bracia" – jak ja ich nazywałam. Gdzieś na poddaszu się schowali i tam ich poduszono. My uciekliśmy z Huty-Perejmy do Saren. Bałam się, bo naloty na miasto rozbiły nasz dom. Ojciec był całe życie w wojsku, a bomba zegarowa leżała pod drzwiami. Tak, jak w dom wpadła, tak została dziura, bo belka się urwała. Ojciec wynosił nas przez okno, mnie i siostrę, bo byłyśmy ranne. Wojskowy człowiek, a nie zobaczył co ma przed sobą. W ogóle nie chciał iść do schronu. Na naszym podwórku, oddalony o parę kroków stał schron, i to taki silny, że nawet bomba by go nie ruszyła. Mimo wszystko ojciec nie chciał się tam udać. Ja krzyczałam, bo strasznie się bałam. W końcu zaczął nas nosić w bezpieczne miejsce. Siostra chciała siusiu, dał jej nocniczek i rzekł do matki: „Przecież ona jest w piżamie!". A mama odpowiedziała: „Kiedy miałam ich ubierać? Przecież ona w kocu, nie zmarznie" – to był marzec. Ojciec wrócił po ubrania dla nas i zginął. Gdy bomba wybuchła koło niego, on w ręku trzymał nasze rzeczy. Tyle z niego zostało... Okropna ta wojna – wolałam suchy chleb, nawet głodować, byle tylko był spokój.

W 1945 albo 1946 roku wyjechaliśmy stamtąd transportem do Kwidzyna. Nikt tam nie miał zamiaru wysiąść, bo gospodarze nie chcieli do miasta, tylko na wieś. Zawieźli więc cały transport do Gdakowa. Mama zajęła sobie na miejscu domek, posprzątała wszystko, ale nasza rodzina zabrała ją do siebie. Gdy ojciec zginął, zaczęła starać się o rentę. Dostała 350 zł, bo my się jeszcze uczyliśmy. Ja jednak mało mieszkałam w Gdakowie, zaraz odnalazła się moja ciocia. Ona również wyjechała z Wołynia, zamieszkała w Warszawie i zabrała mnie do siebie.

Miałam już 12 lat, gdy poszłam u niej do szkoły. Na Wołyniu skończyłam tylko trzecią klasę, rozpoczęła się wojna i już dalej nie chodziłam. Jak pojechałam do Warszawy, to wiekowo powinnam pójść do szóstej klasy – i tak się stało. Co za katorgę ja tam przeszłam! Na szczęście nauczycielka była taka dobra. Wzięła mnie do tablicy i pokazała mi mapę – pierwszy raz takową widziałam. Poprosiła, żebym pokazała Morze Bałtyckie. Logiczne pomyślałam, że jak woda, to musi być na dole. O Jezu, jaki krzyk! – jak to Warszawiacy. Nauczycielka stuknęła linijką w swoje biurko i krzyknęła: „Cisza! Pierwszy i ostatni raz, żebym od was takie zachowanie słyszała! To jest wasza koleżanka, przyjechała zza Buga i proszę się tak nie zachowywać!" – no i uciszyła. Później nie miałam już problemów. Uczyłam się pisać po polsku, bo na Wołyniu, do tej 3 klasy, nawet matematyka była po rosyjsku. Koleżankę prosiłam, żeby pisała mi po polsku. Ręce mi puchły, lecz musiałam uczyć się liter od początku. To było straszne, ale siódmą klasę kończyłam już z samymi piątkami. Wróciłam do Gdakowa, na wakacje do mamy, która mieszkała z moją siostrą i bratem. Siostra skończyła liceum przedszkolanek i dostała staż pracy w Tczewie, na trzy lata. Była później kierowniczką, skończyła jeszcze studia. Teraz jest już na emeryturze. Brat natomiast nie żyje, zmarł młodo z powodu choroby. Z Warszawy tak napradę uciekłam od cioci, ponieważ w Gdakowie zapoznałam przyszłego męża. Opowiadał, że gdy przyjechali, to Prabuty stały puste i można było sobie wybierać miejsce do zamieszkania. Jego rodzina zajęła ładny budynek

w dzielnicy domków za cmentarzem. Gdy teść wrócił z wojny, nastał „koniec świata" – chciał iść na wieś, a gdzie oni nadawali się na rolę, jak nigdy ziemi nie mieli. Mąż zawsze żalił się, że rodzice ich tak ciągali za sobą – miał jeszcze siostrę i brata. W każdym razie ostatecznie zamieszkali w Gdakowie. Zapoznałam męża, więc do Warszawy nie było powrotu. W Prabutach uczęszczałam rok do szkoły. Z Gdakowa przychodziłam na piechotę, przez Gonty do szkoły zawodowej, gdzie uczyłam się szycia. Zakonnice nas prowadziły, uczyły praktyki. To były takie świeckie siostry zakonne, bo nie chodziły w habitach, tylko po cywilnemu. Szkoła nie podobała mi się, to mama mnie tak wpakowała – chciała mieć krawcową, ale to nie dla mnie. Ja nie lubię szyć, a nawet igły trzymać. Gdy mąż poszedł do technikum w Malborku, ja szybko podążyłam za nim. Później skończył szkołę zawodową i już dalej

PAMIĄTKA SZKOLNA MĘŻA, ZDJĘCIE PRZED WEJŚCIEM DO PUBLICZNEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ W PRABUTACH, ROK 1947
(arch. prywatne K. Wrzosek)

nie kontynuował nauki, a ja koniecznie chciałam się uczyć. Pomimo pracy i trójki dzieci, jeszcze połowę studiów zrobiłam, ale ostatecznie ich nie dokończyłam. Mąż ciągle mówił, że mam się dalej edukować, jednak szkoda mi było, że musiał zostawać sam z dziećmi.

W Prabutach zamieszkałam na stałe w 1954 roku. Zaraz po przyjeździe z Gdakowa szukałam mieszkania. Zapłaciłam 800 zł odstępnego nieznajomemu mężczyźnie. Wziął ode mnie pieniądze i poszedł na posterunek powiedzieć, że samowolnie zajęłam mieszkanie na ulicy Chopina. To był kapuś. Rankiem chciano mnie wyrzucać – jak się okazało, przyszedł zaprzyjaźniony kolega. Zorientował się w sprawie, zabrał się i poszedł, a ja z mężem zostałam. W tym całym zamieszaniu przyznano komuś to sporne mieszkanie. Przyjechała kobieta z malutkim dzieckiem i całym dobytkiem. Wynajęła wóz, cały zapakowany i z małym niemowlęciem na ręku stanęła u naszego progu. Marzec – taka mżawka na dworze – żal mi się zrobiło tej kobiety. Wpuściłam ją, bo miałam dwa pokoje. Pół roku tak mieszkaliśmy, we dwie rodziny, nie kłóciliśmy się wcale. Ona żyła w jednym pomieszczeniu, a my z mężem w drugim. Później znalazłam inne lokum, do dziś jeszcze istnieje. Były to dwa piękne pokoje, tylko brudne. W kuchni zastałam oberwany sufit, zakleiłam go grubym brystolem, żeby mi do jedzenia nic nie wpadło. Sąsiedzi byli życzliwi, ale tak biedni, że mi podkradali. Robili to „uczciwie", bo panowała bieda. Jednego razu sąsiadka odkroiła ukradkiem kawałek z mojej słoniny – część mi zostawiła, ale sobie też uczknęła. Rano wstawała i w fartuszku wynosiła moje drzewo. Jak gdzieś pojechałam, to klucz jej zostawiałam – po powrocie wszystko było już przedzielone. Przymykałam na to wszystko oko. Gdy zamieszkałam na tej ulicy Akacjowej, posądzono mnie o samowolne zajęcie mieszkania, ale na tym poprzestano. Mąż podłączył dla nas wodę, poprowadzając odpowiednią instalację. Mieliśmy tym samym jako pierwsi dostęp do bieżącej wody na Kolonii, choć bez odpływu. Ile razy zalało kuchnię, bo człowiek nie przypilnował podstawionego wiadra.

Moją pierwszą pracę podjęłam jako ekonomistka w Gromadzkiej Radzie Narodowej za Suszem. Na początku zarabiałam 400 zł, będąc na okresie próbnym. Później najmniejsza pensja wynosiła 800 zł. Dla porównania, jak mnie do „Świtu" później zabrano, to dostałam 1600 zł od razu. Gromadzka rada zajmowała się sprawami wsi, całe gminy jej podlegały. Skończyłam technikum ekonomiczne i pracowałam jako ekonomista. Rozliczałam sołtysów – oni powinni sami to robić, a ja tylko sprawdzić, ale który z nich był wtedy taki pisemny? W podziękowaniu za pomoc, dostawałam od nich czekolady, często zjadane przez przewodniczącego sekretarza. Gdy to zobaczyli, zamienili słodkości na 20 zł. Siedziałam również w komisjach wyborczych. Przechodziłam szkolenia i wydawałam kartki do głosowania. Należało obserwować, czy głosujący ową kartkę wrzucił, czy też ją podarł i umieścił w koszu. Później liczyłam te głosy do północy.

Pamiętam, że mąż odgruzowywał Dom Nauczyciela. Boże drogi, ile on narobił się tych dniówek! Miasto szybko się odbudowywało. Istniały wówczas „czyny społeczne", na które szliśmy całymi zakładami. Nie stawiano oporu, bo ludzie mieli poczucie obowiązku. Ja też uczestniczyłam – układaliśmy chodnik z Prabut do Sanatorium, chyba z tydzień. Bardzo dużo zrobiliśmy, park koło cmentarza też sprzątaliśmy. Ze sklepów przypominam sobie ten, na dole ulicy Kraszewskiego, naprzeciw schodów. Pan Lech prowadził sprzedaż odzieży. Nawet taką anegdotę związaną z tym miejscem mogę przytoczyć, bo to na pewno była prawda. Przyszła pani ze wsi na zakupy i powiedziała: „Proszę pana, czy ma pan taki żakiet za d**ę?" – zapytała potocznie. Sprzedawca odpowiedział: „Przepraszam bardzo, za d**ę nie, tylko za pieniądze!" – (śmiech). Tak po Prabutach krążyła historia z tego sklepu, że się śmiano chyba z pół roku – no bo jak miała wytłumaczyć kobieta ze wsi, że potrzebuje garderobę zakrywającą biodra. Nieco wyżej mieścił się sklep z wędlinami pana Mejki. Tam mogłam kupić bardzo dobre wyroby. Natomiast tuż przy rynku z fontanną był jeszcze dom towarowy.

Jeżeli chodzi o rozrywki i życie towarzyskie, to spędzałam czas w Sali Miejskiej. Nieraz i pod ścianą stałam, bo nie mogłam nawet gdzieś usiąść. Mój mąż jednak za tym nie przepadał. Czułam się pokrzywdzona, ponieważ on nie lubił tańczyć. W drodze z pracy zachodziliśmy do kawiarni „Pod Jeleniem". Bardzo lubiłam piwko z pianką. Miło wspominam też obchody 1 Maja. Ludzie krzyczeli, że to święto komunistyczne, ale dla mnie było ważniejsze niż niedziela. Wtedy tak naprawdę odpoczywałam, bardzo mi się podobało. Szłam taka dumna w pierwszym szeregu, a naokoło bili brawo. Gdzie by tam Wrzoskowa była z tyłu! Mąż był zwolniony z uczestnictwa, gdyż pracował w Malborku. Ale jednego roku musiał pójść, i to w mundurze, bo pracował jako kolejarz. Sama mu tam pracę załatwiłam – chciałam męża w mundurze, a żadnego wojskowego nie zapoznałam, to chociaż kolejarza się udało! Należałam do tej najgorszej partii – PZPR. Jednak nikt mnie nigdy nie zawołał na dywanik. Byli tacy dygnitarze, tak ich nazywałam,

POCHÓD 1 MAJA, ROK 1949 (arch. prywatne K. Wrzosek)

ale nieszkodliwi – nie robili nikomu przykrości. Tak samo wyglądała kwestia religii. Broń Boże, żeby ktoś z partii kiedykolwiek powiedział mi, żebym nie chodziła do kościoła. Nie bałam się, bo nikomu krzywdy nie robiłam i nikogo nie wyzywałam.

Podsumowując tamte czasy, mam taki charakter, że mi było dobrze. Ja nie narzekałam, chociaż nie uświadczyłam luksusów. Przeżyłam wojnę i stwierdziłam, że gorzej mi już nie będzie. Miałam dobrego męża, jak i dzieci. To była nasza pierwsza miłość.

Marianna
Zdrzalik

Urodziłam się w niedzielę, dnia 7 października 1934 roku, we wsi Lutocin (powiat Żuromin, województwo mazowieckie). Pochodzenie mam chłopskie, ponieważ rodzice też wywodzą się z tej miejscowości. Mama jest z domu Lewandowska. Mój tata – Jankiewicz – był rolnikiem, mama natomiast nie pracowała. Zajmowała się domem i pomagała na roli.

Poszłam do szkoły w Lutocinie. Nie miałam ani zeszytu, ani ołówka – nic. Mama uczyła mnie chodzić, jak dygnąć nóżką, żeby ukłonić się przed Panią. Były jedynie dwie izby lekcyjne – mniejsza i większa. W tej mniejszej stała tylko jedna ławka, kto zdążył, to usiadł, a kto nie, ten stał. Siadaliśmy zatem na parapetach. Pani nauczycielka miała czerwony ołówek stolarski i pisała nam na ścianie literki. Literę „t" – jak tata i „m" – jak mama. Na drugi dzień w klasie pojawiła się szafa, ławek dalej nie było. Wtedy to Pani już miała kredę i pisała nam następne literki na tej szafie. Po jakimś czasie pojawiły się ławki i tablica. Przed lekcją wchodziła nauczycielka i zaczynała modlitwę. Poza tym, w niedzielę rano na dziewiątą, w szkole była zbiórka i szliśmy parami do kościoła.

Pierwszy raz przyjechałam do Prabut w roku 1946. To był koniec czerwca, początek lipca. Miałam wtedy jedenaście lat. Przybyłam wówczas z moim tatą i wujkiem chrzestnym, który w Sypanicy był pracownikiem wywiezionym podczas okupacji na roboty do Niemiec. Wcześniej wujek przyjechał do Lutocina i proponował, żeby się przenieść i osiedlić, ale moi rodzicie nie chcieli – tata nie wyraził zgody. W 1946 roku miałam wakacje, więc wujek zabrał nas do Prabut. Jechaliśmy z Sierpca, bo wtedy to był najbliższy przystanek kolejowy od mojej miejscowości – szesnaście kilometrów. Dotarliśmy do Sierpca wozem ciągniętym przez konia. Przyjechaliśmy do Prabut za dnia, wagonem towarowym. Podróż trwała kilka godzin i nie było wygodnie. Drzwi były otwarte i nawet niektórzy mieli opuszczone nogi, więc tato odsunął mnie i chronił. Wysiedliśmy na peronie, widok na mnie zrobił bardzo dobre wrażenie. Podobał mi się dworzec, bo wychowywałam się na wsi. Tam były same domy drewniane, tylko kilka z murowanej

cegły, a tutaj zobaczyłam ładny budynek. Mojemu tacie też się spodobał, nie był zniszczony. Ruszyliśmy od dworca aleją wysadzoną drzewami. Pamiętam budynki byłej roszarni. Mijaliśmy cmentarz i po prawej stronie ulicy Malborskiej wysoki komin w kolorze żółtym. Idąc ulicą Warszawską napotkaliśmy pocztę. Sąsiadująca z nią duża kamienica stała w ruinie – było mnóstwo gruzów. Na ulicy Mickiewicza ujrzałam budynek koloru miodowego, podobno mieścił on sąd. Udaliśmy się dalej obok wieży i na dół ulicą Kraszewskiego. Tam znajdowała się piekarnia, wśród ruin i zgliszczy. Pamiętam, że ciasteczka i bułeczki były na wystawie. Wujek już zajął wcześniej dom na wsi, zanim przyjechaliśmy. Gdy Rosjanie przybyli i nastała wolność, wywiesił flagę biało-czerwoną i nazbierał różnych mebli. Osiedlił się i jeszcze ściągnął swoją siostrę, bo też była samotna, więc przyjechała do niego. Również pracowała u Niemca podczas wojny. Szliśmy zatem polami, aby dotrzeć na miejsce. Nie duża to była wieś – Gonty. Pola obsiane, kłosy wysokie, szumiące z dala.

Skończyłam siódmą klasę w Lutocinie. Byłam wtedy trochę przerośnięta, ze względu na okres wojenny miałam opóźnienie. Moje koleżanki wybrały szkołę w Elblągu. Nie wiedziałam, co to za placówka, ale też poszłam z nimi. Rozpoczęłam naukę – trzy dni w szkole, a przez dwa dni odbywały się zajęcia na warsztatach. Były tam urządzenia mechaniczne, jakieś młotki. Utworzono klasę mieszaną, chodziła część dziewcząt i część chłopców. Tam poznałam kolegę z Prabut – Stanisława. Pewnego razu powiedział, ze jedzie do domu, a ja na to: „Wiesz co, ja pojadę z tobą, bo mam w Gontach ciocię i wujka!". Wujek, starszy człowiek, nie umiał pisać, bo nie chodził do szkoły, ale zainteresował się moją nauką. Powiedział tak: „Córuchno, a gdzie ty chodzisz do szkoły?" – mówię, że do Elbląga. „A czego ty się uczysz?" – odpowiedziałam, że tam są jakieś młotki, żelastwa. „Oj córeczko! ..." – tak mnie nazywał, bo to mój chrzestny, a dzieci nie miał jeszcze. „Tu jest w Prabutach taka dobra szkoła dla dziewcząt, tam nawet sąsiadka uczęszcza. Chodź, pójdziemy do niej i ona ci opowie".

Poszliśmy więc i w konsekwencji spotkania zostałam. Wujek powiedział, że zaprowadzi mnie do szkoły i zorganizuje mi naukę. Trafiłam do żeńskiego Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. Znajdowało się w budynku na ulicy Warszawskiej, w starej kamienicy. To był rok 1951. Liceum było trzyletnie. Zamieszkałam w internacie, dostałam stypendium i nic nie płaciłam. Czasem tylko rodzice podarowali kieszonkowe, ale raczej skromne, bo czasy nastały ciężkie. Miałam siostrę oraz brata, którzy doraźnie mnie odwiedzali. Internat zorganizowano w liceum, u góry. Do dyspozycji była też stołówka. Budynek ten obecnie jest zasiedlony – są tam mieszkania. Wtedy nie były to duże izby, ale istniały względne warunki. W każdej stały trzy rzędy ławek. Moja klasa znajdowała się na parterze. Grupa liczyła z 26-28 osób – nie pamiętam teraz

UCZENNICE LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI
(arch. prywatne M. Zdrzalik)

ZDJĘCIE GRUPOWE PRZEDSZKOLANEK (arch. prywatne M. Zdrzalik)

tak dokładnie. Początkowo języka polskiego uczyła nas Pani Sienkiewicz. Z gimnazjum też przychodzili nauczyciele, uczyć nas geografii i matematyki. Z podręcznikami było skromnie, musieliśmy prowadzić notatki. Kadra szkoły okazała się bardzo przyjazna. Wychowawcą klasy został Pan Pokojski – dojeżdżał z Ząbrowa. Był taki trochę zarozumiały z charakteru, ale przyjazny. Lubiłam chodzić do szkoły, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że jest to potrzebne. Dyrektorem mianowano Panią Kowalec. W klasie miałam bardzo dużo zdolnych koleżanek. Lekcje odrabiałyśmy w naszej sali. O godzinie 16:00 miałyśmy naukę własną. Pierwszego roku powstały dwie klasy. Ja uczęszczałam do A, a do klasy B chodziło dwanaście dziewcząt z domu dziecka (Dom Młodzieżowy z Ostródy). Podobnie jak ja, były przerośnięte.

KADRA NAUCZYCIELSKA Z LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI, WŚRÓD NICH: PANI KOWALEC (DYREKTOR), PANI RUSEK, PAN POKOJSKI (PEDAGOG), PAN GAJEWSKI (BIOLOG), PAN MÓWIŃSKI (FIZYK) (arch. prywatne M. Zdrzalik)

Pozwalano nam na rozrywkę. Klasa żeńska miała potańcówki w soboty. Mogłyśmy zaprosić kolegów z miasta, ale wybranych, żeby nie stwarzali problemu. Zabawy odbywały się w świetlicy. W koszarach stacjonowało wojsko, mieli tam kasyno. Od czasu do czasu też nas zaprosili – starsze klasy z wychowawcą. Potańczyłyśmy z chłopakami, a w rewanżu zapraszałyśmy ich do siebie. Pamiętam, jak zmarł Stalin – byłam wtedy w trzeciej klasie. Zeszłyśmy na śniadanie, gdzie w radiu nadawali wiadomości. To był 1953 rok. Głos z radia poinformował: „Przestało bić serce wielkiego wodza, Józefa Stalina". W związku z tym zaraz był apel w auli, uroczysty, z panią dyrektor oraz nauczycielami. Do nas dołączyła klasa trzecia z dziewczętami z Ostródy. My stałyśmy poważnie, a im płynęły łezki. Wychowywano je w duchu tamtej ideologii.

W 1954 roku skończyłam naukę i podjęłam zatrudnienie, bo nakazy pracy były powszechne. Gdy kończyłam liceum, przyjechały panie instruktorki i zgłaszały zapotrzebowanie. Dostałam karteczkę i skierowanie do Dobrocina, siedem kilometrów od Morąga. Tam pracowałam trzy lata. Zarabiałam 530 zł zasadniczej pensji, plus 70 zł za dodatki funkcyjne – razem było 600 zł. Kupiłam sobie metr materiału z Milanówka na bluzeczkę – kosztował 106 zł. Taka była wartość pieniądza. Wróciłam do Prabut w połowie czerwca 1957 roku. Idąc z dworca weszłam do liceum, bo było po drodze. W tym czasie przenosili je do Szczytna. Pani dyrektor spotkała mnie i powiedziała, że mogę dostać pracę, bo przenoszą w to miejsce przedszkole. Wcześniej tzw. „jedynka" funkcjonowała na ulicy Warszawskiej, przy kościele, w budyneczeku piętrowym. W nim uczono najmłodszych. Będąc jeszcze w liceum, chodziłam tam na praktykę. Zorganizowałam sobie przeniesienie i w 1957 roku, z Dobrocina przeniosłam się do pracy w Prabutach.

Uczestniczyłam w obchodach Święta 1-go Maja. Zbiórkę organizowano na rynku przy fontannie, była obowiązkowa. Przemarsz odbywał się obok urzędu, ulicą Warszawską i kierował się

na ulicę W. Jagiełły, a dalej na stadion. Tam stawiano trybunę, gdzie dostojnicy odbierali defiladę. Bardzo dużo osób uczestniczyło: kolejarze w pięknych strojach, pielęgniarki w czepkach, nauczyciele, dzieci, grupy sportowe. Później były zabawy w części rozrywkowej.

Helena **Pyka**

Urodziłam się 24 grudnia 1923 roku, w Kostopolu. Moi rodzice również pochodzą z tamtych okolic. W czasach przedwojennych zajmowali się rolnictwem, prowadząc rodzinne gospodarstwo.

W 1939 roku wybuchła wojna. W tym czasie byłam u mojej cioci i wujka. On był osadnikiem wojskowym. Mieszkali jedenaście kilometrów od miejscowości Równe, w której znajdowały się koszary wojska. Jak bombowce zaczęły je bombardować, to wydawać się mogło, że to wszystko bardzo blisko nas wybucha. Gdy sytuacja się nasiliła, musieliśmy uciekać. Wóz zaprzęgliśmy w konie i ruszyliśmy do babci, na wieś oddaloną o 30 kilometrów. Pamiętam tylko, że uciekaliśmy nocą. Natomiast w Kostopolu wojny nie widziałam, bo wszystko toczyło się w okolicznych lasach. Strach był cały czas, ponieważ Ukraińcy mordowali. Mama mojej koleżanki udała się do pobliskiej wsi, aby powymieniać jakieś rzeczy na jedzenie i już nie wróciła. Także ludzie bali się wyruszać poza miasto. Nastał nawet czas, że nie mieliśmy co jeść, ale sąsiad pracował w młynie, więc przynosił zawsze trochę otrębów i robiliśmy z nich placki – to się tylko jadło, ale przynajmniej nikt nie chodził głodny. Pierwszy raz wkroczyli Rosjanie w 1939 roku. Drugim razem wybuchła niemiecko-rosyjska wojna w czerwcu 1941 roku, natomiast Niemcy uciekali w roku 1944 – pamiętam, jak dziś. Już przepowiadano, że Wojsko Polskie jest coraz bliżej. Zdażyła się ta jedna noc – była godzina piąta rano. Nie spaliśmy wtedy, a to dlatego, że czuło się jakiś niepokój. Patrzyłam przez okno, a tam z obu stron w kombinezonach białych, obejmują się postacie. Później tłumaczono, że wojsko szło z jednej strony, partyzantka z drugiej, i tam się spotkali, omijając miasto. Do naszego mieszkania weszło dwóch obcych, z bakiem takim, jak od benzyny, pełnym samogonu. Obaj pijani, po ukraińsku lub po rosyjsku (to już nie pamiętam) zapytali: „Kto bił Polaków?" – nie wiadomo, co powiedzieć, czy Ukraińcy czy Żydzi, czy...? Jak tylko się obejrzałam, to w domu nie było już nikogo. Dzieciaki pochowały się do piwnicy. Pijani stali z karabinami, a ja uciekłam. Mieszkaliśmy wtedy w budynku tartacznym, mieszczącym cztery rodziny. Skoczyłam przez płotek

i pobiegłam do sąsiednich drzwi, ale zostały zamknięte, bo sąsiedzi już się pochowali do piwnicy. Na dworze były ubikacje, nowe, czyste, ładne. Weszłam tam i czekałam, mówiąc sobie: „Niech mnie zastrzelą, żebym tylko nie widziała, jak mordują". Gdy wyjrzałam, naprzeciwko w oknie wypadły szyby i słychać było ukraińską lub rosyjską mowę. Już wiedziałam, że mordują. Jak ja tam zmarzłam, stojąc bez rajstop, pończoch, tylko w sweterku. To było 14 stycznia. Po jakimś czasie usłyszałam moją mamę, która po cichu nawoływała: „Hela... już odeszli". Byłam tak zmarznięta, że ledwo doszłam do domu. To był mój najstraszniejszy czas.

1 maja 1945 roku przyjechaliśmy transportem do Działdowa – moja mama, ja i troje młodszego rodzeństwa. Taty nie było z nami, ponieważ zmarł w 1936 roku. Szykowaliśmy się do wyjazdu chyba tylko dwie godziny. Zabraliśmy jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Wagony stały zwykłe, towarowe i platformy bez niczego. Siedem dni jechaliśmy, zaś drugi transport jakoś krócej – też 1 maja był w Działdowie. Dwa transporty przybyły, jeden po drugim. Po drodze okradli nas pod Warszawą. Jak się ładowaliśmy na platformie, to z brzegu, żeby łatwiej było się potem wyładować. Zaczął padać deszcz, więc schowaliśmy się w krytym wagonie. Gdy się zorientowaliśmy, cały róg był już wybrany z bagaży. Przez kradzież nie mieliśmy z czego żyć po przyjeździe do Działdowa. Mama stwierdziła, że pojedziemy na wieś, bo tam będzie co jeść. Trafiliśmy do wsi Wola, szesnaście kilometrów od Działdowa. Taka sama odległość była również do Mławy oraz Nidzicy. Wszędzie jednakowo musieliśmy chodzić piechotą. Koniec wojny świętowaliśmy już na tej wsi – 9 maja. W Woli zostaliśmy od maja do lipca, a w sierpniu przeprowadziliśmy się do Działdowa. W międzyczasie odnalazł się brat, który służył w wojsku. Działdowo nie chciało wtedy przyjmować repatriantów, bo miasto nie zostało zniszczone przez wojnę. Brakowało wolnych domów i mieszkań, ale jakiś jeden pokój tam się znalazł. W każdym razie mieliśmy już dach nad głową. Gdy zmarła mama, na mnie spadła opieka nad rodzeństwem. Jeden brat – Staszek – w Działdowie uczył się

u rzeźnika. Krysia i Tadzik chodzili do szkoły, natomiast brat Leon przebywał u wujka na gospodarce w Pszczółkach, a do szkoły uczęszczał w Gdańsku.

Poznałam swojego męża. Ślubu udzielał nam ksiądz Klimuszko, mąż załatwiał u niego te sprawy. Księża chodzili w sutannach, a on w spodniach i koloratce. Był bardzo bezpośredni i nawet niewiele musieliśmy mu tłumaczyć. Popatrzył na nas i powiedział: „Wiem, że to wszystko repatrianci, pieniędzy nie macie" – i tak w istocie to wyglądało. Pieniędzy nie wziął zarówno za ślub, jak i za zapowiedzi. Uroczystości były skromne – nosiłam żałobę, więc wielkiego wesela nie wyprawialiśmy. W te biedne czasy teściowa przygotowała obiad i tyle. Później słyszałam o księdzu Klimuszce, że mieli go aresztować, ale w nocy wyjechał. Ludzie mówili, że on to przewidział. W 1947 roku przyjechałam na stałe do Prabut, do męża. Pan Goraj przywiózł nas do teściowej, na ulicę Kasztanową. Chyba z miesiąc czasu mieszkaliśmy u niej, aż mąż znalazł mieszkanie na ulicy Ogrodowej. W pierwszych latach po wojnie było łatwo o lokum, chociaż te atrakcyjniejsze pozajmowano w pierwszej kolejności. Budynek wyglądał ładnie, nie oferował jednak wygód. Mieliśmy wodę w kranach, natomiast prąd nie został jeszcze doprowadzony. Mogliśmy to zrobić na własny koszt, ale zrezygnowaliśmy, bo wiedzieliśmy, że nie będziemy tam długo mieszkać. Zajmowaliśmy wtedy kuchnię i jeden pokój. Państwo Przyborowscy mieszkali od frontu, a my od tyłu. W tym samym domu mieścił się także prywatny sklepik – prowadził go Litewka. Pamiętam tylko śledzie w beczce. Wtedy nie chodziło się często do sklepu, bo nie posiadaliśmy pieniędzy. Chowaliśmy za to świnie, mąż kupował małe prosiaczki na rynku. Wówczas rynek mieścił się jeszcze tam, gdzie jest fontanna z lwami. Chłopi sprzedawali, co wyhodowali: ziemniaki, jajka, mleko, masło.

Na ulicy Ogrodowej mieszkaliśmy jakieś dziewięć miesięcy i przenieśliśmy się do Sanatorium. Pamiętam jeszcze, jak krótko po ślubie, jesienią 1946 roku wybraliśmy się z mężem na spacer.

Przyszliśmy na sanatoryjne boisko. Mąż opowiadał mi wtedy, że za Niemca tu był szpital dla psychicznie chorych, a Rosjanie gdy wkroczyli, przekształcili go dla weneryków. Powiedział do mnie tak: „Kiedyś ruszy to Sanatorium, to ja będę starał się tu do pracy" – mąż dostał posadę i wystarał się o lokum. Poszedł bezpośrednio do dyrektora, takiego staruszka – pana Lewitta. Otrzymaliśmy mieszkanie jako jedni z pierwszych, chociaż mieszkał już pan Tyrolski. Dyrektor sprowadził go z Białegostoku. Wtedy byłam już w ciąży. Miałam urodzić pierwszego syna, a jeszcze dwoje mojego rodzeństwa z nami przebywało i chyba dlatego mąż dostał mieszkanie – nie całe, ponieważ jeden pokój zajmował młody Kocejko. Także w 1948 roku zaczęło się już takie normalne życie. Miasto powoli podnosiło się, a Sanatorium zostało ślicznie odmalowane. Przybywało sklepów i rzemieślników. Miałam takie „szczęście", ponieważ gdzie jakaś choroba w Prabutach się pojawiła, tam moja córka zawsze pierwsza zachorowała. Był wtedy taki doktor Ryder, cudowny lekarz. Musiałam nie raz go wzywać nocą. Jak nie chciałam, to się obrażał i mówił, że on od tego jest. W Sanatorium była inna sytuacja, bo tu lekarskie środowisko przodowało. Do ośrodka mało chodziliśmy, ponieważ lekarzy mieliśmy pod ręką. Na miejscu było lepsze życie, niż w Prabutach. Każdy posiadał swój ogródek przy budynku, także można było sobie coś uprawiać. Mąż grał w piłkę nożną. Powstała drużyna sanatoryjna i wszystkie mecze odbywały się na pobliskim obiekcie. Na boisku tańczyło się na trawie, a raz nawet podłogę zrobiono i doprowadzono światło. Podczas zabaw, czy to z przedszkola czy karnawałowych, prowadziłam loterię. Zawsze były tańce, poczęstunek i orkiestra. Bawiliśmy się też na świetlicy.

Nie wiem jak z pracą w Prabutach, ale w Sanatorium stał kiosk ruchu i pojawiło się wolne stanowisko pracy. Byliśmy z mężem jeszcze na dorobku, a z nami małe dzieciaki. Waldek, najmłodszy

PO PRAWEJ: JAN PYKA (MĄŻ), PALACZ KOTŁÓW WYSOKOPRĘŻNYCH, SANATORIUM, LATA 1950/1960 (arch. prywatne H. Pyki)

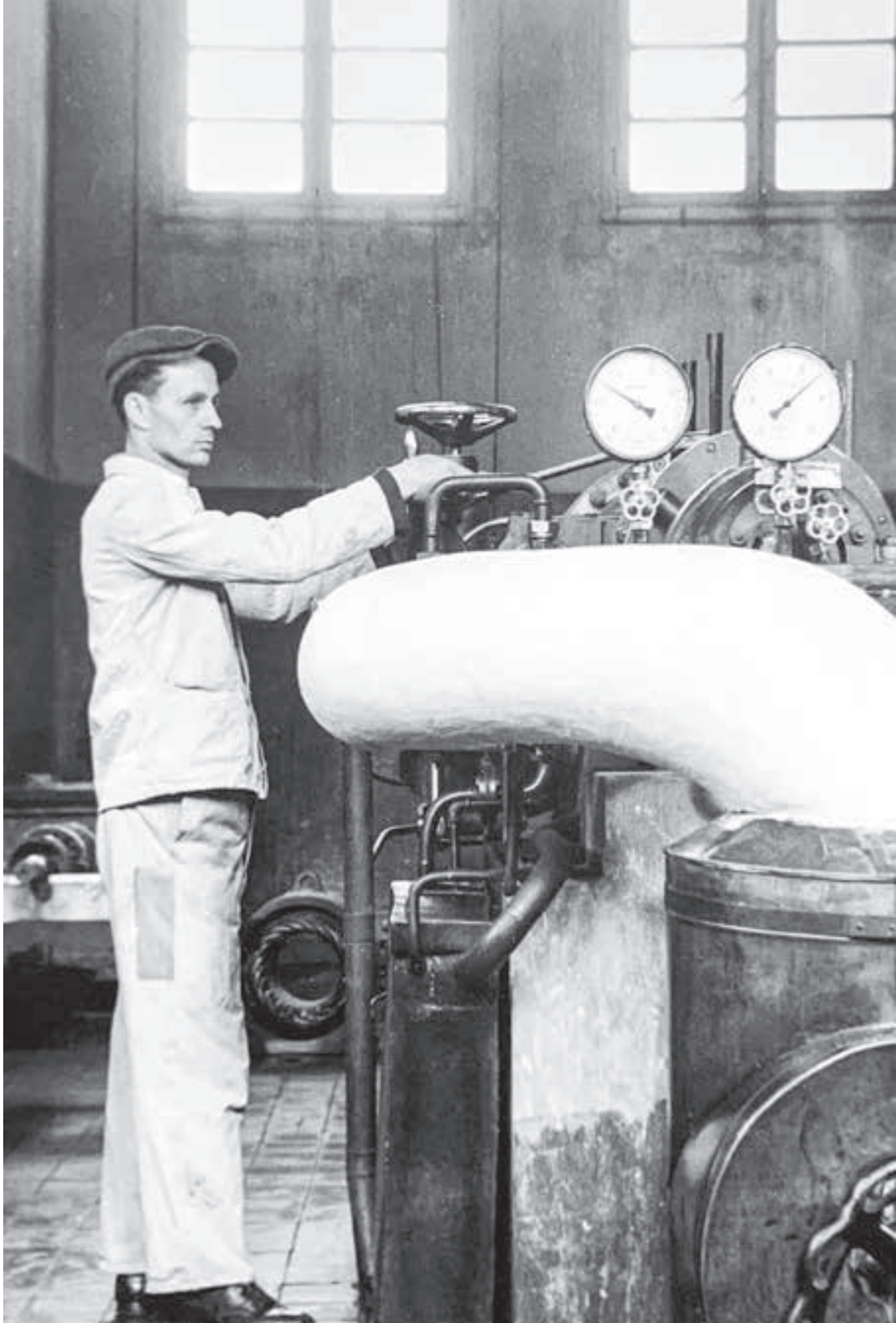

POŻEGNANIE PRZEDSZKOLAKÓW
ROK 1956 (arch. prywatne H. Pyki)

ZABAWA KARNAWAŁOWA (ŚWIETLICA W SANATORIUM)
ROK 1955 (arch. prywatne H. Pyki)

syn, miał trzy lata i cztery miesiące. Powiedziałam do męża: „Janek, pójdę tylko na jeden rok, żeby spłacić sypialnię" – to było 2 grudnia 1956 roku. Jak poszłam, tak zostałam 24 lata. Kiosk powiększył się potem o dwa sklepy, bo tylu chorych przybywało.

Pewnego razu miałam taki przypadek: siedząc w sklepie ujrzałam dwie idące kobiety, które obejrzały kaplicę i przeszły dalej. Następnie skierowały się w stronę mojego domu. Zaszły do sąsiadki na dole, Niemki, co męża Polaka miała. Przyprowadziła je do mnie, do mieszkania. Jedna z nich zapytała po niemiecku: „Od kiedy ja tu mieszkam?" – sąsiadka tłumaczyła. Powiedziałam, że od 1948 roku. Kobieta dopytywała, gdyż mieszkała w tym miejscu, a jej mąż tak samo pracował jako palacz kotłowni w Sanatorium. Gdy Prabuty się paliły, to ona uciekała. Kobieta chciała koniecznie zajrzeć przez uchylone drzwi. Miała dwie córki i to był ich pokój, a jej chodziło o meble, czy może jeszcze zostały – widocznie musiały być drogie. Mnie w 1945 roku tu nie było i po wprowadzeniu się zastałam tylko pluskwy (sanatorium jeszcze robiło dezynsekcję).

Wśród radosnych wspomnień pamiętam przede wszystkim, jak przyjechał do mnie brat i poszliśmy na grzyby do lasu. Znalazł grzybowisko i krzyczał: „To moje! To moje!" – same borowiczki. To była największa przyjemność. Pieniędzy nie zarabialiśmy tyle, żeby szaleć, ale gdy coś chciałam porządnego kupić, to do Gdyni się jeździło. Miło wspominam również nasze spotkania rodzinne, co niedzielę, na boisku, w domu, w święta lub nad jeziorem. Kiedyś rodziny jakoś tak bardziej się spotykały. Cała rodzina Pyków i Kaczorowskich mieszkała kiedyś w Prabutach.

Antonina
Józefowicz

12 lipca 1928 roku przyszłam na świat w Katarzynówce – powiat Sarny, województwo Wołyń. Moja rodzina też wywodzi się z tej miejscowości. Mieliśmy wówczas gospodarkę – zawodu żadnego nikt nie wykonywał, bo pracowano na roli. Za Bugiem skończyłam cztery klasy podstawówki, bo wybuchła wojna i nauczycieli zabrano, więc szkoła była zamknięta. Znajdowała się ona w mojej rodzinnej miejscowości. Panowały wówczas takie same warunki, jak w każdej innej szkole – mieliśmy podręczniki, uczyliśmy się bez żadnych utrudnień. Do trzeciej klasy obowiązywało przymusowe uczęszczanie, a od czwartej – kto był bogatszy i miał pieniążki, na tego czekała już płatna szkoła. Do miasta dojeżdżało się 16 kilometrów. Jednemu nauczycielowi przypadały dwie klasy, z podziałem na dwa rzędy ławek: po jednej stronie – pierwsza klasa, na drugiej – druga klasa. Nauczyciel nazywał się Zygmunt Miśta. Nauczał nas jeszcze ksiądz. Zachorował na płuca i skierowano go na lekcje religii. Przyjeżdżał z miasta powiatowego.

W 1939 roku Rosjanie wkroczyli na nasze tereny. Nie Niemcy, tylko Rosjanie. Chodziliśmy na rosyjki kurs i po rosyjsku nas uczono. Ogólnie mówi się, że to Niemcy napadły na Polskę, ale na Wołyniu to Rosjanie byli pierwsi. Gdy przybyli, nastąpiła masarka. Dwa, może trzy kilometry od nas znajdowały się koszary wojskowe. Tam rozpoczęła się agresja. Uciekali żołnierze, oficerowie, kryli się po domach. Tak Rosjanie, jak i Niemcy, mordowali całą rodzinę Polaków za to, że przetrzymali żołnierza lub oficera. Później Niemcy wkroczyli w 1941 roku. Byliśmy w lesie na jagodach i dostrzegliśmy, jak niemieccy żołnierze wkraczają za Bug. Miałam świadomość czym jest wojna, bo ukończyłam już jedenaście lat. Wojsko niemieckie pomogło nam, ratując od zbuntowanych Ukraińców. Przed wojną nie wiedziałam nawet co to Ukraina – na Wołyniu żeniliśmy się z Ukraińcami, kolegowaliśmy się wspólnie. Miałam nawet chrzestnego Ukraińca. Jak woja wybuchła, utworzyły się bandy. Syn tego chrzestnego by nas porąbał żywcem, gdybyśmy nie uciekli. Nastała nienawiść z ich strony do Polaków. Wcześniej nawet nie myślałam, kto to jest Ukrainiec, a kto Polak, tylko razem byliśmy

wszędzie – nie było żadnego wyróżniania. Niemcy przyjmowali nas i nic nam nie robili. Moje ciocie zamordowali Ukraińcy – spalili w domu. Brata też zabili, później ciocię i wujka – nad ranem pozostało tylko spalone mieszkanie. Gdy nas tak mordowano, to my sami uciekaliśmy do Niemiec. Skierowaliśmy się na pobliską stację, gdzie była obstawa i Niemcy nas pilnowali. Stwierdzili, że możemy co najwyżej uciec stąd do Niemiec – tak też uczyniliśmy. Łapanki organizowano w międzyczasie, ale później Polacy sami uciekali stamtąd – nie były one już potrzebne, bo ludzie prosili Niemców, żeby ich wziąć do siebie i uchronić przed Ukraińcami. W Niemczech niestety przechodziliśmy męczarnie. Wywieziono nas na roboty przymusowe. Mieszkaliśmy w zimnym lagrze[331], gdzie brakowało jedzenia. Ludzie chodzili w nocy na pola, tam gdzie Niemcy zakopywali marchew lub buraki. Jedli nawet zgniłe, byle się nasycić. Głodówka panowała straszna...

Wyzwolili nas Amerykanie. Niemieccy wachmani[332] zaraz uciekli z lagru, więc został bez żadnej opieki. Tylko jeden Niemiec ostał się z nami – umiał mówić po polsku. Prócz niego była jeszcze w kuchni jedna Niemka. Wszyscy poszli szukać lepszego miejsca, a my zostaliśmy. Jedno miasto wyzwolili, potem drugie, trzecie i tak po kolei. Powstały poniemieckie koszary wojskowe, a że wojska nie było, więc wszystkich Polaków umieszczono razem z miksem rozmaitych narodowości. Do 1946 roku jeszcze tam mieszkaliśmy. Amerykanie dostarczali nam jedzenie. W Niemczech skończyłam osiem klas i na tej nauce poprzestałam, bo osiągnełam pełnoletność. Gdy wyjeżdżaliśmy z Niemiec, postawiono nam warunek – podpisujemy niemieckie obywatelstwo albo wyjeżdżamy. Mogliśmy jechać do Ameryki, Australii. Siostra wybrała Australię, brat natomiast udał się do Ameryki. My pojechaliśmy zaś do Polski. Wróciliśmy z Niemiec statkiem do Szczecina. Wyładowaliśmy się z przekonaniem, że wracamy z powrotem za Bug. Tam już

331 Niemiecki obóz jeniecki.

332 Strażnik obozowy lub więzienny.

jednak Rosjanie urzędowali i nie było powrotu. Szukając nowego miejsca trafiliśmy na Dolny Śląsk. Powiedziano nam w Szczecinie: „Szukajcie, gdzie chcecie – cały Dolny Śląsk i całe Prusy Wschodnie czekają. Szukajcie, gdzie kto chce". Takie były realia.

Do Prabut przybyłam w 1947 roku, na jesieni, pociągiem z Legnicy. Przygotowany był specjalny wagon towarowy. Jechaliśmy tydzień czasu, ponieważ po wojnie zdażało się czasem tak, że jak odsunęli wagon na bocznicę, to i tydzień stał. Dotarłam do Prabut z mamą, siostrą i bratem. Wujek dowiedział się, iż w Prabutach jest nasza rodzina – trzy siostry mamy. Przyjechaliśmy z Dolnego Śląska, a one zza Buga. Gdy wyszliśmy z pociągu, to chętnie byśmy z powrotem wracali – taka tu była okropna bieda. Pracy brakowało, podobnie jak i żywności. Ludzie, którzy tu osiedlili się wcześniej, mieli lepszy start, gdyż odziedziczyli wiele po Niemcach. Rodziny polskie wysiedlano zza Buga, a w Prabutach równolegle Niemców do Niemiec, zatem miasto pozostało niemal puste. Jeden drugiemu trochę pomagał. Później na kolej do pracy poszli, Sanatorium zaczęto odbudowywać i pojawiło się wtenczas zatrudnienie. Ci, którzy zamieszkali przed nami, mieli już pola i gospodarki pozajmowali. Zatem chodziliśmy po gospodarzach i zarabialiśmy na życie. Zdobyło się ziemniaków, zboża. Młyn był czynny, więc i mąkę robiliśmy – tak się żyło. Brat nie nadawał się jeszcze do pracy, bo był mały. Chodził do szkoły, a ja po gospodarzach pracowałam. Tak niefortunnie zaczęliśmy życie w Prabutach.

Początkowo udaliśmy się do Sypanicy, gdzie dano nam gospodarstwo. Tam byliśmy dwa lata i następnie przyjechaliśmy do kamienicy przy ulicy Krótkiej. Tylko piętro stało wolne, siedzieliśmy tam dłuższy czas. Później wyszłam za mąż i dalej mieszkałam na tej ulicy, pokrytej brukiem. Dom koloru szarego nie został zniszczony. W nim znajdowały się dwa pokoje i kuchenka oraz toaleta na dole. Nie było wyposażenia, zastaliśmy gołe ściany. Pomieszczenia, choć nie zniszczone, świeciły pustkami. Mieliśmy bardzo dobre relacje w najbliższym otoczeniu. Sąsiadowałam

z Niemką – ja mieszkałam po jednej stronie, ona po drugiej. W mieście znajdowała się piekrania. Pamiętam tego piekarza – pan Dębek. Jedną piekarnię zorganizowano w piwnicy, w centrum miasta. Zainteresowanie miała duże. Nieopodal znajdowała się masarnia na ulicy Kraszewskiego. Ubojnia funkcjonowała na ulicy Kwidzyńskiej. Płaciliśmy złotówkami. Każdy, kto przyjechał, miał zazwyczaj jakiś fach w ręku. Zakładali więc swoje interesy, żeby przeżyć. Ja udałam się na kolej. Kuzynka zorganizowała mi pracę, bo o zatrudnienie nie było łatwo. Ileż masła musiała zanieść dla dyżurnego... Pracowałam fizycznie – skręcałam tory, śruby. Pierwsza wypłata wynosiła 300 zł (za osiem godzin i soboty pracujące). To wystarczało na chleb i niedrogą wędlinę. O droższych mogłam tylko marzyć. Najtańsza kiełbasa kosztowała 14 zł. Razem ze mną zatrudniły się Niemki, autochtonki. Z czasem wyjechały, ale kto naprawdę chciał, ten zostawał. Później żałowały, bo w Niemczech wyzywano je od Polaków, a w Prabutach z kolei mówiono na nich „Szwaby" – tu źle, a tam niedobrze. Niemcy mieszkali na ulicy Zamkowej. Żyliśmy bardzo zgodnie – ani my im nie dokuczaliśmy, ani oni nam. W pracy kultywowano święto 1 Maja – Święto Pracy. Było przymusowe, wszyscy musieli iść, bo lista czekała na podpis. Chodziłam i wiem, że karano za brak obecności. Przemarsz był z orkiestrą. Po nim młodzi grali w piłkę, dla starszych w parku dedykowano zabawę oraz grochówkę. Bawili się wszyscy. Paradowały pielęgniarki w strojach, a kolejarze szli w mundurach. Licznie pojawiano się także na procesji Bożego Ciała. Ludzi uczestniczyło bardzo dużo. Stacje organizowano przy pomniku Matki Boskiej, przy „ławce miłości", na ulicy Grunwaldzkiej (pod balkonami) i koło kościoła. W Prabutach osiedlili się też wyznawczy innych religii. Ksiądz prawosławny urzędował na ulicy Ogrodowej. Długo jednak nie przebywał w Prabutach, ponieważ przeprowadził się do Mikołajek. Tam wyznawcy mieli większą siedzibę. Raz pobito tego popa, więc się wyprowadził i spokojnie żył.

Od 1950 roku rozpoczęto zabawy w Sali Miejskiej, gdzie zapoznałam męża. Rozrywki nie brakowało, muzykę na żywo

grała orkiestra. Środek sali przeznaczono do tańca, a po bokach ustawiano stoliki. Zabawa odbywała się przeważnie w soboty, mało kiedy brakowało chętnych. Funkcjonowała jeszcze kawiarnia, zawsze przepełniona. W ramach rozrywki chodziliśmy na mecze. Początkowo rozgrywały się w Sanatorium i w mieście. Wstęp nie podlegał opłacie.

Po tym, jak tułałam się po kolejach i gospodarstwach za zarobkiem, dostałam pracę w Sanatorium. Byłam zadowolona z tego, że mam etat i nastał koniec mojej tułaczki, ciężkiego życia. Zatrudnienie było stałe. Fachowcy remontowali w środku, a kobiety sprzątały i łóżka ustawiały. Odnalazłam spokój.

ZDJĘCIE Z MĘŻEM PRZY NOWOOTWARTYM I BLOKU W SANATORIUM, ODDANYM DO UŻYTKU W 1955 ROKU
(arch. prywatne A. Józefowicz)

Jadwiga
Woszczyńska

Przyszłam na świat 22 sierpnia 1931 roku. Mój ojciec urodził się w 1898 roku. Był z zawodu rolnikiem, ale też piłsudczykiem – walczył na wojnie w 1920 roku. Matka zmarła, gdy miałam 5 lat. Tata ożenił się ponownie i wychowała nas druga mama. Moje rodzeństwo stanowią dwie siostry i dwóch przyrodnich braci. Pochodzę z miejscowości Wólka, koło gminy Skępe – powiat lipnowski. Ojciec i mama również wywodzą się stamtąd. Warunki w mojej rodzinie uważam za dostatnie. Ojciec był fachowcem, który wszystko umiał zrobić. Dorabiał trochę, ale mieliśmy również gospodarstwo. Na wsiach nie używaliśmy węgla, tylko wydobywaliśmy torf. Dzieliło się go maszyną na kawałki, suszyło i nim paliło. Jak potrzebowaliśmy sieczki dla bydła, to rżnęliśmy ją ręcznie. Jakoś radziliśmy sobie ciężką pracą – kosiło się kosą. To były inne czasy niż teraz.

Nastał okres wojny. Przygotowywałam się do Pierwszej Komunii. Poszłam z mamą do krawcowej uszyć sukieneczkę, a we wsi straszny lament i płacz – wojna! Do nas wkroczyli Niemcy, a na wschodzie weszli Rosjanie. Nie występowało tak dużo prześladowań, ale raz w tygodniu robiono obchód. Przychodził żandarm, obchodził gospodarstwo i sprawdzał co posiadamy, ile świń i innego inwentarza. Z czasem musieliśmy wszystko oddać. Gdy nie mogliśmy sobie zemleć mąki, to z tatusiem po kryjomu na żarnach (takich jak czasem można zobaczyć w skansenach) mieliliśmy ziarno, żeby upiec jakieś ciasto. Za takie postępowanie groził nawet Oświęcim albo Stutthof. Pod okupacją niemiecką, gdy ktoś posiadał więcej ziemi, to lokowano tam jakiegoś Niemca. Mój wujek miał mało, więc zabierano go do pracy. Raz po powrocie nie chciał jechać, wówczas po niego przyjechali i osadzili w Stutthofie na pół roku. Bardzo to przeżywaliśmy, na szczęście uratował się z tego obozu i wrócił. Mój ojciec też jeździł na roboty – zabrano go do kopania okopu, gdzieś za Lipnem. Przeżyłam też swoistą traumę. Pewnego dnia zrzucono niedaleko jakiegoś partyzanta. Ktoś dowiedział się o tym i dał cynk Niemcom, a ludzie – jak to ludzie – jedni byli za, a inni przeciwko. Przyjechało pełno „czarnych diabłów”

– SS-manów z bardzo wielkimi psami. Po całym domu penetrowali, wszystko przeszukali za tym partyzantem i gdzieś go znaleźli. Temu, który doniósł Niemcom, sąsiedzi wymierzyli karę śmierci – taki spotkał go los. Mieszkańcy żyli nadzieją, że to się kiedyś skończy. Młodzież zabierano na roboty, gospodarzy wywłaszczano, a pozostali musieli sobie jakoś radzić. Panowała wtedy solidarność między ludźmi. Przyjaźnili się, spotykali i politykowali. Nie było radia, ani światła. Mieliśmy ciężko, ale się przetrwało. W 1945 roku koło naszego domu przebiegała główna arteria frontu, którą przemieszczało się bardzo dużo czołgów. Chyba całą dobę jechali ci nasi wybawiciele. Stałam przy studni i nabierałam wody za dnia, bo potrzebowali. Jedni przychodzili i dawali, drudzy zabierali – panował bałagan, choć znaczących działań wojennych nie prowadzono. Niedaleko nas znajdował się las. Tam Niemcy magazynowali dużo amunicji, którą przed ucieczką wysadzali w powietrze. Tylko takie huki słyszałam w ramach wojny. Gdy nadszedł jej koniec, wszyscy się cieszyli. Pamiętam sytuację, jak przyszli Rosjanie i pędzili na koniach bardzo dużo krów, całe stada. Chyba czynili tak po to, żeby mieć czym żywić wojsko.

Przyszedł w moim życiu czas na edukację. Kiedyś ludzie nie mieli wykształcenia. Mój ojciec uczył się samodzielnie, babcia z resztą też, ale umiała czytać i pisać. Jeszcze przed pierwszą wojną światową nauczała dzieci. Podstawówka, do której chodziłam znajdowała się w miejscowości, skąd pochodzę. To była szkoła 7-klasowa. Wynajmowano od kogoś dużą salę. Siedziało się w ławkach wyposażonych w kałamarze, atrament. Pisało się różnie, ołówkiem, atramentem, wszędzie robiło się od niego brudno. Po głowie dostawaliśmy za to, że stawialiśmy kleksy. Takie mieliśmy warunki, że kolejna klasa została zorganizowana u kogoś innego, później jeszcze gdzieś indziej, a jednego razu nawet w remizie. Nauczycieli pracowało kilku. Po wojnie wychowawca przyjeżdżał z gminy Skępe, podobnie jak pozostali nauczyciele, bo w naszej miejscowości nie zdążyli się wykształcić. Wychowawca był bardzo srogi, kazał wszystkim chłopcom na pracach ręcznych robić kije.

Wybrał sobie z nich najodpowiedniejszy, żeby karcić nieposłuszne dzieci. Jak przyłożył kijkiem siostrze po ręce, to 3 miesiące nie poszła do szkoły, tak jej ręka spuchła. Takie panowały czasy i taka dyscyplina. Na początku nie miałam obuwia i musiałam chodzić do szkoły boso. Tatuś zrobił mi do noszenia takie „korki", ale bardzo ciężko się w nich chodziło. Z czasem warunki uległy poprawie. W szkole pojawiły się książki, miałam też zeszyt do rachunków i pisania. Generalnie skończyłam jedną klasę przed wybuchem wojny, a po niej poszłam do 3 i 4. Później ojciec wypisał mnie ze szkoły, bo byłam potrzebna – taka mentalność panowała – jak już umiesz czytać i pisać, to już nie musisz się uczyć. Mieliśmy gospodarstwo, więc pomagałam tacie.

Gdy ukończyłam 18 lat, doszłam do wniosku, że nie mogę za bardzo dogadać się z drugą mamą i postanowiłam wyjechać. Przyjechałam pociągiem do Prabut 4 listopada 1949 roku. Zamieszkałam u cioci, mojej matki chrzestnej, na ulicy Rypińskiej.

ZDJĘCIE RODZINNE NA WOZIE KONNYM (arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

Była to dość liczna rodzina, a mimo to jeszcze mnie przyjęła, chociaż panowały ciężkie czasy. Ciocia miała dziewięcioro dzieci. Dobrze się u niej mieszkało, to byli wspaniali ludzie. Dostałam pokoik, poszłam do pracy i tak zaczęło się moje dorosłe życie. Wszyscy borykali się z trudnościami, ale jak ktoś prowadził gospodarstwo tak jak oni, miał się z czego wyżywić. Mieszkali w zadbanym domu, do którego prowadziła asfaltowa szosa, wokół duże podwórko, na środku stała pompa, obok obora razem ze stodołą oraz budynek gospodarczy. Pamiętam też ogród, w nim dużo drzew owocowych i wszystko ogrodzone. Na tak liczną rodzinę jaka tam mieszkała, to budynek zdawał się mały, ale jakoś się mieściliśmy. Składał się z dwóch pokoi i kuchni, którą potem przerobili na większą, bo w niej przeważnie odbywało się życie. W sumie liczyło nas 13 osób. Wówczas na wyposażeniu domów znajdowały się przeważnie łóżka, u niektórych czasem jakaś kanapa, szafa czy komoda, gdzie trzymało się ubrania. Wtedy przeważnie w każdym domu mieszkała liczna rodzina. Prawie 3 lata rezydowałam u cioci. Nie było najlepiej, ale cieszyłam się, że jestem wśród swoich, a nie u obcych. Otoczenie uważam za bardzo sąsiedzkie – ludzie przyjaźnili się. Niedaleko mieszkał pan Adamkiewicz, Żołnowscy też blisko. Po drugiej stronie ulicy Kwiatkowscy. Gościliśmy się razem, spotykaliśmy, wyprawialiśmy wesela i inne uroczystości. Zawsze panowała rodzinna atmosfera. Funkcjonowała pomoc sąsiedzka, a ludzie byli bardziej solidarni i nie kalkulowali.

Jak przyjechałam na miejsce, to nie mieliśmy wodociągów. Każdy na podwórku pobierał pompą wodę na swój użytek. Nie posiadaliśmy łazienek, było prymitywnie, ale jakoś się żyło. Korzystano za to już z prądu. W poprzedniej miejscowości (w Wólce) elektryczność doprowadzono dopiero gdy wyjechałam. Wcześniej prąd mieliśmy w rękach. W Prabutach bardzo mi się podobało. Dworzec wyglądał ładnie i posiadał poczekalnię. W mieście znajdowało się wiele zieleni, a równocześnie dużo ruin po wojnie. Pamiętam, jak zaczęto budować pierwszy dom. Stawiał

go pan Kęska, jak się nie mylę, na ulicy W. Jagiełły. Generalnie ludzie nie chcieli nic konstruować z obawy, że to są tereny poniemieckie. Początkowo mieszkańcy gnieździli się w skupiskach. Dopiero potem powstała spółdzielnia mieszkaniowa, postawiono wiele domów i ze wsi przyszło dużo nieznajomych osób. Nie było też materiałów budowlanych, budulca, cementu. Wszystko zdobywano własnymi sposobami. Dom nauczyciela, który został zniszczony, jeszcze w 1957 roku stał jako ruina. Dość dużo czasu minęło, zanim go odbudowano.

W mieście mało ludzi mieszkało, względem czasów obecnych. W pierwszej kolejności, gdy rodziny osadzały się w tej okolicy, to obrabiały ziemię i każdy utrzymywał się z tego, co wyprodukował. Wokół fontanny z lwami zaczęto organizować rynek. Można było kupić wszystko – co kto miał, to oferował. Przyjeżdżali grajkowie, którzy śpiewali piosenki. Sprzedawano nawet takie małe płytki z muzyką, jak pocztówki, tylko nikt nie miał na czym ich odtworzyć. Ciuchami również handlowano. Niektórzy jeździli na szaber – tak to się nazywało – po opuszczonych domach, okradali i sprzedawali, co znaleźli. Ludzie przyjeżdżali też za chlebem. Jeszcze rolników pamiętam, jak stali w kolejce z burakami, żeby sprzedać je do Malborka. Koleją zabierano tam te zbiory. Nie było budynków, dookoła same ruiny. Bloki również nie stały, tylko stare poniemieckie chałupki. Mieszkańcy Prabut przychodzili na ulicę Rypińską, ponieważ znajdowała się tam atrakcja – jezioro Sowica. Ulica mieściła również najpiękniejszą aleję miasta. Rosły takie drzewa, kule kwitnące. Ich kontynuacja znajdowała się na ulicy W. Jagiełły. Drogi koło koszar połączono kładką, która już nie istnieje. W pobliżu mijałam także cmentarz żydowski – niewiele mogiłek zaniedbanych, które później rozebrano. Drogi były przejezdne w stronę Kwidzyna, poczty i na rynek. Do Sanatorium prowadziła nie najlepsza trasa, ale dało się jechać. W Prabutach istniało kilka sklepów. Pamiętam drogerię na ulicy Kraszewskiego, prowadzoną przez pana Skowrońskiego. Apteka funkcjonowała naprzeciwko kościoła św. Andrzeja. Ośrodek

zdrowia założono na ulicy Zamkowej, działała tam też porodówka, która powstała potem w Koszarach. Z prowadzących usługi krawieckie pamiętam pana Adamczyka i pana Sarnowskiego. Szewc i krawiec to bardzo popularne zawody z tamtego okresu. Taniej było uszyć, aniżeli kupić. Sklepy odzieżowe powstały troszkę później, zatem nabywało się materiał i szyło samemu. Wiem, że sklep odzieżowy prowadził pan Lech, tam gdzie pan Skowroński miał swoją drogerię. Korzystało się z tych usług, bo ludzie musieli w czymś chodzić. Były też krawcowe: pani Widawska czy pani Komorowska. Kobiety chodziły w płaszczach, spódnicach, szyło się koszule i bluzki – biednie, choć kolorowo. Zawsze lubiłam chodzić na zabawy i sama uszyć sobie jakąś sukienkę i bluzkę. Czasem, to jeszcze koleżance pożyczyłam spódnicę kopertową, białą bluzkę, skarpetki i pepegi.

W Prabutach skończyłam swoją szkołę podstawową. Poszłam do 5 kasy, potem 6 i 7 – z bardzo dobrymi wynikami. Zaczęłam uczęszczać do ogólniaka w Kwidzynie, ale nie było dla mnie warunków – nauka zaoczna, musiałam późno wracać, nikt tam nie jeździł i zrezygnowałam, bo nie miałam jak dojeżdżać. Istniała również szkoła wieczorowa w Sanatorium, bardzo dużo pielęgniarek ją ukończyło, ponieważ musiały się douczyć z racji braku odpowiedniego wykształcenia. Pamiętam prabucką kadrę nauczycieli. Pani Jakubiak uczyła języka rosyjskiego. Pani Sienkiewicz – profesor, bardzo wspaniały człowiek – nauczała historii, geografii, polskiego – uwielbiałam jej lekcje. Pan Żelazowski uczył matematyki, a Pan Kucharski fizyki. Jeszcze przyjeżdżała żona Pana Kucharskiego. Wspaniali ludzie, uczniów traktowali bardzo dobrze. Pierwszym dyrektorem szkoły w Prabutach został Pan Sopoćko. Tu była tylko jedna szkoła – jedynka – znajdowała się na ulicy Grunwaldzkiej. Później powstało liceum przedszkolanek i szkoła ogólnokształcąca.

Dostałam pracę w zakładzie krawieckim „Niespodzianka", od lutego 1950 roku. Pierwotnie znajdował się on w okolicy Miejskiego

ZAKŁAD PRACY „NIESPODZIANKA", 1950 R. (arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

Domu Kultury. Potem został przeniesiony na ulicę W. Jagiełły. Tam uczyłam się fachu, a następnie szyłam na taśmie, potem byłam w brakarni. Pamiętam dziewczyny, które ze mną pracowały: Dalecka, Traczewska, Lange, itd. Mało się zarabiało, ale zawsze miałam swoje. Za jedną wypłatę nabyłam materiał na płaszcz. Dobrze, że u cioci mieszkałam. Jeszcze za pierwsze pieniądze – śmieszne to, ale prawdziwe – kupiłam sobie słodyczy. Człowiek pragnął ich jako dziecko, bo nie miał wtedy żadnych słodkości. Panowała wojna i nie było na nie absolutnie żadnych szans, a każdy malec chciał słodyczy. Tak więc za wypłatę nakupiłam sobie krówek i najadłam się za wszystkie czasy (śmiech). Same zarobki wyglądały mizernie, ale mimo to cieszyłam się, bo chciałam się usamodzielnić. Ciocia miała gospodarstwo, więc po swojej pracy pomagałam jej. Tak dotrwałam do 1952 roku. Na początku w miejscu zatrud-

nienia ludzie byli jeszcze podzieleni: „Ty zza Buga!" – „A ty Pomorzak!" – ale dobrze się z nimi współżyło. Miałam starszą koleżankę i zawsze politykowałyśmy. Ona przybyła ze wschodu i sporo przeżyła. Wiele się wtedy nasłuchałam w tej „Niespodziance", bo tam dużo osób z Kresów pracowało i swoimi przeżyciami z Wołynia nas przestrzegali. Od pana Khona dowiedziałam się, że Prabuty nie były zniszczone, ale gdy weszli Rosjanie, to palili, niszczyli, kradli i gwałcili. Rozmawiałam też z jedną panią z tych terenów i opowiadała, jak uciekali do Pólka, a tam Rosjanie ich dorwali. Matka schowała dziewczyny gdzieś pod stół i zasłoniła obrusem, żeby nie widzieli. Jednak wyciągnęli je i skończyło się zbiorowym gwałtem...

Przepracowałam w „Niespodziance" rok, następnie zatrudniłam się w internacie na kolejny rok, aby ostatecznie trafić do Sanatorium. Pracy w Prabutach nie było wtedy wiele. Najwięcej osób zatrudniała w tym czasie roszarnia oraz Sanatorium. Potem powstawały już różne zakłady pracy i ludzie mieli więcej zajęcia. Mimo to pracował każdy. W tamtych czasach panowało tak zwane „ukryte bezrobocie". Co miała zrobić jedna osoba, robiły trzy. Pracę dzielono, a przez to zarobki mieliśmy mizerne. Wyłapywano też ludzi, których określano „niebieskimi ptakami". Każdy musiał pracować. Ludzie dopiero zdobywali konkretne wykształcenie, więc szanowano to, co ktoś potrafił. Osoby kończące podstawówkę siedziały w biurze, zostawały księgowymi, magazynierami, bo umiały liczyć. Pamiętam nawet, u nas w biurze zatrudniano po podstawówce, bo nie było wykształconych kandydatów. Z czasem stopniowo podwyższano kwalifikacje. Ludzie mający jakieś wykształcenie otrzymywali nakaz pracy. W tamtym okresie funkcjonowała Powszechna Organizacja „Służba Polsce" (SP). Piosenka nawet powstała: „SP zawsze SP...". Młodzież musiała należeć do tej służby. Chłopców wywożono, aby pracowali w czynach społecznych. W ramach tego organizowano też różnego rodzaju spotkania, jakieś gry, a nawet zabierano chętnych na wycieczki.

WIDOK NA BUDYNEK SZPITALA W SANATORIUM, 1950 R.
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

W 1952 roku przyszłam do Sanatorium, gdzie dostałam mieszkanie po sąsiedzku z biurem. Pojawiła się perspektywa pracy. Życie związało mnie z tym miejscem. Okolica stała się samowystarczalna. Szpital nie miał od początku żadnego samochodu, tylko dysponował koniem z taką budą cygańską, z którą jeździł po ludzi na dworzec. Tam znajdował się telefon, połączony ze szpitalną portiernią. Stróż dostawał informację, że ktoś czeka i wyruszano z transportem. W 1952 roku tak jeszcze praktykowano. Mieliśmy ambulatorium przyzakładowe i w nim weryfikowaliśmy wszystkie sprawy chorobowe – był tam lekarz dyżurujący. Gdy wystąpiła poważniejsza choroba, kierowano nas do ośrodka zdrowia na ulicy Zamkowej. Prawie przy każdym zakładzie mieścił się punkt, w którym obsługiwał doktor. W szko-

le pracowała pielęgniarka, która na miejscu zajmowała się dziećmi z poszczególnych roczników.

Z obowiązkowych świąt najbardziej pamiętam 1 Maja. Należało wtedy podpisywać listy, że się jest obecnym na uroczystościach. Jak nie złożono podpisu, przysługiwała kara. Organizowano ognisko, dostawaliśmy jakieś kiełbaski, grano, śpiewano, ludzie się cieszyli. Większość podporządkowywała się temu, ale znaleźli się też i tacy oporni. Zakładano flagi na 1 maja, ale 2 szybko je zabierano, żeby 3 już nic nie wisiało, ponieważ nie wolno było 3 maja czcić i czegokolwiek mówić przeciwko władzy. Donosiciele słuchali wszędzie, również w pracy. Szpiegowano – na każdym dziale pracował jeden z kapusiów. Chwila nieuwagi i leciały donosy, a za nimi konsekwencje, nagany czy upomnienia. Były

PIELĘGNIARKI W POCHODZIE 1 MAJA, 1952 R.
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

POCZĄTKI MOTORYZACJI NA TERENIE SANATORIUM, WŁAŚCICIELEM AUTA BYŁ PAN BRUCHAJZER (arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

kontrole, milicja sprawdzała kobiety gdy szły z pracy, szykanowano ludzi. Dlatego właśnie walczono, żeby zmienić ten ustrój.

Swoboda została ograniczona. Dla przykładu, partyjni członkowie, aby nie stracić stanowiska, nie mogli przystąpić do komunii. Nie wolno im było chrzcić dzieci – mieli zakazane. Ludzie wierzący chrzcili potomków po kryjomu. Władza nie tolerowała takich zachowań, chciała zniszczyć kler. „Szarakom" nic nie groziło, więc chodzili do kościoła, ale ci, co mieli stanowiska, to już się bali. Nawet znam taki przypadek, że ksiądz leżał na oddziale w Sanatorium i zorganizował kapliczkę. Bardzo się udzielał i nią opiekował, pomimo choroby. Jego działania przeszkadzały wówczas stalinowskiej władzy, więc go wywieziono. Pamiętam, że ludzie płakali za nim. Ten ksiądz nazywał się Szczygieł. Mimo

KAPLICZKA W SANATORIUM
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

UROCZYSTOŚCI KOŚCIELNE – PROCEJSA BOŻEGO CIAŁA
NA ULICY KWIDZYŃSKIEJ (arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

wszystko istniały pewne uroczystości kościelne z przynależną im celebracją i tradycją. Wesela odbywały się z druhnami. Pamiętam wesele koleżanki, było nas chyba z 10 druhen. Pieszo szłyśmy do Prabut – ubrane, postrojone. Szyło się suknie ślubną, bo nie sprzedawano takowych w sklepie. Urządzano tańce, zabawę do białego rana – goście czekali, aż wzejdzie słońce. Grajkowie grali, pojawiały się wygłupy. Rzucano wianek i krawat. Przeważnie wszystkie wesela organizowano w domu, nie wynajmowano wtedy sali. W zabawie uczestniczyło tak z 40-50 osób, należało zaprosić rodzinę. Uroczystość skromna, ale fajna. Naturalną koleją rzeczy odbywały się także pogrzeby. Nie było wówczas domów pogrzebowych, więc zmarłych trzymało się w mieszkaniu. Odmawiano różaniec, modlitwy, puste noce, całą noc śpiewano przy stole obok zmarłego – jedną, drugą, bo ze dwie noce musiało to trwać. Istniały przesądy, żeby zmarły nie przeleżał przez niedzielę, bo za sobą drugiego pociągnie. Na mszę trumnę wieziono koniem do kościoła, a następnie na cmentarz.

Męża poznałam na miejscu – przyszedł do mojego domu naprawiać mi radio i został na dłużej (śmiech). Otoczenie bywało różne. Byli porządni ludzie, nawet na stanowiskach, ale też i tacy, którzy zawodowo donosili, dokuczali, przeszkadzali i skarżyli, gdy tylko człowiek powiedział coś nie tak. Bałam się cokolwiek mówić. Gdy mój mąż, jeszcze jako kawaler przyjeżdżał do mnie, to sąsiad doniósł, że nie jest zameldowany. Milicja przyjechała o 22:00 w nocy i zrobiło się nieprzyjemnie. Niestety jeden drugiego szpiegował. Nie ufałam do końca nikomu, bo nie wiadomo, kto był kim. Ludzie mający poparcie zawsze byli traktowani inaczej – partyjni mogli wszystko. Partia rządziła i partię należało wspierać. Nawet mój wujek zapisał się do takowej. Przeżył wojnę, obóz, a i tak zawsze wierzył w to, że jak przyjdą Rosjanie, to będzie tak dobrze – rozpuszczano taką propagandę. On nawet został sekretarzem w swoim okręgu i schodzili się u niego ci partyjni. Ludzie chcieli lepiej żyć, więc się zapisywali. Niektórzy byli i są oporni całe życie, a inni chcieli z tym prą-

dem iść. Osoby do pracy przywoził komitet powiatowy i nimi obsadzano wysokie stanowiska. Partyjny zawsze miał dużo do powiedzenia, gdzie pozostali nie mieli nic do gadania. W najbliższej rodzinie nikt nie zaangażował się w politykę. Mój ojciec nie interesował się tą sferą, ale słuchał Radia Wolna Europa. Uważał się za wielkiego patriotę, nosił też czapkę jak Piłsudski, wąsy miał podkręcone i zawsze powiadał: „Jakby inny rząd był, to ja bym był oficerem". Wspomniane radio strasznie zagłuszano – jeden szum, gwizd i świst. Czasem tylko człowiek coś usłyszał. Ja sama też podsłuchiwałam, gdy pan Jeziorański nadawał – to mnie interesowało. Mój ojciec, jako że trochę głuchy, nastawiał je tak głośno, że mówiłam: „Tatusiu, tak nie można głośno, bo jak ktoś usłyszy..." – za to mógł sobie iść „posiedzieć". Panował zakaz słuchania, takie nastały czasy.

Miałam też niemiły przypadek w pracy, gdzie niedługi czas zarabiałam jako kucharka. Przebywała ze mną wówczas koleżanka. Chłopcy przywieźli chleb do kuchni. Kiedyś otrzymywaliśmy 20-kilowe sztaby masła i należało je porcjować. Od jednego z chłopaków usłyszałam: „Daj pani nam na chleb kawałek tego masła". Obejrzałam się, a że nie było nikogo, wzięłam więc kawałek (300 gram) i mu dałam. W momencie gdy je chował, nadeszła kierowniczka z talerzykiem i zapytała go: „Co tam masz?". Wyjął to masło i oddał przełożonej. Przestraszona, z duszą na ramieniu poszłam do niej i powiedziałam: „Pani kierowniczko, ja przepraszam, nikt nie widział, że ja jemu dałam odrobinę. Ja panią przepraszam, więcej się to nie zdarzy". Usłyszałam tylko: „Won!". Zrobiła się afera, wysłano mnie do dyrekcji na przesłuchanie, na sąd – sądzili mnie za to. Na 10 lat dostałam naganę, która uniemożliwiała podwyżki i nagrody – nic mi się wówczas nie należało. Kazali kierowniczce odsunąć mnie od żywności, bo stwierdzili, że mam „gołębie serce". Przestępczynią byłam! (śmiech).

PO LEWEJ: PRZYJAZD BISKUPA DO SANATORIUM
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

PRACOWNICY KUCHNI I MAGAZYNU SZPITALNEGO, 1953 R.
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

W kuchni pracowało kilku rodowitych mieszkańców miasta. W pralni szpitalnej również zatrudniono osoby, które już wcześniej tu mieszkały, a w latach 60-tych powyjeżdżały. Generalnie tylko kilka rodzin było z Prabut. Wielu ludzi, również przyjezdnych, pracowało na kolei, choć głównie mężczyźni. Kobiety przeważnie wychowywały dzieci, jeśli miały ku temu warunki, a te, które musiały iść do pracy, zatrudniały się w Sanatorium. W samej kuchni, łącznie z masażami pracowało nas 45 osób. Inne zatrudniły się we wspomnianej wcześniej pralni, szwalni czy sklepie – no i oczywiście w samym szpitalu.

Pragnęliśmy normalności. W Sanatorium tańce organizowano co sobotę, na świetlicy. Potem wybudowano barak i tam się odbywały potańcówki. Muzyka była przeważnie odtwarzana, czasem grano na żywo. Pamiętam, jak pięknie przygrywali na akordeonie.

Jak wojsko stacjonowało w koszarach, to też dużo żołnierzy przychodziło – my, młode dziewczyny fajnych chłopaków napotykałyśmy i się bawiło z nimi. Pojawiało się również wielu pacjentów, ciekawych ludzi – chorych, ale tańczyć umieli. Lubiłam pląsać tanecznym krokiem dopóki nie zamkną drzwi – do ostatniego gościa się bawiłam. Były potańcówki, bale i imprezy dla lekarzy.

Po pracy chodziliśmy do Prabut na seans kinowy. Gdy przyjeżdżało kino objazdowe, to rozkładali się w Sali Miejskiej. Jak poszłam pierwszy raz, zdziwiłam się, jak to wszystko funkcjonuje. Tam też organizowano zabawy. W Sanatorium potem również powstało kino – w miejscu, gdzie mieściła się czytelnia. Bardzo dużo chodziłam, propaganda była straszna – najpierw puszczano kronikę i wszystkie sukcesy, jakie zdobywaliśmy, a dopiero potem odtwarzano filmy, przeważnie o tematyce sukcesu Związku Radzieckiego. Z czasem dodawali jakiś amerykański, także romantyczny, przeważnie jednak o fabule wojennej. Nie bardzo je lubiłam,

ŻOŁNIERZ STACJONUJĄCY W PRABUTACH (KOSZARY)
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

ale nie miałam co robić, więc i na nie chodziłam. Nie tylko ja, bo bardzo dużo ludzi uczęszczało do tego kina. Znałam nawet bileterkę (kasjerkę), która zawsze zostawiała dla mnie bilet. Było fajnie, bo człowiek młody ze wszystkiego się cieszył. W niedziele, na stadionie w Sanatorium odbywały się rozgrywki. Przychodzili ludzie z całych Prabut. Młodzież grała w piłkę, a widownia patrzyła, ponieważ nie miała co robić. Nie posiadaliśmy telewizorów, więc jakoś organizowaliśmy sobie czas wolny. Oprócz tego grano jeszcze w piłkę siatkową.

ROZGRYWKI KOBIET W PIŁCE SIATKOWEJ – BOISKO SANATORIUM, 1950 R. (arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

Jadwiga Żelazowska

Urodziłam się dnia 3 marca 1934 roku, w województwie warszawskim, w małej, nieistniejącej już wiosce – Wierciochy. Moi rodzicie również stamtąd pochodzą. Jesteśmy, jak to się mówi, z Centralnej Polski. Dziadkowie byli rolnikami, mieli swój majątek. Mama wywodzi się z bardzo dużej rodziny (dwanaścioro rodzeństwa). Babcia wychodziła za mąż dwukrotnie i z każdego związku wychowała po sześcioro dzieci. Moja mama była z nich najstarsza.

Zanim jeszcze wojna wybuchła, rodzice pobrali się. Żyli ze sobą niedługo (jakieś osiem lat), gdyż ojca powołano do wojska i mama została sama, z dwójką małych dzieci – ja miałam pięć lat, a siostra trzy. Gdy wojna się zaczęła, ojca już przy nas zabrakło. Pamiętam tylko taki moment, że przyszli urzędnicy z wojskowymi i powiedzieli, że go zabierają. Mama strasznie płakała. Przytuliłyśmy się do ojca, ja z jednej strony, siostra z drugiej. On wtedy nie miał nawet trzydziestu lat. Przytulał nas, głaskał po głowach i mówił: „Nie martwcie się, ja pójdę, ci panowie tylko mnie zapiszą i ja do was wrócę". Strasznie to przeżyłyśmy. Zapamiętałam, jak ojciec odchodzi i zostajemy same, bez środków do życia. Utrzymywaliśmy się z tego, co jest na wsi: krowa, świnka, ziemniaki – tak jak ludzie wówczas żyli. To wszystko przerodziło się potem w straszny głód, ponieważ mężczyźni poszli i zostały same kobiety – było ciężko. Wiem, że moja mama zajmowała się dzierganiem na drutach, jako taki środek nas utrzymujący. Robiła w czasie wojny skarpety, swetry, jakieś tam rajstopy. Wtedy nikt nie miał pieniędzy, ale jeden przyniósł pół kilograma kiełbasy, drugi słoninę, a trzeci mąkę... i tak jakoś żyliśmy. Gdy wojsko z zachodu przesuwało się na tereny Polski, to całą ludność wypychali na wschód. Uciekliśmy, a właściwie zostaliśmy wysiedleni ze swoich mieszkań. Nic nie wzięliśmy, mama zdążyła zabrać tylko kilka bochenków chleba. Pościel i małe dzieci powsadzano na wozy, a starsi ludzie szli pieszo. Przeżyliśmy straszną gehennę, koczowaliśmy jak cyganie. Tułaliśmy się od miejscowości do miejscowości, nocując pod stogami, w opustoszałych wioskach. Brakowało jedzenia i ubrań – nastały bardzo ciężkie warunki.

Gdy miałam jakieś siedem lat, byłam świadkiem strasznego okropieństwa. Okazało się, że partyzanci zabili gdzieś jakiegoś Niemca. W odwecie wzięto czterdziestu Polaków. Całą naszą wieś spędzono, ile nas tam było. Zgromadzono nas w miejscowości położonej trzy kilometry dalej, takiej kościelnej, trochę większej. Zebrano wszystkich mieszkańców, łącznie z małymi dziećmi. Wykopano ogromny dół i postawiono nas wszystkich obok. W tej wiosce stał kościółek i z niego wyprowadzano związanych drutem jeńców, tak po ośmiu. Wśród nich znajdowali się bracia, ojcowie – sami mężczyźni, kobiet nie było między nimi. My musieliśmy stać i na to wszystko patrzeć – tych ludzi wyprowadzano i strzelano im w tył głowy, a oni padali prosto do tego grobu. Nie wszyscy, którzy tam wpadali, od razu umierali. Niektórzy zostali tylko postrzeleni, gdzieś w ramię lub nogi. Niemcy widząc, że któryś się tam jeszcze rusza, dobijali go kolbami. Dzieci krzyczały, kobiety płakały – to było straszne. Tak to przeżyłam, że po powrocie do domu nie mogłam dojść do siebie. Mama stosowała różne rzeczy, żeby mnie uspokoić, tak bardzo przelękłam się tego. Na drugi dzień, gdy poszliśmy zobaczyć miejsce zbrodni, ziemia popękała jak na pustyni, miejscami ściemniała od krwi. Takie straszne rzeczy przyszło nam przeżywać jako dzieciom. Nie zostało to bez echa, okres wojny zaszczepił we mnie strach i lęk. Gdy już byłam dorosła i pracowałam w szkole, wybrałam się ze swoimi dziećmi na wczasy do Drezna. Jak dotarliśmy na niemiecką stację, to trzęsłam się niczym galareta – ten język, te zapowiedzi... przypomniałam sobie wszystko i nie mogłam się opanować.

Wojna skończyła się gdy miałam jedenaście lat. Pamiętam tylko, że jako dzieci bardzo się cieszyłyśmy. Wiadomość podał nam ksiądz w czasie mszy świętej. Rozległy się okrzyki: „Hura!". Obecni całowali się i przytulali. Potem przechodziło wojsko i przemieszczali się w stronę Niemiec, wtedy już była wielka euforia. Ludzie ustawiali się, rzucali kwiaty na tych wojskowych, przytulali się i dawali, co mogli. Nawet zapraszali do domów, na skromną zupę czy herbatę. My po wojnie wróciliśmy na nasze ojcowiste

ziemie, na gospodarstwo. O tacie nie mieliśmy żadnych wiadomości, mama szukała go przez Czerwony Krzyż i znajomych. Niestety nigdzie nie trafiła na jego ślad. Nie wiedzieliśmy co się stało i gdzie on jest – nie dotarły do nas żadne wiadomości.

Szkołę podstawową zaczynałam zaraz po wojnie, w Krzynowłodze. Miałam już wspomniane jedenaście lat, więc musiałam nadrobić ten stracony czas. Pierwszą i drugą klasę skończyłam w jeden rok, trzecią i czwartą również, a potem już szło normalnie. Łącznie ukończyłam siedem klas. Miałam jakieś piętnaście, szesnaście lat, gdy przyjechałam do Prabut. Był to 1951 rok. Jeszcze wcześniej wymarzyłam sobie, że będę nauczycielką. Wówczas nie przyjęto mnie w Szczytnie, bo obowiązywała rejonizacja, a tu powstawało nowe liceum, które szukało naboru. Tutaj rozpoczęłam naukę tego samego roku w Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli. Dotarłam do Prabut pociągiem. To była moja pierwsza w życiu podróż, tak z dala od rodziny, samotnie – bardzo się bałam. Mama musiała zostać w domu z siostrą, a ja przyjechałam samiutka. Wysiadłam na stacji dość późnym wieczorem, tak gdzieś o dziesiątej, jedenastej. Stanęłam na dworcu i zastanawiałam się dokąd iść, w którą stronę się skierować. Zapytałam kolejarza o kierunek, a on odpowiedział: „Pójdzie pani prosto ulicą Daszyńskiego i za kościołem będzie taki duży budynek, na ulicy Warszawskiej" – tam mieściło się to liceum. Po przeciwnej stronie był piękny skwer i fontanna. Ta placówka działała wraz z internatem. Wtedy nie mogłam liczyć na wielkie wsparcie od mamy. Owszem, przygotowała mi wszystko, jakieś ubrania, sukienki, coś do spania. Potem dostałam stypendium i to już mi jakoś wystarczyło. Człowiek nie żył dostatnio, ale miałam na opłacenie internatu i jedzenia. Zapewniono nam wyżywienie i naukę, w budynku raczej mieszkalnym. Klasy nie liczyły zbyt wiele osób, same kobiety, bo to była żeńska szkoła. Podręczniki kupowałyśmy we własnym zakresie i każda miała swoje. Funkcjonowała też biblioteka na miejscu. Warunki, po tym jak człowiek z takiej biedy wyszedł i przeżył wojnę, dla mnie były luksusowe. Mogłam

wykąpać się, miałam swoje łóżko. Mieszkałyśmy po cztery, pięć dziewczyn, zależy jak komu przypadło. Stołówka znajdowała się również na miejscu. W stojącym obok, malutkim budyneczku mieściła się kuchnia, gdzie gotowano. Naprzeciwko naszego budynku znajdowała się Szkoła Podstawowa numer 1. Nauczyciele z jedynki przychodzili do nas na obiad. Dyrektorem liceum była Pani Kowalec, pochodziła z Warszawy. Pamiętam jak mówiła: „Jadwiga, dziecko, nigdy nie staraj się zbierać i dorabiać w życiu. Jak wybuchło powstanie to myśmy mieli wille, wszystko, a ja uciekłam w koszuli nocnej i kapciach. Ludzie po drodze mnie przyodziali, bo wszystko straciliśmy". To było bardzo dobre liceum. Miałyśmy dużo godzin praktycznych, przygotowawczych do pracy w przedszkolu. Należałam do pierwszego rocznika tej szkoły. Odbywały się liczne lekcje muzyki, także przy fortepianie. Nauczyciele, z racji swojego wieku, posiadali już duży bagaż doświadczenia w pracy nauczycielskiej. Zadawali prace domowe, przeprowadzali sprawdziany. Moim zdaniem mieliśmy bardzo dobre grono nauczycielskie – ludzie na poziomie, dobrze przygotowani. Dyrektorem po Pani Kowalec został Pan Pokojski. Z nauczycieli pamiętam Panią Domagałę, uczyła nas muzyki. Polonistka – Pani Sienkiewicz – pracowała nawet ze mną w szkole, w jedynce, natomiast Pani Krystyna Jakubowska uczyła języka rosyjskiego. Była też taka dobra plastyczka, ale nie pamiętam jej nazwiska. Zdaje mi się, że osoby, które pokończyły licea pedagogiczne, przejęły wartości od swoich wychowawców – stały się uosobieniem przykładu, jaki powinien przyświecać nauczycielom. Postrzegaliśmy ich jako autorytet, ja przynajmniej tak swoich odbierałam. Moja nauka trwała trzy lata, a już w 1954 roku sama pracowałam jako nauczycielka.

Prabuty były małym miasteczkiem, cichym i spokojnym, słabo oświetlonym. Funkcjonował jeden kościół. Kiedyś wybrałyśmy się z dziewczynami na cmentarz, obecnie stojąca tam kaplica była wtedy grobowcem z mnóstwem trumien. Zaglądając do środka, wypatrzyłyśmy białą trumnę dziecięcą. Później ludzie zaczęli chodzić i tam szperać, wszystko powyciągali i porozbijali. Z katedry

PO PRAWEJ PAN POKOJSKI, DYREKTOR LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI, Z TYŁU ŻONA MARIA (arch. prywatne J. Żelazowskiej)

NAUCZYCIELE Z LICEUM, CZĘŚĆ KADRY PRACOWAŁA RÓWNIEŻ W SZKOLE PODSTAWOWEJ (arch. prywatne J. Żelazowskiej)

pozostały tylko mury zewnętrzne, dach nie ocalał – rosły tam dzikie brzózki. Ludzie powiadali, że przy wieży obok banku podobno był teatr, tam we wnęce. Starsi mieszkańcy wspominali miasto, jako piękne, bardzo zadbane. Nazywano je miastem róż, gdzie powstały liczne skwery i pięknie to wyglądało. W czasie przejścia frontu Prabuty zostały zniszczone i spalone przez Rosjan – oni na te tereny weszli i szukali Niemców. Przy okazji niszczyli wszystko, co im w ręce popadło. Wywieźli cukrownię i ograbili domy. Tutaj mieszkali chyba zamożni Niemcy, więc złupili dużo mebli gdańskich, ciemnych. Wszystko dobre, co napotkali po drodze, ładowali na samochody i transportowali dalej. Uciekający Niemcy zakopywali część swoich dóbr: kryształy, drogie naczynia i inne. Podobno przyjeżdżali po wojnie, bo w grobach z lasu w Sanatorium urządzili sobie schowki. Tak samo stało się w Kisielicach, wrócili i wyciągnęli na cmentarzu kilka trumien. Poznałam pewną rodzinę – on, sołtys z Kisielic, ona była stąd. Opowiadali mi, że straszne rzeczy działy się, gdy Niemcy uciekali po wojnie. Z tobołkami szli na transporty, pewnie wypędzano ich w kierunku Niemiec. Gdzieś zalew (jezioro) napotkali i tam wepchnęli zgromadzonych do wody – tylko sukienki pływały na powierzchni. Podobno w taki nieludzki sposób zachowywano się w stosunku do miejscowych. Podczas repatriacji przyjeżdżała ludność wschodnia i zaczęły się waśnie. Znałam starszą Niemkę, która przychodziła do sklepu po chleb. Za plecami usłyszała: „Jak to! Ty tyle lat mieszkasz w Polsce i mówisz po niemiecku?" – „Bo ja jestem Niemką, nie Polką!" – takie powstawały spory, ale jako młoda dziewczyna nie interesowałam się tym aż tak bardzo. Generalnie nikt nikogo nie pokazywał palcami, natomiast prawda była taka, że ludzie trzymali się grupkami. Przyjaźnie zawiązywały się w swoim gronie. Na początku panowała też niepewność, niektórzy ludzie uważali, że Niemcy mogą jednak wrócić.

W kwestii religii i świąt kościelnych utkiwło mi w pamięci, jak dyrektor mówił nam, uczennicom, że nikt nas na siłę nie trzyma, ale jak ktoś nie musi, niech nie pokazuje się tam, gdzie nie trzeba.

Ponieważ wyniosłam zasady trwałej wiary, to całe liceum chodziłam do kościoła i nie miałam z tego powodu problemów. Wiem, że to nie było mile widziane i niektórzy nauczyciele nie chrzcili swoich dzieci na terenie naszej parafii, tylko jeździli gdzieś indziej. Jakiś czas w mieście urzędował ksiądz prawosławny – pop. W kaplicy przy ulicy Ogrodowej odprawiał msze. Chodził z brodą, a dzieciaki biegały za nim. Potem wyprowadził się, a ludność prawosławna wtopiła się w otoczenie i uczęszczała do kościoła katolickiego.

W 1954 roku dostałam nakaz pracy i zostałam kierowniczką przedszkola w Morągu. Ponieważ potrzebowano nauczycieli, otrzymałam telefon i zostałam przeniesiona do szkoły numer 1 w Prabutach. Od 1954 do 1960 roku pracowałam na miejscu. W 1960 r. wybudowano „dwójkę" i podzielono nasze grono. Tam do 1984 r. pracowałam i stamtąd odeszłam na emeryturę. Początkowo nauczałam klasy 1-3. Następnie skończyłam studia zaocznie i zostałam nauczycielką historii, do końca. Jako szkoła przygotowywaliśmy wszystkie uroczystości i różnego rodzaju pochody czy okolicznościowe akademie z racji świąt państwowych, chociażby 1 Maja. To był świetny czas, pełen radości, bardzo uroczysty. Ludzie pięknie ubrani, wszystko zostało udekorowane. Organizowano występy artystyczne na scenach, grała orkiestra. Dzieci kupowały sobie lody. Na trybunie stał burmistrz oraz zaproszeni goście. Z przyjemnością wspominam te chwile, kultywowane niemalże do czasów Solidarności, jako trwały element święta 1 Maja w Polsce Ludowej. Braliśmy też udział w wykopkach i sprzątaniu miasta. Jeżeli chodzi o zdobycie pracy w tamtym okresie, nie sprawiało to problemu, gdyż wszyscy dostawali nakazy. Początki przysporzyły trudu, ponieważ klasy powstawały bardzo liczne. Poza tym, miałam dwadzieścia lat, a uczniowie po osiemnaście, bo uczęszczały te przerośnięte roczniki. Edukowałam prawie swoich rówieśników, nie było to łatwe. Czasem zdarzały się rożne sympatie i miłości wśród dorastającej młodzieży. Później powstały szkoły wieczorowe, więc do nich poszła ta młodzież pracująca. W latach powojennych,

cała ludność pragnęła wiedzy, na siłę przychodzili. Pracowało się wtedy bardzo dobrze, mimo warunków. Trzydzieści dwie godziny wynosił etat, a może nawet trzydzieści sześć – to jest prawie tyle, co dwa etaty obecnie. Moja pensja wynosiła wówczas 560 zł.

Ponieważ zawsze lubiłam się ubrać, to za tą pierwszą pensję kupiłam spódniczkę, bluzeczkę i zamszowe buty na korku. Poświęciłam całą wypłatę. Ludzie w tamtych czasach ubierali się skromnie. Właściwie nie było ludzi bogatych, wszyscy raczej biedni. Myślę jednak, że przykładano wagę do ubioru. Nie mieliśmy markowych ubrań. Używano materiału słabszej jakości, ale ludzie starali się nosić schludnie. Nie widywałam jakiegoś takiego łachmaniarstwa. Każdy starał się na miarę swoich możliwości. Starsze pokolenie ubierało się raczej w kolory ciemniejsze, stonowane, natomiast młodzież bardzo wesoło – materiały w kwiatki, do tego warkocze, wstążki i kokardy u dzieci w szkole. My w liceum nosiłyśmy mundurki, fartuchy i biały kołnierzyk. Życie towarzyskie kwitło, byliśmy młodzi i radośni. Ciężko pracowaliśmy cały tydzień, ale potem wystarczyło kilka kanapeczek, jakieś winko i nieraz siedzieliśmy do północy, śpiewając i opowiadając sobie. Związek Nauczycielstwa Polskiego też inaczej działał – organizowano wczasy, wycieczki, biwaki. Cały dzień trwały śpiewy, tańce i zabawa. Teraz już tego nie ma. Spędzaliśmy czas również w „Jarzębinie". Tam czekała sala koncertowa, grały zespoły, organizowano wesela, przyjęcia. Nie było wykwintnie, ale mogłam zjeść obiad lub wypić lampkę wina. Poza restauracją funkcjonowała jeszcze kawiarnia „Pod Jeleniem". Tam odbywały się nasze spotkania, Dni Nauczyciela, imieniny.

Miło wspominam czasy licealne. Byłam sentymentalnie bardzo związana ze swoją szkołą. Dobrze czułam się w tym środowisku. Nauczyciele lubili mnie i obdarzali różnymi funkcjami w szkole. Czułam się doceniona. Wracam pamięcią do ukończenia szkoły. Orkiestra grała na sali, a my takie dorosłe, spełnione dziewczyny, byłyśmy żegnane w naprawdę życzliwy sposób. Sama ta radość,

z ukończenia szkoły. Czuło się swoją wartość, że jest się kimś – to takie imponujące. Ta scena i bębny, a ja taka obracająca się i śpiewająca – coś pięknego... Jestem człowiekiem dość kontaktowym. Miałam bardzo dużo przyjaciół wokół siebie. Z resztą, mój mąż też wywodzi się z grona nauczycielskiego. Żyliśmy ze sobą towarzysko tak zbliżeni, że zastępowało nam to wszystko. W pewnym momencie czułam się gorzej w swojej miejscowości, niż tu w Prabutach – wrosłam w te środowisko. Tu był cały mój świat: skończyłam szkołę, wyszłam za mąż, urodziłam dzieci, pracowałam całe swoje życie i poszłam na emeryturę.

Halina
Stawiszyńska

Urodziłam się 25 grudnia 1925 roku w miejscowości Wąpiersk koło Lidzbarka. Moi rodzice również stamtąd pochodzą. Oboje zajmowali się gospodarstwem i mieli pięćdziesiąt hektarów ziemi. Chowali świnie, krowy, cielęta. W naszej rodzinie było pięcioro rodzeństwa – ja, trzy siostry i brat.

31 sierpnia 1939 roku odbywały się ogólnopolskie dożynki, na które mój ojciec dostał zaproszenie. Organizowano je nad samą granicą, choć nie pamiętam już nazwy miejscowości. Gdy rodzice wrócili, to powiedzieli, że niemieckie samoloty przelatują na polską stronę i chyba będzie wojna. Rzeczywiście, przyjechali do domu 31 sierpnia wieczorem, a już rano Niemcy byli na naszym podwórzu. Tym samym wojna wybuchła niespodziewanie. Miałam wtedy trzynaście lat. Rozpoczęła się mobilizacja i powołanie do armii. Mój ojciec nie poszedł, ponieważ zlecono mu, jako najstarszemu we wsi opiekę nad wszystkimi rodzinami, którym mężczyzn zabrano do wojska. Tata nie walczył na froncie, ale z Niemcami miał do czynienia. Ja już byłam na tyle duża i świadoma, by pojąć czym jest wojna. Baliśmy się trochę Niemców, bo nie wiedzieliśmy co to będzie. Z racji mieszkania we wsi, bomby na nas nie spadały, ale spotkania z Niemcami doświadczyliśmy. 1 września powinnam iść do drugiej klasy gimnazjum. Spakowałam już walizkę i rodzice mieli mnie tylko zawieźć. W nocy wybuchła wojna, więc już nie pojechałam. Posiadaliśmy największe gospodarstwo w miejscowości i jeden Niemiec upatrzył je sobie. Przed wojną w naszej wsi mieszkały już dwie rodziny niemieckie, które prowadziły gospodarstwa. W 1940 roku ojciec, jadąc na targ do Lidzbarka, pierwszy raz został aresztowany i uwięziony w Działdowie, w obozie. Modliliśmy się wtedy do Matki Boskiej i odmawialiśmy różaniec, aby on wrócił. Mama załatwiła jakoś z miejscowymi Niemcami powrót taty do domu, choć nie na długo. W 1941 roku ponownie go aresztowano, również jak jechał na ten targ. Pamiętam, że matka chciała dać ojcu kołdrę, ale Niemiec powiedział, że nie będzie potrzebna. Mimo wszystko mu ją dała. Więziono go chyba wtedy na cytadeli w Grudziądzu. Jak wrócił, to opowiadał,

że go tam bito. Mama znowu zorganizowała jego wyjście, ale kto tam się do tego przyczynił, to nie wiem. W każdym razie był z nami. W 1942 roku przyszła wiadomość, że nas wywłaszczą z naszego gospodarstwa. Razem z rodzeństwem uciekaliśmy nocami i kryliśmy się – jakby przyjechali nas wysiedlać, to mieliśmy spotkać się z rodzicami gdzieś po drodze. Ukrywaliśmy się tak kilka razy w różnych miejscowościach. To niestety nie pomogło. Jednego razu, gdy wracaliśmy do domu z ukrycia, w samo południe przyjechali Niemcy i naszą rodzinę wywłaszczyli z gospodarstwa. Wywieźli nas do innej miejscowości, bo w tym czasie zagarniano całe wsie. Nazywała się Kowaliki, wtedy chyba jeszcze powiat lubawski. To stało się chyba 4 lipca. Gospodarstwo było zniszczone, a żniwa pozostały do uprzątnięcia. Wywieźli nas tam, ponieważ właściciel uciekł z tej ziemi. Pamiętam, że dom stał cały zawalony. Jakoś posprzątaliśmy to miejsce, żniwa ogarnęliśmy i znów Niemcy po nas przyjechali. Tym razem zabrali nas do obozu, 4 sierpnia. Najpierw przetrzymywano nas w Jabłonowie, gdzie spędziliśmy dwa miesiące, potem w Potulicach, gdzie byliśmy do wiosny 1943 roku. Chyba w lutym wywieźli nas na krótko do Łodzi, stamtąd do Hamburga, a następnie jeszcze dalej, aż pod samą Danię – Schleswig-Holstein. Tam spędziliśmy trzy lata, już do końca wojny, przeważnie pracując na roli. Rozparcelowano nas po różnych miejscach. Miałam wtedy prawie szesnaście lat, a siostra czternaście. Kto ukończył czternaście lat, ten musiał już pracować. Młodsze rodzeństwo zostało jeszcze przy rodzicach. Oni mieszkali na jednym gospodarstwie, ja gdzieś indziej, a siostra też w innym miejscu – nie byliśmy razem. W czasie pobytu w tych obozach, mało co się nie wykończyliśmy. Zwoływano codzienne apele. Wybierali z nas, kto i gdzie ma iść do pracy. Do jedzenia otrzymywaliśmy kawałek chleba na siedem osób, na cały dzień. Do tego przysługiwała kosteczka margaryny i łyżeczka marmolady z buraków cukrowych. Często chorowaliśmy. Gdy przebywaliśmy w obozie w Jabłonowie, to młodsza siostra prawie konała. Zachorowała na dyfteryt, ale jakoś tak wyszło, że siedział tam polski lekarz i uratował ją – wszystko skończyło się szczęśliwie.

Koniec wojny przyszedł do nas 3 maja 1945 roku. Zapanowała ogromna radość. Wyzwolili nas Anglicy, weszli na teren, na którym się znajdowaliśmy, a z drugiej strony przybyli Amerykanie. Znaleźliśmy się w takim jakby kotle – tu wojska angielskie, tu amerykańskie, a tu Rosjanie. Niemcy też już czuli, że nastąpi kapitulacja. Jeszcze przewozili amunicję w wozach przykrytych sianem, ale Anglicy wiedzieli o tym i je bombardowali. Baliśmy się wtedy wychodzić. 2 maja ojciec przyszedł tam gdzie pracowałam i mnie zabrał. Niemcy po prostu nas oddali. Jedna siostra w jednym miejscu, ja w drugim, trzecia też już pracowała w innym, więc tata chodził i nas zbierał. 3 maja byliśmy już wszyscy razem i czekaliśmy na wiadomości, co będzie dalej. 9 maja usłyszeliśmy, że Niemcy skapitulowali – nastąpiła wielka radość. Każdy skakał w górę ze szczęścia, że nareszcie koniec wojny i wrócimy do domu. To był taki moment, który do dzisiaj pamiętam. Zaopiekowali się nami Anglicy, zabrali nas do obozu repatriacyjnego i tam czekaliśmy na wyjazd do Polski. Dosyć długo to trwało, bo jak się dowiedzieli, co Rosjanie wyprawiają w Polsce, to nie chcieli nas repatriować. Do ojczyzny Anglicy transportowali nas swoim okrętem. Morze było jeszcze zaminowane, więc pierwszy płynął poławiacz min, za nim pusty okręt, potem taki z osobami samotnymi, a rodziny przebywały dopiero na trzecim statku. Podróżowaliśmy aż do Gdyni, z tym że na morzu czekaliśmy jeden dzień na rozminowanie, aby móc płynąć dalej. Gdy dotarliśmy do Gdyni, to wszystko było zniszczone, zbombardowane. Na miejscu pojawiliśmy się 4 grudnia 1945 roku, na św. Barbary. Doskwierał wówczas siarczysty mróz. Pamiętam, że czekaliśmy na peronie, a wszystko wokoło stało w ruinie. Ocalał tylko jeden mały pokoik dla matki z dzieckiem. Pociągi też zostały poniszczone. Przebywałam z rodziną na tym peronie cały dzień i noc, o mało co nie pomarzliśmy. Jak pytaliśmy, kiedy pociąg przyjedzie, to konduktor odpowiadał krótko: „Jak przyjedzie, to będzie". Gdy w końcu dotarliśmy do Lidzbarka, ojciec zaczął rozglądać się za kimś znajomym, bo do naszego gospodarstwa było siedem kilometrów. Zawieźli nas tam, ale na miejscu wszystko zostało już zniszczone. Gdy Rosjanie wtargnęli, to palili

co popadło, twierdząc, że te gospodarstwa należały do Niemców. Musieliśmy zatem dorabiać się od początku. Na Boże Narodzenie przyjechał mój chrzestny z Grudziądza. Pracował jako nauczyciel w liceum pedagogicznym. Stwierdził, że zabierze mnie do tej szkoły. Odbywały się tam najpierw kursy pedagogiczne, a później musiałam uczyć się zaocznie. Jak tylko skończyłam, od razu dostałam angaż w szkole w Radoszkach, gdzie pracowałam trzy lata. Nie chciałam jednak tam zostać, bo planowałam poznać „Ziemie Odzyskane". Zgłosiłam się do inspektoratu w Iławie, skąd skierowano mnie do Kisielic. Tam spędziłam trzy lata. Gdy zapoznałam męża, który mieszkał w Prabutach, sprowadziłam się do niego.

Do Prabut przybyłam pociągiem w 1953 roku. Miałam tylko walizkę. Ujrzałam dookoła jeszcze wiele gruzów. Mąż wcześniej też przebywał na robotach w Niemczech i gdy powrócił, to zamieszkał w Prabutach ze swoją mamą. Teściowa opowiadała, że jak ewakuowano ich tutaj, to w koszarach znajdowało się takie biuro repatrianckie, które przydzielało mieszkania. Na początku miasto stało puste, ponieważ Niemcy pouciekali – gdzie ktoś sobie zajął, tam mieszkał. Później powstało już biuro i przydzielano pozostałe mieszkania, które czekały wolne. Teściowa przyjechała sama z najmłodszym synem, miał siedem czy osiem lat. Mój mąż pracował w tym czasie jeszcze w Niemczech. Jego mama sprowadzając się tutaj, nic nie wiedziała o losie reszty swoich dzieci, bo wszystkich powywożono. Z czasem zaczęli odnajdywać się wzajemnie. Mój mąż przybył do niej w 1948 lub 1949 roku i zajął się domem. Gdy przyjechałam, miałam już gdzie mieszkać. Tak naprawdę Prabuty poznałam wcześniej, ponieważ przyjeżdżałam z Kisielic do lekarza i apteki – tam takich usług nie świadczono. Prabuty mi się podobały. Były dostępne połączenia pociągiem w różnych kierunkach. Gdy przeprowadziłam się na ulicę Górną, wszystkie domy stały tak, jak teraz. Sąsiedzi przeważnie chowali świnie i krowy. Dużo ludzi przyjechało zza Buga. Z mojej rodzinnej okolicy tylko dwie rodziny tu zamieszkały, oprócz mnie. Z ludźmi ze wschodu dobrze się żyło i rozmawiało. Byli przyjaźni,

chociaż bardzo ubodzy. Nosili chustki na głowach, kufajki i kalosze ocieplane na nogach. Tak wyglądały wtedy początki. Ludzie ubierali się w to, co mieli – ci z Centralnej Polski inaczej, można powiedzieć, że bardziej schludnie. Nie mieliśmy też gdzie kupować tych ubrań, więc często sami sobie je szyliśmy. Na naszej ulicy nie było ani bruku, ani żwiru. Nie mieliśmy oświetlenia, natomiast woda już płynęła z kranu. Podobała mi się ta okolica – ubogo, ale przyjemnie.

Na ulicy Grunwaldzkiej mieściła się kiedyś szkoła. Nie wiem czy technikum, czy liceum, ale pozostały jeszcze ruiny z czerwonej cegły. Dzieci po wyjściu ze szkoły biegły bawić się w tych gruzach. Katedra również była zniszczona. Stały tylko mury i drzewka rosły. Na rynku, na fontannie z lwami brakowało już figury rycerza. Obecny cmentarz wtedy jeszcze nie funkcjonował, bo był poniemiecki. Rzadko na nie niego chodziliśmy, znajdowały się tam podziemia i jakieś grobowce. Następny, nieduży i żydowski, mieścił się na ulicy W. Jagiełły. Jego grobów nie pamiętam już za bardzo, ale wiem, że miał ogrodzenie z czerwonej cegły. Tam wszystko zarosło przez trawę i krzewy. Wydaje mi się, że Prabuty zostały mniej zniszczone jak Kisielice. Odgruzowywaliśmy je jeszcze z młodzieżą w ramach pracy społecznej. Każda szkoła musiała wysłać swoich uczniów do pomocy. Odbywało się to poza zajęciami lekcyjnymi. W Prabutach takimi czynami społecznymi stało się sadzenie drzewek czy porządkowanie miasta. Ze starszymi klasami wyjeżdżaliśmy nawet na wykopki w ramach tego typu zajęć.

Gdy pracowałam w Kisielicach, w szkole odbywało się dużo kursów językowych – jedne dla Polaków analfabetów, a drugie dla Niemców, którzy niby byli Polakami. Dla autochtonów organizowano zajęcia z języka polskiego. Niektórzy z nich trochę umieli, a inni mówili tylko po niemiecku. Ja też prowadziłam takie lekcje. Pamiętam, że oni zawsze chcieli śpiewać po polsku (śmiech). Z nimi pracowało się lepiej, jak z Polakami analfabetami – im trudniej trzymało się ołówek i zaokrąglało literki. Niemcy natomiast umieli już

czytać po niemiecku i znali litery, więc szło im lepiej; tylko jak mieli pisać, to woleli śpiewać. W każdym razie, przez te trzy lata pracy prowadziłam takie kursy językowe. Nie wszyscy Niemcy się przesiedlali – kto chciał, to zostawał tutaj. Nie wiem, jak to organizowano, może istniało jakieś zarządzenie, ale oni zapisywali się i wyjeżdżali transportem do Niemiec. Pracując w Prabutach uczyłam jeszcze dzieci, które chodziły do polskiej szkoły, a gdy wyjeżdżały, to mówiły, że są Niemcami. Nie żyło ich jednak tutaj tak dużo. Mieszkały też rodziny, gdzie ojciec był Polakiem, a matka autochtonką albo odwrotnie – takie związki mieszane. Nie zauważyłam, żeby jakoś odznaczali się od innych mieszkańców.

Po wojnie zapotrzebowanie na nauczycieli było ogromne, więc z pracą nie miałam żadnego problemu. Podobały mi się Kisielice, bo wtedy jeszcze miały status miasta, a ja chciałam przyjechać na „Ziemie Odzyskane". Gdy wyszłam za mąż, musiałam starać się o przeniesienie do Prabut. Akurat czekało wolne stanowisko w Szkole Podstawowej numer 1. Znajdowała się tam gdzie obecnie, na ulicy Grunwaldzkiej. Kiedyś nauczyciel musiał umieć wszystko, od języka polskiego po W-F, a dodatkowo znać program nauczania od pierwszej do siódmej klasy. Nie istniały takie specjalizacje jak teraz, że nauczyciel skupia się tylko na języku polskim albo geografii. Do czego kierownik przeznaczył, tego należało uczyć. Ja chyba wszystkie przedmioty prowadziłam, oprócz fizyki i chemii. Zajęcia przebiegały tak jak obecnie, a dodatkowo jeszcze istniała część praktyczna, jak śpiew czy rysunek. Program trzeba było znać i pisać wszystkie przygotowania, całe elaboraty takie – cel wychowawczy, cel dydaktyczny, przebieg całej lekcji. Każde zajęcia musiały zostać opisane, ponieważ to sprawdzano. Czasem na lekcje przychodził kierownik, żeby nas ocenić. Wtedy nie mieliśmy sali gimnastycznej, więc dzieci ćwiczyły na korytarzach albo w klasie. Sama także prowadziłam takie zajęcia sportowe w szkole. Ławki ustawiało się po bokach, aby środek zrobić wolny – gdzie znalazło się miejsce, tam dzieci ćwiczyły. Później, gdy zlikwidowano ruiny szkoły, zrobiono tam boisko i mieliśmy w końcu gdzie chodzić

BUDYNEK SZKOŁY PODSTAWOWEJ PRZY UL. GRUNWALDZKIEJ
(arch. prywatne H. Stawiszyńskiej)

DEFILADA PRZEDSTAWICIELI SZKOLNEGO PCK, POCHÓD 1 MAJA ULICĄ WARSZAWSKĄ (arch. prywatne H. Stawiszyńskiej)

Imię Halina
Nazwisko Stawiszyńska
OPIEKUN
Szkolnego Koła
PCK
od roku 1953
podpis właściciela

Legitymacja
Nr 19
Opiekuna Szkolnego Koła PCK
wydana przez
Zarząd Powiatowy
Polskiego Czerwonego Krzyża
w Iławie
dnia 29 VIII 1953 r.

LEGITYMACJA OPIEKUNA SZKOLNEGO KOŁA PCK
(arch. prywatne H. Stawiszyńskiej)

ćwiczyć w czasie dobrej pogody. Mi ta praca się podobała. Panowała taka harmonia między nauczycielami. Zajęć i obowiązków trochę miałam, bo w klasie nawet i trzydzieści dwie osoby się zdarzały. Wolnych sobót też kiedyś nie było. Pracowałam trzydzieści sześć godzin tygodniowo, nie osiemnaście. Dwie godziny w tygodniu zajmowały prace społeczne oraz należało poprowadzić jedną godzinę wychowawczą. Dodatkowo odbywały się codziennie apele i każda klasa po kolei musiała coś przygotować. Początkowo podręczników też było za mało, więc przekazywano je z roku na rok, młodszym klasom – należało o nie dbać. Mimo to, lubiłam tę pracę, dzieci i nauczycieli. Pamiętam, że robiłam takie lekcje, na których tłumaczyłam, dlaczego miasto nazywa się Prabuty. Jest taka legenda, że żył tutaj jakiś „Prabut" i utopił się w jeziorze przylegającym do miasta. Podobno od tego wzięła się ta nazwa

Prabuty. Gdy oprowadzaliśmy dzieci po zabytkach miasta, to sami musieliśmy najpierw dowiedzieć się co nieco o historii i dopiero wtedy przekazywaliśmy tę wiedzę dzieciom. W sumie wychowałam młodsze pokolenie Prabucian. Wśród nazwisk do tej pory kojarzę pana Dawidowskiego, Przechadzkiego czy Kołakowskiego. Sporo miałam także uczniów, którzy potem sami zostali nauczycielami. Również kadrę szkoły zawsze miło wspominam – panią Felską, Rodziewicz, Czaplicką, Sienkiewicz i Agacińską. Gdy pracowałam, to wszyscy byli fajni i każdy się starał. Wracam pamięcią także do Święta Pracy 1-go Maja. Obchody były bardzo ładne, ale przymusowe, ponieważ sprawdzano obecność. Najpierw gromadziło się dzieci, ustawiało klasami i potem ruszał przemarsz ulicą Warszawską i W. Jagiełły, aż do placu sportowego. Stała tam trybuna i na niej zawsze występowano. Mi się podobało. Wszystkie organizacje z zakładów pracy szły obowiązkowo. Jak ktoś nie poszedł, to zaraz podpadał.

Zakupy robiłam w sklepie na terenie koszar. Wówczas jeszcze Wojsko Polskie tam stacjonowało. Było kasyno oficerskie. Tam czasem mogłam się zaopatrzyć. Funkcjonowały kartki, więc kupowało się tyle, co na kartkę. Człowiek czasem zamieniał się nimi. Oddawałam tę na papierosy, a dostawałam na masło – taka wymiana działała. Jak wspominałam, każdy miał kury czy krowy, także handlowaliśmy między sobą. Musieliśmy sobie radzić i bez tych kartek. Pamiętam, że szewc miał zawsze dobrą opinię. Urzędował w okolicy skrzyżowania ulic W. Jagiełły i Kisielickiej. Tam stał taki dom, a w nim przyjmował szewc. Później ten domek zlikwidowano, a on chyba prowadził zakład na ulicy Kasztanowej. Ośrodek zdrowia znajdował się przy kolei na ulicy Daszyńskiego. Tam powstał ośrodek zdrowia dla kolejarzy, zaś drugi mieścił się aż na ulicy Zamkowej. Musieliśmy badać się co roku, ponieważ każdy miał swoją kartę zdrowia. Jeszcze z Kisielic przyjeżdżaliśmy do Prabut na te badania, do ośrodka zdrowia. Pamiętam, że odbywało się to szybko. Człowiek rejestrował się i zaraz do lekarza wchodził. Pamiętam tylko doktora Sygnarskiego. To, co mi przepisał,

zawsze pomagało. Z resztą, po pobycie w obozie, my wszyscy mieliśmy żołądki popsute, reumatyzm i takie różne rzeczy, a on jednak zawsze mnie podleczył. Opiekę lekarską uważam za dobrą. W szkole dzieciaki też znajdowały się pod okiem lekarza i dentysty. Do przeglądu zębów chodziło się klasami. Pamiętam, że takie tabletki przeciw próchnicy dzieci dostawały. Później odbywały się szczepienia w szkole. W każdym razie dzieci miały opiekę lekarską.

Kościół funkcjonował już, gdy przyjechałam. On był św. Wojciecha przedtem, jednak kiedy odbudowano katedrę, ją mianowano tą nazwą, a jemu nadano imię św. Andrzeja. Podczas pierwszej wizyty w świątyni zdziwiłam się, że tak mało ludzi zastałam. Później, z biegiem lat przychodziło coraz więcej osób. Pamiętam, że jeszcze jakiś czas ewangelicy tu uczęszczali. Nie potrafię sobie przypomnieć, kto był proboszczem, jak się sprowadziłam. Gdy do Prabut przyjechała teściowa, wówczas kościół prowadził ksiądz Klimuszko. Ona zawsze opowiadała, że uchodził za bardzo popularnego. Nawet ja o nim słyszałam, nie mieszkając jeszcze w Prabutach. Wiem, że był poszukiwany przez UB i musiał się ukrywać. Podobno uciekł stąd przebrany za kobietę, ale wiem tylko tyle, co z opowiadań. Osobiście nie miałam z nim styczności. Nikt nie zakazywał mi chodzić do kościoła. Wcześniej, jak w Kisielicach pracowałam, to jeszcze ksiądz uczył religii w szkole, a modlitwy odmawiano przed nauką i po niej. Te ostatnie lata, 1952 czy 1953, to już dokładnie nie powiem, ale kazano nam pozdejmować krzyże w klasach. Kierownik szkoły powiedział, że otrzymał dyspozycję – taki przyszedł nakaz. Powiedzieliśmy, iż ich nie wieszaliśmy i nie będziemy zatem zdejmować. W końcu wyszło tak, że w czasie wakacji zrobiono remont klas, ściany pomalowano, a krzyży już nie zawieszono. W 1954 roku urodziła się moja córka i chrzciliśmy ją w Prabutach. Wtedy takie uroczystości, jak chrzest czy wesele, każdy organizował w swoim zakresie. Mąż zgłosił do księdza chrzciny. Była wielka zima, więc kogoś wynajął i pojechaliśmy powozem do kościoła. Po uroczystości

wyprawiliśmy w domu przyjęcie, ale tylko dla najbliższej rodziny i chrzestnych. Sam chrzest wyglądał tak samo, jak i teraz.

Jeżeli chodzi o rozrywki i ciekawe miejsca, to my często jeździliśmy nad jezioro – przeważnie na Sowicę. Nie było wtedy jeszcze pomostu. Mąż lubił łowić, więc często chodziliśmy na ryby. Miał łódkę, którą wypływaliśmy na jezioro. Gości przyjmowałam raczej w domu, ale funkcjonowała wówczas w Prabutach restauracja „Jarzębina" (dosyć popularne miejsce) oraz kawiarnia „Pod Jeleniem". Chodziliśmy do niej z mężem na dancingi. Była dobra orkiestra, różne rozrywki i poczęstunki. Panowała wesoła atmosfera, nawet lepsza, jak w „Jarzębinie". Zabawy przeważnie odbywały się w soboty. Pamiętam, że płaciło się za wstęp, ale wtedy jeszcze obowiązywały tysiące, a nie pojedyncze złotówki. Ludzie bawili się również w okolicy, w sąsiednich wsiach, ale głównie to młodzież tam jeździła.

Z negatywnych wspomnień tamtych czasów najbardziej chyba pamiętam to, jak w 1954 roku urodziła się córka, a my nie mieliśmy opału. Wszystko było na kartki i musieliśmy całą noc stać w kolejce. Gdy doszliśmy do okienka, to już dla nas zabrakło węgla. Małe dziecko wymagało ciepła, więc po opał udawaliśmy się do lasu. Ciężko nam się żyło. Najlepiej wspominam natomiast pracę w szkole, gdzie bardzo dobrze mi się układało. Kierowników miałam życzliwych, atmosfera panowała dobra. Organizowaliśmy sobie wieczorki i spotkania w gronie nauczycielskim. Zawsze mile do tego wracam.

Stanisława Dobrzańska

Dnia 22 października 1932 r. przyszłam na świat we wsi Groszówka, gmina Dydnia. Moi rodzice także pochodzą z tamtych stron – Rzeszów, Sanok, Brzozów. Mieszkaliśmy na gospodarstwie, a dodatkowo tata stawiał domy. Wtenczas budowano je z drzewa ciosanego. Ojca prawie nigdy nie było w domu, bo zawsze był w pracy. Dużo ludzi budowało się, bo nie mieli gdzie mieszkać. Tata musiał najpierw zrobić to, czego ziemia wymagała, czyli zaorać i posiać wszystko, natomiast resztę robiła mama. Najmowaliśmy wtedy ludzi do pomocy na gospodarstwie, bo nie było komu pracować. My jako dzieci byliśmy za mali. Dopiero jak dorastaliśmy, to zaczęliśmy pomagać. Było nas pięcioro rodzeństwa. Najstarszą siostrę zabrała ciocia z Sanoka – pracowała, więc wzięła ją do pilnowania dwójki swoich dzieci. Ja byłam druga z kolei. Jeszcze w 1939 roku poszłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Groszówce, ale już w 1942 r. szkoła się skończyła.

Była ciepła niedziela, wrzesień 1939 roku. Mieliśmy duży dom, wielu panów przychodziło i radzili się taty w różnych sprawach. On zawsze śmiał się, że jest takim dyrektorem. Ławki stały przy domu, tam oni siedzieli i rozmawiali. My, jak to dzieci, biegaliśmy po podwórku. Na raz padł strzał! Mieliśmy dużą jabłoń i pocisk akurat poleciał w to drzewo – ściął je, że aż jabłka zaczęły opadać. Wszyscy tak się polękliśmy! Mężczyźni skomentowali: „Już niedobrze, już niedobrze! Dopiero żeśmy rozmawiali,

a teraz będzie wojna" – tego nie zapomnę nigdy, jeszcze mam to w oczach. Mama zawsze bała się, że tatę zabiorą – co ona zrobi z nami. Ludzie przychodzili do nas na te ławki i płakali. Bałam się, żeby wojsko nie przyszło, żeby taty oraz mamy nie zabrali, żeby nas nie pozabijali. Wojna nie sprawiła nam dużo kłopotu, bo byliśmy na gospodarstwie. Mieliśmy krowy, konia. Jedzenie było swoje. Niemcy przychodzili i zabierali tatę na lato do roboty. Wywozili w las, nie wiadomo gdzie i tam rowy kopali – pewnie jakieś okopy. Wracając, ojciec zawsze przynosił chleb, cukier, kaszę. Niemcy nie zrobili nam tyle krzywdy, co później Rosjanie, gdy zabrali nam ziemię. Pamiętam, że sama wiadomość o zakończeniu wojny była wielką radością. Jeszcze śmieję się na samo wspomnienie. To była wielka radość! W tym czasie siostra od cioci przyjechała i wszyscy się cieszyli. Wówczas nie mieszkała z nami i dzięki najwyższemu, nie miała takich problemów, jak my. Później zrobiło się gorzej – nie było tyle biedy, co po wojnie...

W okolice Prabut przyjechałam z rodziną. Miałam wtedy jakieś dwanaście lat. Wywieziono nas z rodzinnego domu, bo Rosjanie nas ogołocili. Gdy przyszli w 1942 roku (jak się nie mylę), to chcieli tatę wziąć do kołchozu, bo był taki obrotny. Nie zgodził się, mówiąc: „I co? Oni posiedzą pół roku czy rok i pójdą, a później przyjdą inni i mnie zabiją, bo przecież Rosjanom służyłem". Zabrali nam całą ziemię, nie mogliśmy sadzić i siać. Gdy przyszedł następny rok, nie mieliśmy już co jeść i nastała bieda. Wcześniej rodzicom nieźle się powodziło. W domu posiadaliśmy ubrania, więc co było dostępne, to tata zawsze zabierał, chodził po wsiach i wymieniał na trochę kartofli lub jakiegoś zboża, aby nas wyżywić. Tak to było w tamtych stronach podczas wojny. W 1947 roku przyjechało Wojsko Polskie i nadszedł czas naszej wyprowadzki. Szliśmy pieszo do Sanoka przez dwadzieścia pięć, a może nawet trzydzieści kilometrów. Zanim zaszliśmy na miejsce, minęły dwa dni. Tam nas wsadzili do wagonów i przywieźli do Susza. Dalej samochodem przetransportowano nas do Klim, na gospodarkę. Zastaliśmy zniszczony dom, oka miał pozabijane. Tak nas tam zostawili. Na szczęście

zlitował się sąsiad, który miał większe mieszkanie i zabrał nas do siebie. W międzyczasie tata uszykował ten dom do takiego stanu, że mogliśmy zamieszkać. Później to już wiadomo, trzeba było na wsi pracować, żeby coś zjeść i jeszcze do domu przynieść. Jak już przyjechaliśmy tutaj, to bardzo długo było w porządku. Tata dostał konia z UNNR-y. Już mógł ziemię zaorać i przygotować. Przyjechaliśmy przy końcu maja, pole można było już obsiać. Z początku nie miał sprzętu, więc pożyczał od sąsiada. Na jesieni zebraliśmy swoje ziemniaki i trochę zboża – wtedy już biedy nie mieliśmy. W Klimach ojciec domów nie budował – tu było pole i robota. Rodzice zatem tylko gospodarzyli. Pamiętam, że w tamtych czasach pogoda dawała się we znaki. Zimą okna pozamarzały, śniegu takie góry, że nie widziałam taty, gdy go odgarniał. Było bardzo, bardzo zimno, za to lata upalne, z bardzo dużą temperaturą. Jak szliśmy na pole, to już po człowieku leciało. Nie istniała wymówka, że jest gorąco i trzeba się schować – pracowałam od rana do wieczora. Ja jednak wolałam tamtą temperaturę – jak było zimno, to było zimno, a jak ciepło, to ciepło – nie to co teraz, że pogoda jest taka nieustabilizowana.

Młodsze rodzeństwo w nowych warunkach pokończyło szkoły. Ja już nie poszłam do żadnej, ponieważ musiałam zarabiać. Mama mówiła: „Pójdziesz do roboty, to chociaż ci jeść dadzą, a co ja ci dam w domu?" – tak też nastąpiło. Brat w jednym roku skończył dwie klasy, był przerośnięty i dali go do następnej. Skończył w Klimach szkołę i poszedł do Grudziądza, do technikum. Siostra ukończyła tylko siedem klas i nie chciała się dalej uczyć. W wieku 17 lat wyszła za mąż. Natomiast najmłodszy brat poszedł do Gdańska, do zawodówki, bo nie mieliśmy jak opłacić internatu. Po niej pracował w stoczni. Najstarsza siostra też wyszła za mąż i przeprowadziła się na gospodarstwo do Gorowa. Tak wyglądała historia edukacji. Jeżeli chodzi o nasze relacje, to zawsze były bardzo dobre, przez całe życie. Nawet do tej pory, jak się zejdzie „chmara", to sąsiedzi pytają, jak my żyjemy jeden z drugim, że nikt się nie kłóci (śmiech).

Przyjechałam do Prabut uczyć się szycia. Pierwsze dni byłam zadowolona, że tu jestem. Rozkoszy jednak nie odczułam, ponieważ rodzice nie dawali mi dużo pieniędzy z domu – sami też ich nie mieli. W mieście mieszkała moja kuzynka i u niej się zatrzymałam, na ulicy Warszawskiej. Pamiętam, że w około było dużo gruzów, porozwalane domy i tak na każdym kroku. W okolicy obecnej ulicy Kraszewskiego, swój sklep masarniczy miał Mejka. Kawałek jego domu ocalał, a resztę budynku stanowiły gruzy. Na tamte czasy zdawało się, że to wszystko jest normlane, ale pomału robiono porządek. Przypominam sobie również Sanatorium. Dla mnie był to ogrom wtenczas, bo panowała gruźlica. Wszystkie bloki zostały zapełnione chorymi. W sklepie napotykałam chmarę ludzi: chorych, odwiedzających i miejscowych. Jeżeli chodzi o naukę, może z rok się uczyłam i poszłam do pracy. Jeszcze szyć dobrze nie umiałam, ale już sobie radziłam. Pracowałam w zakładzie na rogu ulic Kraszewskiego i Parkowej. Tam znajdował się zakład „Na miarę", który prowadził pan Stasiak, a pan Chrobot mu pomagał. Byłam tam szwaczką i szyłam na maszynie. Pani Gintowtowa pracowała jako kierownik działu damskiego, a męskim zarządzał pan Stasiak. Tak zdobyłam moją pierwszą pracę. Pamiętam, że dostałam się bez problemu. Poszłam do pani Gintowtowej i zapytałam, czy potrzebuje pracownika. Powiedziałam co umiem, gdzie się uczyłam, no i przyjęli mnie. Już na drugi dzień rozpoczęłam pracę. Czułam się tam dosyć dobrze, już potem miałam fach i zarabiałam. Oprócz tego, ludzie dawali mi szyć prywatnie. Zawsze zarobiłam dodatkowo parę groszy i nie było źle.

W 1954 r. wyszłam za mąż, a po roku czasu urodził się pierwszy synek, więc zrezygnowałam z pracy. Szyłam już tylko w domu. Po ślubie zamieszkałam u męża na ulicy Barczewskiego. Poznaliśmy się jeszcze w mojej wiosce – Klimach. Tam również przywieźli jego stryjka z rodziną, na gospodarstwo. Mąż pracował wtedy w młynie, ale przyjeżdżał, gdy stryjek prosił go o pomoc – a to trawę wykosił, a to ze zbożem pomógł. W Klimach organizowano zabawy. Chodziłam tam pobawić się, potańczyć i wtedy go właśnie zapoznałam.

Trzymaliśmy się tak cztery lata i w końcu zdecydowaliśmy się na ślub. Mąż przyjechał w te okolice, w tym samym roku co ja. Pochodził z Ulucza. W czasie wojny przebywał w Niemczech, ponieważ zabrano go na roboty. Po wojnie wrócił do Ulucza, ale okazało się, że wszystko było spalone, więc przyjechał do Prabut. Dostał mieszkanie na ulicy Barczewskiego, gdzie mieszkał razem z bratem. Po ślubie ja się też wprowadziłam i mieszkaliśmy wszyscy razem. Pamiętam, że budynek nie był w złym stanie, miał szarą elewację. Z wierzchu wyglądał w porządku, ale w środku marzłam zimą, bo zepsuły się drzwi na korytarz. Mieliśmy stary piec i kuchnię. Wodę i światło doprowadzono do wnętrza, ale toaleta została na dworze. Katedra nie była wtedy jeszcze czynna, to pod nią wieszaliśmy bieliznę – nie tylko ja, ale wszyscy sąsiedzi tak robili. Na mojej klatce mieszkała rodzina Tomaszewskich, a na dole Galiniewscy i Gałki. Żyliśmy dobrze, nie powstawały żadne sprzeczki ani waśnie między nami. Jak trzeba było się pogościć, to odwiedzaliśmy się.

Pierwsze targowisko powstało przy „lwach". Tam mogłam dostać wszystko, jeżeli chodzi o podstawowe rzeczy. Człowiek kupował raczej produkty do jedzenia. Chłopi przywozili na wozach ziemniaki, różne owoce, twarożki, masło, śmietanę, mleko czy jajka – co wyhodowali, to sprzedawali. Oprócz targowiska korzystało się także z różnych rzemieślników, nie tak jak teraz. Chociażby chodziłam do szewca, oddawałam buty do roboty i na to nie narzekam. Była to kiedyś bardzo popularna usługa, dużo ludzi z niej korzystało. Do mnie też wiele osób przychodziło, aby coś uszyć. Przez to nie miałam za wiele czasu dla siebie. Wtedy ludzie nawet nieźle się ubierali, pomimo tego, że w sklepach nie sprzedawano gotowych ciuchów, za to były materiały. Mieliśmy dużo krawcowych w Prabutach i każda miała co robić. Materiały naprawdę nie były brzydkie – dużo motywów kwiatowych, czerwonych, zielonych, czysto-białych, czarnych, bordo, brązowych. Przeważnie nosiło się sukienki i swetry robione na drutach. Najczęściej mogłam zobaczyć ludzi w swetrach, gdy robiło się zimno. Nie powiem,

bo później zaczynały pojawiać się kurteczki, marynarki. Szyłam kostiumy i do nich marynarki. Jednak najczęściej noszono te swetry. Przeważnie ludzie chcieli dobrze wyglądać podczas uroczystości. Na 1 Maja odbywały się wielkie obchody – przemarsz przez miasto masy ludzi i orkiestry. Gdzie nie stanęli, tam słuchano jakiegoś przemówienia. Ktoś ze zwierzchników wygłaszał mowę. W te święta zawsze była muzyka, tańce, bufety. Mogłam zjeść loda, będącego w ten czas wielką atrakcją, szczególnie dla dzieci. Wszystkie takie przyjemności czekały w parku, bardzo czyściutkim i zadbanym wtedy. Potem już wszystko odbywało się w Sanatorium. Tam na dużym boisku organizowano rozrywki: rożne występy czy teatry, ale zawsze bardzo uroczyście.

Podsumowując tamte czasy najbardziej dokuczało mi mieszkanie – to będę mówić, dopóki żyję. Czwórka dzieci i nas dwoje, sześć osób mieszkało na pokoju z kuchnią. W tym wszystkim zakład krawiecki, gotowanie, jedzenie, pranie w kuchni. Natomiast samą radość sprawiała wizyta rodziny z daleka. To była uciecha!

Maria Patyra

Urodziłam się dnia 1 października 1934 roku, w Rotnicy na Litwie. Była to wieś kościelna. Obecnie jest dzielnicą Druskiennik. Tam mieszkałam do 1946 roku, kiedy to nastąpiła repatriacja i przyjechaliśmy do Polski. Mój tatuś urodził się pod Grodnem w Łosośnie, a mama w mojej rodzinnej Rotnicy. Początkowo tato pracował jako robotnik w młynie. Mama znalazła pracę jako kelnerka pensjonatów w Druskiennikach, gdy była jeszcze panną. Niedługo po ślubie ojciec poszedł na wojnę polsko-bolszewicką w 1920 roku. Każdy kto przeżył, po wojnie otrzymywał jakąś koncesję, aby otworzyć własny interes albo pięć hektarów ziemi. Moi rodzice nie mieli nic do czynienia z ziemią, więc wybrali koncesję na wódkę i otworzyli w Rotnicy restaurację. Pamiętam rodziców już jako właścicieli restauracji. Znajdowała się na wsi, więc był tam proszek, mydło i powidło, śledzie, nafta, zapałki oraz piwo dla chłopów.

Z czasów wojny niewiele pozostało w mojej pamięci, jedynie pewne zdarzenie. Gdy zbliżał się front, rodzice kopali na polach ziemianki i tam w nocy spaliśmy. Jakaż to była frajda, ale cudownie! Nanieśli koców i byliśmy wszyscy razem, nawet sąsiedzi! To była moja wojna, miałam wtedy 5 lat. Dopiero poczułam jej smak, gdy mój tata musiał uciekać z domu do lasu, do partyzantki. Sowieci powiedzieli, że go wywiozą na Sybir. Sąsiedzi nam donieśli: „Puchalski uciekaj, ponieważ wywiozą cię na Sybir, bo ty byłeś

raz, że piłsudczyk, a dwa bogaty". Tata chował się w lesie, ale pewnego razu przyszedł do domu, żeby się umyć i przebrać. W tym czasie przyszli Rosjanie i otoczyli dom. Ojciec chciał uciekać oknem, ale oni już tam stali, zabrali go i osadzili w Workucie.

Historia mojej edukacji zaczęła się jeszcze w rodzinnej miejscowości. Była to szkoła podstawowa (litewska) w Rotnicy. Natomiast moja siostra chodziła do polskiego gimnazjum w Brodnie, jako starsza ode mnie. Pamiętam, że szkoła znajdowała się bliziutko. Niedużą wieś odzwierciedlali rówieśnicy w klasie – pięć, może dziesięć osób. Uczyłam się po litewsku, pomimo tego, że to była wtedy Polska. Gdy przyjechałam do kraju, to nie umiałam pisać po polsku. U nas w domu mówiło się w tym języku, bo dom był polski, ale ta wieś i ci chłopi – to wszystko tylko Litwini, oprócz dwóch rodzin polskich. W 1946 roku przyjechaliśmy transportem do Ustki. Podróż trwała miesiąc czasu. Po drodze zatrzymywaliśmy się we wszystkich miastach: Suwałki, Augustów, Olsztyn, Elbląg Malbork. Dużo ludzi wysiadało, a myśmy jechali, jechali, jechali, aż wreszcie dowieźli nas nad morze. Ustka stanowiła koniec naszej podróży. Tutaj dokończyłam szkołę podstawową i poszłam do Słupska, do technikum gastronomicznego. Dalej planowałam studia, które mi jednak nie wyszły, gdyż w okolicy nie było kierunku z kręgu moich zainteresowań. Nie chciałam natomiast odjeżdżać od domu, ponieważ nie byłam aż tak dobrze sytuowana i bałam się, że sobie nie poradzę. Dowiedziałam się, że otwarto w Grudziądzu szkołę dietetyczek i ją właśnie wybrałam. Zostałam absolwentką w 1956 r. i we wrześniu przyjechałam do Prabut, do pracy w Sanatorium. Dostałam się tutaj pociągiem z Ełku. Tam mieszkałam tylko z moją mamą, bo siostra już wyszła za mąż. Przybyłam zaraz po szkole, gdyż otrzymałam tak zwany nakaz pracy. Miałam do wyboru Olsztyn, Olsztynek i Nidzicę. Szkoła obsadzała te rejony do pracy. Prabuty wybrałam dlatego, że tu było Sanatorium gruźlicze, a w tamtych czasach, osoby pracujące na oddziałach chorób zakaźnych miały trzydzieści procent urlopu więcej i trzydzieści procent więcej pensji. Dotarłam pociągiem nocą.

Wsiadłam do takiej budy à la tramwaj na kółkach. Był to taki barakowóz ciągnięty przez konika. Nim dowozili pacjentów i wszystkich interesantów do Sanatorium. Przyjęto mnie na portierni. Dostałam pokój w administracji, w suterenie i musiałam się jakoś urządzić. Wchodziło się do portierni, po lewej stronie siedział portier lub portierka, załatwiali formalności i wpuszczali czy to na oddział, czy jako chory, czy pracownik, czy interesant do dyrekcji. Następnie był hol i dalej kancelaria lekarska na lewo (gdzie lekarze podpisywali listę obecności) oraz biura urzędnicze. Między tymi pomieszczeniami mieliśmy pokoje gościnne i tam się mieszkało. Mój przyszły mąż jako lekarz też przebywał w administracji, zanim dostał mieszkanie. Na wyposażeniu stało krzesło, łóżko, zależnie od statusu. Lekarz na pewno dostawał lepiej umeblowany pokój od salowej. Tak to wyglądało wtedy. Nie chodziłam wówczas po mieście, ponieważ byłam całkowicie pochłonięta organizacją miejsca, gdzie będę mieszkała. Zaraz poszłam do pracy. Nowe zdarzenia, nowi ludzie, nowe stosunki – to mnie wtedy najbardziej interesowało. Tutaj poznałam swojego męża, który przybył cztery miesiące po mnie. Skończył Akademię Medyczną w Lublinie i przyjechał do pracy jako lekarz. Tu się poznaliśmy i pobraliśmy.

W samych Prabutach miałam bardzo mało kontaktów. Powiem szczerze, że obracałam się tylko w sanatoryjnym środowisku. Nikogo w mieście nie znałam, nie miałam tam gdzie chodzić, nie było tam nic ciekawego. Do dzisiaj w Prabutach znam bardzo mało osób. Tu było moje środowisko, całe życie, tu urodziłam, wychowałam dzieci, pracowałam czterdzieści lat. Okolica zmieniła się radykalnie. Wszędzie stały małe zabudowania, a teraz powstają bloki. Mieliśmy dwa sklepy spożywcze na miejscu, dlatego nie korzystałam z tych w Prabutach. Na większe zakupy jeździliśmy do Kwidzyna albo Iławy – te dwa miasteczka. Mój mąż wybrał Sanatorium jako miejsce pracy, gdyż oferowano tu mieszkania w poniemieckich blokach. Dostał czteropokojowe lokum z wodą, łazienką, ze wszystkim. Tego nie proponowano nigdzie indziej w Polsce.

Okolica i bloki nie były zniszczone w czasie wojny. Gruzów nie uświadczyliśmy, w przeciwieństwie do centrum. Przydzielaniem mieszkań zajmował się dyrektor Sanatorium. On wiedział, jakich pracowników potrzeba i takich ściągał. Dla nich oferował mieszkania. Jeszcze na początku byliśmy jakby jedną miejscowością, był tylko numer domu i mieszkania. Nie istniał jeszcze podział na konkretne ulice, dopiero później powstały.

Jeżeli chodzi o ubiór, to żadnych anomalii nie było. Ubieraliśmy się w to, co w sklepach mogliśmy kupić. Jedną pielęgniarkę nazywaliśmy „Mazowsze" – zawsze bardzo kolorowa. W Sanatorium było „środowisko", już nie fabryka czy robotnicy. Tu żyła przede wszystkim inteligencja: pielęgniarki, lekarze, laboranci. My dominowaliśmy i dobijaliśmy do świata. Mieliśmy dostęp do radia, a potem do telewizji, gdy tylko się pojawiła. Nie odstawaliśmy od reszty kraju. Samochody w tamtym czasie miały może dwie osoby – żona doktora Sygnarskiego, która też była dietetyczką, ale również nasz inżynier – Kostek Wojciechowicz. Sanatorium stawało się samowystarczalne, nawet do kościoła nie musieliśmy chodzić w mieście, ponieważ mieliśmy kapliczkę i ksiądz przyjeżdżał do nas co tydzień. Nie mieszkał tu żaden Żyd, a i wyznawców prawosławnych też nie znałam – sami katolicy. Okolica była spokojna i bezpieczna, żadnych przestępstw nie zaobserwowałam. Policjanta nie znaliśmy, bo nie musiał nikt pilnować porządku. Osiedlali się sami cisi, spokojni, porządni, uczciwi ludzie. Dostęp do opieki medycznej nie stanowił żadnego problemu. Wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Na ulicy Zamkowej przyjmowała dentystka i trzeba było chodzić, ale to już dużo późniejszy okres. W pierwszych latach mieliśmy gabinet dentystyczny. Koleżanka męża – doktor Chrupek – była dentystką. Równie dobrze wyglądała sprawa skarg i donosów. Tu nie było takich rzeczy, chociaż może jedna historia – byli lekarze kawalerzy i były trzy lekarki niezamężne. Pan Patyra wybrał mnie, dietetyczkę spoza kręgu, więc dostałam anonim o takiej treści: „Panie doktorze, dziwię się pana nieprzemyślanemu wyborowi. Uroda to nie wszystko, szybko przeminie, a potem

zostanie towarzyszka życia, z płytkim, ptasim móżdżkiem" – to do dzisiaj pamiętam, tak zostałam określona (śmiech). Prócz tego innej zawiści nie uświadczyłam. Gdy mąż dostał udo cielęce, to ja piekłam i wieczorem zapraszaliśmy sąsiadów, by się gościć. Wszystkim się dzieliliśmy, generalnie kwitło tu życie towarzyskie. Organizowano różne zabawy, chór, imprezy karnawałowe. Przyjeżdżały zespoły artystyczne. W karty się grało, można było pośpiewać, mieliśmy barek, aby wypić kawkę. Przeważnie potańcówki i wieczorki towarzyskie stanowiły najpopularniejszą rozrywkę. Nie mieliśmy potrzeby zapoznawać ludzi z sąsiednich miast czy wsi. Tutaj istniała taka enklawa. Dobierano się w pary nawet z pacjentami. Przedtem na gruźlicę chorowała przede wszystkim inteligencja, poniżej średniego wykształcenia nie pamiętam nikogo. Tu przebywali literaci – nawet dyrektor Akademii Sztuk Pięknych z Warszawy. Dużo pielęgniarek, a także lekarzy czy lekarek pobierało się z pacjentami.

O pracę było bardzo łatwo w moim przypadku. Trudno mi teraz porównać zarobki. Wiem, że starczało na godne życie, ale nie można było nic odłożyć. Żadne kino czy teatr nie wchodziły w grę, tylko jedzenie i opłaty. Dopiero lekarska pensja się liczyła, jak wyszłam za mąż. Mimo to przymus pracy był olbrzymi – człowiek musiał pracować. Kto nie chciał, ten i do więzienia mógł trafić. Wiem, że wszystko wiedzieli, bezpieka miała swoich ludzi.

Wybór Prabut to dla mnie bardzo dobra decyzja. Zawsze sobie ją chwaliłam. Nigdy nie miałam żadnych kłopotów. Byłam wtedy szczęśliwa, że jestem w Prabutach, tu mieszkam i mam pracę. To był radosny okres mojego życia.

Region i mieszkańcy w historycznym kadrze

FONTANNA ROLANDA NA RYNKU MIEJSKIM (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

WIDOK NA RZEKĘ W PARKU MIEJSKIM
(arch. prywatne I. Barbarewicz)

PRZEDWOJENNA BRAMA PARKU MIEJSKIEGO
(arch. prywatne I. Barbarewicz)

SPACER ULICĄ KRASZEWSKIEGO
(arch. prywatne B. Hardasiewicz)

WYPOCZYNEK NAD JEZIOREM SOWICA
(arch. prywatne A. Dębińskiego)

UCZENNICE LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI, ŚWIĘTO 1 MAJA, 1955 R. (arch. prywatne B. Hardasiewicz)

PRZEDSTAWICIELKI PCK
(arch. prywatne B. Hardasiewicz)

PRZEDSZKOLE LETNIE NA ULICY KOSTOPOLSKIEJ, 1946 R.
(arch. prywatne K. Kaczorowskiej)

ABSOLWENTKI LICEUM DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI
(arch. prywatne M. Zdrzalik)

OBCHODY BOŻEGO CIAŁA, RZEMIEŚLNICY ZE SZTANDAREM,
OD LEWEJ: ŚLUSARZ, KRAWIEC I MALARZ (arch. prywatne R. Stępki)

POCHÓD PIERWSZOMAJOWY, WACŁAW JUREWICZ Z PROPORCEM,
1947 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

POCHÓD PIERWSZOMAJOWY W 1954 ROKU
(arch. prywatne M. E. Jurewicz)

PRZEMARSZ ULICĄ KWIDZYŃSKĄ, PO LEWEJ NIEISTNIEJĄCY
JUŻ BUDYNEK, (arch. prywatne J. Krzysiek)

MŁODA PARA, PAŃSTWO ABRAMOWICZ (arch. prywatne L. Abramowicza)

ŻOŁNIERZ STACJONUJĄCY W PRABUTACH (KOSZARY)
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

KWIDZYN, W TLE WIDOCZNY ZAMEK Z GDANISKIEM
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

PIERWSZE PRZEJAWY MOTORYZACJI W REJONIE PRABUT
(arch. prywatne F. Bobowskiego)

NA WOZIE WACŁAW JUREWICZ, HALINA ANDERS (Z DOMU SZWED)
I PIOTR DZIENISIEWICZ, 1946 R. (arch. prywatne M. E. Jurewicz)

KUCHNIA SZPITALNA W SANATORIUM
(arch. prywatne J. Woszczyńskiej)

LUDOWY KLUB SPORTOWY „PŁUG”
(arch. prywatne W. Gintowt)

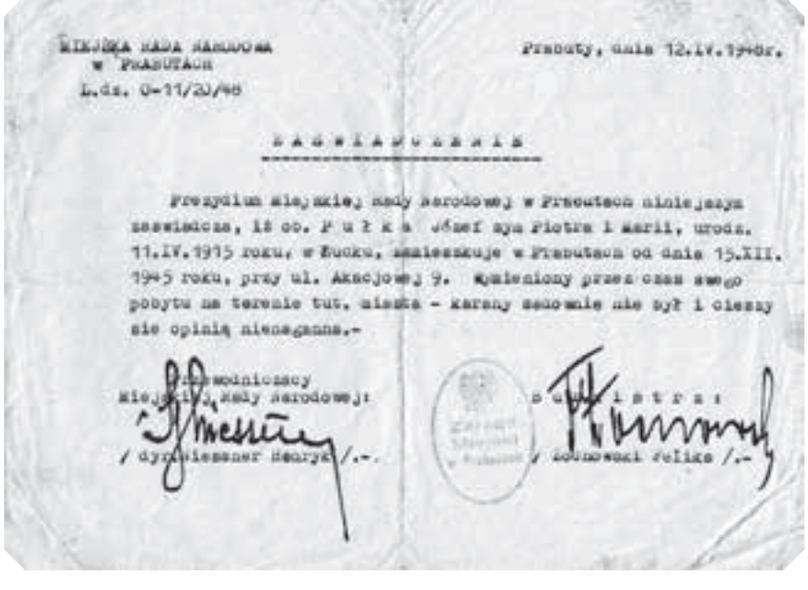

GMINNA RADA NARODOWA
w PRABUTACH
L.dz. G-11/20/48

Prabuty, dnia 12.IV.1948r.

ZAŚWIADCZENIE

Prezydium miejskiej rady narodowej w Prabutach niniejszym zaświadcza, iż ob. P u ł k a Józef syn Piotra i Marii, urodz. 11.IV.1915 roku, w Łucku, zamieszkuje w Prabutach od dnia 15.XII. 1945 roku, przy ul. Akacjowej 9. Wymieniony przez czas swego pobytu na terenie tut. miasta - karany sądownie nie był i cieszy się opinią nieskazanna.-

Przewodniczący
miejskiej rady narodowej
/ dyrektor Henryk /.-

Sekretarz:
/ Sołomowski Feliks /.-

OPINIA FORMALNA O MIESZKAŃCU PRABUT
(arch. prywatne P. Pilewskiego)

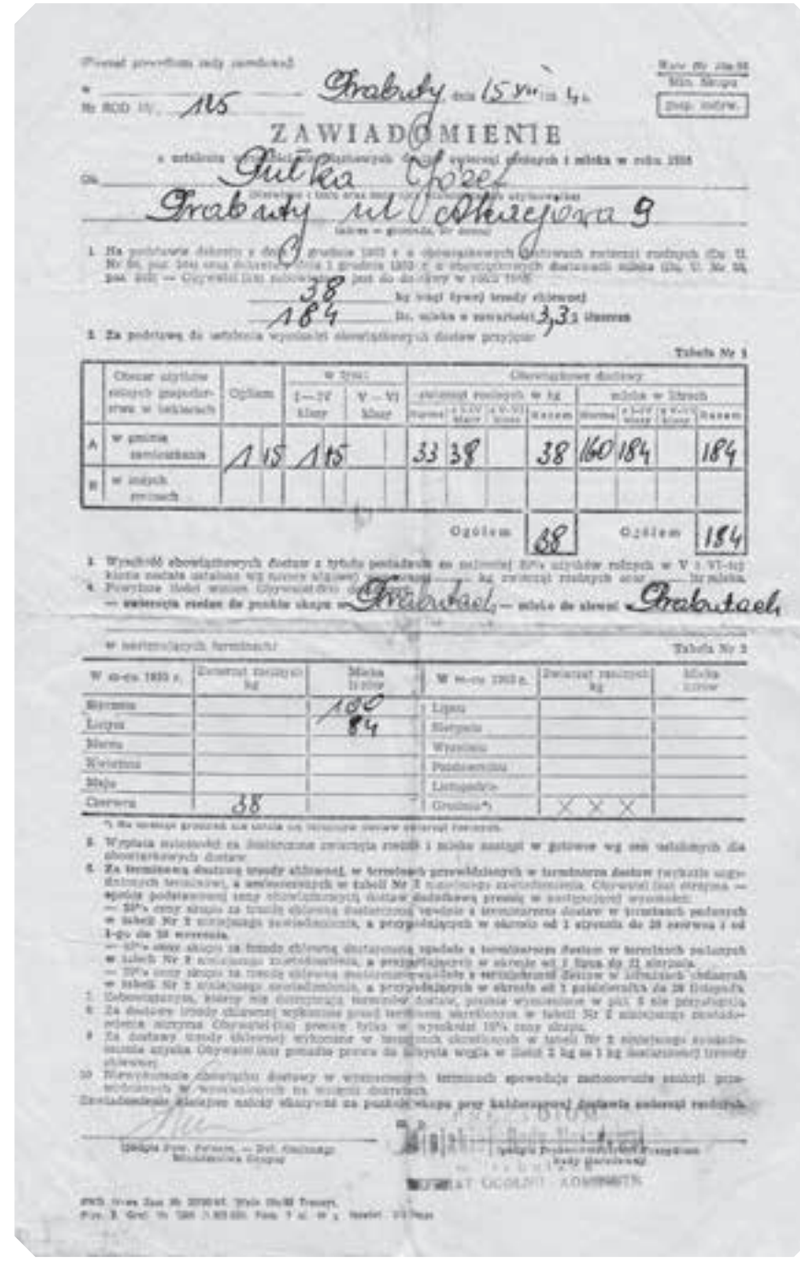

Prabuty dnia 15 VIII 1954

ZAWIADOMIENIE

Pułka Józef
Prabuty ul. Akacjowa 9

38 kg wagi żywej trzody chlewnej
184 ltr. mleka w zawiadomieniu 3,31 litrów

Tabela Nr 1

	Obszar użytków rolnych gospodarstwa w hektarach	Ogółem	w tym: I—IV klasy	V—VI klasy	Obowiązkowe dostawy: zwierząt rzeźnych w kg: Normatywne	I-IV klasy	V-VI klasy	Razem	mleka w litrach: Normatywne	I-IV klasy	V-VI klasy	Razem
A	w gminie zamieszkania	1,15	1,15		33	38		38	160	184		184
B	w innych gminach											
							Ogółem	38			Ogółem	184

Tabela Nr 2

W m-cu 1955 r.	Zwierzęt rzeźnych kg	Mleka litrów	W m-cu 1955 r.	Zwierzęt rzeźnych kg	Mleka litrów
Styczeń		160	Lipiec		
Luty		184	Sierpień		
Marzec			Wrzesień		
Kwiecień			Październik		
Maj			Listopad		
Czerwiec	38		Grudzień*)	X X X	

*) Na wniosek gminy na okres do rozpoczęcia dostaw zbiorczej rzeźni.

5. Wypłata wynagrodzenia za dostarczone zwierzęta rzeźne i mleko następuje w gotówce wg cen ustalonych dla dobrowolnych dostaw.
6. Za terminową dostawę trzody chlewnej, w terminach przewidzianych w harmonogramie dostaw (wykaz wg. dzielnych terminów), a wymienionych w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia. Otrzymuje się premię — spełnia podstawowej ceny skupu za trzodę chlewną dodatkową premię w następujących wysokościach:
— 20% ceny skupu za trzodę chlewną dostarczoną zgodnie z harmonogramu dostaw w terminach podanych w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia, a przypadających w okresie od 1 stycznia do 20 czerwca i od 1-go do 20 września.
— 10% ceny skupu za trzodę chlewną dostarczoną zgodnie z harmonogramem dostaw w terminach podanych w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia, a przypadających w okresie od 1 lipca do 31 stycznia.
— 20% ceny skupu za trzodę chlewną dostarczoną zgodnie z harmonogramem dostaw w terminach podanych w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia, a przypadających w okresie od 1 października do 20 listopada.
7. Gospodarstwa, które nie dotrzymają terminów dostaw, premie wymienione w pkt 6 nie przysługują.
8. Za dostawę trzody chlewnej wykonane przed terminem określonym w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia premia nie przysługuje. Otrzymuje się premię tylko w wysokości 10% ceny skupu.
9. Za dostawę trzody chlewnej wykonane w terminach określonych w tabeli Nr 2 niniejszego zawiadomienia premia przysługuje. Otrzymuje się premię przy dostawie wagi w tabeli 2 kg za 1 kg dostarczonej trzody chlewnej.
10. Niewykonanie obowiązku dostawy w wyznaczonych terminach spowoduje zastosowanie sankcji przewidzianych w rozporządzeniu na wypadek dostawy.

Zawiadomienie niniejsze należy okazywać za punktem skupu przy każdorazowej dostawie zwierząt rzeźnych.

Gminna Spółdzielnia — Dział Gospodarczy
Mieszkaniowa Gospodarka

Gminna Spółdzielnia
Rada Gminna

SEKRETARZ GOMINNY - KOMUNISTA

ZAWIADOMIENIE O WYSOKOĆI OBOWIĄZKOWYCH DOSTAW
ZWIERZĄT RZEŹNYCH I MLEKA W 1955 R.
(arch. prywatne P. Pilewskiego)

ZDJĘCIE GRUPOWE HARCERZY
(arch. prywatne J. Krzysiek)

MIESZKAŃCY MIASTA W TOWARZYSTWIE KSIĘDZA PIECHOWIAKA
(arch. prywatne J. Krzysiek)

PRZEMARSZ ULICĄ WARSZAWSKĄ
(arch. prywatne J. Krzysiek)

Od autora

Historia miasta Prabuty i regionu opisywanego w niniejszej publikacji sięga czasów najdawniejszych. Będąc nieco „na uboczu" wielkiej historii, tereny te stały się jednakże atrakcyjnym miejscem do osiedlenia. Plemiona pruskie, bracia Zakonu Krzyżackiego, osadnicy z terenów Niemiec i Polski, holenderscy menonici i inne grupy starały się wieść tu swój żywot. Zawiła historia przeplatana wojnami i epidemiami „unormowała się" w XIX w. Aż do roku 1914 region przeżywał dotychczas swoje najspokojniejsze chwile. „Wielka Wojna", jak ją nazywano, na całe szczęście nie dotarła bezpośrednio do tej ziemi. Jednak przemiany spowodowane jej przebiegiem i rezultatem oraz wynikające z nich rozbuchanie nacjonalizmu niemieckiego, doprowadziło do wybuchu II Wojny Światowej. Region początkowo także brał w niej udział, odczuwając jedynie pośrednie skutki. Wszystko zmieniło się w styczniu 1945. Prawdziwy kataklizm, jaki wtedy przetoczył się przez Europę, spowodował dosłowny wagnerowski Götterdämmerung (Zmierzch bogów) – tych, którzy do tego czasu władali tą ziemią. W wyniku ustaleń pomiędzy ówczesnymi Aliantami, tereny te przypadły Polsce. Armia radziecka jednak nadal stacjonowała w okolicach, często niszcząc, dewastując, gwałcąc i kradnąc.

Powojenne władze polskie, które ukształtowała wojenna zawierucha, składały się z obywateli przybyłych z granic nieomal całej przedwojennej Rzeczypospolitej. Byli tu mieszkańcy miast Centralnej Polski – szukający nowego życia na „Ziemiach Odzyskanych", Warszawiacy – wyjeżdzający ze zniszczonej stolicy, częstokroć ubodzy przed wojną mieszkańcy woj. kieleckiego, lubelskiego i innych, wreszcie przybyli także przesiedleni wbrew własnej woli Wołyniacy (w tym rodzina piszącego te słowa, od strony mojego Taty, Krzysztofa) czy mieszkańcy Wileńszczyzny i innych wschodnich rubieży II RP. Wszyscy przeszli przez piekło wojny, byli więźniami obozów, jeńcami, żołnierzami, jak również „zwykłymi" cywilami, starającymi się przeżyć tamten koszmar. Część z nich, licząc na szybki zarobek szabrowała okoliczne miasta, wsie i majątki. Niemniej jednak, pozostała większość zaczęła szukać tu nowego życia.

Pomimo wszelkich, niemal niepoliczalnych trudności, podniesienie z gruzów całych „Ziem Odzyskanych" zawdzięczamy właśnie im. Za sam ten fakt, My – obecni mieszkańcy, często potomkowie tych ludzi, powinniśmy okazać im szacunek i naszą wdzięczność. Sądzę, że skromną formą owego podziękowania jest upamiętnienie czynów, przemyśleń i po prostu życia nielicznych już świadków historii.

Byłym, obecnym oraz przyszłym mieszkańcom Prabut i Powiśla, a także historycznej Pomezanii książkę tę poświęcam

Szymon Słowiński
Prabuty, Gdańsk 2019 r.

Bibliografia

PUBLIKACJE

1. A. Józefowicz-Chmielewski, *„Walczyli o to co najcenniejsze – Niezawisłość, Niepodległość, Wiarę i Ojczyznę”* [w:] kwartalnik „Wyklęci”, nr 3
2. B. Pawłowski, *„Lokacja Prabut – fakty i mity”* [w:] Zeszty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2001 r.
3. B. Reks, *„Akt nadania praw miejskich dla Prabut”* [w:] Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg, nr 1/2011
4. G. Nawrolska, *„Z dziejów prabuckiego zamku (cz.1)”* [w:] Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg, nr 1/2012 (2)
5. H. Jarmułowicz [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 4, Kwidzyn 2001 r.
6. J. Cygański, *„Susz z dziejów miasta i okolic”,* Muzeum Warmii i Mazur, Olsztyn 2006 r.
7. J. Skierka, *„50 lat Zespołu Szkół w Prabutach. Zarys monograficzny 1946-1996”, Komitet Organizacyjny Obchodów 50-lecia Zespołu Szkół w Prabutach, Prabuty 1996 r.*
8. K. Mikulski, J. Liguz, *„Kwidzyn. Dzieje Miasta*”, Kwidzyńskie Centrum Kultury, 2004 r., t. 2
9. Piotr z Dusburga, *„Kronika Ziemii Pruskiej”,* Toruń 2011 r.
10. P. Pilewski, *„Życie społeczno-kulturalne w dwudziestoleciu międzywojennym”* [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2011 r.
11. P. Pilewski, W. Wiśniewski, M. Szulc, A. T. Klejnowski, *„W powojenny czas. Prabuty na zdjęciach z lat 1945-1989”,* Miasto i Gmina Prabuty, 2017 r.
12. S. Kawska-Tatara, *„Panoramy i widoki miasta Prabuty”* [w:] Zeszyty Kwidzyńskie, nr 6, Prabuty, Kwidzyn 2011 r.
13. S. Szczepański, *„Osadnictwo Pruskie w okolicy Prabut we wczesnym średniowieczu”,* Kronikarskim piórem Prabuty – Riesenburg, nr 1/2011
14. Publikacja zbiorowa, *„Kwidzyn. Z dziejów miasta i okolic”,* Wydawnictwo Pojezierze, 1982 r.

ŹRÓDŁA INTERNETOWE

1. http://bip.prabuty.pl
2. http://pbc.gda.pl
3. http://www.fortyfikacje.net
4. http://www.kaczorek.easyisp.pl
5. http://www.kwidzynopedia.pl
6. http://www.marienburg.pl
7. http://www.zamki.pl
8. http://www.zs.gardeja.ckj.edu.pl
9. http://wybory1947.pl
10. https://histmag.org
11. https://inwentarz.ipn.gov.pl
12. https://katalog.bip.ipn.gov.pl
13. https://pl.wikipedia.org
14. https://pl.wikisource.org
15. https://portal.ehri-project.eu
16. https://sjp.pwn.pl
17. https://sosreb.wordpress.com
18. https://www.prawo.pl

MATERIAŁY ARCHIWALNE

1. Archiwum Państwowe w Gdańsku: 2602/1, 2602/2
2. Archiwum Państwowe w Olsztynie: 42/49, 312/41, 412/1, 412/2, 412/3, 412/4, 412/6, 412/9, 412/16, 412/17, 412/21, 412/27, 412/29, 412/30, 412/31, 412/34, 412/38, 412/41, 412/49, 412/63, 412/68, 412/69, 779/36, 779/37, 779/84, 1457/1139
3. Instytut Pamięci Narodowej: BI 114/33, BI 087/80, BI 087/191, BU 707/299, BU 00231/86, BU 0296/27/2

Wydano na zlecenie:
Miasta i Gminy Prabuty
ul. Kwidzyńska 2, 82-550 Prabuty
www.prabuty.pl, e-mail: biuro@prabuty.pl

Autor: Szymon Słowiński
Kwerenda archiwalna: Szymon Słowiński
Wywiady z świadkami historii: Agata Liberacka (wywiad z Henryką Sikorską), Barbara Próchnicka (wywiad z Janiną Zelmańską), Remigiusz Dalecki – pozostałe
Transkrypcja wspomnień: Przemysław Mandziuk
Redakcja i korekta: Krzysztof Fedoruk, Edyta Jakimczuk, Ewelina Komoszyńska, Katarzyna Krasińska, Jędrzej Krasiński, Grażyna Porzecka - Szulc, Aleksandra Pułka, Joanna Stępka, Palmira Trzcińska - Kowalska, Kamila Wiśniewska, Krzysztof Wojewódzki, HAVRAN Wydawnictwo domowe Remigiusz Dalecki

Fotografie i grafiki: Abraham van Booth, Krzysztof Hartknoch, Anna Kowalska, Jadwiga Krzysiek, Piotr Popkiewicz, Louis Schwalm, Szymon Słowiński, Telewizjamsi, Andrzej Żywicki; archiwa prywatne: Leon Abramowicz, Irmgard Barbarewicz, Feliks Bobowski, Jadwiga Cyganowska, Antoni Dębiński, Wioleta Gintowt, Brygida Hardasiewicz, Antonina Józefowicz, Marianna Elstera Jurewicz, Krystyna Kaczorowska, Lothar Kossak, Krystyna Kuncicka, Andrzej Ochał, Piotr Pilewski, Helena Pyka, Henryka Sikorska, Halina Stawiszyńska, Roman Stępka, Jadwiga Woszczyńska, Krystyna Wrzosek, Marianna Zdrzalik, Janina Zelmańska, Jadwiga Żelazowska oraz autorzy nieznani
Zdjęcia na okładce: Paul Baron – AP Olsztyn (sygn. 1457/1139), arch. prywatne: Brygida Hardasiewicz, Lothar Kossak, Jadwiga Krzysiek i Jadwiga Woszczyńska

Opracowanie graficzne, skład DTP, projekt okładki, łamanie i przygotowanie do druku: HAVRAN Wydawnictwo domowe

© Copyright by HAVRAN Wydawnictwo domowe
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wejherowo 2019, **Wydanie I**

Publikacja ani żadna jej część nie może być przedrukowywana, ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie, magnetycznie lub w innej formie bez pisemnej zgody Wydawcy.

HAVRAN Wydawnictwo domowe
Remigiusz Dalecki, ul. Rogaczewskiego 62, 84-200 Wejherowo
www.havran.pl, e-mail: biuro@havran.pl

WYDANIE BEZPŁATNE

ISBN: 978-83-934801-4-2

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020– Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.
Publikacja opracowana przez Miasto i Gminę Prabuty współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej
w ramach poddziałania 19.2 „Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego
kierowanego przez społeczność" objętego PROW 2014-2020.

ISBN: 978-83-934801-4-2